



ALEKSANDER  
KAMIŃSKI

# Zośka i Parasol



**Aleksander Kamiński**

**ZOŚKA I PARASOL**

**CZEŚĆ PIERWSZA:**

# W DYWERSJI

## I. BATALION „ZOŚKA”

Zośka to imię wojenne Tadeusza Zawadzkiego. Był w czasach okupacji niemieckiej przywódcą zespołu harcerskiego, który zasłynął w Warszawie z akcji małego sabotażu i dywersji. Narodziny tego zespołu sięgają początków okupacji.

Późną jesienią 1939 roku harcerze 23 Drużyny Warszawskiej związali się najpierw z Polską Ludową Akcją Niepodległościową, potem byli łącznikami w komórce konspiracyjnej zajmującej się kontaktowaniem więźniów politycznych ze światem zewnętrznym za pomocą grypsów. Od 1941 roku wykonywali akcje małego sabotażu w ramach organizacji „Wawer”.

Od listopada 1942 roku ukształtowali się - jako Grupy Szturmowe - w oddział dywersji. Przez cały czas dowódcą tej młodzieży był Tadeusz Zawadzki. Ze względu na rysy twarzy i delikatność koledzy nazywali go Zośką. Z biegiem czasu dowodzenie Zośki przekroczyło ramy macierzystej drużyny - w Grupach Szturmowych znalazła się także starsza młodzież innych drużyn harcerskich Warszawy oraz niewielka liczebnie organizacja „Przyszłość”, zwana krótko „Pet” (od greckiej nazwy pierwszej litery). Pet wywodził się z dawnego polskiego związku młodzieży szkół średnich, zajmującego się samokształceniem. W okresie okupacji warszawska organizacja Petu złączyła się z harcerstwem. Oto jaki był rodowód warszawskich Grup Szturmowych.

Wiosną 1943 aresztowano najserdeczniejszego przyjaciela Zośki - Rudego.

Zośka postanowił wraz ze swymi towarzyszami ocalić przyjaciela - było to słynne odbicie pod Arsenalem więźniów odwożonych z gestapowskiego śledztwa do więzienia na Pawiak.

Rudego odbito, lecz krótkotrwała była radość: potwornie skatowany zmarł w kilka dni po oswobodzeniu, a równocześnie odszedł w zaświaty ciężko ranny w akcji pod Arsenalem drugi przyjaciel Zośki - Alek.

Co czuł Zośka po stracie Rudego i Alka - zbyteczne mówić. Walczył jednak dalej z wrogiem na czele swoich Grup Szturmowych. Aż oto w sierpniu 1943 roku przełamując impas potyczki pod Sieczychami, dał wprawdzie swemu oddziałowi zwycięstwo, ale sam otrzymał

kulę w pierś. Śmiertelną.

Trójka przyjaciół - Zośka, Rudy i Alek - dostąpiła rzadkiego przywileju: żyła jeszcze przez pewien czas także po śmierci, choć w swoistej postaci.

Mówić będzie o tym nasza opowieść.

Piaszczystą mazowiecką drogą wlecze się zaprzęgnięty w jednego konia chłopski wóz. Na nim - stygnące ciało dowódcy wyprawy na Sieczychy, Zośki.

Dookoła wozu idą w milczeniu jego towarzysze. Mrok sierpniowej nocy rzednie, na wschodzie niebo

nabiera tonów jasnoniebieskawych. Idą przygarbieni, poszarzali, z rękami na deskach wozu, na kłonicach, na uprząży kania. Gdy teren się wznosi, natężają mięśnie, aby dopomóc koniowi.

Mijają pola i lasy świerkowe. Andrzej Morro ostrożnie unosi głowę poległego, moszcząc ze słomy wgłębione podwyższenie. Gdy blade światło pozwoli wyraźnie dostrzec szczegóły, Długi zdejmie kurtkę i przykryje nią pierś Zośki.

Wiadomość o tym, że Zośka poległ, w ciągu kilkunastu godzin obiegła w Warszawie wszystkich jego przyjaciół i bliskich. Przejmujący ból i ostry niepokój szarpał serca. Zdawało się, że jakaś katastrofa zawisła nad braterską gromadą młodych ludzi. Przecież zginął ktoś, do kogo się tak bardzo garnęli, kto urzeczywistniał to wszystko, do czego tęsknili, czego pragnęli, co było ich marzeniem.

Komendant Warszawskiej Chorągwi Szarych Szeregów powiadomił oddziały o śmierci Zośki specjalnym rozkazem:

Zośka, komendant Grup Szturmowych Wisły, nie żyje. Zginął śmiercią zwykłego żołnierza, choć żołnierzem był niezwykłym. Łączył w sobie wysoki talent organizacyjny i rzadko spotykany realizm pracy z nieprzeciętnym poziomem ideowym. Na tych cechach swego charakteru budował i tworzył nowy styl pracy wojskowej i harcerskiej.

Wobec tak bolesnego ciosu wszelkie słowa, wszelkie zewnętrzne oznaki uczczenia Zośki są niczym. Istotna treść wewnętrzna naszej o nim pamięci polegać musi na niezmordowanym i nieustannym wysiłku, aby do zwycięskiego końca doprowadzić to dzieło, które on - nasz druh, przyjaciel i dowódca - wspólnie z nami zaczął i prowadził.

Przez Boga na wieczną wartość powołany, nie będzie dzieła tego z nami kończył. Duch jego czujny za życia - teraz straż wieczystą nad nami pełnić będzie.

Zarządzam, aby od dnia dzisiejszego począwszy przez dwa tygodnie wszystkie odprawy w Ulu Wisła rozpoczynały się jednogminutową ciszą dla uczczenia jego pamięci... Cz! B.

Prawdzic hm.

Przez dwa tygodnie na kilkuset zbiórkach warszawskich Szarych Szeregów najpierw - jak nakazał rozkaz - minutowa cisza. A potem - już bez rozkazu modlitwa i krótkie uwagi o tym, który poległ.

Śmierć Zośki zamknęła pierwszy okres dziejów szaroszeregowych Grup Szturmowych.

Zaczynał się nowy okres. Omawianie i przygotowywanie reorganizacji rozpoczęto jeszcze za życia Zośki. U jej podstawy leżały tendencje wojska do jednolicenia organizacyjnego oraz rozrost Grup Szturmowych. Liczyły one obecnie około trzystu ludzi. Dowodzenie takim zespołem w warunkach konspiracji stawało się uciążliwe.

Odejście Zośki przyspieszyło bieg rzeczy. Wszystkie warszawskie oddziały Grup Szturmowych, dotychczas podzielone na zastępy, drużyny i hufce, zostały skupione w trzech kompaniach. Dwie z tych kompanii utworzyły batalion. Trzecia została wydzielona do zadań specjalnych - do walki z gestapo. Kompanie składały się z plutonów, plutony - z drużyn.

Dowódcą batalionu został harcmistrz-porucznik Jerzy. Dowódcą kompanii wydzielonej kapitan Pług, współpracujący z Grupami Szturmowymi od początku dywersji, jeden z wybitniejszych oficerów Kedywu. Pozostałe stanowiska oficerskie i podoficerskie obsadzono wyłącznie przez najbardziej zdolnych dowódców Grup, dotychczasowych hufcowych i drużynowych Szarych Szeregów.

Początkowo nie doceniano potęgi tkwiącej w tradycyjnych, przez stulecia kształtowanych formach. To nie tylko nowe nazwy przysły na miejsce nazw dawnych, to młodzież Grup Szturmowych została objęta - jakże początkowo delikatnie i nieznacznie - przez jedną z najstarszych i najbardziej zwartych instytucji, przez wojsko.

W tym okresie dowódcy Grup Szturmowych uczynili na pół świadomie krok mający wzmóc oddziaływanie na przyszłe, nowe życie Grup wszystkiego tego, co było w dotychczasowym ich dorobku dobre i wartościowe. Nowo utworzony batalion został jakby zespolony z osobą Zośki, stał się batalionem „Zośka”.

Inicjatywa wyszła od dwóch Andrzejów: Długiego i Morro. Nie proponowali, aby batalion stał się batalionem imienia porucznika Zawadzkiego-Zośki. Nie, miał to być batalion

„Zośka”! Staną się Zośką ustokrotnionym.

Prawie cały „Sad” Rudego znalazł się w jednej z organizowanych kompanii, która z miejsca przybrała nazwę „Rudy”. O Alka natomiast o mało nie wybuchł zatarg. Chłopcy, którzy z Alkiem współżyli i walczyli, znaleźli się w jednym z plutonów kompanii „Rudy”. Gdy usłyszeli, że zanoszą na nazwanie innej kompanii imieniem ich przyjaciela i dowódcy, zaprotestowali zapalczywie. Alek musi pozostać z nimi, z ich plutonem! Nie było rady - jeden z plutonów kompanii „Rudy” musiał zostać plutonem „Alek”.

Również przyjaciele Felka - którego koleżeńska troska o podkomendnych oraz bohaterska śmierć w akcji pod Czarnocinem stawały się symbolem - najpierw zespolili z jego imieniem I kompanię, ale po reorganizacji „zabrali go” ze sobą do jednego z plutonów „Rudego”! I odtąd zamiast kompanii „Felek” był pluton „Felek”. Duchy poległych towarzyszyły, jak z tego widać, swym żyjącym przyjaciołom, a nie organizacyjnym formom.

Właściwym bohaterem naszej opowieści jest wielki zespół młodzieży Grup Szturmowych.

Ale ponieważ dla toku opowiadania pożądane jest wysunięcie paru postaci, wokół których skupi się narracja, niechże nimi będą Andrzej Morro i Jeremi. Primi inter pares - jak mawiali Rzymianie.

Andrzej Morro zaczął zwracać na siebie uwagę w okresie małego sabotażu, a w okresie dywersji miał już mocną pozycję. Zośka cenił go bardzo i typował na jednego ze swych następców.

Był o kilka lat młodszy od twórców Grup Szturmowych. Tamtych wojna zaskoczyła po pełnych maturach, jego - po „małej maturze”. Był wysokim, postawnym chłopcem o jasnych blond włosach, niebieskich oczach i podłużnej, regularnej twarzy. Gdy Niemcy zajęli Warszawę i ludzie z konieczności zetknęli się z hitlerowsko-rasistowskimi teoriami, koledzy zaczęli pokpiwać, iż Andrzej

jest typowym nordykiem. Szesnastoletni wówczas Andrzej był

w rozpacz. Próbował udowodniać, że nordykiem nie jest, gdyż tęczę ma niezupełnie niebieskie, a na twarzy trochę piegów, których nie uwzględniają żadne rasistowskie charakterystyki czystych Germanów. Nie pomogło - koledzy, wyczuwając, iż trafili na „słaby punkt” Andrzeja, uporczywie głosili jego nordyckość. Nieszczęśliwy chłopiec dźwigał przez wiele pierwszych miesięcy okupacji tajemną udrękę swej nordyckości, aż po pewnym czasie przestali się tym interesować koledzy i zapomniał o tym sam Andrzej.

Zapomniał tym łatwiej, iż teraz zaczęły docierać doń nowe głosy o jego wyglądzie - głosy dziewcząt. Że jest przystojny. Tylko wargi ma zbyt chłopięce, prawie dziecinne. Andrzej więc zaczął zastanawiać się, czy nie ma jakiego sposobu na nadanie wargom bardziej męskiego wyrazu, ale wnet machnął i na to ręką.

Młody człowiek z każdym miesiącem okupacji coraz mniej interesował się swym wyglądem zewnętrznym, a coraz bardziej pogrążał w świat wewnętrzny, świat myśli. Fakty codziennej hitlerowskiej przemocy wywoływały mocne, gwałtowne pragnienie sprawiedliwości i prawdy. Nie wiadomo kiedy i jak, niemal z miesiąca na miesiąc, uroczy chłopiec przekształcał się coraz wyraźniej w gorliwego wyznawcę tych idei. Na stosunkach koleżeńskich ta Andrzejowa przemiana zaważyła o tyle, iż dla przyjaciół Andrzej Morro stanie się niejako człowiekiem o dwóch duszach: miły kompan, wierny towarzysz - w pewnych chwilach zmienia się nagle w bezkompromisowego, twardego głosiciela prawdy. Andrzej -

uroczy kolega, przyciąga i zespala, Andrzej - uporczywy realizator czystej linii postępowania także wprowadzie pociąga niektórych, lecz zraza innych. Zwano go niekiedy Andrzejem Filozofem.

Andrzej jest wyrobiony sportowo. Na przedwojennych międzyszkolnych zawodach zdobył pierwsze miejsce w skoku o tyczce. Był dobrym strzelcem.

Dobrze i chętnie grywał w koszykówkę, siatkówkę i piłkę nożną. Dobra kondycja fizyczna stanie się w wojskowych perypetiach Andrzeja bardzo cenną oprawą dla jego wartości wewnętrznych. Połączenie tych dwóch cech dać może w okresach walki zbrojnej szczególnie korzystne wyniki. W wypadku Andrzeja tak właśnie się zapowiadało, gdyż charakter i umysł

młodego człowieka nie były na niższym poziomie niż jego sprężystość mięśniowa. Zarówno małą, przedwojenną maturę, jak i maturę „wielką”, robioną na konspiracyjnych kompletach, zdał na „bardzo dobrze”. Ponadto wyróżniał się w uczniowskim życiu społecznym, gdzie przez trzy lata był przewodniczącym samorządu.

Ojciec Andrzeja był indywidualnością wybitną. Wywierał niezwykły urok na całą rodzinę.

Potrafił zaprzyjaźnić się z obydwojema synami (Andrzej miał o dwa lata młodszego brata, który teraz z nim razem należał do Grup Szturmowych). Owocem tej przyjaźni stał się fakt może drobny, lecz charakterystyczny: gdy trzeba było wybrać pseudonim konspiracyjny, Andrzej podał: „Morro”. Był to pseudonim jego ojca z konspiracyjnych czasów poprzedniej generacji, utworzony z przestawienia

dwóch pierwszych sylab nazwiska Ro-mo-cki. Andrzej po tragicznej śmierci ojca w 1940 roku pragnął stać się jego kontynuacją, być jak on działaczem społecznym - żołnierzem. A matka? Z matką można było prowadzić nie kończące się „zasadnicze” rozmowy i dyskusje, była więc „równą” mamą.

W Szarych Szeregach Andrzej czuł się świetnie, był przecież harcerzem od lat chłopięcych.

Służbę pełnił w hufcu Rudego, zwanym „Sad”. Niewinna ta nazwa stanowiła kryptonim wyrazów sabotaż i dywersja. Zaprzyjaźnił się z Rudym i z Zośką. Śmierć ich wstrząsnęła nim.

Gdy pierwsze i najsilniejsze wrażenie przeminęło, powtarzał uporczywie: „musimy Zośkę i Rudego zastąpić, muszą trwać w naszej pracy”.

Miał teraz dwadzieścia lat i ustalony charakter. Posiadał szerokie, lecz rozproszone zainteresowania społeczne, polityczne, kulturalne. Pragnął, za zachętą ojca, studiować w Szkole Nauk Politycznych, wielbił sprężystość w myśleniu i działaniu. Uczył się języków.

Wiele myślał i dyskutował.

Gdy dojdzie do wydarzeń opisanych w następnym rozdziale, Andrzej Morro będzie „świeżo upieczonym” dowódcą swego macierzystego plutonu „Sad”, w „świeżo upieczonej” kompanii

„Rudy”. Trzy miesiące później, w grudniu 1943 roku, zostanie dowódcą tej kompanii.

A Jeremi? O Jeremim będzie właściwiej powiedzieć w innym miejscu.

## II. POD WILANOWEM

W lecie 1943 roku kilka zastępów szaroszeregowych z Mokotowa urządziło ćwiczenia w Lasach Kabackich, które stanowią wielki kompleks leśny. Jeden z tych zastępów zabłądził; po wielogodzinnym kluczeniu znalazł się wczesnym rankiem w jakiejś wsi, jak się potem okazało - w Kępie Latoszkowej pod Wilanowem, która była wsią w znacznej części obsadzoną przez kolonistów niemieckich. Wprawdzie gospodarz, którego pytali o drogę, był

Polakiem, lecz okazał się Polakiem zdrajcą. Gdy młodzi wypoczywali w jego obejściu, zawiadomił swych sąsiadów Niemców.

Uzbrojeni koloniści zorganizowali obławę. Ucieczka nie powiodła się.

Ścigani przez coraz liczniejszych Niemców i paru pomagających im sąsiadów Polaków, wyczerpani uprzednim całonocnym błędzeniem, nie uszli pogoni.

Tylko troje znalazło ukrycie w zagrodach ludzi z polskim sumieniem, czterech natomiast chłopców zginęło okrutną śmiercią z rąk znęcających się nad nimi kolonistów.

Przebrała się miara. Nie wolno było puścić płazem nieludzkości kolonistów i ich przeciwpolskiego zuchwalstwa w bezpośrednim pobliżu stolicy. Nie wolno było tolerować haniebnego zachowania się paru polskich chłopów, głównych sprawców zdrady i schwywania.

W Kierownictwie Walki Podziemnej zapadł na wieś wyrok. Wyrok groźny: zniszczyć zdraziecką wieś! Całą wieś.

Trzeba było wstrząsnąć wyobraźnią Niemców i kandydatów na zdrajców kraju.

Kedyw wykonywał wyrok. Wydano rozkaz zmobilizowania kilku plutonów z różnych jednostek dywersji, a także siedemdziesięciu ludzi z Grup Szturmowych.

Gdy na odprawie dowódców kompanii i plutonów batalionu „Zośka” odczytano rozkaz, zapanowała długa chwila ciszy.

- Więc co to ma być? Mamy podpalić wieś?

- Nie podpalić, a spalić.

Znów milczenie. Potem nowe pytanie:

- A chłopci?

- Jacy tam chłopci! Niemcy i gorsi od nich - zdrajcy. Rozkaz mówi wyraźnie: zniszczyć, wystrzelać.

Andrzej Morro zbladł, oddycha głęboko:

- Jerzy, przecież to niemożliwe! Jakże my to możemy zrobić?



Jerzy, dowódca batalionu, trze w zakłopotaniu brodę. Trzyma w rękę bibułę rozkazu, patrzy w nią uporczywie.

Milczenie przerywa Kołczan. Jest poważniejszy niż zwykle, choć usiłuje ironizować.

- Tylko nie wymądrzać się, druhowie. Zostaliśmy wojskiem, a to, co Jerzy odczytał, jest rozkazem wojskowym. Ponadto - drobne przypomnienie: ci chłopci to zdradziecka swołocz, która pomordowała naszych chłopców.

Pomordowała z własnej, nieprzymuszonej woli. Musi być kara.

Gdy Kołczan kończy mówić, czuje, iż szczęki zwiera mu skurcz. Wyjmuje ręce z kieszeni spodni i rozpina guziki kurtki.

- Spokojnie, bracie, spokojnie - wtrąca się Długi. - Karać na pewno trzeba. Tylko, bracie, zdobądź się na wyobraźnię: mamy więc strzelać do bezbronnych? Do kobiet może też? I ma to wykonywać pluton „Alek”? Właśnie Alek?

Długi jest po śmierci Zośki uznawany za strażnika tradycji Buków – tego „klanu” Grup Szturmowych - więc to, że stanął teraz przy Andrzeju Morro, robi wrażenie. A Długi, odczekawszy trochę, kończy:

- Nie powinniśmy mieć ambicji dorównywania Niemcom w hitlerowskich metodach walki.

Taka jednak konkluzja znów poderwała Kołczana. Ten robotniczy syn - krępy, energiczny -

łatwo wpada w rozdrażnienie. Gorąco, namiętnie protestuje przeciw podobnym zestawieniom.

Temperatura dyskusji wzrasta.

Nikom do głowy nie przyszło, że to przecież odprawa wojskowa, nawet Jerzy zapomniał o tym. Mówili jeden przez drugiego, niemal wszyscy równocześnie.

Poważnie lub ironicznie, gwałtownie lub z udanym chłodem. Wszystko skoncentrowało się wokół zagadnienia odpowiedzialności zbiorowej: Czy dopuszczalna? Czy celowa? Gdy wreszcie po paru godzinach przynaglani głodem skończyli dyskutowanie i rozpoczęli pojedynczo lub po dwóch opuszczać lokal, rzecz wydawała się uzgodniona. Jerzy wręczył

łączniczkę kartkę do swego dowódcy z prośbą o natychmiastowe spotkanie: miał podjąć próbę zmienienia przez Kedyw rozkazu tak, aby na zniszczenie została skazana nie wieś, lecz tylko te punkty, w których dokonana się zdrada. Ze względu na niepewne losy interwencji Jerzy zobowiązał uczestników odprawy, aby o jej przebiegu nie dowiedział się nikt z podkomendnych.

Pesymizm Jerzego okazał się słuszny. Zmiana rozkazu napotkała trudności.

Wyjaśniono, że wyrok na zdradziecką wieś zapadł nie w wojsku, lecz w Kierownictwie Walki Podziemnej, a na interweniowanie tam było za późno.

Dyspozycje do akcji i przygotowania były już zbyt zaawansowane. Ponadto w Kedywie, w związku z niedawnymi okrucieństwami hitlerowskimi we wsiach lubelskich, gdzie masowo odbierano dzieci rodzicom, aby je niemczyć, oraz wysiedlano całe wsie, panowało przekonanie o konieczności okrutnego odwetu na kolonistach niemieckich. Tyle tylko Jerzy wyjednał, że jego oddziały zostały przeznaczone wyłącznie do wykonania bojowej części roboty, odciążającej akcję odwetową atakami na posterunek żandarmerii i na skoszarowaną w pałacu wilanowskim grupę lotników niemieckich. Zniszczenie wsi miały przeprowadzić inne grupy Kedywu.

Koncentracja oddziału „Zośka”, skierowanego do akcji pod dowództwem Giewonta, została wyznaczona 26 września na cmentarzu wilanowskim, tuż przed końcem godziny policyjnej (w tym czasie była to godzina dwudziesta).

Zjeżdżano się tramwajami, przybywano pieszo. Broń - steny, visy, granaty, plastik - wieziono w teczkach lub niesiono pod płaszczami. Gdy Kołczan z kilkoma swoimi wsiadł do tramwaju niezbyt wypełnionego w tych ostatnich minutach dozwolonego ruchu, konduktor przez długi czas krytycznym, z lekka pokpiwającym spojrzeniem przyglądał się młodym ludziom. Paru było w długich butach, a większość trzymała pod pachami jakieś niewyraźne teckki. Kołczan wyciągnął pieniądze, aby zapłacić za bilety. Wówczas konduktor nie wytrzymał:

- Panowie, zapłacicie po robocie! Zresztą - wojsko nie płaci!

Kołczan, mały, czarny, zarośnięty - w pierwszej chwili oniemiał z zaskoczenia i nie wiedział, czy ma się oburzyć, czy „udać głupiego”. Ale wagon był niemal pusty, a konduktor mrużył

oczy tak dobrodusznie. Kołczan również zmrużył w uśmiechu oko. Uśmiechnęła się i reszta chłopców.

Na cmentarzu, obstawionym przez czujki, było już rojno. Przybył też doktor Brom z paroma sanitariuszkami. Brom dopiero przed miesiącem związał się z Grupami Szturmowymi, była to jego druga akcja. Po raz pierwszy wystąpił w Sieczychach, a jego pierwszym rannym był

Zośka. Doktor Brom był instruktorem harcerskim z Piotrkowa, świeżo przed wojną ukończonym lekarzem, którego „na ślepo” przydzielono do Grup Szturmowych. Można sobie wyobrazić zdziwienie Broma, gdy w Sieczychach, meldując się u dowódcy oddziału, zobaczył na jego piersi krzyż harcerski. Obok stało jeszcze kilku dywersantów - również z krzyżami.

- Co to za oddział, skąd te oznaki? - pytał zdziwiony Zośki, gdy siedł z nim na biwak.

- Widzę, że pan doktor po raz pierwszy zobaczył harcerzy - zażartował Zośka.

- Proszę nie gadać głupstw - zachnął się Brom. - Jestem instruktorem harcerskim.

- Paaan? - zdziwił się teraz z kolei Zośka. Aż przystanął z przejęcia.

- Co za farsa! Przecież my jesteśmy oddziałem harcerskim w dywersji!

Żywy, o bojowym temperamencie lekarz przypadł chłopcom do serca.

Zaprzyjaźnili się z nim szybko.

Przybyło też na akcję kilka sanitariuszek. Znali je z kontaktów w mieście, ale w polu wystąpiły one po raz pierwszy dopiero w Sieczkach i teraz - w Wilanowie. Dotychczas chłopcy ratowali się sami. Na tę nowość patrzyli z aprobatą: towarzystwo dziewcząt wyszkolonych w ratownictwie jest i pożyteczne, i przyjemne.

Dochodziła godzina dwudziesta druga. Zerwał się silny wiatr. Gałęzie drzew zaczęły szeleścić wśród ramion krzyży.

Dowódca akcji - Giewont - raz po raz spoglądał na zegarek. Był to przedwojenny instruktor harcerski, o kilka lat starszy od Andrzeja Morro i jego kolegów. Ten niski, krępy, małomówny, flegmatyczny mężczyzna jeszcze niedawno był zwany w Grupach Szturmowych Małym. Ale spontanicznie zrodzony wśród otoczenia pseudonim nie zyskał aprobaty Małego. Toteż chłopcy, rozbawieni niezadowolonymi minami instruktora, zaczęli go żartobliwie zwać Giewontem. I tak już zostało.

Dwudziesta druga! Giewont błysnął latarką elektryczną.

- Zaczynamy!

Ostrożnie i w zupełnej ciszy oddział opuszcza cmentarz czterema grupami.

Jedna grupa ma zaatakować lotników rozlokowanych w skrzydle pałacu wilanowskiego.

Druga będzie likwidować tzw. „streifę”, posterunek niemiecki na szosie do Powsina. Trzecia natrze na placówkę policji niemieckiej i granatowej. Czwarta ubezpieczy działanie od strony Sadyby. Brom z sanitariuszkami zostaje na razie na cmentarzu.

Walka rozpoczęła się pod złym znakiem: nie zaczęto wszystkich działań równocześnie. Może Giewont coś źle obliczył albo jeden z patroli Kedywu za wcześniej spowodował eksplozję materiału wybuchowego założonego przy słupie telefonicznym (przerwanie połączeń z Warszawą). Wybuch nastąpił, gdy oddziały „Zośki” nie wszystkie jeszcze były na stanowiskach.

Pierwsza rozpoczęła walkę grupa „streify”. Niestety, wybuch zaostrzył czujność żandarmów.

Na nasz ogień odpowiedzieli natychmiast ogniem. Dwóch naszych - Witolda i Farysa -

raniono. Na szczęście Andrzej Morro, dowodzący tu natarciem oddziału złożonego z chłopców „Sadu” i grupy Kopcia z kompanii wydzielonej, wpadł na pomysł oświetlenia Niemców od tyłu rozlaną i podpaloną benzyną. Efekt był piorunujący: pogrążeni w ciemności bojownicy ujrzeli nagle żandarmów w blaskach ognia. Walka została zakończona w ciągu minuty - większość Niemców poległa.

Na innym odcinku, z lotnikami - a raczej z żołnierzami artylerii przeciwlotniczej -

wytworzyła się dziwaczna sytuacja. Grupa pierwszej kompanii „Felek” wpadła do skrzydła pałacu

zajętego przez żołnierzy i zastała pokoje... puste! Niemcy wyszli na patrol do parku.

Zjawili się na dziedzińcu w kilka minut potem wybawiając chłopców z głupiego zakłopotania.

Gdy sylwetki patrolu lotniczego ukazały się na tle jaśniejszego nieba, pada niemądre pytanie:

- Kto tam?

- Die Wache! - odpowiada nie mniej głupio Niemiec. Ale już w następnej sekundzie orientuje się w sytuacji i błyskawicznym ruchem podnosi „rozpylacz”. Florian był szybszy - ostry trzask broni maszynowej i wybuchy granatów burzą ciszę dziedzińca. Kilku Niemców pada.

U nas zabity Smukły, ciężko ranny Gruby i lekko ranna łączniczka. Zewsząd słyhać tupot nóg biegnących Niemców. Chłopcy wycofują się w gąszcz parku. Pozostawiają wśród wrogów - bodajże po raz pierwszy w dziejach Grup Szturmowych - ciężko rannego towarzysza oraz ciało poległego.

Równocześnie z pierwszymi strzałami koło pałacu wybuchają granaty pod odległym o kilkaset metrów budynkiem (placówka policji niemieckiej i granatowej). Ci też nie byli zaskoczeni. Ledwo wybuchły nasze filipinki i ledwo odezwały się strzały naszych stenów, gdy spoza ciemnych okien posterunku sypnęły się pociski.

Policja granatowa, zajmująca jedną część budynku, dała się łatwo rozbroić i bez strat.

Policjanci niemieccy walczyli natomiast zaciekle. Wśród „Alków” powstało zamieszanie.

Cofają się nieco. Niemcy ukryci w ciemnościach mają dogodne położenie, a przekłety księżyc oświetla teren akcji.

- Kazik; z butelkami naprzód! - wola Kołczan, dowodzący tu grupą „Alków”.

Kazik wybiega pochylony. W ogniu karabinów niemieckich, wykorzystując cień oficyny, dopada okna. Rzuci do wnętrza samozapalającą butelkę z benzyną.

Bez skutku. Druga butelka też się nie zapala.

- Granatem do środka! - rozkazuje Kołczan Laudańskiemu. - Prędzaj!

Laudański, przywarłszy do ziemi, wyciągnął filipinkę. Podrywa się, biegnie i ciska w okno.

Nim zdążył obrócić się i paść na ziemię, ujrzał błysk, usłyszał huk. Mocny podmuch pchnął

go tak, że wywrócił się uderzając twarzą o ziemię. Momentalnie podniósł się i w podskokach biegnie do ogródka. Czuje, jakby w spodniach miał rój złośliwych os, i zdenerwowany chwytając się za pośladki - wymacuje szereg bolesnych miejsc. „Przekłeta filipina”.

W świetle ognia płonącej w policyjnej izbie benzyny wyskakuje z korytarza jakiś żandarm.

Kończan natychmiast zrywa się i strzelając w biegu do żandarma, wpada do sieni. Skacze przez walącego się na ziemię Niemca.

Krótkie serie i szybkie pojedyncze strzały w sieni. Za krępą postacią szaleńca Kończana, nieodrodnego następcy Alka, podrywają się: szofer Sem, Kuba, Anoda, Książę. Biegną do budynku. Nawet Laudański biegnie do walki.

Tuż przy drzwiach dostaje postrzał w szyję. Czując płynącą krew, skręca w bramę sąsiedniego domu. - Tak, tak, tak - mamrocze wystraszony, sprawdzając, czy ma głos. Ma! Zaczyna ruszać głową - w porządku, nic nie boli. Sięga więc po opatrunek osobisty, który przed akcją przypiął agrafką do marynarki - nie ma go. Odwraca się wypatrując pomocy i widzi, że Kazik

- młody tokarz z Brunwerke - leży we krwi. Czołga się do niego, chwyta za nogę i wciąga do sąsiedniej bramy. Nie żyje, rany okropne. Koło kieszeni Kazika - opatrunek osobisty, przyczepiony również przed akcją. Laudański bierze niepotrzebny już tamtemu opatrunek i zajmuje się swoją szyją.

Jakim cudem Kończan wyszedł cało z chaosu strzałów wewnątrz budynku, spośród padających trupem Niemców i ran otrzymywanych przez naszych - trudno pojąć. Wyszedł

jednak cało. Niestety, padło w tej walce dwóch naszych i kilku zostało rannych, między innymi Książę.

Oddziały ściągają podniecone, przemęczone po wykonaniu swoich zadań. Gdy Andrzej Morro jako ostatni z odskakujących wsiadł do samochodu, w którym już znajdowali się: Brom, ranni, zabici, dwie sanitariuszki i osłona - wielka łuna czerwieniła niebo. Płonął

posterunek. Płonęła Latoszkowa Kępa, w której cichły już dalekie, ostatnie strzały.

- Zadanie wykonaliśmy - powiedział Morro do lekarza - ale mamy aż pięciu zabitych i bardzo ciężko rannych.

Gwałtowne szarpnięcie przechyliło wóz na bok. Jakiś ostry zgrzyt szarpnął całą karoserią.

- Sakramencka cholera! - zaklął jeden z młodych ludzi, waląc zębami w szoferkę, a łokciem w czyjąś głowę. Wóz jadący z nie zapalonymi światłami najechał na słup „streify”, wbetonowany na środku szosy. Rezultaty nie kazały na siebie długo czekać. Po minucie przykry swąd zaczął wydobywać się spod maski samochodu, potem - kilkanaście prychnięć i wóz stanął.

Chłodnica silnika była bez wody. Medytowali bezradni nad unieruchomionym wozem. Nagle z dala, od strony Piaseczna - blask reflektorów. Blask rósł zatrwając szybko. Nie ulegało wątpliwości - zbliża się kilka dużych samochodów.

- Ładna historia!

Mowy nie było, aby zdążyć wynieść rannych i odskoczyć. Zdrowi i lekko ranni weszli do rowu przydrożnego i przygotowali broń.

Andrzej Morro odbezpieczył stena i czekał. Wtem zbliżające się szybko obce auta zaczynają...

dzwonić! Po chwili osłupienia - radosna myśl: straż ogniowa!

Andrzej Morro jest już na szosie. Wymachując pistoletem krzyczy coś do aut. Pierwsze auto mija go. Drugie - gdy wyskoczył na środek jezdni i stał tak bez ruchu z pistoletem skierowanym w czerń nocy powyżej reflektorów - stanęło. Po chwili stanęło i pierwsze.

Z jednego i drugiego wozu wysypują się strażacy, podchodzą do Andrzeja.

Ten stoi nieruchomo w pełnych blaskach reflektorów, ze stnem w dłoni, wysoki, postawny i groźny.

- Panowie, na tym terenie odbywa się akcja Armii Krajowej. Popsuł się nam wóz. Zmuszeni jesteśmy zarekwirować wasz.

Chwila ciszy i...

- Niech żyje Polska! - krzyczy piskliwym, nienaturalnym w radosnym podnieceniu głosem któryś ze strażaków.

- Niech żyje Polska! - podchwytyują dziesiątki głosów. Co za ludzie!

Podnieceni nie wiedzą, jak wyrazić swe uczucia bojowcom. Któryś zdejmuje swój hełm strażacki i wkłada na głowę Andrzeja Morro.

Samochód straży ogniowej, która nie dojechała nigdy do płonącej wsi, bierze ciężarówkę na hol. Strażacy pozostają. Ubezpieczeni i ranni z ciałami zabitych podążają do zakładu sióstr urszulanek w Chylicach, gdzie był umówiony punkt opatrunkowy.

Doktor Brom opatruje najpierw lżej rannych, którzy muszą jak najszybciej odjechać. Gdy lekarz ogląda szyję Laudańskiego, mówi doń:

- Szczęściarz! Kilka milimetrów głębiej i mielibyście przerwana tętnicę!

Czy są jeszcze jakie rany?

Laudański rumieni się spoglądając z ukosa na sanitariuszkę i mówi możliwie najciszej:

- Zdaje się, że moja własna filipina trzepnęła mnie trochę w pośladki.

Lekarz uśmiecha się, rozumie chłopca; gdy skończył z szyją, zwraca się do sanitariuszki:

- Panno Marto, dalsze zranienia tego druha opatrzę sam.

Skończone. Andrzej Morro zostawia lekarza i jedną z sanitariuszek z dwoma ciężko rannymi i z ciałami dwóch zabitych kolegów, a sam z lekko rannymi i z ochroną odjeżdża.

Nie odjechałby Andrzej tak szybko, gdyby wiedział, jakie kłopoty zwałą się na lekarza.

Nieszczęsny Brom i nieszczęsna sanitariuszka, przemęczeni wyczerpującą, wielogodzinną pracą opatrywania, czuwania i wiezienia rannych, muszą przenosić obu rannych i sami grzebać ciała dwóch zabitych - Kazika i Józka.

Jakże ciężkie są ciała poległych, gdy we dwójkę trzeba je nieść w daleką część ogrodu, jakże zbolełe są mięśnie i kości, gdy kopie się przez parę godzin mogiłę... A potem, ledwo umywszy ręce, trzeba śpieszyć do tego, który ranny w brzuch zdaje się już konać. Zastryk.

Umycie i wygodne, ostrożne ułożenie. Znów zastryk.

Jest już pełny ranek. Najwyższy czas na odjazd. Lekarz pośpiesznie zmywa plamy krwi z marynarki, pakuje walizeczkę lekarską. Idzie szybko do kolejki wąskotorowej. Sanitariuszka pozostaje z rannymi.

Gdy kolejka staje na stacji w Wilanowie, jest prawie pusta. Na peronie pełno żandarmerii i jakiś nienaturalny ruch. Kilku żandarmów wchodzi do wagonu i powoli zbliża się do Broma.

Po raz pierwszy w życiu doktor Brom odczuwa gwałtowną potrzebę zapalenia papierosa.

Niestety, nie pali, nie ma więc papierosów.

Niemcy przeszli.

W tym samym czasie w Domu Starców w Górze Kalwarii obudził się po męczącej nocy jeden z lekko rannych - Laudański. Musiał całą noc leżeć na brzuchu, z głową odwróconą tylko w jedną stronę - miał więc fatalne sny.

Śnił mu się profesor Czyżykowski z kompletów: „panie Laudański, jak tam z trygonometrią?”, to znów dręczył go niepokój o własną drużynę: jak tam będzie bez niego ze szkoleniem dywersyjnym? A potem nawiedzała go zatroskana twarz matki i Kazik z tymi okropnymi ranami głowy. Co za noc!

Wieczorem zeszli się u Andrzeja Morro - Jerzy, Giewont, Kołczan, Maciek, Czarny Jaś i jeszcze paru. Przyszli ot tak, pogadać.

- No i co robić z tymi typami, którzy zostawili rannego na terenie pałacu?

- Nie ma co, szpetna historia: batalion „Zośka” i dwóch kolegów zostawionych Niemcom.

Alek, Rudy i Zośka skręcają się chyba w grobach.

Milczą.

- W ogóle cała afera z tą Kępą Latoszkową nie będzie chyba należała do najpiękniejszych kart

„Zośki” - mówi z namysłem i powoli młodszy brat Andrzeja Morro - Jaś Romocki, zwany

Bonawenturą. Ma zmarszczone brwi i z trudem wydusza z siebie słowa.

- O co ci chodzi? - pyta porywczo Kołczan. - Że pięciu naszych zginęło?

Byłoby zbyt dobrze, gdyby na wojnie tylko wróg ginął. Zresztą co najmniej siedmiu szkopów gryzie piach z naszej ręki.

- Nie tylko, nie tylko o tych poległych - mruczy chudzielec Bonawentura.

Denerwuje się, gniecie palce. - Wciąż mam przed oczyma daleki ogień, dymy palącej się wsi i wciąż słyszę strzały nie nasze, nie te z parku, gdzie lotnicy, lecz tamte, koło wsi...

- Czyś ty zwariował, Bonawentura? - unosi się znów Kołczan, wściekły, że dyskusja z niedawnej odprawy może znów się rozpocząć w nowym gronie. - Miej rozum, przecież to Niemcy i gorsi od Niemców - zdrajcy polscy. Wymordowali naszych chłopców. Pastwili się nad nimi. Było przecież śledztwo, wiemy dobrze, co się tam działo. Może byś i żandarmów bronił?

Bonawentura wciąż nerwowo gniece palce. Jest jednym z najmłodszych w tym gronie. Czuje się skrępowany swymi odczuciami. Nie jest pewien, czy nie będzie mu to poczytywane za brak męskości.

Wybawia go z kłopotliwej sytuacji dowódca batalionu - Jerzy. Informuje, że ma dokładne wiadomości o akcji i że „przewrażliwione sumienia” niepotrzebnie wyolbrzymiają niektóre fakty. Nie spalono całej wsi, tylko jej część. Nie „wymordowano w pień” ludności, lecz wykonując wyrok rozstrzelano trzech mężczyzn - Polaków, z których dwóch było głównymi sprawcami nieszczęścia, oraz zgładzono dziewięciu volksdeutschów. To wszystko.

Andrzej Morro spuszcza oczy, Maciek natomiast zaczyna z zaciętością wykrzykiwać, że Kedyw niepotrzebnie zmiękł; mówi to z zaciśniętymi pięściami. Zawsze uśmiechnięty i zawsze z zadartą głową, Maciek tym razem nie pogwizduje, nie uśmiecha się, tylko podniesionym głosem coś udowadnia.

Andrzej Długi wstał, podszedł do okna i włożywszy ręce głęboko w kieszenie, patrzy na pożółkłą zielen wysokiej topoli.

- Pięciu naszych znów padło - mruczy Czarny Jaś, pochyliwszy głowę o granatowoczarnej czuprynie.

- Może w tym jest część naszej winy - mówi po dłuższej ciszy zasepiony Giewont. - Może popełniliśmy jakiś błąd w opracowywaniu akcji?

Andrzej Morro wstał.

- Czy nie za wiele jęków? Czy nie wystarczy krótkie stwierdzenie, że wystartowaliśmy jako

„Zośka” nie najlepiej? Użyto nas do akcji nieodpowiedniej. skoro u tyłu spośród nas wywołała niepokój sumień. To raz.



A po drugie - akcja ujawniła, że wojskowo jesteśmy mniej warci, niż sobie wyobrażaliśmy.

Trzeba będzie wziąć siebie i plutony w garść, jeżeli mamy nie zagubić tradycji Zośki, Rudego i Alka.

.Jerzy wpatruje się uważnie w młodzieńczą twarz Andrzeja, w jego szerokie czoło wyrażające skupienie i w zdecydowanie zarysowany podbródek. „To ja powinienem powiedzieć coś takiego” - myśli Jerzy. To samo myśli Giewont.

Wyrazy twarzy Kołczana i Maćka zdradzają jednak uporczywy sprzeciw.

W kilka dni potem kierownictwo Szarych Szeregów wysłało list do dowództwa Armii Krajowej. W liście tym stwierdzono, że niezłomnym pragnieniem Grup Szturmowych jest przodowanie w żołnierskiej ofiarności bojowej. Jednakże istnieją wątpliwości, czy stosunkowo liczne w ostatnich czasach straty oddziałów nie wymagają rewizji sposobów dysponowania nimi i czy wszystkie przeprowadzone ostatnio akcje były właściwie ocenione pod kątem potrzeb wojny.

Wysłanie tego listu kosztowało niemało tych, którzy go zainicjowali.

Prawo czynników społecznych do wglądu w działalność wojska zdawało się tak niepewne.

**III. KOMPANIA WYDZIELONA, CZYLI PRZYSZŁY „PARASOL”** Z Grup Szturmowych uformowano trzy kompanie. Dwie z nich utworzyły batalion „Zośka”.

Trzecia została wydzielona z tego batalionu do zadań specjalnych. W czasie kiedy ludzie

„Zośki” przygotowywali akcję wilanowską, kompania wydzielona miała do wykonania swe pierwsze ważne zadanie: likwidację Burckla.

Rozmaitość i częstotliwość zadań, jakie spadały na Dywersję, wymagały specjalizacji.

Pomiędzy atakowaniem transportów kolejowych lub posterunków wojskowych a likwidacją szkodliwych hitlerowców była tak wielka różnica, że należało w każdej z tych odmiennych form walki dysponować innymi ludźmi.

Chodziło o wdrożenie w odrębne rodzaje umiejętności; trzeba było organizować różne typy rozpoznania i zabezpieczenia, wypracować wyspecjalizowane rodzaje łączności. Oto dlaczego w „Zośce” kompanie „Rudy” i „Felek” tworzyły jedną grupę dywersyjną nastawioną na zamachy kolejowe i akcje podobne, kompania zaś wydzielona (która z czasem otrzymała kryptonim „Parasol”) tworzyła grupę dywersyjną drugą, przeznaczoną specjalnie do walki z gestapo. Oczywiście te dwa rodzaje specjalizacji nie wyczerpywały ówczesnych form walki zbrojnej. Wystarczy przypomnieć bojową pracę oddziałów partyzanckich rozrzuconych po lasach.

Walka z gestapo stała się w połowie 1943 r. piekącą koniecznością. Nade wszystko w Warszawie. Aparat wroga został tu tak bardzo rozbudowany, iż czas był najwyższy przystąpić do psucia tej maszyny. A ponadto Warszawa była najbardziej podminowaną stolicą w okupowanej Europie. Hitlerowska policja polityczna, gestapo, skoncentrowała tu oddziały i ludzi najbezwzględniejszych, najtwardszych. Toteż nigdzie chyba okrucieństwo gestapowskie nie hulało tak, jak w Warszawie i

nigdzie konieczność reflektującej okupanta pomsty nie była tak pilna, jak w Warszawie.

Walka z gestapo została zlecona trzeciej kompanii Grup Szturmowych, oddanej pod dowództwo oficera Kedywu do zleceń specjalnych, Pługa. I właściwie mówiąc kompania trzecia stała się dziełem jego rąk. Zastępcą swym mianował Pług Jerzego Zborowskiego-Jeremiego. Nominacja była naturalną konsekwencją tego faktu, że gdy jeszcze za życia Zośki dobierano z Grup Szturmowych drużyny do przyszłej kompanii wydzielonej, Zośka na ich szefa wyznaczył Jeremiego, dowódcę najliczniejszej grupy tego zespołu.

Już przy pierwszym, wstępnym omawianiu zadań kompanii Pług oświadczył:

- Ustaliłem w Kedywie, że kompania nasza będzie używana wyłącznie do akcji na gestapo i SS. Nie zostaniemy nigdy użyci do wykonywania wyroków na rodzimej kanalii.

- Jesteśmy panu za to ogromnie wdzięczni - powiedział Jeremi. A po chwili dodał z uśmiechem: - Kat jest wprawdzie też instytucją dziś potrzebną, ale my już wolimy niszczyć prawdziwego wroga.

Ograniczenie działań kompanii i w ogóle oddziałów szaroszeregowych tylko do akcji przeciwko siłom zbrojnym i policyjnym niemieckim zawdzięczano „Dyrektorowi” Kedywu -

Nilowi, który wczuwał się doskonale w potrzeby wychowawczo-wojskowe tej młodzieży. Nie chodziło o zaoszczędzenie młodzieży szaroszeregowej „brudnej roboty”, jak to błędnie napisał po wojnie ktoś nie obeznany z faktami. Myśl przewodnią tej decyzji była inna: wysunąć oddziały Grup Szturmowych do walki równego z równym, do walki z prawdziwie groźnym wrogiem.

Jeremi w ramach Petu - samokształceniowej organizacji młodzieży szkół średnich - wszedł

przed paroma laty, podobnie jak Andrzej Morro, do Szarych Szeregów. Obydwaj już w Pecie przyjaźnili się ze sobą. Gdy organizacja rozrosła się i zaszła konieczność podzielenia jej na dwie grupy - Żoliborz i Mokotów - Jeremi został „starszym” Żoliborza, Andrzej zaś -

Mokotowa.

Każdy z nich rozwinął swą grupę do czterech sekcji i każdy usiłował postawić referaty w sekcjach i dyskusje na dobrym poziomie. Jeremi wslawił się cyklem obejmującym rozważania o charakterze narodowym Polaków i próbą samookreślenia - pod tym kątem widzenia - wad i błędów popełnianych przez chłopców i dziewczęta. Andrzej natomiast zasłynął z cyklu wykładów o sytuacji gospodarczo-społecznej Polski, do których sporządzona została przy pomocy kierownika Petu - Rafała - imponująca bibliografia. Napięcie współzawodnictwa między „Żoliborzem” Jeremiego i „Mokotowem” Andrzeja Morro powstało jesienią 1941 r., gdy Pet rozpoczął w ramach organizacji „Wawer” cotygodniowe akcje małego sabotażu i gdy wkrótce potem zespolił się z Szarymi Szeregami i w ich ramach przystąpił do akcji dywersyjnych.

Andrzeja Morro cechowała pewna reprezentacyjność, barwność i błyskotliwość - jego postać przyciągała bardziej wzrok i przez pewien czas przesuwiał się on przez życie szaroszeregowie o krok przed Jeremim. Aż nagle - było to w okresie reorganizowania Grup Szturmowych -

pewien zabawny wypadek odwrócił szanse obydwu młodych ludzi.

Któregoś wieczoru Jeremi pędził do swego domu na Żoliborzu. Zbliżała się godzina policyjna. Gdy skręcał za róg ulicy - natknął się nosem w nos na patrol niemiecki, przeprowadzający „modne” wówczas małe, wieczorowe obławy.

Warkliwe: Hande hoch! i oto Jeremi stoi w bramie twarzą do ściany, z podniesionymi do góry rękoma, a za nim żandarm z karabinem. Po chwili dwaj inni żandarmi oddalają się o kilkadziesiąt kroków, aby zagarnąć następnych przechodniów. Wówczas Jeremi, tak jak stał z podniesionymi rękoma, skręca się nagle i wali Niemca w łeb z takim rozmachem, że Niemiec, jego karabin i hełm rozlatują się na trzy strony po chodniku ulicy. Wrzask, gwizdki, strzały -

ale zbawczy labirynt zadrzewionych uliczek willowych wchłania umykającą postać. Patrol klnie szpetnie i zawraca w kierunku ludniejszej części Żoliborza, frasobliwie spoglądając na masującego sobie skroń „kamerada”.

Przygoda żoliborska przyniosła Jeremiu na pewien czas sławę w „Zośce” i kompanii wydzielonej. Chodził - jak sam o sobie mawiał - „w promieniach sławy”. Prawą dłoń manifestacyjnie owijał w kraciasty, bawełniany szalik i z góry spoglądał na Andrzeja. A gdy w rozkazie Kedywu przypieczętowującym reorganizację Grup Szturmowych podano nominację Jeremiego na zastępcę dowódcy kompanii wydzielonej, przy równoczesnym mianowaniu Andrzeja Morro dowódcą plutonu w innej kompanii, po plutonach gruchnęła plotka, iż najlepszy sposób na awans to walnięcie żandarma w ucho!

Jeremi był młodym, dwudziestoletnim człowiekiem. Pług natomiast - przełożony Jeremiego -

był mężczyzną w pełni sił (liczył chyba około 35 lat). W wojsku służył od początku wojny i przeszedł bardzo staranne przeszkolenie dywersyjne pod kierunkiem specjalistów angielskich.

Jeremi nie znał świata poza Polską, Pług kilka lat spędził w krajach anglosaskich. Jeremi znał

Warszawę, w której wyrósł i wychował się, jak własną kieszeń, Pług zaś został zrzucony na spadochronie przed rokiem i dopiero w tym czasie po raz pierwszy zamieszkał w Warszawie.

Jeremi był uczuciowy, w czasie rozmowy podniecał się, gestykułował żywo. W myślach i działaniach był rzutki, energiczny, bystry. Pług przejął angielską flegmę i tak zdumiewające opanowanie w słowach i ruchach, że chłopcy - znając go od wielu miesięcy - wciąż patrzyli nań z podziwem.

Tylko w chwilach krytycznych, gdy ważyły się losy życia, obydwaj ci ludzie, zadając podświadomie gwałt swoim naturom, stawali się zaprzeczeniem jakby samych siebie: Jeremi nabierał wówczas czujnej rozwagi i ostrożności, Pług zaś stawał się uosobieniem bystrości i ostrej, natychmiastowej decyzji.

Gdy szli razem ulicą - Jeremi niski, nie dbający o ubiór, w nie oczyszczonych butach, od dawna nie strzyżony, zapalczywie dyskutujący w błyskach swych okularów, a obok niego spokojny,

małomówny, prosty jak świeca, starannie ubrany mężczyzna z laską w rękę, w spodniach zawsze dokładnie wyprasowanych, z właściwie dobranym krawatem - zdawało się, że idą obok siebie dwa zupełne przeciwieństwa.

A może dwa typy ludzkie wzajemnie się uzupełniające?

Raczej to drugie! Młody podziwiał starszego, starszy cenił młodego.

Wiedzieli, że jeden bez drugiego jest czymś niepełnym, że razem, we dwójkę, stanowią instrument niemal doskonały. Oczywiście w pracy organizacyjnej i jako autorytet wojskowy wytrawny Pług górował znacznie nad Jeremim, ale w ruchliwości, sprawności fizycznej i bystrej orientacji Jeremi był bezkonkurencyjny; a przy tym był naturalnym przywódcą kolegów-petowców.

Rozkazem Kedywu - kierownictwa Dywersji - skoncentrowani wyłącznie na walce z gestapo, szybko i sprawnie montowali aparat do tych delikatnych zadań. Mieli już zresztą z poprzedniego okresu trochę doświadczenia. Teraz włączył się do tych prac doskonały partner

- porucznik Rayski, mianowany oficerem wywiadu dywersyjnego kompanii wydzielonej.

Rayski swą karierę u Pługa zaczął od niełatwego „rozpracowania” Franza Burckla. Akcja ta stanowiła pierwsze poważne zadanie kompanii wydzielonej.

Odpowiedzialność zadania polegała nie tyle na tym, że chodziło o słynnego na całą Warszawę zastępcę komendanta Pawiaka, dowodzącego jedną z dwóch zmian załogi tego olbrzymiego więzienia, SS-oberscharfuhrera Burckla, znanego z sadystycznego znęcania się nad więźniami politycznymi. Duża odpowiedzialność akcji wiązała się z miejscem, na którym miała się rozegrać. Trzeba było rzecz wykonać w rejonie ulicy Litewskiej, tylko bowiem na tym terenie rozpoznano stałe ruchy Burckla. Rejon Litewskiej był miejscem wyjątkowo nieprzyjemnym, miejscem bezpośredniego sąsiedztwa z centralą gestapo na Szucha. Kręciło się tu mnóstwo Niemców umundurowanych i po cywilnemu. W pobliżu było kilka posterunków policji niemieckiej i wojska.

Dochodzi godzina dziewiąta pięćdziesiąt pięć rano. Jeremi, który osobiście dowodzi akcją, stoi na przystanku tramwajowym przy rogu Marszałkowskiej i Oleandrów. Patrzy w stronę ulicy Oleandrów, gdzie mieszka Burckl. Stąd należy się go spodziewać. W pobliżu Jeremiego

- młody człowiek z wywiadu. Kilkanaście kroków dalej oparł się o mur domu jakiś melancholijny skrzypek, trzymając pod pachą zamknięty futerał skrzypiec. W sąsiedniej bramie i na przeciwległym przystanku u wylotu Litewskiej - dwóch młodych, nie zwracających wzajem na siebie uwagi, ludzi.

W pewnej chwili wywiadowca Żar wskazuje Jeremiemu głową i wzrokiem: Ten tam, gruby, krępy, po cywilnemu, z kobietą i z psem.

Serce zaczyna walić w piersi Jeremiego, lecz naraz - zamiera. Do przeciwległego przystanku u wylotu Litewskiej; przy którym stoi Bronek Lot, zbliża się trzech żandarmów.

Równocześnie od placu Zbawiciela nadjeżdża na dwóch motocyklach lotny patrol schupo, a z placu Unii Lubelskiej wylania się tramwaj, którego przednia platforma jest cała zielona od mundurów

policii niemieckiej. Co za diabelna koncentracja przeszkód! I w tym momencie Burckl wchodzi w Marszałkowską...

Wir rozpaczliwych myśli! Szarpiąca bezwola wahania... Oddech zamarł i oczy zdają się wychodzić z orbit... Jeremi widzi zbliżającą się nalaną, obrzękłą twarz, ponure spojrzenie, kapelusz nasunięty na czoło, potężne pięści. Ale w tymże ułamku sekundy widzi wszystkich swoich na właściwych miejscach. Zapada decyzja: robić!

Jeremi opuszcza przystanek i idzie przez jezdnię przed Niemcem. Jest to umówiony znak na rozpoczęcie akcji. Teraz już nic nie może powstrzymać biegu wypadków.

Bronek Lot, który wspólnie z Jeremim ma wykonać wyrok Kierownictwa Walki Podziemnej, przechodzi na drugą stronę Litewskiej, jakby na spotkanie Jeremiego. Wymija trzech czekających na tramwaj żandarmów. Odbezpiecza pod płaszczem pistolet. Burckl coraz bliżej.

Seria krótkich, suchych strzałów!

Ulica zamiera w zaskoczeniu. Burckl słania się i pada. Przechodnie w popłochu biegną do bram. Nadjeżdżający tramwaj ostro, zgrzytliwie hamuje.

Żandarmi i patrol motocyklowy sięgają po broń.

Jeremi ze stnem w dłoni podbiega do Bronka:

- Ubezpieczam, rewiduj!

Bronek schyla się nad Burcklem w poszukiwaniu dokumentów. Jeremi, uprzedzając żandarmów, naciska spust. Strumień pocisków leci w kierunku przystanku. Jeden żandarm pada. Reszta biegnie za wóz tramwajowy. Z wozu wysypują się zieloni, dobywając w pośpiechu broń. Patrol motocyklowy rozpoczyna ogień od strony alei Piłsudskiego: sześciu schupowców wali chaotycznie, lecz gęsto, z sześciu luf.

Nagle - zupełne zaskoczenie Niemców: melancholijny skrzypek pod murem, na którego nikt nie zwraca uwagi, otwiera futerał, dobywa pistolet maszynowy i ze zdumiewającym spokojem, celnie, uważnie bije w motocyklistów. Tamci chronią się szybko za motory.

Niestety, teraz zaczynają nerwowy ogień zieloni, którzy schronili się za tramwaj.

- Już? - pyta Jeremi. Dostrzega w ręku Bronka papiery, nie czekając więc odpowiedzi, strzela jeszcze kilkakrotnie do SS-manów nadbiegających ulicą Litewską.

Gdzieś z bramy osłaniając bieg Jeremiego i Bronka strzały Kędziora trzymają w miejscu skrytych za tramwajem Niemców. Paru broczy krwią. Na jezdni przy Litewskiej leży we krwi dwóch żandarmów. Kędzior jest świetnie ustawiony, strzela uważnie.

Potężny wybuch - i gęsty kurz z dymem. To skrzypek Dietrich rzucił filipinkę, wydobyłą z tegoż niezwykłego futerału skrzypcowego, w zbitą gromadę zielonych za tramwajem.

Popłoch, jęki.

Młodzi ludzie biegną w kierunku alei Piłsudskiego, gdzie czeka samochód.

Motor jest już włączony. Kierowca Konrad podrywa maszynę, gdy ostatni bojowiec wskoczył

w drzwiczki wozu. Widzą jeszcze, jak z Litewskiej wybiega jakiś gestapowiec, repetujący pośpiesznie broń i pada ugodzony przez Jeremiego w brzuch. Muzyk, przyklękawszy w aucie, wodzi łufą pistoletu wszędzie tam, gdzie dostrzega niebezpieczeństwo.

Samochód zatacza krótki zakos. W pełnym biegu skręca w aleję Piłsudskiego, niemal ocierając się o patrol motocyklowy. Niemcy są jednak zbyt podenerwowani. Ich kule nie są celne, a pistolet Jeremiego, który wychylił się z roztrzaskanego okna auta i „pruje” w motocyklistów, załamuje ich do reszty i rzuca na chodnik. Gwałtowne wycie motoru cichnie i wóz znika za najbliższym rogiem.

Akcja trwała jedną minutę i trzydzieści sekund.

Z naszej strony - żadnych strat. U Niemców około ośmiu zabitych i rannych.

Po wojnie w opowiadaniach z czasów okupacyjnych, w filmach i powieściach nieraz zjawiać się będzie skrzypek, zaskakujący wroga swą przemianą w bojowca. Historycznym faktem jest, iż pomysł ten zrodził się i został urzeczywistniony w kompanii wydzielonej. Zresztą pomysł ze skrzypkiem jest tylko udanym fragmentem; znacznie bardziej interesujący jest fakt inny: w ciągu całej tej błyskawicznie rozgrywającej się akcji prawie nie było słyhać głosów bojowców. Rzekłbyś - walczyła grupa niemych, nie jedna przy tym grupa, lecz przedziwnie zharmonizowany zespół porozrzucanych z dala od siebie jednostek lub dwójek. Oczywiście to klasycznie precyzyjne i odważne wykonawstwo, jakby jasnowidząco przeczuwające spiętrzenie nieoczekiwanych trudności - było dalekie od improwizacji: „akcja Burckl” została dziesiątki razy przeciwiczona najpierw w pokoju przy stole, na wielkim planie tego rejonu miasta, a potem parokrotnie odegrana próbnie w „terenie”, z braniem pod uwagę różnych wariantów sytuacyjnych.

A co się tyczy sensu dokonanego wyroku, to przywracał on równowagę moralną w wielkim środowisku ludzkim, nad którym Burckl ciążył, i reflektował inne środowisko ludzkie, któremu Burckl służył. Franz Burckl bowiem był tym, który wśród wszystkich oprawców Pawiaka miał najwięcej zbrodni za sobą. Znali go wszyscy więźniowie, to znaczy - wiele tysięcy osób. Niepoczytalny okrutnik, wielokrotny morderca, potrafił pastwić się nad kobietami i starcami, a z nieopisaną wprost zaciętością - nad więźniami Żydami. Do jego rozrywek należało szczucie więźniów psem oraz „gimnastyka” stanowiąca pasmo śmiertelnych często udręczeń. Osobiście zastrzelił i powiesił dziesiątki więźniów. Kula, od której padł- pisało jedno z pism podziemnych - usunęła ze świata złowrogie bydlę, które nie zasłużyło na tak prędką, łagodną śmierć.

Akcja na Burckla była w życiu Jeremiego etapem ważnym także dlatego, że przeżył wówczas jedno z najpiękniejszych doświadczeń młodości: odkrył przyjaciela. Dotychczas tak się składało, że miał wielu serdecznych kolegów, ale nie miał przyjaciela. Prawdziwego, jedyne go przyjaciela.

Bronek Lot był rówieśnikiem Jeremiego. Tak jak Jeremi miał dwadzieścia lat. Do Petu żoliborskiego

wstąpił w drugim roku jego istnienia i wyglądem zewnętrznym nie wyróżniał

się wśród wielu podobnych młodych ludzi. Był szczupły, niewysoki, włosy ciemne i gładko zaczesane banalizowałyby głowę, gdyby nie silnie zarysowane brwi nad piwnymi oczami i ruchliwość śniadej twarzy. Czynił wrażenie człowieka nieco wybuchowego i upartego, skłonnego do dysput i polemik teoretyka-intelektualisty.

Poznawali się z Jeremim stopniowo, jakby etapami. W dyskusjach Broniek ujawniał wysoki poziom inteligencji i erudycji. Szczególnie gdy rzecz dotyczyła tematów, którymi się pasjonował: spraw narodowościowych i zagadnień współżycia narodów. W akcjach małego sabotażu okazało się, że niezręczność i roztargnienie Bronka, przypisywane mu przez kolegów, są legendą! W istocie był spokojnym i zrównoważonym, choć niekiedy zuchwałym realizatorem małych sabotażowych akcji ulicznych. Gdy został szefem niewielkiego zespołu -

przewidującym i troskliwym dowódcą. Te właśnie cechy sprawiły, że kiedy formowała się kompania wydzielona Grup Szturmowych i sam Jeremi objął w niej pierwszy pluton, mianował Bronka dowódcą jednej z drużyn w swoim plutonie. Był to zresztą pluton typowo inteligencki - jego jądro stanowiła młodzież żoliborskiego Petu, poszerzona o świetną grupę chłopców ze Starówki, którą i Jeremi, i Broniek bardzo cenili. Zgadzała się zresztą przeważnie w swych sądach. Ale dopiero podczas przygotowań do akcji na Burckla i podczas samej akcji obydwaj młodzi ludzie ujrzeli w całej pełni zdumiewającą harmonię w swych rozumowaniach i odczuciach, w pojmowaniu świata i ludzi. Nie była to oczywiście identyczność, ale właśnie różnice ich usposobień stały się jakby klamrą, spinającą ostatecznie przyjaźń, gdyż czyniły tę przyjaźń koniecznością. Jeremi spostrzegł, że Broniek Lot pogłębia jego spojrzenie na wydarzenia i na stosunki ludzkie, Broniek zaś ujrzał, że Jeremi dynamizuje jego dotychczasowe życie.

W ciągu dziewięćdziesięciu sekund akcji na Burckla, gdy każdy gest, każdy krok, każda myśl obydwu młodych ludzi operujących na jezdni i chodniku Marszałkowskiej decydowały o ich życiu i śmierci, o klęsce lub zwycięstwie, odczuli także rzecz dla ich przyjaźni bardzo ważną: mogli na sobie polegać całkowicie. Mogli być pewni sprawności swych działań i swej wierności wzajemnej.

Tego wieczora przespacerowali (we dwójkę) parę godzin nad Wisłą, na przemian milcząc lub rozmawiając żarliwie.

Kompania wydzielona - przyszły „Parasol” - składała się z trzech plutonów. Akcję na Burckla wykonał pluton pierwszy, którego dowódcą był Jeremi. Jedną z najpoważniejszych akcji następnych zlecono plutonowi trzeciemu, którego dowódcą był Luty.

Luty, Wacław Dunin-Karwicki, student medycyny na tajnych kompletach, wywodził się z szóstej warszawskiej drużyny harcerskiej, macierzystej drużyny dowódcy „Zośki” - Jerzego.

Weszło ich z tej drużyny do Grup Szturmowych sześciu; m.in. lekkoduch, fantasta Przygoda, poważny Dryl, ale przede wszystkim właśnie Luty, przyboczny przedwojennej Szóstki, trochę od kolegów starszy, ich moralny przywódca. Brał udział w akcji pod Celestynowem i wkrótce weszli do kompanii wydzielonej, stając się załącznikiem trzeciego plutonu.

Wprawdzie sam Luty i jego szkolni koledzy pochodzili ze środowiska inteligencko-mieszczkańskiego, ale w plutonie trzecim znalazła się w większości młodzież robotnicza i rzemieślnicza Powiśla, gdzie Luty prowadził podczas okupacji swój hufiec harcerski. Siedmiu jego chłopców jeździło do pracy w niemieckiej fabryce kabli w Ożarowie, reszta pracowała w Warszawie.

Przewaga młodzieży robotniczej w plutonie różniła go od inteligenckiego w swej masie plutonu Jeremiego. Chłopcy Lutego słynęli z radości życiowej, co niejednokrotnie było przedmiotem dumy ich dowódcy, ale niekiedy także jego troską, szczególnie gdy w grę wchodziły samowolne akcje zdobywania broni na przechodzących Powiślem „szkopach”. W

ustach chłopców nazywało się to „chodzeniem po prośbie”, Czy można się w tych warunkach dziwić, że Luty prosił Pługa o szybkie zlecenie jego plutonowi jakiejś poważniejszej roboty?

Luty stanowił ośrodek życia i aktywności plutonu nie tylko dzięki swej inteligencji, zaradności, powadze i doświadczeniu życiowemu. Jego żona, która objęła szefostwo łączności w plutonie, podobnie jak jej mąż, chętnie widziała w swoim mieszkaniu każdego z chłopców. Wnet też niewielkie pokoiki tego studenckiego małżeństwa stały się główną bazą życia plutonu. Czuli się tu zawsze jak u siebie. Wiedzieli, gdzie leżą klucze, kiedy gospodarzy nie ma w domu, i bez żenady wyjadali wszystkie zapasy, gdy byli głodni.

Pierwszy poważny egzamin bojowej samodzielności plutonu został wreszcie wyznaczony.

Miała to być akcja na słynnego konfidenta gestapo – Alfreda Milke, prowadzona wspólnie z grupą „Osjana” z „Brody”. Powaga i odpowiedzialność akcji polegała przede wszystkim na miejscu, w którym miał być wykonany wyrok: miejsce to było jeszcze trudniejsze niż teren akcji na Burckla. Zamach należało wykonać na dziedzińcu podwórza przy alei Szucha osiem, a więc w bardzo bliskim sąsiedztwie gestapo, którego ośrodek znajdował się w gmachu Sicherheitspolizei przy alei Szucha 23, w dzisiejszym budynku Ministerstwa Oświaty.

Równocześnie z likwidacją Milkego należało wykonać wyrok na innej parze konfidentów - na dozorcę i dozorczyńnię domu, w którym mieszkał Milke. To drugie zadanie przyjęto w plutonie bez entuzjazmu, ale rozkaz był rozkazem.

Akcję przeprowadzono 5 października 1943 roku, a więc w niecały miesiąc po Burcklu.

Dowodził Przygoda; Luty w tym czasie chorował.

Właściwa grupa wykonawców składała się z trzech ludzi: Przygoda, Olek i Narwik. Weszli szybko do mieszkania dozorcę i Narwik zażądał w języku niemieckim, aby dano mu do sprawdzenia książkę meldunkową. Powiedział, że są z gestapo i chcą sprawdzić spis lokatorów. Gdy Narwik przegląda książkę meldunkową, Przygoda przez okno wygląda na podwórze, gdzie lada chwila pojawić się powinien Milke; Olek nie może oderwać wzroku od dwojga małych dzieci bawiących się w kącie pokoju. Blednie i odczuwa takie osłabienie, że musi oprzeć się plecami o ścianę. Wyjmuje chusteczkę i wyciera zroszone potem czoło.

Mijają minuty. Narwik już kilka razy przejrzał książkę meldunkową, a Milkego wciąż nie widać.



Dozorca coraz uważniej przygląda się młodym ludziom. Olek wyjmując pistolet maszynowy i rozkazuje dozorcóm, aby położyli się na podłodze. Mija jeszcze kilka minut, Milke nie nadchodzi.

Wtem - strzały na ulicy! Pojedyncze, a potem seria z broni maszynowej.

„Pilnuj dozorców!” - krzyczy Przygoda do Narwika, a sam z Olkiem wybiega do bramy.

Widzą, jak pierwszy z ich dwóch samochodów, prowadzony przez Niemirę, mija bramę i staje przed sąsiednim domem. W samochodzie prócz Niemiry - Bąk i Ssak, ostrzeliwiają się w kierunku wylotu Litewskiej.

Tam właśnie przy rogu Litewskiej i Szucha siedzieli przed kilkoma minutami wszyscy trzej w aucie, którego silnik pracował na wolnych obrotach. Ubezpieczali wykonawców wyroku i czekali na ich strzały, oznaczające początek akcji - wtedy dopiero mieli podjechać pod Szucha osiem. Przygoda i jego towarzysze dość długo już przebywali w stróżówce dozorców, lada chwila więc powinno się zacząć... Nagle podchodzi do samochodu oficer SS i wyciąga z kabury pistolet. „Dlaczego tu stoicie?” - pyta po niemiecku. Kierowca Niemira coś odburkuje niewyraźnie i kiwa głową na swoich pasażerów. Gdy Niemiec zwraca się z tym samym pytaniem do Ssaka i Bąka, ci nie wytrzymują napięcia nerwowego, szarpiają drzwiczki i usiłują wyskoczyć z samochodu. Niemira strzela do oficera, zabijając go na miejscu, i rusza wozem w stronę placu Unii Lubelskiej. Niemcy, których sporo w tym czasie podąża do biur gestapo, zaczynają strzelać do odjeżdżającego samochodu. Bąk i Ssak ostrzeliwiają się. Niemira opanował gwałtowną chęć ucieczki i zatrzymuje wóz tuż za domem, w którym znajdują się wykonawcy zamachu, aby ich zabrać. Ssak i Bąk chronią się do sąsiedniej bramy i usiłują ubezpieczyć ogniem samochód; zastrzelony zostaje tam podoficer Wehrmachtu.

Na szczęście Przygoda i Olek już wybiegli ze stróżówki. Sekunda wystarczyła, aby Przygoda zorientował się w sytuacji.

- Olek do Narwika! Niech wali w dozorców i do nas!

Olek znów znika w bramie, a po kilku chwilach jest już z Narwikiem na ulicy i teraz cała grupa ostrzeliwując się biegnie do samochodu. Przygoda rzuca granat dymny i pod jego osłoną dopadają wozu.

Ruszyli! Cała ulica grzmi strzałami. Jedna z serii niemieckiego erkaemu trafia w tablicę rozdzielczą samochodu. Są ranni - najciężej Ssak, który wymiotuje krwią. Olek dostał

postrzał w nogę. Nowe pociski przebijają karoserię. Po kilku chwilach Ssak nie żyje.

Plac Unii Lubelskiej. Od strony Bagateli i Marszałkowskiej ogień uzbrojonych Niemców.

Załoga wozu stłoczona w środku nie odpowiada na strzały. Kula przebija tylną oponę - wóz zarzuca na skwerek koło pomnika.

Niemira wyrównuje bieg. Drugą tylną oponę przebija kula, gdy mijają budynek straży ogniowej - wóz zarzuca na świeżo posadzone drzewko; spod maski wydobywa się ogień, za wozem ciągnie się wyrwane drzewko. Samochód jedzie teraz z szybkością piętnastu kilometrów. Z tyłu ukazuje się duże,

otwarte auto niemieckie pełne żandarmów. Bąk ciska przez okno dwie filipinki.

Granaty nie wybuchły, ale goniący Niemcy wstrzymali na kilka chwil pościg.

Nasi wjeżdżają w ulicę Emilii Plater.

- Z wozu, chłopcy, z wozu - denerwuje się rozgorączkowany Narwik i usiłuje otworzyć drzwiczki.

- Spokojnie, spokojnie - cedzi przez zęby Niemira i nie zwalnia biegu.

Nareszcie Wspólna! Tu mają czekać dwie łączniczki... Niemira hamuje w umówionym miejscu... Są! Przygoda i Niemira oddają broń oraz fałszywe dokumenty Jadwidze i w nogi.

Zdenerwowany Narwik nie dostrzegł łączniczek, kryje się więc na klatce schodowej przeciwległego domu. Bąk biegnie w stronę Marszałkowskiej. W samochodzie jeszcze chwilę pozostaje ranny w udo Olek. Ten - obok Niemiry - jest najbardziej opanowany. Wyjmuje z kieszeni nieżyjącego Ssaka dokumenty, broń i dopiero teraz usiłuje wyjść z samochodu. Na szczęście podbiega druga łączniczka - Lutowa i chwyciwszy Olka pod ramię prowadzi go w głąb ulicy; w dali, zza rogu, wyłania się ścigający wóz gestapo. Ale uciekający zmieszali się już z potokiem przechodniów.

Ulica rozbrzmiewa teraz gwizdkami. Przechodnie chronią się do bram.

Lutowa narzuca pelerynę na podanego jej stena i widząc skrwawione nogawice spodni Olka oraz krew na jego marynarce, wyciąga do chłopca rękę z kluczami.

- Nasze mieszkanie blisko. Nowogrodzka 26. Schroń się tam!

Olek zniknął. Sten w rękach Lutowej nie chce się złożyć. Młoda kobieta szarpie żelazo raz, drugi, trzeci - sten nie poddaje się.

Granatowy policjant naprzeciwno. Patrzy na nią uważnie... Zatrzymuje, ujmuje pod rękę i siłą wciąga do bramy.

- Oj, baby, baby - mamrocze sapiąc. - Przeczekaj, pani, tu w bramie i dobrze owiń swój bagaż.

Dopiero teraz zdenerwowana Lutowa widzi, że spod peleryny wystaje stopka stena. I stopka, i peleryna są we krwi. Zamknęła na chwilę oczy. Potem niezgrabnie przewinęła broń. Policjant zniknął. Gdy wyszła na ulicę, panował tu już zwykły pośpieszny i zagęszczony ruch Śródmieścia.

Następnego dnia przygaszony Niemira spotkał Przygodę.

- Cholerne pudło! - mówi. - Milke zdrów i cały, Ssak nie żyje. Cała akcja do bani!

- Człowieku, człowieku! - woła podniecony Przygoda. - Wracam od Pługa.

Wiesz, kogoś rozwalił wczoraj przy aucie? Lechnera! Hauptsturmführera SS Lechnera, kierownika referatu gestapo do walki z ruchem oporu na okręg warszawski! Pług mówi, że gestapowcy w alei

Szucha są przekonani, że to był zamach na Lechnera. Udany i skuteczny zamach, rozumiesz?

Akcja na Burckla odbyła się 7 września, Lechnera zastrzelono 5 października. 24 września przeprowadził swoją pierwszą akcję drugi pluton przyszłego „Parasola”, zamach na zastępcę komendanta obozu karnego na terenie getta warszawskiego przy ul. Gęsiej, gestapowca hauptseharfuhrera SS, Augusta Kretschmanna. W tydzień po Kretschmannie miał tenże drugi pluton wykonać akcję na Ernesta Weffelsa, kierownika oddziału kobiecego na Pawiaku.

Pawiak w owym czasie skupiał od 2300 do 3000 więźniów, przeważnie politycznych; okrucieństwo jego kierownictwa było powszechnie znane.

Drugi pluton przybrał z młodzieńczą fantazją zaproponowaną przez kogoś nazwę „Bravi”; ukształtował się wokół jednej z drużyn hufca Rudego - „Sąd 100”. Jego dowódcą został bliski towarzysz Rudego - Mirski. Mimo jednak tak bliskich szaroszeregowych powiązań, gdy rozrosły się sekcje, „Bravi” zatracili czysto harcerski charakter. Obowiązywały tu wprawdzie niepisany zwyczajem ogólne zasady szaroszeregowego sposobu bycia, ale nie wszyscy stosowali się do prawa harcerskiego.

Charakterystycznymi postaciami tego plutonu byli: bliski kolega Mirskiego - krzywonosy Góral i nie mniej od niego wyróżniający się przyszły zastępca dowódcy - potężnej budowy bojowy Kopeć z Powiśla. Znaczną część plutonu stanowiła młodzież pochodzenia robotniczego, młodzież o niezwyklej bojowości. Ale szczególnie wartościowy zespół

tworzyła w plutonie sekcja jego łączniczek, wywodząca się z 58 drużyny harcerek, z drużynową Jenny na czele oraz z dziewczętami, które z czasem stały się podstawą wywiadu parasolowego: Kamą i Dewajtis.

Akcję na Kretschmanna przeprowadził patrol dowodzony przez Kopcia i była to robota bezbłędna. Kopeć, Cyklon i Rawicz „szli” jak w zegarku. Akcja na Weffelsa natomiast miała przebieg dramatyczny, zaskakujący niespodziankami, przedłużającym się zamach o jedną minutę. Orkan okazał się niezrównany - to jego upór i wola walki oraz zimna krew zapewniły wynik pozytywny.

Nie będę przedstawiał szczegółów tych akcji ani dziesiątków akcji następnych, wykonywanych przez trzy plutony przyszłego „Parasola”. Opowieść nasza nie jest przecież kroniką działań dywersyjnych „Parasola”, te zaś przykłady, które tu podano, powinny wystarczyć, aby zorientować się, jak groźnym aparatem przeciw okupantowi stała się kompania wydzielona Grup Szturmowych. Aparatem bardzo sprawnym, działającym systematycznie i precyzyjnie. Aparatem rozbudowanym, dysponującym własnym wywiadem, własnym parkiem samochodowym, własnym sanitariatem.

Pług nazywali chłopcy niekiedy „dyrektorem” (choć właściwie ten pseudonim należał do szefa Kedywu - Nila). Było to określenie podwójnie trafne: zarówno ze względu na duży mechanizm konspiracyjny organizmu, którym Pług kierował, jak i ze względu na sposób bycia tego oficera, w życiu przedwojennym inżyniera agronoma, który pogardzał drylem wojskowym i cnoty żołnierskie ujmował po cywilnemu. Fascynował chłopców swym opanowaniem, rozsądkiem, twardością i ciemnymi, krzaczastymi brwiami.

„Wzbudzał w nas lęk i szacunek”.

W koleżeństwie wojennym wytrawnego, doświadczonego życiowo Pługa, specjalisty wywiadu - Rayskiego, dynamicznego i inteligentnego przywódcy Jeremiego oraz braterskiego zespołu ludzi takich jak: Broniek Lot, Mirski, Luty, Orkan, Maryla, Kopeć, Robert i wielu, wielu innych kształtował się jeden z dobrych oddziałów Armii Krajowej, bliźniaczy brat batalionu „Zośka”. Oddział, który odegrał decydującą rolę w akcjach dywersyjnych na terenie stolicy.

#### **IV. NAJCIEŹSZY CZAS OKUPACJI**

Jesień 1943 roku była dla Hitlera złym okresem. Jeszcze w środkowej Europie potęga Rzeszy hitlerowskiej mogła wydawać się niezachwiana, ale groźne zwiastuny nadciągającej klęski już kołatały do niemieckich okien z codziennych komunikatów wojennych ze wschodu i południa. Rosjanie w krwawych walkach zbliżyli się ku Dnieprowi i przeforsowali kilka przyczółków mostowych na jego zachodnim brzegu; Anglosasi wykończyli Niemców w Afryce; Włochy - główny niemiecki sprzymierzeniec europejski - kapitulowały i desantowe dywizje alianckie ustaliły nowy front w środkowych Włoszech. Wydawało się, że lada miesiąc potężne armie amerykańskie i angielskie zaczną lądować w którymś z kluczowych punktów Europy, a wojska radzieckie złapawszy oddech ruszą za Dniepr. Nocami na wielkie przemysłowe miasta niemieckie spadały w ogniu pożarów tysiące ton bomb.

Aby wzmóc i pogłębić wśród Niemców stacjonujących w Polsce poczucie zbliżającej się klęski, jedna z komórek sztabowych Armii Krajowej podjęła niezbyt szczęśliwe postanowienie, aby w początkach września rzucić na mury całego kraju słowo „Oktober”.

Równocześnie rozsiewane ulotki w języku niemieckim miały wytworzyć wśród Niemców przeświadczenie, że październik - Oktober - będzie dla nich miesiącem jakiejś wielkiej klęski.

Może ogromne, niebывałe naloty? Może powstania na obszarze ciemionych krajów?

W stolicy i w miejscowościach podwarszawskich akcję „Oktober” realizowała przede wszystkim organizacja małego sabotażu „Wawer”, na innych terenach Polski działały specjalnie w tym celu wyznaczone grupy. Akcja prowadzona była z rozmachem i wytrwałością. Tysiące ogromnych i małych napisów pojawiało się niemal co dnia na murach, parkanach, chodnikach, jezdniach.

„Wawerczycy” i ich koledzy z komórek „N” dwoili się i troili.

Spółeczność niemiecka w Polsce - cywilna i wojskowa - przejęła się nadspodziewanie mocno tajemniczym, działającym na wyobraźnię hasłem. W niepokoju oczekiwano jakichś powszechnych nieszczęść.

Władze okupacyjne uznały za konieczne przeciwstawienie się destrukcyjnej sugestii.

Najpierw uruchomiono kontrpropagandę i pewnego dnia obok naszych napisów „Oktober” pokazały się napisy robione masowo przez Niemców: Oktober - vier Jahre Generalgouvernement- październik, czterolecie rządów niemieckich w Generalnej Guberni!

A następnie przyspieszono przygotowywane od dawna represje masowe. Polska - obok Jugosławii - była najbardziej niespokojnym krajem w okupowanej Europie, toteż rząd hitlerowski postanowił i w Jugosławii, i w Polsce zdusić środkami specjalnymi ruch niepodległościowy, złamać wolę walki tych narodów, zniszczyć źródła ich sił moralnych, unicestwić opór. Gestapo i Wehrmacht w tych sprawach solidaryzowały się w pełni: na Bałkanach liczone się z desantem Anglosasów, na wschodzie front radziecki mógł lada miesiąc ruszyć znad Dniepru w kierunku Bugu. Należało spacyfikować Jugosławię i Polskę.

Bez tego zaplecze niemieckich frontów staje się dla Wehrmachtu jakby olbrzymim, wrogim polem minowym. W Polsce wróg postanowił zastosować akcję prawdziwie szatańską: niebywałym, nie spotykanym dotychczas terrorem masowym wytworzyć taki nastrój przerażenia, który by podciął ogólnonarodową wolę walki. 16 października rozpoczęły się w Warszawie rozstrzeliwania uliczne.

Takiej grozy od dawna Warszawa już nie przeżywała. Co dzień lub co drugi-trzeci dzień, a niekiedy po kilka razy dziennie zajeżdżały w te punkty miasta, gdzie zdarzały się jakiegokolwiek akty przeciwnieckie, samochody policyjne z setką lub dwiema hitlerowskich policjantów i żandarmów. Szybko oczyszczano z ludności część ulicy przeznaczoną na miejsce egzekucji. Wypędzano z wozów więziennych dwudziestu, trzydziestu, niekiedy nawet siedemdziesięciu i stu więźniów lub przypadkowo zagarniętych w łapankach ludzi; wszyscy mieli zakneblowane gipsem i opaską usta oraz związane z tyłu ręce. Ustawiano ich na ulicy pod murem którejś z kamienic i zabijano strzałami broni maszynowej. Po chwili inna grupa przywiezionych więźniów wrzucała ciała pomordowanych do ciężarówek i cała kawalkada zielonych katów zniknęła. Na bruku pozostawały kałuże krwi. Na murze - ślady kul, rozpryski krwi, drobne strzępy mózgu i włókien mięśni. Wokół - nastrój grozy i bezsily, rozpacz i pragnienia zemsty.

Kierownictwo Walki Podziemnej odwołało w tym czasie wszystkie drobne akty sabotażowe i dywersyjne, aby nie prowadzić z wrogiem potwornej licytacji.

Niestety, hitlerowcy zasmakowawszy w tej jaskrawej i bezwzględnej formie terroru, widząc jego doraźne skutki, nie tylko nie przzerwali masowych rozstrzeliwań niewinnych ludzi, ale nawet je wzmoгли. W całym kraju, jak długa i szeroka była tak zwana Generalna Gubernia, odbywały się liczne egzekucje. Rozwieszano wielkie, czerwone plakaty, podające nazwiska zastrzelonych i rzekomy powód egzekucji. Wszystkie warszawskie plakaty sygnowane były przez anonimowego „Dowódcę SS i policji”. Wiedziano, że jest nim nowa „gwiazda” gestapo

- generał Kutschera - członek hitlerowskiej elity, delegowany specjalnie do Warszawy dla zdecydowanego wykarczowania polskiego ruchu oporu.

Kutschera z chłodną systematycznością przeprowadzał opracowany plan terroru.

Rozstrzeliwania uliczne rozkładał na wszystkie dzielnice Warszawy, przestrzegając, aby następowały mniej więcej co drugi dzień. Rozstrzeliwano przeważnie grupy dwudziestoosobowe, aby zwiększyć liczbę faktów i punktów grozy. Zabijano głównie mężczyzn. Ale w każdej grupie były też kobiety, zdarzali się starcy i dzieci (na przykład jedenastoletni chłopiec wśród rozstrzelanych pod Dworcem Gdańskim).

Mordowano ludzi wszystkich klas i warstw społecznych, wszelkich zawodów, publikując starannie ich imiona i nazwiska oraz adresy, aby terror dotarł wszędzie. Równocześnie przeprowadzano systematyczne, zakrojone na ogromną skalę łapanie uliczne i po domach, sugerując, że każdy spośród tysięcy zatrzymanych może nazajutrz pójść pod mur.

Cały polityczny sens tej potworności zawarty był w krótkiej formule, drukowanej na każdym czerwonym plakacie z nazwiskami rozstrzelanych:

Rozstrzelanie niniejsze jest odwetem za akcję polskiego ruchu podziemnego (dla pogłębienia zamętu przeważnie akcje te przypisywano komunistom). Sami jesteście winni - przekonywały afisze, gazety, głościki - a raczej winni są wasi tajni przywódcy i komuniści. Po co nas prowokujecie? Zaprzestańcie sabotaży, dywersji, partyzantki, propagandy - a my zostawimy was w spokoju.

Rzecz była jasna: w atmosferze straszliwej presji moralnej wróg wbijał klin między ruch podziemny a najszerze masy społeczeństwa polskiego.

Nie uwierzono hitlerowcom. Nie zapomniano, że jeden z najpierwszych masowych mordów -

rozstrzelanie w Palmirach w czerwcu 1940 roku 220 działaczy politycznych, społecznych, kulturalnych, gospodarczych - został dokonany bez żadnej prowokacji ze strony polskiej, że mordowanie milionów Żydów polskich przeprowadzono bez prowokacji ze strony żydowskiej. Nie uwierzono i zrozumiano właściwy sens tej najstraszliwszej fali terroru.

Reakcja ludu warszawskiego była jednomyślna: miejsca dokonanych zbrodni stały się miejscami świętymi. Wśród świeżych plam krwi pojawiały się natychmiast płonące świece, krzyże i kwiaty. Mężczyźni przechodząc zdejmowali czapki, niektóre kobiety klękały. Co dzień nowe świece, co dzień nowe kwiaty i niekiedy widok ludzi modlących się na klęczkach...

Chociaż groza egzekucji ulicznych objęła cały kraj, w Warszawie była wprost niesamowita.

Punkty egzekucyjne narastały w szybkim tempie.

Dwadzieścia, trzydzieści, trzydzieści pięć, czterdzieści... Liczba rozstrzelanych według ogłoszeń na czerwonych afiszach sięgała tysiąca i przekroczyła go. A wiadomości zebrane przez komórkę Kierownictwa Walki Podziemnej pracującą na Pawiaku podawały, że niezależnie od rozstrzeliwań „oficjalnych”, ulicznych, odbywa się równocześnie nie ujawnione, masowe likwidowanie więźniów w ruinach getta. Jednego razu hekatomba tych bezimiennych ofiar w ruinach objęła liczbę sześciuset mężczyzn i kobiet.

To o owych tygodniach zgrozy Krzysztof Baczyński - żołnierz „Zośki” i najwybitniejszy poeta okupacji - pisał:

Stań się krzywdą i zemstą, miłością i ludem,

O, chwyć za miecz historii i uderz, i uderz!

Nie można było w tych warunkach trwać w przyczajeniu lub ograniczać się do dotychczasowych

aktów dywersji. Trzeba było chwycić się kontrterroru, aby otrzeźwić hitlerowców.

Kierownictwo Walki Podziemnej zdecydowało uderzyć wroga w miejsce specjalnie czułe: w niemieckie pociągi pośpieszne, przebiegające po polskich liniach kolejowych, pociągi niedostępne dla podróżnych polskich, obsługujące głównie niemiecki świat urzędniczy i wojskowy.

„Zośka” brał także udział w tych okrutnych, lecz niezbędnych akcjach.

Wykonał pięć zamachów - tylko jeden z nich nie był skuteczny.

23 października wysadzono pociąg niemiecki koło stacji Pogorzelska (w kierunku Dęblińska).

Pierwsza ta akcja odwetowa na pociąg była zresztą wykonana tylko dzięki zaciętości i uporowi dowodzącego plutonem Kuby, który zawzięty się, aby rzecz doprowadzić do końca.

Stało się bowiem tak, że lokomotywa wojskowego pociągu urlopowego... zepsuła się o trzy kilometry przed miejscem zamachu! Pociąg miał przejechać obok naszykowanej pułapki minowej o godzinie 23.40 - tymczasem mija pierwsza, mija druga godzina, a pociągu nie ma!

Posłani na wybadanie sytuacji Słoń i Anoda przynoszą hiobową wieść: pociąg pełen żołnierzy stoi w polu, lokomotywa z wygaszonym kotłem, dopiero rankiem naczelnik stacji w pobliskim Celestynowie oczekuje z Dęblińska nowej lokomotywy.

Zawsze wesoły Kuba tym razem był zrozpaczony. Bez końca poprawia okulary i wreszcie podejmuje desperacką decyzję: pod lufą pistoletu zmusza dróżnika kolejowego do natychmiastowego wezwania zapasowej lokomotywy z Otwocka.

„Pan komendant pociągu żołnierskiego krzyczą, żeby zaraz szedł parowóz” - powtarza kilkakrotnie dróżnik podyktowane mu przez Kubę zdanie.

I rzeczywiście - Otwock wykonał „zarządzenie”! Kuba usunął miny, aby przepuścić lokomotywę, po czym szybko założył je znowu. Niestety, lokomotywa otwocka była jakaś słabawa, ciągnęła długi skład wagonów zaledwie z szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Toteż skutki wybuchu nie były takie, jakich się spodziewano. Niemniej jednak dwie lokomotywy leżały na nasypie, dwa wagony - i to oficerskie - zostały zniszczone, dwa inne wykolejone.

Akcja pod Szymanowem (22 listopada) przyniosła okupantowi duże straty.

Wykolejony pociąg pośpieszny Berlin - Warszawa miał około stu zabitych i ciężko rannych.

Mimowolnym świadkiem i na pół uczestnikiem tej akcji stał się profesor Marceł Handelsman, który w tym czasie ukrywał się w Milanówku w domu dowódcy „Zośki” -

porucznika Jerzego. Tutaj chłopcy schronili się na noc po zamachu.

Najstraszniejszy w skutkach stał się dla wroga zamach na linii Tłuszcz - Urle. Wykonywał go

„Alek”. Dowodził Kołczan. Andrzej Morro został niedawno mianowany dowódcą kompanii

„Rudy”, nie mógł jednak wyruszyć teraz z „Alkiem”, aby osobiście czuwać nad odpowiedzialną robotą.

Wszystkie prace przygotowawcze szły wzorowo: bez pośpiechu rozstawiono w odpowiednich miejscach ludzi z granatami i bronią palną. Minierzy bezbłędnie założyli dwie miny w odstępach kilkumetrowych. I gdy pociąg pośpieszny, przepełniony SS-manami i żołnierzami Wehrmachtu, w pełnym pędzie wybiegł szerokim łukiem spoza zakrętu, od strony Białegostoku - minierzy, wyczekawszy odpowiedni czas, odpalili miny.

Pod kołami pędzącej olbrzymiej lokomotywy, ciągnącej za sobą długi rząd ciemnych pulmanów, wytrysła fontanna ognia. Rozlega się huk, łomot, potworne zgrzyty. Pociąg pędzi jeszcze chwilę, potem lokomotywa i wagony walą się z toru, rwą podkłady i szyny, krzesząc smugi iskier z kamieni nasypu.

- Granaty naprzód!

Podbiegli. Rzucają - i padają, by ochronić się przed wybuchami. Kilku dobiega do samych wagonów, wrzucają granaty w okna. Eksplozje łączą się z jękami rannych. Gdzieniedzie ukazują się języki płomieni.

- Ognia! - krzyczy Kołczan. Podniósł się, wyprostował i tak stoi bez ruchu. W migotliwych blaskach rozniecającego się pożaru widać jego przysadzistą postać na krótkich nogach, błyszczące podnieceniem oczy wśród smagłej, czarniawej twarzy i rozpięty szeroko mimo zimna kołnierz kurtki.

Wzniósł ku górze ręce z zaciśniętymi pięściami i krzyczy przenikliwie, nienaturalnie wysokim głosem: - Odwet! Odwet!

Przez długie minuty nie milknie trzask ręcznych karabinów maszynowych, stenów i pistoletów. A wśród ostrych trzasków broni maszynowej, wśród syku pary wyrrywającej się z kotła przewróconej lokomotywy nieustannie - raz słabsze, raz silniejsze - głosy: - Hilfe. Hilfe.

Gdy „Alek” był już poza terenem akcji, ocaleni z przewróconego pociągu Niemcy rozpoczynają zbyteczny ogień.

Oddział wraca w milczeniu. Pluton „Alek” jest zadowolony - strat własnych nie było i ostre, piekące pragnienie odwetu za potworności miast polskich zostało zaspokojone. Ale jakże nieznośnie dysharmonijna jest dusza ludzka: jeszcze przed godziną, gdy zakładano miny, każdy czuł, że mógłby z najzimniejszą krwią własnymi rękoma mordować wroga za wszystkie te szatańskie okrucieństwa czynione ludziom. A teraz, gdy wracają, tamte nastroje gdzieś przeminęły i w uszach nieznośnie, dokuczliwie brzmią jęki i te głosy: - Hilfe! Coraz to któryś próbuje z udanym cynizmem pokpiwać z kolegów i z siebie; jednym się udaje lepiej, innym - słabiej. A może to wina Alka? On zawsze dręczył i siebie, i innych skrupułami na temat zabijania wroga z ukrycia, od tyłu, bezbronnego. Do diabła! Czyż nie wszystko jedno, jak się wali we wroga: z ukrycia czy na wprost? Czyż „Alek” ma wlec za sobą te udreki Alka?



Wlecze! Nie wszyscy, nie w równym stopniu, ale na przykład młodszy brat Andrzeja Morro -

Bonawentura, wlecze to bardzo uciążliwie.

Tej nocy śniło mu się, że wraz z bratem został złapany przez żandarmów niemieckich w jakiejś przygodnej obławie. Znaleziono przy nich naboje pistoletowe, skuto w kajdanki obydwu razem i prowadzono na posterunek. Nie ulegało wątpliwości - to był już koniec. W

tym czasie nasilenia hitlerowskiego terroru i masowego rozstrzeliwania więźniów Pawiaka na ulicach - ich los był przypieczętowany. - Uciekajmy, próbujmy - szepce kątem ust Andrzej.

Krótki, porozumiewawczy błysk oczu - i zrywają się do biegu. Biegną w najwyższym napięciu mięśni, ale biegną niezręcznie, są skuci - muszą biec tuż obok siebie. Bach - kula świsnęła obok głowy Bonawentury. Bach, bach - dwie inne uderzyły w drzewo tuż przed nimi. Gwizd - Andrzej koziołkuje i pada, pociągając za sobą brata. Ranny w nogę próbuje Andrzej unieść się - i w tej sekundzie dostaje kulą w pierś, tuż pod obojczykiem. Z

zaciśniętych ust rannego wydobywa się przeciągły, cichy krzyk: „ratunku”. Szamocze się przez chwilę, potem zaprzestaje ruchów, nabiera w płuca powietrza i woła, ile sił: „ratuuuunku!!!”.

I nagle Bonawenturze wydaje się, że leży na ziemi nie ze skutym, śmiertelnie rannym bratem, lecz sam ze stenem w garści, a przed nim z jakichś połamanych wozów tramwajowych czy pociągowych dochodzi nieludzki krzyk: Hililfe!

Bonawentura budzi się z głośnym jękiem. Siada wystraszony na łóżku; jest cały spocony.

Andrzej, śpiący pod drugą ścianą, budzi się również i mruczy zły do brata - śpijże, typie, i nie jęcz po nocy.

Długie minuty ciszy. Ścienny zegar sennie porusza wahadłem.

- Andrzej...

- No?

- Straszna jest wojna...

Wahadło zegara monotonicznie odmierza swe ruchy. Andrzej otrząsa ze siebie sen, obraca się w kierunku młodszego brata i stara się dostrzec jego twarz.

Jasiek leży na wznak, ręce założył pod głowę i mówi bardziej do siebie niż do Andrzeja:

- Już czasem zupełnie nie wiem, co myśleć. Przecież ludzkość nie robi żadnego postępu moralnego. W technice - takie osiągnięcia... a w moralności - czy lepiej jest dziś, niż było za czasów Sokratesa, Chrystusa?

Andrzej siada na łóżku. Stary temat. Ileż o tym przegadało się z Czarnym Jasiem, z Długim, z

Jeremim. Ale mimo tych nie kończących się dyskusji pozostaje na dnie duszy wciąż jakaś niepewność. Usiłuje znów dojrzeć rysy twarzy brata. Odzywa się z namysłem:

- Postęp moralny istnieje, jest wielki, mimo że hitlerowcy cofnęli go znów o tysiąc lat wstecz.

Ale hitlerowcy przeminą. Nawet i dziś nie są wszędzie. Pomyśl na przykład o Warszawie, o tym, jak ludzie reagują na te mordy uliczne. Postęp moralny świata został tylko przytłumiony przejściowo.

- Myślisz, że to już po raz ostatni odbywa się zbiorowe morderstwo dziesiątków milionów ludzi?

- Nie wiem, jak będzie, ale chcę zrobić wszystko, co możliwe, aby to było po raz ostatni.

Znów tylko monotony ruch wahadła zegarowego.

- I myślę, że wielu z nas, że Rudy, że Zośka, że ty, że może my wszyscy po to żyjemy i po to...

- Przestań, nie lubię takiego gadania.

Milkną. Rozmowa się już nie klei. Zawijają się w koce i usiłują zasnąć.

## **V. ZAMACH NA KUTSCHERE**

Gdy dwie kompanie „Zośki” operowały w ramach akcji, która miała zreflektować okupanta kontrterrorem wysadzanych pociągów, w tym samym czasie kompania wydzielona otrzymała polecenie uderzenia w ośrodek woli i symbol hitlerowskiej zbrodniczości, hitlerowskich okrucieństw i mordów w Polsce:

Kutschera!

Był to młody generał SS. Do Warszawy przybył wczesną jesienią 1943 roku jako kierownik bezpieczeństwa „dystryktu” warszawskiego. Poprzednio z polecenia Himmlera niszczył ruch oporu w Czechosłowacji, Danii i Holandii.

Wśród hitlerowskiej elity uchodził za specjalistę w operowaniu bezwzględny, masowym terrorem. To on rozplanował i urzeczywistniał potworności masowych rozstrzeliwań niewinnych ludzi na ulicach Warszawy, aby zastraszyć społeczeństwo, wyizolować polski ruch niepodległościowy i stworzyć wokół niego pustkę społeczną. To jego nazwisko kryło się za anonimem: „Dowódca SS i policji” każdej czerwonej płachty afiszów śmierci.

Miał za kilka miesięcy poślubić córkę Himmlera, ministra SS i policji hitlerowskiej Rzeszy, bezprzykładnym więc, demonstracyjnym okrucieństwem chciał widać umocnić swoją pozycję w hitlerowskiej grupie rządzącej.

Nazwisko jego miało się zespolić z sukcesem uspokojenia najbardziej niepodległego miasta w okupowanej Europie.

Dwóch młodych, dwudziestoletnich ludzi przystąpiło w małym pokoiku na Żoliborzu do

rozpracowywania planu zamachu na Kutscherę: Jeremi i Broniek Lot. Obydwaj po bezbłędnie zorganizowanej przed paroma miesiącami akcji na Burckla czuli się w doskonałej formie.

Zespolili się w przyjaźni, mieli (może odrobinę przesadne) zaufanie do siebie i do swych towarzyszy. Jeremi codziennie wyskakiwał teraz wczesnym rankiem z łóżka ze śpiewem, pieśniami budził matkę i siostrę. Śpiewając mył się do pasa w zimnej wodzie. A jego druh -

Broniek Lot - starał się wpadać do przyjaciela jak najczęściej, aby nacieszyć się we wspólnych z nim rozmowach o rzeczach ważnych i błahych i aby bodaj móc popatrzeć na Krysię. Jeremi jakoś nie orientował się, że Broniek wpada nie tylko do niego, a gdy tu jest - siostra spogląda nań częściej niż na innych jego kolegów. Broniek znał Krysię od dawna, ale dopiero teraz, w ostatnich dniach zauważył ją naprawdę i zaczął się jej jakby z ukrycia przyglądać.

W okresie najstraszniejszego terroru dobra forma psychiczna obydwu przyjaciół nie zmaląła, ustały tylko wesołe śpiewy. Ich wiara w siebie, w młodość, w słuszność walki wyrażała się teraz w twardszym niż zwykle kroku, w wysoko noszonej głowie i w ledwo uchwytnym zaostreniu rysów twarzy.

Jedynie gdy Broniek rozmawiał z Krysią, jego bardzo jeszcze młodzieńcza twarz przybierała po dawnemu łagodny wyraz, a ofensywny nieco nos tracił swą zwykłą pewność siebie.

Tak więc Jeremi i Broniek otrzymali niezwykle zadanie: opracować zamach na Kutscherę.

Nad tymi przygotowawczymi pracami Pług czuwał uważnie. Postawił tylko jedno żądanie: Jeremi nie może dowodzić akcją. Była to realizacja zasady przyjętej przed kilkoma miesiącami przez Kierownictwo Dywersji, zasady, która wyrażała się w języku bojowców lapidarnym zwrotem: „nie trzaskać czołówki”! W pierwszym okresie dywersji zarówno dowodzenie w akcjach, jak nawet udział w nich rezerwowano dla najbardziej wyróżniających się bojowców i dla najzdolniejszych dowódców. Chodziło o wypróbowanie metod i wyszkolenie kadry. W szeregu kolejnych akcji dowodzili i uczestniczyli niemal ci sami ludzie. Dało to w rezultacie zastraszające straty właśnie wśród najbardziej wyrobionych i wartościowych ludzi.

Śmierć Zośki, który osobiście brał udział niemal w każdej akcji, spowodowała energiczne wystąpienie kierownictwa Szarych Szeregów wobec Komendy Armii Krajowej i od dawna narastająca decyzja została ostatecznie przesądzona: zarządzono, iż zarówno do udziału w akcjach, jak i do dowodzenia nimi należy przydzielać coraz inne zespoły i wyznaczać coraz innych dowódców. Należy chronić tych, co się już wyrobili, a z drugiej strony - należy dać szansę wyrabiania się innym. W myśl tej zasady Jeremiemu, który dowodził - i to dobrze dowodził - w zamachu na Burckla, nie wolno było brać udziału w zamachu na Kutscherę.

Natomiast Broniek Lot, który w zamachu na Burckla uczestniczył jako jeden z wykonawców i złożył wówczas dowody zimnej krwi, odwagi i bystrości, miał teraz objąć stanowisko dowódcy. Należało mu się to zresztą także dlatego, że akcję miał wykonać pierwszy pluton.

Broniek otrzymał niedawno nominację na dowódcę tego plutonu.

Zresztą dowodzenie w tej historycznej akcji zawdzięczał Broniek Pietraszkiewicz nie tylko odwadze, zimnej krwi i funkcji dowódcy plutonu.

Zawdzięczał je przede wszystkim inteligencji i wysokiej klasie moralnej, jaka cechowała tego młodego człowieka. W Grupach Szturmowych widzimy wiele pełnych i zharmonizowanych jednostek, które łączyły odwagę bojową z czystością intencji, charakter z inteligencją. Byłoby naiwnością przypuszczać, że mamy tu do czynienia ze zjawiskiem przypadkowym.

Niezwykła atmosfera walki z okupantem oraz szczególne napięcie ideowe panujące w Szarych Szeregach podciągało ludzi, sprzyjało ujawnianiu się i rozwijaniu wszystkiego tego, co w człowieku jest naprawdę wartościowe.

Czas przejść do opisu jednego z najbardziej dramatycznych wydarzeń w historii okupowanego kraju.

1 lutego 1944 roku.

Jest ciepły, słoneczny, niemal wiosenny ranek. Na ulicach ani śladu śniegu. Lekki wiatr porusza nieznacznie gałęzie drzew parku Ujazdowskiego.

Promienie słońca odbijają się w oknach pałacyku stojącego frontem do Alei Ujazdowskich i jednym skrzydłem opartego o ulicę Piusa XI. Pałacyk ten - Aleje Ujazdowskie nr 23 - to miejsce urzędowania generała Kutschery.

Mieszka Kutschera, jak podały informacje wywiadu, w alei Róż i stamtąd codziennie, z wzorową niemiecką punktualnością, między dziewiątą a dziewiątą piętnaście rano przyjeżdża wielką limuzyną. Towarzyszy mu zwykle adiutant.

Ta część miasta jest „dzielnicą niemiecką” - dzielnicą niemieckich mieszkań i urzędów.

Wysiedlono stąd przed trzema laty wszystkich Polaków.

Przed co drugim, co trzecim domem - budka wartownika. W ulicy Piusa, przy wylocie Wiejskiej, siedziba żandarmerii; paręset metrów na południe Alejami - potężny gmach policji kryminalnej i aleja Szucha. Wśród przechodniów sporo agentów hitlerowskich po cywilnemu.

Agenci ci nie zwracają uwagi na wytworny samochód, który zatrzymał się tuż przed godziną dziewiątą na rogu Piusa i Alei, naprzeciw pałacowego urzędu Kutschery. Samochód jest tak elegancki, a siedzący przy kierownicy ze znużoną miną młody człowiek jest tak nobliwy, że wydają się czymś najzupełniej naturalnym w tej dzielnicy.

Przy przystanku tramwajowym w Alejach, po tej samej stronie, z której stoi pałacyk Kutschery, i w bezpośrednim pobliżu tego pałacyku oczekuje na tramwaj pięciu młodych ludzi. Nie znają się. Stoją od siebie dość daleko.

Jeden czyta gazetę, dwóch innych o czymś rozmawia - ale jest ich aż pięciu!

Przyszli na parę minut przed dziewiątą i całą nadzieję pokładają w punktualności Kutschery, gdyż tak

liczna grupka nie może stać długo bez zwrócenia uwagi.

A naprzeciwko, po drugiej stronie Alei, przy budce z papierosami - Broniek Lot. Broniek wpatrzony jest uważnie w lewo, w kierunku ulicy Szopena, gdzie widać stojącą wywiadowczynię - młodziutką dziewczynę z długimi warkoczami - Dewajtis. Tym razem dziewczyna jest ucharakteryzowana na uczennicę niemiecką: białe, długie skarpetki, gołe kolana, głowa bez nakrycia, warkocze w koszyczek. Dewajtis jest dokładnie poinstruowana przez szefa wywiadu, Rayskiego, i parokrotnie już obserwowała samochód Kutschery i samego generała; ma, wraz z wywiadowczynią Kamą, patrolującą u wylotu alei Róż, sygnalizować Bronkowi pojawienie się auta Kutschery przez przejście na drugą stronę jezdni.

Wówczas Broniek ma zdjąć kapelusz z głowy i to jest rozkaz dla Misia-szofera i pięcioosobowej grupy na rozpoczęcie akcji.

Dziewiąta pięć... Dziewiąta siedem... Od strony placu Trzech Krzyży zbliża się grupa czterdziestu SS-manów - przeszli... Dziewiąta jedenaście... Nareszcie!

„Uczennica” w białych skarpetkach przechodzi koło wylotu ulicy Szopena przez jezdnię.

Wielka, błyszcząca w słońcu, ciemnostalowa limuzyna Opel-Admiral szybko i bezgłośnie pędzi Alejami. Broniek Lot zdejmując kapelusz - w tej samej chwili elegancki Miś, siedzący przy kierownicy auta, włącza gaz i wóz jego powoli wysuwa się z ulicy Piusa XI.

Wszystko to, co się teraz dzieje, trwa zaledwie kilkadziesiąt sekund.

Wóz Misia, prowadzony z niezwykłą przytomnością umysłu, zatacza łuk w kierunku nadjeżdżającej limuzyny akurat w tym momencie, gdy limuzyna, hamując, skręca ku pałacykowi. Maski dwóch wozów zbliżają się ku sobie. Wóz Kutschery staje, by przepuścić intruza. Intruz też hamuje, jakby starając się zrobić miejsce dla przejazdu generała. Hamuje jednak tak „niezręcznie”, że zatrzymuje się w poprzek drogi limuzyny. Równocześnie z dwóch różnych stron do limuzyny zbliżają się dwaj młodzi ludzie - Broniek i Kruszyńska.

Mają już płaszcze rozpięte... Pistolety... Podchodzą.

Adiutant Kutschery, prowadzący limuzynę, zorientował się. Chwyta za broń.

Kutschera - wysoki, szczupły, ubrany w skórzany płaszcz - niespokojnie wciska się w głąb wozu.

Broniek pierwszy nacisnął spust pistoletu. Bije w otwarte okno samochodu, chwyta za rączkę drzwiczek. Adiutant mierzy w brzuch Bronka i naciska spust pistoletu. Suchy trzask!

Rozżarzony ołów szarpie wnętrze. Broniek jednak, mocując się ze swym przeciwnikiem o drzwiczki samochodu, strzela dalej, kierując pistolet ku piersiom i głowie Kutschery.

Kruszyńska z drugiej strony daje ognia do adiutanta, który zdołał wyskoczyć z wozu. Oficer pada. Wówczas Kruszyńska otwiera drzwiczki auta i strzela, wypuszczając serię około dwudziestu pocisków. Kutschera, wciśnięty w przerażeniu w kąt wozu, zakrywa twarz rękoma.

Na ulicy po paru minutach zamarłej ciszy - piekło strzałów. Strzelają „waczy” wszystkich sąsiednich urzędów. Strzelają z okien cywilni i wojskowi. Częste i nerwowe serie strzałów broni maszynowej dochodzą od strony placu Trzech Krzyży, z ulicy Piusa od Wiejskiej i z dalekiej perspektywy Alei Ujazdowskich.

Czterooosobowe ubezpieczenie rozsypało się po ulicy i ustrzeliwszy wartownika przy pałacyku Kutschery bije teraz we wszystkich nadbiegających umundurowanych oraz ostrzeliwuje otwierające się okna.

Gdy krwawiący i słaniający się Bronek, podtrzymywany przez Alego, który podbiegł doń z pomocą, zmierza powoli do naszych aut ewakuacyjnych w ulicy Szopena, Kruszyńka wykonuje dalej swoje zadanie. Jest wielkim, silnym mężczyzną - więc kilkoma mocnymi szarpnięciami wyciąga z wozu ciało Kutschery. Rewiduje kieszenie, szukając dokumentów.

Podbiegł doń z pomocą Miś-szofer, który wyskoczył z auta. Obydwaj obszukują zabitego.

Z Wiejskiej ku Alejom wylania się grupa zielonych mundurów żandarmerii.

Juno zza drzewa bije bez przerwy w tym kierunku. Szofer-Miś rzuca filipinkę. Wybuch!

Cofnęli się. Skryli.

Strzały gęstnieją. Diabelne okna z nieoczekiwaniem wychylającymi się rękoma zbrojnymi w pistolety! Cichy dostaje w brzuch od strony placu Trzech Krzyży. Olbrzymek chwyta się rękoma za piersi. Mdleje.

Nie wolno ani sekundy przedłużać groźnej sytuacji! Miś jest ranny w głowę. Krew zalewa mu twarz. Zrywa się i biegnie jak błędny do aut. Na szczęście dokumenty Kutschery już są!

Odskok.

Dobiegają do wlokącego się z trudem w kierunku samochodów Cichego.

Chwytają go pod ręce. Ktoś pomaga mdlejącemu Olbrzymkowi. Gęsty ogień ze wszystkich stron - na szczęście niecelny. Juno ani na chwilę nie przestaje trzymać w szachu wylaniających się z dala mundurów. Miś ściera krew zalewającą oczy, aby dojrzeć auta ewakuacyjne. Są!

Dwa auta na ulicy Szopena, zwrócone ku Mokotowskiej, już od minuty są gotowe. Nagle wybiega z sąsiedniego kasyna grupa SS-manów i staje na rogu niezdecydowana z pistoletami w dłoniach. Nie wolno ich tu tolerować - lada chwila zaczną przybywać ludzie z akcji. Jeden z szoferów, Sokół, ostrożnie wyjmuje filipinkę. Wychodzi niespiesznie z auta i - zbliżywszy się nieco do SS-manów, silnym zamachem rzuca im pod nogi granat. Potężna eksplozja! W

dymie i kurzu rozlegają się głosy przerażenia i jęki. W tej samej niemal chwili wylania się spoza rogu Bronek, podtrzymywany przez Alego. Po paru sekundach - następni.

Ranni - do jednego wozu! Słabszych układają koledzy na dnie auta Sokoła, któryś wczołguje się sam.

Juno osłania ewakuację i stojąc za samochodem strzela do żandarmów, ulokowanych koło alei Róż.

Gotowe! Wszyscy ranni załadowani! Kruszyńska i Ali wskakują do drugiego wozu. Juno, gdy auta już ruszyły, dobiega do wozu z rannymi. Jeszcze teraz ostrzeliwuje się. Po paruset metrach oba wozy oddalają się od siebie i pędzą różnymi drogami.

Auto z Kruszyńską i Alim, prowadzone przez Bruna, wyszło cało i bezpiecznie. Natomiast auto z rannymi...

Tylko szofer i Juno są w tym aucie przytomni. Na najbliższym zakręcie mignęła im twarz Pługa, który niespokojny podszedł na skraj chodnika i niemal przechyla się nad pędzącym wozem, aby zobaczyć, co się w nim dzieje.

Rozbita karoseria, powybijane szyby. Sokół prowadzi auto na pełnym gazie.

Jak najprędzej dowieźć rannych do szpitala: Trzej - niebezpiecznie ranni w brzuch i w pierś, czwarty ma całą twarz zalaną krwią. Nie wiadomo, co mu właściwie jest. Na szczęście już Senatorska i Szpital Maltański, w którym ranni mają być - stosownie do umowy -

umieszczeni.

Niestety, szpital przyjmuje tylko dwóch: rannego w piersi Olbrzymka i rannego w głowę Misia. Dwaj ranni w brzuch nie mogą być przyjęci. - Dlaczego nie mogą? - denerwuje się Juno. Nie ma warunków do tak poważnej operacji, która musi być w obu wypadkach przeprowadzona niezwłocznie.

Doktor Maks, lekarz kompanii wydzielonej, wsiada do samochodu z rannymi i dysponuje jazdą do Szpitala Ujazdowskiego, gdzie odpowiedni ludzie są już uprzedzeni i przygotowani do przyjęcia ran brzucha. Ranni jednak, słysząc nazwę szpitala, rozpaczliwie przeczą głowami: nie tam, tylko nie tam. W pobliżu była przecież przed pół godziną ich akcja, pełno żandarmów...

Doktor Maks decyduje się więc pośpiesznie na szpital Przemienienia Pańskiego na Pradze, w którym praktykuje. Szpital nie jest uprzedzony, nigdy tam nie dawano rannych z dywersji -

ale nie ma wyboru.

Wóz pędzi w kierunku mostu Kierbedzia. Na ulicach jakiś gorączkowy niepokój. Widocznie wieść o zgładzeniu Kutschery już się rozeszła. Doktor Maks pod osłoną marynarki przeprowadza wstępny opatrunek Cichego.

Most. Ulica Zygmuntowska. Wielki gmach szpitala.

Niemal siłą ulokował tu doktor Maks rannych. Wbrew protestom kierownictwa szpitala wniesiono ich do sali. - Będę zmuszony zawiadomić policję, że tu są ranni. Taki mnie obowiązuje nakaz - wykrzykuje jakiś mężczyzna w białym kitlu. - Nie mogę przez pana narażać szpitala i siebie. Muszę zatelefonować. Muszę. Rozumie pan?

Doktor Maks stara się opanować i uporczywie powtarza tylko jedno zdanie:

- Na razie, szybko operacja, a o reszcie pomówimy potem.

Juno i Sokół nie czekają dalej. Koledzy są pod opieką Maksa - można wracać. Najwyższy zresztą czas na powrót, gdyż koło wozu ze śladami krwi i odpryskami kul na karoserii zaczynają przystawać przechodnie.

Zawrócili szerokim łukiem przed szpitalem i szybko ruszają ku mostowi Kierbedzia, na drugą stronę Wisły. Wjeżdżają na pełnym gazie na most i nagle...

Sokołowi jeżą się włosy na głowie. W dali, po drugiej stronie mostu, aż gęsto od zielonych mundurów. Zatrzymują wszystkie wozy i wszystkich przechodniów.

Ostry zgrzyt hamulców i próba wymanewrowania wozu ku tyłowi na wąskiej przestrzeni mostu. Beznadziejne, wóz utyka. Już policjanci niemieccy zauważyli podejrzaną manewrowanie samochodu. Biegną. Od praskiej strony odzywają się strzały; stamtąd też widać nadbiegających Niemców. Otoczeni!

Wyskakują z wozu i usiłują krótkimi, urywanymi zdaniami porozumieć się i coś wspólnie postanowić. Są zbyt doświadczeni, aby nie zdawać sobie sprawy, że z tej sytuacji nie ma wyjścia. Nie ma wyjścia? A Wisła? Jedna szansa na tysiąc, ale jednak szansa! Wprawdzie dziś 1 lutego, ale rzeka płynie i nie ma na niej kry. Jeszcze parę słów - postanowili. Przez chwilę uśmiechają się do siebie życzliwie, jakby ściskali sobie dłonie. A potem odwracają się do siebie plecami - jeden w kierunku Pragi, drugi w kierunku Warszawy - i kryjąc się za samochód i żelazne wiązania mostu zaczynają strzelać, celując możliwie starannie. Niemcy po chwili wahania znów zbliżają się skokami, wyzyskując każdą możliwą zasłonę mostowych konstrukcji. Filipinką w nich!

Wybuch i znów trzask broni maszynowej. Sokół strzela coraz oszczędniej.

Juno po chwili zaprzestaje ostrzeliwać się - koniec z amunicją.

Tak jak postanowili - szybko zrzucają jesionki, marynarki i ku poręczom mostu, i przez nie!

Chwila zawisnięcia na rękach nad przepaścią - skok!

W oczach tłumu ludzi, którzy obserwują na obu brzegach spoza murków i zasłon tę zacieklą i nierówną walkę, dwa ciała odrywają się od nawierzchni mostu i dziwnie powoli spadają z wielkiej wysokości w nurty rzeki.

- Są! Są!

Dwie głowy wyłoniły się z wody i płyną z prądem. Kilkadziesiąt łuf pistoletów i ręcznych karabinów maszynowych zieje w te dwie głowy nieustannym ogniem. Mijają okropne chwile.

Jedna - zniknęła. Druga oddala się powoli. Dwadzieścia metrów, trzydzieści... I niknie wśród bryzgów wody wyrzucanych przez pociski. Jeszcze się raz wyłoniła, ale wnet zanurza się znowu.



Tym razem ostatecznie...

A tymczasem Pług otrzymuje jeden po drugim kilka meldunków. Najpierw przybywa Staszek Ali z samej akcji. Potem telefon o Szpitalu Maltańskim.

Potem - obezwładniająca wiadomość o walce na moście Kierbedzia. I wreszcie telefon żądający szybkiego kontaktu. Po piętnastu minutach sprawa się wyjaśnia: kierownictwo szpitala Przemienienia Pańskiego zawiadomiło najbliższy komisariat policji granatowej, że przywieziono im dwóch rannych z postrzałami brzucha. Pług poleca Jeremiu zorganizowanie interwencji.

Jeremi w takich chwilach jest niezmiernie powściągliwy w słowach powolny w ruchach.

- Ali, mój drogi, sprowadź natychmiast Mirskiego. Przygotuj broń. Tylko steny i granaty.

Działać trzeba niezwłocznie, jeśli się pragnie ocalić obydwu, ciężko rannych kolegów z rąk gestapo i jeśli się pragnie odciąć ślady prowadzące od zamachu na Kutscherę do środowiska, które ten zamach wykonało.

Dotychczas wróg nic nie ma w swoich rękach. Jeremi stara się zdusić niepokój o Bronka i myśleć tylko o rzeczowej stronie przygotowań.

Mirski, dowódca drugiego plutonu, zmontował zespół do akcji w ciągu kilkudziesięciu minut.

W gmachu jednej ze szkół zawodowych mieściły się tajne komplety licealne. Mirski wpadł na korytarz szkolny, ostrożnie uchylił drzwi klasy, w której odbywała się lekcja, i ruchem palca wywołał kilku swoich ludzi. Zbiegając schodami pośpiesznie domykali skórzane teczki z podręcznikami i zeszytami.

Rozpoczął się już wczesny zimowy zmrok, gdy wreszcie wszystko zostało zmontowane: nowy szpital dla rannych przygotowany. Jest także karetka pogotowia. Jeremi ze zbrojną asystą przejeżdża przez miasto i most, wymijając gęste tego dnia patrole, i staje przed szpitalem na Pradze. Dwóch zostaje w drzwiach, dwóch innych - Kopeć i Orkan - idzie z dobytymi pistoletami za Jeremim na górę, na właściwą salę. Na korytarzu policjant granatowy. Policjant zrywa się i sięga po broń, Kopeć uderza go kolbą pistoletu w głowę.

Drugi policjant szybko podnosi ręce do góry.

Gdy Jeremi wszedł na salę, gdzie leżeli Bronek i Cichy - obydwaj byli już po operacji i właśnie teraz pielęgniarka robi zastrzyk dożylny Bronkowi, który ma słabe tętno. Rana postrzałowa wątroby jest poważna.

Jeremi patrzy w zapadłe, przymknięte oczy przyjaciela i stara się największym wysiłkiem woli usunąć dławiący skurcz gardła. Udało się wreszcie.

- Proszę spokojnie zakończyć zastrzyk - mówi do pielęgniarki głaszcząc czoło Bronka. Ten lekko się uśmiecha.

Pielęgniarka skończyła zastrzyk, wstała i zbliżywszy się do Jeremiego szepnęła:

- Proszę pana, po takiej operacji tylko absolutny spokój daje jakieś szanse ocalenia.

Na twarzy Jeremiego - skurcz rozpacz. Po chwili wymuszony, nikły uśmiech.

- Nie ma innego wyjścia, siostró. Ranni muszą być stąd zabrani.

Po piętnastu minutach obaj ranni są już w karetce. Jeremi ze swoimi odjeżdża i znika. Karetka z obsługą oraz z Alim i Ziotkiem jako ubezpieczeniem rusza w kierunku mostu do Warszawy.

Gdy karetka zataczając łuk opuszcza podjazd szpitalny, z drugiej strony wjeżdża na ten podjazd wielki samochód kripo - policji kryminalnej.

Karetka z rannymi pędzi w kierunku ulicy Chałubińskiego, do szkoły pielęgniarek, w której jest szpital i oddział chirurgiczny. Tam czeka na karetkę pani Stasia, pięćdziesięcioletnia miła pani z kierownictwa sanitariatu Kedywu - dusza i serce sanitariatu.

Lekarz, którego pani Stasia zawiadomiła, że lada minuta przybędą dwaj ranni, kategorycznie odmawia ich przyjęcia.

- Przecież pan się poprzednio zgodził - mówi zdenerwowana kobieta.

- Zgodziłem się, ale w obecnych warunkach przyjąć nie mogę.

Po męczącej, beznadziejnej rozmowie z wystraszonego tchórzem pani Stasia uzyskuje wreszcie jedno. Na jej żądanie (- Skoro pan tak zrobił, proszę wskazać mi wyjście z sytuacji) lekarz radzi odwieźć rannych do kliniki położniczo-ginekologicznej przy ulicy Chmielnej, a sam obiecuje zadzwonić tam, aby przygotować dla rannych przyjęcie.

Karetka z rannymi już czeka. Czeka również Duża Zosia, szef sanitariatu „Zośki”. Obie kobiety wsiadają do karetki razem z rannymi i każą jechać na Chmielną.

Wciąż jeszcze jest wieczór 1 lutego. Przed kilkunastu godzinami dokonano zamachu na Kutschere. Całą policję niemiecką postawiono na nogi. Na ulicach aż gęsto od patroli SS, które rewidują przechodniów, zatrzymują i przeszukują riksze, dorożki, samochody osobowe i ciężarowe.

Karetka powoli jedzie Alejami Jerozolimskimi. Przy rogu Marszałkowskiej zielone światło: stop! Przejście dla ruchu wzdłuż Marszałkowskiej. Gdy tak stoją, podchodzi patrol SS i oświetla latarkami wnętrze sanitarki. Ali ostrożnie odbezpiecza pod płaszczem stena. Ziotek bierze do ręki granat.

Wzrokiem wskazuje Dużej Zosi na pudełko z granatami, stojące obok siedzenia. Zosia kiwa potakująco głową. Światła latarek jeszcze chwilę ślizgają się po ścianach karetki - pogasły.

Poszli.

Tchórzostwo lekarza posunęło się tak daleko, że nie zatelefonował do kliniki na Chmielnej.

Tu również nie chcą przyjąć rannych. A Broniek jest bliski zapaści. Tętno niknie zastraszająco.

Duża Zosia robi mu w karetce ponownie zastrzyk.

Wreszcie pod wpływem wyraźnej groźby pani Stasi kierownik kliniki przyjmuje rannych. Ale tylko do rana, tylko na jedną noc!

Razem z rannymi tę noc spędzali Ali i Ziutek. Nie chcą pozostawić przyjaciół w niepewnych, tchórzliwych rękach. Pani Stasia i Duża Zosia zostają również.

Stan rannych jest ciężki. Cierpią bardzo. To okropne pragnienie przy ranach brzucha, na które daje się tylko do potrzymania w ustach wilgotną łyżeczkę i zwilża się gazą wargi. Szczególnie niespokojny jest Cichy.

Broniek wciąż ma fatalne tętno. Zosia daje mu dożylnie glukozę. Obie sanitariuszki siedzą przy nim, trzymając go na zmianę za rękę, aby czuć tętno.

Jest śmiertelnie blady i kompletnie wyzbyty sił. Duża Zosia, która ma ciągle przed oczyma jego muskularną figurę, zadarty zuchwały nos i ruchy przypominające coś kociego, wpatruje się teraz niemal z przerażeniem w zroszone kropelkami potu czoło, na którym lepią się czarne włosy.

Od czasu do czasu Broniek ma silne drgawki i wtedy ściska ręce dyżurujących przy nim kobiet. To mu widocznie pomaga, zmniejszając nieco cierpienia.

W pewnej chwili otwiera oczy. I mówi niemal szeptem:

- Czy to wszystko warto było robić?

Duża Zosia ociera czoło rannego i przez chwilę szuka odpowiedzi. Wyzbyta patosu i zawsze półzartobliwa, tym razem nie usiłuje zasłonić swych myśli uśmiechem.

- Warto, Bronku, na pewno warto. To nie tylko ty, Broniek Lot, zastrześliłeś Kutschere, i teraz cierpisz. Tego chcieli wszyscy Polacy.

Wykonałeś wolę narodu. Wielu z nas doczeka kiedyś innych dni. Będziemy mogli dzięki tobie i innym oddychać zdrowym powietrzem.

Broniek ma wciąż otwarte oczy i gdy słucha tego, co mówi Duża Zosia, na chwilę dawny, kpiący uśmiech pojawia się na jego ustach.

O godzinie siódmej rano przyjeżdża sanitarka Szpitala Maltańskiego i zabiera obydwu rannych. Cichy ma złą czkawkę, obawiać się należy zapalenia otrzewnej. Broniek jest jeszcze słabszy niż w nocy. Nie chce wypuścić z rąk dłoni pielęgniarki.

Jednego rannego - Bronka Lota - odwozi się do Szpitala Wolskiego.

Przyjęli bez wahania, od razu zaopiekowali się bardzo troskliwie. Dyrektor, dr Piasecki, oraz dr

Stefan Wesołowski czynili wszystko, aby ochronić i ratować nieoczekiwanego pacjenta.

Drugi ranny - do Ujazdowa. Sanitarka staje przed Szpitalem Ujazdowskim.

Ordynator odmawia przyjęcia rannego, mimo iż zapewniono panią Stasię, że szpital jest uprzedzony i przygotowany. Żadne perswazje nie pomagają - lekarz powołuje się na rozkaz swych władz podziemnych, które zwolniły Szpital Ujazdowski od przyjmowania rannych w zamachu na Kutschereę.

Gdy zrozpaczone kobiety stoją bezradne przed sanitarką, zbliża się do nich szofer.

- Pani Stasiu, po co się martwić. Niech ich jasny szlag trafi, tych gówniarzy! Jedziem do nas, do Malty, jakoś sobie tam poradzą.

I Szpital Maltański, nie uprzedzony, raz jeszcze dowiódł, że można na nim polegać w trudnych okolicznościach. Komendant szpitala na swoją osobistą odpowiedzialność kazał

przyjąć rannego.

Bronek prosił, aby Duża Zosia została przy nim. Zosia uśmiecha się i potakująco kiwa głową.

Ranny znów trzyma jej rękę. Gdy nachyliwszy się wyciera mu czoło, Bronek, na pół

przytomny, ma wrażenie, że to nie drobna postać Dużej Zosi, lecz Krysia. Że trzyma rękę Krysi, długo, długo, po raz pierwszy w życiu, a Krysia ręki nie cofa...

Niestety, pełna poświęcenia opieka sanitariuszek „Zośki”, które dni i noce nie odstępowały rannych, kilkakrotnie dając do transfuzji swą krew, ani staranna troska obu szpitali -

Wolskiego i Maltańskiego - nie zdołały powstrzymać okrutnego biegu losu. Obaj ciężko ranni nie wytrzymali skutków walki w Alejach i kilkakrotnych, niespokojnych, męczących transportów.

Bronek umiera czwartego lutego rano, z krótkim, pożegnalnym westchnieniem skargi:

„mamo”. Piątego lutego odchodzi Cichy. Ranny w głowę szofer-Miś i ranny w pierś Olbrzymek - ocaleli.

Gdy Jeremi dowiedział się o śmierci Bronka Lota, przerwał wykonywaną pracę i rozdygotany wewnętrznie poszedł do siebie na Żoliborz. W domu załamał się. Stracił cały hart i pewność siebie. Płakał. Położył się na tapczanie i ukrywając twarz w poduszce nie usiłował

powstrzymać szlochu.

Krysia wystraszonymi oczami patrzyła na brata i zrozumiałwszy rzuciła się ku niemu z krzykiem:

- Bronek? Tak? Bronek? Mów!

A gdy brat nie odpowiedział i tylko drzeć zaczął cały, Krysia w geście przerażenia obydwoma

dłońmi zakryła usta.

Pani Zborowska trzymając rękę na sercu bezradnie patrzyła na syna i córkę.

Zgładzenie Kutschery wywołało wielkie wrażenie w całym świecie.

Spółeczeństwo polskie jednomyślnie zaaprobowało ten manifestacyjny akt odwetu i ostrzeżenia. Nareszcie polska ręka uderzyła silnie, celnie i dotkliwie - uderzyła w to jedyne miejsce, w które właśnie trzeba było uderzyć.

Najbardziej jednak wstrząśnięci byli Niemcy. Do Warszawy przybyli z Rzeszy liczni dostojnicy partyjni i policyjni. Kilku ministrów, Himmler. W środowisku tym komentowano znaczenie zamachu, jego sens i jego konsekwencje. I zdaje się właściwie oceniono sprawę.

Bo chociaż obyczajem sięgającym czasu Nibelungów w przeddzień pogrzebu Kutschery rozstrzelano przed jego pałacykiem w Alejach około stu więźniów, a gdzie indziej - jeszcze dwustu.

- Chociaż w Pałacu Bruhla zainscenizowano makabryczną scenę ślubu zabitego generała z przybyłą doń teraz narzeczoną, ślubu, w czasie którego ubrana w czerni oblubienica stojąca przy trumnie przysięgała wierność trupowi, - chociaż na trasie pogrzebu wysiedlono na kilkadziesiąt godzin wszystkich mieszkańców ulic, przez które, jak przez kanion pustynny, przeciągał kondukt pogrzebowy, - to jednak polityczny sens zamachu już był przesądzony na korzyść polskiej strony. Nieustanne akcje na pociągi i teraz to zgładzenie - świadczyły, że naciągnięta do najwyższego stopnia struna terroru nie tylko nie daje wyników, lecz przeciwnie - wywołuje skutki odwrotne od zamierzeń: wzmacnia opór, nasila żądze odwetu.

Wydany więc został rozkaz przerwania egzekucji ulicznych oraz powolnego zmieniania linii postępowania i stopniowego łagodzenia stosunków w Generalnej Guberni. W dwa tygodnie po zamachu na Kutschere odbyła się w Warszawie ostatnia już egzekucja uliczna.

Gdy na żołnierskim cmentarzu powązkowskim niewielka, ściśle wyznaczona grupka przyjaciół składała do grobu w zupełnej ciszy - obok Zośki, Rudego i Alka - ciało ich następcy Bronka Lota, a na usypanej mogile - wieniec ze wstęgą Virtuti Militari, wszyscy czuli, że uczestniczą nie tylko w uroczystości żałobnej i chowają nie tylko kogoś, kto był im bratem w walce.

Wiedzieli, że uczestnicząc w ostatnim akcie historycznego zamachu słuszną podjęli walkę.

## VI. DYWERSJA W DNIU POWSZEDNIM

Akty dywersyjne podane w poprzednich rozdziałach: zgładzenie Kutschery, zamach na Burckla i Lechnera, wykolejenie pociągu na linii Tłuszcz - Urle, częściowe zniszczenie Kępy Latoszkowej pod Wilanowem można by nazwać wielkimi akcjami dywersyjnymi. Nie wszystkie takie akcje zostaną opisane, opowieść bowiem nasza nie zamierza stać się kroniką wydarzeń.

Przyjrzyjmy się natomiast kulisom owych „wielkich akcji”, które przecież są tylko końcowym krótkotrwałym efektem żmudnego cyklu niebezpiecznych działań przygotowawczych, wymagających wytrwałości, inteligencji, poświęcenia oraz dużej liczby ludzi dokładnie wyszkolonych i dysponujących rozległymi środkami pomocniczymi.

Obserwator z zewnątrz dostrzega tylko akcje wielkie, głośne. Nie widzi natomiast setek akcji mniejszych. Nie wie także, że każda dokonana akcja poprzedzona była nieraz kilkakrotną gotowością, identyczną do tej, jaka zakończyła się efektywnie. Na przykład akcja pod Arsenalem była poprzedzona na parę dni przedtem identyczną próbą odbicia więźniów, którą odwołano w ostatniej niemal chwili; na Burckla i na Kutschere „polowano” dwukrotnie, na Koppego w Krakowie - o czym jeszcze będzie mowa - trzykrotnie!

Bywało także, iż akcja „pusta”, nie odbyta, kosztowała więcej nerwów i zdrowia, niż jakaś głośna akcja udana. Prawie ten sam zespół drugiego plutonu „Parasola”, z Mirskim i Kopciem na czele, przeprowadził bardzo udany zamach na pułkownika Gressera, szefa żandarmerii niemieckiej w Warszawie, oraz organizował niedoszłą do skutku akcję na generała Hahna, następcę Kutschery. Akcja na Hahna nie odbyła się, ale uczestnicy zachowali ją we wspomnieniach jako bodaj najcięższą w swej dywersyjnej praktyce. Było to w trzy miesiące po zgładzeniu Kutschery i miało się odbyć mniej więcej na tym samym terenie co tamta akcja: róg Alei Ujazdowskich i Wilczej.

Zespół wyznaczony do wykonania zamachu przez dwie godziny czekał w Alejach i u wylotu Wilczej na pokazanie się auta Hahna. Stali w bramach, przy przystanku tramwajowym, koło budki z papierosami - w na pół rozpiętych płaszczach, pod którymi trzymali gotową do strzału broń. W ciągu tych dwóch godzin przechodziło tu wielu, jakże bardzo wielu Niemców umundurowanych i agentów po cywilnemu, czuwających nad tą częścią miasta, przylegającą do dzielnicy niemieckiej. A nade wszystko - kilkakrotnie, ruchem wahadłowym, przejechał

wolno obok nich wielki patrolowy samochód żandarmerii niemieckiej z karabinem maszynowym na widelkach i piętnastką żandarmów.

Żandarmi bacznie przyglądali się ludziom na chodnikach, a szczególnie młodym mężczyznom. Każda próba wylegitymowania kogoś z naszych musiałaby się skończyć katastrofą: wszyscy mieli przy sobie broń i żaden nie miał kenkarty, gdyż na akcję nie wolno było przecież brać dowodów osobistych.

- To nie Hahn był „wystawiony”, to my byliśmy „wystawieni” - powie kiedyś o tych dwóch godzinach Kopeć. - Kiedy Mirski stracił wszelką nadzieję na przejazd Hahna i dał znak rozejścia się, myślałem, że jestem siwy. Ledwo mogłem iść z wyczerpania.

O akcji na Hahna nie dowie się nigdy miasto. Przecież jej nie było!

Ludzie z zewnątrz nie będą wiedzieli, że przygotowania do tej nie odbytej akcji i „zużycie” psychiczne bojowców było nie mniejsze niż podczas najgłośniejszych, udanych zamachów.

Nade wszystko zaś człowiek z zewnątrz nie zdaje sobie sprawy z ogromu prac przygotowawczych w dywersji, z tego, co można by nazwać dniem powszednim dywersji.

Oddziały dywersyjne muszą mieć broń - tę broń trzeba albo przyjąć ze zrzutów (to akcja!), albo zdobyć na wrogu (akcja!), albo przeprowadzić transakcje kupieckie za pośrednictwem różnych mętnych typów (bardzo niebezpieczna akcja, pociągająca często ofiary). O rozmiarze tych prac niech zaświadczą trzy liczby dotyczące zakupów broni uczynionych przez ludzi

„Parasola”: w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy okupacji kupiono około stu sztuk niemieckiej broni, 30-40 tysięcy amunicji i około 150 kg materiałów wybuchowych. Nie trzeba mieć wielkiej wyobraźni, aby domyślić się, ile setek niebezpiecznych kontaktów oznaczają te liczby. Dla przykładu - kilka stronik niżej - będzie mowa o jednym takim kontakcie na ulicy Wspólnej. Inny sposób zwiększenia stanu posiadania broni - zdobycie jej na wrogu - towarzyszył nie tylko wszystkim wielkim akcjom dywersyjnym, lecz niekiedy w

„Parasolu” traktowany był jako zaprawa do akcji dla nowicjuszy, a czasami wyradzał się w niepohamowane odruchy poszczególnych ludzi. Taki na przykład Cyklon napotkał kiedyś o zmroku na jednym z przedmieść SS-mana, który szedł samotnie z pistoletem maszynowym na ramieniu. Cyklon nie miał przy sobie broni, ale pokusa - pistolet maszynowy! - była silniejsza niż rozsądek: w najbliższej budce kupił butelkę lemoniady i uderzeniem tej butelki oszołomił

hitlerowca! Pistolet został zdobyty!

Broń musi być zmagazynowana, trzeba więc wyszukać lokale na magazyny, a w tych magazynach trzeba urządzić skrytki (nie małe skrytki na gazetki, na papiery - lecz wielkie, wymagające prac murarskich, skrytki na duże paki).

Takich magazynów trzeba mieć dziesiątki. Nie ma miesiąca, aby któryś z magazynów broni nie został „spalony” przez jakąś przygodę; wówczas organizuje się alarmowe przenoszenie broni do innego magazynu. Każda z tych czynności jest akcją! W owych trudnych sprawach magazynowych, chłopcy poznają szereg osób cichych, bezimiennych prawie, których ofiarność i patriotyzm czyniły bardziej konkretnym pojęcie narodu.

A rozpoznanie? Wielogodzinne, a czasem wielotygodniowe znużające wyszukiwanie podanych osób i nużące dni oczekiwania na sposobność przyjrzenia się im, wyśledzenia ich trybu życia. Albo rozpoznanie miejsca przyszłych działań, miejsca często w najbliższym otoczeniu niemieckich posterunków, miejsca, które zwykle wymaga sporządzenia szkicu, a niekiedy wyprawy samochodowej poprzez linię „streif”. Niemal każdy z takich wypadów jest wypadem ubezpieczonym, jest akcją.

Szczególnie precyzyjny aparat stanowi wywiad „Parasola”. Na jego czele stoi porucznik Rayski. To

on „rozpracowywał” i przygotowywał do „wystawienia” Kutschere, Burckla, Koppego oraz dziesiątki innych niebezpiecznych organizatorów zbrodni hitlerowskich w Polsce. Jak przystało na klasycznego szefa wywiadu, Rayski był osobą nieuchwytną i nie znaną młodym ludziom „Parasola”; z rzadka tylko i z daleka widywano jego szczupłą, niską postać w cyklistówce i gabardynowym płaszczu. Bardziej znano natomiast pomocników Rayskiego, były to przecież koleżanki i koledzy „parasolarzy” - mądry Żar, bystry Żak, niezawodna Kama, a nade wszystko młodziutka, lecz bardzo zdolna i o żelaznej wytrwałości Dewajtis, którą w jednym ze swych sprawozdań Rayski, pozbawiony precyzji literackiej, określił jako „posłuszną dziewczynkę”! Jej długie warkoczyki z kokardkami i niezgrabne łapcie na nogach wprawiały w osłupienie niejednego bojowca, kiedy pierwszy raz zetknął się z tą współpracownicą wywiadu. Osłupienie zamieniało się w respekt, gdy młody człowiek dowiadywał się, że Dewajtis była pierwszym człowiekiem „Parasola” odznaczonym Krzyżem Walecznych.

Ale prawdziwym rarytasem parasolowego wywiadu jest Wesoły, otrzymany „w prezencie” od kierownictwa Szarych Szeregów. Działa on indywidualnie, bez kontaktu z komórką wywiadu i podlega bezpośrednio Pługowi. Ten wysoki, szczupły blondyn o bezkrwiście bladej i zawsze smutnej twarzy dostał się swego czasu do pracy w firmie Wedla i stamtąd tak pokierował

sprawami, iż objął dostawę czekolady dla pracowników gestapo. Odtąd niemal codziennie zjawiał się w alei Szucha i krążąc ze swymi paczkami po gestapowskich biurach i gabinetach wdawał się łatwo i chętnie w rozmowy i pogaduszki z hitlerowskimi klientami. A oficerowie gestapo najoczywiściej cenili te kontakty z człowiekiem zawsze chętnym w zdobywaniu dla nich najrzadszych i najponętniejszych gatunków czekolady. Wesoły w czasie tych wizyt o nic nie pytał; dowcipkując i przekomarzając się usiłował jak najwięcej spostrzec i zapamiętać oraz zjawiać się we właściwym czasie na właściwych punktach ogromnego gmachu gestapo.

Największą udręką w pracy wywiadu była pedantyczna żmudność, nuda i obdarta z wszelkich uroków pracowitość. Akcja na Burckla trwała tylko dziewięćdziesiąt sekund, ale aż dziewięć tygodni codziennej pracy potrzebował Rayski, aby ustalić jego tożsamość, miejsce zamieszkania i stałe ruchy po mieście.

Nie mniej doniosły niż wywiad jest inny, wielki dział pracy - dział samochodowy, który w

„Parasolu” rozbudowano szczególnie szeroko i precyzyjnie. Akcje na gestapowców są częste, wszystkie wymagają samochodów, których życie jest zwykle krótkie. W każdej niemal akcji giną auta, w akcji na Koppego stracono ich aż pięć. „Parasol” musi mieć zawsze „na chodzie” kilka ciężarówek, kilka półciężarówek i szereg samochodów osobowych różnych typów.

Samochodów tych nigdy się nie kupuje, wszystkie są zdobyczne, a akcja zdobywania wozu na jakiejś firmie okupacyjnej lub oddziale wojskowym jest w „Parasolu” traktowana jako zaprawa dla nowicjuszy rozpoczynających swą karierę dywersyjną.

Na czele parasolowej motoryzacji stoi Korczak, który jest takim samym dwudziestolatkiem, jak większość chłopców, ale ma trzy szczególne zalety: pedantyczną staranność, dobrą znajomość motorów spalinowych oraz... szczęśliwą rękę! To ostatnie jest najbardziej cenione przez Jeremiego, który pokpiwając z własnej przesadności chwytą się jednak zawsze na poczuciu bezpieczeństwa, gdy



znajduje się w towarzystwie małomównego, poważnego, zaczynającego łysieć Korczaka. Trzeba to bowiem dobrze pojąć: jeśli podczas groźnych lat okupacji niebezpieczne i trudne było nawet przechowywanie „gazetek”, to jakich wysiłków odwagi i pomysłowości wymagało zorganizowanie garaży dla kilkudziesięciu wozów, które przecież stale są używane do akcji i wpadają w ręce wroga. A nieustanne reperacje? A szkolenie mechaników i szoferów?

Szkolenie szoferów idzie w Grupach Szturmowych bez przerwy kilkoma torami, gdyż dąży się do tego, aby jak najwięcej chłopców „Zośki” i „Parasola” umiało obchodzić się z motorami oraz prowadzić wozy. Wielką w tym zakresie pracę podjęło bezpośrednio kierownictwo Szarych Szeregów. Ale ambicja „Parasola” wymaga własnych kursów, nawet własnego skryptu opracowanego przez Sama, który swego czasu ukończył szkołę samochodową we Francji, a w Polsce był pracownikiem łódzkiej filii „Citroena”.

Ileż zresztą odbywa się szkoleń specjalistycznych w Grupach Szturmowych!

Szczególnie doniosłe jest szkolenie saperskie, podczas którego słownictwo młodych ludzi wzbogaca się o takie terminy, jak trotyl, szedyt, plastik, spłonki, detonatory, belki teówki i dwuteówki... A tradycyjne wzory z algebry i fizyki trzeba teraz uzupełnić nowymi o najwyższej doniosłości praktycznej: wzorami uwzględniającymi siłę i ilość materiałów wybuchowych, wytrzymałość żelaza, przekroje belek. Trzeba także opanować schematy połączeń kablowych i typowe konstrukcje mostów. „Parasol” oczywiście musi mieć w tym zakresie własny skrypt, który opracuje Szprotka. Ale zarówno w „Parasolu”, jak i w „Zośce” rzecz nie ogranicza się do teorii: podczas wykładów i ćwiczeń ręce manipulują rzeczywistymi spłonkami, kablami, detonatorami, baterijkami. Podstawową właściwością tych przedmiotów jest to, że wymagają od ludzi dużej staranności, solidności.

Szkoleniem kosztującym wiele nerwów są strzelnice. Jeremi czterokrotnie organizował

strzelanie w Puszczy Kampinoskiej; jedna z tych wypraw zakończyła się potyczką, w czasie innej Jeremi uciekając przed pościgiem usłyszał narastające szczekanie psów i, oglądając się, dojrzał przez rzadziutkie drzewa lasu dwa pędzące za nim psy policyjne - wilki. Jeremi był

dobrym biegaczem, ale pojął, że tego wyścigu nie wygra. Staął. Jednego z psów zastrzelił na czas, drugi usiłował skoczyć mu na pierś i niemal w ostatniej chwili otrzymał kulę w łeb.

Amunicja była mokra i pistolet kilkakrotnie nie wypalił.

Również przyjaciel Jeremiego, Broniek Lot, przeżył przygodę związaną ze strzelnicą.

Wracano ze strzelania zorganizowanego przez Bronka dla trzeciego plutonu pod Dębem Wielkim, a że strzelało się tam dobrze, dzień był piękny i towarzystwo sobie miłe - powrót odbywał się późnym wieczorem, po godzinie policyjnej. Gdy przechodzili przez osadę Świder i znajdowali się tuż koło komisariatu policji granatowej, podszedł do jednego z chłopców pijany kolejarz niemiecki i przyczepiwszy się doń zaczął wrzeszczeć, iż poznał złodzieja. Nie pomogły perswazje, uporczywe wrzaski pijaka trwały.

Sprawa zaczynała stawać się niepokojąca, gdyż z komisariatu wybiegł zaalarmowany krzykiem

policjant granatowy. Broniek Lot wyjął pistolet i strzelił z odległości dwóch kroków do nadbiegającego. Kula gwizdnęła obok ucha policjanta, który - zaszokowany - stanął jak wryty i puścił karabin.

Młodzi ludzie pośpiesznie odeszli z „miejsca wypadku”.

- Nie trafiłeś? - spytała się Bronka Lutowa.

- Nie chciałem trafić, chciałem go tylko ogłuszyć. Po co zabijać człowieka bez najkonieczniejszego musu?

Sprawy broni, wywiadu, samochodów i wielorakiego szkolenia nie wyczerpywały potrzeb Grup Szturmowych. Istniał przecież sanitariat i łączność, dwa duże, skomplikowane aparaty działania.

A zaprawa dywersyjna? W kompanii wydzielonej utarł się zwyczaj stopniowania akcji, to znaczy iż do udziału w poważniejszych działaniach dywersyjnych dopuszczano ludzi, którzy uprzednio wzięli udział w czymś „drobnym”, na przykład w zdobyciu samochodu lub w zdobyciu pistoletu maszynowego. Garbaty zwierzył się kiedyś, w wiele lat po wojnie, iż najbardziej dlań pamiętnym wyróżnieniem w „Parasolu” było to, gdy po jego pierwszej akcji-zaprawie dwaj podziwiani przezeń skrycie „weterani” dywersji - Mirski i Orkan - uściśli mu dłoń. „No, teraz możemy na ciebie liczyć” - powiedział Mirski, a Garbaty uczył się tak, jakby nagle „urośli mu zęby”.

Zaiste, aparat dywersji nie był aparatem małym i prostym.

Chociaż wielkie wystąpienia dywersji są stosunkowo rzadkie, jej rozgałęziony aparat jest w codziennej pracy i ruchu.

I właśnie w tej codzienności tkwi cały specyficzny „styl” szaroszeregowych Grup Szturmowych, cała swoistość pracy tych oddziałów. Bo chociaż wszystkie oddziały dywersji mają takie same ćwiczenia i prace przygotowawcze, to jednak tylko w Grupach Szturmowych traktuje się te czynności jako „technikę” samowychowawczą, jako coś w rodzaju niezastąpionej sposobności do urabiania pożądanых cech charakteru.

Tak więc ustala się w Grupach Szturmowych „fason” punktualności. Ideał polega na tym, aby czynność wyznaczoną na godzinę dziewiątą rozpocząć nie pięć minut po dziewiątej ani pięć minut przed dziewiątą, lecz ściśle o dziewiątej. Ustala się także „fason” słowności: nie jest przyjęte ani zaklinanie się („jak Boga kocham - tak właśnie było”), ani dawanie słowa honoru

- ideałem jest to, iż każde normalne słowo stanowi świadectwo stanu faktycznego; oczywiście każde słowo powiedziane poważnie, jeśli bowiem uśmiech błąka się na ustach, usta te mogą, gdy ich właściciel jest w dobrym humorze, „zalewać” wszelkiego rodzaju wymysły.

Przywiązywano także wielką wagę do samodzielności, do zaradnej inicjatywy, do zdolności podejmowania szybkich (oczywiście rozsądnych) decyzji.

Wyjątkowo cennym punktem kodeksu Grup Szturmowych jest braterstwo. Na co dzień, w trakcie owych powszednich ćwiczeń, odpraw, zbiórek szkoleniowych rzecz polega na tym, aby przejawiać

gotowość dzielenia się z towarzyszami wszystkim, czym się dysponuje -

jedzeniem, ubraniem, domem. Zgryźliwość i dokuczliwość uważa się za coś tak samo szmatławego, jak skąpstwo lub sobkostwo; „faceta” ujawniającego, którąś z tych cech natychmiast przywołuje się do porządku krótkim: „nie wygłupiaj się”. Ale kulminacyjną manifestacją braterstwa, która zrosła się ze wszystkimi omówieniami akcji dywersyjnych i z ich próbnym ćwiczeniem, jest sprawa rannych: rannego towarzysza nie wolno zostawić.

Bardzo rzadko zdarzały się podobne wypadki w dziejach Grup Szturmowych. Akcja na Kutscherę była dostatecznym dowodem nienagannego funkcjonowania zasady braterstwa w odniesieniu do rannych kolegów.

Zasadą braterstwa obejmowała młodzież Grup Szturmowych nie tylko kolegów - towarzyszy broni. Pojmowano tę rzecz znacznie szerzej, odczuwano głęboką solidarność ze wszystkimi walczącymi bronią i oporem moralnym Polakami.

Charakterystyczny był stosunek młodzieży Grup Szturmowych do Żydów, co, jak wiadomo, jest w Polsce niejako kamieniem probierczym postawy humanistycznej. Jednym z najbardziej popularnych instruktorów w „Parasolu” był inżynier Szprotka, prowadzący szkolenie saperskie: był cywilem do szpiku kości, nigdy nie umiał porządnie zameldować się ani odebrać raportu, a jednak młodzież wojskowa „Parasola” ceniła niezwykle i otaczała wierną przyjaźnią tego niskiego, szczupłego, nieco egzotycznego mężczyznę. A w wywiadzie

„Parasola” jedną z najbardziej szanowanych była kobieta; której wymordowano w getcie całą rodzinę. - Proszę mi dawać zadania szczególnie niebezpieczne, będę je podejmowała z radością - powiedziała do Pługa.

Zresztą - co tam Szprotka i wywiadowczyni! W plutonie Mirskiego była niewielka zbiorowość Żydów lub Polaków żydowskiego pochodzenia, z którymi się współżyło i współpracowało „na sto dwa”. Ideał braterstwa realizowany w Grupach Szturmowych miał

zasięg szeroki.

Nie wszystkie ideały- szaroszeregowo zakorzeniały się łatwo. Na przykład rycerskość.

Oczywiście formy kurtuazji wobec kobiet, dziewcząt, starców, dzieci przyjmowały się szybko, bez sprzeciwów, ale rycerskość wobec wroga?

Oto problem, który dręczył, wywoływał ostre spory i właściwie nigdy nie został

rozstrzygnięty ani realizowany jednoznacznie. Hitlerowskie metody praktykowane w Polsce nie tylko utrudniały rozeznanie moralne, ale zatrzymywały wrażliwe nawet sumienia.

Sprawa rycerskiego stosunku do kobiet była znacznie łatwiejsza, choć niekiedy nie taka znów łatwa. Po wykonaniu zamachu na linii Tłuszcz - Urle młodzi ludzie z „Alka” wracali do Warszawy różnymi drogami i na różne sposoby. Dziodek i Antek znaleźli się na stacji w Wyszku. Byli oczywiście

bez broni, którą - jak wszyscy - zaraz po akcji oddali Kołczanowi. Przechadzali się wśród tłumu czekających na pociąg do Warszawy.

Tłum ten stanowiły w znacznej części kobiety w wysokich butach i chustkach na głowie, obstawione poniszczonymi walizkami i tobołami. najoczywiściej z żywnością wiezioną na sprzedaż. Szmuglerki. Istoty, które odsuwały od okupowanych miast niebezpieczeństwo głodu. W tę właśnie masę kobiet, gdy wsiadały do pociągu, wtargnęło z wrzaskiem kilku żandarmów niemieckich i zaczęto rozrzucać ich tobołki, wrywać worki, bić po głowach i twarzach. - Wsiadajmy już, bo mnie szlag trafi - mówił Antek do Dziodka, ale tamten stoi nieruchomo, wpatrzony w coś, co się dzieje przy drzwiach jednego z wagonów. Antek kieruje wzrok w tamtą stronę i widzi, jak żandarm ściąga ze stopni i bije kobietę, wydzierając z jej rąk koszyk. Dziodek wyciera chusteczką czoło i zaczyna iść w kierunku pastwiącego się nad szmuglerką żandarma.

- Co robisz, wariacie, nie mamy broni - szepcze gorączkowo Antek, starając się zatrzymać kolegę. - Odczep się i zwiewaj - mruczy Dziodek, idąc dalej.

Antek z rozpaczą spogląda na towarzysza, ale przecież go nie zostawi.

Podchodzą obydwaj do łotra w zielonym mundurze.

- Kobiety nie wolno bić - mówi po niemiecku Dziodek. starając się nadać głosowi brzmienie spokojne. Żandarm odwraca się powoli i zdejmuje z ramienia karabin. Patrzą sobie w oczy, po czym żandarm raz jeszcze uderza kobietę w głowę. Dziodek wysoki, wysportowany, skacze na stopień, wali żandarma kolanem w brzuch, spycha z wagonu i przeciskając się przez tłum wybiega ku ogrodowi przydworcowym. Za nim Antek. Skryliby się może, lecz żandarmi mieli psa. Wytropił. A ponieważ Dziodek miał przy sobie mapy sztabowe, rzucił się raz jeszcze do ucieczki. Strzał - i Polak wali się na ziemię. Inny żandarm strzela niemal równocześnie do Antka. Ludzie w panice uciekają, zostają tylko żandarmi, pies, śmiertelnie ranny Antek i zabity Dziodek. Tak, sprawa rycerskości nawet w najbardziej jednoznacznych sytuacjach nie była łatwa.

Łatwiej dało się rozwiązać inny szczegół szaroszeregowego „stylu życia”, który ongi budził

także nie kończące się dyskusje. Szczegół to obojętniejszy moralnie od poprzedniego, ale w życiu młodych mężczyzn jakże natrętny: alkohol. Na co dzień rzecz przybrała w Grupach Szturmowych tę formę, że koleżeńskie „uczty” i „biby” odbywały się bez alkoholu, że nie było picia wódki przed jakąkolwiek akcją. Wychylenia kieliszka wina natomiast nie uważano za coś niewłaściwego.

Nie leży w intencji tej opowieści sporządzenie pełnego wykazu idei, które ukształtowały się we wzór osobowy członka Grup Szturmowych. Był to - jak łatwo się domyślić - tradycyjny ideał harcerstwa, dostosowany do wieku tych młodych mężczyzn i do treści ich życia: do walki zbrojnej. Podkreślić tylko trzeba, że inteligencja kierownictwa Szarych Szeregów uchroniła Grupy Szturmowe przed pułapką pustego i jałowego werbalizmu: wzór ideowy nie był w Grupach Szturmowych przedmiotem „pogadank”, został on - w myśl najlepszej tradycji związany z techniką pracy dywersyjnej, promieniował z codziennych ćwiczeń, w trakcie ich praktykowania. Tacy ludzie, jak Andrzej Morro, Andrzej Długi, Jeremi, a nade wszystko Piotr Pomian (o którym jeszcze będzie mowa) potrafili temu wzorowi nadać ponętny w oczach młodych ludzi blask.

Na zakończenie jeszcze kilka słów o rzeczy najdelikatniejszej - o ojczyźnie. Kłopotliwa sytuacja: i w Szarych Szeregach, i w ich najstarszej gałęzi - Grupach Szturmowych - rzadko używało się słowa „ojczyzna” i słowa „Polska”. Młodzi ludzie nie lubili wymawiać tych wyrazów, działały one na nich jakoś krępująco. Roztrząsanie „miłości ojczyzny” byłoby w ich oczach czymś równie nietaktownym, jak publiczne roztrząsanie uczuć miłości do kochanej dziewczyny. Nie wiadomo kiedy i jak utarł się i głęboko zakorzenił w tym środowisku wyraz zastępczy: „służba”. Wdrażając się podczas powszednich dni dywersji w gotowość służby, usiłowali wyrabiać w sobie osobistą czujność na wezwania służby, na jej sygnały w sumieniach. I czuli, rozumieli, że owa służba to coś znacznie szerszego niż, na przykład, służba w batalionie „Zośka” czy w Kompanii Wydzielonej lub służba w Armii Krajowej.

Nie istniała w Grupach Szturmowych jakaś jednoznaczna definicja służby.

Wszyscy jednak rozumieli: człowiek nastawiony jest nie na to, aby brać, aby żądać świadczeń i honorów, lecz na to, aby dawać bezinteresownie swój czas, swą pracę, nawet swe życie.

Dawać narodowi. Ciągłe poszukiwanie sposobności do czynów pożytecznych było jedną z najbardziej charakterystycznych cech Szarych Szeregów.

Ale co innego niepopularna frazeologia patriotyczna, a co innego roztrząsanie spraw społecznych, politycznych, kulturalnych, gospodarczych.

Dla tych dyskusji rezerwowano specjalne zbiórki i nie unikano wówczas referatów. W

programie zajęć jest to dział „Pojutrze” (dział „Jutro” - to sprawy przygotowawcze do powstania). Był jeden punkt polityczny, o którym chętnie i często rozprawiali, gotowi uznać go za swój własny postulat przy urządzaniu spraw „Pojutrze”, spraw powojennych: demokracja społeczna.

Mówiło się wówczas o wolnym człowieku w wolnym świecie, o równości społecznej przez wyrównanie gospodarczych różnic i kulturalnych upośledzeń, wyrażało się nienawiść do wszelkiej tyranii.

Dyskusje światopoglądowe, podobnie jak ćwiczenia dywersyjne i przygotowania bojowe, toczyły się nie w spokojnym, bezpiecznym świecie, lecz wśród codziennych, zewsząd okrażających niebezpieczeństw. Każdej godziny każdy z tych młodych ludzi mógł stanąć w obliczu najwyższej próby życia.

Oto na przykład kilku czyści broń. Jest to jedna z najpospolitszych i zdawałoby się najbardziej bezpiecznych czynności. Ktoś puka, niczego nie podejrzewający gospodarz otwiera drzwi - żandarmeria!

Gdy Niemcy zakuwają w kajdanki celowo awanturującego się w przedpokoju gospodarza, jeden z „nakrytych” rzuca granat. W zamieszaniu i wrzawie powstałej po wybuchu drugi młody człowiek - pieśniarz i poeta Ziutek - otwiera okno i skacze... wprost na „budę” żandarmską, stojącą pod domem. Z płóciennego dachu „budy” zeskakuje na jezdnię w oczach ogłupiałych żandarmów i ucieka! Ma rozbitą piętę, ledwo więc ochłonął z wrażenia, idzie na opatrunek i niespokojny usiłuje wywieźć

się, co się stało z kolegami.

Inny przykład. Czwartego listopada Broniek Lot wyznaczył spotkanie Kruszyńce, Mrukowi i Kędziorowi w celu odebrania raportu. Wobec trudności lokalowych spotkanie zostało ustalone o godzinie siódmej rano na ulicy.

Spacerowali od pół godziny we czterech - dwóch z jednej, dwóch z drugiej strony ulicy Śmiałej na Żoliborzu i omawiali swe sprawy. Naraz - „buda” najeżona automatami. - Halt!

Hande hoch! - Widocznie jakiś agent zaobserwował ich i przywołał żandarmerię. Są we czterech, bez broni, otoczeni przez grupę niemieckich żandarmów, z których każdy trzyma wymierzoną w nich broń maszynową. Krótka indagacja, pobieżna rewizja, u któregoś coś podejrzanego znajdują w kieszeni - i teraz już bez żadnych wahań każą wsiadać do auta.

Jeden z zatrzymanych, wielki, postawny chłop, Kruszyńka, przypomina sobie przygodę Jeremiego w podobnej sytuacji. I oto nagle opuszcza obie dotąd w górze trzymane ręce: jedną uderza w pistolet żandarma z prawej, drugą wali po łbie żandarma z lewej i pędem biegnie w stronę placu Inwalidów. Gdy Niemcy zaczynają strzelać za umykającym Kruszyńką, Broniek Lot chwytą pilnującego go hitlerowca za kłapy marynarki i z całej siły rzuca nim w strzelających. Rozbiegają się wszyscy. Zupełne zamieszanie. Jeden z uciekających - Mruk -

pada ciężko ranny, Kruszyńka drze się na całe gardło: „mordują!”, powodując tym niebywały popłoch na ulicy i placu, ułatwiający ucieczkę. Niestety - dwóch tylko chłopców wyszło z tej przygody zupełnie cało: Broniek Lot i Kruszyńka. Obydwaj w trzy miesiące potem wezmą udział w akcji na Kutscherę.

„Parasol” miał w paru podobnych sytuacjach dużo szczęścia. Szczęścia?

Warto przy sposobności zauważyć, że tak zwane szczęście jest zwykle udziałem ludzi dzielnych i odważnych, przedsiębiorczych i męskich, odmawia natomiast z dziwnym uporem towarzyszenia ludziom i zespołom biernym, zalękłym, wahającym się. Kiedyś, jakimś dotychczas nie wyjaśnionym sposobem, gestapo obsadziło lokal na Wspólnej 8 m. 20, w którym miało się odbyć zebranie robocze jednej z grup przyszłego „Parasola”. Zanim młodzi ludzie zaczęli się schodzić, gestapowcy już okupowali mieszkanie i kolejno „przyjmowali” wchodzących. Gestapowców było czterech, „parasolarzy” - dziewięciu. Tamci naturalnie z bronią, ci - bezbronni. A jednak cała dziewiątka wyszła z opresji cało.

Pierwszy rzucił się do ucieczki Murzyn; zauważywszy, iż drzwi kuchenne są zamknięte tylko na zasuwkę, gwałtownym ruchem wypchnął pilnującego go gestapowca z kuchni do pokoju, gdzie była reszta, szarpnął zasuwkę i w paru sekundach zjechał po poręczy z trzeciego piętra.

Biegnącego przez podwórze trafiła kula strzelających z góry hitlerowców, ale rana w prawy obojczyk nie była groźna. Gdy wzburzeni zajściem gestapowcy ryglowali drzwi, młodzi ludzie wzrokiem porozumieli się ze sobą: nie ma co czekać zmiłowania boskiego! Robert skoczył na jednego z gestapowców i począł wrywać mu pistolet. Gustaw szarpnął ze stołu budzik i z całej siły walnął nim w łeb drugiego. Dowódca grupy, Artur, chwycił trzeciego gestapowca za gardło.

Dzika kotłowanina - bez słów, bez krzyków. Robert wyrywa wreszcie broń przeciwnikowi i strzela mu w brzuch. Trzeci gestapowiec celuje do Gustawa z odległości jednego metra.

Rysiek podbija mu pistolet i pięścią drugiej ręki wali w szczękę - i znów, i jeszcze raz.

Właścicielka lokalu, Ola, gdy mężczyźni szarpią się ze sobą, otwiera drzwi. Już dwóch naszych ma wyrwaną gestapowcom broń. Jeden gestapowiec zabity, drugi ciężko krwawi.

Walka trwa. Ola krzyczy: - drzwi otwarte! - Strzelając do ostatniego gestapowca wybiegają.

Robert jest ranny w bark, ale ocaleli wszyscy. Nie tylko ocaleli - zdobyli jednego visa i dwa pistolety FN.

A oto inny przykład szybkiej orientacji. Florian-Jagiełło, zastępca dowódcy kompanii „Rudy”, jedzie na rowerze przez miasto. W teczce zawieszony na ramie między kierownicą a siodełkiem - broń i instrukcje bojowe. Nagle na wiadukcie przy Dworcu Gdańskim - patrol.

Halt! Florian hamuje, lecz zamiast zeskoczyć z roweru staje okrakiem nad ramą, zasłaniając swym ciałem tęczkę. Dowód osobisty, obmacują kieszenie na piersiach, przednie i tylne kieszenie spodni... Puścili.

I jeszcze jeden wypadek. Pewna piątka zebrana na Sowiej przechodzi zaznajamianie z bronią.

Jest to jedna z najelementarniejszych, codziennych czynności w dywersji. Jakiś nieumiejętny ruch... i strzał. Ktoś pada, jest poważnie ranny. Dwóch wybiega natychmiast, aby sprowadzić pomoc. Na szczęście znają „chody” na Dużą Zosię z sanitariatu. Na szczęście również Duża Zosia jest w domu.

Duża Zosia nie jest wcale ani wysoką, ani grubą osobą. Przeciwnie - jest niska i drobna. Dużą zaś została dlatego, że jest „ważna”, jest szefem sanitariuszek „Zośki”. Studiowała na konspiracyjnych kompletach medycznych.

Z kompletów tych ściągnęła do „Zośki” wiele swych koleżanek i stworzyła wraz z nimi trzon sanitariatu Grup Szturmowych. Ma dwadzieścia trzy lata, jest więc o rok lub o parę lat starsza od większości swych podkomendnych, ale nie to, jest źródłem jej autorytetu w Grupach Szturmowych. Autorytet Dużej Zosi płynie z jej fantastycznego związania się ze służbą. Nie ma trudu, nie ma zadania, którego by się nie podjęła. Ponieważ zaś Duża Zosia nie przejawia wcale nastrojów flirciarskich i wszystkich młodych ludzi traktuje najzupełniej jednakowo -

bardzo serdecznie i bardzo po koleżeńsku, ponieważ ponadto jest odważna, dobra i wierna każdemu swemu słowu, chłopcy mają do niej ogromne zaufanie i wielkie przywiązanie.

I teraz Duża Zosia pędzi do pani Stasi, swej przełożonej w sanitariacie z ramienia Kedywu, i obie zdobywają miejsce w szpitalu dla rannego (naturalnie „Malta” niezawodna w nagłych wypadkach). Biorą do pomocy dwóch sanitariuszy szpitalnych z noszami (zgłosili się sami: -

Pani Stasiu, pewnie pani znów tam ma coś do zrobienia? My bardzo chętnie). Szybko idą na Sowią. Jest ciemno, choć oko wykol. Na Sowiej kręcą się jacyś młodzi ludzie, którzy zaczepiają grupę

sanitarną, napędzając trochę strachu, gdyż dopiero potem okazuje się, że to obstawa rannego przez kolegów. Oto wreszcie mieszkanie niefortunnego strzelca. Krótkie, pobieżne badanie - puls dobry. Na nosze więc, na głowę kolorowa chusteczka, młody chłopiec może z powodzeniem udawać dziewczynę, a tak jest zawsze lepiej. Ruszają.

Deszcz, śnieg, błoto, ciemno, że o krok nic nie widać. Wreszcie - oświetlone ulice, jakiś patrol niemiecki i po kilkudziesięciu minutach szpital, w którym już czeka umówiony chirurg.

Sanitariat, na który nie orientujący się chłopcy nieraz sarkali głośno i kwieciście, robił, co mógł, aby swym pupilom służyć w każdej potrzebie.

Oczywiście ludzie ci nie mieli wpływu na każdą sytuację i na nie zorganizowanych lekarzy -

znamy przykład fatalnych perypetii rannych po zamachu na Kutscherę. Ale tam, gdzie mogli zrobić coś, byli wprost rozbrajający w swej trosce o chłopców. Zorganizowali nawet leczenie zębów swym pupilom i był taki miesiąc, że z opieki dentystycznej skorzystało aż sto dwadzieścia osób, dopiero Kedyw musiał interweniować, nakazując większy umiar. Ale co tam zęby! Zdarzały się jeszcze czulsze dowody troski sanitariatu: Oto zgłasza się pewnego dnia do „ambulatorium” Kedywu, czyli do pani Stasi - o określonej godzinie, na umówionej ławeczce w parku Szpitala Ujazdowskiego - młody, dwudziestoletni człowiek.

- Proszę pani, żona moja spodziewa się dziecka.

- Żona pana? Proszę wybaczyć pytanie, a ile ma lat?

- Siedemnaście.

- Ach Boże, kiedyż spodziewacie się tego dziecka?

- Nie bardzo się orientuję, żona mówi, że lada dzień.

- A macie przygotowaną wyprawkę? Pieluszki i wszystko inne, co potrzeba?

Chwila wahania, a potem z pewnym ociąganiem:

- No, nie... Jakoś się tak złożyło... Właśnie przyszedłem z tym do pani, bo nie bardzo wiem.

co robić...

No i sanitariat zajął się przygotowaniem wyprawki oraz opieką nad maleństwem, gdy przyszło na świat. Duża Zosia była uszczęśliwiona: skończyła niedawno kurs dla położnych, pragnęła zostać ginekologiem - taka okazja! Notabene, było to jedno z pierwszych młodziutkich małżeństw zawartych na gruncie dywersyjnego koleżeństwa. W czasie powstania pojawiło się ich więcej.

Tak oto w tych dniach uśmiech i radość przeplatały się z bólem i grozą lęku. Rodzące się życie ze śmiercią.



Ze śmiercią...

Wypadek Maćka był przykładem, że nawet śmierć szła w tych czasach jakimiś dziwnymi drogami.

Cały niemal batalion „Zośka” znał Maćka. Legendy krążyły o jego niesłuchanej nawet jak na Grupy Szturmowe odwadze. To on, obok Zośki, zdecydował w krytycznej chwili o zwycięstwie pod Celestynowem, podbiegając w pełnym świetle latarni kolejowych do drzwi więźniarki, z której mierzyły lufy niemieckich pistoletów. To on odznaczył się pod Arsenalem i w Sieczkach. Trzykrotnie otrzymał Krzyż Walecznych. Opowiadano o nim, że uśmiecha się i pogwizduje nawet wtedy, gdy do niego bezpośrednio mierzą z pistoletów. Wprawdzie Czarny Jaś i kilku innych sarkano, że Maciek zanadto wchłania w siebie styl oficerski, że nie docenia idei szaroszeregowych, a jego mania gry w bridża jest denerwująca, ale ileż satysfakcji sprawia widok Maćka! Oto idzie ulicą wysoki, sprężysty. Głowa uniesiona ku górze, oczy śmiało patrzą w oczy innych ludzi, na wargach uśmiech, często gwizdże jakąś melodyjną piosenkę. Na głowie nie nosi nigdy kapelusza ani czapki. W pogodę i w deszcz, w wiatr i w słońce falują bujne włosy. Nic dziwnego, że ten człowiek, dowódca pierwszej kompanii w „Zośce”, jest uwielbiany przez swych przyjaciół. Zarówno bezgraniczna odwaga, jak i wysokie poczucie obowiązku, zmysł sprawiedliwości i zdolności organizatorskie -

wszystko to zdawało się przeznaczyć Maćka do odegrania w Grupach Szturmowych wybitnej roli. I jeśli ma już Maciek kiedy zginąć, to zginie niewątpliwie jak bohater.

A tymczasem...

Wyszedł na miasto, aby załatwić szereg spraw swojej kompanii. Na rogu Rakowieckiej i Alei Niepodległości przystanął, umówił się tu na spotkanie z łączniczką. Kiedy tak stał, pojawił się na ulicy sześć- czy nawet ośmioosobowy patrol niemiecki, jadący tak zwaną „wanną”.

Dlaczego wóz stanął przed Maćkiem? Dlaczego żandarmi wyskoczyli koło niego z wozu?

Dlaczego otoczyli właśnie jego? Nie dowiedziano się o tym nigdy.

Zażądali okazania dowodu osobistego. Przeglądają podaną kenkartę. Stoją gęsto, z rozpylaczami gotowymi do strzału.

I Maciek został wzięty; ślad po nim zaginął. Zaginął tak dokładnie, że domyślać się tylko można, iż w lutym 1944 roku został rozstrzelany na Pawiaku.

Zginął Maciek Bittner fizycznie, nie zginęła jednak pamięć o nim wśród rozmiłowanych w nim przyjaciół i kolegów. Pierwsza kompania „Zośki” została kompanią „Maciek” (w tym właśnie czasie „Felkowcy” zabrali ze sobą imię Felka do jednego z plutonów kompanii

„Rudy”). I tak jak chłopcy „Rudego” zespolili się z Rudym i usiłovali nawiązać do jego postawy, tak teraz chłopcy „Maćka” będą w sercach i w wyobraźni nosić wzór swego przyjaciela dowódcy i naśladować jego otwarte spojrzenie i szaleńczą odwagę, jego poczucie honoru i pogardę rzeczy małych. Ale także - jego nieco sceptyczny stosunek do niektórych szaroszeregowych treści

wychowawczych.

Następnym po Maćku dowódcą pierwszej kompanii (teraz kompanii „Maciek”) był Andrzej Malinowski, o wojennym imieniu Włodek. I jego los przesądził przypadek. Jechał z szoferem ze swojego oddziału - Januszem samochodem organizacyjnym przez miasto, wioząc coś

„paskudnego”. Na placu Unii Lubelskiej zatrzymał ich patrol żandarmerii i już z pierwszych poczynań indagujących żandarmów Włodek pojął, że zostaną wzięci. Nie wahał się długo.

Spojrzał na szofera - zrozumieli się. Chwilę gmerali w kieszeniach, jakby poszukując ausweisów, potem nagle szarpnęły drzwiczki i gwałtownie pobiegli. Janusz - w kierunku Polnej, Włodek - w przeciwną stronę, ku Chocimskiej.

Przy wylocie Chocimskiej było spore pole ziemniaków, zasadzonych, zwyczajem lat okupacyjnych, na wolnej powierzchni pomiędzy ulicami Bagatelą a Chocimską. tuż za placem. Ale plac Unii to jedno z najgorszych do ucieczki miejsc w Warszawie, o paręset kroków stąd - koszary lotnicze, paręset kroków w innym kierunku - gestapo.

Gdy Włodek dopadł kartofliska, dostał pierwszy postrzał, a po minucie susów przez kępy ziemniaczanej naci - zwalił się jak długi; teraz dostał całą serię kul w nogi. Usiłował pełznąć, ale wnet zaprzestał. Żandarmi nie podchodzili. Obawiali się. Strzelali tylko z daleka.

Nigdy nie będzie wiadomo, o czym myślał Włodek, kiedy leżał nieruchomo w kartoflisku, ale wiemy dobrze, co w tych kilku minutach czynił, albowiem dramatyczną sytuację obserwowało z okien sąsiednich domów wiele ludzi.

Widziano, jak wydobywa z kieszeni parę karteczek, drze je na drobne kawałki, rozprasza je, zakopuje grzebiąc ręką w ziemi lub wkłada do ust.

Czy byłoby zbyt śmiałe przypuszczenie, iż w minutach swej własnej śmierci Włodek myślał przede wszystkim o innych, nie o sobie?

Gdy nadbiegła na plac setka lotników, Włodek odpoczywał po wysiłku niszczenia kartek.

Teraz już wielka gromada zielonych i szarych mundurów posunęła się naprzód. Cisza. A potem - liczne strzały z wielu luf.

Ranny został dobity.

Drugi uciekający - Janusz, ocalał.

Codzienne, normalne życie ludzi dywersji jeżyło się od niespodzianek i przygód, o których nigdy nie wiadomo, czy są drobne, nieważne, czy doniosłe w skutkach. Czasem drobiazg, rzecz niewarta uwagi, kończył się stratą najcenniejszych jednostek; kiedy indziej wyprawa przygotowywana z dużym napięciem nerwów i woli rozładowywała się w pogodnej przygodzie.

Tak było na przykład z jeszcze jedną przygodą czerwonego Forda, samochodu słynnego w całej „Zośce”, który brał szczęśliwy udział w niezliczonych drobnych i niedrobnych akcjach.

Tym razem wpadł tuż przed słynną „Akcją Góral”. Chodziło o zajęcie samochodu przewożącego do Banku Emisyjnego sto dziewięć milionów złotych.

Akcja niesłychanie efektowna, całkowicie udana i jakże doniosła w skutkach.

109 milionów do skarbu podziemnego - to nie byle co! Nie miejsce tu na szerszą relację o tej akcji, gdyż rola „Zośki” ograniczała się w niej tylko do delegowania oddziału ubezpieczającego (dowodził tym oddziałem Maciek), co zostało wykonane bez zarzutu. Otóż bezpośrednio przed ową „Akcją Góral” policja granatowa zatrzymała czerwonego Forda.

Uciekający kierowca zgubił pistolet, wydawało się więc, że rola samochodu jest dla policji jasna. Ale ponieważ czerwony Ford i drugi samochód, który wpadł z nim razem, są niezbędne dla szykowanego przedsięwzięcia, mającego się odbyć następnego dnia, Jerzy i Andrzej Morro decydują się na krok ryzykowny, ale mogący z miejsca zapewnić dobre załatwienie sprawy.

Andrzej - w wielkiej maciejówce i ciemnych okularach - udaje się do XXIII komisariatu policji przy ulicy Słupeckiej, aby wydobyć z powrotem czerwonego Forda i jego towarzysza.

Po długich kluczeniach i mętnych dwuznacznikach w rozmowie z dyżurnym oficerem policji sprawa zostaje wreszcie postawiona prosto:

- Niech pan powie krótko: szmugiel czy organizacja?

Długie, uważne spojrzenie w oczy.

- Organizacja.

- To niech pan bierze te swoje wozy.

Następuje piętnastominutowe omawianie szczegółów technicznych przejęcia obu samochodów i serdeczny uścisk dłoni.

Gdy wychodzący Andrzej mija stojącego w bramie posterunkowego policji granatowej, ten zwraca się doń sarkastycznie:

- Panie, zdejm pan tych ludzi, o, tych tu, co tak w tę i we w tę chodzą, bo jeszcze powstanie zrobią.

I znów życzliwe uśmiechy. A dzieje się to wszystko w środowisku policji granatowej, o której wiadomo, że tyle popełniła łajdactw i z którą trzeba być zawsze na baczności. Tam także są, jak widać, ludzie. Jeszcze tego samego wieczoru czerwony Ford z towarzyszem wrócił do swej codziennej służby.

Specjalne szczęście dobrego wychodzenia z drobnych przygód ma Kuba. Jest prawie tak samo odważny jak Maciek, był zresztą dowódcą plutonu w kompanii Maćka. Los jego tym jest odmienny

od losu Maćka, że wokół Kuby roi się od drobnych przygód związanych ze służbą w dywersji, ale przygody te z reguły kończą się nie tylko dobrze, lecz zwykle na wesoło.

Ciągle „paliło” mu się mieszkanie i na skutek tego musiał przebywać częściej u znajomych i obcych niż w swoim własnym domu. Kilkakrotnie zjawiała się u niego policja i raz jakiś Niemiec po cywilnemu, ale usłyszawszy, że „młodego pana Konrada Okolskiego nie ma w domu” - odchodzili.

Na skutek swych perypetii Kuba tak często zmieniał dowody osobiste i nazwisko, że w końcu sam się w tym nie mógł połapać. Parokrotnie, czerwieniąc się z zakłopotania, musiał podczas legitymowania się dyskretnie zerkać na otwierany dowód osobisty, aby przypomnieć sobie

„własne” nazwisko! Ale zawsze zdążył końcem oka uchwycić na czas „swoje” personalia i jakoś unikał groźnej wpadki.

W oczach ideowych przywódców Grup Szturmowych Kuba przejawiał taką samą jak Maciek czułość wobec wszystkiego, co wojskowe, zarówno tego, co w treści wojska jest piękne i wielkie, jak i tego, co w obyczajowości wojskowych jest nieciekawe. Kuba zdawał się nasiąkać obyczajowością wojska i na niektóre dawne ideały zaczynał spoglądać z lekkim uśmiechem. Tylko w tępieniu picia alkoholu był twardy.

Jakże ten Kuba był „morowy”! Nawet wówczas, gdy w grę wchodziły kule - u Kuby kończyły się sprawy na wesoło. W czasie którejś akcji dostał w nogę.

Pocisk rykoszetem zranił Kubę w nogę i utkwiał w mięśniu tuż przy kości.

Przez dłuższy czas Kuba pysznił się tą kulą w nodze i tonem protekcyjnym odzywał się do kolegów: - No i cóż? Czy jest kto w „Zośce”, kto by chodził zdrow i cały z kulą w ciele?

Oczywiście Andrzeja Długiego, który nosił swoją kulę w czaszce, nie liczę, bo co tam jakaś głupia czaszka, ale noga, podstawowy organ żołnierza, kto z was nosi kulę w nodze? Wkrótce jednak Kuba prześcignął Długiego bezapelacyjnie. Któregoś dnia, zatrzymany przez patrol niemiecki, połknął nabój pistoletowy zapomniany w kieszeni! Odtąd miał już dwa pociski w organizmie, o ile, rzecz naturalna, temu drugiemu nie dokuczył pobyt w Kubowym żołądku.

Jeśli chodzi o broń, to specjalnością Kuby było nie tyle połykanie pocisków, co gubienie pistoletów. Opowiadano w „Zośce”, że w czasie swej kariery w Grupach Szturmowych Kuba zdążył zgubić cztery pistolety. Liczba ta zresztą wymaga korekty, z kolei bowiem zdarzyło się Kubie również znaleźć pewnego dnia „czterdziestkę”. Krążyły wprawdzie pogłoski, że znaleziony pistolet ma numer jednego ze zgubionych przez Kubę, ale Kuba traktował te pogłoski jako rozsiewane przez wrogą agenturę.

A jego tubalny głos! Gdy kiedyś rozgadał się w nocy opowiadając Leszczycowi konspiracyjne anegdoty, zapukała do drzwi delegacja zaniepokojonych lokatorów: czy nie można by nieco ciszej mówić o tej konspiracji?

Śmiali się z tych przygód Kuby jego koledzy, śmiał się i sam Kuba. Ale te małe, wesołe przygody za

każdym razem graniczyły z czymś, co łatwo mogło uśmiech dowcipu przekrzywić w grymas lęku i spazm bólu.

Uwaga! Dotknęliśmy oto jednego z najpoważniejszych niebezpieczeństw Grup Szturmowych, niebezpieczeństwa społeczno-moralnego. Był mianowicie w ich niepisanym kodeksie punkt, który przyjmowano ze szczególną łatwością i aprobatą: nawet w najcięższych okolicznościach trzeba umieć zagwizdać. Ten „fason” manifestacyjnego pokpiwania w sytuacjach poważnych i groźnych przeradzał się w atmosferę błyskotliwego humoru podczas codziennego życia ludzi Grup Szturmowych. Widzieli w tym swoistą formę protestu przeciwko wytwarzanej przez wroga atmosferze lęku, przygnębienia, beznadziei. A zresztą -

byli tacy młodzi...

I oto akcja bojowa staje się w ich oczach grą. Niekiedy mówią: Wielka Gra. Określenie to zostanie ulubioną formułą Szarych Szeregów. Trzon formuły jest niewątpliwie zdrowy -

promieniuje męską dzielnością. Ale na jego otoczce czyhają niebezpieczne potknięcia. Na przykład - jakże łatwo ześliznąć się na traktowanie samej wojny jako gry. Albo - jakże łatwo uważać, że tylko gracze się liczą, gdyż oni decydują o wynikach gry.

To drugie niebezpieczeństwo wypaczeń szczególnie blisko nawiedzało niektórych ludzi Grup Szturmowych i niektóre ich zespoły. Przejęci swą rolę często nie dostrzegali, nie odczuwali sytuacji swego otoczenia. Gotowi byli traktować sprawy swego otoczenia, jego troski i niebezpieczeństwa jako coś mniej ważnego od trosk i niebezpieczeństw własnych, ludzi prowadzących grę.

Na przykład Filowi ciągle „paliło” się mieszkanie, zgłaszał się do coraz innych przyjaciół, krewnych, znajomych po schronienie. Nie odmawiano, przyjmowano - ruchliwy, bojowy Fil

„palił” po pewnym czasie dom, który go gościł. Czy losy gospodarzy „palonych” mieszkań zawsze kończyły się dobrze?

Plutony potrzebowały dziesiątków lokali na kontakty, pocztę, magazyny - mieszkań tych dostarczali często „stuprocentowi cywile”, ludzie zapracowani zdobywaniem środków na utrzymanie rodzin - ich losów, gdy pośliznęła się noga któremuś z konspiratorów, nie utrwaliła legenda, choć imię ich Dziesiątki Tysięcy. A matki, ojcowie, dziadowie prowadzących grę?

Któż, o Boże, spośród nas, pędzących czynne w czasie pięciolecia okupacyjnego życie, nie jest nawiedzany podczas bezsennych nocy przez twarz lub twarze „nieaktywnych”, których naraził na cierpienia? Były to często postacie o najwyższych cnotach narodowych. Na przykład pani Zofia Możdzeniowa. Wynajęła mieszkanie przygodnemu lokatorowi, lokator w czasie jednej z konspiracyjnych katastrof opuścił mieszkanie, a panią Zofię z szesnastoletnim synem wzięło gestapo i dręczyło pytaniami o lokatora. Znała adres jego najbliższej rodziny, jednak nie powiedziała. Zachowała lojalność narodową wobec obcego człowieka, który wyrządził jej mimo woli tak straszną krzywdę. Nie wyszła ona ani jej syn z rąk gestapowskich.

Wielu bojowców usiłowało nie zauważać, iż stają się mimowolną przyczyną dręczącego niepokoju

swego otoczenia, że narażają je na najcięższe próby.

Wojna! Ale nawet najwrażliwsi z nich, ci, którzy mocno cierpieli nad losem wiecznie zagrożonych i wiecznie niespokojnych rodzin, byli z konieczności - jak to ktoś scharakteryzował - „surowi, jeśli nie okrutni, w zewnętrznych formach swego stosunku do rodzin, nieustannie narzucając matkom godziny i dnie łamiącego serce niepokoju”.

Nawet Andrzej Morro.

Kiedyś przyszedł do domu dziesięć minut po godzinie dziewiętnastej, to znaczy po godzinie policyjnej.

- Zmiłuj się, Andrzej - powiedziała matka - czyż nie możesz przychodzić dziesięć minut przed godziną policyjną, zamiast dziesięć minut po?

- A cóż by się stało, gdybym zupełnie nie wrócił? Jeżeli zginę, przecie mama wie, za co -

odpowiedział syn. Trzymał wprawdzie w swych dłoniach rękę matki, lecz patrzył twardo w jej oczy.

Ale widocznie we wzroku matki dostrzegł coś, co go zreflektowało. Gdy w kilka dni później wpadł do domu znów kilka minut po godzinie policyjnej, był zgrzany, spocony, serce waliło; najoczywiściej biegł.

- Przepraszam - powiedział do matki.

Niestety, owo „przepraszam” nie zakończyło konfliktu między postawą syna i postawą żołnierza konspiracji.

Tak było zresztą w setkach tysięcy polskich domów.

Jedna z matek opowiada:

- Wyszli. Nie Myło ich całą noc. Nie mogłam spać. Nie mogłam usiedzieć na krześle. Było mi zimno, ręce się trzęsły, choć gorąco biło od pieca. Kiedy rankiem usłyszałam na schodach ich kroki, myślałam, że serce rozsadzi mi piersi, że zemdleję z radości.

A pewna staruszka, która czuwała przy oknie lokalu kontaktowego, ofiarowanego przez nią jednemu z oddziałów „Zośki”:

- Boże, jak bardzo się bałam... Zaczynałam się bać już od samego ranka w dniu ich wizyt, a potem w nocy nie mogłam nigdy zasnąć ze zdenerwowania. Za same moje nerwy powinnam dostać krzyż po wojnie. - Młodzi ludzie, wpadający do tego lokalu, uśmiechali się życzliwie do staruszki, lecz wnet zapominali o jej istnieniu. Nie znali jej, nie interesowali się nią, nie myśleli o niej.

To prawda - jest wojna i nie wolno się rozklejać. Kto się rozklei, zginie. Tylko dzielni, umiejący przechodzić obok uderzającego piorunu z uśmiechem na twarzy, spychający ze świadomości nieszczęścia nawet najbliższych, tylko ci, wciąż twardzi, ufni i wierzący, mogą przetrwać i

zwyciężyć w tej najokrutniejszej z wielkich gier.

Ale:

Czy wielka gra polskiej konspiracji nie była niekiedy mało fraszobliwa?

Czy nie nazbyt szeroka i ruchliwa? Czy nie za dużo było tej aktywności i czy to była zawsze aktywność wojennie konieczna?

## VII. AGRIKOLA

Agrikola - to kryptonim szkoły podchorążych Szarych Szeregów. Kryptonim nawiązywał do legendy wyrosłej wokół sławnej Szkoły Podchorążych 1830 roku.

Tej, która rozpoczęła Powstanie Listopadowe. Na terenie Agrikoli, koło pomnika króla Jana Sobieskiego, tamci podchorążowie sprzed stu dziesięciu lat mieli składać konspiracyjne przysięgi.

Już w drugim roku wojny zorganizowana została w Warszawie przez Związek Walki Zbrojnej (później Armia Krajowa) podziemna szkoła podchorążych.

Składała się z klas liczących 5-7 ludzi. Na czele każdej klasy stał oficer.

Jeden turnus trwał pół roku.

Gdy Szare Szeregi związały się ściślej z wojskiem, wyłonił się problem przyszłych kadr oficerskich dla tej młodzieży. Nie był to zresztą tylko problem szaroszeregowy - każda z konspiracyjnej organizacji społecznych, politycznych, kulturalnych, które oddawały swą młodzież do podziemnego wojska, pragnęła mieć w tych grupach zespół dowódców z własnych szeregów i zachować wpływy na formowanie się przyszłego narybku oficerskiego dla „swoich” oddziałów. Stanowisko wojska było, rzecz zrozumiała, odmienne: pragnąc zachować swą podstawową tradycję, wojsko chciało scalać, cementować, łączyć w jeden organizm wszystkie te grupy i grupki, które zgłaszały gotowość służby zbrojnej. Dopiero w toku wielu dyskusji i doświadczeń przywódcy polskiego życia pod okupacją znajdą możliwie rozsądne rozwiązanie tych rozbieżności.

Tak więc gdy kierownictwo Szarych Szeregów zaczęło na przełomie 1941/1942 r. zabiegać o szkolenie ludzi we własnych klasach szkoły podchorążych, czynniki wojskowe ustosunkowały się do tego nieżyczliwie. Przecież cały wysiłek polityki wojskowej idzie w tym kierunku, aby zacierać wśród żołnierzy ich dawne „patriotyzmy” organizacyjne, aby wytwarzać patriotyzm wojska ogólnonarodowego. Pierwsze turnusy podchorążackie były typowo wojskowe. Celowo „wtapiały” swych elewów w wojsko: Żadnych swoistości szaroszeregowych.

A jednak instancje wojskowe uległy argumentom systematycznie i wytrwale powtarzanym, argumentom nie tylko słów, ale nade wszystko argumentom faktów, związanych z pracą Szarych Szeregów w małym sabotażu i dywersji.

- Nasza siła i nasza wartość polega nie na odwadze i zdolnościach tych czy innych ludzi, lecz na naszym związku z tradycją ideową i z mocno stawianym pojęciem służby nie tylko na okres wojny, lecz także w kraju wyzwolonym. Jeśli zespoły nasze są dobre w walce, trzeba im umożliwić kontynuowanie na terenie wojska ich swoistych właściwości - o ile się je chce utrzymać „w formie”.

Tak mniej więcej tłumaczył sprawę wyższym oficerom pierwszy naczelnik Szarych Szeregów

- Florian Marciniak.

Po długich wahaniach zezwolono na próbę zorganizowania pięciu klas podchorążych z Szarych



Szeregów. Ale - bez żadnej autonomii! Normalna podchorążówka - tyle tylko, że element w tych klasach będzie szaroszeregowy.

Taki był początek Agrikoli.

Konspiracyjna podchorążówka nie była zabawką. Szkolenie teoretyczne odbywało się dwa razy w tygodniu i trwało za każdym razem po osiem godzin.

Jeśli ruszano na ćwiczenia praktyczne w teren, każda wyprawa trwała dwadzieścia cztery godziny. Niekiedy jedną noc spędzano na ćwiczeniach terenowych, drugą poświęcano teorii.

Bardzo szczęśliwym posunięciem ze strony Szarych Szeregów stało się wyznaczenie na opiekuna z ich ramienia dla szaroszeregowych klas podchorążówki zastępcy naczelnika Szarych Szeregów - Eugeniusza Stasieckiego, używającego pseudonimu wojennego Piotr Pomian.

W czasach przedwojennych Piotr był hufcowym w Częstochowie i nauczycielem szkoły powszechnej. Zdawałoby się, że jeden z tych, których setki tysięcy żyje, pracuje pożytecznie i znika bezgłośnie ze świata.

I oto w konspiracji i walce otoczenie Piotra ze zdumieniem zaczyna obserwować tego nie znanego nikomu w stolicy przybysza z prowincji. Jest ujmujący w sposobie bycia. Interesuje się tak wieloma zagadnieniami, że każde zetknięcie z nim zawsze coś pozostawia. Jest uczynny i oddany tym, którzy są powierzeni jego kierownictwu. Ale nade wszystko - to przecież oficer rezerwy, i to oficer starannie wyszkolony i dobrze to wyszkolenie pamiętający.

Zna się nie tylko na pedagogice i psychologii wychowawczej (z obu tych przedmiotów robi magisterium na tajnych kompletach uniwersyteckich), ale także na cekaemach i erkaemach, na taktyce plutonu piechoty i na regulaminach służby wewnętrznej. Ma przy tym dobrą postawę żołnierską, umie być ostro wymagającym, autorytatywnym, bystrym w ruchach i rozkazach. Ten człowiek potrafił zaimponować młodzieży Grup Szturmowych zarówno swym charakterem i poziomem umysłu, jak też swą wiedzą i postawą wojskową, swymi zdolnościami dowódczymi. Delegowanie do czuwania nad Agrikolą Piotra Pomiana było szczęśliwym, posunięciem kierownictwa Szarych Szeregów.

Przez pół roku odwiedzał on regularnie „swoje” klasy. Rozmawiał z prowadzącymi je oficerami, rozmawiał z chłopcami, bywał z nimi na ćwiczeniach, w ćwiczeniach tych brał

czynny udział. Zaprzyjaźniał się łatwo i jego młodszy przyjaciele ani się spostrzegli, jak ich ogarniał jego wpływ.

Wokół tego trzydziestoletniego mężczyzny o bardzo śniadej cerze, dobrych oczach, w których raz po raz migają twarde błyski, powstawała wszędzie tam, gdzie wchodził, atmosfera zaufania, życzliwości i czystości moralnej.

Z pierwszych klas Agrikoli wyszli nie tylko podchorążowie, wyszli stamtąd dobrzy podchorążowie, ze zdobyczami zarówno w dziedzinie zaprawy żołnierskiej, jak i z osiągnięciami w zaprawie duchowej. Prędko poznały się na tym Grupy Szturmowe. Wolniej orientowało się dowództwo

wojskowe.

Dopiero gdy w następnym turnusie inspekcjonujący podchorążówkę oficerowie stwierdzili nieprzeciętnie wysoki poziom klas szaroszeregowych i, zaintrygowani tym, zaczęli przeprowadzać porównania i wyciągać wnioski, wynikły dla Agrikoli konsekwencje przechodzące wszelkie oczekiwania.

- Możecie podnieść liczbę wyższych klas do dziesięciu. Zgadząmy się na autonomię waszego zespołu. Piotra Pomiana wysuwamy na komendanta tej autonomicznej grupy. Jeśli pragniecie wprowadzać do zajęć jakieś własne programy, podajcie, rozpatrzemy i z góry obiecujemy życzliwe traktowanie waszych postulatów.

A po pół roku:

- Możecie podnieść liczbę klas waszej Agrikoli do trzydziestu i wyżej.

Godzimy się na utworzenie przez was waszej własnej podchorążówki z waszym własnym komendantem, z waszymi własnymi programami przez nas oczywiście zatwierdzonymi.

Życzymy powodzenia!

Przez pierwsze turnusy podchorążówki przeszli wszyscy kierownicy Szarych Szeregów z naczelnikiem na czele oraz całe dowództwo Grup Szturmowych - z Zośką, Rudym, Alkiem, a potem z Andrzejem Morro i Jeremim.

Oparcie niektórych elementów szkolenia podchorążackiego na tradycyjnych ćwiczeniach harcerskich dało doskonałe wyniki. Szkice topograficzne Andrzeja Morro krążyły po wielu oddziałach, pięknie podklejone płótnem, jako wzór tego rodzaju roboty. A modele kładek i mostów polowych wykonanych przez Jeremiego stały się załączkiem podręcznego muzeum modeli wojskowych.

Niestety - krótkotrwałym załączkiem, gdyż w czasie jakiegoś kolejnego niepokoju wszystko to w szybkim tempie powędrowało do pieca.

Agrikola była niewątpliwie placówką udaną. Wytworzyło się w niej to, co decyduje o powodzeniu każdego zespołu: poczucie grupowej więzi, poczucie wspólnoty. Nastroje swoistego patriotyzmu agrikolaków umacniały piosenki Jurka, jednego z tych harcerzy, którzy swój związek duchowy z Szarymi Szeregami i z Agrikolą ujmowali w rytm piosenki.

Udawało mu się to lepiej od innych i po pewnym czasie cała Agrikola, a wnet potem -

oddziały Grup Szturmowych i całe szaroszeregowe bractwo śpiewało jego piosenki.

W Agrikoli oczywiście najpopularniejsza była ta własna, o Dorocie: Kiedy drogą szła piechota, to z uśmiechem swym Dorota Otworzyła ścieżaj wrota - w pierwszej czwórce poszła w świat I jak stoi gdzieś w żołnierskiej, starodawnej tej piosence, To dziewczęce swoje serce w Agrikoli dała nam.

Bo Dorota roześmiana ma dla wszystkich jasny wzrok,

Przed Dorotą rozkochana wiara daje równy krok.

Przed Dorotą, przed Dorotą - bacność i na prawo patrz, A gdy skinie główką złotą, w piekło, w ogień za nią skacz.

Agrikoli stromą drogą oko w oko stając z wrogiem

Dziś szeregi idą młode, by Ojczyźnie służyć krwią:

Od pomnika króla Jana idzie wiara nasza szara,

Śpiewa wieczór, śpiewa z rana - o Dorocie piosnkę swą.

Bo Dorota roześmiana ma dla wszystkich jasny wzrok...

Piosenkę o Dorocie śpiewano przy lada sposobności, śpiewano we wszystkich klasach.

Podchorążówka była oczywiście zespołem męskim, ale niewyłącznie - jedna z klas uformowana została z dziewcząt, którym udało się uporczywymi naleganiami przekonać niechętnych o tym, że są stworzone do prac i walk typu żołnierskiego... Czy wśród tych dziewcząt była jakaś Dorota - to wątpliwe. Był to w istocie rzeczy kryptonim czwartego turnusu, w którym odbywał swe przeszkolenie Jurek. Turnus oznaczono literą D. „D - jak Dorota”.

Jurek był pieśniarzem Agrikoli. Bonawentura natomiast stał się jej poetą.

Jego wiersze robiły zawsze wrażenie.

Szczególnie często powtarzano w Agrikoli „Modlitwę”, otaczając ten wiersz atmosferą powagi i nastroju niemal modlitewnego:

Od wojny, nędzy i od głodu

Sponiewieranej krwi narodu,

Od łez wylanych obłąkanie

Uchroń nas, Panie.

Od niepewności każdej nocy,

Od rozpaczliwej rąk niemocy,

Od lęku przed tym, co nastanie,

Uchroń nas, Panie.

Od bomb, granatów i pożogi,

I gorszej jeszcze w sercu trwogi,

Od trwogi strasznej jak konanie

Uchroń nas, Panie.

Od rezygnacji w dobie klęski,

Lecz i od pychy w dzień zwycięski,

Od krzywd - lecz i od zemsty za nie

Uchroń nas, Panie.

Uchroń od zła i nienawiści.

Niechaj się odwet nasz nie ziści.

Na przebaczenie im przeczyste

Wlej w nas moc, Chryste.

Byli tacy, którzy przejęci siłą wyrazu „Modlitwy” oraz czystością jej chrystianizmu uważali ten utwór Bonawentury za wyznanie wiary Grup Szturmowych. Ale byli i inni, których raził

w „Modlitwie” brak akcentów twardości żołnierskiej. Kuba, niewrażliwy na subtelności poezji, namawiał Bonawenturę, aby jeśli już pisuje wiersze, zaniechał wzniosłości i nie żałował mocnych słów.

W takiej oto atmosferze wzrastało wśród ćwiczeń, odpraw i wykładów młode pokolenie wojskowych dowódców. Oczywiście cuda zdarzają się rzadko.

Niestety, nie udało się w Agrikoli zupełnie wyrugować tradycyjnego podchorążackiego marzenia o sprawieniu sobie wysokich butów, tak wąskich w cholewkach, aby jak najściślej przylegały do łydek, i tak wyczyszczonych, aby lśniły w słońcu! Mimo absurdu chodzenia w takich butach podczas owych złych lat ten i ów kupował je i nosił. Niektórzy także wdrazali się do innego przejawu podchorążackiego szyku, do salutowania z manifestacyjną elegancją, polegającą na niemożliwym do opisanego geście salutującego ramienia. Na razie miłośnicy ćwiczyli się w tym salutowaniu po domach, takich kawałów na ulicy robić nie było można.

Ale poniektórzy szykowali się już do przyszłych mundurów i przyszłego oficerskiego „savoir vivre'u”.

Pokpiwania Piotra Pomiana, niestety, w tej dziedzinie nie dawały pełnych skutków.

Pozostawała mu tylko pobłażliwość. Tradycje oficerskiej obyczajowości były silniejsze, niż należało się w tych warunkach spodziewać. Dla niektórych czar tej tradycji był

niezwyciężony.

W Agrikoli te swoiste wojskowe nastroje zyskały nieoczekiwanie na sile wówczas, gdy zdawało się, że podchorążówka wchodzi w swój szczytowy okres rozkwitu. Czwarty turnus liczył 217 uczniów. Liczba klas przekroczyła trzydzieści! Tryumf? Niebezpieczeństwo!

Rozrastały się oddziały dywersyjne. Z każdym miesiącem przybywali nowi ludzie do obydwu kompanii „Zośki” - do „Rudego” i „Maćka”, a już szczególnie pęczniała kompania wydzielona - przyszedł „Parasol”. Pług, pochłonięty zadaniami, jakie nań spadały, rozbudował

szeroko podległy mu aparat. Związek z Szarymi Szeregami był wciąż żywy „w górze”.

Natomiast większość nowych - szczególnie werbowanych przez kompanię Pługa, pochodziła z ochotniczego zgłaszania się młodzieży, która często nie wiedziała, co to są Szare Szeregi i jaki jest specyficzny charakter Grup Szturmowych. Rosła bowiem, na skutek wyczynów bojowych, sława Grup, a równocześnie gdzieś w konspiracyjnej dyskrecji ginęło ich pochodzenie, ich szaroszeregowy charakter.

Czujni w tych sprawach kierownicy Szarych Szeregów, świadomi, że cały sens i znaczenie Grup Szturmowych wypływa z ich związku z nurtem ideowym pracy, dążyli do utrzymania i umocnienia tego nurtu między innymi przez Agrikolę.

Agrikola tymczasem stawała się już tak wielką maszyną, że należało dla niej stworzyć specjalny aparat oficerski. Przecież na czele każdej klasy musi stać oficer, to jest warunkiem istnienia klasy. Piotr Pomian nie dysponował tak liczną kadrą oficerską. Najzdolniejsi, najlepsi dowódcy Grup Szturmowych byli to dopiero świeżo upieczeni podchorążowie.

Podchorążym był Zośka, dopiero po śmierci mianowany podporucznikiem. Podchorążymi byli Andrzej Morro i Jeremi.

Liczny natomiast zespół oficerski miała warszawska grupa starszoharcerska i instruktorska -

„Wigry”. Grupa ta (będąca w przedwojennym roku w ostrym zatargu z naczelnikiem harcerstwa męskiego) oraz Szare Szeregi przez pierwszy okres konspiracji pozostawały w stosunku do siebie we wzajemnej rezerwie. „Wigry” był to zespół mężczyzn bardzo zżytych, o odrębnej tradycji. Jednakże po pewnym czasie początkowa rezerwa zmiękła i „Wigry” weszły do współpracy z Szarymi Szeregami, oddając do ich dyspozycji swe kadry instruktorskie. Było tam sporo oficerów. Kierownictwo Szarych Szeregów tych właśnie oficerów skierowało do Agrikoli. Pragnąc dać zespołowi wigierskiemu poczucie wykonywania dużej i samodzielnej pracy - powierzyło mu całość Agrikoli. Piotr Pomian odszedł do innych prac.

Komendantem szaroszeregowej podchorążówki został Eugeniusz Konopacki-Trzaska, dobry organizator, człowiek oddany sprawie, o dużym poczuciu honoru i sentymentach szlacheckich.

Czwarty turnus Agrikoli (ten, który liczył 217 uczniów) objęli nowi ludzie, z nowego zespołu, dotąd nie związanego z duchem i treścią Grup Szturmowych. Ludzie ci, mimo dobrej woli, którą okazywali,

wnieśli do Agrikoli powiew czegoś odmiennego. Była wśród nich spora liczba oficerów, którzy już dawno z młodzieżą stracili kontakt, było kilku, którzy związali się z „Wigrami” dopiero w czasie okupacji. Ale i ci starzy, znani i cenieni instruktorzy mieli swój swoisty pogląd na harcerstwo i wojsko oraz swe swoiste podejście do szkolenia wojskowego.

Ludzie ci - o dużej ofiarności i niekiedy o wysokim poziomie techniki wojskowej - wiele spraw odczuwali inaczej, niż to było w tradycji Grup Szturmowych.

Głośnym przykładem nieporozumień stała się sprawa odznaki Agrikoli.

Mianowicie ktoś zaproponował wydanie specjalnej odznaki podchorążówki szaroszeregowej.

Ledwo pomysł się pojawił, a już rozpisano konkurs i zaczęto układać regulamin jej nadawania oraz zastanawiać się nad listą osób, którym należałoby nadać odznakę honorową Agrikoli. Zanim Piotr Pomian dowiedział się o tych pomysłach, zanim kierownictwo Szarych Szeregów zorientowało się w innowacji, odznaka Agrikoli została przez Trzaskę zatwierdzona, a pierwsi członkowie honorowi, z wodzem naczelnym i z premierem rządu emigracyjnego, zostali o jej nadaniu powiadomieni przez kuriera właśnie odjeżdżającego do Londynu, któremu Trzaska wręczył odpowiednie pisma na bibułkach.

Sprawa ta poruszyła kierownictwo Szarych Szeregów oraz wiele ludzi w Grupach Szturmowych. Przecież od początku konspiracji walczono z „postawą kombatancką”, z odznaczeniami, jako z czymś, co odbiera służbie walor zupełnej bezinteresowności. Odznaka Agrikoli miała w sobie właśnie ów posmak uczynienia z podchorążackich kursistów jakiegoś zespołu elitarnego.

Ludzie typu Piotra Pomiana, Czarnego Jasia, Andrzeja Długiego i cały zresztą „klan” wyraźnie to odczuwali i burzyli się przeciwko temu. A przy tym - to wysuwanie się przed oblicze możliwych - wszystko to jakoś nie pasowało do sposobu bycia, jaki nadali Grupom Szturmowym Zośka, Rudy, Alek i jaki praktykowali Piotr i jego młodzi przyjaciele.

Dyskusje zapoczątkowane sprawą odznaki nie doprowadziły do ujednoczenia poglądów.

Pewna część wielkiego składu Agrikoli i pewna część młodych ludzi w Grupach Szturmowych odczuwała sprawy inaczej niż Piotr.

- Wojsko jest wojskiem. Jesteśmy podchorążówką szaroszeregową, ale podchorążówką.

Jesteśmy batalionem szaroszeregowym, ale batalionem!

Jesteśmy wojskiem. Prawa wojny i prawa wojska oraz obyczaje wojska dziś są dominujące, tak jak w czasie pokoju dominują wartości cywilne.

Albo inaczej:

- Ordery, odznaczenia, awanse, lokaty - są we wszystkich wojskach świata.

To jest ważny czynnik oddziaływania na ambicję ludzką i przez to wydobywania z ludzi

największego wysiłku.

- Czyżby? - gorączkuje się Czarny Jaś, którego zaczęli już niektórzy nazywać „wrogiem Agrikoli”.

- Tak jest! I donkichocką walką z wiatrakami jest zwalczanie lokat podchorążackich, które nazywacie „makabrą lokatową”, oraz zwyczajów związanych z awansami i odznaczeniami.

- Czyżby? - jeszcze zapalczywiej woła Czarny Jaś, a wtórują mu dziesiątki głosów „klanu”.

Ale inne dziesiątki zajmowały stanowisko odmienne. Jeśli nie zawsze w słowach - to w uczuciach. Wśród nich byli także najstarsi towarzysze Czarnego Jasia, ludzie o wypróbowanej dzielności, bezgranicznie oddani walce.

Dostrzec się dało dwa nurty, którymi płynąć zaczynało życie nie tylko w Agrikoli, lecz w całych Grupach Szturmowych.

## VIII. KRYZYS

Gdy czyta się rozkazy Grup Szturmowych z przełomu 1943 na 1944 rok, gdy wziąć do ręki pisemka wydawane przez pluton „Sad” lub wspomnienia ocalałych chłopców, jednym z najczęściej używanych powiedzeń jest tam zwrot: „styl życia”. Ale rzecz zabawna - ów styl życia żołnierskiej młodzieży Grup Szturmowych w ustach różnych ludzi ma różny sens: dla jednych oznacza przede wszystkim brawurę, męskość, głód walki, śmiech w chwilach niebezpieczeństwa. Dla innych zaś - to służba w walce i przygotowywanie się do służby w pokoju, bo bezgraniczna ofiarność i gotowość rezygnacji z własnych ambicji dla ogólniejszego dobra. Zresztą trudno rzecz upraszczać.

Odnosi się wrażenie, iż „stylów życia” Grup Szturmowych zaczynało być tyle, ile było wybitniejszych indywidualności.

Ludzie nie są i nie mogą być jednolici. W „Zośce” i kompanii wydzielonej - jak we wszystkich większych zespołach - zawsze istniały różnice postaw i poglądów. Jednakże na początku 1944 r. te różnice zaostrzyły się, nabrzmiały przeciwieństwami i skryształizowały swą treść. Najogólniej rzecz biorąc dostrzegało się dwa nurty podstawowe: nurt nasycony wartościami ideowymi, które wypełniać miały sens walki z wrogiem, oraz nurt, w którym walka sama miała sens najwyższy i ona rozstrzygała w ostatniej instancji o potrzebie i przydatności wszelkich dodatkowych treści.

Terenem, na którym (między innymi) można było obserwować ten ferment ideowy, stały się poczynania samokształceniowe. Już od pierwszych miesięcy istnienia Grup Szturmowych oceniono właściwie doniosłą potrzebę nie tylko organizowania młodzieży do walki, lecz także zabezpieczenia jej dalszego uczenia się i zdobywania zawodu. Okupant zlikwidował całe polskie szkolnictwo wyższe i ogólnokształcące średnie, toteż kierownictwo Szarych Szeregów podjęło opiekę rzeczową i moralną nad kompletami gimnazjalnymi i licealnymi młodzieży szaroszeregowej oraz zapewniało pomoc zapisującym się na tajne komplety szkół

wyższych. Zośka, Rudy i ich koledzy przyjęli to z zapałem, a wojsko okazało tej inicjatywie nie tylko życzliwą aprobatę, lecz także pomoc finansową w postaci stypendiów. Niełatwo było dzielić czas między dywersję i pracę szkolną oraz pracę nad przyszłym zawodem.

Wyłoniło się jednak kilku ludzi, którzy kształcili się z takim zapałem, że potrafili natchnąć swą żarliwością wszystkie oddziały. Komplety na ogół funkcjonowały dobrze. Opiekujący się nimi „Papa Olędzki” był zadowolony.

Funkcjonowały dobrze przez pół roku, rok... A potem zaczęło się coś psuć.

Wielu odpadło. Z początku podawano powody rzeczowe wycofywania się z kompletów, ale wkrótce ten i ów przybierał zaczął postawę obojętności zasadniczej: „Nie warto, nie wiadomo, czy wyjdę cało, więc po co sobie zatruwać czas dodatkowym obowiązkiem”. Albo ostrzej: „Dajcie mi święty spokój, jestem w oddziale, żeby się bić, a nie żeby chodzić do szkoły”!

Albo jeszcze ostrzej: „Po cholere mi szkoła, uczelnia - daję sobie jakoś radę i dawać będę radę w przyszłości bez tych dyplomów”!



Zdania takie wygłaszali młodzi ludzie nawet o dobrej na ogół postawie żołnierskiej, oddani walce bez zastrzeżeń. Byli to przeważnie nowi, którzy napłynęli do plutonów „Zośki” i

„Parasola” niedawno, pociągnięci zewnętrznym blaskiem życia Grup Szturmowych, głodem żołnierskich przeżyć i legendą bohaterstwa. Ale zdarzało się, że i niektórzy weterani zmieniali hierarchię wartości w miarę przedłużania się wojny i zaczęli także lekceważyć wiedzę i pracę nad jej zdobywaniem.

Tego rodzaju przypadki działały na szaroszeregowy „klan” jak ostroga na konia. Fanatycy uczenia się i samokształcenia jeszcze gorliwiej traktowali swe obowiązki i usiłowali walczyć o każdą „zbląkaną owcę”. Dopięli tego, że jednego z dowódców plutonu za nikłe postępy w nauce zawieszono w czynnościach. Szczególną wagę do sprawy kształcenia się i wyspecjalizowania zawodowego przywiązywał Pan Janek, przyjaciel Zośki (nieco odeń starszy) i jego bliski powiernik. Uważał on, że praca bojowa młodego człowieka bez równoczesnego kształcenia się i wdrażania w zawód - jest szkodnictwem społecznym. Pan Janek będzie jednym z tych nielicznych ludzi tej opowieści, który wyjdzie cało z powstania i z wojny, zdąży na czas zdobyć dyplom inżynierski i stanie się jednym z projektantów i realizatorów pierwszej wielkiej budowy odradzającej się Warszawy: Trasy W-Z. Po śmierci Zośki, którą przeżył jak najcięższy, osobisty cios, Pan Janek tym bardziej poświęcił się sprawom kształceniowym Grup Szturmowych. I nie zostanie w swej żarliwości osamotniony -

Czarny Jaś, Skott, Andrzej Długi mieli tę samą postawę.

Charakterystyczny jest casus Andrzeja Długiego. Był to zdolny młody człowiek, któremu życie bardzo pogmatwało osobisty rozwój. Nie miał matury i dopiero w 1944 r. zapowiadało się jej zdobycie. Ale jego pasja wiedzy sprawiła, że stał się... odpowiedzialny za postęp nawet uczęszczających na komplety wyższych uczelni. Powierzono mu kontrolę stypendiów.

Krążyło opowiadanie, że gdy kiedyś coś go zatrzymało na mieście i zanosilo się, iż przyjdzie spóźniony na wykład, dla skrócenia drogi sforsował bardzo wysokie i najeżone ostrościami ogrodzenie uczelni i wbiegłszy zadyszany do pokoju, w którym właśnie rozpoczynał się wykład, spieszony zakrywał dłonią tylną część spodni i starał się do nikogo nie stanąć tyłem, szczególnie do koleżanek. Jego zezujące oko „kosiło” bardziej niż zwykle.

Andrzej Morro dbał w wielkiej maszynie kształceniowej o kolegów pracujących w rzemiośle i o robotników. Wprawdzie większość „Zośki” stanowiła młodzież inteligencka, ale w niektórych plutonach znalazło się dużo młodych ludzi pracujących w fabrykach i warsztatach.

Andrzej Morro pilnował, aby rozkład ćwiczeń i innych zajęć GS nie kolidował z godzinami pracy tej młodzieży, i mobilizował ją psychicznie do doskonalenia się zawodowego i awansu zawodowego. Organizował także w tym zakresie jej potrzeby. Gdy w początkach 1944 r.

zarysował się wśród części chłopców „kryzys kształceniowy”, Andrzej oddał sprawy robotnicze bratu, Bonawenturze; a sam z całą swą bezkompromisowością podjął walkę o zagrożone kształcenie i przygotowanie do zawodu.

- To nie fanaberie, to obowiązek - tłumaczył kolegom wahającym się, przemęczonym. - Jeśli

wyjdiesz cało z wojny, to cała twoja sława żołnierska i wszystkie osiągnięcia wojskowe okażą się od razu zamkniętą księgą. Staniesz się nieprzydatny. I jeszcze gotów będziesz winić za to innych! Że niby społeczeństwo zapomniało o bohaterach!

Obydwaj oficerowie Kedywu najściślej związani z Grupami Szturmowymi - kapitan Jan i kapitan Pług - w pełni doceniali te sprawy. Kiedyś Pług został zaproszony przez Mirskiego na wielkanocne jajko do „czołówki” drugiego plutonu kompanii wydzielonej. W lokalu na Świętojerskiej zebrało się 8-9 chłopców. W pewnej chwili Pług spytał, co każdy z nich zamierza czynić po wojnie. Większość odpowiedziała, iż pragnie zostać zawodowymi wojskowymi. I oto Pług, legendarny w oczach chłopców oficer, oficer - wzór, strapił się najwidoczniej tymi wypowiedziami. Zaczął spokojnym, powolnym, przekonywującym głosem, stukając palcami prawej ręki w blat stołu, tłumaczyć, że po wojnie najpotrzebniejsi będą krajowi nie oficerowie, lecz technicy, nauczyciele, agronomowie... Że budowanie życia stanie się wówczas zadaniem najdonioślejszym. I właśnie dlatego, iż mówił o tym Pług, jego uwagi nabierały jakiejś szczególnej siły przekonywającej. Mirski, słuchając wówczas Pługa, przestał się wreszcie wahać: ekonomia - oto ku czemu ma zmierzać w studiach.

Nastroje w kompletach powoli się poprawiały. Podciągano się! Ale za to niektórzy przeciwnicy kompletów i samokształcenia przestali już opanowywać odruchy zniecierpliwienia przeciwko „manii wychowawczej” i zaczęli sarkać publicznie.

Różnice postaw szczególnie ostro przejawiały się na terenie dosyć częstych wówczas spotkań towarzyskich, organizowanych drużynami lub plutonami z okazji imienin kolegów, świętego Mikołaja, andrzejek, opłatka wigilijnego, karnawału.

Szczególną sławę zyskały „rykowiska” „Sadu” (tak nazywał je Andrzej Morro, gdyż śpiewano dużo i z zapalem). Odbywały się one zwykle w mieszkaniu państwa Kroguleckich; nie tylko dlatego, że dwaj synowie domu - Ney i Bogumił - należeli do „Sadu” i że była to spora, odosobniona willa na cichej ulicy przedmieścia, lecz ze względu na niezmierną życzliwość gospodarzy, którzy z całą serdecznością oddawali całe swe mieszkanie do pełnej dyspozycji chłopców o każdej porze dnia i nocy. Program „rykowisk” był może banalny, ale dla jego uczestników bardzo miły. Ney i Bogumił grali na pianinie, Farys wykonywał swój taniec indiańskiego wodza, Okura opowiadał dowcipy, a reszta - śpiewała. Zнали chyba wszystkie okupacyjne piosenki Warszawy, ale uprzywilejowywali wesołe. Czasami zdobywali się na własne kuplety. Także deklamowali. Toczyły się dyskusje na najróżnorodniejsze tematy.

Słuchano wyciągniętego ze skrytki radia.

Niekiedy wytwarzała się na owych zebraniach atmosfera niezapomniana.

Pyszny jest tyczkowaty Bonawentura:

Jaka szkoda, że mam tylko siedemnaście lat,

że mnie nie chce brać na serio caluteńki świat...

Hej, księżycu - pocziwino, powiedz. czy ty wiesz,

czy ta jedna. wymarzona śmiać się będzie też?

Poradź - tylu zrozpaczonych widywałeś już,

może posłać jej wyznanie, może bukiet róż?

Cóż ja pocznę. nieszczęśliwy, jakież szanse mam

w sercu choćby i najszerszym najpiękniejszej z dam?

Och, każdy się chociaż trochę na tych sprawach zna,

a ja jestem tak niewinny i czysty jak łąka!

Gdy chciałem niepostrzeżenie dotknąć się jej rąk,

tak mi serce w piersiach tłukło, że ażem się zląkł..

hej, księżycu - pocziwino, wiem, jakiś ty drań,

powiedz mi. jak postępować w stosunku do pań?

Gdy zażenowany Bonawentura mówił ten swój wiersz, uśmiechają się, bo nie mogą się nie uśmiechać, koledzy, uśmiechają się dziewczęta „Zośkowe” obecne tym razem, uśmiecha się Piotr. - Jeszcze. jeszcze!

I Bonawentura, po chwili wahania, zaczyna inny swój wiersz: Kto ma mundur gimnazysty,

w głowie trochę wyobraźni

i kto ma rok siedemnasty -

temu życie idzie różniej.

Wielki mocarz taki człek!

Cały świat mu u stóp legł.

Co zamarzy - to zdobędzie,

wszystko zrobi, wejdzie wszędzie

na najwyższy w świecie głąz

taki śmiałek byłby włazł;

zejść w najgłębszej głębi dno

to dla niego byle co.

Sam da radę z Trzecią Rzeszą,  
przez Saharę przejdzie pieszo,  
przez Saharę i przez Gobi  
własnoręcznie szosę zrobi.

Wybuduje drapacz chmur  
od najwyższych wyższy gór,  
skonstruuje taką łódź,  
która skały będzie pruć.

I tak dalej, i tak dalej.

To zbuduje, tamto zwali,  
wszystko może taki chwyt,  
gdy ma siedemnaście lat.

Nieśmiałość autorska Bonawentury powodowała, że tylko wyjątkowo mówił swe wiersze.

Nie pisał dużo, ale tych kilkanaście utworów, które stworzył, jego najbliżsi koledzy znają na pamięć. I tych wesołych, pogodnych, których nie można słuchać bez uśmiechu, i innych -

mocnych, wojennych. W tamtej, innej poezji Bonawentura przestaje być sentymentalnym chłopcem - staje się zaciętym żołnierzem Polski Walczącej: Gdy zbraknie łez - jest jeszcze krew

najświętsza do oddania,

gdy zbraknie tchu - pocisków śpiew

wyśpiewa twoje łkania.

Karabin bierz i z nami idź

miast płakać po pogrzebach...

A któregoś wieczoru był wiersz, po którym koledzy innymi oczami zaczęli patrzeć na Bonawenturę. Wiersz miał tytuł „Groźba”:

My, co żyjemy byle jak,

my, którym się nie szczęści,

z radością powitamy znak,

znak zaciśniętej pięści.

My ludzkie bydło, ludzki gnój

z suterem i poddaszy,

my także chcemy herb mieć swój

na zgubę wrogom naszym.

Dłoń nabiegniętą siecią żył,

gorącą od purpury

chcemy zacisnąć z wszystkich sił

i straszną wznieść do góry...

Gdy słowa wiersza przebrzmiały, zapanowało długie milczenie. Nikt nie wiedział dotąd, że Bonawentura przeżywa to, co nazywano „sprawami społecznymi”, że o tym myśli, że nad tym cierpi, że szuka rozwiązania. Dwaj bracia Wuttke, Czarny Jaś i Tadzio, podsunęli się do Bonawentury bliżej.

Tadzio, pomimo swoich dziewiętnastu lat, jest najmniejszego wzrostu szturmowcem i ma najbardziej dziecienną twarz, ale najgoręcej ze wszystkich przeżywa niesprawiedliwość społeczną. Jego przyjaciele wiedzą, że chodzi na zebrania socjalistycznych „Płomieni”.

Jeszcze nie ma wyraźnie wytkniętej drogi, jeszcze nie zapadła decyzja ostateczna, lecz Tadzio czuje i wie, że miejsce jego i jego walka jest właśnie z tymi, o których przed chwilą tak silnie powiedział Bonawentura. Dlatego przysuwa się do niego i gorąco ściska dłoń poety. Ma takie uczucie, jakby dopiero teraz odnaleźli się we dwójkę, choć znali się tak dawno.

- Byłem u Karola z „Alka” - opowiada Bonawentura. - Jego ojciec jest dozorcą domu Nowogrodzka 18. Piwniczna izba, a w niej siedem osób. Siedem osób w jednej izbie...

Skupiło się ich już teraz pięciu czy sześciu w kącie pokoju i rozmawiają.

Coraz goręcej. O tym, jak i co trzeba robić dziś, aby „Pojutrze” było lepsze, sprawiedliwsze.

Czarny Jaś zaczyna dzielić się wrażeniami na temat Batalionów Chłopskich, o których niedawno sporo się dowiedział. Powtarza kilkakrotnie: - Sami chłopci, rozumiecie, sami chłopci się organizują... Po raz pierwszy w naszej historii organizują się do walki zbrojnej o Polskę sami.

Czarny Jaś jest jednym z tych nielicznych, którzy używają słów na ogół przez tę młodzież nie wymawianych: „Polska”, „miłość”, „ofiara”, „śmierć”.

Grupa diskutujących powiększa się, dochodzą inni koledzy. Rozlegają się głosy odmienne.

Że naród i sprawy narodowe są ważniejsze od sprawy tej czy innej klasy społecznej.

Temperatura dyskusji podnosi się. Kołczan zabiera raz po raz głos. Wywody Kołczana podniecają Andrzeja Morro do repliki, którą kończy przedstawieniem własnej koncepcji rozwijania się klas i warstw społecznych w państwie demokratycznym.

Szare Szeregi były grupą o dużej jednorodności politycznej, której oś stanowiła wierność Polsce i państwu polskiemu w takiej postaci, jaką wynieśli ze szkół i z przedwojennego harcerstwa. Rozumieli potrzebę istnienia stronnictw politycznych i aparatury parlamentaryzmu, lecz jako organizacja młodzieży głosili swą niepartyjność, niewiązania się z żadną partią polityczną. Zdarzające się wyjątki traktowali z niecierpliwą tolerancją. Pragnęli być organizacją samowychowawczą całego narodu, jego wszystkich odłamów. Mówiono: jesteśmy apolityczni, mając na myśli apartyjność. W konsekwencji bez zastrzeżeń włączono się w polityczny nurt Armii Krajowej, przy równoczesnym zachęcaniu młodzieży do zapoznawania się z różnymi postaciami demokracji, nade wszystko demokracji społecznej. A co się tyczy partii i stronnictw - szukajcie do nich własnych dróg i włączajcie się - jeśli wola -

lecz jako osoby prywatne, a nie jako ta czy inna grupa Szarych Szeregów. I nabywajcie umiejętności współdziałania między ludźmi różnych poglądów, współdziałania lojalnego.

Natomiast w sprawach społeczno-moralnych czołowi ludzie Szarych Szeregów mieli niezachwianie jasny pogląd. Pragnęli sprawiedliwości społecznej, usunięcia podstawowych nierówności społecznych i gospodarczych oraz wszelkich form przemocy; przeciwstawiali się megalomanii narodowej, przeciwstawiali się różnicowaniu: etyka indywidualna i etyka narodowa.

Nie zawsze tak właśnie przebiegały popołudnia towarzyskie. Trafiały się i inne grupy ludzi, a wtedy śpiewy i dyskusje inny miały charakter.

Gdźniedzie sprawy stawiano tak: „gadanie” nigdy niczego nie przesądziło w życiu. Czyn -

a w okresie walki zbrojnej - czyn wojenny, oto co ma znaczenie. Dlatego postawa bojowa i wszystko, co potęguje nienawiść do wroga i zaciętość w walce, to tylko jest wartościowe.

Moralność wojenna - to moralność siły i zwycięstwa. Wszystko natomiast, co wprowadza do dusz ludzkich rozterkę, wahania, niepewność, jest niemoralne, bo w walce osłabia.

Rozległy się także głosy, że dyskusje światopoglądowe są nie tylko stratą czasu, ale gdy przekroczą miarę - szkodnictwem. Dobre wojsko to sprawny aparat zwycięstwa. Wszystko, co odciąga myśl w stronę spraw cywilnych, jest mniej ważne od tego, co zmierza ku technice wojskowej. A poza tym - wojsko opiera się na mężczyznach, na prawdziwych mężczyznach.

Prawdziwie zaś męskie typy to nie typy sentymentalne. I nie walka z alkoholem jest dla nich ważną

sprawą ani poezja. ani uczynność i życzliwość.

Te i tym podobne idee rodziły się w młodych głowach nie wiadomo jak i kiedy. Nie odzwierciedlały tendencji dowództwa Armii Krajowej, która w swej prasie i propagandzie czyniła stałe wysiłki, aby uspołecznić myślenie i odczuwanie wojska w konspiracji. Młode umysły chwytaly jakies nieodpowiedzialne wypowiedzi domoroslych mędrców i usiłowaly z nich ukształtować coś w rodzaju systemu.

Ta postawa „stuprocentowo żołnierska” była w opinii kierownictwa Szarych Szeregów o tyle w „Zośce” i „Parasolu” niepożądana i nawet niebezpieczna, że w grupach najmniej wyrobionych groziła stoczeniem się ku sytuacjom rażącym. Niestety, na początku zimy 1944

r. taka właśnie rażąca sytuacja tu i ówdzie przebiła się na powierzchnię życia.

Kiedys w którymś z plutonów „Zośki” jedna z drużyn zorganizowała własną szopkę. Autorem był sprężysty podchorąży F., który nie bardzo orientował się, co to są Szare Szeregi. Nikt go jakoś poważnie nie wprowadził w sens tych spraw. Był odważny, wesoły i koleżeński, był

lubiany; zasłynął z rozgromienia jakiegoś „domu gry”, w którym „skonfiskował” pieniądze, przekazując je do organizacji, no i - jak co trzeci Polak w okupacyjnych czasach - „tworzył

wiersze”. Właśnie jego szopkę wystawiono dla drużyny i kilku gości z plutonu (zbyt duży tłok był niedopuszczalny ze względów konspiracyjnych).

Oto sylwetka jednego z członków drużyny:

Kapu, kapu, kapu, kap

bimber sobie leci.

Robić bimber dzisiaj fraszka

i zabawka małych dzieci.

Siedzi sobie taki pacan,

w buteleccki leci stale,

a on patrzy i po cichu

liczy skrycie swe „górale”.

Z kolei obraz innego kolegi:

...A on powiada, że cóż ma robić,

Kiedy kobiety na niego lecą,

Że nie jest księdzem, że nie zaszkodzi

Pobaraszkować... tak sobie, nieco.

Równy kolega, dzielny towarzysz,

Drugiego szukać chyba ze świecą,

Pogodny duchem i silny ciałem,

Z zasadą w życiu: troszkę i... nieco.

On to hołduje nowej regule:

Nieco... kobieta, miłość i sten.

Jeszcze inny typ:

Po czterdziestce jest mi lepiej,

A po drugiej - leję sam do szklan,

A po trzeciej - „Bimber, bimber krzepi!

Ja na akcję kuraż mam”!

Bowiem jak nieźle bywa podlany,

Nie wiem, czy wszystkim znany z tej strony?

Zdolny do czynu heroicznego,

Wtedy się staje strasznie szalony!

Gdy część słuchaczy śmieje się wesoło, żądając „bis, biiiis!”, inni siedzą bez uśmiechu.

Szopka trwa. Kuplety idą jeden po drugim. W pewnej chwili następuje piosenka, której słuchając kilka osób spuszcza w zakłopotaniu wzrok ku podłodze, a jedna z sanitariuszek, nie rozumiejąc sensu, pyta o to sąsiada.

Ten najpierw wybucha nienaturalnym, podnieconym śmiechem, a potem jest mu jakoś głupio i przesiada się na inne miejsce.

Gdy Andrzej Morro dostał do rąk tekst piosenek szopki, nie mógł w pierwszej chwili zrozumieć, co to ma znaczyć.

- Więc to ktoś śpiewał u któregoś z naszych?



- Nie - odpowiada zasepiony Kołczan - to była szopka w jednej z drużyn.

- Po cóż ci idioci wzięli do szopki takie teksty, nie mogli wystarać się o coś sensowniejszego, zgodniejszego z ich rzeczywistym życiem?

Kołczan spochmurniał jeszcze bardziej. Przykrość, jaką odczuwał od chwili dostania tekstu szopki do rąk, zaostrzyła się jeszcze bardziej. Spoglądał na Andrzeja jakoś serdeczniej niż zwykle.

- Słuchaj, stary. myślę, że nie pojąłeś sprawy. Tę szopkę skomponował jeden z naszych i jej teksty charakteryzują, zdaje się, chłopców tej drużyny. To ma być wesołe, rozumiesz? To były wesołe piosenki o drobnych śmiesznoścach naszych chłopców. Zrozumiałeś?

Andrzej znieruchomiał. Patrzył rozszerzonymi oczyma na zatroskaną twarz Kołczana.

Ogarnęły go uczucia poniżającej krzywdy. Krzywdy osobistej i krzywdy tamtych wszystkich

- Floriana, Orszy, Piotra Pomiana... Zośki, Rudego, Alka...

Siedział tak nieruchomo jeszcze kilka chwil, naraz fala krwi napłynęła mu do głowy i pięści się zacisnęły.

- Kołczan, trzeba to dobrze zbadać. Zanim trzaśniemy, musimy dobrze rozeznac sytuację w obydwu kompaniach. Cóż to się u nas dzieje? Chodźmy do Kuby!

Dokładne zbadanie sprawy szopki wyjaśniło, że obawy Kołczana były przesadne, że niefortunny satyryk dla wywołania efektu śmieszności użył deformacji lub przesady. Okazało się, że „kapu, kapu, kapu, kap - bimber sobie leci” śpiewała kukielka Władka, który pracował

jako robotnik w wytwórni spirytusu. Że kukielka, co to „hołduje nowej regule: nieco...

kobieta, miłość i sten”, reprezentowała Wicka, przecharakteryzowując jego galanterię i bojowość, pijaka zaś wykonywał sam autor, którego - jak zapewniał Witold - nikt jeszcze nie widział pijanym, choć chłopak popijał czasem.

Tekst szopki był niewątpliwie trywialny, ale - na szczęście - przecharakteryzowywał

rzeczywistość. Niemniej jednak podczas badania tych spraw wyszło na jaw, iż przed miesiącem jedna z łączniczek odmówiła dostarczania korespondencji i prasy na jeden z punktów i nie chciała podać powodów tej odmowy; gdzie indziej miała miejsce „uczta” zakończona ordynarną awanturą na cały dom.

Andrzeja Morro niecierpliwiła powolność dochodzenia prawdy i cierpiał z powodu każdego wychodzącego na jaw spaczenia. Niełatwo było w owych czasach bardzo zaostrzonej z powodu akcji na Kutscherę konspiracji dotrzeć do najniższych jednostek organizacyjnych - do piątek, tak w ostatnich czasach namnożonych.

W miarę jak gorączkujący się dowódca kompanii pogłębiał w swych badaniach wgląd w sytuację

moralną plutonów „Rudego” (a w pierwszej kompanii czyniono podobnie, choć znacznie spokojniej i być może bez przejmowania się zagadnieniem), sprawa stawała się coraz jaśniejsza. Zaczynało być oczywiste, iż nurtujący od dawna Grupy Szturmowe ferment wielu różnorodnych postaw i obyczajów zaostrzył się ogarniając tę rozrastającą się gromadę młodych mężczyzn, rozbitych organizacyjnie na prawie setkę piątek, niedostatecznie opanowanych duchowo przez kierownictwo. Odchylenia od pionu ideowego okazały się skomplikowane i różne, zarówno w swej jakości, jak i w temperaturze. Zdarzało się, że nawet ten i ów ze starych towarzyszy zmieniał się w sposobie bycia. Harcerstwo lat młodzieńczych zaczynało stawać się dla niektórych krępujące. Są bądź co bądź mężczyznami i żołnierzami!

Najbardziej drażniło Andrzeja Morro to, że wielu z ludzi obniżających poziom nie zdawało sobie zupełnie sprawy, o co właściwie chodzi. Przecież są w dalszym ciągu jednym z najlepszych oddziałów bojowych Kedywu!

Ale nie sprawy ideowo-moralne stały się przyczyną kryzysu - z tymi jakoś sobie radzono wypróbowanymi w harcerstwie metodami pośrednich oddziaływań wychowawczych. A także przez poczynienie w Grupach Szturmowych młodzieży żołnierskiej ustępstw łagodzących wymagania abstynencji. Istotnym źródłem kryzysu, który ogarnął kompanię „Rudy”, stało się postępowanie jej dowódcy - Andrzeja Morro.

Zaczął się od zaskakującego rozkazu Andrzeja, rozdrażnionego szeregiem źle realizowanych przez plutony zadań:

Zwracam uwagę na wyrabianie się niezdrowej, bo nieprawdziwej samoreklamy.

Powoli, opierając się na cudzej tradycji, na cudzych sukcesach - plutony uwierzyły we własną wielkość i znaczenie. Zaopatrzone w nazwy i cudze tradycje stały się, według jedynie własnego zdania, chlubnymi kontynuatorami idei naszych dawnych dowódców. Łatwo jednak maska opada i wtedy wychodzą na jaw braki i usterki w liczbie tak dużej i nieraz tak zasadnicze, że nie wiadomo, jak sprawy naprawić i od czego zacząć...

Dowódcy plutonów w najbliższym czasie przeprowadzą odprawy organizacyjne, w których poruszą i dokładnie zanalizują błędy, braki i usterki w życiu i pracach oraz, nawiązując do istotnej tradycji naszych dowódców: Zośki, Rudego, Alka i Felka, do ich idei przewodnich w pracy żołniersko-obywatelskiej, podkreślą dysproporcję między ich wkładem w pracę Grup Szturmowych a naszym dzisiejszym stanem...

Z dniem dzisiejszym zabraniam poszczególnym plutonom używania nazw tradycyjnych:

„Sad”, „Alek”, i „Felek”... Każdy pluton może, po wykazaniu się, iż wartość jego nie leży w samoreklamie i korzystaniu z cudzych zasług i wkładów, otrzymać pozwolenie używania dawnej, tradycyjnej nazwy.

Zabraniam również używania nazwy „Rudy” jako kryptonimu kompanii aż do momentu, gdy wszystkim trzem plutonom kompanii zezwolone będzie używanie dawnych, tradycyjnych nazw. Dziś nasza kompania nie ma prawa powoływać się na Rudego i jego „Sad”, na Alka i Felka. Nie ma

prawa, bo nie zna, nie rozumie lub nie chce zrozumieć idei naszych Patronów.

Czy godna będzie tych Patronów w przyszłości, pytanie, na które każdy z was osobno i wszyscy razem macie dać odpowiedź w najbliższym okresie pracy.

Wystąpienie Andrzeja Morro, bezkompromisowego wobec samego siebie i wobec innych, było bardzo silne i sprawiło wielkie wrażenie. W kompanii „Rudy”, we wszystkich trzech plutonach - zawrzało. Poruszenie umysłów objęło również „Maćka” i wielką kompanię wydzieloną. Dyskusjom nie było końca.

Dyskusje te - raz natury personalnej, kiedy indziej zasadniczej - obracały się niezmiennie wokół podstawowego problemu: czym są i czym mają być w polskim życiu Grupy Szturmowe. Wielu sądziło, że choć powołane do życia przez harcerstwo Grupy Szturmowe młodzieży żołnierskiej dopracowują się jednak jakiegoś własnego oblicza i odrębnej postawy życiowej. Andrzej Morro, przez jednych gorąco podtrzymywany, przez drugich gwałtownie atakowany, przechodził bardzo trudny okres życia, okres, którego doświadczył niejeden bohater Ibsena lub Żeromskiego. Nawet niektórzy z przyjaciół Andrzeja, pragnący podobnie jak on „podciągnięcia” Grup Szturmowych, ganili postępowanie Andrzeja, szczególnie jego pryncypializm, przesadność wymagań i błędną metodę traktowania ludzi. Mówiono wiele o specyficzności atmosfery „Zośki” i „Parasola”, w których przecież zgrupowani są ludzie zmuszeni do kroczenia po krawędzi życia. Wojsko - bez zaplecza spokoju.

I oto stała się rzecz dziwaczna: w słusznej walce, którą teraz podjął Andrzej, nawet bliscy mu ludzie na skutek arbitralności Andrzeja ustosunkowali się do jego poczynań z rezerwą.

Wszystkie dotychczasowe pretensje chłopców do Andrzeja teraz jakby spiętrzyły się i zgęstniały. W ogóle tej wiosny boczyli się często na „szusy” swego dowódcy. Raził jego ton rozkazodawczy i jakby wypaczenie ich dotychczasowej koleżeńskiej równości. W

pedantycznym żądaniu przez Andrzeja szczegółowych wyliczeń z otrzymanych pieniędzy dostrzegano robienie z Grup Szturmowych freblówki wychowawczej, a twarde naciski na ścisłość i punktualność traktowano jako szykany. Gdyby to wszystko Andrzej załatwiał po koleżeńsku, przyjmowałiby inaczej, ale jego służbistość denerwowała.

Niektórzy zaczęli mówić o „wodzie sodowej”, która uderzyła Andrzejowi do głowy i o pryncypializmie zaciętym, lekceważącym jednostkę.

„Sad”, z którego Andrzej wyrósł na dowódcę, bolał szczególnie nad niepożądaną metamorfozę Andrzeja, która nawet jego zalety czyniła przykrymi. Próbowano go zreflektować dowcipem: przysłano mu pocztą kompanijną rysunek Neya i Bonawentury, przedstawiający amorka z nożem kuchennym; pod rysunkiem - napis: „selekcja kompanii”.

(„Amorkiem” nazywano żartobliwie Andrzeja nie ze względu na mitologiczną specjalność rzymskiego bóstwa, lecz z powodu podpisu: „A. Morro”.) Kiedy indziej ofiarowano mu wielką pieczęć z opony samochodowej - aluzja do biurokracji zaprowadzonej w „Rudym”.

(Andrzej wymagał na przykład składania meldunków na bibułkach określonego gatunku i formatu.) Ale ani te żarty, ani rozmowy koleżeńskie nie odnosiły skutku. Andrzej nieustępliwie, po dyktatorsku w dalszym ciągu „robił porządki” w kompanii. Tyle tylko, że chodził teraz z zachmurzonym czołem i z zaciśniętymi pięściami.

Któregoś dnia poszedł do Jeremiego. Dawno już z tym swoim petowym towarzyszem nie rozmawiał. Widywali się wprawdzie na odprawach, ale pochłonięci każdy przez swoją kompanię, nie mieli czasu na dłuższe wyczerpujące rozmowy. Teraz więc Andrzej zaprosił się do Jeremiego na całą noc, aby móc się zwierzyć, poradzić, uzyskać współdziałanie.

Jeremi był bardzo zmieniony. Wprawdzie Andrzej wiedział, że od czasu śmierci Bronka Lota był on jakiś nieswój, ale dopiero teraz przekonał się, jak ciężko przeżywa Jeremi stratę przyjaciela. Jak nie może wydobyć się z rozgoryczenia i z jakiegoś zagubienia. Broniek był

nie tylko najbliższym przyjacielem Jeremiego, był jego dopełnieniem. Obydwaj tworzyli jakby zespół, w którym Broniek nadawał ton ideowy, pogłębiał ich pracę, dostrzegał jaśniej dalekosiężny i szeroki sens walki. Bez Bronka Lota, pozbawiony jego opinii i inspiracji, Jeremi w pierwszych miesiącach podobny był do zbyt czułej igły kompasu, długo nie mogąc ustalić właściwego kierunku: stał się chwiejny, tracił rozeznanie spraw ważnych.

Udzielało się to jego towarzyszom i podkomendnym. Wpływało na opanowanie serc i wyobraźni przez praktycyzm walki, w którym „trzaskanie” wroga stawało się sensem całkowitym. „Parasol” zresztą nasycony był mniej niż „Zośka” ludźmi harcerskimi i szaroszeregowymi treściami. Oddziały przyszłego „Parasola” często własnymi drogami i wśród wielu sprzeczności ukształtowały swe oblicze żołnierskie i moralne.

Gdy w toku nocnej rozmowy Jeremi chodził nieprzerwanie godzinami po niewielkim pokoju, Andrzej z troską zauważył nie tylko uzewnętrzniający się niepokój, ale także jakby zwiotczenie mięśni tego niezwykle sprężystego ongiś organizmu i jakby szarość całej osoby Jeremiego.

Jeremi słuchał zwierzeń Andrzeja długo i cierpliwie. Sam jednak mówił krótko:

- W mojej kompanii to samo. U nas też pojawiła się piosenka, w której o jednym z najbardziej bojowych chłopaków śpiewa się pobłaźliwie, że „wódę lubi żłopać”. U nas też zdarza się rozluźnienie karności. Może za mało przeciwstawiałem się temu... Zresztą staram się inaczej doprowadzić niektórych typów do porządku.

A po chwili:

- Wiesz, Andrzeju, ja myślę, że trzeba być dla człowieka dobrym.

Wyrozumiałym. Trzeba nienawidzić zło, ale trzeba być dobrym dla ludzi.

Milczeli. Andrzej zrozumiał, że w Jeremim nie znajdzie sprzymierzeńca do akcji radykalnego i szybkiego przełamania kryzysu w Grupach Szturmowych.

Gdy już leżeli w łóżkach i światło było zgaszone, Jeremi odezwał się, jakby zapomniawszy, o czym

rozmawiali cały wieczór:

- Wiesz, Krysia, moja siostra... Dopiero gdy Broniek zginął, dowiedziałem się, że go kochała...

Że właściwie zaczynali się kochać... Muszę być dla niej bardzo dobry, i bardzo ją chronić...

Muszę bardzo ochraniać matkę i Kysię...

Mijały dziesiątki minut - wiedzieli, iż obydwaj nie mogą usnąć, ale już nie rozmawiali.

Jeremi miał rację, gdy twierdził, że kryzys postawy ideowej dotknął również kompanię wydzieloną. Aktywność bojowa „Zośki” była w dywersji bardziej ograniczona od aktywności kompanii wydzielonej, której zadania walki z gestapo narzucały tak częste akcje, że plutony przyszłego „Parasola” były niemal w ciągłym pogotowiu bojowym. To wymagało ogromnej dyspozycyjności ludzi, co w rezultacie prowadziło do brania wielu pełniących różnorodne funkcje - na „etata” lub „pół etatu”. Młodzi ludzie uważali to na ogół za zaszczytne wyróżnienie, lecz niektórzy, oderwani od normalnych prac zarobkowych i płatni częściowo przez skarb wojska, oddalali się od życia cywilnego, wojskowieli obyczajowo. U

najsłabszych wykręcało to dotychczasową linię życia, a sława bojowa i pierwsze Krzyże Walecznych umacniając jednych ogłupiały innych. Szczególnie odbijało się to na nowicjuszach, napływających do kompanii wydzielonej spoza Szarych Szeregów i licznie przewyższających element szaroszeregowy.

Kiedyś w jednym z plutonów, który szeroko przygarnął do swych szeregów wiele niespokojnej młodzieży Powiśla, ujawniono rzecz w Grupach Szturmowych niebywałą: czwórka chłopców na własną rękę „polowała” wieczorami na Niemców i zdobyła w tych

„prywatnych akcjach” broń sprzedawała na własną korzyść!

Potknięcia i skazy zdarzały się nie tylko ludziom nowym, nie wychowanym w tradycji szaroszeregowej. Niestety - części najlepszej nawet młodzieży wczesne nominacje, sława bojowa i wojacki styl życia uderzyły do głowy.

Właśnie w obliczu tych niebezpieczeństw moralnych, grożących sploteniem i rozkładem ideowym, Rafał - jeden z najwybitniejszych w kierownictwie Szarych Szeregów - wszedł do kompanii wydzielonej, formalnie na stanowisko dowódcy I plutonu, faktycznie zaś - aby opierając się na najlepszych ludziach kompanii pokierować otrząśnięciem się z naleciałości

„wojskówki” i nieciekawych form takiego sposobu bycia. Trzeba wszakże powiedzieć, że

„wojskówka” „Parasola” nigdy nie miała nic wspólnego z soldateską i drylem.

Było to niewątpliwą zasługą Pługa, który pogardzał niemieckim stylem karności. Horoskopy więc na umocnienie tu treści ideowych nie były złe.

Kierownictwo Szarych Szeregów uznawało - mimo wszystko - ferment myślowy w Grupach

Szturmowych za zjawisko korzystne. Postanowiono wesprzeć siły nurtu szaroszeregowego w oddziałach nie tylko przez delegowanie Rafała do „Parasola”, lecz nade wszystko przez odkomenderowanie niezawodnego Piotra Pomiana do „Zośki”.

Piotr zaczął od całonocnej, gruntownej rozmowy z porucznikiem Jerzym, dowódcą „Zośki”.

Jerzy był związany z Grupami Szturmowymi od początku istnienia Grup, był ich współtwórcą, był autentycznym instruktorem harcerskim i harcerzem od młodych lat. Ale nieporozumienia z Orszą oddalały go od kierownictwa Szarych Szeregów. Coraz ostrzej zrywał się na niewojskowe motywy juwenalnego harcerstwa doczepiane do prac bojowych.

Jemu jako organizatorowi Grupy Szturmowe zawdzięczały bardzo wiele. Nic więc dziwnego, że uzgodnienie z nim punktu widzenia na sytuację oraz ustalenie wspólnej linii postępowania było rzeczą pierwszorzędną. Orsza odsunął się od opieki nad Grupami Szturmowymi Warszawy - na jego miejsce „Pasięka” wyznaczyła Piotra.

Całonocna rozmowa z Jerzym zaczęła się dla Piotra źle. - Cóż to, komisarzem przy mnie macie być? Przecież jestem też instruktorem harcerskim, po co więc to dublowanie? A że chcę młodzieży żołnierskiej GS nadać charakter harcerstwa „dorosłego” - to naturalne. - Jednakże takt Piotra szybko złagodził początkowy uraz. Jerzy właściwie zrozumiał sytuację i zajął takie samo stanowisko jak Piotr. Odtąd ci dwaj ludzie działać będą jednolicie. I jeden, i drugi zmierzać będą do kształtowania typu żołnierza-obywatela.

Umacniał się szaroszeregowy nurt. Przede wszystkim sięgnięto do opracowanego jeszcze przez Zośkę programu pracy w dziedzinie służby obywatelskiej i ponownie zachęcano do jego realizacji. Opracowano (i zrobił to Andrzej Morro) cykl wykładów dotyczących kształcenia charakteru (co to jest człowiek?), wychowania fizycznego (higiena, sprawność) oraz kształcenia się (ogólnego i specjalnego, pod hasłem: „nie chcemy dyletantów, lecz fachowców”).

Opracowano także najwyższy stopień szaroszeregowy. Jeden z punktów tej próby brzmiał: Wie, kim chce być po wojnie. Powie, w jaki sposób przygotowuje się do swego zawodu.

Wykaże orientację w tej dziedzinie życia gospodarczego, społecznego, politycznego czy kulturalnego, w jakiej chce pracować po wojnie. Potrafi scharakteryzować w tej dziedzinie dorobek, jaki osiągnęliśmy w okresie dwudziestolecia, obecne zaniedbania i braki oraz najpilniejsze zadania, jakie przed nami staną w powiązaniu z całością zadań Polski powojennej.

A inny punkt tej próby:

Wyjaśni termin: demokracja społeczna.

I dalej:

Terenoznawstwo, minierka, broń, obozownictwo, bieg, skoki, rzut granatem, pływanie...

Nie koniec na tym. Rozpoczęto cykl wykładów ideowo-wychowawczych i wojskowych dla dowódców kompanii i plutonów. Pomysł ten był jednym z przejawów działalności Rady

Wychowawczej powołanej do życia przy Grupach Szturmowych, złożonej z przedstawicieli wojska, Szarych Szeregów i paru osób specjalnie zaproszonych. Rada delegowała, w porozumieniu z zainteresowanymi dowódcami „Zośki” i „Parasola”, opiekunów do poszczególnych kompanii i niektórych plutonów. Opiekunami byli ludzie wyrobieni ideowo, o nie budzącej wątpliwości postawie moralnej, inteligencji i charakterze. Zadaniem opiekuna było współżycie ze „swoim” dowódcą i służenie mu swym doświadczeniem oraz podtrzymywanie w chwilach trudnych. Jak wojsko wojskiem tego rodzaju nowość „cywilna” przy oddziałach wojskowych zdarzyła się chyba po raz pierwszy.

Ale bodaj że najskuteczniejsze stały się ożywione nowym duchem kursy „za lasem” (odbywały się początkowo w Zalesiu, w jednym z domków kempingowych lub w willi ojca Zośki - teraz członka Rady Wychowawczej przy Grupach Szturmowych. Kursy „za lasem” prowadził Pan Janek. Co pewien czas oddziały przysyłały do jego dyspozycji czołowych swych ludzi i doskonale im to robiło. Istotą kursów było pokazanie, że harcerstwo nie jest szkołą o ograniczonym programie, ale czymś poważniejszym: nadzieją na inny lepszy świat, na nową Polskę, nowego człowieka - moralnie uzbrojonego i dzielnego.

Duszą i oparciem dla wszystkich tych poczynań był niewątpliwie Piotr.

Chodził niezmiernie po oddziałach, bywał na ćwiczeniach, wykładach, egzaminach. Brał udział w przygotowaniach do akcji, obserwował same akcje.

I rozmawiał z wieloma dziesiątkami młodych ludzi. Właściwie - nie rozmawiał, lecz działał z nimi, „ustawiał” ich żołniersko i bojowo, pomagał w rozsupływaniu kłopotów psychicznych i trudności życiowych. Doradzał, żartował. Piotr nie tylko wzmacniał nurt szaroszeregowy w Grupach Szturmowych, lecz starał się uchwycić istotę odrębności tego zbrojnego braterstwa młodzieży i skryzalizować jego własne, specyficzne wartości.

Jednej tylko sprawy Piotr nie docenił: pogarszających się szybko stosunków między Andrzejem Morro i jego kompanią. Nie docenił, nie naprawił.

Niemniej jednak życie umysłowe i życie ideowe mocnym rytmem pulsowało teraz w wielu oddziałach. Czarny Jaś, jeden z współtwórców tego ożywienia, towarzysz prac Piotra i Andrzeja Morro, pisał w tym czasie do swego ojca:

To prawda, jesteśmy jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec. Ale rzucone nie w nicość, nie na zmarnowanie. Jeden przy drugim twardo stoją, trzymając się razem. Jak cegła przy cegle. Wznoszone są ściany wielkiego domu. To nic, gdy przyjdzie być martwą, nieruchomą cegłą tego domu. Byleby dom był wielki i piękny.

I dodawał, zwierając się ojcu:

Tylko ta cena cegieł!

A na zakończenie:

Uczę się intensywnie. Chemia. A w ogóle w Warszawie mania nauki. Musimy dobrze urządzić wnętrze domu.

Stawało się jasne, że to, co było w Grupach Szturmowych najcenniejsze, nabrało ofensywności i prężności. Nie trzeba było usuwać kilkudziesięciu „zbląkanych owiec”.

Istniała nadzieja, że teraz „owce” te zespolą się jakoś w większym lub mniejszym stopniu z podstawowym nurtem Szarych Szeregów.

Pewnego wiosennego niedzielnego przedpołudnia w willi profesora Zawadzkiego w Zalesiu siedzieli przy aromatycznej, prawdziwej herbacie Piotr Pomian i Andrzej Morro (profesor był opiekunem kompanii Andrzeja).

Hania, córka profesora, z lekkim zakłopotaniem grała przy stole rolę pani domu. Uśmiech miała uderzająco podobny do uśmiechu Zośki.

- Byłem i jestem pewien - powiedział profesor - że to, co wy nazywacie nurtem szaroszeregowym, zwycięży w waszych oddziałach. Macie dwa atuty przesądzające zwycięstwo: atrakcyjny wzór wychowawczy oraz liczną koleżeńską grupę realizatorów tego wzoru.

A po chwili, spojrzawszy z lekkim zmrużeniem oczu na Andrzeja:

- Tylko, panie Andrzeju, życie i doświadczenie pracy rektorskiej nauczyło mnie, że zwycięstwa wychowawcze w większych zespołach nigdy nie ogarniają wszystkich członków i nigdy nie zastygają w bryłę; są jakby w ciągłym stanie równowagi chwiejnej.

Profesor przerwał, napił się herbaty i dopiero po chwili dokończył: - Zwycięstwo trwa tak długo, póki jądro ideowe zespołu dominuje dynamizmem i liczbą nad outsiderami wchłoniętymi przez zespół. Jeśli kiedykolwiek tę przewagę utraci, szala zwycięstwa przechyli się na inną stronę.



## IX. WIOSNA

Opisane w poprzednim rozdziale perypetie wewnętrzne „Zośki” i „Parasola” nie działały się w oderwaniu od okupacyjnej rzeczywistości i od walki. W opisie można wyodrębnić zagadnienia, ale życie przełomu lat 1943/1944 i pierwszego kwartału 1944 r. takiej odrębności nie znało. Spory ideowe i dyskusje, urazy osobiste i zasadnicze różnice, zebrania towarzyskie i nauka w kompletach - wszystko to biegło między jedną akcją i drugą, wśród wieści o wojennych sukcesach i klęskach, w atmosferze strasznego terroru rozstrzeliwań ulicznych i narastającej nadziei zwycięstwa nad hitlerowską Rzeszą.

Wczesną wiosną 1944 r. ze sztabu wojsk polskich w Londynie przyszedł rozkaz przeprowadzenia akcji dywersyjnej w określanych miejscach i czasie na głównych liniach kolejowych, wiodących z głębi Rzeszy ku frontowi wschodniemu. Miało to być egzaminem sprawności Armii Krajowej. Od lutego 1944 r. zwycięskie wojska radzieckie przekroczyły już przedwojenną granicę Rzeczypospolitej i posuwały się nieprzeparcie ku zachodowi. W marcu 1944 r. radzieckie wojska frontu południowego osiągnęły cele ofensywy zimowej -

reorganizowały swe tyły na Wołyniu, w Tamopolszczyźnie i w rejonie środkowego Dniestru.

Zarówno strona rosyjska, jak i strona niemiecka koncentrowały siły ludzkie i materiałowe do nowej, ciężkiej rozprawy.

Oddziały Armii Krajowej mimo braku porozumienia rządu emigracyjnego z rządem moskiewskim i sztabu polskiego ze sztabem radzieckim otrzymały instrukcje zaatakowania transportów kolejowych ze sprzętem wojennym i wojskiem, kierowanym z Rzeszy na wschód.

Między innymi patrol kompanii wydzielonej wykonał akcję na pociąg pod Płochocinem, oderwawszy się „na chwilę” od monotonii prac przeciwgestapowskich. Dwa patrole „Zośki” dały swój żołnierski wkład na innych liniach.

Jeden z tych patroli wysadził w nocy z 5 na 6 kwietnia most na Wisłoku pod Tryńczę, osiem kilometrów od Przeworska. Pomiary mostu zrobił miejscowy oddział AK, który miał także ubezpieczać akcję wysadzenia. Most typu „krata, jazda dołem” był zabezpieczony przez duży, piętrowy bunkier na jednym brzegu i kilkudziesięcioosobowy oddział własowców ulokowany na drugim brzegu, w pewnej odległości od mostu. Gdy chłopcy „Sadu”, pod dowództwem Floriana-Jagiełły, przystąpili w ciszy nocnej do szybkiego minowania, okazało się, że nieściśle podano im pomiary mostu. Przywiezione przez „Sad” drewniane rozpórki, którymi miano przytwierdzić miny do belek przeszłowych, były więc za krótkie. Za krótki był też sznur przywieziony do umocowania min na żelaznych belkach kraty.

Nie mogli się długo namyślać i wahać - czas między biegiem dwóch przejeżdżających pociągów był krótki. Wyrwali z mostu deski i nie zważając na hałas łamali je o szyny, by przygotować nowe rozpórki. Załoga bunkra spała twardo. Nie słyszała nic. Czas jednak biegł

szybko. Okura siedział okrakiem na górnej belce kraty, usiłując gorączkowo przytwierdzić minę nadsztukowanym sznurem, gdy rozległ się głos Jagiełły:

- Opuszczać most, pociąg nadchodzi!

Dudnienie, początkowo dalekie, stało się gwałtowne, zapełniało hałasem całą dolinę rzeki.

- Nie zdążę - zawołał Okura. - Odpalajcie ze mną, trzymam minę.

Przestał manipulować sznurem. Przymknął oczy. Szybko oddychał. Jak we śnie usłyszał na tle potężnego sapania nadbiegającej lokomotywy głos Bonawentury:

- Nie gadaj głupstw! Przyłgnij do belki!

Nieskończenie długi pociąg towarowy, z dziesiątkami czołgów na otwartych torach, pędził z łomotem przez nietknięty most.

Dopiero w kilka minut potem miny odpalono, ale gdy dym wybuchu przerzedził się, ujrzeli zdumieni, że piekielny most stoi nadal! Odpaliły nie wszystkie belki. „Nawaliło” połączenie.

Bonawentura, który na czele swej drużyny brał udział w akcji, oprzytomniał pierwszy.

- Odpalamy jeszcze raz!

Wybiegł w kierunku mostu. Jagiełło i kilku innych pobiegło za nim. W tej chwili jednak odezwał się z bunkra karabin maszynowy. Z drugiej strony rzeki strzały własowców.

Miejscowy oddział AK ubezpieczający akcję - zdezorientowany, speszony - wzywał do najszybszego wycofania się.

Powtórne odpalenie okazało się nieosiągalne. Krzyżowy ogień dwóch karabinów maszynowych uniemożliwiał Bonawenturze i jego towarzyszom działanie, choć dostali się już na sam most. Ostrzeliwali się przez pewien czas spoza ażurowych krat mostu. Nie mogąc jednak założyć w tych warunkach min, skoczyli z mostu do rzeki.

Gdy wycofali się szczęśliwie (z jednym tylko lekko rannym - Andrzejem Gardą), spojrzeli z bezpiecznego miejsca na fatalny most. Nie chcieli wierzyć własnym oczom: w bladym świetle księżyca zdawało się, że w moście... brak przęsła! Przecierali oczy, jeden u drugiego sprawdzali rzeczywistość widzianego obrazu. Wysłali nawet zwiad w kierunku mostu. Tak jest! To nie było złudzenie! Całe przęsło mostu skrzywiło się dookoła jednej nie odpalanej belki przęsłowej i opadło ku wodzie.

Drugi patrol, działający tej samej nocy na tej samej trasie kolejowej, na wschód od stacji Rogoźno - był też patrol z kompanii „Rudy”. Patrol na swoim „terenie operacyjnym” nie miał wprawdzie do czynienia z liczną ochroną, bo nie był to most, lecz specjalnie wybrany, duży przepust kolejowy. Było za to nieoczekiwane efektywne zakończenie roboty.

Patrolem dowodził Anoda, dwudziestojednoletni „weteran” jeszcze z czasów odbicia Rudego pod Arsenalem. Po raz pierwszy robił tak daleką wyprawę w świat. Był więc lekko speszony i nie bardzo pewien siebie. Ostatnio dużo siedział w domu nad przygotowaniem do egzaminów w kompletach

politechnicznych. Wiosenne słońce, szmaragdowa zielen oraz powiew ciepłego wiatru oszołomiły go. Dlatego specjalnie starannie zakładał miny i pod przepustem, i przed przepustem, i za przepustem. Na wszelki wypadek! Byle tylko pociąg i przepust „zagrały”. W

wyniku tych manipulacji w powietrze wyleciał przepust kolejowy i lokomotywa ogromnego pociągu towarowego, pełnego zaopatrzenia wojskowego (powodując wykolejenie i wywrócenie wielu wagonów), a w pół godziny potem zwałił się tu jakiś pusty pociąg towarowy, rozbijając lokomotywę i gruchocąc wagony.

Anoda był uszczęśliwiony tak nieoczekiwanym sukcesem, kłął soczyście z radości, mimo iż sływał w „Zośce” z flegmatycznego temperamentu. Pozostała na torze jeszcze jedna mina-pułapka. Zdecydowano zatrzymać się pewien czas i zobaczyć, czy coś z tego nie wyniknie.

Wynikło! Na pułapkę „nadział się” techniczny pociąg ratowniczy. Jechał co prawda wolno, wykolejenie nie było więc poważne i strat w ludziach pociąg nie miał (na szczęście, obsługa bowiem składała się przeważnie z Polaków).

Ale powiększył zwałiska pogruchotanych wagonów i lokomotyw.

- Rany boskie, Słoni, cóż to się dzieje na tych torach?

Słoń, nie mniej flegmatyczny od Anody, był tak samo jak jego dowódca podniecony i wytrącony z równowagi. Szedł kołysząc się jak marynarz, krępy i mocno zbudowany, obok wysokiego i szczupłego Anody. Szukał długo w myśli jakiejś dowcipnej odpowiedzi.

- Lecą jak muchy na lep.

Patrol orzekł, że było to najbardziej dowcipne zdanie, jakie kiedykolwiek w swym życiu wypowiedział Słoń.

W kilka dni potem wywiad zakomunikował, że robota obydwu patroli „Zośki” oraz współdziałającego z nimi patrolu z grupy Sawicza, który wysadził tej samej nocy przepust kolejowy pod Nowosielcami, zatrzymała w drodze na kilka dni trzydzieści dwa transporty wojskowe.

Ledwo Anoda wrócił do Warszawy, nie zdążył nawet jeszcze w swym mieszkaniu przy Alejach Niepodległości wyciągnąć spoza szafy wielkiej deski kreślarskiej, na której rozpięty był arkusz projektu, wymagający szybkiego wykończenia (termin był tuż-tuż), kiedy we drzwiach ukazał się Andrzej Morro.

- Wróciliście wszyscy? Rannych nie ma? Spotkałem Słonia! Pierwszy patrol też wrócił, ale musiałem ukarać brata. Zabroniłem mu ruszać na wyprawę, bo nie przyszła dla niego fałszywa kenkarta. Mimo zakazu pojechał.

Długo nie wypuszczali podanych sobie dłoni. Patrzyli na siebie uśmiechniętymi oczyma.

- Cóżes zrobił Bonawenturze?

- Musi co dzień rano w ciągu miesiąca ćwiczyć marsz z Ochoty na Żoliborz, no i nie będzie miał przez pewien czas prawa do awansu. Nno, ale opowiadaj, jak było z wami.

Gdy Anoda kończył opowiadanie o perypetiach wyprawy, nie mógł powstrzymać się od drobnego przytyku w stronę Andrzeja.

- I wiesz, stary, kto się, specjalnie wyróżnił w tej wycieczce? Jest w naszym plutonie taki sobie sepleniący facet, co to się upił przed paroma miesiącami i zrobił burdę, pamiętasz?

Facet ten spisywał się teraz w ciągu całej wyprawy na sto dwa, mówię ci, typ nie tylko bojowy, ale i służbista.

Twarz Andrzeja spochmurniała, ale wnet rozjaśnił ją uśmiechem.

- No widzisz, no widzisz... Chyba w ciągu tej wyprawy nie pił i nie upije się już nigdy.

Anoda jest wyraźnie speszony.

- Czemu milczysz - nastroszył się Andrzej. - Pił znów?

- Przed akcją ani kropli. Ale po akcji nie wytrzymał. Te przekłete szynki w miasteczkach...

Andrzej chwycił czapkę i krzyknąwszy: - Ach, Anoda! - wybiegł wściekły z mieszkania.

Na wojnie jak to na wojnie.

Akcja kwietniowa „Zośki” na linii kolejowe dała dobre wyniki. Prawie bez strat własnych.

Dokładnie w miesiąc potem zadanie realizowane przez kompanię wydzieloną nie dało żadnych wyników i pociągnęło bolesne straty.

Kedyw polecił wykonanie wyroku śmierci na wysokim gestapowcu - Stammie.

Stamm był szefem Iii oddziału Sicherheitspolizei (śledztwa!), specjalnie szkodliwym i niebezpiecznym dla życia podziemnego człowiekiem.

Już pierwsze informacje dostarczone przez wywiad Wesołego speszyły chłopców: Stamm mieszka na drugim piętrze w domu przy alei Szucha, prawie na wprost gmachu gestapo. Tak jest, naprzeciwko głównej siedziby gestapo. W tym czasie, z powodu jesiennych i zimowych zamachów „Parasola”, aleja Szucha była specjalnie zabezpieczona bunkrami pobudowanymi u jej wylotów, szlabanami zamykającymi wyjścia i posterunkami kontrolującymi oba końce tej ulicy. Ponadto przed gmachem gestapo i kilkoma innymi urzędami niemieckimi stały posterunki. Gdy niewielki patrol rozpoznawczy plutonu Mirskiego dokładnie rozejrzał się w położeniu, na meldunku sprawozdawczym widniała opinia dowódcy patrolu: akcja nie nadaje się do zrobienia, minimalne szanse wykonania.

Pług jednak zdecydował zadanie wykonać. I po raz pierwszy w dziejach Grup Szturmowych młodzi ludzie wyrazili sprzeciw. Nie podobało im się to wszystko. Wyglądało na to, że cena akcji będzie

zbyt wysoka. Przecież ze wszystkich stron widać tu niemieckie „wachy”.

Wszystkie domy zamieszkałe są wyłącznie przez Niemców, i to w przeważającej części przez gestapowców i policjantów. Akcję trzeba wykonać w mieszkaniu Stamma, na piętrze, w głębi gmachu położonego naprzeciwko gestapo! I owe posterunki u wylotu ulicy, szlabany!

Kedyw przełamał jednak opory psychiczne: nie ma ceny zbyt wysokiej dla zlikwidowania wyjątkowego szkodnika. - Jesteście nie po to, aby przeżyć wojnę, lecz aby spełnić swój obowiązek - powiedział twardo jeden z oficerów Kedywu. Pług przeciął dyskusję i oddział z plutonu Mirskiego pod dowództwem Orkana, mający wykonać zadanie, ruszył 6 maja do akcji.

Dwaj bojowcy, przeznaczeni do wykonania wyroku, wchodzą w alei Szucha do bramy dużego, nowoczesnego domu, zamieszkanego przez gestapowską elitę. W bocznym wejściu -

wartownik SS.

- Jesteśmy z listem od doktora Kocha z Wiednia do pana Stamma.

- Pan Stamm jest chory - odpowiada SS-man - zatelefonuję, czy was przyjmie.

Chłopcom krew odpłynęła z twarzy. O chorobie Stamma wiedzieli z informacji Wesołego, ale telefon? Gdy wartownik podchodzi do aparatu telefonicznego, zjawia się z ulicy trzech następnych - niosą wielki kosz win i delikatesów od Meinla „dla pana Hoffmanna”.

- Poczekajcie, najpierw załatwię jedno, a potem zatelefonuję do pana Hoffmanna. Pokażcie kenkarty!

Ci też są zaskoczeni. Przygląda im się uważnie jakiś cywil siedzący koło wartownika. I gdy wartownik zaczyna nakręcać tarczę telefonu, czują, jak krew pulsuje im w skroniach.

Nie wytrzymali napięcia. Stało się...

Któryś wyjął pistolet i strzelił. W kilka sekund potem do miejsca strzału biegło już kilkudziesięciu Niemców, a wszystkie okoliczne posterunki i warty odbezpieczyły pistolety maszynowe.

Obydwa zespoły bojowców odstrzeliwując rzuciły się do ucieczki z gmachu i w stronę naszych aut, oczekujących przy rogu Szucha i Alei Ujazdowskich. Na widok uciekających odezwały się dziesiątki pistoletów maszynowych i karabinów. Równocześnie odpowiadać zaczęło nasze ubezpieczenie pod dowództwem Cyklona, rozstawione w rejonie samochodów ewakuacyjnych. Bitwa - i to jeśli wnioskować z siły ognia - bitwa duża. Trzech żandarmów przy „streifie” zabitych. Jakimś cudem cała piątka bojowców wydostała się wśród strzałów i poprzez dym filipinki biegnie do aut; Hipek jest ciężko ranny, Orkanowi krew zalewa twarz. -

Nie dopuścili nas, spalone. - Pod osłoną ognia ubezpieczeń wskazują do samochodów. Za nimi poszczególne grupki ubezpieczających. Do punktów tych strzelają dziesiątki luf z alei Szucha i od strony kripo w Alejach Ujazdowskich. Ostatni cofają się Nemo i Żak. Nemo pada na kolana, krwawi. Żak chwyta go i wlecze. Z Szucha wybiega kilku żandarmów i żołnierzy SS. Nemo dostaje drugą kulę, mdleje. Żak klęka przy nim i bije ze stena do żandarmów.

Przyłącza się do nich Sławomir. Samochód zwolniony z hamulców rusza wolno w Agrikolę.

Żak podbiega do szofera: - Do tyłu, Nemo został. - Przerzut tylnego biegu i maszyna wjeżdża znów w Aleje, w świst kul i wybuchy granatów. Nareszcie wszyscy w wozach. Sławomir -

ostatni - na błotniku.

W gęstym ogniu auta ruszyły. Pierwszy z wozów - nie od razu: szofer Bruno dostał postrzał w tył głowy i porażony, krwawiąc, stracił panowanie nad sobą.

- Na miłość boską, ruszaj! - krzyknął Garbaty, szarpiąc z rozpaczą spust stena. Zła amunicja wstrzymywała mu ciągłość ognia.

Bruno ruszył. Na Wilanowskiej wysadził zdrowych. Miał niemal całe plecy marynarki we krwi. Zemdlał i wypuścił z rąk kierownicę dopiero na Żoliborzu, gdy wjechał z rannymi do ogródka willi, w której oczekiwał chirurg, dr Wagner. Było to drugie osobiste zwycięstwo Bruna, pierwsze odniósł w akcji na Kutscherę. Wówczas również wyprowadził szczęśliwie jedno z aut ewakuacyjnych.

Drugi wóz także wybrnął jakoś z opresji, los trzeciego natomiast był okropny.

Był to „wanderer”, na którym umykało ośmiu chłopców, w tym czterech rannych. Zjazd Agrikolą minął pomyślnie. Na Huzarskiej jednak spotkali wielki ciężarowy wóz pełen SSmanów, jadących naprzeciwko „wanderera”

SS-mani musieli zorientować się, kim są ci pokrwawieni ludzie. Otworzyli ogień i zawróciwszy rozpoczęli pościg, bez przerwy ostrzeliwując ścigane auto. Nasz szofer dociskał

kurczowo akcelerator do deski - prędzej, prędzej. Kule hitlerowców były jednak szybsze.

Zginał Sławomir, jadący z braku miejsca na tylnym błotniku. Zabity został Nałęcz. Na Czerniakowskiej „wanderer” ku przerażeniu chłopców staje. Pociski przebiły bak z benzyną.

Spod maski samochodu bucha dym.

Trzech tylko miało siłę wyskoczyć. Biegną w kierunku wiosennej zieleni ogródków, połyskującej w majowym słońcu. Są wciąż ostrzeliwani. Kajtek pada. Żak znika szczęśliwie w jakimś ogrodzie. Trzeci - Robert - biegł przez pewien czas, lecz zabrakło mu tchu i siły.

Potknął się i padając w jakąś zieleń widział biegnących ku niemu SS-manów. Leżąc wyszarpał z kieszonki dwie kapsułki cyjanku, lecz połknął tylko jedną - druga wypadła z drżącej dłoni. Wymacywał ją gorączkowo wśród chwastów i trawy. Nagle dostrzegł, że ścigający hitlerowcy przebiegli obok i popędzili dalej nie spostrzegłszy go. Chwilę patrzył

oszołomiony na plecy swych prześladowców, a potem zamrugał jak ogłupiały powiekami i spłoszony nową falą strachu włożył palce głęboko do ust, aby wywołać wymioty.

Dym płonącego „wanderera” ścielił się gęsto wzdłuż ulicy...

Akcja ta kosztowała „Parasol” ośmiu zabitych i trzech ciężko rannych.

Zginął między innymi Orkan, bardzo bojowy i bardzo dobry człowiek.

Oddziały „Parasola” były wstrząśnięte. Nastroje stały się burzliwe.

Wyłoniło się dotąd nie zauważone pytanie - czy można narzucać tego rodzaju akcję ludziom, którzy nie mają do niej przekonania, są przeświadczeni o jej niewykonalności. Okrutna śmierć ośmiu towarzyszy samą swą liczbą, nieporównywalną z dotychczasowymi jednorazowymi stratami, szarpnęła serca.

Na Boga! Jakże tę akcję organizowano, skoro możliwe stały się takie straty!

Pług (chłopcy po raz pierwszy widzieli jego zdenerwowanie) drobiazgowo badał przebieg akcji. Jeremi, Rafał, Mirski i Luty mieli wśród tych wzburzonych umysłów trudną do wykonania rolę.

Rafał swego czasu był kierownikiem warszawskiego Petu. Teraz jest instruktorem Szarych Szeregów i członkiem ich kierownictwa. Niedawno ukończył „Agrikolę” i wszedł do kompanii wydzielonej, by w niej spełniać rolę, jaką w „Zośce” spełniał Piotr Pomian.

Oficjalnie został dowódcą I plutonu, lecz zarazem objąć miał całość spraw wychowawczych kompanii. Był o kilka lat starszy od swych kompanijnych towarzyszy - jednym z nielicznych mężczyzn żonatych w tym zespole, ojcem małej córki. Burzliwe dyskusje w kompanii po akcji na Stamma były dla Rafała pierwszym trudnym problemem do rozwiązania.

Stanowisko, jakie ostatecznie zajął Rafał, stało się stanowiskiem kierownictwa Szarych Szeregów: żołnierz jest najcenniejszym dobrem narodu i wojska. Żołnierzem należy gospodarować niesłychanie troskliwie i oszczędnie. Nie wolno żołnierza posyłać do akcji, w której nie ma szans powodzenia i w czasie której żołnierz nie ma zapewnionego dostatecznego bezpieczeństwa. Zasada odpowiedzialności za życie żołnierza powinna być stawiana na tej samej wysokości, co zasada karności żołnierskiej.

Kraj wchodził w nowy okres. Wiosną 1944 roku front wschodni przebiegał już przez środkowe Polesie i zachodnie powiaty Wołynia. Lokalne polskie działania powstańcze poderwało do walki Wilno, które zostało wyzwolone w kilka dni potem przez wojska radzieckie i oddziały AK. Na Wołyniu dzielnie walczyła 27 dywizja piechoty pod dowództwem podpułkownika Oliwy-Rudzkiego, który swego czasu był w Kedywie pierwszym przełożonym Grup Szturmowych.

Liczba i nasilenie działań partyzanckich na Lubelszczyźnie, w Białostockiem, w rejonie Gór Świętokrzyskich, w Beskidach i w całym kraju rosła z miesiąca na miesiąc. Coraz dotkliwsze straty zadawała wrogowi partyzantka AK, AL i Batalionów Chłopskich.

Warszawskie Grupy Szturmowe wykonując swe działania dywersyjne wznagalały jednocześnie natężenie pracy przygotowawczej do powstania i jawnych działań wojennych, do tego, co w planach Szarych Szeregów nazywano „Jutrem”. Tempo wydarzeń wzrastało na ziemiach polskich ostro!

W szczególnej sytuacji znalazła się kompania wydzielona. Lada miesiąc cała obecna treść jej pracy

dywersyjnej - walka z gestapo - mogła się stać całkowicie nieaktualna, nieprzydatna.

Więc co dalej?

Co dalej? Pług już od stycznia w rozmowach z Jeremim opracowywał tworzenie batalionu.

Ludzi mieli prawie na dwie kompanie, dostateczną liczbę wyszkolonych dowódców. Broni zdobyczej i zrzutowej starczy również.

Do spodziewanych otwartych działań wojennych Pług pragnął wejść większą jednostką. Ale hołubiony przez niego plan zawierał nie tylko koncepcję rozbudowy organizacyjnej. Przy całym swym realizmie postępowania Pług był fantastą! I teraz, z nie widzianym u niego poruszeniem, przedstawiał Jeremiu i Rafałowi swe marzenie o spadochronach, o szkoleniu spadochronowym, o batalionie strzelców spadochronowych, zarodku przyszłej brygady spadochronowej. Kierownik szkolenia już jest - świetny skoczek, Spad.

- Pomysł pierwszej klasy - kiwał z uznaniem głową Jeremi. I przypomniawszy sobie anegdotę o niedawnym „arcydowncipie” Słonia dodał z uśmiechem: - Na ten pomysł chłopcy będą lecieć jak muchy na lep, nie mówiąc już o tradycji bojowej oddziału.

Po raz pierwszy od paru miesięcy Jeremi był naprawdę ożywiony. Tragedia samochodu

„wanderer” stała się wstrząsem, który oderwał go wreszcie od udręki wspomnień o Bronku Locie. Teraz marzenia Pługa, może i powiew wiosny, tego dnia wyjątkowo pięknej, a może ciągle uśmiechająca się doń łączniczka Jasia, wywołały dawno nie odczuwany entuzjazm.

Spadochrony...

Samoloty... Więc to już tak wielkimi krokami zbliża się jawna walka?

- Mam, panie kapitanie, pomysł nowego, spadochronowego dla nas kryptonimu.

- ?

- „Parasol”!

Pług patrzy chwilę na ruchliwą w uśmiechu twarz Jeremiego i sam się uśmiecha.

- Bardzo się panu, Jeremi, ten pomysł udał. Będziemy „Parasolem”!

Stojąca obok łączniczka Jasia klasnęła w dłonie i roześmiała się głośno.

Pomysł Jeremiego wydał jej się świetny.

Radowała ją żywość ruchów Jeremiego i jego głos brzmiący jak dawniej energią, pewnością siebie, zuchwałością.



Wzmogła się nawet aktywność rodziców młodych szurmowców. I rzecz charakterystyczna: o współdziałanie dopraszali się szczególnie gorąco ci ojcowie i te matki, których synowie padli w walce. Zapoczątkował to kiedyś, przed rokiem, ojciec Felka, którego syn poległ w potyczce pod Czarnocinem, ujawniając w ostatniej swej walce legendarną odtąd w Grupach Szturmowych ofiarność bojową. Ojciec Felka był woźnym w Bibliotece Publicznej przy ulicy Koszykowej. Już w kilka tygodni po śmierci syna zapragnął kontaktu z dowódcą oddziału, w którym służył syn. Zośka - było to jeszcze za jego życia - poszedł na to spotkanie bardzo niechętnie, z uczuciem przygnębienia. Spodziewał się wyrzutów, narzekań, obwinień i cóż miał na to zrozpaczonemu ojcu odpowiedzieć?

Pan Pendelski długo trzymał w swym ręku dłoń Zośki, wreszcie rzekł:

- Pewnie potrzebujecie mieszkań na te swoje zbiórki albo na przechowywanie czegoś tam swojego. Ja mam wygodne mieszkanie, z oddzielnym wejściem.

Zośka był tak zaskoczony, że zaniemówił. Czuł, jak fala wzruszenia napływa mu do głowy.

A kiedy zginął Zośka - ojciec jego poszedł śladami pana Pendelskiego. - Sądzę, że śmierć Tadeusza nie przerwie naszych kontaktów. Mój dom w Zalesiu i ja sam - jesteśmy do waszej dyspozycji. - Willa profesora z otaczającym ją laskiem była rzeczywiście doskonałym miejscem do zebrań i ćwiczeń, wiemy już, jakże przydała się kursom „za lasem”, i wiemy także, jak bardzo przydatna była współpraca profesora z Grupami Szturmowymi. Podobnie po śmierci syna zareagował architekt Gutt, oddając do dyspozycji „Zośki” siebie i swój dom.

Zresztą, czy tylko do spraw lokalowych ograniczało się współdziałanie z dziećmi matek i ojców?

Ileż razy ojciec Bronka Lota, gdy odbywały się w ich mieszkaniu zebrania lub odprawy, godzinami wystawał przed domem, ubezpieczając młodych z własnej inicjatywy i zwykle bez wiedzy syna.

Albo matka Sokoła - tego, co zginął w Wiśle po zamachu na Kutscherę.

Kiedy skrytka w ich mieszkaniu bywała przepelniona, a jakaś nagła sprawa spowodowała, że coś tam jeszcze „podrzucano”, matczyśko w gospodarskim koszyku, pod paczkami warzyw i w ogromnym zdenerwowaniu, przenosiło broń lub amunicję do mieszkania swoich rodziców na ulicę Piwną. Teraz z kolei dziadkowie Sokoła - wystraszeni, lecz gotowi na wszystko -

wtykali niebezpieczne przedmioty do domowych skrytek. Tak było przez cały miniony czas.

Ale tej wiosny wydawać się mogło, że starsza generacja odczuwała jakąś przemożną potrzebę zespolenia się z konkretną walką swych synów i córek.

Ojcowie i matki powszechnie ofiarowywali pomoc i współdziałanie.

Tej wiosny nabrały również nowych barw grupy dziewczęce „Zośki” i „Parasola”.

Siłą rzeczy dziewcząt nie mogło tu być zbyt wiele. Ale służba sanitarna i łączność były na nich oparte całkowicie. Ponadto powierzano im zadania związane z wywiadem, transportem broni, z magazynami.

Dopiero teraz jednak dziewczęta Grup Szturmowych odczuły właściwy smak pracy: zawiązały się w krąg starszoharcerski pod wodzą Dużej Zosi. Ich praca, ofiarna jak dawniej, zaczęła się pogłębiać.

Cóż to za dzielne były istoty! Odwagą bojową i poświęceniem w służbie dorównywały całkowicie chłopcom.

- Nie mam słów, aby wyrazić to, co myślę o tych dziewczętach - powiedział kiedyś doktor Brom. Cały jego personel pomocniczy składał się przecież tylko z dziewcząt. Wszystkie dawały do transfuzji swą krew, z oburzeniem odrzuciwszy propozycję zapłaty. Wykonywały bez chwili wahania najbardziej niebezpieczne zlecenia. Jakaż odpowiedzialność ciąży na dowódcach, dysponujących tego rodzaju ludźmi.

Pięćdziesięcioletnia pani Stasia, która kierowała opieką nad rannymi i chorymi żołnierzami Kedywu oraz organizowała kontakty szpitalne, powiedziała:

- Szczęśliwa byłam, że los zetknął mnie z tymi bohaterskimi dziewczętami.

Zawsze roześmiane, wesole i pogodne, biegały po mieście w czasie najgorszych łapanek, opiekowały się rannymi, przenosiły broń, chodziły na akcje, uczyły się, pracowały, zdawały egzaminy.

Szaroszeregowa atmosfera Grup Szturmowych ukształtowała się w tym czasie, gdy dziewcząt z nimi nie było. Ale te dziewczęta, które przyszły z czasem do służby w Grupach Szturmowych (przeważnie zresztą harcerki), poziom ten podtrzymywały, szczególnie w tym trudnym moralnie okresie, jakim był koniec 1943 i pierwsza połowa 1944 roku. Teraz, wiosną, Duża Zosia i jej koleżanki stały się jednym z podstawowych czynników

„podciągania” tych, którzy przykro odchylali się od szaroszeregowego nurtu.

Wśród sporej gromady dziewcząt pełniących swą służbę w „Zośce” i „Parasolu” nie było przez pewien czas Krysi, siostry Jeremiego. Dziewczyna rwała się do tych prac i do tej gromady całym sercem. Wydawało jej się, że wchodząc do oddziału stanie znów blisko Bronka Lota. Ale uległa prośbom Jeremiego i jego zakłębciom. Jeremi, roztrzęsiony w owym czasie psychicznie, nie był w stanie powstrzymać wzruszenia. - Ty musisz żyć - tłumaczył. -

Ja jestem poświęcony i najprawdopodobniej zginę, ale ty musisz żyć. Matka, rozumiesz? - I Krysia dopiero po pewnym czasie wyłamała się z tych nalegań brata: została sanitariuszką. Tej wiosny również zrodziła się miłość Irki i Czarnego Jasia.

Czarny Jaś - Janek Wuttke - już kilkakrotnie przewijał się przez karty tej opowieści. To on był

jednym z tych członków kierownictwa Szarych Szeregów, który obok Piotra Pomiana walczył

o wartości cywilne Grup Szturmowych. To jego list do ojca został tu przytoczony, list o ludziach - cegłach, z których buduje się nowy i piękny dom przyszłości. To on zorganizował

dla łobuzerii Powiśla nieoficjalną, co dzień czynną świetlicę (mimo że za werbunek do niej został

pobity pod mostem Poniatowskiego!) I to on uruchomił młodzieżową sieć biblioteczną z książek wycofanych przez cenzurę okupanta z bibliotek publicznych. Był Czarnym Jasiem dlatego, że czarna jego czupryna i czarne brwi lśniące intensywnie granatowym połyskiem nadawały odcień całej twarzy i stanowiły uderzającą cechę wyglądu Janka.

Nosił okulary w rogowej oprawie, a ich grube soczewki aż nadto wymownie świadczyły o słabym wzroku. W czasach okupacji był to brak dla młodego człowieka niezwykle przykry: utrudniał uczestnictwo w akcjach zbrojnych.

Tym bardziej więc pogрузzył się Czarny Jaś w walce innego rodzaju, w walce o ludzkie charaktery i o dalekosiężny sens walki.

Irka, zanim zauważyła Jasia, spostrzegła najpierw jego rękę, piękną, nerwową rękę, opierającą się o brzeg stołu. A gdy podniosła wyżej wzrok, dostrzegła zniewalający wykrój ust, głęboko osadzone oczy, cienki nos i wysokie czoło. Nad nim - niepokojącą, granatową czerń wielkiej czupryny i srebrzście niebieskawy odcień twarzy. Patrzyła jak urzeczona.

Była córką jednej z kolporterok prasy podziemnej i starszą siostrą dziewczyny z Małego Sabotażu. Pani Janina z mężem oraz dwie ich córki - to jedna z tych licznych rodzin Warszawy, które - ogarnięte wewnętrzną potrzebą walki z wrogiem - zaangażowały się w tej walce całkowicie. Ich mieszkanie było ciągle „dyspozycyjne”, a ściślej mówiąc - w stałej dyspozycji najpierw Małego Sabotażu, z którym związały się Irka i Maryna, a potem - Grup Szturmowych. To w tym mieszkaniu na Powiślu zbierała się niezliczoną ilość razy małosabotażowa grupka Alka, do której należały obydwie dziewczyny; to stąd wzięli żandarmi w 1942 roku Irkę, gdy w czasie jednej z akcji zgubiła numer roweru, i do tego mieszkania wróciła cudem po kilku miesiącach pobytu w więzieniu. Mieszkanie miało kilkanaście skrytek i zawsze na przechowywaniu jakąś „bibułę”, roznoszoną nieprzerwanie po mieście przez matkę. W mieszkaniu tym bywał służbowo Czarny Jaś. Widywała go nieraz Irka. Ale dopiero któregoś ranka tej wiosny - wiosny nadziei - spostrzegła Janka naprawdę, a raczej spostrzegła jego nerwową rękę opartą o brzeg stołu i zdumiona podniosła wówczas wzrok wyżej. Z przyspieszonym biciem serca wsłuchiwała się w surowy głos, w którym jej ucho zdawało się chwycić także jakieś miękkie, nasycone delikatnością półtony.

Irka była dziewczyną postawną, o dość regularnych rysach, ale nieco kanciastą, chropawą.

Jednakże tej wiosny jej młodość nadała twarzy i całej osobie tyle uroku, że nie można było od niej oderwać spojrzenia. Tylko wzrok jej miał w sobie jakąś nieoczekiwaną powagę - pani Janina twierdziła, że to „dorobek” pobytu w więzieniu. Czarny Jaś sądził, że to właśnie umysłowe właściwości Irki, jej poważna rzeczowość, sprawiły, że spostrzegł wreszcie jej istnienie. Zresztą - nie miał pewności zupełnej - może nie tylko jej właściwości umysłowe?

Może także jasne włosy opadające na barki?

Może zarys piersi nadających kształt barwnemu kretonowi bluzki? A może błysk pięknych zębów w uśmiechu?

Usiłowali teraz nie stracić żadnego dnia. Bodaj na krótko spotykali się w jakimś punkcie miasta, szli

ulicami, zgodnie stawiając szerokie kroki, plotąc trzy po trzy, odczuwając miły dotyk swych rąk. W tramwajach stawali na pomoście, by widzieć siebie z bliska i milcząc -

uśmiechać się do siebie. Ale i na ulicy, i w tramwaju spojrzenia co pewien czas odrywały się od siebie, by nawykiem tych lat, z udanym roztargnieniem ogarnąć jezdnię i chodniki, przechodniów i osoby wypełniające tramwaj. Napięta czujność na możliwe zaskoczenie była jakby stałym tłem dla ich miłości. Nawet w domu Irki na Dobrej mieli słuch uwrażliwiony na szmer każdego auta zatrzymującego się w pobliżu ich domu. Tyle tylko, że w domu swobodniej mogli rozmawiać. Swobodniej - ale nigdy w pełni otwarcie. Irka pracowała w wywiadzie i przestrzegała surowo, jak tylko kobiety potrafią, karności wewnętrznej, nie zezwalającej na dzielenie się myślami z zakresu tamtej pracy nawet z człowiekiem, któremu tak całkowicie ufała.

Mieli zresztą wiele wspólnych zainteresowań uczelnianych. Czarny Jaś studiował chemię, Irena - elektrotechnikę. Mieli wiele wspólnych przeżyć w Grupach Szturmowych, nie obwarowanych tak rygorystyczną dyskrecją. Koło Czarnego Jasia nierzadko powstawały sytuacje napięte.

- Wiesz - zwierza się któregoś razu - są takie typy w „Zośce” i „Parasolu”, które moje pokpiwania z „wojskówki”, z cielecego zachwyty do wyimaginowanych szlif i do trzaskania powitalnego butami uważają za wystąpienia antyakowskie. To mnie do szału doprowadza!

Jest przecież także myślenie pozamilitarne, myślenie społeczne, moralne, kulturalne!

Irka nieśmiało unosi dłoń i dotyka czupryny Czarnego Jasia. Ten przestaje mówić, uspokaja się i uśmiechnięty bierze rękę Irki w swe dłonie.

Dziewczyna jest łagodna i tkliwa, straciła swą dawną manifestacyjną rzeczowość.

W rozgwarze akcji, zebrani i odpraw, w nieustannym „ganiu” po rozrzuconych w mieście lokalach, wśród codziennej grozy terroru i narastającej nadziei wyzwolenia rozkwitała ta koleżeńska miłość.

Mijały szybko tygodnie ich pierwszej wiosny.

Wczesną wiosną 1944 r. kompania wydzielona z „Zośki” do zadań walki z gestapo ukształtowała się ostatecznie w odrębny batalion „Parasol”.

Zdecydowano się więc w „Zośce” złożonej z dwóch kompanii - „Rudy” i „Maciek” -

utworzyć trzecią kompanię i powierzono to Czarnemu Jasiowi.

Jaś zabrał się energicznie do pracy, zakładając, że jego kompania będzie optymalnie harcerska. Dobierał do niej osiemnastolatków ze średniej warstwy Szarych Szeregów (tzw.

Bojowe Szkoły-BS, usytuowane między „zawiszakami” a Grupami Szturmowymi). W marcu 1944 r. trzy plutony tej kompanii zostały już ustalone: plutonem z Ochoty dowodził Bogusław (Iwo Rygiel), plutonem z Żoliborza - Michał (Michał Glinka), plutonem z Pragi, złożonym niemal wyłącznie z młodzieży robotniczej - Rawicz (Żeliszaw Olech). Zastępcą dowódcy kompanii został Andrzej Pol, dowódcą dziewcząt przy kompanii - Irka. Wszyscy mężczyźni byli podchorążymi i mianowanymi

instruktorami harcerskimi. „Przyjacielem” kompanii (jej opiekunem moralnym) został profesor architektury Romuald Gutt, ojciec rozstrzelanego jesienią Janka.

Spółeczny nerw Czarnego Jasia przejawiał się już w kwietniu: podjął się szkolenia w Batalionach Chłopskich jednej z ich klas podchorążych. Wypadki przerwały te tak obiecujące kontakty.

Broni nie mieli - prócz najniezbędniejszej w szkoleniu. I tak trwali w swych zaprawach do walk (trwali wciąż bez broni) aż do wybuchu powstania.

## **X. W SZPITALU WIĘZIENNYM**

Jedną z ostatnich większych akcji Grup Szturmowych w Warszawie było uwolnienie więźniów politycznych ze szpitala więziennego u Jana Bożego w dniu 29 czerwca 1944 r.

Działo się to wówczas, gdy Andrzej Morro, zachęcony dotychczasowymi wynikami

„podciągania” kompanii i pragnąc uczynić z „Rudego” wybitny zespół żołniersko-obywatelski, brnął coraz bardziej w błąd częsty u natur skłonnych do fanatyzmu i pragnących stosować do swego otoczenia te same mierniki, jakie stosują do siebie. Wymagał zbyt wielkiej rzetelności, zbyt surowej dyscypliny i napotykał na bardzo ostry opór. Zamiast polepszenia -

atmosfera życia i pracy „Rudego” uległa wielkiemu zaognieniu i skłóceniu.

Czołowa grupa najstarszych kolegów Andrzeja z jego macierzystego „Sadu” zdobyła się na krok stanowczy: zaczęto zwracać na jego ręce oznaki „Sadu”, symbol ich braterstwa.

Ta forma protestu wstrząsnęła Andrzejem. Dopiero teraz zrozumiał, w jak okropnej moralnie znalazł się sytuacji, i dopiero teraz uchwycił - nareszcie! - istotę swych błędów.

Przeanalizował sytuację i postanowił zastosować rozwiązanie nie spotykane w wojsku: wymusiwszy na to zgodę swego przełożonego, udzielił sobie jako dowódcy kompanii formalnego urlopu o charakterze karnym. Karał siebie na oczach wszystkich swych kolegów-podkomendnych za nasilenie zadrażeń w kompanii. Jednocześnie dawał sobie czas na przemyślenie sprawy, na wyszukanie właściwych sposobów oczyszczenia atmosfery

„Rudego” i - jednak - na wzmocnienie prężności organizacyjnej oraz moralnej swojej kompanii.

Były to u Andrzeja znów dni wielkiego wzburzenia. Zaciętość i wiara w wyznawane zasady ani na chwilę nie zachwiały w nim przekonania o słuszności wymagań. O - nie! Tylko ludzie, którym stawia się najwyższe żądania, zdolni są dać ze siebie najwyższy wysiłek moralny i fizyczny. Tego był pewien!

Jego błąd polegał nie na tym, że wyznaczał zbyt wysokie ideały, lecz na czym innym: stawiał

te wymagania jak widać nieumiejętnie, miał złą metodę podejścia do ludzi, skoro w rezultacie doprowadził kompanię do stanu dysharmonii.

Tak myślał Andrzej Morro i gryzł się. Źle sypiał. Odbywał nie kończące się rozmowy z Piotrem i Czarnym Jasiem. Kilkakrotnie jeździł do Profesora.

Przy pomocy pana Janka wyszukiwał i pochłaniał dzieła pedagogiczne. W czym, do licha ciężkiego, leży sedno jego błędu?

Zachowała się z tych czasów notatka Andrzeja pisana ołówkiem. Krótkie, parowyrazowe zdania, jakby hasła nurtujących go tematów. Między innymi:

„Brak zaufania do ludzi”, „Za bardzo formalnie”, „Ciągłe pretensje, zły stosunek do ludzi”,

„Dystans? Wyższość, dyktatura”, „Podejście jak do rekruta”.

Dopiero na długich spacerach w parkach i ogrodach warszawskich zarysowywać mu się poczęła koncepcja nowego postępowania, na którą wpadł rozmyślając nad tajemnicą niezwykłego powodzenia wychowawczego Zośki: dla siebie - wymagający, dla wszystkiego i wszystkich - wyrozumiały... Czy to miał także na myśli Jeremi; gdy mówił, że trzeba nienawidzić zła, ale być dobrym dla ludzi? I czy o tym myślą socjologowie i psychologowie, gdy cenią nade wszystko wzór wychowawczy, a nieufni są w stosunku do nacisku, do presji?

- Wygląda na to, że miałem jakieś inkwizytorskie zacięcie - mruczy do siebie Andrzej Morro i wlecze się noga za nogą wzdłuż stawu parku Paderewskiego. Słońce przygrzewa tak mocno, że Andrzej rozpina kołnierz bawełnianej koszuli. Zatrzymuje się, marszczy brwi i mówi już teraz zupełnie głośno: - Ale, panie Profesorze, nie mogę przyznać racji pana francuskiemu przysłowiu, że lepsze jest wrogiem dobrego... I mogę zdobyć się na wyrozumiałość dla wszystkich, ale nie dla wszystkiego. O - nie! - Jeszcze chwilę stoi bez ruchu, potem uśmiecha się i zawróciwszy rusza ku bramie.

W owym czasie kulminacji Andrzejoych trudności w „Rudym” kompania „Maciek” przygotowywała się do akcji wyzwolenia więźniów, która została zlecona pierwszemu plutonowi tej kompanii, dowodzonemu przez Tadzia (właśnie Tadzia, a nie Tadeusza) Żoliborskiego. W myśl ustalonej już tradycji coraz kto inny obejmował kierowanie kolejną akcją.

Tadzio ma lat dziewiętnaście, a może dwadzieścia, ale wygląda na szesnastoletniego chłopca.

Tyle tylko różnicy w stosunku do szesnastolatka, że już kilkakrotnie brał udział w akcjach bojowych oraz w czasie tych akcji zdradzał tak szybką orientację, odwagę i inteligencję, że został dowódcą plutonu. Obecnie po raz pierwszy otrzymał samodzielne zadanie. Dobrani przezeń ludzie mają doń - choć tak chłopięco wygląda - zaufanie. A przy tym wiadomo, że nie tylko jest to dobrze zapowiadający się dowódca, ale także taktowny i miły towarzysz.

Szpital Jana Bożego przy ul. Bonifraterskiej jest przeznaczony dla umysłowo chorych. Ale na skutek przepełnienia szpitala więziennego na Pawiaku - zarezerwowano na Bonifraterskiej część drugiego piętra dla chorych więźniów. Pilnuje tych więźniów spory posterunek policji granatowej. Nie jest jednak to pilnowanie stuprocentowo skuteczne. Już kilkakrotnie wykradano stąd więźniów. Na przykład w końcu kwietnia Maryla na czele osiemnastki chłopców swego plutonu wyzwolił

nieszczęsnego „parasolarza” Asa (notabene mającego nogę na wyciągu!). Funkcję lekarza pełnił w tej akcji Luty. Władze okupacyjne zdecydowały skończyć z tym niepewnym oddziałem szpitala i rozpoczęły ewakuację wszystkich chorych politycznych z powrotem na Pawiak. Zawiadomione o tym Kierownictwo Walki Podziemnej zdecydowało interweniować i wyzwolić resztę więźniów przed ich ostatecznym zamknięciem w murach Pawiaka.

Trzeba było działać szybko.

Rozpoznanie ma Tadzio ułatwione. Jedną z pań, którą dobrze zna, pracuje jako pielęgniarka u Jana Bożego. Już kilkakrotnie służyła informacjami, więc w ciągu dwudziestu czterech godzin Tadzio ma dokładny plan sytuacyjny, obejmujący dziedzińce szpitalne, korytarze i sale tych pięter, które go specjalnie interesują. Ma także wykaz więźniów politycznych, aby niepotrzebnie nie wypuścić na wolność kryminalistów. Wie również, że posterunek policji granatowej składa się z dwunastu ludzi.

Wobec tego Tadzio wyznacza na wyprawę siedmiu swych kolegów, sam jest ósmy. Prócz ludzi powinna ruszyć do akcji wysoka drabina. Nie ma bowiem innego sposobu dostania się bez awantur na wysoko oparkaniony i stale zamknięty drugi dziedziniec wewnętrzny, jak tylko za pomocą drabiny. Jest także duży wóz ciężarowy dla zabrania więźniów i mały Opel do ewakuacji ewentualnych rannych. Oba samochody stoją na Sapieżyńskiej, w pobliżu bocznego skrzydła szpitala.

Chłopcy mają wejść na teren szpitala bramą od Sapieżyńskiej. Główne wejście od Bonifratskiej wiedzie przez tak wąskie i długie korytarze, że wydaje się niebezpieczne.

Przez kiszkę tego wejścia wchodzi do środka sam Tadzio. Stamtąd idzie na dziedziniec przylegający do Sapieżyńskiej i wywoławszy dozorcę, każe mu otworzyć bramę, za którą stoi cała zbrojna siódemka.

Niestety, dozorca jest stary i widząc, że ma do czynienia z ludźmi uzbrojonymi, tak się zląkł, iż nie może odszukać klucza do bramy. Drżą mu ręce, trzęsie się cały, siąka nosem z wielkiego wzruszenia i - zgiń, przepadnij - nie wie, gdzie się zapodziały klucze!

Cóż za diabelski pech na samym wstępie! Nie ma innej rady: karawana młodych ludzi idzie ze swą drabiną przez nieprzyjemną kiszkę korytarzy, starając się wzbudzić jak najmniejszą sensację u woźnego i szeregu mijanych pracowników. Nie bardzo są pewni, czy im się to udało. Przecinają przewody telefoniczne. Paru pozostaje w tym rejonie, aby interweniować przy pierwszym objawie jakiegoś niepokoju.

Reszta jest już na dziedzińcu, który przylega do oparkanionego podwórza więziennego.

Szybko stawiają drabinę - i na nią. Cała sztuka polega na tym, aby nie zaalarmować policjantów, gdyż zorientowani na czas mogą stawić opór, a takie rzeczy są zawsze nieobliczalne w skutkach. Na szczęście żadnego z nich nie ma ani na podwórzu więziennym, ani w oknach, ani u wejścia. Są gdzieś w głębi.

Przeskoczyli. szybko i cicho klatką schodową na drugie piętro. Te drzwi prowadzą do izby wartowniczej. Szarpnięcie klamki: - Ręce do góry!

Granatowi zostali zupełnie zaskoczeni. Są prawie wszyscy, tylko paru gdzieś w salach. Razem dwunastu. Podnoszą ręce ku górze i odtąd, w ciągu całej dwadzieścia minut trwającej akcji, główną ich troską będzie ukrycie gdzieś broni. Okupant bowiem ostro karze policjantów za oddanie broni bez walki. Tadzio - humanarysta docenia tę troskę nieszczęśliwców i, mimo niezadowolenia kolegów, obiecuje, że jeśli wszystko dobrze będzie przebiegać, broń im pozostawi. Nie śmia wierzyć, ale zachowują się potulnie, aby na ten gest dowódcy zasłużyć.

Wśród chorych więźniów niesłychane podniecenie. Łapią bojowców za ręce, klepią po ramionach, krzyczą bezładnie w radosnym podnieceniu i dopytują się gorączkowo o ubrania, boć przecież w bieliźnie więziennej nie mogą stąd ruszyć.

Ubrania są. Przewidziano to. Rozdawać!

Trudno było jednak znać miarę wyzwalanych więźniów i zresztą teraz też trudno dobierać.

Każda chwila droga. Młodzi ludzie nie mogą powstrzymać uśmiechów na widok cudaczego wyglądu trzynastu dziwacznie poubieranych mężczyzn.

Na dół. Bez pośpiechu, spokojnie. Broń policjantów można zostawić, zabrawszy wszystką amunicję.

Pech! Drabina została z tamtej strony, a policjant-dozorca, podobnie jak jego poprzednik z Sapieżyńskiej, nie może również znaleźć klucza. Co za los z tymi dziadowskimi niezgłami!

Trzeba rozwalać płot.

Robią to, zapędziwszy do pomocy policjantów, którzy zresztą sami są speszeni brakiem klucza i starają się ten kłopot wynagrodzić gościom przez gorliwość w wybijaniu dziury w płocie. W tej wyprawie niebezpiecznej jak każda coraz więcej jest sytuacji farsowych, ale śmiać się z tego będą dopiero później. Teraz są czujni i przynaglają policjantów. Wśród więźniów jest kilku poważnie rannych i chorych, trzeba ich znieść na noszach.

Nareszcie ulica!

Ale cóż to się dzieje na ulicy? Około setki mężczyzn i kobiet przystanęło po drugiej stronie Bonifraterskiej i widząc wychodzącą kawalkadę bije brawa i coś wykrzykuje. Dowódca

„Maćka”, obserwujący z zewnątrz akcję w towarzystwie szefa kompanii - Kmity, usiłuje przy pomocy paru przywołanych bojowców usunąć tych ludzi. Na próżno. Ładna historia! Biegiem do samochodów! Lada moment rozentuzjzmowany tłum doprowadzi do zjawienia się Niemców.

Przejeżdża tramwaj. Motorniczy zwalnia biegu - ludzie wysuwają głowy z okien wagonu i też krzyczą podnieceni. Jakieś typy łązęgowskie o zakazanych twarzach nadbiegły ze Stawek i Wołówki, pomagają nieść nosze z rannymi, podsadzają na ciężarówkę. Zza rogu wychodzi grupa robotników i widząc, co się dzieje, uśmiecha się radośnie. Gotowe! Wozy ruszają.

Działo się to 29 czerwca. Wojska radzieckie stojące nad Bugiem lada tydzień mogły runąć ku Wiśle. Na polach północnej Francji armie desantowe Anglosasów i całego sprzymierzonego Zachodu waliły



jak potężny młot w niemiecką maszynę wojenną. Nad Warszawą pojawiać się zaczęły eskadry lotnictwa radzieckiego.

Lud stolicy czuł, że zbliża się koniec męki. Choć terror hitlerowskich oddziałów SS i policji dawał wciąż o sobie znać. choć gestapo po dawnemu było czujne, niekiedy jednak - ot, jak teraz w obliczu tego, co zaszło koło szpitala Jana Bożego - warszawiacy na chwilę uchylali klapę bezpieczeństwa swych uczuć. Ładunek tych uczuć, wciąż jeszcze opancerzonych w piersiach, był ogromny.

Czarny Jaś słuchał uważnie opowiadań o przebiegu uwalniania więźniów i reakcja ulicy zrobiła na nim wielkie wrażenie. Pomyślał o napisaniu artykułu do pismka kompanii

„Rudy”. Artykuł będzie mieć tytuł: „O prawdziwe braterstwo broni” i sprecyzuje myśli, które od dawna dręczyły Jasia.

Skończył przed chwilą omawianie idei artykułu z Irką. Siedzą we dwójkę w jednym z pokojów na Dobrej. Irka trzyma wieczne pióro i ma przed sobą biały arkusz papieru. na którym napisała właśnie tytuł. Oczekując dyktowanych zdań usiłuje nie odrywać wzroku od papieru i nie patrzeć na tę jedyną twarz, gdyż obawia się napłynięcia znów tych dziwnych, obezwładniających fal „cielęcego zachwyty”. To ta okropna Maryna powiedziała wczoraj, że gdy Irka patrzy na Jasia, twarz jej wyraża taki właśnie zachwyty. „Cielęcy!” Ależ siostrunia!

My, ludzie Grup Szturmowych - dyktować zaczyna Jaś - pochodzimy z różnych środowisk, warstw i klas. Są między nami inteligenci, robotnicy i rzemieślnicy. Ale nasi koledzy pochodzący ze środowisk a inteligentkiego ciągle jeszcze patrzą na swych współtowarzyszy-robotników, jakby z wyższością. Uznają swoje wartości za jedyne i z patronackim nastawieniem pozwalają się do nich dociągać naszym kolegom-robotnikom.

Zrobił kilkadziesiąt kroków po pokoju i zapatrzył się w okno.

Niepoprawnie mówione słowo, błąd gramatyczny, gorsze ubranie, brak tak zwanej ogłady towarzyskiej - to wszystko są sprawy, które dla naszych kolegów inteligentów urastają do zagadnień naczelnych i pozwalają na najbardziej obrzydliwe lekceważenie, na błazeński uśmiech wyższości. To, że on chodzi w czapce, a nie w kapeluszu, że mówi „u nasz” zamiast

„u nas” - to go w oczach inteligenta przekreśla i jakże często, jak boleśnie rozluźnia więź wspólnej pracy i walki. Znów stają wobec siebie dwa zamknięte światy.

Winę za taki stan rzeczy ponosimy wszyscy. Podporządkowaliśmy się fałszywym wartościom i zasłona pozorów przesłania nam prawdziwą wartość człowieka!

Prawdziwa wartość człowieka? - usiłuje myśleć Irka. - Co on ma na myśli?

Charakter? - Ale Czarny Jaś już dyktuje dalej:

Jest jedna tylko droga wyjścia - konieczność szczerego współżycia. Jeśli nie mamy być

zbiorowiskiem zawodowych fachowców od dywersji, ale zespołem obywatelsko-żołnierskim, musimy stworzyć podstawę prawdziwego braterstwa broni, opartego przede wszystkim na wspólnym życiu na wszystkich odcinkach i we wszystkich przekrojach. Wtedy dopiero staniemy się kadrą wojska przyszłości, wojska demokratycznego.

Charakterystyka stosunków w Grupach Szturmowych podana przez Czarnego Jasia wydaje się Irce przesadna. Gdy Jaś skończył, dziewczyna nieśmiało mówi o tym, że różnice między liczniejszymi w „Zośce” inteligentami a środowiskiem młodzieży robotniczej i rzemieślniczej nie są tak drastyczne, jak podyktował Jaś. I czy rozwiązanie zagadnienia nie jest zbyt zwężone?

Jaś zamyśla się.

- Może i racja, ale wyjaskrawienie sprawy czyni ją widoczniejszą.

Zwężenie zaś rozwiązania? Masz na myśli sprawy gospodarcze i tak dalej?

Przecież nie można o wszystkim w jednym artykuliku... A zresztą - zmiana sposobu bycia leży w naszych własnych możliwościach, przebudowa gospodarczo-społeczna natomiast to już sprawa wielkiej polityki, to już nie nasz resort.

Irka, podobnie jak wiele ludzi w Grupach Szturmowych, jest przekonana, że likwidacja różnic klasowych w stosunkach codziennych, koleżeńskich jest jakby warunkiem wstępnym prawdziwej demokratyzacji, więc przepisując na czysto artykuł, kiwa potakująco głową.

Gdy skończyła, siadają obok siebie. Jaś otacza dziewczynę ramieniem i zbliża swą twarz do jej twarzy.

## **XI. ZAMACH NA KOPPEGO W KRAKOWIE**

Ostatnią wielką, a zarazem najpoważniejszą akcją przeciwgestapowską „Parasola” stał się zamach na generała SS Koppego, szefa gestapo i policji w tak zwanej Generalnej Guberni, członka rządu Generalnej Guberni rezydującego na Wawelu w Krakowie i pierwszego zastępcy generalnego gubernatora Franka. Zamach ten miał być najdonioślejszym głosem polskiego protestu przeciwko tym wszystkim bezceństwu, okrucieństwu i podłościom, których źródłem w Polsce stały się gestapowsko-hitlerowskie rządy.

Przygotowanie akcji i dowodzenie nią powierzone zostało Stanisławowi Leopoldowi -

Rafałowi, jednemu z najwybitniejszych przywódców Szarych Szeregów, do których w czasie wojny wszedł na czele warszawskiej młodzieży Petu. Niedawno został podchorążym, pragnął

bowiem połączyć się więzami pracy wojskowej z tymi, których dotychczas prowadził

„cywilnie”. Nie było to zresztą ani kłopotliwe, ani trudne dla tego zawsze poważnego, dwudziestosześcioletniego mężczyzny: tak żywo interesował się wszelkimi dziedzinami życia, tak ciekaw był ludzkich spraw, że chętnie wchodził w tę dotąd sobie obcą dziedzinę.

Zresztą - jest przecież wojna i ostatecznie broń wojskowa przesądza dziś o losach świata.

Rafał był typowym intelektualistą, interesowała go myśl ludzka, ludzkie idee. Był z ducha demokratą. Tym bardziej był ciekaw tej dziedziny, którą dotąd obserwował z odległości: wojska, z jego dyscypliną i hierarchią, z jego swoistymi prawami i rutyną. I był także ciekaw walki innej od tej, którą dotąd prowadził: walki zbrojnej.

Pierwsze poważne - choć tylko pośrednie - dotknięcie przez Rafała spraw kul i krwi było niezwykle przykre: wziął udział w likwidowaniu psychicznych skutków tragicznego losu

„wanderera” i ośmiu poległych w związku z akcją na Stamma.

Jego pierwsze bezpośrednie zetknięcie z ogniem pistoletowym i z wybuchem granatów, obserwowane z zaciekawieniem przez tych, którymi tak niedawno kierował, a którzy obecnie przewyższali go doświadczeniem bojowym, wypadło całkiem pomyślnie. Spokój i opanowanie, tak charakterystyczne w postawie cywilnej Rafała, towarzyszyło mu również w walce. Zdolność szybkiego ripostowania w dyskusjach, z której słynął na zebraniach, nie opuściła go także w walce, gdzie przeciwnikiem „dyskusyjnym” był wróg, a ripostą ruch i ogień. Odwaga, ta podstawowa cecha żołnierska, była u Rafała także aż nazbyt widoczna.

Rafał awansował szybko. Jeremi, młodszy odeń o pięć lat, ongiś jego wychowanek, a dziś dowódca, z uznaniem i aprobatą spoglądał na Rafała.

- Myślę, że będziesz pierwszorzędnym oficerem.

- Bo ja wiem, bo ja wiem... - wahająco odpowiada Rafał. - Oczywiście, będę wojował, jak potrafię najlepiej, ale nie zdaje mi się, abym ten typ życia i ten typ pracy kiedykolwiek polubił.

- Co ty mówisz! - zachnął się Jeremi, dla którego wojsko stawało się czymś bardzo drogim, a dowodzenie - najwspanialszą z prac, właściwie nie pracą, lecz sztuką piękną i twórczą. Teraz, gdy otrząsnął się z przygnębienia i wyzbył nerwowości, stawał się znów dawnym, dzielnym, sprężystym fizycznie człowiekiem.

- Co ty mówisz, Rafale - kontynuował swą myśl. Wojna, wojsko i dowodzenie to jedyny sposób dania ze siebie wszystkiego, co najcenniejsze w prawdziwym mężczyźnie, to niezrównana sposobność wydobywania z ludzi najwyższych wysiłków i tworzenia wielkich faktów.

- Może, może - bez przekonania odpowiada Rafał.

Decyzję Pługa, że obserwatorem i doradcą w akcji na Koppego będzie Jeremi, przyjął Rafał z zadowoleniem. Miał zaufanie do tego młodego człowieka, jako do dowódcy. Szczególnie teraz, gdy Jeremi wracał szybko do swej najlepszej formy.

Przygotowania trwały wiele, bardzo wiele tygodni. Zaczęły się jeszcze w kwietniu. Trzeba było przeprowadzać rozpoznania w Krakowie (czynił to osobiście Rayski ze swymi najlepszymi wywiadowczyniami, Kamą i małą, niezgrabną Dewajtis). Trzeba było wyrabiać w Krakowie stosunki, organizować „meliny”, przygotowywać szpitale i miejsca na ewentualny pobyt rannych.

Trzeba było wżyć się w teren krakowski, w zachowanie się tamtejszej policji, trzeba było wypracować odpowiednie dowody osobiste, przewozić oraz magazynować broń i wykonywać ileż tam jeszcze drobnych czynności przygotowawczych. Drobnych? Każdej chwili pośliznięcie się na którymś drobiazgu grozić mogło katastrofą. Na szczęście Jeremi i Rafał

mieli dobre oparcie w krakowskiej chorągwi Szarych Szeregów powiązanej z AK.

Nareszcie czynności wstępne skończone! Różnymi pociągami - przez Częstochowę i Radom - w różnych godzinach wyrusza grupa bojowa z Warszawy.

Pięć samochodów - w tym dwie ciężarówki - rusza szosami. Grupa składa się łącznie z dwudziestu osób. Jest w niej chirurg „Parasola”, doktor Maks, trzy sanitariuszki i łączniczka.

Są także Kruszyńska i Ali, dwaj uczestnicy akcji na Kutschere, których udział wydaje się bardzo cenny.

Pierwsze dwa tygodnie pobytu w Krakowie to wżywianie się całego zespołu w miasto, jego topografię, zwyczaje oraz szczegółowe „uczenie się ról” w różnych wariantach. W trzecim tygodniu rozpoczyna się wielka gra. Gra inteligencji i wytrwałości, siły nerwów i siły fizycznej. Gra życia i śmierci.

„Koppe” jest znacznie trudniejszy od „Kutschery”. Generał mieszka na Wawelu, urzęduje w gmachu Akademii Górniczej. Do pracy jeździ nie tak punktualnie jak Kutschera: różnica w czasie przekracza 60 minut (to znaczy, że ponad sześćdziesiąt minut grupy uderzeniowe i ubezpieczające mają czatować na swych stanowiskach, obok swych pięciu samochodów; czyż mogą nie zwrócić na siebie uwagi?). Ponadto Koppe nie jeździ jedną trasą - tras tych jest trzy, rozgałęziają się tuż przy wyjeździe z Wawelu (to znaczy, że nigdy nie ma pewności, czy wystawienie nie będzie chybione). A wreszcie Koppe zmienia samochody. I za Koppem jedzie zwykle ubezpieczający go wóz z czterema policjantami niemieckimi, trzymającymi

„rozpylacze” gotowe do strzału na burtach samochodu.

Rafał bardzo starannie rozważył wszystkie „za” i „przeciw”. Był przecież reprezentantem tezy, że nie wolno żołnierzom wprowadzać do akcji nie dającej szans powodzenia. Ocena wypadła następująco: warunki zamachu na Koppego są trudne, ale możliwość pomyślnego przeprowadzenia operacji - znaczna.

Plan działania - podobny do planu wypracowanego z Kutschere: sygnał dalekiej łączniczki, rozkaz dowódcy akcji, silny ogień dwóch grup uderzających: jednej w auto Koppego, drugiej w jego ubezpieczenie, przy równoczesnym zajechaniu naszej ciężarówki w poprzek drogi samochodu Koppego. Ponadto - i to jest novum - nasza półciężarówka będzie gotowa do pościgu za autem Koppego, gdyby ten się jakimś sposobem wyrwał z pułapki.

Zacząło się.

Są początki lipca. Upał daje się we znaki już rano. Młodzi ludzie w zapiętych pod szyję płaszczach, pod którymi ukryta jest broń, stoją w żarze promieni słonecznych. Ani jednej chmurki, ani odrobiny cienia na tym rogu Zwierzynieckiej i Powiśla. Kierowcy mają nieco lepiej na placu Kossaka, tuż obok.

Po sześćdziesięciu minutach - odwołanie. Koppe pojechał inną trasą.

Schodzą przepoceni, wymęczeni fizycznie i nerwowo. Odpoczynek w swych „melinach” mają nienadzwyczajny. „Melin” jest niewiele. Są ciasne, niewygodne. Trzeba zachowywać ogromną ostrożność. Trudno nawet o spokojne i staranne wyczyszczenie broni.

Po dwóch dniach znów czatowanie. Znów piekielny żar lipca. I znów na próżno.

Po jednym dniu przerwy - trzeci raz na róg Zwierzynieckiej i Powiśla.

Jest 11 lipca. Zdaje im się, że zna tu ich już każdy mieszkaniec i każdy przechodzień, boć przecież stoją trzeci raz tymi samymi zespołami w tych samych bramach, przy tych samych przystankach tramwajowych i z tak samo zapiętymi pod szyję płaszczami. Nawet żar lipcowego słońca jest taki sam, tak samo osłabia fizycznie i nerwowo, mimo że człowiek chłodzi się czereśniami.

Uwaga!

Wywiadowczyni z warkoczykami, Dewajtis, stojąca na wale wiślanym w odległości około stu pięćdziesięciu metrów, schodzi szybko schodami. Koppe jedzie!

Rafał wciąga głęboko powietrze i wpatruje się w daleki, wielki, otwarty, dwunastocylindrowy Mercedes. Jedzie bez ochrony - co za wspaniała szansa!

Jeszcze parę sekund i Rafał zdejmuje nakrycie głowy. Stało się! Rozkaz wydany.

Młodzi ludzie rozpinają płaszcze i wyjmują broń. Największa ciężarówka włącza gaz i powoli rusza z rogu. Chwilowe oszołomienie, że jest inaczej, że nie ma wozu ubezpieczającego z gestapowcami, zamienia się w radosny wstrząs: nie ma ubezpieczenia, łatwa robota!

Ulica niemal pusta. Gdzieś tam w pobliżu dwóch SS-manów już zresztą sterroryzowanych przez małego Zeusa. Powodzenie w ręku niemal na sto procent.

Jakże złośliwe są bóstwa wojny! I jak diabelnie przekorny jest los!

Dlaczego obydwie grupy uderzeniowe opóźniły o sekundę lub dwie ogień?

Dlaczego szofer ciężarówki - Otwocki - mający zajechać w poprzek drogę Koppemu, zatrzymał się o metr za wcześnie? Upał? Nerwy? Wielki Mercedes Koppego, ocierając się niemal o przód ciężarówki, wymija ją bez zatrzymania.

Już biją pistolety, już walą steny - trzaskają szyby w aucie, trzaska blacha karoserii. O parę sekund za późno! Widać, jak generał - ranny i przerażony - zsuwa się z siedzenia samochodu, widać, jak

adiutant siedzący za nim wychyla się i strzela do naszych.

Kruszynka wskakuje do półciężarówki Pikusia, ruszającej w pościg. Jest ich tam czterech.

Oprócz Kruszynki - Ali, Akszak i Orlik. Pędzą! Strzelają bez przerwy. Auto Koppego, umykając o 30-60 metrów przed pościgiem, skręca w jakąś uliczkę. Adiutant generała zostaje zabity, ale szoferka nie dosięgły kule. Kruszynka wali serię za serią. Mercedes pędzi teraz na podziurawionych oponach.

Wybuch filipinki - to Rafał wzywa ścigających do odwrotu.

Hamują, zawracają.

Przy placu Kossaka już kończy się ewakuacja. Dwóch zabitych SS-manów leży we krwi. Na ulicy - żywej duszy, jeśli nie liczyć paru oszołomionych dorożkarzy na placu oraz rowerzysty, który porzuciwszy rower leży wylękły w rynsztoku. Kraków nie był przyzwyczajony do takich scen.

- Odjazd! - woła Rafał. Ruszają. Tylko jeden z nich jest lekko ranny w ramię. Gdy wyrwali się wreszcie z plataniny ulic Krakowa, doktor Maks wyjmuje Mietkowi kulę z mięśni ramienia.

Operacja jest tak prosta, że można jej dokonać w pełnym biegu auta.

Minęli Bronowice - w pierwszym wozie Korczak, ubrany w mundur kapitana SS, usiłuje być jak najbardziej widoczny. Jadą przez Ojców i Pieskową Skałę w kierunku na Wolbrom, aby tam, w lasach włoszczowskich, skryć się w oddziale partyzanckim, zgodnie z poczynionymi umowami i przygotowaniem.

Jaki wspaniały, jaki piękny kraj! Fantastyczne, wapienne skały, zboża z pełnymi kłosami falujące lekko na wietrze i życie wyniesione cało, życie pulsujące radosną świadomością istnienia.

Zaczyna się diabelny kurz, tumany kurzu z wapiennej nawierzchni szosy szutrowej i ten żar słonecznego południa. Jest chyba około 40 stopni Celsjusza. W pozamykanych samochodach jest bardzo duszno, okna są przy tym nie dość szczelne, przekłety kurz dusi i dławi, nie pozwalając opędzić się żółcią zaprawionej myśli: akcja nie dała wyników.

Tuż za Wolbromiem mijają ich jakiś samochód niemiecki. Po kilku minutach - drugi. A potem -

„terenówka” z oficerem żandarmerii, dwoma żandarmami i szoferem; „terenówka” hamuje...

staje... Żandarmi wyskakują... szybka, gwałtowna wymiana strzałów z obu stron. Kilku Niemców ginie, lecz Dietrych jest ciężko ranny w brzuch.

Stają we wsi Udorz. Doktor Maks bada rannego Dietrycha - młodego kolejarza w służbie

„Parasola”. Chwila narad. Potem Maks komunikuje się z sąsiednim folwarkiem Porębą Dzierzną. Próbuje ulokować tam rannego.

Kilkadziesiąt minut czekania. Czekania w tym czasie, gdy już od godziny wszystkie drogi okoliczne i

wszystkie na nich posterunki są alarmowane telefonami z Krakowa. Przecież przed dwudziestoma minutami ostrzelał nasze auta jakiś patrol, czyż ten patrol nie alarmuje także okolic?

Nareszcie Maks wraca. Rafał przydziela doktorowi i rannemu wóz oraz dwóch ludzi ubezpieczenia i ci skręcają w bok.

Można wreszcie wsiadać do pozostałych wozów i ruszyć dalej. Ale oto u wylotu wąwozu, którym jechali, wyłonił się ciężarowy samochód niemiecki pełen uzbrojonych żandarmów.

Jest ich może ze dwudziestu pięciu. Wyskakują, rozrzucają się w tyralierę.

- Z wozów! - krzyknął Rafał. Padają pierwsze strzały. Jeremi rzuca filipinkę, aby umożliwić odskok. Z dala słychać warkot maszyny następnego auta ciężarowego i widać wyskakującą następną grupę SS-manów.

Gdy skierowali się pod górę w stronę lasu, ktoś krzyknął, że w samochodzie została Zeta.

Stanęli, zawrócili i z Jeremim na przedzie rzucili się ku Niemcom.

Ale ogień broni nieprzyjacielskiej jest tak silny, że szturm po kilkunastu metrach załamuje się całkowicie. Zeus i Warski są ranni. Zeta - także ranna - zsunęła się pod samochód i strzela do nadbiegającego żandarma. Jeremi z rozpaczą w sercu krzyczy: „odwrót, odwrót”.

Ostrzeliwując się, chłopcy wspinają się na wzgórze, oddzielające drogę od lasu, w którym obozuje „ich” oddział partyzancki. Do lasu około pięciu kilometrów.

To nie była walka regularna. Już po dziesięciu minutach uchodzą rozproszeni; bez przerwy bije kilkadziesiąt niemieckich karabinów, ręczne oraz ciężkie karabiny maszynowe. Nasze pistolety maszynowe i steny są w walce terenowej bez znaczenia. A nade wszystko - ten diabelski teren, otwarte wzgórza, na które wbiega się w oczach Niemców. Gdzeniegdzie kartoflisko, gdzeniegdzie zboże - zboże pozwalające na krycie się, ale jakże straszliwie utrudniające posuwanie się naprzód; gęste, oplątuje nogi, więzi. W tym biegu, zdawało się, wieki trwającym, przeważnie pod górę, po ugorze, po kartofliskach, przez zboża, w prażącym żarze słońca, z ustami i nosem przepełnionymi kurzem ciała ich konały ze zmęczenia.

Ostrzeliwali się coraz rzadziej, kule wroga biły w ziemię i po zboczach coraz gęściej.

Orlik, Staszek Ali nie są już w stanie dźwigać dalej Warskiego. Po chwili sam Orlik pada na miedzy i pozostaje nieruchomy.

- Psy!

Hitlerowcy wypuścili kilkanaście policyjnych psów.

Poderwali się i pędzą dalej. Rafał, ranny parokrotnie, pada. Chce już tu zostać, wyczerpany do kresu sił.

- Wstawaj! Wstawaj, idioto! Nie wolno zostać - wrzesczy nad nim Jeremi szarpiąc za pokrwawioną w okolicy obojczyka marynarkę.

Rafał dźwiga się i idzie sztywno. Nie może się schylić, jeśli się schyli - upadnie. W pewnym momencie widzi, jak Staszek Ali przewraca się, chwytając za krwawiącą obficie pierś. Na padającego rzuca się ogromny wilczur. Rafał przymyka oczy i resztą sił odpędza omdlenie.

Jeremi obejmuje dowództwo nad cofającym się rozproszonym oddziałem.

Gdy dowlekali się - w pojedynkę, po dwóch - do chałup za laskiem, nie było już strzałów ani psów. Niemcy nie odważyli się prowadzić pościgu aż pod granicę terenów partyzanckich.

- Wody - mamrocze Jeremi do jakiejś kobiety. Ta przygląda mu się chwilę, potem idzie pośpiesznie do chałupy i wynosi pełen dzban mleka.

- Pijcie.

Idzie znów do domu i wynosi dzieżkę mleka zsiadłego.

- A gdzie są inni? Ja mam mleka dość.

Ściągali z różnych stron ci, którzy ocaleli. Większość była pokrwawiona.

Nie mogli mówić. Przykładali dzbanki do ust, pili, pili bez końca.

Jeremi nie pozwolił odpoczywać. Zmusił wszystkich do marszu naprzód.

Rafał czuł się nieco lepiej. Dla rannych zajęto przejeżdżający wóz. Choć wszystkie mięśnie bolały nieznośnie, choć zdawało się, że nie ujdą więcej niż kilometr - szli. Szli, aż doszli.

A w oddziale Hardego było już bardzo dobrze. Znalazł się tam także po pewnym czasie doktor Maks i jego zbawienny lancet. Wracali powoli do sił fizycznych i równowagi psychicznej. Brakło wśród nich pięciu ludzi - nie było Staszka Alego (Stanisława Huskowskiego), o którym wiadano w kompanii, że zawsze usuwa się w cień, gdy mowa o nominacjach, wysuwa się natomiast naprzód, gdy trzeba na przykład przenosić broń. To o nim zostanie kiedyś napisane: „jeden z najczystszych, najwrażliwszych, najbardziej uczuciowych”. Nie było także Orlika, Warskiego, Sztorcha, Zety.

Rafał, tak jak i inni ranni - zdrowiał. W atmosferze życzliwości, w środowisku troskliwej opieki nabierał wraz z innymi sił, uspokajał się.

Któregoś wieczoru leżeli na skraju polany i gawędzili. Mówili o tym i owym. Wreszcie Rafał zdecydował się wyrzucić ze siebie to, co gnębiło go nieustannie.

- Straszny i dziwaczny jest bieg każdej walki... Ale powiedzcie, gdybyście byli sądem wojennym, a ja stanąłbym przed wami jako oskarżony...



Oskarżony o niewykonanie zadania bojowego w Krakowie oraz o stratę dwóch zabitych i trzech rannych, którzy wpadli w ręce wroga, wreszcie o stratę pięciu samochodów, co byście orzekli.

Nie byli zaskoczeni. O klęsce swojej myśleli nieustannie i nieustannie szukali przyczyn. Ale podsumować to i wypowiedzieć jak najogólniej?

Wreszcie zdecydował się Korczak:

- Przygotowania krakowskie były bez błędu. O wyniku zdecydował przypadek: niezręczny skręt kierownicy przez szofera naszej ciężarówki.

- Uniewinniony - uśmiecha się dryblas Kruszyńka, który stosunkowo najwcześniej strząsnął z siebie przygnębie.

- A zaskoczenie przez Niemców i potyczka za Wolbromiem to już bardziej skomplikowana sprawa. Żeś nie znalazł „meliny” dla oddziału gdzieś bliżej Krakowa, wiemy, było niemożliwe, zawodziły wszelkie poszukiwania. Ale długie sterczenie w miejscu przy rannym w brzuch, te zmarnowane pół godziny to twój poważny błąd jako dowódcy.

Milczą i rozważają powiedziane zdania. Mimo wszystko sądzą, że wywinęli się z ciężkiej przygody nie najdroższym kosztem, choć każdy z poległych i wziętych chłopców oraz dziewczyna, która została ranna w wozie, to ich najserdeczniejsi, najbliżsi...

Tym ich odczuciom daje wyraz Kruszyńka:

- Wiesz, Rafał, w czym się dobrze spisałeś jako dowódca? Żeś od razu z tych samochodów dał drapak i ledwo żeśmy popukali, a ty - „wrywać!” - i znów w nogi.

Rafał uniósł się na łokciu i podejrzliwie patrzy, zachmurzony, na Kruszyńkę. Kpi? Nie, mówi poważnie.

- Bo jakbyś był odrobinę bardziej bohaterski - ciągnął Kruszyńka - albo jakbyś sobie przypomniał, co każe regulamin wojskowy, albo w ogóle gdybyś zaczął się namyślać, o, brachu, kiepska sprawa, wszyscy byśmy jak nic poszli do lali. A tak, diabli wzięli samochody, zginęło dwóch, a może i pięciu naszych, ale Kedywowi zostaje piętnastu całych chłopaków.

Jeremiego, który słucha monotonicznie wymawianych zdań Kruszyńki, ogarnia wściekłość.

Chce mu przerwać i powiedzieć coś ostrego, ale nic nie mówi. Bądź co bądź tę pochwałę szybkiej ucieczki wygłasza jeden z najodważniejszych ludzi „Parasola”. Zamiast więc warknąć na Kruszyńkę, inicjuje zmianę tematu rozmowy:

- No, jak dostaniemy odpowiednią broń i gdy wreszcie jawnie całym przyszłym spadochroniarskim batalionem staniemy przeciw szkopom, odkujemy się wtedy za te czasy.

Ale Kruszyńka nie daje za wygraną:

- Myślisz, że spadochroniarz nie musi umieć nawiewać?

Tego już było Jeremiemu za wiele.

- Stul wreszcie pysk, typie!

Wszyscy wybuchają śmiechem. Rafał też. Ostatnia uśmiecha się wreszcie - z opóźnieniem! - mizerna, o zaostrozonym nosie twarz Jeremiego.

## XII. PRZED POWSTANIEM

Zbliżał się koniec dywersji. Tak jak swego czasu przeminął okres Małego Sabotażu jako pierwszej linii walki, ustępując miejsca dywersji, tak teraz w życiu Grup Szturmowych przeminiał okres dywersji i lada miesiąc miał rozpocząć się czas działań wojennych w polu.

I choć jeszcze wysadzano mosty i przepusty, choć uwalniano więźniów i likwidowano najszkodliwszych hitlerowców, to jednak widoczne było, że są to ostatnie kroki tego rodzaju walki, przez bieg wydarzeń usuwanej na dalszy plan.

Front na Wołyniu dotykał niemal Bugu.

W połowie maja, nie przerywając dywersji, rozpoczął batalion „Zośka” wielką akcję przeszkolenia terenowego. Trzeba się było liczyć z tym, że batalion będzie musiał w krótkim czasie przejść na normalną walkę w polu i lasach. Należało to pole i lasy poznać bodaj najpobieżniej od strony wojskowej i jakoś z nimi się zżyć, przeprowadzić w nich szereg ćwiczeń.

Dotychczas przecież walki „Zośki” były walkami niemal wyłącznie w mieście.

Taka była wojskowa geneza założenia w lasach rejonu Wyszkowa - nad Bugiem - bazy leśnej, w której kolejno, plutonami, mieli się przyszkalać ludzie „Zośki”. Kierownictwo Szarych Szeregów, organizujące wraz z wojskiem bazę, nadało jej równocześnie z założeniami wojskowymi swe własne założenia szaroszeregowie: jeszcze bardziej zespolić wewnątrz ten braterski związek harcerek i młodzieży, zahartować ją nie tylko fizycznie, lecz i moralnie do nowych trudów i walki, i jeśli da Bóg, do prac w Polsce wyzwolonej.

Komendantem bazy został Miłosław Cieplak - Giewont.

Giewont? Znają go dobrze. Zna go też „Alek”, który pierwszy przywędrował do tych lasów nad Bugiem i 14 maja zaczął budować tam szałas. Przecież to Giewont dowodził całością szaroszeregowych oddziałów w akcji pod Wilanowem.

Początki były ciężkie. Bardzo ciężkie.

Lały bez przerwy deszcze. Namioty nie przyszły, trzeba było urządzać się w szałasach. Jest to co prawda wspaniałe, tradycyjne ćwiczenie harcerek, ale gdy deszcz leje nieprzerwanie, gdy tandetne plecaki zakupione przez jakiegoś złodzieja lub niedojdę z kwatermistrzostwa okazały się plecakami z płótna papierowego i rozmiękły na pierwszych deszczach, gdy nadesłane płaszcze gumowe drą się jak papier na gęstym poszyciu lasu, gdy kłopot jest ciągły z dostawą produktów i wszyscy głodują - wtedy leśne życie przestaje mieć posmak przygody romantycznej, a staje się udręką, ciężką udręką.

I te przekłete oblawy, organizowane co pewien czas przez duże grupy wroga, którym trudno się przeciwstawić czterdziestoosobowemu plutonowi.

A jednak, mimo ciężkich warunków, mimo ogromnego zmęczenia tych młodych ludzi przeciążonych marszami, ubezpieczaniem się, ćwiczeniami, własną gospodarką i złą pogodą, mimo to rodzi się w

bazie coś, co chwyta za serce, wzmacnia duszę i zespala gromadę mocną więzią. „Alek” co dnia zwiększa zasób umiejętności wojskowo-terenowych i co dnia krzepnie wewnątrznie.

Czy ta korzystna atmosfera psychiczna, wzmacniająca rzeczowe osiągnięcia wojskowe, wypływa ze stałego w ciężkich trudach współżycia, w którym łatwo demaskuje się wszelka słabość, ale zarazem z całą wyrazistością zarysowuje się prawdziwy hart i prawdziwa wartość ludzi?

Pyszni są czasami dowódcy tej młodzieży. Oto, na przykład, po dniach nekającej ludzi głodówki zdobyła wreszcie baza produkty spożywcze. Gdy pierwsza od pięciu dni prawdziwa zawieszista zupa jest wreszcie gotowa, ktoś chwyta menażkę Kołczana i jemu pierwszemu podaje jedzenie.

- Nie, rządzący na końcu - mówi Kołczan odsuwając menażkę.

Piotr Pomian, który tu kilkakrotnie przyjeżdża, ma taki kredyt życzliwości i zaufania, że każdorazowe jego przybycie jest wydarzeniem.

Siedzi za każdym razem po kilka dni. I jak zwykle, gada z tym, gada z owym, tu coś doradzi, tam się o coś wypyta, temu coś pokaże, tamtemu poprawi jakieś uszkodzenie broni. Jednego dnia nauczy budowania szałasów „naprawdę nieprzemakalnych”, kiedy indziej pokaże praktycznie, jak się rozpala ogień, gdy drzewo jest mokre. Pobudza w nich żołnierską twardość, wzmacnia rygorystyczne postawy.

I dopiero Piotr otwiera im oczy na las. Uczy poznawania ptaków po głosie, pokazuje, jak się podchodzi wiewiórkę lub zającę („myślicie, że człowieka w lesie podchodzi się inaczej?”).

Cały zeszyt ma zarysowany podpatrywanym z bliska światem ptaków, owadów i istot, o których nie przypuszczali, że mogą gdzieś żyć w pobliżu: łasice, jeże, dzikie króliki, sarny, nawet lis!

A wieczorem - przy ogniu lub bez ognia - gawędy. I śpiewy. I rozmowy o Warszawie, o domach, o walce i o froncie, który tak bardzo się przybliżył.

Ich główne zainteresowanie skupia się przede wszystkim na bezpośredniej walce. Bić okupanta, szarpać go, niszczyć, przyspieszać wyzwolenie kraju z tej męki i upokorzeń - to najważniejsze! I najbardziej niewątpliwy punkt polskiej polityki, który zawsze realizowali i realizować będą w dalszym ciągu, bo to tylko leży w ich możliwościach. Zmieniać natomiast losów Europy nie są w stanie. Ani regulować biegu wojny.

Tak mniej więcej mówił Piotr w swoich gawędach, tak też myśleli Andrzej Morro i Długi, i Czarny Jaś. Zawsze przejmowali się nade wszystko stroną moralno-społeczną życia narodowego, na politykę spoglądali z pewną dozą nieufności. I jeśli mówili o demokracji, jeśli postulowali w swych gawędach wolny świat wolnych ludzi, było to budzenie i kształtowanie pragnień, wyraz wiary w sens społeczności ludzkiej, chęć odpowiedniego ułożenia własnego sposobu bycia, a nie wytyczne konkretnego postępowania politycznego.

Praktyka polityczna to nie ich resort - powtarzał często Czarny Jaś.

Jednego razu czujki „Alka” zatrzymały dwóch żołnierzy radzieckich, zbiegłych z obozu jeńców. Byli

to mężczyźni starsi od chłopców „Zośki”, toteż zajęli się z miejsca ich sprawami gospodarczymi. Szczególnie dobrze wyszły na tym konie bazy, a i pluton zaczął jadać posiłki regularniej.

Chłopcy szybko polubili nowych przybyszów i chętnie z nimi gawędzili.

Częściej od innych przebywał z Rosjanami Krzysztof, sekcyjny jednej z sekcji „Alka”.

Dziwne to były rozmowy. Krzysztof prowokował wymawianie rosyjskich wyrazów, zwrotów, ludowych powiedzonek i wsłuchiwał się w te dźwięki z takim natężeniem, jakby to były najcenniejsze meldunki wywiadu.

Bo Krzysztof jest poetą. To jego piosenkę śpiewa pluton najchętniej przy ognisku i w marszach:

O Barbaro, o Barbaro,

Śmiało z nami naprzód idź,

Bo wesoło z naszą wiarą

Nawet nosem w piachu ryć.

Słowa piosenki są łatwiutkie i prościutkie i przypominają miłą panią Basię, dziewczęcą żonę Krzysztofa. Lecz najbliżsi koledzy wiedzą, że jego prawdziwa poezja, znana tylko nielicznym towarzyszom „Zośki”, nie zawsze jest łatwa, choć zawsze dziwnie dojrzała, a czasem przejmująca do głębi duszy.

Wołam cię, obcy człowieku,

co kości odkopiesz białe;

kiedy wystygną już boje,

szkielet mój w ręku będziesz miał,

sztandar ojczyzny mojej.

Czyżby już wówczas przeczuwał Krzysztof to, co się stać z nim miało czwartego dnia powstania na stanowisku pod Ratuszem?

Dziś jednak, w późny czerwcowy wieczór, Krzysztof - Krzysztof Baczyński - nie ma takich przeczuć. Leży w szałasie bazy leśnej obok Małego Jędrka i szeptem zdenerwowanym głosem:

- Mam już powyżej uszu tego chronienia mnie. Przecież ukończyłem kurs instruktorów dywersji i Agrikolę, a na akcję wilanowską nie wzięliście mnie i gdybym nie uparł się, nie wzięlibyście mnie także na akcję Tłuszcz - Urle.

- Uspokój się, Krzysztof, przecież wiesz, że Kołczan nie działa na własną rękę. Ma rozkaz z góry.

Mówią, że masz wielki talent i że musisz przetrwać te wszystkie awantury.

- Boże, ja oszaleję z tym waszym niańczeniem mnie. Jestem już prawie rok w „Zośce” i brałem udział tylko w jednej akcji. Przejdę do „Parasola” zaraz po powrocie z bazy. Razem z Morsesem.

Milkną, gdyż Giewont już po raz drugi powtarza głośno: cisza nocna!

W końcu czerwca „Alek” odszedł z bazy. Przybył „Felek”. Było już znacznie lepiej. Zjawiły się namioty, poprawiła się pogoda.

Oczywiście, życie w lesie nie mogło być przez dłuższy czas sielanką.

Kiedyś hitlerowcy rozbili sąsiedni oddział partyzancki i „Felek” tylko dzięki niezwłocznemu zlikwidowaniu biwaku wyszedł z awantury cało. Chłopcy z rozbitego oddziału przyszli po kilku dniach do Giewonta. Ani jeden z ich dowódców nie ocalał. Czy Giewont ich weźmie do siebie? Zgoda, przychodźcie.

Są to wszystko chłopcy wiejscy, dobrzy żołnierze i dobrzy towarzysze.

Inna przygoda, która zwała się na bazę, była znacznie poważniejsza.

Któregoś ranka ubezpieczenie od strony Bugu podało niepokojącą wiadomość: nieprzyjaciel!

W sile dwóch czy trzech kompanii rozwija się w kierunku bazy.

Jednocześnie prawie przyleciał łącznik z czujki nad szosą: kilka kompanii SS! Przybyli samochodami ciężarowymi, rozwijają się do działań w naszą stronę.

Pułapka!

W tych ciężkich chwilach Giewont dowiedział, że ma dobrego „nosa” partyzanckiego. Z natury powolny i flegmatyczny, nad podziw szybko zwinął obóz i dosłownie w ostatniej chwili przemknął się z plutonem między dwoma zbliżającymi się falami obławy, przemknął się w kierunku bagien, ku którym zmierzał bez najmniejszego wahania. Czuł, wiedział, był pewien, że tylko w bagnach ocalenie. Dostał ognia z prawej strony - nie odpowiadał. Dostał ognia z lewej - nie odpowiadał, tylko wyrwał ku bagnom. Nareszcie! Brnąc niekiedy po kolana w błocie i wodzie, posuwał się niezmordowanie naprzód, wyciskając z ludzi ostatni pot. Sam nieduży i tęgawy męczył się Giewont bardziej od innych, ale nie stawał ani na chwilę. Zaczął

padać deszcz.

Opadła gęsta mgła. Wciąż posuwali się naprzód, dźwigając nieraz wozy z amunicją i sprzętem na własnych ramionach. I wyszli cało, bez strat w ludziach, ze skromnymi stratami w pogubionym sprzęcie.

Między innymi zginął w tej szczęśliwej rejteradzie mały, zrzutowy aparat radiowy i dlatego nie wiedzieli nic o rozpoczęciu przez wojska radzieckie nowej potężnej ofensywy i o sforsowaniu przez

nie Bugu od strony Kowla. Gdy przybył z tym łącznik z Warszawy, wzywając do niezwłocznego powrotu do stolicy, myśleli, że poszaleją z radości.

Więc to już?

Podnieceni, przejęci, walili czwórkami drogą leśną ku szosie, prowadząc za sobą dwa chłopskie wozy, a na nich cały sprzęt.

Maszerowali nie sami, spotkali bowiem dużą jednostkę AK dążącą ze wschodu na zachód -

jakiś pułk kawalerii i piechota jadąca na wozach. Chłopcy „Felka” byli zachwyceni wilnianami - młodymi, wesołymi ludźmi pochodzącymi ze wsi, świetnie uzbrojonymi i jednolicie umundurowanymi w polskie mundury, tyle że bez oznak i stopni. Wilnianie z miejsca okazali „Felkom” wiele koleżeńskiej uczynności zapraszając na swoje wozy. Kuba jednak odmówił, kwieciście dziękując, i pluton maszerował jako straż tylna tej okazałej już siły.

Wkroczyli na jakąś większą drogę. A tam - ruch niezwykły i charakterystyczne podniecenie wielkich dni przełomu. Kolumna taborów niemieckich wolno posuwająca się ze wschodu na zachód. Oddziałek piechoty podążający z zachodu na wschód. Nienaturalnie szybko, z ciągłym alarmem klaksonów, przejechało auto. Zmęczeni, skołowani Niemcy zdają się nie rozpoznawać Polaków, silny zaś oddział polski lekceważy ten bałagan niemieckiego odwrotu.

Jest koniec lipca, upalnie gorąco, lecz zarazem jak bardzo przyjemnie.

Zupełnie nie czują zmęczenia, choć już idą dłuższy czas.

Maszerują więc dalej czwórkami, wyprzedzając nieprzyjacielskie tabory.

Podnieceni tym, co widzą dookoła, nie przejmują się „niemiaszkami”.

- Hej chłopcy, bagnet na broń - zaczyna któryś mocnym głosem. Od razu podchwytyją ulubioną piosenkę „Zośki” (przejętą od „Baszty”), piosenkę, która stała się jakby hymnem Szarych Szeregów.

Hej chłopcy, bagnet na broń!

Bo kto wie, czy to jutro, pojutrze czy dziś

Przyjdzie rozkaz, że już, że już trzeba nam iść.

Granaty w dłoniach i bagnet na broni!

Nie śpiewają, lecz drą się.

Paru żołnierzy niemieckich, jakichś starych, zmęczonych wehrmachtowców, przysiada się na ich wozy ze sprzętem i bronią. Przez chwilę są speszeni, ale śpiewają dalej. Nikt ich nie pyta, kim są, dokąd i po co idą.

W mijanej osadzie widzą łzy w oczach kobiet, które - wsłuchawszy się - zrozumiały polskie słowa piosenki. Dowiadują się tu o zajęciu Lublina przez wojska radzieckie.

Boże wielki, więc to takie tempo?

Dłuższy krok, każda godzina droga!

Po pewnym czasie trzeba było jednak przerwać ryzykowny marsz zwartą kolumną i wrócić do dobrych obyczajów konspiracji.

Gdy 27 lipca zjawili się w mieście, zostali ogłuszeni nawalem wiadomości:

- Czołówki sowieckie pod Otwockiem. Co noc rosyjskie bombowce są nad rejonem Warszawy, a ich myśliwce za dnia patrolują niebo. Ewakuują się urzędy niemieckie i nawet policja niemiecka!

- A słyszeliście o rozkazie Andrzeja Morro? Przerwał urlop i objął znów kompanię.

Codziennie zbiórki. Stan czujności. Lada godzina może być stan pogotowia.

Nie, o rozkazie Andrzeja Morro jeszcze nic nie słyszeli. Co to za rozkaz?

Andrzej wydał rozkaz na tydzień przed powrotem „Felka” z bazy.

Zostałem odwołany z urlopu rozkazem nakazującym pełną gotowość oddziału, świadczącym o zbliżającej się chwili przełomu. Ponieważ między oddziałem a mną istniało od kilku miesięcy obopólne nieporozumienie, które groziło spoistości oddziału, odbyłem wyczerpujące rozmowy, prowadzone na płaszczyźnie zupełnej szczerości.

Rozmowy wykazały, że doprowadziłem do przerostu pewne elementy kosztem zakłócenia dobrej atmosfery panującej w jednostce. Błąd ten postaram się w przyszłości naprawić.

Naprawiać błąd ma Krąg Dowództwa Kompanii, złożony z przedstawicieli plutonów - głosi rozkaz Andrzeja Morro. Krąg ma opracować wytyczne do sposobów postępowania, zapewniających najbardziej harmonijny rozwój stosunków w kompanii. Krąg ma się stać ośrodkiem inicjatywy wychowawczej i nawet szkoleniowej.

Przerwałem swój urlop nałożony na siebie samego, gdyż w okresie przełomu chcę być blisko was wszystkich i móc wypełniać razem z wami to wszystko, o czym śniliśmy od tak dawna.

Cały „Rudy” był wzruszony sposobem załatwienia sprawy przez Andrzeja.

Nastroje w kompanii w związku ze sposobem rozwiązania trudności przez Andrzeja Morro i w związku z ogólną sytuacją wojenną były doskonałe. I nie tylko w „Rudym”, to samo w

„Maćku”.

Gdy Giewont zjawił się u Andrzeja Morro, ten wyciskał go serdecznie. Był najoczywistej



„rozklejony” - nigdy przedtem nie miał zwyczaju całowania przyjaciół.

- No, nareszcie. Nie mogłem się ciebie doczekać. Słuchaj, Giewont, uważnie: rozchodzą się pogłoski, że masz przejąć trzecią kompanię od Czarnego Jasia. Słyszałeś? Czołgi sowieckie pod Otwockiem!

Oczy Andrzeja błyszczą. Złocista szczecina wystąpiła na brodzie, widocznie nie golonej od kilku dni. Giewont przypadkowo spogląda w głąb pokoju i widzi na tapczanie skórzaną torbę oficerską Andrzeja, menażkę, manierkę, mundur wojskowy jego ojca i skądś zdobytą nową kaburę rewolweru.

Ten widok robi na nim większe wrażenie niż słowa Andrzeja. Nie zdążył dotąd w pełni ogarnąć konsekwencji błyskawicznie narastających wydarzeń. Dopiero teraz widok Andrzejoych przygotowań do jawnego wystąpienia...

Teraz „rozkleja” się Giewont i nie panując nad odruchem, rzuca się Andrzejowi na szyję.

Nareszcie, nareszcie...

Wieczorem nadszedł rozkaz o stanie pogotowia. W parę godzin potem odwołano go.

Pług prowadził już od miesiąca wyjątkowo intensywne życie. Nawet przejmujące wiadomości z Krakowa i lasów włoszczowskich, nawet tragiczna śmierć Alego nie oderwała go od codziennej organizacyjnej orki. Formował batalion i mobilizował na czas powstania wszelkie konieczne środki.

Wszystkie plutony i służby ogarnięte były przez te podniecające przygotowania. Akcja na obsługującą Niemców aptekę Wendego na Krakowskim dała „Parasolowi” cały samochód lekarstw i materiałów opatrunkowych.

Lecz nade wszystko dociskał coraz bardziej śrubę szkolenia spadochronowego. Do pracy tej Spad, oficer wyszkolenia spadochronowego, zaangażował już piętnastu instruktorów.

Opracowano dziesięć skryptów z zakresu spadochroniarstwa. Wykonano mnóstwo pomocy ćwiczebnych i prowadzono trzy rodzaje kursów teoretycznego wyszkolenia spadochronowego. I wreszcie - teraz właśnie - przystąpiono do zakładania (podobnie jak to było w „Zośce”) bazy leśnej w rejonie Siedlec, ale bazy ze skoczniami i wieżą spadochronową!

Jeremi, ściągnięty z obozu włoszczowskiego, był stale w ruchu obok Pługa.

To, co jeszcze tak niedawno uważał za marzycielstwo wojenne, naraz, w gwałtownym tempie wydarzeń przybrało namacalnie realny kształt.

Spadochronów dostarczą sprzymierzeńcy. Samoloty z polską obsługą lotniczą zjawią się też kiedyś na lotniskach wyzwalanego kraju. Byle tylko oni byli gotowi, oni - spadochroniarze.

Gdy Jeremi pomyśli, że za miesiąc - dwa może już ze swoimi towarzyszami będzie lecieć na pokładzie wielkich transportowców w celu kolejnego wyzwania nowych rejonów kraju, chce mu się śpiewać i śmiać. I opowiadać o tym wszystkim swej łączniczce Jasi, która, która...

Czarny Jaś został na noc u państwa Kowalskich, zaproszony przez panią Janinę, zaniepokojoną wiadomościami o najściu tłumy mokotowskiego na gmach opróżniony przez oddział SS, który rankiem ewakuowano z Warszawy. Ten gmach szkolny, przerobiony na koszary SS, został przez tłum rozgrabiony, część sprzętu zdemolowana, mnóstwo szyb powybijanych. Ponieważ Jaś mieszka ostatnio w pobliżu owego gmachu, matka Irki uprosiła go, aby nie wracał dziś do siebie.

Jest nieco przed północą. Irka i Czarny Jaś stoją przy oknie przytuleni do siebie i zachwyceni fantastycznym, nie znanym im dotychczas widokiem.

Wysoko na granatowym sklepieniu niebios jarzą się olbrzymie bukiety oślepiająco ognistych, kolorowych kul świetlnych, powoli; bardzo powoli opadających ku ziemi. Dalekie i słabe, ale nieprzerwane brzęczenie silników dowodzi, że samoloty radzieckie, które rozświetliły niebo i ziemię owymi niesamowitymi lampionami, lecą na znacznej wysokości. Odzywają się rzadkie wybuchy pocisków niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. Niebo przecinają gdzieniegdzie ruchliwe smugi reflektorów. Migają kolorowe światełka małych fosforyzujących pocisków, jakby długie różańce przesuwające się po niebie.

Widok tej orgii świateł ponad zaciemnionym od szeregu lat miastem jest w oczach dwojga młodych niesamowicie fantastyczny.

I naraz - potężna detonacja. Wstrząs, od którego zabrzęczały głośno szyby i zadrżały ściany.

- To pewnie na Dworzec Wschodni lub Wileński, bo gdzieś niezbyt daleko - woła pani Janina wbiegając do pokoju.

Znowu wstrząs. I znów! Irka przytula się mocniej do Jasia i serce walić jej zaczyna z uniesienia: nareszcie, nareszcie! Walcie, niszczone, palcie - byle ziemia pochłaniała także i tych zbójów, tych morderców, tych, tych...

Znów potężny wstrząs.

Irka czuje, że Jaś drży. Mocno obejmuje go ramieniem. Jaś wciąż drży.

Zdumiona, zaniepokojona spogląda na jego twarz; twarz ta jest blada, ze ściśniętymi kurczowo wargami.

- Jaś, co tobie?

Młody człowiek opanował wreszcie drżenie i mówi do dziewczyny z widocznym przymusem:

- Nie rozumiem, nie wiem. Daj mi trochę wody.

„Zośka” i „Parasol” oczekiwały na otwartą walkę w dobrej kondycji moralnej, dobrze wyszkolone, świetnie zaprawione bojowo i ze stosunkowo znacznym uzbrojeniem nagromadzonym w pracy dywersyjnej.

Obie starsze kompanie „Zośki” liczyły około 360 ludzi, w tym 102 podchorążych (były to typowe

kompanie kadrowe). Giewont miał dołączyć objętą po Czarnym Jasiu trzecią kompanię w sile trzech plutonów, które miały liczyć około 100 ludzi na razie bez broni. Stan

„Parasola” wynosił około 330 ludzi i był to również w znacznej części zespół kadrowy, który wnet rozpocznie wchłaniać ochotników.

**CZĘŚĆ DRUGA:**

# POWSTANIE

# I. PROLOG

W ostatnich dziesięciu dniach lipca 1944 roku Warszawa żyła oszołomiona.

Miasto poniewierane i dręczone jak chyba żadne z miast Europy, lecz zarazem miasto najbardziej niepodległe w Europie, całą swą duszą przeżywało te dni przełomu.

Od chwili gdy front wschodni znów ruszył, gdy wojska radzieckie, sforsowawszy na wielu odcinkach Bug, waliły z nieprzepartą siłą ku zachodowi zajmując Chełm i Lublin, wydawało się, iż dni Niemców w stolicy są policzone. Tłumy skupiały się w czasie każdej audycji radiowej przy „szczekaczkach”, nasłuchując pożądliwie echa klęsk znieawidzonego wroga.

Tłumy z hamowanym uczuciem radości obserwowały kilometrowe tabory konne i motorowe, wlokące się przez warszawskie mosty na zachód. Na wozach jechali wyczerpani, pokryci brudem i kurzem żołnierze, w milczeniu i chmurnie patrzący na przyglądających się im ludzi.

Aleje Jerozolimskie i ulica Wolska były tak przepełnione owymi taborami, że tramwaje przestawały tu kursować.

A gdy 23 lipca ewakuować się rozpoczęły oddziały stacjonujące w stolicy, gdy opuszczać zaczęły miasto okupacyjne urzędy oraz niektóre formacje SS i policji, gdy zauważono ruch ewakuacyjnych samochodów w alei Szucha - na mieście zawrzało. Więc to chyba już? Chyba na pewno już?

Prawie co noc wyły teraz na alarm syreny i prawie co noc krążyły w rejonie Warszawy eskadry bombowców radzieckich, oświetlając ziemię barwnymi „lampionami” i w jarzącym się świetle tych zawieszonych na niebie rakiet bombardowały upatrzone obiekty. Pojawieniu się pierwszych bombowców radzieckich towarzyszyła orgia artyleryjskiego ognia niemieckich dział przeciwlotniczych i przesuwających się pasm świetlnych setek reflektorów.

Po pewnym czasie gęstość tego ognia zaczęła uderzająco słabnąć. Przystawały także myszkować po nocnym niebie wrogie reflektory. Niemiecka artyleria przeciwlotnicza opuszcza Warszawę?!

Gdy równocześnie komunikaty radiowe podały, że wojska radzieckie w rejonie Dębłina podchodzą do Wisły i rozeszła się wiadomość, że w rejonie Magnuszewa czołówki radzieckie operują już po drugiej stronie Wisły, gdy potężniał i przybliżał się dudniący głos dalekiej walki artyleryjskiej, gdy dowiedziano się, że Rosjanie zajęli Otwock i że czołgi radzieckie pokazały się pod Wawrem, ulice zaroily się jeszcze bardziej ludźmi rozgorączkowanymi, podnieconymi, starającymi się z wysiłkiem nie pokazać przedwcześnie nurtujących ich uczuć.

Na zarządzenie okupanta nakazujące zebranie się na placach miasta stu tysięcy mężczyzn i kobiet dla kopania rowów przeciwczołgowych i okopów pod Pragą miasto odpowiedziało w sposób jednomyślny: nikt nie stawił się do tych robót.

Prasa konspiracyjna ukazywać się poczęła codziennie i rozdawana jest jak ulotki na ulicach.

Myśliwce radzieckie pojawiają się często nad miastem, natomiast lotnictwo niemieckie zniknęło

gdzieś, nie ma go. Koszary lotnicze na Rakowieckiej - puste. Patrol radziecki na czołgach podszedł dziś do skrajnych ulic Pragi!

Jakieś grupki wynędzniałych kobiet i mężczyzn z ulicy Madalińskiego rzuciły się na opuszczone przez SS prowizoryczne koszary przy ulicy Kazimierzowskiej i rozciągają meble, wynoszą łóżka, wyjmują z futryn ramy okienne. Rozbito sklep Meinla na placu Narutowicza.

Jakieś złodziejskie typy wtargnęły do opuszczonego przez okupanta pałacyku łazienkowskiego.

Grabież ogarnia kilka fabryk. Robotnicy na wezwanie podziemnych władz i partii robotniczych organizują ochronę zakładów produkcji.

Czyżby to były ostatnie godziny niewoli?

W oddziałach Armii Krajowej już od dwóch tygodni trwa stan czujności. Gdy 27 lipca zarządzenie okupanta nakazało mężczyznom i kobietom od 17 do 65 lat stawić się na placach do kopania okopów nad Wisłą, dowódca Okręgu Warszawskiego AK zrozumiał to jako poważne zagrożenie młodzieży i tendencję do zdeorganizowania AK, do odludnienia miasta; pragnąc przeciwdziałać temu ogłosił stan pogotowia. Oddziały w gotowości bojowej, z bronią i ryszunkiem przybywać zaczynają na miejsca koncentracji, lecz po kilkunastu godzinach staje się rzecz zdumiewająca: odwołano stan pogotowia.

Te plutony „Zośki” i „Parasola”, które rozpoczęły już koncentrację, ogarnia najpierw nieprawdopodobne zdumienie, a wnet potem - niepokój. Co jest? Co się dzieje? Odwołać stan pogotowia bojowego? Przecież zawsze mówiono, iż rozkaz o pogotowiu przesądza nieodwracalnie sprawę. Niektóre oddziały szpetnie zdekonspirowały się.

Dwie rzeki taborów posuwają się w dalszym ciągu obydwoma podstawowymi traktami Warszawy: Alejami Jerozolimskimi i Wolską. Na zachód! Na zachód!

Pojawiają się jednak oddziały niemieckie podążające i w odwrotnym kierunku: na wschód.

Mieszkańcy domów przy Nowym Zjeździe opowiadają, że ten ruch na wschód nasila się szczególnie nocami. Na wschód idą teraz nocami także jakieś kolumny czołgów.

Daleki huk armat przybliżyła się do Warszawy. Słyszeć go teraz nie tylko w nocy, lecz i w dzień. Samoloty radzieckie krążą po niebie nie zaczepiane przez lotników niemieckich ani przez artylerię przeciwlotniczą.

Równocześnie jednak wróciły do Warszawy niektóre oddziały policji niemieckiej. Na ulicach pojawiają się znów niemieckie patrole.

Odprawy odbywają się teraz codziennie. W wielu wypadkach 2-3 razy dziennie. Wszystko zapinane jest na ostatni guzik.

Wieczorem 31 lipca, po którejś z rzędu odprawie, Rafał, Jeremi, Piotr Pomian, Andrzej Morro i Czarny Jaś postanowili wpaść na pół godziny do pana Bolesława. Znali go od dawna - był

członkiem Rady Wychowawczej przy Grupach Szturmowych i opiekunem jednej z kompanii.

W jego wieku trudno było się rozeznąć, równie dobrze mógł mieć lat czterdzieści, jak i sześćdziesiąt.

Ten niski, szczupły, drobny człowiek, ciągle zaaferowany i krążący jak kwoka koło swoich chłopców z Grup Szturmowych, był przez nich bardzo lubiany. Przywiązali się doń w ciągu tych lat okupacji i mieli duże zaufanie do jego rozsądku. Nieraz ze wzruszeniem patrzyli na pomarszczoną, w okularach, twarz tego starego kawalera, który poza nimi, zdaje się, nikogo nie miał w wielkim mieście. Czasami pokpiwali z pana Bolesława i z jego jakby wiecznej studenckości, z jego umiłowania wielkiej poezji, z jego jedyne ubrania i kieszeni marynarki zawsze wypchanych książkami, z jego abnegacji i pogardy dla wielu mieszczańskich cnót.

Ponieważ nawet w deszcz i śnieg pan Bolesław nie używał nakrycia głowy, kiedyś, gdy dał się namówić na noszenie czapki, puścili w świat dowcip: pan Bolesław ukrywa się, konspiruje - chodzi w czapce!

Zdenerwowani, podnieceni tym, co się dzieje na świecie i w mieście, wciąż jeszcze niespokojni z powodu odwołania stanu pogotowia, wpadli do mieszkania pana Bolesława przy ulicy Zajęczej na Powiślu.

I trafili od razu w atmosferę przedziwnego spokoju i ciszy. Pan Bolesław Srocki, piszący coś w pokoju pełnym półek z książkami, wstał ucieszony nieoczekiwaną wizytą tych młodych i witał się z nimi uśmiechnięty.

- A może by jednak bigosu? - odezwał się po uściśnięciu ostatniej dłoni.

Wybuchnęli głośnym śmiechem. Zнали już od lat ten stereotypowy zwrot. Pan Bolesław gotował sobie sam posiłki i aby nie mieć przesadnych kłopotów, gotował od razu na 3-4 dni.

Uporczywie faworyzowanymi przez pana Bolesława daniami był właśnie bigos albo fasola.

Gotowało się tego wielki gar. Gar ten stał pod pokrywą na szafie i trzy razy dziennie nabierało się stąd na patelnię tyle, ile było potrzeba.

Nie dali się dwa razy prosić. Gdy pan Bolesław odgrzewał bigos, któryś z nich skoczył po chleb. Jedli łączywie, byli porządnie wygłodniali. Jedząc, dowcipkowali, przekomarzali się.

Spokój jednak tego pokoju o ścianach zastawionych półkami książek i spokój twarzy gospodarza udzielał się im stopniowo. Uciszał się, milkli.

- A teraz, panie Bolesławie, uwagi o sytuacji.

To był również zwrot stereotypowy, powtarzany już od kilku lat. Gdy znaleźli się w towarzystwie pana Bolesława, żądali uwag o położeniu wojennym. Pan Bolesław bowiem dużo widział, wiele czytał, miał dawniej i ma teraz licznych znajomych zajmujących czołowe stanowiska w wojsku i

polityce. Ale najważniejsze - pan Bolesław posiadał zdolność samodzielnego myślenia.

- Wczoraj Rosjanie zajęli Warkę. Warka jest z zachodniej strony Wisły, poniżej Dębłina. To znaczy, że już robią przyczółek koło Magnuszewa. I to jest ważniejsze od zajęcia Otwocka.

Pociągi na Kraków przez Warkę i Radom nie idą, sprawdzałem dziś na dworcu. Być może tamten boczny manewr zdecyduje o losach Warszawy. Ale dopiero gdy zajęcie Magnuszewa i Warki zostanie przez Moskwę potwierdzone urzędowo, można się liczyć z bardzo szybkim kryzysem na froncie warszawskim.

- Więc pan też sądzi, że hasło do powstania będzie dane lada dzień?

Pan Bolesław marszczy się i mierzwi włosy.

- Jeżeli przyczółek pod Magnuszewem będzie rozbudowany i jeżeli potwierdzone zostanie, że siły niemieckie na wschód od Warszawy są słabe, wówczas trzeba się liczyć z rozkazem rozpoczęcia walk w Warszawie.

- A sytuacja polityczna?

- No, z tym jest gorzej. Wiadomo przecież, że rząd moskiewski uznał przed kilkoma dniami Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego jako reprezentację Polski. Anglosasi w dalszym ciągu uznają rząd emigracyjny w Londynie.

Odbywają się próby znalezienia wspólnej płaszczyzny dla rządu emigracyjnego i Komitetu Wyzwolenia. Mikołajczyk wylądował dziś w Moskwie i do Moskwy udali się członkowie Komitetu Wyzwolenia. Prawdopodobnie decydują się teraz losy polityczne kraju.

Pan Bolesław milknie na chwilę i z zakłopotaniem trze nie ogolony podbródek. Zdjął okulary, mruży oczy, przeciera szkła i znów je wkłada na nos. Młodzi ludzie milczą.

- Moskwa - mówi dalej pan Bolesław - domaga się zrzeczenia przez Polskę ziem położonych na wschód od Bugu i Białostoczczyzny oraz utworzenia w Polsce rządu dobrosąsiedzkiego, to znaczy takiego, w którym przeważać będą ludzie zdecydowanie przyjaźni wobec Rosji. W

praktyce oznacza to, że rząd polski w Londynie musi podporządkować się linii politycznej Komitetu Wyzwolenia i być mniejszością w nowym rządzie. Gdy to nastąpi, Moskwa udzieli nowemu rządowi swego uznania i poparcia.

- Czy pan sądzi, że Mikołajczyk na to pójdzie?

Pan Bolesław uśmiecha się z przymusem.

- Nie jestem Mikołajczykiem i nie siedzę u niego w duszy. Tyle tylko wiem, że Mikołajczyk nie może powodować się jedynie własną indywidualną decyzją; musi się on liczyć z całym kierownictwem emigracji. Za przyjęciem żądań sowieckich przemawia to, że jest to jedyny sposób dogadania się z Moskwą i ułożenia z nią dobrych stosunków. Przeciwnie - będzie działać u Mikołajczyka i emigracji



niezdolność do zrzeczenia się połowy ziem państwa polskiego, choćby nawet były to ziemie etnicznie niepolskie i choćbyśmy mieli otrzymać Ziemię Zachodnie. Działać będzie także obawa przed bardzo silnym uzależnieniem od Moskwy.

- Dla powstania warszawskiego - wtrąca się Piotr Pomian - ta nie wyjaśniona sytuacja jest fatalnym ryzykiem. Ale ryzyko trzeba podjąć. Gdy wróg spychany jest z naszych ziem, musimy chwycić za broń i niezależnie od tego, jak potoczy się polityka, musimy włączyć się w pełną walkę i przypieczętować naszą wolę wyzwolenia.

- No i porachować się na całego ze zbrojeckim hitlerowskim nasieniem - dorzuca Jeremi.

Widać z twarzy, że Piotr dał wyraz temu, co wszyscy sądzą. Sens powstania nie budzi w nich wątpliwości. Natomiast wciąż jeszcze są niespokojni i niepewni o jego przebieg wojskowy.

Mieli tak wiele do czynienia z Niemcami, tyle stoczyli zwycięskich potyczek, ale zarazem tyle razy dostali krwawo w skórę, że boją się złych posunięć militarnych, jakiegoś niedokładnego rozpoznania, mylnych kalkulacji.

Nie mają w sobie buty i nie lekceważą przeciwnika. Usiłują więc w tych gorących dniach nie poddać się nastrojom uniesienia.

Zaczynają wypowiadać swe uwagi dotyczące wojskowej strony szykowanego wystąpienia.

Teraz pan Bolesław zamienia się w słuchacza. Wie od dawna, iż na rozsądku wojskowym niektórych spośród jego młodych przyjaciół można polegać.

Goście pana Bolesława są tym razem zgodni: najbardziej piekącą sprawą jest broń! Wobec czołgów, samolotów, artylerii ich uzbrojenie wygląda na parodię broni. Bez własnej artylerii nie będą mogli opanować żadnego poważniejszego obiektu, nie będą mogli zdobyć się na żadne poważniejsze natarcie. Oczywiście - zaskoczenie, determinacja i odwaga dają często zdumiewające wyniki; liczą bardzo na zaskoczenie, ale jeśli nie uda się wroga zaskoczyć?

I ta dziwna sytuacja z najprostszą nawet bronią. „Zośka” i „Parasol” dzięki pracy w dywersji są chyba najlepiej uzbrojonymi oddziałami Warszawy, a jednak tylko połowa ich chłopców dostanie do ręki broń. Można więc domyślać się, że są w Warszawie plutony albo zupełnie bez broni, albo z kilkoma tylko pistoletami i granatami. „Zośka” i „Parasol” miały otrzymać broń od dywizji partyzanckiej Oliwy z Wołynia. Lipa! Nie dostaną! Czy nie będzie podobnie z innymi oddziałami, które czekają na broń z jakichś mitycznych magazynów?

Gdy wypowiadają to wszystko, nie są już „młodymi ludźmi”. Są dowódcami zatroskanymi o losy swych oddziałów i o swoich ludzi, o wypełnienie pierwszych, podstawowych zadań bojowych mającego wybuchnąć powstania.

Zadania te zostały im już wyznaczone i niekiedy wydają się niewspółmierne wobec rzeczywistych możliwości.

- Akcja powinna nastąpić tylko w trakcie pełnego odwrotu wroga. Tylko wówczas powstanie może

zmienić klęskę niemiecką na froncie warszawskim w katastrofę. Jeżeli uderzymy przedwcześnie i jeżeli zawiedzie zaskoczenie, jeśli spiętrzą się jakieś przeszkody albo nie dopisze dzielność...

- Taaak - odzywa się pan Bolesław - słyszałem od kogoś ze sztabu, że przy naszym stanie broni i amunicji musimy w ciągu 3 - 4 dni zakończyć walki o uwolnienie stolicy. W

przeciwnym razie...

- Co wtedy? - pyta Andrzej Morro.

- W przeciwnym razie powstanie znajdzie się w impasie lub sytuacji gorszej niż impas.

Myślą o tym wszystkim. I nagle skupienie to przerywa pogodny głos Jeremiego, który dłużej od innych zna pana Bolesława i dlatego jest wobec niego swobodniejszy niż koledzy.

- No, no, panie Bolesławie, kiedyś pan nas wtajemniczał w dozowanie prawdy, pamięta pan?

Mędrzec wie, że tylko niektóre prawdy głosić może na rynku, inne natomiast wypowiada wyłącznie w gronie przyjaciół, a jeszcze inne zachowuje tylko dla siebie. Czyżbyśmy dziś naruszyli tę gradację?

Jesteśmy przecież w tym położeniu, iż lada dzień rozpoczniemy upragnioną walkę otwartą w służbie Ojczyzny.

Końcowe zdanie Jeremi pokrywa kpiącym wykrzywieniem warg, aby pozbawić słowa patosu.

Jest ostatnio - mimo niedawnych ciężkich przejść podczas zamachu na Koppego - w świetnej formie psychicznej. Może przyczynia się do tego nowa, nieco intrygująca, przyjaźń z łączniczką dowództwa „Parasola” - Jasią. Chociaż więc podobnie jak inni dręczy się ciemnością sytuacji politycznej i niewspółmiernością polskiego uzbrojenia wobec potrzeb powstania, to jednak jego dobry stan psychiczny łatwo zapanowuje nad troskami. Teraz też ton głosu Jeremiego tchnie taką energią i nadzieją, iż fala optymizmu udziela się części młodych ludzi. Przecież przez warszawskie mosty na Wiśle suną kolumny uchodzącego niemieckiego wojska - wynędzniałego, wybiedzonego wojska.

Już jednak czas wychodzić, zbliża się godzina policyjna, a teraz właśnie nie należy przez jakieś głupstwo narazić się na kłopoty. Pomagają panu Bolesławowi myć talerze i szykują się do wyjścia. Rafał mówi:

- Myślę, że nasi chłopcy reprezentują bardzo duży kapitał możliwości wojskowych. Byleby ich tylko dobrze użyto.

Na ulicy rozdzielili się. Idą pojedynczo lub po dwóch. Jest jeszcze zupełnie jasno. Daleki pogłos dział nie ustaje ani na chwilę, wydaje się mocniejszy, bliższy niż wczoraj. Na Tamce Andrzej Morro i Jeremi ujrzeli grupę podpitych mężczyzn idących naprzeciw. Pijaków i podpitych nigdy nie brak było na ulicach okupowanej Warszawy, ale zwykle kroczyli oni swym chwiejnym lub niepewnym krokiem w milczeniu, ci natomiast głośno śpiewali.

Andrzej skrzywił się niechętnie. Na ustach Jeremiego błąkał się uśmiezek pobłażania, który w

pewnej chwili rozkwitł w uśmiech całej twarzy.

- Andrzej, słyszysz, co oni śpiewają?

Andrzej wsłuchał się. Tak, nie ulegało wątpliwości, wrzaskliwe głosy na całą Tamkę wyśpiewywały jedną z najpopularniejszych polskich wojskowych piosenek.

## II. 1 SIERPANIA NA WOLI

We wtorek 1 sierpnia kości zostały rzucone. Początek działań wojennych w całej stolicy o godzinie siedemnastej.

Na Dobrej u państwa Kowalskich rozkaz koncentracji objął prawie wszystkich członków rodziny. Pani Janina przybiegła do domu, aby powiadomić córki i męża: ma rozkaz stawić się na godzinę szesnastą w jednym z domów na Chmielnej. Nie zastawszy nikogo zabrała się energicznie do przygotowywania posiłku. Od kilku dni żyli w takim napięciu i w takim ruchu, że zaprzestano gotowania i odżywiano się byle czym i byle kiedy. Teraz więc pani Janina decyduje się na ugotowanie solidnego obiadu. Po kilkudziesięciu minutach wpadają Irka i Jaś: mają o godzinie szesnastej zameldować się na Woli w fabryce „Telefunken”. Przedtem muszą wpaść do „Pasieki”. Irka przynosi także rozkaz dla Maryny: również godzina szesnasta i również w „Telefunkenie”. Pakują się i wymieniają krótkie zdania. Irka jest bardzo podniecona i nie może zupełnie opanować stanu uniesienia. Czarny Jaś natomiast jest skupiony bardziej niż kiedykolwiek. Przekazał już kompanię Giewontowi.

- Gdzie ta Maryna, do licha - denerwuje się Irka. Na wszelki wypadek przygotowuje siostrze suche skarpety, gdyż Maryna wyszła z domu o szóstej rano, gdy lał deszcz. Irka jest zmęczona łącznikowym „ganianiem” w ciągu ostatnich dni, cerując skarpetę czuje lekki zawrót głowy.

Obiad jedzą bez Maryny, po czym Jaś i Irena biorą swój ekwipunek. Pani Janina usiłuje stłumić niepokój i wyrwać z serca tkliwość, nie przewleka więc pożegnania poza krótki pocałunek i mocne uściski dłoni. Widzi spoza grubych szkieł okularów Jasia jego nadmiernie rozszerzone źrenice i to, nie wiadomo dlaczego, wystrasza ją tak, iż czuje przyspieszone bicie serca.

Taka się stała przesądna podczas tej okupacji...

Po odejściu młodych pani Janina zabiera się do wykańczania chlebaka i torby sanitarnej Maryny; usiłuje chwycić każdy szmer za drzwiami. Dlaczego jej jeszcze nie ma? Czemu się tak spóźnia?

Czas mija... 15.15... 15.30... 15.45... Nie można czekać dłużej ani chwili, przecież o szesnastej ma sama zameldować się na Chmielnej. Zrobiła wszystko, w czym mogła być pomocna córce, na tapczanie leży ubranie, bielizna, skarpety, półbuty, jedzenie, torba sanitarna, drobiazgi. Pisze pośpiesznie kilkanaście słów, kartkę zostawia obok rzeczy Maryny. Bliska rozpaczy wychodzi z mieszkania. Na ulicy rozgląda się, chcąc wyszukać wśród przechodniów sylwetkę Maryny, i nagle spostrzega, że podświadomie zwolniła kroku. Zaczęła iść szybciej...

Jest pochmurny, chłodnawy dzień z krótkimi przebłyskami słońca. Od czasu do czasu pada deszcz. Tramwajami, pieszo, w rikszach podążają gdzieś tysiące młodych ludzi. W

płaszczach, niektórzy z kocami, czasem z plecakami. Większość niesie jakieś paczki.

Niektórzy wiozą w dorożkach wielkie paki. Niekiedy widać nawet młodych ludzi na platformach konnych, na których stoją jakieś kosze, worki. Znacznie więcej mężczyzn niż zwykle jest dziś w wysokich butach. Wydaje się niepodobieństwem, aby Niemcy się nie zorientowali.

A jednak, jak się zdaje, nie orientują się. Koncentracja ponad czterdziestotysięcznej masy wojska, tak niepokojąco widoczna dla samych powstańców, przez Niemców zdaje się nie jest dostrzegana. Przynajmniej nic nie wskazuje na zaniepokojenie pozostałych w mieście oddziałów okupacyjnych ani policji. Czyżby to tylko oczy wtajemniczonych dostrzegały owo ponad ostateczność przepełnienie tramwajów i czyżby tylko ich serca wyczuwały wśród mas ludzkich szybko przesuających się chodnikami ulic jakieś nieuchwytnie napięcie, wytwarzane przez zbiorowy nastrój uniesienia i niepokoju?

Do Piotra Pomiana, który kończy się pakować, wpada pan Bolesław.

- Idziecie już? Co to się stało, że pluton Tadzia Żoliborskiego nie dostał dotąd rozkazu o koncentracji?

- Nie wiem. Zdaje się, że dowództwo „Parasola” zostało zaalarmowane dopiero w południe.

Coś musiało się stać z łącznością... A jakie wiadomości z frontu wschodniego?

Pan Bolesław marszczy twarz i trze w zakłopotaniu brodę.

- Byłem na dworcu, specjalnie wypytywałem o drogę na Radom. Dziś rano pociągi znów ruszyły tamtą trasą. Rozmawiałem z podróżnymi, którzy przyjechali pociągiem idącym przez Warkę.

- Co to znaczy? - pyta Piotr, marszcząc brwi i zaprzestając składać bieliznę do wielkiej, skórzanej teczki.

- Nie mam pojęcia. Kolejarze mówią, że Rosjanie byli w Warce dwa dni i cofnęli się stamtąd.

Więc może tam było tylko jakieś rozpoznanie sowieckie?

Piotr jeszcze przez chwilę rozważa w bezruchu tę niepokojącą wiadomość, lecz wnet z podwójną energią zabiera się do teczki. Już najwyższy czas wyruszać.

Kiedy wjechał na swym rowerze w Aleje Jerozolimskie, stwierdził, że ruchu ewakuacyjnego ze wschodu na zachód prawie nie ma. Z rzadka tylko widać jadące w tym kierunku ciężarówki z ludźmi lub bagażami. I uprzytamnia sobie, że tej nocy ogień niemieckiej artylerii przeciwlotniczej był znów bardzo silny. Czy to ma jakiś związek z wiadomością pana Bolesława? - myśli Piotr. Naraz jakiś żandarmski motocykl z przyczepką skręca w jego stronę i niemal przypiera go do krawędzi chodnika. Piotr hamuje i opiera prawą stopę o krawężnik, usiłując nie zwracać uwagi na teczkę, w której prócz wyprawy osobistej są cztery pistolety.

Czyżby aż tak bardzo chciał zeń zadrwić los?

Motocykl żandarmski stanął także.

- Der Weg nach Litzmannstadt? - pyta siedzący przy kierownicy żandarm.

Piotr oddycha głęboko i tłumaczy Niemcowi, jak ma jechać do Łodzi. Po czym - rusza dalej.

Gdy Towarową wjechał w ulicę Wolską, trafił w nurt czołgów i dział szturmowych, posuwających się na wschód, ku mostowi Kierbedzia. Zatoczył łuk obok barczystego żandarma, regulującego ruch na środku jezdni, i skierował się w którąś przecznicę.

Dochodziła godzina szesnasta - Piotr mocniej nacisnął pedały. Nie wolno się spóźnić. W

uliczkach, którymi jechał, ruch był niewielki, niektóre bramy były zamknięte lub przymknięte. W którejś z takich przymkniętych bram dostrzega młodego człowieka kryjącego się we wnęce i na jego ramieniu widzi:... biało-czerwoną opaskę. Zwolnił nacisk na pedały i jak zahipnotyzowany wpatruje się w pasmo dwukolorowej opaski. Dopiero gdy poczuł, iż serce zaczyna bić gwałtownie, wparł palce nóg w pedały i wściekły na siebie pochylił się nisko nad kierownicą, aby idąca mu naprzeciwko kobieta nie dostrzegła jego twarzy.

Obydwa bataliony Grup Szturmowych koncentrują się na Woli. „Parasol” - w fabryce odzieży Waliców 11 i w Ewangelickich Domach dla Starców przy Karolkowej i Żytnej oraz w ich rejonie, „Zośka” - w fabryce aparatów radiowych „Telefunken” przy ulicy Karolkowej i Mireckiego.

Na dziedzińcu fabrycznym i w zabudowaniach - duży ruch. Koncentruje się tu nie tylko

„Zośka”, lecz szersza formacja - Brygada Dywersyjna, „Broda”, której dowódcą jest kapitan Jan, bezpośredni przełożony „Zośki”. Spacerują teraz po dziedzińcu obydwaj - kapitan Jan i porucznik Jerzy, dowódca batalionu „Zośka”. Ubrani są w polskie mundury oficerskie, przechowane podczas całej okupacji. Obydwaj mają na piersiach krzyże harcerskie.

Kapitan Jan po raz pierwszy przypiął tę niedawno otrzymaną odznakę; ma też Virtuti Militari.

Obydwaj oficerowie chodzą spokojni wśród podnieconych ludzi, przydzielanej broni, wśród radosnego podniecenia rozmów. Opanowanie cechuje także ustawiony w głębi dziedzińca pluton. Spokój flegmatyka Jerzego jest naturalny, natomiast spokój kapitana Jana stanowi wyraźny dowód świadomego opanowywania ruchów, gestów, mimiki - jego niewielka postać promieniuje wprost żywością i energią. Nawet rudawe włosy pod furazerką swym niesfornym ułożeniem świadczą o temperamentie.

Wśród krzątających się żołnierzy powstania widać robotników zatrzymanej od paru godzin w ruchu fabryki. Tylko część z nich jest zespolona organizacyjnie z oddziałami „Brody” i ci od razu weszli w swą służbę.

Większość natomiast krąży beczynn timer po dziedzińcu i halach fabrycznych.

Nie wolno im opuszczać murów fabryki. Jedni z nich są tak samo jak ci, co tu przyszli, podnieceni, oglądają broń, dopytują się o możliwości zaciągu ochotniczego. Inni denerwują się i złością, usiłując przekonać wartowników, iż też są w oddziałach konspiracyjnych, że muszą zaraz opuścić fabrykę, bo nie zdążą do swoich oddziałów. Jeszcze inni to ludzie zdezorientowani, zaniepokojeni, starający się ukryć ogarniający ich lęk.

Przed chwilą weszła na dziedziniec jakaś kobieta z dzieckiem. Otworzyła szeroko oczy i stoi jak

skamieniała. Pobladła lekko.

- Matko święta... Więc to już?

Twarz mieni się na przemian radością i przestraczem. Zdenerwowana głaszcze po ramieniu jakiegoś nie znanego młodego człowieka, który pod murem manipuluje przy swoim karabinie.

Potem widocznie coś sobie uprzytomniła, gdyż szybko zmierza ku bramie. Niestety, wyjść nie można.

- Ależ, panowie, moi drodzy, ja muszę wyjść, zostawiłam w mieszkaniu ogień pod płytą i drugie dziecko.

Nikt nie może wyjść. Potem, gdy działania się rozpoczną, jeśli nie będzie niebezpiecznie - droga wolna, ale teraz...

Kobieta podbiega do obydwu spacerujących oficerów - nic nie pomaga.

Zrozpaczona opowiada coś gorączkowo kilku stojącym robotnikom i ludziom z bronią. Nic jej nie mogą poradzić. Jeden ze starszych robotników spluwa zdenerwowany lamentem kobiety:

- Nie mogli to, choroba, tego powstania wyznaczyć po fajrancie albo jeszcze lepiej późno wieczór, a może i o świcie, jak wszyscy są w domach.

Narobią ludziom biedy, narobią...

- Spokojnie, kolego - włącza się drugi głos. - Dużo nas tu w tej fabryce?

Bałagan już od kilku dni, nie przychodzą.

Jest godzina szesnasta.

Naraz od strony Okopowej słyhać warkot silnika. Kołczan stojący w bramie daje jakieś znaki. Kapitan Jan wielkimi skokami podbiega do bramy. Na ogromnym dziedzińcu przed chwilą tak gwarłym i ruchliwym zapanowuje cisza.

Ciągnik! Wielki, niemiecki ciągnik sunie wprost ku bramie „Telefunkena”.

- Zatrzymać go - mówi kapitan do dowódcy drużyny pełniącej służbę w bramie.

Kilku młodych ludzi wychyla się z bramy i coś krzyczy do Niemców, kierując równocześnie pistolety maszynowe w ich stronę. Ciągnik, jakby sobie nic z tego nie robił, jedzie dalej, tylko skręca bliżej muru po przeciwległej stronie ulicy. Naraz staje i spoza drzwiczek wypada jakiś spory, jajowaty przedmiot.

- Uwaga! - wrzeszczy Kołczan, kryjąc się za róg bramy.

Eksplozja! Jeszcze drga od wybuchu powietrze, gdy na pierwszym piętrze Bonawentura podbiegł do okna, stłukł ręką szybę i rzucił granat z zapalnikiem czasowym. Rzut był zły: zraniona przez szkło dłoń nie dopisała i granat utknął między szybami podwójnego okna.

Bonawentura uderzył krwawiącą pięścią w drugą szybę i wyrzucił granat na ulicę. Wybuch!

Kilku szturmowców wybiegło za bramę. Niestety - Niemców w ciągniku nie ma, zbiegli na teren getta przez wywaloną granatem wyrwę w płocie.

Ładna historia! Zaczęli o godzinę za wcześnie. I mają pierwszego rannego: Bonawenturę!

Andrzej Morro, obejrzawszy dłoń brata, machnął lekceważąco ręką. Znacznie poważniejszą sprawą jest ta „bitwa” o ciągnik. Podszedł szybko do Jana:

- Panie kapitanie, myślę, że ci Niemcy nie bardzo wiedzą, co się u nas dzieje naprawdę. Mogą przypuszczać, że to zwykła akcja dywersyjna. Trzeba się chyba przygotować na przyjęcie żandarmerii?

Kapitan Jan z uśmiechem spogląda na dowódcę „Rudego”. Ma wyjątkową słabość do tego chłopca. Ponadto liczy się z jego opinią, ufa jego instynktowi wojennemu.

- No, skoro tak sądzicie, proszę wydać odpowiednie rozkazy.

Po kilku minutach zebrany alarmowo „Alek” z Kołczanem na czele wybiega na róg Mireckiego i Okopowej, skąd Andrzej Morro przewiduje ewentualne przybycie samochodu policyjnego. Gdy po niecałej półgodzinie słyszeć się daje narastający szybko i tak charakterystyczny, w całej Warszawie znany, złowrogi głos klaksonu wielkiego, zielonego wozu, chłopcy spoglądają z uznaniem w stronę Andrzeja Morro: - ten ma węż! - Kołczan lekko unosi rękę ku górze, aby była widoczna dla zmarłego przy erkaemie celowniczego.

Warkot motoru samochodowego rośnie, widać już twarze jego piętnastoosobowej załogi w zielonych mundurach, z karabinami gotowymi do strzału i z karabinem maszynowym na wysokich widełkach, złowrogo szukającym celu.

Jeszcze sekunda i jeszcze jedna. Przypuścić jak najbliżej...

Ręka Kołczana gwałtownie opuszcza się ku dołowi, a z ust wyrzywa się ostry głos: - Ognia!

Wśród szybkiego, nerwowego jazgotania broni maszynowej i gradu pocisków pistoletowych oraz karabinowych auto policyjne skręca w jedną - w drugą stronę, jak błędne. Staje. Niemcy, zaskoczeni i sterroryzowani, skaczą z wozu. Kilku pada krwawiąc. Reszta przez chwilę chroni się za wóz, lecz zorientowawszy się w nieskuteczności tej zasłony, usiłuje zbiec w przecznicę uliczną i kryć się tam po domach. „Alek” sieje bez przerwy pociski z kilku stenów, z paru karabinów i z erkaemu. Znów kilku zielonych pada. Chłopcy „Alka” biegną w ich kierunku.

Dwie łączniczki, porwane widokiem uciekającego wroga, biegną również nie zwracając uwagi na zaczynających odstrzeliwać się żandarmów. Hanka dopada leżącego we krwi Niemca i wyjmuje mu z



rąk karabin. Pierwsza zdobycz.

Kołczan zarządza budowanie barykady. Gdy w pośpiechu gromadzą na jezdni różne rzeczy wpadające pod rękę, Dorota dostaje postrzał w brzuch i pada.

Czerwona plama na sukience rośnie szybko. Koledzy - skonsternowani i przejęci tym widokiem bardziej niżby chcieli, odnoszą raną do fabryki.

Jest to początek wielkiej daniny krwi Grup Szturmowych w rozpoczynającym się powstaniu.

Tak więc pierwszą zdobyczną broń pochwyliły na tym odcinku ręce dziewczęce i pierwszą krew w walce przelała dziewczyna. Jest to znamienne w tej strasznej wojnie.

Gdy wielkie policyjne auto pędziło z wyciem klaksonu ku gmachom „Telefunkena”, o setkę metrów od bramy tej fabryki stała riksza rowerowa.

Na rikszy - Irka i cztery plecaki przykryte jakąś płachtą. Dziewczęta straciły orientację w nie znanej sobie części miasta, rozeszły się więc aby w sposób ostrożny zebrać wiadomości.

Rikszarz wstąpił do pobliskiego szynku, Irka została sama z rikszą i czterema plecakami.

Gwałtowny jazgot broni maszynowej sprawił, że wyskoczyła z rikszy jak z procy. Chciała skryć się do bramy. Spostrzegła, że brama daleko. Niespokojna myśl o czterech plecakach na rikszy, które podczas jej nieobecności mogą dostać skrzydeł, zatargała rozterką serce.

Wprawdzie na odgłos strzałów ulica natychmiast opustoszała, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Więc dziewczyna zamiast uciekać chwyta rikszę i usiłuje pchać ją w kierunku dalekiej bramy. Ciężko, niezręcznie. Raz i drugi bzyknęła kula, riksza ruszyła i zygzakami posuwa się naprzód. Irka czerwona z wysiłku stara się pchać jak najszybciej, przede wszystkim pod mur domów pustynnego kanionu ulicy, po której pobzykują kule.

Wtem żandarmi odrywają się od ostrzeliwanego wozu i bieć zaczynają gwałtownie w jej stronę. Uniesienie zapanowuje nad strachem i Irka w zachwycie patrzy na pierwszy raz w życiu oglądaną scenę paniki wroga, na przerażenie widoczne w tych uciekających postaciach.

Nareszcie, nareszcie!

Ach, czemu nie ma broni? Ale, co to? Jeden z biegnących pochyła się, nieco zmienia kierunek i biegnie wprost na nią, z dolnej części twarzy czy z szyi tryska mu obficie krew. Przecięta tętnica? W oczach Niemca dzikie przerażenie: - Kameraden, Kameraden, ich bin schwer verwundet, schwer... - Inni nie zwracają nań uwagi i biegną dalej. Irka blednie, serce zaczyna uderzać gwałtownie. Zaciska w niezdecydowaniu dłonie i nagle je rozluźnia.

Gdzie opatrunki? Gdzie opatrunek osobisty? Tak, w plecaku! Zrywa płachtę, szarpie sznurek plecaka i chce przerzucać jego zawartość, ale już na ulicy nikogo nie ma, uciekający zniknęli w przecznicy, a z nimi także ów broczący krwią.

Irka znów zabiera się do popychania rikszy. Ulica wciąż jest pusta, od czasu do czasu słychać świst kuli. Ludzie w bramach krzyczą do niej, aby się skryła. Nie chce, nie odczuwa lęku.

Dowiedziała się, gdzie wejście do „Telefunkena”, i pcha riksę naprzód.

Z furtki wygląda ktoś w szarej marynarce i niemieckim hełmie, na ramieniu biało-czerwona opaska.

- Oj, kolego, nie wiecie, gdzie tu do „Brody”?

- „Broda” to przecież my, tutaj.

Przy pomocy jegomościa w hełmie wprowadza riksę na dziedziniec fabryki i staje olśniona.

Po pustynnym bezruchu wylękłej ulicy znalazła się w oszołamiającym środowisku aktywności i pogodnych głosów, pośród młodych ludzi z bronią i w opaskach powstańczych.

Widzi, jak z dala biegnie do niej Czarny Jaś.

Strzelanina na ulicy ustaje. Żandarmi w znacznej części wybici, reszta gdzieś się pokryła w domach przecznicy. Gdy „Alek” przeszukuje te domy, na ulicy ukazuje się auto niemieckie.

Dostaje serię strzałów z erkaemu i staje. Jeszcze paru hitlerowców wyprawionych na tamten świat, jeszcze parę karabinów zdobytych.

Odwołani przez Andrzeja Morro wracają do fabryki. Wchodząc do bramy widzą, jak kapitan Jan siedzi na świeżo przez Niemców „podprowadzonym” ciągniku i usiłuje zapuścić gaz.

Motor zawarczał, ciągnik powoli rusza.

Z dala, od strony Śródmieścia, rozlegają się wybuchy. Coraz częstsze. I dalekie, lecz bardzo wyraźne serie strzałów z ciężkich karabinów maszynowych.

- No, Śródmieście też zaczęło - mówi do Czarnego Jasia porucznik Jerzy, spoglądając na zegarek. - Minęła szesnasta trzydzieści.

W „Telefunkenie” strzelanina zaczęła się o godzinę za wcześnie, teraz więc jest jeszcze trochę czasu przed wyruszeniem na wykonanie pierwszych właściwych zadań bojowych: zdobycie wielkiego gmachu szkoły powszechnej na Okopowej, zajętego przez oddział SS, i obsadzenie fabryki Pfeiffera oraz domów na Okopowej, Gęsiej i Sołtyka. Wciąż jeszcze przybiegają zziązani pojedynczy chłopcy. Andrzej Morro tak denerwuje się niepunktualnością spóźnionych, iż odchodzi w najdalszy kąt dziedzińca, aby nie wybuchnąć wobec Jerzego i kapitana Jana. Czemu, do diaska, nie wyszli z domu o godzinę wcześniej? Jak można nie wykonywać ściśle rozkazu?

- Tylko spokojnie, tylko spokojnie. Nie wolno ci się wygłupiać - mamrocze do siebie, spacerując nerwowo w kącie dziedzińca.

A pojedynczy spóźnialscy wciąż przybywają. Któryś opowiada, że Tytusek z „Alka” stoczył

prywatną bitwę z autem SS-mańskim na Marszałkowskiej. Już rozległy się pierwsze, pojedyncze strzały, gdy pokazało się auto policji niemieckiej jadące powoli Marszałkowską i ostrzeliwujące okna domów. Czyż można było na ta patrzeć spokojnie? Tytusek szybko dogadał się z dwoma takimi jak on typami stojącymi w bramie, wydobył filipinkę - i w samochód.

Jeszcze targał powietrzem wybuch, gdy Tytusek rzucił się w dym granatu, strzelając z pistoletu. Zdobył karabin maszynowy.

- Wygląda na to, że Tytusek w Śródmieściu rozpoczął powstanie? - uśmiecha się Kołczan.

Porucznik Jerzy tak się zasłuchał w opowiadanie o Tytusku, że teraz nie wie czy ma to pochwalić, czy „objechać”. Na wszelki więc wypadek milczy.

Jest jednak zły: obecność nie sięga osiemdziesięciu procent. Podobno w „Parasolu” tak samo.

Brak im między innymi plutonu Tadzia Żoliborskiego.

Coś tu nawaliło w górze. Żeby tak skandalicznie późno przesyłać rozkaz alarmu!

„Rudy”, „Maciek” i jeden pluton trzeciej kompanii już siedzą gotowe. Dwa inne plutony Giewonta pozostały na kwaterach alarmowych. Są to ludzie należycie wyszkoleni, ale bez broni. Dopiero gdy batalion zdobędzie dla nich broń na nieprzyjaciela, mają się przyłączyć.

Mijają długie minuty.

„Rudy”, „Maciek” i pluton trzeciej siedzą w skupieniu. Wiedzą, że właściwy początek akcji powstańczej dopiero teraz nastąpi.

Wchodzi parę łączniczek z koszem pełnym biało-czerwonych opieczętowanych opasek.

Nakładają je na lewe ramiona tych szturmowców, którzy dotąd opasek nie mają, jest to urzędowa oznaka żołnierza powstańczego. Andrzej Morro przywołany do kompanii krąży nachmurzony od drużyny do drużyny i coś sprawdza, coś przegląda. Gdy ujrzał Okurę z

„Sadu”, ogarnia go nowa fala irytacji. Okura stanął do powstania w krótkich, harcerskich spodenkach, łyskając gołymi kolanami. A Anoda? Jezus kochany, ten znów ma na głowie ułańską czapkę z barwnym otokiem. Ależ wojsko!

Na szczęście porucznik Pomian podnosi rękę, jakby wzywając do ciszy.

- No, skoro tak tu siedzimy razem, chcę wyzyskać czas i nadać stopnie instruktorskie szaroszeregowe kilku waszym dowódcom. Zatwierdziła je wczoraj komenda Szarych Szeregów. Miałem pisać o tym konspiracyjny rozkaz, ale „wybuchło” powstanie, można więc inaczej...

Wszyscy wstają. Porządkują się chwilę, a potem - „baczność” i Piotr odczytuje listę nowo mianowanych podharcemistrzów i harcistrzów.

Rozdrażnienie Andrzeja Morro rozplywa się w nowych uczuciach: usiłuje kpiarstwem zamaskować zadowolenie, jakie mu sprawia otrzymany stopień harcmistrza.

Andrzej czuje się na ogół doskonale. Wie, że nastroje w „Zośce” są bardzo dobre, że po dawnych zadrażnieniach i skłóceniach nie zostało śladu.

Wyczuwa, że ton, jaki teraz przybrał wobec kompanii, jest właściwy.

Postanowił być bardzo wymagający wobec samego siebie. Pragnie pozostać niezłomny w stosunku do wyznawanych zasad. Ale wobec innych, wobec wszystkich w kompanii chce się zmienić: będzie życzliwy i serdeczny tak dalece, jak tylko się da; żadnego inkwizytorskiego tonu, żadnego ganienia, żadnego mentorstwa. No - i dotychczas jakoś udaje się, choć czasem trudno się przemóc.

Jedno tylko zmartwienie dręczy Andrzeja: oficerski mundur ojca. Tak bardzo pragnął mieć go na sobie w dniach powstania. Ojciec, który zginął w 1940 roku, był oficerem rezerwy i Andrzej marzył, aby mieć na sobie w walkach jego właśnie mundur. Niestety, w mundurze trzeba było coś poprawić i Andrzej nie zdążył już go odebrać od krawca, który na kilka dni przed powstaniem gdzieś wyniósł się z Warszawy.

Spośród dowódców „Zośki” żaden prawie nie ma normalnego umundurowania.

Także porucznik Piotr Pomian. Piotr ma tu w powstańczej „Zośce” rolę jeszcze trudniejszą niż w „Zośce” konspiracyjnej. Jest oficerem, ale niczym nie dowodzi. Jest tylko delegatem komendy Szarych Szeregów przy oddziałach „Brody”. Jego stanowisko i wpływ są wyłącznie w jego własnych rękach. Są to jednak ręce wytrawne i mające za sobą znaczne osiągnięcia.

Ręce zresztą jak ręce, ale sylwetka żołnierska, oczy i męski uśmiech smagłolicego Piotra są jego największym atutem w walce o ludzkie dusze.

O ile jednak Piotr ufa sobie jako wychowawcy tych młodych żołnierzy i wierzy w życzliwość kapitana Jana, o tyle z pewnym zakłopotaniem myśli o współpracy z Pługiem oraz z dowódcą zgrupowania, do którego należy „Broda”

- z pułkownikiem Radosławem. Radosław nie przyszedł na żadne zebranie Rady Wychowawczej przy Grupach Szturmowych i kiedyś powiedział o wątpliwym pożytku

„oficerów politycznych” w wojsku, określając tak, nie wiadomo dlaczego, Piotra. Na szczęście Radosław ma silnie rozwinięte poczucie sprawiedliwości.

Gdy tak stoją teraz w wielkiej, braterskiej żołnierskiej gromadzie z Orszą, Piotrem, Jackiem, Andrzejem Morro, Długim, Czarnym Jasiem, doktorem Bromem, Dużą Zosią, z kapitanem Janem, Jerzym, z Kołczanem, Kubą, Blondynem, Anodą i Słoniem, gdy patrzą na swe zbrojne ręce, gdy uświadamiają sobie, iż o tej samej godzinie pół kilometra od nich w podobnej braterskiej gromadzie stoją Pług, Rafał, Jeremi, Luty, Mirski, Jurek Lot, Kopeć, Włodek, Robert, Korczak - czują wszyscy, że ich udział w nadchodzących walkach nie będzie udziałem drobnym.

Gwizdek. „Na miejsca”.

Wychodzą kompaniami. Posuwają się długimi rzędami wzdłuż murów kamienic.

Ulice są puste i tylko z rzadka przemyka się pod ścianami jakiś samotny przechodzień.

Przebiegają otwarte przestrzenie i przejścia uliczne. Po drodze nadziewa się na nich jakiś samochód niemiecki, zapóźniony w tej pustce gardzieli ulicznych. Ogień paru drużyn unieruchamia go.

„Rudy” obsadza szereg domów na Okopowej, Gęsiej i Sołtyka. Ale „Maciek” ma wykonać najważniejsze: zdobyć i obsadzić ogromny gmach dawnej szkoły imienia św. Kingi przy Okopowej 55.

Plutony „Maćka” podchodzą ostrożnie z bronią gotową do strzału. Wokół zupełna cisza.

Tylko gdzieś od Powązek i od strony Śródmieścia dolatują gęste trzaski karabinów. Na przedzie dwaj szperacze: szef kompanii - Kmita i Wojdak. Kmita - szczupły, z zaciętym wyrazem zawsze bladej twarzy - stara się iść cicho i możliwie najbliżej murów. Wojdak tuż za nim; czapkę ma nasuniętą nisko na czoło.

W przyległych do gmachu szkolnego zabudowaniach natykają się nagle na dwóch SS-manów.

Palce odruchowo naciskają języki spustowe broni. Krótki, gwałtowny ogień. Jeden Niemiec pada, drugi, przerażony, podnosi ku górze obydwie drżące ręce.

Teraz już bez namysłu szybko naprzód. Bunkier przed wejściem do szkoły od Okopowej.

Kmita otwiera ogień, starając się bić w otwór bunkra. Nikt nie odpowiada. Co to znaczy?

- Wojdak, filipinką w ten schron!

Błysnął ogień, kłęb dymu otoczył bunkier. Kmita poderwał się i pędzi z odbezpieczonym granatem. Jeszcze sekunda i ręka Kmity rzuca granat w szczelinę bunkra. Wybuch. Wpada od tyłu, za nim inni.

Pusty!

Kmita wychodzi z niezdecydowaną miną. Obok niego przebiega jakaś drużyna.

- Cała szkoła pusta - krzyczy ktoś z podwórza.

Są bardzo radzi. Żywej duszy. W wielkich salach widać wygodne prycze, koce. W innych -

stoły, ławy. Są umywalnie, bogato zaopatrzona spiżarnia. W garażach kilka samochodów. W

stajni - konie. Pycha! Najoczywieściej Niemcy opuścili gmach nagle.

Zadanie „Alka” polega na obsadzeniu części ulicy Gęsiej i jeśli się da, zajęcie obozu karnego, tak zwanej Gęsiówki. Obóz ten zajmuje obszar między Gęsią, Okopową i Niską oraz przylega do

Pawiaka, wyniosłego, wielkiego zespołu gmachów więziennych wśród pustynnych ruin getta. W Gęsiówce byli podobno jeszcze wczoraj jacyś zagraniczni Żydzi. Obóz składa się z szeregu zielonych, drewnianych baraków, otoczonych wysokim murem gęsto odrutowanym.

Przy bramie - bunkry. Na rogach - wieże strażnicze ze strzelnicami. Istna forteca.

„Alek” posuwa się ku Gęsiówce od strony cmentarza żydowskiego. Ostrożnie, skokami, po oślizgłym od niedawnego deszczu terenie zbliżają się ku potężnej bramie cmentarnej, wychodzącej na wprost bramy Gęsiówki. Doszli.

Jedni coś manipulują przy cmentarnych wrotach. Drudzy usiłują zrobić w murze cmentarza otwory strzelnicze.

Nagle brama Gęsiówki otwiera się szeroko i wyjeżdża z niej wolno półciężarowy wóz niemiecki naładowany jakimiś skrzynkami. Na wozie kilku Niemców. Kołczan jest piorunujący w decyzji i działaniu. Sekunda - dwie wystarczyły, aby wyczuć, że pod ubezpieczającymi lufami plutonu można nawet tu, pod murem Gęsiówki, zaatakować niemiecki samochód. Wyskakuje, pociągając za sobą kilku chłopców. Krzyczy, strzela. Auto stanęło. Niemcy pośpiesznie wyskakują z podniesionymi rękami. Wyprowadzają ich za mur cmentarny i dalej na tyły. Jeden z jeńców, jak wykazuje pobieżny przegląd dokumentów, to bodaj że ktoś z komendantury obozu.

A co w skrzynkach?

Któryś zdejmuje jedną z nich. Wino, SS-Wein! Kilku młodych ludzi odkorkowuje butelki i zaczyna pić. Dobrze! Kołczan przerywa jednak to smakowanie i niecierpliwie porządkuje swe drużyny. Maryśka, dowódca jednej z drużyn, najdłużej nie odrywa butelki od ust.

Gotowi skupili się przy bramie. Dwóch zwiadowców przeskakuje ulicę.

Ośmieleni tym, że nie przywitał ich ogień, kryją się u stóp wieżyczki. Po chwili jednak jeden z nich wdrapuje się na nią. Nikogo!

- Dajcie mi tu erkaem - syczy ku dołowi - będę was ubezpieczał.

Tak ubezpieczeni dostają się do obozu. Pustka! Szybko podchodzą do jednego z baraków -

żywej duszy. Drugi to samo. Ta nieoczekiwana łatwość osiągnięcia celu wprawia podchmielonego Maryśkę w stan podniecenia. Zaczyna wyrzaskiwać tradycyjne żołnierskie przekleństwa i ciska butelki zapalające w jeden i drugi barak.

- Ty, wojaku, nie wygłupiaj się! - woła nadbiegający Andrzej Długi.

Przekleństwa cichną. Maryśka odwraca głowę.

- Trzymaj język za zębami, Długi.

Chwilę patrzą na siebie, niezyczliwi, niechętni. Długi opanowuje się pierwszy i rusza ostro naprzód.

Jest zastępcą dowódcy plutonu i dowodzi patrolem zwiadowczym. Dopiero po jakichś stu metrach patrol dostaje ogień od czoła. A więc tak! Niemcy skupili się i umocnili w drugiej części Gęsiówki, dotykającej Pawiaka. Serie strzałów z broni maszynowej przerywane strzałami granatników biją teraz na kilka głosów. Ogień jest tak gęsty i bije z takich kierunków, że mowy nie ma o posunięciu się naprzód. Przywarli do ziemi za wszelkimi możliwymi do wykorzystania osłonami i nie ośmielają się unosić głów. Kołczan nie namyśla się długo. Wie, że w tych warunkach, gdy zawiodło zaskoczenie, odwaga byłaby tylko głupotą. Daje więc gwizdkiem sygnał do odwrotu. Sam zwleka jeszcze, kierując wycofywaniem patrolu zwiadowczego. Naraz krzyczy: - Halo, ty tam w berecie, pomóż rannemu... stój, człowieku, pomóż rannemu! - Andrzej Długi ostrożnie pełźnie w kierunku dwóch leżących pod barakiem chłopców i zaczyna pomagać jednemu z nich w ciągnięciu kolegi.

Dopiero za murem, gdy byli bezpieczni i dwie sanitariuszki zajęły się już rannym, Kołczan i Długi przyrzekli się uważniej powstańcowi w berecie.

Chłopak jest żółtoblady i najwidoczniej walczy z napływającą falą mdłości.

Zwymiotował wreszcie.

- No, no - klepie go Kołczan po ramieniu - pewnie po raz pierwszy widzisz ciężko rannych.

Ale... bracie, ktoś ty właściwie? Przecież ty nie z mego plutonu?

Blady powstaniec w berecie wyciera chusteczką usta.

- Ja, panie podchorąży... ja jestem ochotnik. Ja zgłosiłem się do...

- Skąd się tu wzięłeś?

- My nie mamy broni, nam kazali pilnować „Telefunkena” więc nawiałem z plutonu do was.

Ale tylko na tę akcję. Mam kolegę u was, pożyczył mi parę granatów.

Kołczan uśmiecha się kpiąco. Nie ma czasu, więc tylko krótko do Długiego:

- Daj mu wina.

Właśnie - wino. Gdy Kołczan redagował zwięzły meldunek o Gęsiówce i walczył z dręczącym przypuszczeniem, że przez swój wypad na samochód z winem zepsuł być może akcję na Gęsiówkę, jedna z drużyn przystąpiła do wyładowywania skrzyń z unieruchomionego samochodu. Kołczan patrzył na nie coraz niechętniej i po pewnym wahaniu zdecydował, że skrzynki z winem pójdą na... barykadę, którą trzeba zbudować w bramie cmentarza żydowskiego.

Pluton jest oszołomiony pomysłem Kołczana: barykada ze skrzynek z winem?

Noszą jednak te skrzynki na barykadę. Sąsiednie plutony i kompanie dowiedziały się już o sensacji i przybiegają, aby otrzymać po skrzynce.

„Alek” nie jest skąpy. Rozdają jednak z umiarem, bo prezenty - prezentami, a barykada musi stężeć. „Od czasu do czasu którzyś popija smakowity płyn. Są rozbawieni wytworzoną sytuacją. Barykada wnet ma nazwę „Bar pod bramą”.

No - ale dość żartów. Większość skrzynek - do doktora Broma, dla rannych, a część zatrzymać na wymianę za konserwy, jarzyny i jeśli się da - za amunicję. Dla siebie wystarczy po parę lampek. Maryśka na tę gospodarkę winem krzywi pogardliwie wargi i jak to on, kpi, dowcipkuje, szydzi. Ale w pewnej chwili przestaje żartować i ostro klnie, widząc, jak Kołczan wręcza kilka butelek przechodzącym obok jeńcom niemieckim. Jeńcy wprawdzie trzęśli się z zimna w przemoczonych mundurach i byli bardzo wystraszeni (Maryśka, żartując, powiedział im, że pójdą „do piachu”), ale mimo wszystko postępek Kołczana wydał mu się nieprawdopodobnym dziwactwem.

Andrzej Morro po zapoznaniu się z meldunkiem i szkicem Kołczana zdecydował, że część

„Rudego” musi obsadzić ruiny getta. Trzeba zabezpieczyć batalion od niespodzianek ze strony licznej niemieckiej załogi Pawiaka, którego potężne czerwone mury czyniły zeń prawdziwy fort na skraju pustyni getta. Wypalone domy żydowskie były tu już od kilku miesięcy rozebrane i tylko potężne zwały gruzów, uformowane przez nie dokończoną rozbiórkę części nadfundamentowych oraz przez masy poniszczonych cegieł, tworzyły ponury krajobraz. W krajobrazie tym rozłokowały się teraz placówki i czujki „Rudego”, usiłując wyszukać miejsca z dobrą widocznością na Pawiak i Gęsiówkę, a zarazem bodaj trochę zabezpieczyć się od deszczu, który znów zaczął siać.

Gdy łączniczka Basia zaproponowała Andrzejowi Morro na miejsce jego postoju jakieś przyzwoitsze od innych mieszkanie przy Gęsiej, Andrzej skrzywił się.

- Nie. Byłbym za dobrze izolowany od nieprzyjaciela i zbyt daleko od swoich. Urządzimy się jakoś w ruinach.

Sam wybrał miejsce, z którego równie dobrze mógł ogarnąć placówki „Rudego”, jak i Pawiak z Gęsiówką. Nad resztkami dolnych fragmentów ścian, sterczących na parę metrów nad gruzowiskiem, ułożono blachę mającą bodaj w części chronić od deszczu, zdobyto skądś drzwi, którymi osłonięto główny otwór, i na gruzie „podłogi” ułożono kilka materaców.

Świece są? Są.

- Piotrze, zechcesz ze mną wieczorem obejść posterunki?

Odpowiedź Piotra przygłuszają krople deszczu bębniące w blachę „sufitu”.

W spowitych zielenią Ewangelickich Domach dla Starców przy ulicy Karolkowej urządziło się dowództwo „Parasola”. Zacisznie tu i wygodnie.

Łatwo stąd obejść cały obszar, który batalion ma obsadzić. Pług jest jak zawsze manifestacyjnie spokojny i równy. Jeremi, ruchliwszy i energiczniejszy niż zwykle, nie jest w stanie opanować przemożnej potrzeby działania. Idzie więc razem z łączniczką Jasią do I kompanii Rafała, który



dostał rozkaz zaryglowania cekaemami ulicy Młynarskiej w kierunku Obozowej oraz przedpola toru kolei obwodowej i Koła. Rafałowi nie wygoiła się jeszcze rana łopatki z niedawnej akcji na Koppego w Krakowie, tym bardziej więc Jeremi usprawiedliwia przed sobą „wsparcie”, jakiego mu udziela. Ale jest także drugi powód: „Parasol” otrzymał

zbyt późno rozkaz alarmu - dopiero w południe - i dlatego tak fatalnie nawala obecność. W

kompanii Rafała brak całego plutonu. W innych plutonach zdekompletowanych jest kilka drużyn. Trzeba więc dopomóc Rafałowi w zorganizowaniu zaplanowanego działania znacznie szczuplejszymi siłami.

Kompania trzecia otrzymuje zadanie zajęcia gmachu monopolu na Pawiej. Tu także sprawy osobowe są skomplikowane: brak dowódcy kompanii, Lutego, i kompanię musi prowadzić Jurek Lot.

Stosunkowo najmniej kłopotów ma na razie kompania druga. Są wszystkie plutony, choć w uszczuplonych składach. Jest i dowódca kompanii - Mirski.

Ci mają zorganizować pośpiesznie stanowiska wypadowe, między innymi w oparciu o barykadę przy zbiegu Żytniej i Karolkowej.

W tej chwili na sąsiednim Lesznie rozlega się szereg wybuchów i ostro brzmi ogień pistoletów maszynowych. A jakby na tle tych strzałów i wybuchów narasta jakiś jednostajny, przeciągły, dudniący głos.

Czołgi!

Łomot i dudnienie trwa kilkadziesiąt minut, wreszcie cichnie. Ostrożnie otwierają się bramy, tysiące głów wygląda nieśmiało na ulice. Ten i ów wybiega i chyłkiem, zgarbiony, biegnie pod ścianami gdzieś do siebie, do swoich. Wtem - warkot szybko mknącego auta! Terkot potoku strzałów. Ulica w jednej chwili zamiera znów w pustynne bezludzie. Przemknęło auto niemieckie, ostrzeliwujące bramy i chodniki. Gonia je pociski. Gdzieś na jezdni tuż za autem wybuchł krótki płomień. Znów cisza.

Na rogu Żytniej i Karolkowej wre jednak jak w ulu. Pluton Kopcia z drugiej kompanii

„Parasola”, który tu stacjonuje od godziny, dostał rozkaz zbudowania barykady. Dowódca plutonu osobiście wchodzi do kilku podwórz i wzywa mężczyzn, aby pomogli. Potrzeba trzydziestu - czterdziestu mężczyzn.

Z łopatami i kilofami.

W dziesięć minut potem na rogu aż roi się od ludzi. Stu, dwustu...

Mężczyźni, kobiety, dzieci. Łopaty, kilofy, taczki, wiadra, tasaki kuchenne, siekiery. Nie pozwalają chłopcom w biało-czerwonych opaskach tknąć się roboty. - Wyście są od strzelania, barykady zrobimy sami. - W jakimś uniesieniu wrywają betonowe płyty chodnika, z siłą i rozmachem dwieście rąk chwytają stojący na szynach tramwaj, wali go na bok i wlecze ku wznoszonej barykadzie. Zapal dodaje drobnym, ludzkim istotom jakiejś mocy olbrzymów. Ciągną skądś ogromne bale. Znoszą

potężne, żelazne szyny. Drą swymi mizernymi narzędziami asfalt. Barykada rośnie w oczach.

Wtem charkotać i zgrzytać zaczyna głośnik szczekaczki wiszącej na rogu. I naraz -

znieawidzony, znany od lat głos:

- Każdy dom, z którego padną strzały, będzie zburzony... Wszyscy okazujący pomoc bandytom zostaną zniszczeni...

Ręce opadły i serca ściskają się w trwodze. Ludzie przerywają swą gorączkową pracę i jak zahipnotyzowani patrzą w otwór megafonu. A choć głos zamilkł, stoją wciąż nieruchomi, milczący. Już im się zdawało, że tamto wszystko przepadło na wieki...

- Proszę państwa - rozlega się świeży, donośny głos jakiegoś dwudziestoletniego młodzieńca w powstańczej opasce i z rozpylaczem przewieszonym przez ramię. - Proszę państwa, czy mógłby kto ofiarować dwie parasolki?

Co takiego? Parasolki?

Patrzą na powstańca i nie bardzo rozumieją, o co mu chodzi.

A gdy zrozumieli, zaczynają się uśmiechać. Kilku mężczyzn ostro dowcipkuje, jakaś paniusia skoczyła po parasolki i przynosi je. Niestety, damskie - z kolorowego jedwabiu, czarnych nie ma. - Dobra! - woła powstaniec; widać, że jest z tej kolorowości zadowolony. Otwiera obydwie i wtyka je na dwóch skrzydłach barykady. No, teraz wszystko w porządku.

Wiadomo, że tu jest barykada „Parasola”. Ludzie dowcipkują coraz głośniej i praca znów staje się żywa, energiczna. Tylko głęboko na dnie serca nurtują jeszcze resztki uczuć, rozbudzonych przez tamten, nienawiścią i zaciętością groźny głos megafonu. Teraz megafon, roztrzaskany kamieniami, szczyrzy swe bakelitowe resztki.

Zapadał zmrok. Przy barykadzie z parasolkami pusto. Robota już skończona.

Od czasu do czasu rozlegają się strzały i wzdłuż Żytnej pogwizdują niekiedy kule. Ludzie wołają nie wychylać się bez potrzeby z bram. Garbaty i Zbyszek przycupnęli przy jednym z końców barykady i obserwują przedpole.

Kropi deszcz. Chłopcy są w płaszczach.

- Słuchaj, Garbaty, zawsze mnie korciło, żeby spytać, czemu się tak nazwałeś? Przecież jesteś prosty jak zapalka.

- Eee, głupia historia. Inni mają przyzwoite pseudonimy, ale mnie się nie powiodło. Jak sformowano nas, przyszedł Kopec i powiada, żeby każdy podał pseudonim. Kilku namyślało się za długo, Kopec zdenerwował się i raz - dwa zadecydował: „Ty będziesz Garbaty, ty będziesz Góral, ty będziesz Wiśnia” - no i tak już zostało. Ten Kopec - to narwaniec. Ja ostatecznie przyzwyczailem się, ale Wiśnia do dziś czuje żal.

Szum motoru, na przedpolu wyłonił się motocykl z żandarmem. Garbaty i Zbyszek chwycili broń, sypnęły się strzały. Motocykl mignął i znikł za zakrętem.

Ktoś od tyłu, pod murem, zbliżał się do barykady. Wysoki, w ciemnoszarym płaszczu, z pręcikiem w dłoni - Dyrektor, Pług.

- Oszczędzać amunicji. Jeden strzał - jeden Niemiec. - A po chwili:

- Panie Garbaty, proszę sprowadzić dowódcę plutonu.

I do Kopcia, gdy ten przybiegł:

- Olla, panie Kopeć. Wolałbym mieć barykadę nie w poprzek Żytnej, lecz w poprzek Karolkowej. I coś bardziej solidnego, wedle wszelkich zasad sztuki, nie prowizorycznie jak ta. Po zbudowaniu proszę barykadę podminować. Pan rozumie? Ale tę tutaj barykadę proszę zostawić też.

Pług odszedł. Kopeć też zniknął. Obydwaj chłopcy znów zostali przy barykadzie sami. Mijały wolno minuty, dziesiątki minut. Leszmem i Wolską szły czasem czołgi. Na Okopowej przez dłuższy czas trwała gwałtowna strzelanina. Gdzieś w stronie Pawiej wybuchać zaczęły granaty. Chodnikami, pod murami domów, przemykali się ludzie. Deszcz nie przestawał

siąpić.

Robiło się coraz ciemniej.

Z bramy wyszedł powstaniec z karabinem na ramieniu i powoli zbliżał się do barykady.

Któryś z drużyny Andrzeja Wojnicza - pomyślał Garbaty. Nie znał tamtych dobrze.

Nadchodzący stanął przy dwóch skulonych w załomie barykady postaciach.

- Ależ tu nudy, rany boskie! Nic się nie dzieje. Idę coś zadziałać.

Gwizd kuli - strzał! I Garbaty, oniemiały z wrażenia, widzi, jak przybysz chwytą się za pierś.

Stoi chwilę nieruchomo i pada, zalewając krwią płaszcz Garbatego. Nawet nie krzyknął, jęknął tylko nieludzko.

Garbaty nie był nowicjuszem w walkach. Uczestniczył w ciężkiej akcji majowej na Stamma.

Ale ta pierwsza w jego oczach krew powstańca, krew przelana tak niespodzianie, tak dziwnie wywołała we wrażliwym nerwowcu stan bliski szoku: Garbaty czuł, jak krople potu występują mu na czole.

Giewont był wściekły. Ten powolny flegmatyk przejawiał stan swoich uczuć jedynie wzmożoną ruchliwością oczu. Ale właśnie te rozbiegane oczy w nieruchomej, krępej postaci robiły na grupce młodych ludzi niepokojące wrażenie.

Była już noc. Pierwsza noc powstania. Tu i ówdzie rozlegały się strzały lub wybuchy.

Zachodnią i północno-zachodnią część nieba rozświetlały łuny kilkudziesięciu pożarów. Nad Wolą? Nad Kołem? Giewont usiłuje określić miejsce pożarów po raz nie wiadomo który, wciskając się wraz z towarzyszami w załom muru, aby zejść z drogi zbliżającego się szybko pasma przyćmionych świateł samochodowych. Samochody przejechały, wychodzą więc na chodnik i tuż pod murami kamienic posuwają się jeden za drugim w kierunku łuny pożarowej.

Tylko Giewont ma właściwą broń, piękny pistolet walter. Reszta idzie niemal „na wariata”, mając głównie w chlebakach po jednej lub dwie sidolówki - granaty własnego wyrobu z puszek po proszku do czyszczenia, napełnionych materiałem wybuchowym.

Powstanie, z punktu widzenia Giewonta, rozpoczęło się o kilkadziesiąt godzin za wcześnie.

Nie zdążył opanować trzeciej kompanii „Zośki”.

Wprawdzie wyszkolonych ludzi ma pełne trzy plutony, ale cóż z tego, gdy prawie żadnej broni? Już mu robiono nadzieję, już go zapewniano o jakimś „spalonym” przed rokiem magazynie, którego Niemcy nie odkryli. Za późno.

Nie zdążył. Co za pech! Tylko część chłopców wyprawił do „Telefunkena” - pluton Michała i jedną drużynę z Pragi, lecz też w ogromnym pośpiechu i w ostatnich niemal godzinach - czy łączność nie skrewiła? Czy zebrali się wszyscy? A tamci inni siedzą w lokalach na Ochocie i Pradze. Czekaają.

Czekają! Wieczorem już nie mógł nawiązać z nimi kontaktu. Sterczał w Śródmieściu do północy oczekując na powrót łączników. Dłużej nie mógł.

Giewont sapie ze zdenerwowania i przyśpiesza kroku. Ma na sobie spodnie wojskowe i długie buty z własnego „mobu” ubraniowego. Od czasu jak obeszli gmach obsadzony przez znaczny oddział niemiecki, czuje się bezpieczniejszy.

Choć ostatecznie nigdy nic nie wiadomo. Czasem z głupiego okna najgłupszej czynszowej kamienicy potrafi jakiś drań strzelić w człowieka, jak na przykład na Szpitalnej.

- Giewont - mamrocze postać postępująca tuż za nim - Giewont, chyba jak na pierwszy raz wypadło nieźle, co?

Tamten znów swoje! Giewont chce już coś odburknąć. Na szczęście zapanowuje nad odruchem i milczy. Przecież to zupełnie młodziki, osiemnastolatki i pierwszy raz oglądali zwycięstwo. Nawet jego to szarpnęło za serce.

- Giewont - mamrocze dalej postać postępująca za nim - gdybyśmy o minutę zdążyli wcześniej, mielibyśmy broń, ale Śródmieście to zafajdańcy, wszystko tylko dla siebie.

Minuta! Czyż mógł z tą sekcją ludzi bez broni dołączyć się do czoła nacierających? Załoga niemiecka broniła się ostro. Mógł być tylko hieną, nie wilkiem. No i nie zdążył. Tamta szarańcza ze Śródmieścia wtargnęła pierwsza i jakiś beczelny porucznik groził ciągle strzelaniem do każdego,

któ tknie się ich zdobyczej broni, ich...

Idą w milczeniu, lecz po pewnym czasie zaczynają coraz uważniej nasłuchiwać. Słyszą dalekie, niewyraźne głosy, jakby rozmawiało ze sobą kilku ludzi. Dziwne to w tym nocnym mieście, w którym „rozmawia” głośno tylko broń. Ludzkie głosy narastają z każdą minutą.

Teraz słysząc już nawet kroki. Idzie ich chyba kilkudziesięciu. Sami mężczyźni. Polacy. Są tak podnieceni, że kroczą środkiem chodnika i rozmawiają głośno. O jakimś Franku i Bolku, o krwi, o ucieczce...

Gdy zauważyli sekcję Giewonta, uskoczyli w bok, usiłując wbiec w bramę.

- Panowie, my swoi - mówi Giewont.

Podeszli, przypatrując się Giewontowi i jego ludziom. Giewont usiłuje także rozszyfrować spotkanych.

- Gdzie to się pali? - pyta.

- Cholera wie, może Koło? A wy co za jedni? Powstańcy?

Grupa Giewonta milczy nieufnie.

- No, no, nie bądźcie takie głuchonieme - odzywa się inny z przybyłych. - Rodaki przecież jesteśmy i powstańcy, psiakość, też.

- Cóż to się z wami dzieje? - pyta Giewont. - Bo my rzeczywiście idziemy do swojej kompanii.

- Co się z nami dzieje? Wojowaliśmy, jasny gwint, i już po wojowaniu!

Teraz się wraca do mamy.

Wyciągnęli papierosy i dziwiąc się, że chłopcy Giewonta nie palą, zapalili sami.

- My, panie, atakowaliśmy Fort Wolski. Rozumie pan, fort! Mieliśmy zdobyć fort. I jak pan myśli, czym ten fort atakowaliśmy? Krzykiem, panie, i nogami!! Bo broni u nas tyle było, co kot napłakał. Niemcy wałą z karabinów, z cekaemów, z erkaemów, z jakichś armatek, a my: puk - puk tu, puk - puk tam i naprzód z gołymi rękami. Franek dostał na amen. Bolek odkitował też, i dalej!

- A co z fortem?

- Co ma być? Stoi jak stał. Niemcy w środku. Może wy byście zdobyli fort bez broni? Koniec, szabas! Jak będzie broń, wracamy do powstania, a na razie - do domu. I wam radzimy szczerze: każą szturmować bez broni, nie idźcie, bo marna wasza godzina.

Odeszli, pouczeni przez Giewonta, które miejsca trzeba omijać z daleka.

- No i co wy na to? - pyta Giewont swoich chłopców.

Są bardzo przejęci tym, co słyszeli, ale nie wiedzą, jak reagować na opowiadania rozbitków bezskutecznego ataku na Fort Wolski. Dopiero po dobrej chwili któryś odważył się wypowiedzieć swe zdanie:

- Cóż, broń z nieba nie spadnie, a te oddziały, które ją zdobędą, nam nie odstąpią. Musimy sami zdobyć broń.

- Tylko, Giewontku, nie zaczynajmy od zdobywania broni w fortach - żartuje któryś -  
wykombinuj na początek coś łatwiejszego.

Dalszą drogę odbyli bez przygód. Natomiast już w samym pobliżu „Telefunkena” trafili na dziwną sytuację: w kilku podwórzach koczowały jakieś milczące, pokurczone postacie dorosłych i dzieci. Dorośli drzemali siedząc na pakach, schodach, tobołkach, dzieci leżały na prowizorycznych posłaniach ułożonych z różnorodnych „betów” wprost na asfalcie.

Panowała przygnębiająca cisza, naruszana od czasu do czasu przez siąknięcie nosem, chlipnięcie, kaszel. Giewont i jego chłopcy zaczęli mimo woli stąpać ciszej, wymijając owe bramy, gdy przy którejś z rzędu natknęli się na grupkę powstańców w biało-czerwonych opaskach, niosących koce i kocioł z czymś dymiącym.

- Jaś, to ty?

- Giewont - ucieszył się Czarny Jaś - nareszcie! Aleś napędził nam niepokoju. Jerzy polecił mi na razie prowadzić dalej kompanię. Ryszard nie zjawił się.

- Ilu ich przyszło?

- No, nie tak wielu. Trzydziestu pięciu.

- Choroba sakramencka...

Opanował się jednak i znów do Jasia:

- A wy co tu robicie? Co to za ludzie?

- To z Koła. Straszne rzeczy. Niemcy wjechali tam późno wieczorem czołgami. Rozproszyli oddział powstańczy i urządzili okropną masakrę ludności. Podpalali domy, wyciągali ludzi z mieszkań i zabijali na ulicach.

Ci w bramach to uchodźcy z Koła. Przeżyli potworności. Organizuję jakąś pomoc dla nich.

Dopiero teraz Giewont zaczyna wyraźnie rozróżniać ubiory uchodźców, ich posłania, rysy twarzy. Wszystkie twarze, na które pada światło, mają jakąś żółtoszarą cerę. Tu i ówdzie widać biel świeżych bandaży. Nozdrza chwytają woń spalenizny.

- A te pożary?

- To Koło. Zdaje się także Bielany i Powązki. Bądź rad, Giewont, żeś tu nie był, gdy nadeszła pierwsza fala uchodźców z Koła. Rozpacz tych ludzi, zbiorowa rozpacz nieszczęścia, była nie do wytrzymania. Chwała Bogu, że zmęczenie ściągnęło na nich sen. No, ale dość gadania.

Irka, gdzie jest ta kobieta ze spalonymi włosami?

Gdy Giewont wchodził ze swoją sekcją na teren „Telefunkena”, niewiele już brakowało do świtu. Nikt tu jednak nie spał. Ruch panował ogromny. Kompanie wciąż jeszcze organizowały swe placówki. W salach zagospodarowywały się magazyny. Instalowała się służba łączności. Okna zabezpieczano workami z piaskiem. Elektryczność, kanalizacja i wodociągi funkcjonowały normalnie.

Nawet... telefon! Giewont stanął jak osłupiały, słysząc którąś z sanitariuszek zapewniającą przez telefon swoją matkę, że jest cała, zdrowa i świetnie się czuje.

Dziewczyna położyła słuchawkę na widelkach. Giewont stał chwilę niezdecydowany, wreszcie podszedł i nieufnie nakręcił numer. Po dobrej minucie usłyszał w słuchawce zaspany głos.

- Bogusław, to ty? O, chwała Bogu, cóżem się namartwił. Wszyscy zdrowi?

Wszyscy - świetnie. Że co? Chcą was zaangażować do pracy na Ochocie? No to jakże by było? Aaa, tak... Jeżeli nie będziecie w stanie dostać się do naszej fabryki, ale tylko pod tym warunkiem, no to przyjmujcie pracę w innej fabryce, trudno.

Czyż Giewont mógł przewidzieć, iż Bogusław, Iwo Rygiel, dowódca trzeciego plutonu jego kompanii, już w nadchodzącym dniu zakończy tragicznie na polach pęcickich, wraz ze swymi chłopcami, odwrót z Ochoty?

Powiesił słuchawkę i poszedł dalej salami. Wymijające go dziewczęta miały na sobie spodnie, niektóre poobcinały po męsku włosy. Podniecenie pierwszego dnia powstania odpędzało znużenie. Nawet ludzie przychodzący z placówek, choć niekiedy przemoczeni, bladzi z zimna i zmęczenia, nie kładli się spać. Tylko kapitan Jan w izbie dowództwa spał niezmaconym snem człowieka lubiącego ład w życiu. Jerzego nie było.

Po spędzeniu kilkunastu minut wśród swego plutonu Giewont przyszedł do izby dowództwa „Brody”. Sądził, że jego wiadomości są warte zakomunikowania kapitanowi Janowi.

- Panie kapitanie.

- No cóż tam?

- Gmach sądów na Lesznie zdobyty. I na wieżowcu Prudentiala wisi nasza flaga.

- Do licha! Czyż nie wie pan, że przyjemne wiadomości należy zostawiać do rana, a budzić tylko, gdy wiadomości są złe? Dobranoc.

Giewont był speszony, ale i rozczarowany reakcją kapitana.

Gdy starał się, naśladować kapitana Jana, usnąć, pod powiekami przesuwały mu się rozgorączkowane twarze rozbitków z Fortu Wolskiego, skulone w nieszczęściu postacie z Koła, wściekła twarz porucznika zabraniającego rozbijania „jego” Niemców i wreszcie falująca nad najwyższym gmachem stolicy wielka, piękna biało-czerwona flaga.

### III. CZŁGI

Ranek drugiego dnia powstania zastał żołnierzy „Zośki” i „Parasola” nie wypoczętych, wyziębłych i przemoczonych, lecz ostatecznie zorganizowanych i spragnionych aktywności.

W ich rejonie panował spokój. Tylko gdzieś daleko rozlegały się detonacje wybuchów i trzask broni maszynowej oraz kłębiły się dymy. Obydwa bataliony zajmowały duży szmat Woli i ci, co wracali teraz z placówek do „Telefunkena” i Domów Starców po nocnej służbie, twierdzili, że Niemców prawie nie widać. Chyba Wola jest cała w rękach powstańców, bo nasze auta jeżdżą ulicami, a ludzie też chodzą normalnie, środkiem chodników. Oczywiście - nie na całej Woli raj! Jeszcze jest kilka silnych gniazd oporu: bunkrami umocniony gmach na rogu Żelaznej i Chłodnej, Pawiak i pewnie sporo innych. Roboty w każdym razie na dziś starczy!

Roboty mieli tego dnia rzeczywiście bardzo dużo.

Budowanie barykad oraz kopanie rowów strzeleckich na trzech cmentarzach - kalwińskim, ewangelickim i żydowskim - posuwało się szybko. Pracowała przy nich ochotniczo ludność Woli. Chłopcy „Parasola” i „Zośki”, którzy pełnili służbę koło wznoszonych barykad, z podziwem obserwowali tempo roboty, jakie dyktowały łopaty, kilofy, kubły i taczki wolskie.

Częstowali się wzajemnie.

Łączniczki i sanitariuszki wspólnie z dziewczętami wolskimi, nie zważając na siąpiący deszcz, rozpałały niewielkie ogniska i coś tam pitrasily w kociołkach. Czuli się jedną polską gromadą. Dobrze im było razem pracować i pogadywać o różnych różnościach.

Maryna (sanitariuszka z kompanii Giewonta, która dopiero dziś dołączyła do kompanii) mówi o zdobyciu przez naszych elektrowni na Powiślu. A Maryna - córka Pani Janiny - mieszka na Dobrej, najlepiej więc o tym wie. Można już podobno chodzić przez całe miasto, tylko trzeba patrzeć bystro. Tam, gdzie nie ma barykad, Niemcy jeżdżą jeszcze autami i strzelają. No to wtedy - w bramę.

- A co na Pradze i na Ochocie? - pyta jakiś tramwajarz.

Nie wiedzą. Nikt nic nie słyszał ani o Pradze, ani o Ochocie. Ale słyszeli i wiedzą o wielu innych sprawach.

Że PPS organizuje milicję i że do tej milicji stoją ogonki. Każdy chciałby mieć karabin, ale z karabinami na razie krewa. No, ale nie ma dziś - będą jutro.

Że fabryki nie idą. Że Sowietci zajęli Wołomin, Zielonkę i Falenicę, bo teraz tyle się nie wiadomo



skąd poznajdywało aparatów radiowych, że można samemu i bez strachu słuchać komunikatów byle skąd: z Londynu, z Moskwy, każdy tam teraz po polsku gada.

Tylko te okropne opowiadania uchodźców z Koła i ściskający serce widok ich nędzy. I ci paniką ogarnięci powstańcy, którzy wczoraj wracali po nieudanym ataku na Fort Wolski...

Jedni chłopcy pełnią służbę na placówkach i czujkach wśród ruin po dawnym getcie oraz na cmentarzach. Inni likwidują drobne gniazda oporu, wykrywane tu i ówdzie w ich rejonach.

Ambicja obydwu batalionów szaroszeregowych zmierza ku temu, aby cały ich rejon Woli był na sto procent czysty.

Z daleka, jak już kilka razy od początku powstania, słychać narastający warkot motorów, połączony z charakterystycznym chrzęstem: czołgi. Nikt nie przerywa robót i zajęć. Zgadują tylko, jakimi ulicami przesuwa się kolumna czołgów. Zdaje się Wolską. Ale i od strony Kercelaka dolatuje podobny głos, i od dalekiej Powązkowskiej, i od pobliskiej Okopowej. Ale oto coś nowego: szum pełznących czołgów przerywa mocny wybuch, rozchodzący się echem po ulicach. Po nim - drugi, trzeci. To nie granaty ręczne, to coś poważniejszego. Działa?

Działka?

Po kilku minutach już wszyscy wiedzą: czołgi strzelają z dział. Od strony Wolskiej i Okopowej szybko nadchodzą ludzie. Niektórzy biegną.

Przechodnie i gapie znikają z uliczek, placów, ulic. Kryją się do bram i wyglądają ostrożnie.

Na Wolskiej i Chłodnej nawet tych ostrożnych nie widać: bramy są tu pozamykane, poryglowane, a jezdnie i chodniki wyglądałyby jak wymarłe, gdyby nie dwa czołgi w jednym miejscu ulicy i dwa inne w drugim. Czołgi przesuwiają się łomocąc o bruk. Ukryci za ich pancierzami czołgiści co pewien czas biją z dział w domy, w bramy. Czasem echa strzałów działowych dopełniają szybkie, seryjne trzaski ciężkich karabinów maszynowych, których lufy wyglądają z otworów pancerza czołgowego. Gdzie tylko zauważyć się da jakikolwiek ruch, tam natychmiast kierowany jest ogień. Niekiedy któryś z czołgów skręca ku upatrzonej bramie i zasypując ją gradem pocisków miazdzy taranem swego potwornego łba.

Za niektórymi czołgami widać czasem wielkie samochody wojskowe wypełnione żandarmerią, SS-manami, żołnierzami piechoty. Ich broń maszynowa nie milknie, skierowana lufami ku oknom wszystkich pięter, ku witrynom sklepów, ku bramom. Tu i ówdzie zeskakują z wozów. Wpadają w wywalone bramy, w podwórza, w klatki schodowe. Dzikie wrzaski, strzały i głosy przeraźliwej rozpaczki zlewają się wówczas w jeden niesamowity chór.

Irka nie miała na razie określonej roboty. Dowiedziała się, że trzy dziewczyny z „Dysku” wychodzą do Śródmieścia po kilkanaście pozostawionych w skrytce pistoletów. Uzyskała zezwolenie na przyłączenie się do nich.

Szybko przesunęły się pod murem cmentarnym ulicy Karolkowej, wymijając wznoszoną tu barykadę.

Przeskoczyły niebezpieczną Chłodną. Życzliwi gapie w bramach zapewnili, że czołgów nie widać. Zresztą ludzie w bramach wzdłuż całej trasy nie szczydzili rad, ostrzeżeń, informacji. W jednej z bram na Siennej poczęstowano je nawet kanapkami i cukierkami: jedząc patrzyła z podziwem na ustawione tu stoliki i piętrzące się na nich smaczności.

Najwidoczniej czołgi omijały dotąd tę ulicę.

Ledwo wychyliły się w Marszałkowską, musiały wpaść do bramy i przeczekać.

Znów szły czołgi. Skąd i gdzie szły - nie wiadomo. Energiczny komendant opl zaryglował bramę i zapędził wszystkich w korytarze klatek schodowych.

Dopiero gdy ucichł zupełnie łomot maszyn, bramę otworzono. Wprawdzie i teraz energiczny komendant chciał wstrzymać czwórkę dziewcząt od „skoku” przez niebezpieczną Marszałkowską, ale Irka ostro zażądała, aby przestano się nimi zajmować. Pochylone kolejno przebiegły jezdnię i chodniki Marszałkowskiej.

Pistolety w skrytce na Złotej znalazły w porządku. Przymocowały po jednym do pasków.

Resztę do chlebaka. Wzięły także do innych chlebaków kilka butelek z benzyną. Odpoczęły chwilę, zjadły obiad i w drogę powrotną. Do Chłodnej szły bez przeszkód. Tu zjawiły się w niedobry czas. Czołgi krążą częściej niż dotychczas. Chłodną i jej przecznice oblatują denerwujące wieści o wywalonych bramach i masakrach czynionych przez wpadającego w podwórze wroga. Omijając więc ulice cztery dziewczyny w opaskach powstańczych i z pistoletami u boku szły teraz przez podwórza.

Międzypodwórzowe mury i płoty przechodziły przez wybite w nich otwory lub za pomocą ustawionych tu drabin.

Doszły wreszcie do domu, którego fronton wychodził na Chłodną, i znalazły się od razu w atmosferze ogromnego podniecenia mężczyzn, kobiet i dzieci skupionych na podwórzu i w sieniach. Ludzie mówią półgłosem. Krótko i szybko. Twarze wyrażają strach. Nagle, gdzieś w pobliżu, jakby za bramą, rozlegają się gardłowe niemieckie pokrzykiwania, pada kilka strzałów i jakaś kobieta zaczyna zawodzić: - O Jezu, o Jezu... - Ale głos jej wnet pochłonięty zostaje przez warkot włączonego motoru i łomot przesuwającego się czołgu. Wybuch! I znów! O asfalt podwórza uderzają odłamki szkła wypadającego z okien, ludzie tłoczą się pośpiesznie i cicho, pogrążając się w półmrok wielkiej klatki schodowej. Podwórze i sień zaryglowanej bramy opustoszały.

Dziewczęta w opaskach wpadły wraz z innymi do wielkiego korytarza.

Oddychają szybko. I naraz - nerwowy szept, szept tak głośny, że wszyscy go słyszą.

- Nie mogłyście do innego domu? Koniecznie do nas?

Milczenie. A po chwili inny głos, przytłumiony głos mężczyzny:

- Niech no panienki zdejmą te opaski i te pukawki lepiej zdjąć ze siebie.

Radzę zakopać gdzieś.

Warkot motoru na chwilę milknie i rozpaczliwe zawodzenie kobiece - o Jezu, o Jezu - znów bije we wszystkie uszy. Strzał. Liczne strzały.

Dziewczęta stoją poblądłe i wśród wystraszonych ludzi - speszone. Ewa, komendantka wyprawy, kiwa wreszcie głową na koleżanki. wychodzą na podwórze.

- No, dziewczynki, melinujemy broń?

- Cóżes ty - obrusza się Renia. - A jak Niemcy znajdą, czyż ci sami ludzie nie ucierpią? A zresztą ledwo tę broń wzięliśmy do rąk i od razu wypuszczać?

Irka popiera Renię. Ona podobnie jak Renia nie ma zamiaru poddać się bez walki.

Renia czując poparcie zaczyna gorąco namawiać Ewę, aby weszły gdzieś na piętro, zajęły któreś z frontowych mieszkań i otworzyły na Niemców ogień.

Przecież mają butelki z benzyną, może udałoby się unieruchomić czołg?

Ewa jest jednak nieprzejednana. Rozkazała złożyć broń w ciemnym bocznym korytarzyku oficyny. Usłuchały, ale są złe. Renia i Irka proponują, aby w wypadku odkrycia broni któraś z nich, dla oszczędzenia mieszkańców domu, przyznała się do tej broni. Ewa kiwa głową na znak zgody.

Ale która? Każda chciałaby to wziąć na siebie. Ewa jednak znów przecina sprawę: - Do broni przyznam się ja, tylko ja, rozumiecie?

Spór przerywa wystraszony głos mężczyzny, który wybiegł z klatki schodowej frontu:

- Idą do naszej bramy!

Zamierają w bezruchu. Charkotliwe pokrzykiwania uliczne zbliżają się.

Mężczyzna odwraca się do ściany i przymyka oczy. Odgłos podkutych butów dochodzi do ich bramy i mija. Przeszli. Po minucie oddala się także warkot i łomot czołgu.

Jeszcze pięć - dziesięć minut. Na żądanie czterech młodych kobiet, które znów mają przy sobie broń, dozorca domu otwiera bramę i ostrożnie uchyla w niej szparę. Ludzie w bramie i podwórzu ochłonęli nieco i patrzą teraz na dziewczęta życzliwiej.

Irka wychyla głowę za załom bramy. Ulica Chłodna jest całkowicie pusta.

Wszystkie bramy pozamykane. W oknach żadnych twarzy.

- Dziewczynki, fruujemy - odzywa się uśmiechnięta Ewa, która już ma gruntownie dosyć tych

strachów. Biegnie pierwsza, skulona, na drugą stronę ulicy, ku niedużym domkom. Inne w odstępach za nią. Potem przez jakieś działki, ogrody. Wokół od czasu do czasu strzały. W

odosobnionym domku przeczekały nowy przejazd czołgów, które ostrzelały z dział sąsiedni budynek. I wreszcie - „Telefunken”.

Gdy podniecone meldowały kapitanowi Janowi swój powrót i pokazywały przyniesioną broń, ten uśmiechnął się z aprobatą. Ale nie potraktował ich wyczynu tak, jak by pragnęły. Ponadto, co odczuły jak cios, całą broń, także pistolety przy pasach, polecił oddać do magazynu broni.

Ich rozczarowanie sięgnęło dna, gdy w kilka minut potem porucznik Jerzy rozkazał udać się do kuchni i pomagać w krajaniu chleba na kolację!

Renia, krając nie kończące się bochenki ciemnego chleba i smarując je marmoladą, czuła, jak łyzy cisną się jej do oczu. Irka pracująca obok nie miała wprawdzie mgły we wzroku, ale szarpiącą ją wściekłość wyładowywała w tak ostrych pociągnięciach noża, że aż drzazgi leciały ze stolnicy.

W owym czasie gdy Irka, Renia i ich towarzyszkę niosły ze Śródmieścia pistolety, „Parasol” i „Rudy” stoczyły swą pierwszą walkę z czołgami.

Dwie Pantery wjechały dość ostro w Karolkową, napełniając ulicę szumem motorów, zgrzytem gąsienic i wypryskującymi z kamiennego bruku skrami.

Ulica opustoszała, a czołgi szły jej pustkowiec wprost na solidną barykadę „Parasola” zbudowaną w poprzek Karolkowej, przy rogu Żytniej. Barykada była podminowana.

Jeremi, usłyszawszy łomot czołgów, skoczył do okna Domu Starców, w którym kwaterował.

Wyjrzał ostrożnie i w lot chwycił sytuację.

- Wacek, na barykadę! Mirski, Bolec wzdłuż Karolkowej!

Wypadli z budynku i z zieleni ogrodu. Odbezpieczali w biegu granaty.

Czołgi zbliżały się. Wacek oparł łokcie o worki z piaskiem, ułożone przy otworze strzelniczym w barykadzie, i zbliżywszy kolbę erkaemu do policzka, nacisnął spust. Erkaem zadygotał mu w rękach, zamarł na kilka chwil i zadygotał znów strzałami. Pantery szły naprzód nie reagując na kule erkaemu. Wacek usiłował wypatrzeć wizjer pierwszego czołgu i gdy mu się zdawało, że ma go na muszce, nacisnął znów spust. I jeszcze raz.

Beznadziejne! Czołg zbliżał się, ogromniał. Huczał łomotem i potężnymi gąsienicami podchodził już pod barykadę. Ktoś spoza pleców Wacka cisnął w kierunku Pantery wiązkę granatów. Wybuch! Czołg sunie dalej. Czoło gąsienic już przy barykadzie...

W ostatniej niemal chwili Wacek odskoczył od otworu strzelniczego i pędem rzucił się ku bramie. Za nim jego ludzie. Dynamit! Barykada jest przecież podminowana!

Czołg już wznosił się na barykadę. Chwilę zwisał nad nią. Potem przewalił się na drugą stronę, miażdżąc pozostawiony erkaem.

Trotyl nie wybuchł.

Obydwa czołgi szły w zgrzytach i łomocie dalej Karolkową, mijając Domy Starców i następne budynki ulicy. Jeremi, Mirski, Bolec i kilkunastu innych czekało już przy oknach lub biegło ku dalszym budynkom. W dłoniach mieli granaty, butelki z benzyną, sidolówki. Gdy czołgi podchodziły na wysokość pierwszego domu, powstańcy gwałtownym pchnięciem otworzyli okna, aż szyby prysnęły na ulicę. Musieli odczekać przycupnięcia pod parapetem, by umilkł karabin maszynowy; prażący w ich otwarte okna. Teraz! Wychylili ręce, cisnęli butelki, i jeszcze raz! W resztkach szyby półuchylonego okna Jeremi widział jak w lustrze, że pierwszy czołg gładko przechodzi pod domem i sunie dalej. Za nim - drugi.

- Butelki i granaty razem! - krzyczy Jeremi.

Rzuca teraz jednocześnie dziesięć rąk. Ale rzuca niecelnie. Przekłęte pchnięcie okien zwróciło uwagę Niemców i co chwila tynk odpryskuje od ścian i sufitów, smaganych pociskami czołgów. Gdy wreszcie uderza w balkon pocisk armatni, Jeremi przerywa niecelową walkę i nakazuje Mirskiemu i Bolcowi pościg spoza następnych domów. Pobiegli. Od czasu do czasu

- wykorzystując dogodniejsze położenie - ciskają butelki i granaty. Bez skutku.

Czołgi jadą dalej Karolkową. Czołgiści, zaatakowani przez „Parasol”, są czujni i nie rozpraszają uwagi na byle jakie bramy i domy. Tam, w jednej z bram fabrycznych, widać biało-czerwoną flagę. W taką bramę trzeba walnąć.

Jest to „Telefunken”. W dymniku nad stróżówką fabryki siedzi dwuosobowa czujka. Czujka słyszała z daleka, co się działo przy barykadzie „Parasola”.

Jest przygotowana na przyjęcie. Ułożyli pod ręką granaty i plastyk.

Czekają. Pierwszy czołg podjechał zupełnie blisko, rzucają raz i drugi, i trzeci. Wybuchy.

Czołgista pierwszej Pantery jakby waha się przez chwilę, ale rozsądek zwycięża, naciska więc mocniej pedał i zaniechawszy zamiaru atakowania bramy, jedzie szybko dalej. Drugi czołg za nim. Tym razem wyszli bez szwanku. Broń powstańców wydaje się wobec czołgów prawdziwie dziecinna.

Ale nieco dalej czeka już za murem cmentarza „Zośka”, czeka kilkoma dziesiątkami rąk uzbrojonych w butelki z benzyną, w granaty, w wiązki granatów. Ci mieli nieco czasu, aby przygotować się do walki. Słyszeli, co się działo przy dalekiej barykadzie i koło bramy. Jest tu Blondyn i Andrzej Morro.

Blondyn nadbiegł właśnie zdyszany. Osobiście obejmuje dowództwo nad obsługą piata i zgrupowaną przy nim sekcją „Maćka”. Ulokowali się pośpiesznie przy bramie cmentarza, nastawiając lufę w kierunku zbliżających się czołgów.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Spoza muru cmentarza zaczęto rzucać granaty. Bez skutku. Ktoś krzyknął: - Piat, piat! - Blondyn, usiłując zachować spokój, skontrolował

ostatnie ruchy Fieda i Kędzierskiego. - Już!

Strzał. Jeszcze!

A potem - radosny wrzask z muru:

- Trafiony, trafiony!! W tył wieży!

Blondyn, Fied, Kędzierski zrywają się w podnieceniu i widzą, jak ugodzony pociskiem piata czołg zsuwa się po niewielkim nasypie i całą swą masą wali w mały domek stojący poniżej jezdni.

Tymczasem drugi czołg usiłuje przemknąć się obok muru cmentarnego, za którym znajdowały się „Alki”. Chłopcy nie widzieli ruchów czołgu, ale obserwator spłaszczony na murze wskazuje ruchami dłoni jego położenie. W ostatniej chwili nadbiega z wiązką granatów w ręku Kołczan.

- Tylko żadnej partyzantki, chłopcy - woła do „Alków” Andrzej Morro.- Słuchać moich rozkazów.

- Czołg sto metrów... Pięćdziesiąt metrów - obwieszcza obserwator.- Trzydzieści metrów...

Piętnaście.

- Spokojnie, panowie, spokojnie - cedzi słowa Andrzej.

- Czołg koło nas!

- Już!!

Kołczan ciska przez mur całą wiązkę granatów trzonkowych. A każdy inny - swoje.

Zakołysała się ziemia.

Czołg jest wystraszony. Jego karabiny maszynowe nie wiedzą, gdzie kierować lufy. Na kamiennym bruku płonie benzyna i gęsty, czarny dym kłębi się dookoła czołgu. Ten skręca gwałtownie w bok, wpada na żelazny słup i nieruchomieje na torach tramwajowych.

- Dość butelek i granatów - krzyczy Andrzej. - Dość butelek, słyszysz?! - szarpie kogoś za ramię. Innego odtrąca od okna. - Kołczan, na ulicę!

Maryśka, erkaem do bramy, trzymać Panterę na muszce! Długi - podwórzem od tyłu, odciąć odwrót Pantery. Żywcem!!

Zrozumieli. Działają szybko, sprawnie, karnie.

Pantera wciąż stoi nieruchomo. Ponad murem i w bramie ukazują się ostrożne głowy i lufy.

Wówczas z otworu wieżyczki wysuwa się dłoń powiewająca białawą szmatą.

Niemieccy czołgiści z drugiej Pantery zostają przyprowadzeni do Andrzeja Morro. Ten pyta:

- Który z was jest kierowcą?

- Ich, Herr Kommandant- odpowiada Niemiec, wyczuwając dowódcę w tym wysokim, spokojnym blondynie.

- Wracaj do czołgu i staraj się go uruchomić. Bonawentura, leć po Wacława!

Gdy po pewnym czasie pierwszy zdobyczny czołg zajechał chrzęszcząc gaśnienicami przed

„Telefunkena”, otacza go tłum młodych ludzi w opaskach.

Tłum rośnie z każdą minutą. Teraz jest ich chyba ponad setkę. Śmieją się, coś pokrzykują, klaszczą nawet. Ktoś zaczyna śpiewać: „Hej, chłopcy” i wszyscy podchwytyją ulubioną piosenkę.

Piotr Pomian stoi obok kapitana Jana. Obydwaj obserwują uniesienie panujące dookoła. Piotr dostrzega w twarzy kapitana wyraz niezadowolenia.

- Z głupiego czołgu cieszą się jak z wygranej bitwy.

- Panie kapitanie, to przecież ich pierwszy czołg. I po tylu latach upokorzeń tak są spragnieni zwycięstwa.

Przygoda z dwiema Panterami miała następnego dnia swoje dopełnienie, które rozegrało się na placówce plutonu „Sad”. Placówka zajmowała domek pana Klimka przy ulicy Sołtyka, koło wylotu tej ulicy w Młynarską. Służbę objęła właśnie drużyna dowodząca przez Bonawenturę. Czujka leżąca w dole za domem zaalarmowała: ulicą Młynarską zbliża się ku nim kolumna samochodów ciężarowych. Bonawentura krzyknął kilka słów rozkazu i zgarbiony popędził do czujki. Pięć czy sześć wozów ciężarowych, prowadzonych przez osobowego Peugeota, posuwało się bardzo wolno, może dziesięć km na godzinę, zmierzając Młynarską ku ulicy Leszno.

Bonawentura w zdumieniu i podnieceniu obserwował kolumnę jadącą wprost na nich, jadącą ostrożnie, jakby w obawie przed minami, lecz bez należytego ubezpieczenia. W miarę zbliżania się Peugeota pulsy na skroniach Bonawentury były coraz mocniej. Teraz Peugeot jest na wprost, Bonawentura odbezpiecza granat. Jeszcze parę sekund. Twarz prowadzącego oficera niemieckiego jest z tej dwudziestometrowej odległości widoczna w każdym szczególe.

Już! Wrzask komendy - natychmiastowy ogień wszelkiej broni.

Bonawentura zrywa się i pędząc przez zielen kartofliska ku jezdni, z rozmachem rzuca granat.

Wybuch! Maski Peugeota staje w ogniu! Naprzód, naprzód!

Konwój niemiecki bronił się słabo. Część uciekła. Sześciu żołnierzy i oficera wziął do niewoli

Nowina. A w wozach znalazły się skarby: moc amunicji, kilka karabinów maszynowych, dużo karabinów i pistoletów oraz stosy paczek z jedzeniem i bielizną. Bitwa była dla strony polskiej prawie bezkrwawa, jedyną ranę odniósł Bonawentura. Znów w rękę.

Gdy Nowina prowadził jeńców do dowództwa zgrupowania, któryś z powstańców, podniecony tym widokiem i może wspomnieniem osobistej ciężkiej krzywdy, podbiegł do Niemca i klnąc uderzył oficera, po czym wyszarpywać począł z kabury pistolet. Bonawentura, jakby tknięty prądem, rzucił się ku jeńcom i wymachując skrwawionym ramieniem, wrzeszczał:

- Opuść broń! Opuść broń, durniu! Czy nie widzisz, że to jeniec? My ciebie pod sąd wojenny...

- Czego kolega tak się rozwrzeszczał? Jest o co!

Powstaniec opuścił wprawdzie visa, lecz patrzył twardo na Bonawenturę.

Jego koledzy, którzy zbliżyli się do miejsca awantury, zaczęli głośno domagać się rozstrzelania Niemców. - Znęcali się nad nami pięć lat.

Nowina zdjął z ramienia pistolet maszynowy i stanął koło Bonawentury.

- Koledzy, odejdźcie stąd. To są nasi jeńcy. Sam ich wzięłem. Dałem im słowo honoru, że nic złego z nimi nie będzie.

Nowina mówił to spokojnym, życzliwym głosem, lecz równocześnie odbezpieczył trzymany w rękach „rozpylacz”. Nadbiegli inni chłopcy „Sadu”.

Powstaniec, który uderzył jeńca, splunął i schował do kabury broń. Oficer niemiecki odetchnął głośno. Nowina uśmiechnął się i rozkazał jeńcom maszerować. Rumieńce wracały na twarz Bonawentury, oczyma szukał Marty, która przed minutą zaczynała mu bandażować rękę. Był zły na siebie: wstydził się swego wrzasku i przekleństw. Z zazdrością myślał o zachowaniu Nowiny.

Napływające wiadomości pozwalały przypuszczać, że okupant skierował na ulice Warszawy około stu czołgów. Był to pierwszy krok wroga zmierzający do uchwycenia w ręce kontroli nad miastem, do zahamowania powstania, do zastraszenia ludzi. Ale wszystko wskazywało na to, że rachuby zawiodły. Być może puszczenie na ulice samych czołgów bez towarzyszącej im piechoty było nierozsądne. Lecz nade wszystko dowództwo niemieckie źle oceniło żołnierza powstańczego i jego broń; czyż mogło zresztą przewidzieć, czym stać się może butelka z benzyną w rękach tych ludzi?

Opowieść nasza nie jest relacją szczegółową. Trzeba więc tylko na sposób buchalteryjny podać, że „Parasol” nie miał zamiaru pozostawać w tyle za „Zośką” i wobec tego wnet wypisał na swym koncie jednego „wykończonego”

Tygrysa i jedną Panterę. A wiadomości publikowane w prasie powstańczej świadczyły, że bataliony szaroszeregowe to tylko drobna część walki z czołgami. Już w drugim i trzecim dniu powstania wiele dziesiątków niszczonej Panter i Tygrysów cieszyło wzrok mieszkańców Śródmieścia, Starówki, Woli, Żoliborza, Mokotowa, Powiśla. W rejonie zaś zgrupowania Radosława - tuż w sąsiedztwie pozycji „Zośki” schwytano żywcem drugą Panterę.



W owym to czasie rozeszła się błyskawicznie po Warszawie wspaniała „bujda” o plutonie powstańczym ulokowanym na placu Zamkowym i czuwającym przy barykadzie zbudowanej koło Zamku. Podobno gdy pluton dostrzegł trzy czołgi wolno toczące się pod górę od mostu Kierbedzia, powstańcy puścili w nie kilkanaście wielkich beczek naładowanych kiszoną kapustą! Beczki podskakując toczyły się po stromiźnie Nowego Zjazdu, jedna tu, druga tam, niektóre wprost na czołgi. Czołgiści, zaskoczeni niepojętą dla nich sytuacją, zahamowali i po krótkim wahaniu, podejrzewając ukryte niebezpieczeństwo, zawrócili ku Pradze. Powstańcy na barykadzie, z której puszczone beczki, podobno wylili z uciechy. Gdy nazajutrz prasa podała tę historyjkę jako fakt, w całej powstańczej Warszawie jak długa i szeroka rozległ się potężny śmiech.

Ale - do „Zośki”! Mimo że wiele oddziałów powstańczych miało „na rozkładzie” wrogie czołgi, to jednak „Zośka” potrafił zdobyć kilka z nich w stanie nadającym się do użytku. Myśl była nie tyle sportowa, co praktyczna.

Grupy Szturmowe w czasie okupacji prowadziły szkolenie motoryzacyjne. W „Zośce” sporo było mechaników i kierowców, wobec czego postanowiono uformować... pluton pancerny!

I oto na Woli sensacja. Trzeciego czy czwartego dnia powstania pojawiają się na jej ulicach czołgi powstańcze. Tym różne od niemieckich, że zdobi je wielki znak lilii harcerek, wymalowany na bokach oraz monogram Grup Szturmowych: duża litera „G” z przecinającą ją błyskawicą w kształcie ostrej litery „S”. Czołgi niekiedy wspierają natarcia. Niekiedy -

gdyż mają bardzo mało amunicji. Ale za to jakież entuzjazm wzbudzają wśród młodych żołnierzy i wśród ludności, gdziekolwiek się pokażą. Czołgiści powstańczy mają na sobie czarne mundury czołgistów niemieckich (nie pytajmy skąd i jak zdobyte), tyle że na ich ramionach barwią się białoczerwone opaski, a na beretach błyszczą orzełki.

Prócz czołgów pojawiają się na Woli coraz liczniejsze samochody ciężarowe i osobowe oraz sanitarki, motocykle, również ze znakami lilii i monogramem GS. To wszystko zdobyczne, skupione w taborze samochodowym przy „Telefunkenie”. „Gazują” jak zwariowane ulicami rejonu obsadzonego przez zgrupowanie Radosława.

Zazdrość, jaką odczuwała nie umundurowana masa żołnierska „Zośki” wobec umundurowanych pancerniaków, trwała krótko. Któryś z oddziałów zajął na boczniczy przed Stawkami pociąg „Waffen SS”, w którym znaleziono tysiące mundurów, a między innymi także mnóstwo ochronnych bluz i cel. W kilkanaście godzin później „Zośka”, „Parasol” oraz inne oddziały zgrupowania Radosława zostały umundurowane. Chłopcy i dziewczęta otrzymali dobre buty, spodnie, a nade wszystko ciemnozielone bluzy w brązowe i żółte plamy oraz czapeczki z tegoż materiału. „Nakrapiane” bluzy z miejsca zaczęto nazywać panterkami.

Czapeczki nakładali tylko ci, którzy nie mieli hełmów. Hełmy zresztą też okryte były

„nakrapianymi” pokrowcami. Dziewczęta również otrzymały czapeczki i orzekły jednogłośnie, że są one bardzo twarzowe.

Chłopcy „Parasola” przyszywać sobie zaczęli do panterek oznakę w postaci czerwonej parasolki.

Byli szczęśliwi. Wyglądali w tych panterkach ładnie i bojowo. Mieli mimo wszystko więcej broni niż jakikolwiek inny oddział powstańczy. Deszcze przestały padać i rozpoczął się okres pięknej, sierpniowej pogody. Ataki czołgów niemieckich w części poskromiono, a co ważniejsze - zdarto z nich nimb grozy. Lotnictwo niemieckie gdzieś się od dawna zapodziało.

Artyleria grała niezbyt dokuczliwie. Coraz więcej ludzi spacerowało ulicami, uśmiechając się do żółtawych samochodów z furczącymi chorągiewkami, pełnych żołnierzy w panterkach. No i to poczucie spełnionego obowiązku: każdy wykonuje jakiś rozkaz, każdy gdzieś śpieszy, każdy pełni jakąś potrzebną dla powstania funkcję. Robotnicza Wola w tych dniach słońca i powstańczego ruchu była piękna w swym ożywieniu, w swej nadziei i jedności narodowej.

Jakże serdeczni byli tu w stosunku do powstańców wszyscy ludzie.

Wprawdzie chłopcy „Zośki” i „Parasola” już wiedzieli, że na Pradze powstanie zostało zduszone w zarodku, orientowali się także, że przedostawanie się z Woli do Śródmieścia staje się coraz trudniejszym wyczynem, widzieli również tu i ówdzie na niebie gęste dymy, ale tamte wszystkie sprawy zdawały się jakieś odległe i mniej ważne. Wiadomości dobre były dostępnejsze dla ich dusz i opowiadanie kolporterek prasy o tym, że w Śródmieściu ulica Kopernika cała tonie w biało-czerwonych flagach zwisających ze wszystkich niemal okien, albo że Dworzec Pocztowy ponad torami kolejowymi linii średnicowej został zdobyty - takie właśnie wiadomości chłonęli wszyscy.

W owym to czasie zwycięskich walk z czołgami i radości, jaką dawało poczucie wyzwolenia z nienawistnej okupacji, pieśniarz „Parasola”, Ziutek, skomponował pod dachami pałacyku Michła (Wolska 12), gdzie stacjonowała jego drużyna, piosenkę, która jakże wiernie odzwierciedlała nastroje większości powstańczej młodzieży: Pałacyk Michła, Żytnia - Wola

Bronią jej chłopcy od „Parasola”.

Choć na Tygrysy mają visy,

To warszawiaki fajne urwisy są.

Czuwaj, wiara, i wyteżaj słuch,

Pręż swój młody duch, pracując za dwóch,

Czuwaj, wiara, i wyteżaj słuch.

Pręż swój młody duch jak stal.

Każdy chłopaczek chce być ranny.

Sanitariuszki - to śliczne panny,

Więc gdy cię trafi kula jaka,

Poprosisz pannę, da ci buziaka, hej!

Czuwaj, wiara...

Z tyłu za linią dekowniki,

Intendentura, różne umrzyki

Gotują zupę, czarną kawę,

Takim sposobem walczą za sprawę.

Czuwaj, wiara...

Autor piosenki był nie tylko pieśniarzem. Był także strzelcem wyborowym.

Wyszukał dogodne okno wysokiego piętra z wglądem w teren nieprzyjacielski.

W oknie zawiesił zasłonę z części damskiej garderoby (bardzo już sfatygowanej) i nazwawszy to stanowisko „barykadą pod majtkami babci” - polował stąd na pojedynczych Niemców. Z „barykady” Ziutka kpiono we wszystkich plutonach „Parasola”.

Pierwsze dni powstania „Parasol” wykorzystał na ostateczne uformowanie swych trzech kompanii. Broni z okresu dywersji mieli sporo, a ponadto Pług z całą bezwzględnością zagarnął broń pierwszego zrzutu samolotów alianckich na Woli. Ochotników zgłaszało się więcej, niż byli w stanie przyjąć.

Wybierano przede wszystkim ludzi, którzy zetknęli się z wojskiem i bronią.

Wkrótce stanowili już nieźle zorganizowaną całość, liczącą około czterystu ludzi.

Początki powstania były dla wielu przygodą, niekiedy mającą zabawny happy end. Oto na przykład Kier i Krótki pełnią służbę na placówce koło cmentarza ewangelickiego. Z płyt grobowych urządzili „prawdziwy” bunkier. Dzień jest piękny. Strzelanina niebliska. Skąd zdobyli tłustawą gęś - nie wiadomo i nie wydaje się konieczne dociekanie tej sprawy. Patefon i płyty wypożyczyli od młodej żony administratora cmentarza. Oskubawszy ptaka Krótki i Kier rozpalają ognisko i zaczynają próbować indiańskich sposobów smażenia.

Patefon gra taneczne melodie, gęś skwierczy, słońko świeci. Naraz od Młynarskiej pojawia się czołg i sunie powoli w ich kierunku. Dwaj kucharze uciszyli patefon, ukryli się w

„bunkrze” i chcą przeczekać niemiłe chwile, ale czy to ognisko przyciągnęło wzrok czołgistów, czy zaintrygował ich dziwny schron, dość że walnęli z działka w tamtą stronę i fontanna piasku wytrysnęła o kilkadziesiąt kroków od „bunkra”. Kucharze nie namyślali się długo, wyskoczyli ze swego schronu i pędem rzucili się za najbliższe groby, umykali jednak nie z pustymi rękami: jeden unosił patefon, drugi trzymał mocno za nogę parzącą go gęś. Gdy skryci w zieleni wysunęli głowy spoza chroniącego ich grobu, zobaczyli, jak od kolejnego pocisku armaty czołgowej rozlatuje się w

drobne kawałki ich „bunkier”.

W owych początkach zdarzały się dość często niewielkie, lecz olśniewające powodzenia. Na przykład dwuosobowy patrol, Kopeć z Wieśkiem, spostrzegł w opłotkach koło placu Długosza dwie drużyny nieprzyjacielskie, posuwające się ostrożnie w ich kierunku. Dopuścili Niemców na fantastycznie bliską odległość - 10 - 15 metrów i dopiero wtedy nacisnęli języki spustowe swych pistoletów maszynowych. Czy trzeba podawać wyniki?

Nieraz także zabłysła wówczas romantyka żołnierska w stylu dawnych historycznych powieści. Kiedy w pierwszym natarciu na linię nieprzyjacielską Jeremi rozkazał: - Zastępca, do tyłu! - usłyszał zaskakującą jak na wojsko odpowiedź: - Wypchaj się! - i zastępca biegł

dalej na czele plutonu, przypadając od czasu do czasu ku ziemi.

Skoro mowa o romantyce, niechże wiadome się stanie, iż objęła ona w tych paru pierwszych dniach powstania także najbardziej prywatne życie Jeremiego.

Jasia, łączniczka dowództwa „Parasola”, miała osiemnaście lat. Jej żywiołowa wesołość, dowcip i promieniująca kobiecość sprawiły, iż przyciągała ku sobie spojrzenia dziewcząt i chłopców. Najbardziej uderzającym rysem jej twarzy były wielkie szaroniebieskie oczy.

Najcharakterystyczniejszym sposobem postępowania - życzliwy, uczynny stosunek do ludzi.

Nie miała w sobie nic z zaborczości i ostrości, a jeśli na jasnych włosach nosiła w sposób zawadiacki czapeczkę powstańczą, było to przejawem dziewczęcej kokieterii, a nie nonszalancji.

W tym wszystkim pewną niespodziankę stanowił fakt, że Jasia bardzo żywo interesowała się zagadnieniami narodowymi. Przy tym interesowała się w sposób inteligentny: sporo czytała i zapamiętywała, umiała odróżnić fakty bardziej podstawowe od mniej istotnych. Rzeczy przeczytane lub zasłyszane potrafiła streścić ściśle. Jeremi kiedyś powiedział żartując, że przy całej swej kobiecości posiada inteligencję męską.

Właśnie - Jeremi...

To była z dawna ukryta radość i ukryta troska Jasi. Miłość „od pierwszego wejrzenia”, jak w poezji? Jasia strząsała z siebie tę myśl. Miłość? Raczej koleżeństwo, raczej przyjaźń. Ale czy może być „koleżeństwo od pierwszego wejrzenia” lub „przyjaźń od pierwszego wejrzenia”?

Nie była tego pewna.

Fakty zaś miały przebieg następujący:

Poznali się na zebraniach samokształceniowych Petu. Wstąpienie do tego konspiracyjnego zespołu młodzieży licealnej było pierwszym samodzielnym, pozarodzinnym i pozaszkolnym, krokiem wychuchanej córki generała, przebywającego w dalekiej Anglii. Od razu na pierwszym zebraniu usłyszała referat „starszego” żoliborskiej grupy, kolegi Jeremiego.

Prawdę mówiąc, był to pierwszy młody człowiek, którego zauważyła. I to jak zauważyła! Nie mogła oderwać swych wielkich oczu od tej smukłej sylwetki, od bujnych włosów gładzonych co pewien czas porządkującym ruchem dłoni, od energicznego zarysu warg, brody, szczupłego nosa. A treść referatu?

Wprawdzie Jasia po raz pierwszy słyszała rozważania o charakterze narodowym Polaków, ale czyż nie odczuła od razu, że właśnie ten temat jest tematem najdonioślejszym, który musi jak najszybciej i gruntownie opanować. Czy to miłość? Chyba nie. Raczej objawione nagle poczucie głębokiego koleżeństwa.

Właśnie od pierwszego wejrzenia!

Gdy Jeremi zainicjował w swej żoliborskiej grupie akcję małego sabotażu, dla Jasi stało się jasne, że jej udział w małym sabotażu jest tym, o czym od dawna skrycie marzyła. Podobnie gdy Jeremi z Petem włączył się w Szare Szeregi i podobnie gdy rozpoczął akcje dywersyjne...

A kiedy ostatniej wiosny zwierzył się jej z marzeń o spadochroniarstwie i usłyszała po raz pierwszy intrygujący kryptonim: „Parasol”, przystąpiła niezwłocznie do gromadzenia literatury lotniczej w trzech znanych sobie językach. Pomyślała co prawda w porywie samokrytycyzmu, że gdyby Jeremi raz pewnego zainteresował się malarstwem, przystąpiłaby niezwłocznie do uczenia się historii malarstwa, ale czy miała przez to uważać się za głupią gęś i wpadać w irytację?

Było tak miło interesować się tym wszystkim, czym żył Jeremi.

Niestety, owe zainteresowania z biegiem czasu stawały się coraz bardziej jednostronne.

Młody człowiek awansował szybko w służbie szaroszeregowej i dywersyjnej. Na jego głowę zwała się masa zadań i coraz szerszych poczynań organizacyjnych. Na życie osobiste zaczynało brakować czasu. Czasu brakowało Jeremiemu nie tylko na niefrasobliwy spacer czy towarzyską rozmowę. Nawet na myślenie o sprawach prywatnych.

Cóż mogła uczynić więcej Jasia, niż postarać się, w sposób dla siebie samej jakby nieświadomiony, o przydział na stanowisko łączniczki dowództwa „Parasola”, aby jej związek z Jeremim otrzymał stałą, codzienną pożywkę w postaci konkretnych prac.

Więc jak to ostatecznie było z nimi? Miłość czy koleżeństwo? Gdybyż Jeremi chciał

dopomóc Jasi w wyjaśnieniu tej niepewności. Ale Jeremi, zabiegany, zaferowany, zaniedbany, pochłonięty przez walkę i obowiązki dowódcy, z sercem wiernym swym męskim przyjaźniom, Bronkowi Lotowi, Rafałowi, traktował serdeczne oddanie Jasi jako coś naturalnego, zrozumiałego samo przez się. Była towarzyszem. Z biegiem czasu nawet przyjacielem, wobec którego chętniej i szerzej niż przed Rafałem czy Andrzejem Morro zwierzał się ze swych najskrytszych myśli i pragnień i którego wierności oraz oddania był

pewien bardziej niż kogokolwiek.

Nie wiadomo, jak długo trwałaby ta - miłość? przyjaźń?, gdyby nie oszołamiające pierwsze dni

powstania, kiedy wiele dziewcząt i chłopców ogarnęły uczucia bliskie egzaltacji. Tak właśnie stało się z Jasią.

Zabiegana w nieprzerwanej służbie, w służbie jawnej, w mundurze, w czapeczce żołnierskiej żyła jak w uniesieniu. Drobne osiągnięcia przeżywała jak tryumfy, a poważnych nawet kłopotów nie dostrzegała.

I gdy wieczorem drugiego dnia powstania Jeremi wpadł na kwaterę z jakąś radosną wiadomością, Jasia zapomniała o świecie całym. Byli wówczas w izbie dowództwa tylko we dwoje. Dziewczyna wyciągnęła ramiona, objęła młodego człowieka i przytuliwszy się doń zaczęła... płakać. Jeremi był oszołomiony: zawsze pogodna Jasia - płacząca? Musiało się stać coś niezwykłego.

Przygarnął do siebie dziewczynę i począł głaskać jej włosy. A gdy zrozumiał, że płacz Jasi jest radością, jest współradością z nim, gdy wyczuł, jak drży w jego ramionach, i gdy, zdumiony, zaskoczony, zażenowany, szczęśliwy, odczuł nagle do tego dziewczęcego towarzysza tkliwą czułość, a zarazem poryw płomiennego żaru - zrozumiał.

Czy trudno sobie wyobrazić, co w tym czasie uniesienia pierwszych powstańczych dni odczuwali chłopcy organizującej się trzeciej kompanii „Zośki”, kompanii z niewielką ilością broni, a więc skazanej na służbę osłonową - na obronę przeciwpancerną i przeciwpożarową oraz przebijanie przejść w murach. Od kucia otworów w murach dłonie pokrywały się bąblami, a serca opanowywało coraz większe rozgoryczenie.

Giewont ze skóry wyłaził w poszukiwaniu uzbrojenia - na próżno. Gdy bliski rozpaczy przeklinał dowódcę batalionu i wszelkie powstańcze sztaby, wyciągnął doń rękę Andrzej Morro, jedyny - jak osądził Giewont - dowódca o sercu i umyśle obejmującym krąg szerszy niż dowodzony przezeń oddział.

- Upatrz sobie, Giewont, jakąś akcję na zdobycie broni, a ja ci na tę akcję pożyczę broń „Rudego”.

Giewont wyściskał Andrzeja i w kilkanaście godzin potem stały w szeregach naprzeciwko siebie dobrze uzbrojony pluton Kuby - „Felek” - i pozbawiony broni długiej oraz maszynowej pluton Michała. Gdy „Felki” dowiedziały się, że mają oddać swą broń na pewien czas w ręce ludzi trzeciej kompanii, oburzenie ich nie miało granic. Anoda, cisnąwszy o ziemię swą ułańską czapkę, klął jak nigdy dotąd. Kuba pokazywał minę bardziej niż ponurą.

Andrzej Morro był jednak niezłomny.

Gdy broń zaczęła wreszcie przechodzić w wyciągnięte zachłannie ręce, załamał się wojskowy porządek i głowa przy głowie porozumiewali się teraz dający i odbierający. Jedni z troską informując o sekretach oddawanych „maszyn”, wstydliwie zalecali staranną nad nimi opiekę.

Drudzy - niecierpliwie i bystro oglądali otrzymywane skarby, denerwując się zwlekaniem odmarszu.

Tegoż popołudnia żołnierze trzeciej kompanii, idący po raz pierwszy do walki, zostali użyci do przeciwnatarcia na większy oddział nieprzyjacielski, atakujący od strony cmentarza powązkowskiego.

Przeciwnatarciem dowodził osobiście Giewont, a uderzenie było tak ostre, że gdy nieprzyjaciel załamał się i począł uchodzić, ludzie Giewonta pędzili za nim bez opamiętania, pozostawiając za sobą zabitych i rannych Niemców.

Zatrzymani wreszcie w tym pościgu gwałtownymi gwizdkami Giewonta, wracali ku tyłowi, zbierając z pola walki karabiny, pistolety, granaty; nagle ujrzeni w najwyższym wzburzeniu, iż jedna z drużyn „Felka”, z Księciem na czele, szabruje przy poległych Niemcach ich zdobyczną broń! Tylko flegmatyczny spokój Giewonta i rozsądek nadbiegłego Kuby uchroniły bratnie oddziały „Zośki” od nieobliczalnej awantury.

Tak oto plutony Giewonta posiadały wreszcie pożądane, właściwe uzbrojenie, Anoda i Księżę zaś, zadowoleni ze stanu zwróconej im broni oraz pragnąc załagodzić zadrażnienia, podzielili się z chłopcami Giewonta częścią posiadanej amunicji.

Trzeciego dnia powstania zeszło się na Okopowej grono przyjaciół. Było to w tak zwanej twierdzy, czyli w olbrzymim gmachu szkolnym, którego wielki dziedziniec otaczał

imponujący mur z wieżą obserwacyjno-strzelniczą. Tu właśnie - do „twierdzy” - miało być przeniesione z „Telefunkena” dowództwo „Brody” oraz batalionu „Zośka”. Piotrowi i Jerzemu udało się zdobyć osobny pokój, w którym co prawda kotłowali się nieustannie ludzie, ale można było w razie potrzeby także odosobnić się, byle nie na długo!

- Fiu, fiu, fiu - pogwizdywał z uznaniem Jeremi, wchodząc do Piotra i Jerzego. Był wesoły i podniecony nową sytuacją, jaka wytworzyła się między nim i Jasią. Wielkość, solidność i obronność „twierdzy” wydały mu się imponujące. Tym bardziej że „twierdza” z dwóch stron graniczyła z szeroką, otwartą przestrzenią cmentarza i wolnych placów.

- Tak - potwierdził pochwały Jerzy - będziemy mieć z tego gmachu pociechę. Przede wszystkim z umywalni i z piwnic, w których znajdują się doskonałe kuchnie i świetne schrony. Gospodarujący tu SS-mani dbali dobrze o magazyny żywnościowe i o zabezpieczenie się przed pociskami przeciwlotniczymi.

Wszyscy uśmiechnęli się. Andrzej Morro, który przyszedł do „twierdzy” ze swoich gruzów, aby się umyć i ogolić, czesał teraz przed lustrem wilgotne jeszcze włosy.

- Żebyście tu tylko nie wpadli w przesadę - mruknął, krzywiąc się. - Któreś z dowództw używa podobno łączniczek do słania oficerskich łóżek?

Wszedł Rafał. On także był pod wrażeniem „twierdzy”. Szukając Piotra i Jerzego trafił do ogromnego magazynu mundurowego, a potem do sali szpitalnej, urządzonej przez Broma.

- Miejmy nadzieję, że Niemiaszki nieprędko zorientują się, że robicie tu swoją centralę.

Jeszcze chwilę rozmawiali o „twierdzy”. Andrzej Morro zaczął pokpiwać z przesadnej zapobiegliwości w komfortowym urządzaniu się. Czy nie za dużo wkłada się w to energii?

- No, moi mili, dość o tych drobiazgach - przerwał Rafał. - Może byśmy tak powiedzieli sobie wzajem, co myślimy o przebiegu powstania? Już przecie...

- Aha - przerwał Jeremi, podnosząc z manifestacyjną powagą wskazujący palec prawej ręki. -

Inicjujesz coś w rodzaju posiedzenia Klubu Mędrców, w myśl znanej formuły pana Bolesława, że prawdy poważniejszego kalibru mędrzec zachowuje tylko dla uszu przyjaciół.

Znów się uśmiechnęli. Czarny Jaś skoczył po herbatę, a Piotr wyciągnął jakiś spory słoik. --

To smalec z Częstochowy, zaopatrzenie od żony. - Ten i ów cmoknął z aprobatą. Zнали od dawna częstochowskie przesyłki pani Stasieckiej i wiedzieli, iż nikt tak świetnego jak ona nie wytapia smalcu.

Pokpiwano z Piotra, że swą popularność zawdzięcza głównie żonie, a raczej jej przesyłkom żywnościowym.

Jednakże tym razem już po pierwszych zdaniach Piotra zaprzestali żartowania i zapomnieli o jedzeniu. Wypowiedź Piotra sprowokował Rafał: - Może ty zaczniesz? Masz większy od nas dostęp do źródeł informacji.

Piotr długo namyślał się, zanim otworzył usta.

- Niestety, znam bardzo mało faktów. Zresztą nikt tu nie wie za dużo.

Łączność zła. Tylko przez gońców. O ile się orientuję, w obwodzie powstańczym Woli zadania bojowe pierwszego dnia powstania nie zostały osiągnięte. Rozumiecie, nas - „Zośki” i „Parasola” - do tego nie angażowano, gdyż jesteśmy odwodem interwencyjnym Komendy Głównej. To miały wykonać oddziały własne obwodu wolskiego. Oddziały te nie opanowały ani Fortu Wolskiego, ani koszar na Kole, ani radiostacji koło Boernerowa, ani magazynów materiałów pędnych. Wszędzie tam pozostały załogi niemieckie.

Powiódł się tylko atak na szkołę przy Gostyńskiej i na magazyny na Stawkach.

- A w innych obwodach?

- O innych rejonach miasta wiem jeszcze mniej niż o Woli. Zdaje się, że na Ochocie i na Pradze nie opanowano żadnego obiektu spośród tych, które miały być zajęte. W ogóle wygląda na to, że nie zdobyliśmy w ciągu dwóch dni powstania żadnego dworca, lotniska, radiostacji, nie opanowaliśmy żadnego z mostów i Niemcy po dawnemu mają w swoich rękach wszystkie kluczowe punkty stolicy.

Zapadła taka cisza, że zdawało się, iż słyszą bicie własnych serc. Byli otrząskani z wojną i z walką. Orientowali się więc: początek powstania nie wypadł dobrze. Ale żeby początek ten był aż tak nieskuteczny wojskowo?



Rafał, przełknąwszy ślinę, powiedział:

- Czyżby stało się to, czego obawialiśmy się najbardziej? Powstanie przegrane?

Patrzyli na siebie tak, jakby dopiero teraz ujrzeli się naprawdę.

Konsekwencja czająca się w brutalnie szczerej wypowiedzi Rafała była tak potworna, że paraliżowała myśli.

Jerzy był pierwszym, który otrząsnął się z obezwładniającego odrętwienia.

- Tak rozumować nie wolno. Działania wojskowe w tej skali co nasze powstanie nie mogą być rozstrzygane w ciągu jednego - dwóch dni. Pesymizm Rafała jest nieuzasadniony. Jest co najmniej przedwczesny.

- A gdyby nawet dalszy bieg walk potwierdził myśl Rafała - wtrącił Andrzej Morro - to i wówczas byłaby to tylko część prawdy. Gdyby nawet ofensywna akcja powstania została przegrana, nie równałoby się to jeszcze zwycięstwu Niemców. Wymietliłmy ich przecie z mnóstwa ulic i placów i chwyciliśmy mocno wiele części miasta. Powstanie może być dla Niemców groźne także w walkach defensywnych. Przecież jesteśmy na ich zapleczu frontowym, przecież blokujemy drogi frontowe, przecież ten front jest nie za górami.

- Pan Bolesław nazywał taki stan impasem.

- W każdym razie czeka nas tu wnet stupioruński bal i obawiam się, że będziemy musieli chcąc nie chcąc stać się bohaterami - spróbował pokpiwać Jeremi.

Pierwsze oszałamiające wrażenie uświadomienia sobie istotnej sytuacji powstania minęło.

Jednakże tym razem poza manifestacyjnej żartobliwości nie chwyciła. Dotychczas, pochłonięci przez tysiące pilnych czynności bojowych i organizacyjnych, nie mieli wprost czasu myśleć o sprawach ogólnych. Ale gdy teraz sprawy te zostały wreszcie jakoś uporządkowane myślowo, odczuli tak wielką ich powagę, iż nie byli w stanie przestawić się na nastrój udawanego cynizmu.

- A Rosjanie?

Nikt nie śpieszył z odpowiedzią na to pytanie Czarnego Jasia. Ale ponieważ Piotr słuchał

stosunkowo często komunikatów radiowych i miał najłatwiejszy dostęp do prasy powstańczej, odczuł, że i tym razem musi jakoś streścić to wszystko, co wie.

- Zdaje się, że i z tym nie jest dobrze. Komunikaty wymieniają wiele osiągnięć ofensywy sowieckiej, ale nie ma w nich ani słowa o przyczółkach na zachodnich brzegach Wisły i nie widać, aby najbardziej zaawansowane oddziały sowieckie były dziś bliżej Warszawy niż 31

lipca.

- No, no, no. A tośmy wpadli - odezwał się Jeremi; tym razem nie miał już uśmiechu na ustach. - Czy myślicie, że brak lotnictwa sowieckiego nad Warszawą ma z tym jakiś związek?

Nikt nie odpowiadał. Milczenie przedłużało się nieznośnie. I znów Piotr:

- Oczywiście, o tym wszystkim w plutonach i kompaniach... - nie dokończył zdania.

- To jasne - pochwycił Rafał. - My właśnie na całego przeprowadzamy werbowanie ochotników i nareszcie „Parasol” stanie się prawdziwym batalionem. Zdobyliśmy znów trochę broni.

Chociaż myśli wciąż krążą koło sprawy najważniejszej, zaczynają mówić o broni, bo i w

„Zośce” zdobycza broń bardzo wzmocniła plutony. A ponieważ prasa dziś nie dotarła do nich, zastanawiają się nad skutkami ostatnich ostrych ataków niemieckich w rejonie Towarowej, które niemal odcięły Wolę od Śródmieścia. Co też Radosław z tym fantem robi?

Rozmawiają o tym i owym, ale tłem dla wszystkich tych spraw bieżących jest dręcząca myśl, która ani na chwilę ich nie opuszcza: klęska?

#### IV. „ZOŚKA” ATAKUJE

Dotychczas opisane działania powstańcze „Zośki” były w istocie walkami drobnymi.

Wynikało to częściowo z roli wyznaczonej zgrupowaniu Radosława w początkach powstania (był to przecież odwód Komendy Głównej Armii Krajowej), a częściowo z przypadkowego zbiegu okoliczności. Na przykład liczone, że zdobycie w pierwszym dniu powstania szkoły na Okopowej - późniejszej „twierdzy” - będzie poważnym działaniem bojowym. Okazało się, że oddział SS trzymający szkołę opuścił ją przed zjawieniem się „Maćka”.

Wobec tego, kiedy w trzecim dniu powstania „Zośka” otrzymał rozkaz oczyszczenia od wroga gmachu szkolnego przy ulicy Spokojnej, chłopcy łudzili się, że i tym razem pójdzie

„jak po maśle”. Kuba jednak był innego zdania.

Miejsce pobytu Kuby, jako dowódcy plutonu „Felek”, stanowił od wczoraj tramwaj, pozostawiony w chwili wybuchu powstania przez obsługę i pasażerów na ulicy Okopowej, na wprost fabryki Pfeiffera. Na tym obszarze wysokich murów i głęboko w podwórzach położonych gmachów fabrycznych opuszczony tramwaj był najodpowiedniejszym miejscem dla dowódcy, który chciał pozostawać w bliskim kontakcie z placówkami swego plutonu, rozrzuconymi po sąsiednich terenach. Miejscem najodpowiedniejszym, ale nie nadzbyt bezpiecznym, toteż Kuba był osobiście zainteresowany w opanowaniu szkoły na Spokojnej i przeniesieniu tam miejsca swego postoju.

Rozpoznanie wyjaśniło, że piętrowy budynek szkolny zajmuje kompania własowców, dowodzona przez Niemca i silnie uzbrojona, między innymi w ciężkie karabiny maszynowe oraz moździerz. Dostępu do szkoły bronią bunkry betonowe. Własowcy tworzą placówkę odizolowaną od większych sił niemieckich, brać więc należało pod uwagę możliwość ich desperackiego oporu. Tak przynajmniej sądził Kuba i zdanie to podzielał dowódca „Brody”, kapitan Jan, który kilkanaście

minut przed rozpoczęciem akcji przybył osobiście do tramwaju.

- Ależ wieje tu u was przez te potrzaskane szyby, brrr! - Wziął z rąk Kuby szkic ulicy Spokojnej i zaczął jeszcze raz uważnie go oglądać.

Wszedł Blondyn, dowódca „Maćka”. Pluton jego kompanii jest również gotów do odmarszu.

Kapitan skierował się ku wyjściu. Kuba poprawił okulary i wydawszy wargi pociągnął za sznur dzwonek tramwajowego, jakby dając hasło do odjazdu. Na ostry dźwięk, dziwaczny w tej nieruchomej pustce ulicy z setką zbrojnych pod murami, Anoda i Słoń uśmiechnęli się, ale na twarzy Blondyna pojawił się grymas niezadowolenia.

Ruszyli w stronę Powązek gęsiego po obydwu stronach ulicy. Drużyny miały zawczasu wyznaczone zadania. Znały je, omówiły. Teraz posuwając się naprzód - milczeli. Czasem tylko wyrwało się jakieś słowo lub zdanie. Koło Spokojnej pluton „Maćka” skręcił w bok, aby zająć pozycję na tyłach własowców. Pluton Kuby po dawnemu szybko posuwał się pod murem i przebiegał skokami otwarte miejsce. Ale i ci stanęli, skupiwszy się w tylnej bramie fabryki Cygana. Jak zawsze przed akcją Jur odczuwa mieszaninę niepokoju - a może strachu?

- połączoną z odwagą i zdecydowaniem. Przeżywa jakby stan wewnętrznego drżenia, przypominający drżenie maszyny puszczonej w ruch, lecz trzymanej na uwięzi hamulca.

- Anoda, ruszaj.

Anoda poprawia swą czapkę z barwnym otokiem, obciąga panterkę i odbezpiecza karabin.

Potem daje znak sekcji zwiadowczej i miękkiem ruchem, wysoki, szczupły, bystry, przesuwa się za bramę. Za nim kilku innych.

Odeszli. Mijają minuty. Cztery... Pięć...

Ta, ta, ta, ta, ta, ta - gwałtownie i jazgotliwie grać zaczyna karabin maszynowy. Kuba pędzi do przodu. Za nim sekcja Księcia.

Bunkry! Jeden - zdobyty zaskoczeniem. Z drugiego wytryskują nieustannie krótkie błyski ognia. Przy bunkrze zdobytym - Anoda i jeszcze ktoś.

Przywarli płasko do betonu walcowatej ściany i nie śmiały wychylić się na cal. Z drugiego bunkra i z okien szkoły biją potoki pocisków.

Odzywa się teraz broń maszynowa powstańcza. Ogień nieprzyjaciela staje się od razu słabszy.

Widać, jak rozpryskują się od pocisków „Maćka” szyby na wyższych piętrach gmachu.

- Książę, erkaem w szpary bunkra! Bez pośpiechu, starannie.

Książę jest strzelcem wyborowym. Klęka za załomem muru, zabezpieczony kilkoma workami piasku,

które rzuciła jego sekcja, i powoli naciska język spustowy. Ogień ze szpary bunkra na chwilę ustaje. Potem miga na nowo i znów ustaje.

- Teraz! - krzyczy Kuba, jednym skokiem przesadzając chodnik ulicy.

Równocześnie wybiega spoza swej osłony Anoda i jeszcze ktoś. Koło bunkra przystaje tylko Anoda, aby wrzucić do jego wnętrza granat. Kuba natomiast mija bramę i pędzi przez dziedziniec i ogródek pod ściany szkoły do bocznego wejścia. Słyszy za sobą bieg dziesiątków ludzi. Pluton „Maćka” bije bez przerwy w okna budynku, uniemożliwiając wrogowi celne odpieranie natarcia. Granaty! Kuba pada w jakieś wgłębienie. Inni padają również, kryjąc się za najmniejszymi bodaj osłonami. Kilku uskakuje za mur dziedzińca.

Wybuchy - jeden za drugim. Karabiny, pistolety i broń maszynowa ani na chwilę nie przerywają swego ostrego, groźnego śpiewu. Pudel raniony śmiertelnie broczy tak, że patrzeć nań straszno. Pada Grab.

Któż to zerwał się z ziemi i pędzi ku drzwiom gmachu? Miedzianowłosa głowa, z której zniknął hełm, a na szczupłej sylwetce polski mundur oficerski, Jan, kapitan Jan! Bez słowa, bez okrzyku podrywają się z ziemi i pędzą za Janem. Ktoś krzyknął boleśnie. Ale już są przy drzwiach. Kolbami, stopami, naporem własnych ciał usiłują wywalić drzwi.

- Dawać plastik - krzyczy Jan.

Chwila ciszy. Huk! Drzwi wywalone. Wpadają z Janem na czele w korytarz.

Szybkim zamachem ramienia Jan podbija lufę karabinu, na którą wbiegał Słoń, strzał, Jan widzi, że Słoń cały, i sam strzela we wroga. Ta, ta, ta, ta, ta, ta... grają gdzieś karabiny maszynowe. Jakieś wybuchy. Na posadzce mężczyzna w niemieckim mundurze z przerażeniem w oczach, które zalewa krew.

- Kuba - krzyczy Jan - tylko parter! Nie puszczaj na piętra.

Znika ład, przebiegających przez sale parterowe szczyplie dym wybuchłych przed chwilą granatów. Twarze pobladłe, oczy rozszerzone, usta wpólotwarte.

Uchylają drzwi sal i zanim zjrzą tam, ciskają granaty. Tylko Kuba stoi nieruchomo przy wielkich schodach, usiłując przywołać na wargi swój zwykły uśmiezek. Ale oto po schodach toczy się w podskokach kilka okrągłych, żelaznych przedmiotów i uśmiech na wargach Kuby zamiera.

- Granaty, padnij! Padnij! - wrzeszczy przekrzykując zgiełk bitwy i sam rzuca się w bok.

Chwila ciszy, po czym seria wybuchów następujących jeden po drugim.

Jak opanowano pierwsze piętro, nikt dokładnie nie spostrzegł ani nie zapamiętał. Tyle że rudawa głowa kapitana i tym razem była na przedzie sadzących wielkimi skokami przez kilka stopni schodowych naraz. Nie na schodach głównych, na bocznych, głównymi wtargnął

Kuba, gdy usłyszał głos syrenki kapitana.

Ogień wroga zamiera. Koniec.

Drużyny wciąż jeszcze penetrują gmach. Sanitariuszki opatrują rannych.

Ira, łączniczka „Felka”, podbiegła do Kuby: - Nic ci nie jest? - a gdy skinął głową, biegnie dalej. Słoń rozbraja dwudziestu paru jeńców.

Otoczający go powstańcy z zachwytem spoglądają na ustawiane pod ścianą karabiny i składane w oddzielne przyzmy naboje, granaty, broń krótką. Księżę majstruje przy zdobytym ciężkim karabinie maszynowym. Kapitan Jan, Kuba i Anoda schodzą na dziedziniec. Mówią, że jeńcom należy polecić, aby poszorowali podłogi gmachu i pogrzebali zabitych.

Gdy stanęli na dziedzińcu, otoczyła ich gromadka ludzi „Felka”. Czy to kapitanowi się zdaje tylko, czy rzeczywiście wszyscy patrzą jedynie na niego?

- Panie kapitanie, znalazłem pana „garnek” - mówi jeden, podając uszkodzony przez pocisk hełm.

- Panie kapitanie, może by łyk wina? Mam w manierce - mówi drugi.

- Panie kapitanie, zapraszamy na kolację do naszej sekcji. Na gęś pieczoną - mówi trzeci.

Kapitan spogląda nieufnie. Jest dwukrotnie starszy od wielu z nich i wie, że ci smarkacze, szczególnie pluton Kuby, potrafią kpić z człowieka w żywe oczy. Ale nie, mają twarze poważne.

- No, chłopcy, nie zawracajcie głowy - mówi kapitan i schyliwszy się zasznurowuje but.

Próżne żądanie. I ci z „Felka”, i tamci z innych plutonów i kompanii „Zośki” będą odtąd

„zawracać głowę” kapitanowi do końca. Młodzi ludzie cenili odwagę bojową nade wszystko, ale najwyższą klasę odwagi obserwowali dotychczas tylko u swoich dowódców-rówieśników lub u kolegów. Jan - to „stary facet” i oficer zawodowy. Tacy demonstrują wiele cnót dowódczych, odwagę niekiedy też, ale nie tej klasy co dziś kapitan Jan. Odtąd darzyć go będą uczuciem, które otaczało bardzo niewielu tylko mężczyzn nawet w powstańczej Warszawie.

W kilkadziesiąt minut potem wokół szkoły i na jej podwórzu tłoczy się tłum ludzi, nadbiegłych z sąsiednich domów i ulic. Podnieceni, radośni - nie mogą napatrzeć się powstańcom. Wnet jednak część kobiet i mężczyzn zmierza szybko do gmachu, aby spenetrować jego piwnice.

Wkrótce po zajęciu Spokojnej batalion „Zośka” otrzymał rozkaz zdobycia innej umocnionej pozycji okupanta. Tym razem miał to być obóz karny przy ulicy Gęsiej i jeśli się da - wielki, murowany masyw Pawiaka. Już pierwszego dnia powstania „Alek” próbował wziąć Gęsiówkę nagłym natarciem - nie udało się. Od tego czasu placówki „Rudego”, rozlokowane wśród gruzów getta, przez kilka nie kończących się dni ogniskowały swą czujność na dwóch przylegających do siebie kompleksach gmachów Pawiaka i Gęsiówki, otoczonych potężnymi murami z czerwonej cegły, nastroszonych wieżami obserwacyjno-strzelniczymi, umocnionych betonowymi bunkrami.

Czerwono-ceglasty zespół więzienny wznosił się jak wyniosła wyspa skalna wśród wielkiego obszaru lekko sfalowanych, rdzawych gruzów po wypalonych, zniszczonych i rozebranych domach ogromnej dzielnicy, której całą ludność wystrzelano lub wymordowano w komorach gazowych.

Przez cztery dni powstania czujki „Rudego”, rozlokowane w tej pustyni gruzów, nie spuszczały oczu z Pawiaka i Gęsiówki, których dobrze uzbrojona załoga przedstawiała znaczne potencjalne niebezpieczeństwo dla „Zośki”.

Chłopcy, wciśnięci w różnorakie wgłębienia, ostrokanciaste, niewygodne, dokuczliwe dla mięśni, i nakryci celtami ochronnymi o rdzawych plamach, mokli na deszczu, pocili się w promieniach sierpniowego słońca, krztusili tumanami pyłu ceglanego, który nawiewał lada wiatr, i ani na chwilę nie mogli wstać, wyprostować się. Kule nieustannie bzykały nad polem ruin, tolerując tylko czołgających się. Nie było dnia, aby po zapadnięciu zmroku sanitariuszki nie wyciągały z czujek i placówek tej udręczającej służby rannych lub zabitych.

Tu właśnie poległ od dalekiej kuli Andrzej Długi. Dowodził jedną z placówek. Całą noc lał

deszcz. Czujki były przemoczone do nitki. Gdy o świcie odbyła się zmiana czujek i „sucha” drużyna zastępowała wyziębniętych, przemokłych, którzy odchodzili do „twierdzy”, Długi zauważył, że jedna z czujek nie przybyła. Deszcz wciąż padał. Dostarczono do placówki obiad, a tamci wciąż nie zjawiali się. Andrzej Długi nie wytrzymał. Wziął do menażek dwie gorące porcje obiadowe, włożył hełm, owinął się w celtę i ruszył ostrożnie naprzód. Mimo deszczu widoczność była znaczna. Wspiął się ostrożnie, dbając, aby donieść w całości jedzenie. W punkcie najprzykrzejszym, stanowiącym otwarty szczyt ruiny - Długi energicznie podciągnął się i - jak ścięty - runął na gruzy, rozlewając zupę z menażek. Koło jego głowy narastała plama krwi, gromadzącej się na rozmokłej glinie. Obok leżały rozbite okulary. Raz jeden uniosła się głowa rannego. W oczach Długiego i na całej jego twarzy zamigotał błysk przestachu. Na krótko.

Andrzej Morro przewiózł Długiego do „twierdzy”. Zbiegł się cały wierny, szaroszeregowy

„Klan”. Doktor Brom stwierdził śmierć. W owych pierwszych dniach powstania chowano jeszcze poległych w trumnach. Długi złożony więc został w trumnie do okrutnej matki-ziemi.

Nareszcie jednak psia służba w gruzach, cała mordęga i nuda czujności zbliżała się ku końcowi. Jest rozkaz zdobycia Gęsiówki i jeśli się da - Pawiaka. „Rudy” wie, że ten atak to nie tylko likwidacja silnego gniazda oporu wroga i nie tylko usunięcie zawady pomiędzy Wolą a Starym Miastem. To także próba oswobodzenia więźniów żydowskich pracujących jeszcze być może w Gęsiówce (polskich więźniów Pawiaka ewakuowali Niemcy już przed powstaniem).

Tego ranka staranniejsze niż zwykle porządkowali broń. Początek natarcia o dziesiątej.

Czarny Jaś nie bierze udziału w tej akcji. Jednakże około dziewiątej rano przychodzi do Andrzeja Morro. Odstawia drzwi, które nie wiszą na zawiasach, lecz tylko zasłaniają otwór.

Wsuwa się do dziwacznej „izby” w gruzach.

Spogląda na kilku skupionych w tej ciasnocie ludzi i mówi, że zjawił się, aby udzielić błogosławieństwa przed wyprawą. Nie dodaje jednak, że przyszedł także spojrzeć na miejsce, w którym padł Długi.

- Dostałem w „twierdzy” świetny dżem truskawkowy, chcecie spróbować?

- Dziękuję, stary - uśmiecha się Andrzej Morro. - Postaw na tej cegle, za kilka godzin spróbujemy. Przed akcją lepiej mieć żołądek pusty: stara zasada dywersyjna. Wybacz, za chwilę wrócę, tylko wyczyszczę buty.

„Wyczyszczę buty”! Andrzej Morro jest niezrównany z tą swoją dbałością o wygląd zewnętrzny.

- Lotnik, kryj się! - rozlega się głos posterunku.

Narzucają celty i wychodzą. Kryją się w szczątki ruin. Obserwują niebo.

Nie reagują uczuciowo na regulaminową formułę ostrzeżenia. Ofensywnego lotnictwa niemieckiego nie ma nad Warszawą. Czasem nadleci parę samolotów, aby zrzucić jakieś idiotyczne ulotki propagandowe. Czasem krąży samolot wywiadowczy. Z rzadka gdzieś padają z samolotów bomby, to wszystko niegroźne.

Samolotów jest kilka Ich klucz rozproszył się i teraz pojedyncze maszyny krążą nad głowami.

- Wiecie, panowie - mówi Leszczyc, uważnie wpatrując się w aparaty - to chyba „stukasy”.

„Stukasy”? Maszyny do rzucania bomb w locie nurkowym? Co oznacza ta nowość?

Jeden z samolotów robi gwałtowny skręt i ukazuje wyraźnie przyczepione do srebrnego podbrzusza dwa długie pociski. Inny zniża się i pikuje ostro w dół. Wprost na nich. Warkot silnika i wycie wmontowanej weń syreny potężnieje z każdą sekundą. Nagle - na dwieście lub sto metrów nad ziemią - aparat skręca i zawraca ku Okopowej migając bombami, szklaną kabiną załogi, sylwetką pilota. Odleciał. Inne też.

Czarny Jaś jest bardzo blady. Wyciąga chusteczkę i udaje, że wyciera nos, aby koledzy nie ujrzeli jego twarzy. Otwartymi ustami stara się wchłonąć jak najwięcej powietrza. Cóż to z nim się dzieje, do licha?

Nikt jednak nie patrzy na Jasia. Jak urzeczeni nie mogą oderwać oczu od oddalających się

„stukasów”. Gdzieś nad Lesznem samoloty zaczynają pikować.

Zniżają się kolejno po stromych torach i... tak! To bomby! Podłużne pociski odrywają się od kadłubów... Dwa, trzy... pięć... Cisza... „Stukasy” lekkie po zrzuceniu bomb wzbijają się ostro ku górze. Teraz! Z oddali dochodzą silne, przejmujące wybuchy. I znów! Ziemia drży. Młodzi ludzie wyczuwają, że w ich twarze uderza lekka fala powietrza. Potężne odgłosy eksplozji trwają. Z ziemi unoszą się chmury pyłu. Czasem błysnie krótki jak magnezja płomień wybuchu. Pokazują się czarne, gęste kłęby dymu i strzelające języki ognia. Pożar - ogromny.

- To chyba Leszno się pali - mówi Leszczyc przytłumionym głosem.

Mija jeszcze kilka minut. Stoją w powadze, z rzadka wypowiadając jakieś zdania. I dopiero Kołczan przerywa ten nastrój wywołany widokiem pierwszego ataku lotniczego na powstańcze miasto.

- No, braciszku mili, cacy-cacy, a jest już dziewiąta czterdzieści.

Miejmy nadzieję, że nasza impreza nie zostanie zamacona przez tych z góry.

Rozchodzą się. Ale nie mogę oderwać oczu od dalekich płomieni i ciężkiego dymu zasnuwającego niebo.

Środkową oś natarcia stanowi Giewont, który wreszcie uzbroił swą kompanię, trzecią kompanię „Zośki”. Na prawym skrzydle „Rudy”, osłaniający lewy swój bok własnym plutonem „Felek”, dowodzony przez Kubę nigdy niesytego walki. W odwodzie - „Maciek”, z wyjątkiem półplutonu (dwa karabiny maszynowe!), który pod osobistym dowództwem Blondyna ma stanowić lewe skrzydło natarcia. Całość akcji w rękach dowódcy batalionu Jerzego.

Godzina dziesiąta. Zegarki zostały naregulowane. Żadnych więc specjalnych haseł na rozpoczęcie ataku.

Z daleka słyhać potężny warkot i łomot zbliżającej się powstańczej Pantery. Pusta na pozór przestrzeń rumowisk getta ożywia się. Jakaś sekcja biegnie, wykorzystując przesłonę muru.

Inna czołga się, zapadając w rozpadliny i wyłaniając się z nich szybko. Rudoplamiste bluzy tak zlewają się z czerwonym tłem rumowisk, że Jerzy stojący z lornetką przy oczach nie może dostrzec ludzi, gdy ci są nieruchomi. Słońce praży mocno. Słupy ognia i dymu kłębią się gdzieś w dali. Słyhać też chaotyczną strzelaninę.

Pantera drząc w napięciu motorów wjeżdża w Gęsią. Mija opuszczone przez Niemców magazyny i przewala się przez dwie barykady powstańcze, powodując rumor miażdżonego muru, trzask łamanych desek i zgrzyt szyn żelaznych.

Czołg przetoczywszy się przez barykady i otwartą bramę getta sunie ku murom Gęsiówki.

Staje mając przed sobą cztery zewnętrzne wieże obserwacyjno-strzelnicze, zbudowane z cegieł i betonu.

- Panther, hallo, Panther - woła jakiś niemiecki głos z najbliższej wieży. Niemiec jednak nie wychyla głowy, nie jest pewien...

Zaczęło się. Armata czołgu bije w wieże tak szybko, jak tylko nadażyć może obsługa. Po dwa strzały w każdą. W huk, błyskach ognia i kurzu łamią się, kruszą i rozpryskują betonowe ściany.

Tuż koło Pantery gramolą się na dach półrozwalonej budy ludzie Giewonta z erkaemem; kryjąc się przed ostrzałem i schylając głowy podpełzają wyżej, potem zrywają się, wywalają kolbami okno nad budą i po kładce - do poddasza.



Rubini krzyczą coś i pada. A w dole gruzowiskiem, pod ścianami baraków przebiegają schyłone postacie powstańców. Z dalszych wież biją długimi seriami niemieckie karabiny maszynowe, których kule przekreślają setkami smagnięć pancerze czołgu i namalowane na jego bokach lilie. Bliższe wieże milczą.

Teraz Pantera sunie na żelazną bramę obozu i łamie ją, jakby była z tektury. Nagle - huk miny założonej w bramie... Czołg nie uszkodzony przesuwa się w łomocie na dziedziniec.

Jerzy, Piotr i Giewont wpadają do długiego, pustego budynku stolarni mechanicznej i biegną pochyleni przez halę w gwiździe pocisków i wśród rykoszetów odbijających od maszyn. Gdy wychylili się z hali, Pantera przystępowała do następnego zadania - ostrzeliwania bocznych wież. Znowu po dwa strzały w każdą. Reszty dokonuje szturm z dołu. Tuż po strzałach: - hura !

- i na prawym skrzydle chłopcy Kuby dopadają przed chwilą ostrzelanego bunkra, otoczonego kłębami pyłu i dyma. Jerzy i Piotr biegną przez garaż do kolejnej wieży. Ta też już w dymie i kurzu. Kilku powstańców usiłuje po drzwiach garażu dostać się na dach, aby oknem wtargnąć do wieży.

Wraz z innymi - Jerzy, po zawiasach zamku, po szprosach, na dach. Tam przywierają na chwilę do papy. Potem - ku oknu, w którym przewieszony przez karabin maszynowy zwisa w agonii Niemiec. Rzut granatem do środka. Gdy wybuchł, wskakują tam po karku i plecach Niemca. W kącie leży drugi, również umiera. Krzyś biegnie do niego i wyjmuje mu z rąk broń: nareszcie zdobył to, o czym marzył: „rozpylac”!

Jerzy podchodzi do okna i przez lornetkę usiłuje zorientować się w sytuacji. Pantera systematycznie ostrzeliwuje następne wieże. Tamta, skrajna, płonie. Na paru sąsiednich widać już żołnierzy powstańczych.

Wtem...

- Stać! - wrzeszczy na całe gardło Jerzy. - Hej, tam przy wieży, stać!

Nie ostrzelana jeszcze, stać, staaać!

Nie słyszą. Sekcja karabinu maszynowego z plutonu Kuby, dowodzona przez Świstą, w zapale bitewnym wpada do bunkra jeszcze nie ostrzelanego przez Panterę. Już ich nie widać, prawdopodobnie wbiegają schodami na górę.

Jeszcze chwila - eksplozja, tamtą wieżę też otacza chmura pyłu. Gdy się rozwiewa, pokazuje się dwóch powstańców - Świst i Krępy, wlokących pod pachy trzeciego, którego głowa i twarz są we krwi. To Pręgus.

Chłopcy Giewonta przebiegają teraz wielki dziedziniec Gęsiówki niemal bez krycia się. Z

ocalałych wież i budynków wybiegać zaczynają na zewnątrz murów Niemcy i bezładnymi grupami uciekają w kierunku Starego Miasta.

Nieliczne powstańcze karabiny i broń maszynowa biją ze zdobytych wież w uciekających.

Andrzej Morro, który dowodził plutonami „Rudego” na prawym skrzydle natarcia, wyczuł, że pełne zwycięstwo może im umknąć. Pobiegnął do „Alków”, machając trzymaną w ręku czerwoną tarczką na kijku.

- Kołczan, z plutonem w kierunku Dzielnej, biegiem! Cel - na uciekających. Wy tam - za mną!

Biegli ruinami getta. Paręset kroków i wpadają w ogień karabinów maszynowych bijących ze szpitala na Dzielnej obsadzonego przez Niemców.

- Padnij, padnij! - krzyczy Morro. A po chwili, machnąwszy tarczką: - „Felek”, w tamte doły.

„Alek”, za te ruiny. Bić w uchodzących.

Strzelają nieregularnie, krótko. Amunicji skąpo. Widoczność zła. Szpital na Dzielnej razi ich tak, że głowę podnieść niebezpiecznie. Kule uderzają w pobliskie cegły. Na dobitek uciekający Niemcy znikają za murami Pawiaka.

Jeden z chłopców, wysunięty nieostrożnie jakby na wzgórek, dostaje postrzał w nogę.

Krwawi. Słabnie. Duża Zosia podbiega do rannego i próbuje nałożyć mu opatrunek, ale pada z jękiem. Nikt nie ma odwagi pójść z pomocą rannym. Kołczan z daleka zauważa niepokój na prawym skrzydle i zorientowawszy się, o co chodzi, woła:

- Dwie sanitariuszki, po rannych.

Dziewczęta przywarły do gruzów i nie ruszają się.

- No, dziewczęta, naprzód! Duża Zosia jest ranna!

Jeszcze mocniej przywarły do ziemi. Boją się.

Kołczan marszczy brwi. Jego wargi robią się wąskie. Podciąga prawe kolano pod brzuch i chce pełznąć w kierunku dwóch sanitariuszek. Jest to już zbyt ciężkie, gdyż trzecia, Maryna z

„Alka”, unosi się i podbiega ku rannym.

Po nieudanej próbie wleczenia ich, daje za wygraną i, spłaszczona przy ziemi, wyciąga z torby sanitarnej strzykawkę. Coś manipuluje i robi zastrzyk Zosi, która jest ciężko ranna. Jej drobna, zawsze pogodna twarz jest teraz skażona bólem i pokryta potem. Maryna z przerażeniem obserwuje zwiększającą się szybko plamę krwi koło brzucha koleżanki. Czyżby to było możliwe? Zosia? Jeszcze niedawno, gdy po czterdziestu ośmiu godzinach nieprzerwanej pracy dostała rozkaz udania się na odpoczynek, płakała, prosząc o pozwolenie pełnienia służby dalej. Nie, nie - Zosia musi żyć! Tak pragnęła pracować po wojnie wśród wiejskich kobiet i ich dzieci, tak wierzyła w swe pielęgniarskie zdolności i możliwości...

Zosia musi żyć!

Drżącymi rękami Maryna po raz drugi zastrzykuje rannej środek na krzepnięcie krwi. Czyni to płasko przywarłszy do ziemi.

Niemcy z daleka widzą wszystko, więc coraz gęściej ostrzeliwiają placyk z trzema postaciami.

Andrzej Morro podpełza do Kołczana:

- Nic tu nie zwojujemy. Cofaj się z plutonem za tamte ruiny. Potem skoczmy pod Pawiak z prawej.

- A tamci? Tam leży Duża Zosia - wskazuje Kołczan na rannych.

- Co mówisz? Duża Zosia? Ja się nią zajmę, ty wycofuj pluton.

Kołczan gwizdże kilkakrotnie. Unosi rękę, by wskazać kierunek, i z sykiem opuszcza dłoń.

Krew.

Gdy „Alek” wycofuje się ku wskazanym ruinom, Andrzej Morro podpełza do Jędrka.

- Chcę wyciągnąć Dużą Zosię i drugiego rannego. Potrzebuję kogoś do pomocy.

- Dobra jest, pełnę z tobą.

Chwilę naradzają się. Poprawiają hełmy i po przepelźnięciu kilku kroków podrywają się, biegną szybko skuleni i padają tuż przy rannych.

Odpocząwszy, chwytają Dużą Zosię każdy za jedną rękę i tak szybko, jak tylko się da, wloką ku tyłowi. Udało się. Powtarzają wypad. I tym razem powiodło się. Maryna również przebiegła niebezpieczną strefę.

- No, ja już muszę pędzić do plutonów - mówi Andrzej, głęboko oddychając, aby uspokoić serce. - Zajmijcie się jak najlepiej Dużą Zosią i transportem do szpitala.

A tam? Cóż to się dzieje w Gęsiówce?

Na wielkim dziedzińcu między barakami rojowisko setek ludzi w pasiakach więziennych otacza żołnierzy powstańczych. Wymizerowani, zarośnięci, dziwaczni w swych strojach obozowych, gestykują żywo, mówią wszyscy naraz. W głosach - radość, twarze wykrzywione wzruszeniem. Gdy Andrzej wszedł w ten pasiasty tłum, otoczono go i zasypano potokiem zdań, z których umiał wyłowić tylko zdania francuskie, niemieckie i angielskie.

Domyślał się, że to głównie Żydzi węgierscy i greccy. Zadawano mu pytania, proszono, zgłaszano gotowość... Ktoś wołał, że jest dobrym mechanikiem. Ktoś mówił, że może gotować, bo był kucharzem. Jakiś stary pan chwycił Andrzeja za rękę i chciał ją pocałować.

Andrzej przystanął, patrzył chwilę wzruszony na starego pana, potem zdjął z ramienia opaskę powstańczą i podał uwolnionemu więźniowi.

Największa grupa stłoczonych ludzi otoczyła Piotra, który odpowiadał na zadawane pytania.

Spokojny, niemal cichy głos Piotra oraz życzliwość jego spojrzenia oddziaływały kojąco na rozgorączkowanych ludzi. Przesławiali gestykulować i pokrzykiwać. Gdy Andrzej omijał tę grupę dążąc ku czołgowi, odczuł pociągnięcie za rękaw. Piętnastoletni może chłopiec w pasiaku patrzył nań nieśmiało i coś mówił cicho.

- ?

- Panie, czy ten czołg to Pantera? - pyta młodzieńki czeski Żyd.

- Tak- odpowiada zdumiony Andrzej i idzie dalej do Waclawa, dowódcy czołgu, który częstuje jakiegoś więźnia papierosem. Gdy skończyli się witać, teraz z kolei Waclaw odczuł

pociągnięcie za rękaw i ujrzał nieśmiało doń wyciągniętą dłoń żydowskiego chłopca, a na niej porcelanową figurkę pantery, prawdziwej pantery.

- Chce pan tę maskotkę? Była ze mną cały czas w obozie, ale mogę ją panu dać.

Waclaw bierze z rąk chłopca porcelanowe cacko. Stawia je na masce czołgu, po czym ujmuje w swe szorstkie, przesycone smarami dłonie rękę chłopca i głaszcze ją delikatnie. Naraz twarz Waclawa zmienia się, wypuszcza dłoń chłopca i mówi do Andrzeja:

- Spójrz na gadów. Tych to bym kierował od razu do „parku sztywnych”.

Mija ich kilku powstańców prowadzących grupę jeńców. Z oznak na mundurach widać, że są to Ukraińcy, hitlerowcy z dywizji SS Galizien. Pod pobliskim bunkrem sanitariuszki zakładają opatrunki jakiemuś rannemu podoficerowi SS.

Ten widok znów wzburza Waclawa: - Po co zajmować się tymi draniami?! - woła do sanitariuszek. Morro niezadowolony odciąga go w bok i mówi tradycyjnie:

- Nie wygłupiaj się.

Gdy szli do głównego budynku obozu, ktoś krzyknął, grupka pasiaków rozbiegła się i tylko jeden pozostał na miejscu, zwalony na ziemię i krwawiący. Wróg, choć daleki - istnieje. Piotr podniósł głos i zarządził wymarsz do „twierdzy”.

Andrzej i Waclaw weszli do sali jadalnej głównego gmachu.

- Cześć, czołem, czuwaj! - krzyczy Giewont, rozparty obok Jerzego i Blondyna na honorowym miejscu przy wielkim stole nakrytym białym obrusem.

Trzecia kompania odegrała podstawową rolę w natarciu na Gęsiówkę - Giewont jest więc podniecony sukcesem. - Jaka szkoda, że przychodzicie dopiero teraz, wszystko już zimne, ale my zastaliśmy jeszcze gorące potrawy. Co wam podać? Sałatkę śledziową czy cielęcinę na zimno? Wino też?

Jedzą, rozmawiają. Teraz nie usiłują opanowywać już swego podniecenia. W kącie sali narastają stopy znoszonej broni i amunicji. Waclaw, przechyliwszy się przez stół do Jerzego, Andrzeja, Blondyna i Giewonta, przedstawia plan utworzenia z ochotników żydowskich drużyny obsługi czołgów. Mechaników i elektryków jest wśród nich niemało.

- Dobra jest! - potakuje radosny Giewont - zrobimy! Pol, podaj jeszcze tego pysznego masła!

Renia z „Dysku”, czyli z przedpowstaniowego oddziału dywersji kobiecej, nie czuła się w powstaniu dobrze. Wypad po broń z Woli do Śródmieścia był jej jedynym czynnym krokiem wojskowym. To, co wykonywała potem - służba przeciwlotnicza na strychach „Telefunkena” i „twierdzy” oraz nocne oczekiwanie na zrzuty alianckiej broni, miało w jej odczuciach charakter niewojskowy, niewydajny, nużąco nudny. Zzynała się na myśl o tym, że powstanie może się skończyć bez jej udziału.

Tylko jednej nocy nadleciały nad Wolę samoloty brytyjskie, a może nawet polskie. Leżąc na dachu grobowca usłyszała najpierw daleki warkot, a po pewnym czasie wyłoniła się z ciemności ogromna sylwetka ciężkiego samolotu, kierująca się na światła sygnalizacyjne cmentarza. Kolorowe pociski artylerii przeciwlotniczej migały wokół samolotu, ale maszyna szybko zbliżała się ku cmentarzowi i oto odrywa się coś od jej spodu, jakby białe chustki, które opadają przemieniając się w spadochrony z workami u dołu.

Renia i jej towarzyszka oraz szereg podobnych par rozrzuconych po cmentarzu i w okolicy z natężeniem obserwuje miejsca upadku spadochronów - po to tu przecież są.

Tak, ta noc była coś warta, zwłaszcza że lokując się w oczekiwaniu zrzutów na dachu większego grobowca, Renia znalazła tam... butelkę wina, a na jej etykiecie odczytała, ostrożnie zapaliwszy zapałkę: „Nuit de Bourgogne” i data: 1937. Nawet ona zorientowała się, że nie lada butelkę ma w ręku. Kto ją tu zostawił, nie mogła dociec. Przemarzyła przy tej butelce parę godzin, zanim nadleciały samoloty, ale wiedziała już, co z nią zrobi: pierwsze trofeum wojenne wręczy matce i ojcu! Jakże się ucieszą, gdy zjawiwszy się z powstania, postawi to na stole.

Niestety, noc ze zrzutami i winem była wydarzeniem odosobnionym, po którym znów nastąpił kołowrót nużących i jałowych czynności.

Nie! Dość tego! Cierpliwość jej wyczerpała się. Gdy pakowała plecak, troskliwie lokując wśród bielizny butelkę burgunda, wiedziała dokładnie, czego chce: idzie do Śródmieścia, gdzie jak twierdzą komunikaty, wciąż jeszcze trwają walki z czołgami. W skrytce na Złotej zostało kilkadziesiąt butelek zapalających. Weźmie je i albo sama na własną rękę będzie unieszkodliwiać czołgi, albo zgłosi się do jakiegoś oddziału z nerwem bojowym.

Ubrana do odmarszu, z włożonym plecakiem poszła do Moniki, aby zameldować jej odejście z „Dysku”. Rozmowa była denerwująca dla obydwu stron i przesunęła się o szczebel służbowy wyżej. Takie słowa jak „karność” i „dezercja” nie robiły wrażenia na Reni, spodziewała się tej śpiewki w ustach „starszych pań”. Ale ostrzeżenie, iż posterunek przy bramie „twierdzy” nie wypuści jej bez hasła, a hasła nie dostanie - było przekonywujące.

Rozpłakała się. Natomiast gdy komendantka zaczęła jej mówić o poważnej, może nawet ciężkiej

sytuacji powstania, znów nastroszyła się wewnętrznie: nieprawda! Typowy pesymizm starszego pokolenia!

Wprawdzie odejście do śródmieścia nie powiodło się, ale jeszcze tego samego dnia Renia otrzymała przeniesienie na łączniczkę do „Zośki”, do kompanii Giewonta. No, nareszcie znajdzie się we właściwym miejscu; wiedziała, czym jest „Zośka”, była tam przecież Irka Kowalska, a w kompanii Giewonta - Maryna Kowalska, która dziś właśnie opowiadała jej o natarciu na Gęsiówkę.

Gdy uszczęśliwiona meldowała się Giewontowi, ten powiedział:

- Myślę, że nasza współpraca ułoży się dobrze. Będziecie, kolezanko, łączniczką w plutonie Michała.

- A poprzednia łączniczka, gdzie została odkomenderowana?

Giewont spojrział na nową zdziwiony, a potem zaczął z zakłopotaniem trzeć brodę...

- Tak, odkomenderowana... Powstały okoliczności...

Kto nie ma wieczorem służby - do „twierdzy”! Piotr mimo ostrej sytuacji organizuje dzisiaj ognisko.

Nie jest jeszcze późno, ale coraz częstsze wybuchy i wielkie kłęby dymów zasnuły słońce i całą zachodnią część nieba, więc ten i ów błysnie czasami światłem.

W wielkiej piwnicznej jadalni - ciasno. Siedzą napięci, niespokojni. Ci najbliżsi środka leżą na kocach wokoło wielkiej latarni naftowej markującej ognisko. Dalsi siedzą na podłodze podkurczywszy kolana. Jeszcze dalsi rozsiedli się na ławkach pod ścianami. Próbuje śpiewać.

Jest to rzadki przypadek. W tym powstaniu na ogół nie śpiewa się. Więc: „Hej, chłopcy” i ta ostatnia piosenka ułożona przez kogoś z „Parasola”: „Pałacyk Michła”.

Mały Tadzio trąca łokciem Bonawenturę:

- Czemu ty teraz nic nie piszesz?

- Daj spokój - odpowiada opryskliwie Bonawentura. Jest niemal od pierwszego dnia powstania rozdrażniony. Zamiast radować się tak upragnionym wyzwoleniem, jawną walką z wrogiem, manifestacyjnymi przejawami polskości, Bonawentura dręczy się złymi faktami powstania. Tak się uwrażliwił, że choć widzi wiele faktów dobrych, reaguje właściwie tylko na zjawiska ujemne.

Choćby ta piosenka:

Z tyłu za linią dekowniki,

Intendentura, różne umrzyki

Gotują zupę, czarną kawę,

Takim sposobem walczą za sprawę, hej!

- Dowcipne, co? - szepce z sarkazmem do ucha Małego Tadzia.

- Dlaczego nie? - pyta Tadzio.

Czyżby i ten nie odczuwał przykrości w zarozumiałej, wojackiej kpinie z niedołącznych, tchórzliwych, asekuranckich cywilów? Także ze starych kobiet pracujących tak ofiarnie w kuchniach powstańczych, choćby tu, na Woli? Ale co tam piosenka: znów dobito rannego SS-mana, sanitariuszka nie chciała zająć się rannym własowcem. Bonawentura szczerzej otula się kocem, jakby odczuwał zimno. Jest rozdrażniony. Gniewa go nawet Czarny Jaś, który siedząc obok Irki bierze w swe dłonie jej rękę.

Gdy śpiew umilkł, Piotr odzywa się rozkazująco:

- Oficer do spraw cywilnych ma głos.

Czarny Jaś wyzwala dłoń Irki.

- W „Telefunkenie” i u Pfeiffera warsztaty i narzędzia tip-top, współpraca ze strażą robotniczą dobra; podziękowanie Michałowi i Kubie.

Jestem niezadowolony z placówek przy Okopowej, opl do luzu: ani dyżurów, ani piasku, ani kontaktu z komitetami domowymi. Dziękuję sanitariuszkom i łącznikom „Zośki” za zorganizowanie dostaw mleka dla małych dzieci i posiłków dla bezdomnych. Komunikuję zarządzenie Delegata Rządu na Warszawę: szukajcie starych studzien, oczyszczajcie je i uruchamiajcie, bo jeśli wodociągi nawalą - katastrofa z nami...

- Piotr, Piotr, Piotr - rozlegają się głosy z różnych końców sali. Lubią go. Chcą, aby mówił.

Wstaje. Obciąga panterkę.

- Słyszałem od kogoś z was, że pierwszego jeńca wziętego w bitwie do niewoli zostawia się zawsze żywego, bo taki jest podobno niepisany kodeks wojny. Nie wiem, kto wymyślił ten zły żart, traktowany przez niektórych poważnie.

Cisza. Bonawentura intensywnie patrzy w oczy Piotra.

A Piotr ostrym głosem zaczyna mówić, uplastyczniając niektóre zwroty ruchem palców wysuniętej prawej ręki. Że społeczeństwa europejskie w ciągu tysiącleci wypracowały kulturę prowadzenia wojen. Dziwnie brzmi to zestawienie: wojna i kultura, ale jednak taki związek istnieje. Polega między innymi na tym, że nie zabija się jeńców wziętych do niewoli: ani pierwszego, ani ostatniego. Żadnego. I rannych wrogów traktuje się podobnie jak rannych towarzyszy. Jeśli wśród niektórych z nas i w ogóle na świecie panuje zamęt pojęć, jest to wpływ hitlerowskiej pogardy człowieka, hitlerowskich wzorów traktowania jeńców. Ręka Piotra wykonuje machnięcie z góry w dół, machnięcie rozczarowania i zawodu.

- Walczyć musimy na dwa fronty: z Niemcami i ze złem, które te nieludzkie czasy zaszczepiają w

naszych duszach.

Milczą. Rozmyślają. Nie chcą wracać do swych kwater i legowisk. Chcą słuchać. Więc Piotr opowiada o Andrzeju Długim, o jego przygodach śmiesznych i poważnych, o tym, kim Długi był w istocie.

- Słuchaj, Piotr - odzywa się ktoś z kąta, gdy nastąpiła dłuższa cisza - jak to właściwie jest naprawdę z tym powstaniem?

Andrzej Morro i Czarny Jaś porozumiewają się niespokojnym wzrokiem, a Piotr:

- Wyzwoliliśmy znaczną część miasta, wielka część izolowanych posterunków niemieckich została zlikwidowana, ale nieprzyjaciel trzyma w swych rękach większość kluczowych punktów stolicy. Myślę, że czekają nas ciężkie walki, bardzo ciężkie walki. Zwłaszcza że ofensywa uległa zahamowaniu, a lotnictwo alianckie nie jest w stanie wspierać nas skutecznie.

Andrzej Morro ma wrażenie, iż w oczach wielu słuchaczy Piotra dostrzegł jakby niepokój, inne jednak oczy zdają się być tylko senne i walczą z opanowującym ciało znużeniem.

Gdy rozchodzili się, Piotr podszedł do Jerzego, Andrzeja Morro, Czarnego Jasia i jeszcze kilku. - Wyjdę z wami. - Księżycowa noc, mimo wybuchów i łun pożarów, była tak piękna, że postanowili trochę posiedzieć na cmentarzu. Wyszli przez otwór w murze otaczającym szkołę, powiedziawszy wartownikowi hasło, i stanęli wśród krzaków oraz płaskich, żydowskich pomników grobowych. Andrzej Morro podszedł bliżej do Piotra.

- Wracając do twej gawędy, Piotrze, chcę dodać coś, co wygląda na banał, a jest jednak prawdą podstawową: między naszym sensem wojny i sensem wojny Trzeciej Rzeszy jest ta zasadnicza różnica, że oni walcząc o Niemcy walczą jednocześnie o panowanie nad innymi ludami, o władzę. A my walcząc o Polskę walczymy równocześnie o wolność narodu, o wolność w ogóle. To jest ogromna różnica, bo wolność jest jedną z najcenniejszych wartości człowieczych, a władza to moralnie rzecz zerowa.

Usiedli na płycie grobowej i rozmawiali dalej półgłosem. Po pewnym czasie Czarny Jaś podniósł się z zimnego kamienia: - Już czas na mnie, muszę jeszcze spakować się.

## **V. NIEMCY WYRĄBUJĄ PRZEJŚCIE PRZEZ WOLE**

Tego dnia, który zakończył się w „twierdzy” ogniskiem Piotra, pułkownik Radosław powziął pierwszy zamiar opuszczenia Woli i wycofania swych oddziałów przez Żoliborz do Puszczy Kampinoskiej. W dowództwie zgrupowania nastąpiła wymiana zdań na ten temat i rozważano zwrócenie się z tym do Komendy Głównej.

W godzinę potem Piotr zebrał w swym pokoju czołowych przywódców Szarych Szeregów obecnych na Woli oraz paru dowódców z „Zośki” i „Parasola”, aby zastanowić się nad planem postępowania.

Chociaż zamierzenia Radosława wywarły na nich wielkie wrażenie, nie byli zaskoczeni. Od czasu



rozmowy, którą Jeremi żartobliwie nazwał „posiedzeniem Klubu Mędrców”, ich własna ocena, że powstanie jako akt ofensywny zostało przegrane, nie uległa podważeniu. W

komunikatach dowództwa powstania czytali tylko o opanowywaniu nielicznych i drugorzędnych punktów nieprzyjacielskich; z innych zdań komunikatów przeziarał impas. Na froncie zaś radziecko-niemieckim pod Warszawą działo się coś, czego nie byli w stanie zrozumieć, ale co wyglądało na wzrost odporności niemieckiej i osłabienie Rosjan.

- Więc Radosław także ocenia bilans powstania jako ujemny?

- Tak. Mówi, że oddziały powstańcze są w tragicznej sytuacji.

- A co ostatecznie wpływa na jego zamiar przebijania się do Kampinosu?

- Sytuacja na Woli. Wprowadzenie przez Niemców do walki lotnictwa bombardującego, które skupia swe ataki na rejonie ulic Wolskiej, Leszna i Chłodnej - to raz; nasilenie ognia artyleryjskiego, pokrywającego rejon tych ulic - to dwa; a trzy - w tychże miejscach idą ataki oddziałów pancernych i piechoty. Gdy wzięto tam do niewoli kilku czołgistów, okazało się, że są z dywizji SS Hermann Goering i że kilka oddziałów tej hitlerowskiej dywizji elitarniej walczy od wczoraj w Warszawie. Z wszystkiego razem Radosław wyciągnął ten wniosek, że Niemcy wyrąbują drogę przez Wolę do mostu Kierbedzia, aby odkorkować trakt na Poznań i Łódź, i że przy naszym uzbrojeniu nie zatrzymamy tego natarcia. A jeśli po wyrąbaniu przejścia przez Wolę te same siły skoncentrują swe działania na naszym zgrupowaniu, to w ciągu kilku dni zostaniemy...

- No, już nie kończ, Piotrusiu, domyślamy się - usiłował żartować Jeremi.- Po co precyzować stan, w jakim znajdują się „Parasol” i „Zośka”, gdy „stukasy”, artyleria i oddziały pancerne zainteresują się specjalnie nami?

Zresztą - Jeremi spoważniał - przed paroma godzinami rozmawiałem o tych sprawach z Pługiem. Podziela ocenę Radosława i jego decyzję. Uważa, że wszyscy, którzy nie mają broni, powinni zrzucić mundury i wracać do domów.

W „Parasolu” przestaliśmy przyjmować ochotników.

- Ale gdy opuścimy Wolę, co stanie się tutaj z ludnością cywilną? - mówi Czarny Jaś.

- A z oddziałami powstańczymi Śródmieścia i innych dzielnic w głębi miasta? - dodaje Andrzej Morro. - Czy ten ratunek naszego zgrupowania nie przyśpieszy i nie zaostreży katastrofy całości?

- Ludzie, ludzie - zastanówcie się, czyż jesteśmy w stanie, my, kilka batalionów, przyczynić się poważniej do osłonięcia ludności cywilnej, do uchronienia jej od cierpień? I czy jesteśmy w stanie odroczyć los powstania?

Jerzy, który to powiedział, stoi całkowicie na stanowisku Radosława, ratującego od zagłady bodaj część wojska i część młodzieży. Wśród milczenia, jakie zapanowało, odzywa się po pewnym czasie głos Andrzeja Morro. Mówi powoli, cicho:

- Nie zostawia się w nieszczęściu przyjaciół i bliskich.

Większość odczuwa, iż słowa Andrzeja są odbiciem ich myśli. Wie o tym Jerzy, tym więc goręcej przeciwstawia się Andrzejowi.

- Ale przecie Radosław nie ma zamiaru zostawić powstania własnemu losowi!

Wyjdziemy z Warszawy nie po to, aby ratować własne skóry, lecz aby współdziałać w walce od zewnątrz. Jesteśmy przecież oddziałami kadrowymi, gdy wchłonimy terenowe grupy AK, gdy dostaniemy z Kampinosu broń zrzutową, gdy połączymy się z partyzantami kampinoskimi, których jest ponad tysiąc, staniemy się w ciągu kilku dni jednostką wielkiej siły i jakże dla Warszawy pożyteczną. Tylko czy powstanie ma w ogóle szanse? Co o tym sądzisz, Piotrze?

- Szanse? Chyba istnieją, choć niepewne. Oto jedna z nich: Mikołajczyk dotychczas znajduje się w Moskwie i rokowania tam trwają. A oto druga:

Powstanie okazało się nieskuteczne w ofensywie, ale może być twarde w obronie.

Ponieważ każdy z nich wyrwał się do „twierdzy” na krótko, porzucając jakieś zajęcia, zaprzestają rozważań ogólnych. Niezależnie od tego, co każdy sądzi osobiście, są wojskiem.

Działają w ramach wielkiego aparatu, któremu są podporządkowani. Samodzielność ich decyzji jest żadna. Zasepieni opuszczają pokój Piotra.

Bez związku z decyzją Radosława, ale w tym samym mniej więcej czasie naczelnik Szarych Szeregów - Stefan Orsza - postanowił wyjście „Pasieki” (taki był kryptonim kierownictwa Szarych Szeregów) z Woli do Śródmieścia. W pierwszych dniach powstania „Pasieka” pracowała w oparciu o bataliony „Zośka” i „Parasol”, ale przeciąganie się walk spowodowało konieczność przejścia do Śródmieścia, aby zorganizować tam całość powstańczej pracy szaroszeregowej i objąć kontrolę nad oddziałami i służbami Szarych Szeregów we wszystkich dzielnicach miasta.

Oto dlaczego Czarny Jaś rozmawiając z Piotrem po zakończeniu ogniska w „twierdzy”, podniósł się w pewnej chwili z kamiennej płyty grobowca i powiedział: - Już czas na mnie, muszę jeszcze spakować się.

Zespół, który w godzinę potem ruszył do Śródmieścia, liczył siedem osób.

Prócz Jasia szła także Irka, teraz łączniczka „Pasieki”. Gdy grupa ta, ze Stefanem Orszą i Jackiem na czele, pożegnała ostatni posterunek oddziałów Radosława, wszyscy uczyli się trochę nieswojo. Wprawdzie szli w dalszym ciągu ulicami obsadzonymi przez oddziały powstańcze, ale powstańcy byli tu nie umundurowani i w swoich marynarkach, swetrach, półbutach, a czasem sandałach czynili wrażenie jakby mniej wojskowe. Byli niezbyt liczni i rzadko który miał karabin. Tym bardziej broń maszynową. Na panterki i pistolety grupy szaroszeregowej patrzyli z zazdrością, a na ich posiadaczy z lekkim wykrzywieniem warg.

Swąd spalenizny wzrastał i luna stawała się intensywniejsza. W niektórych miejscach dolatywał ich uszu charakterystyczny trzask płonących zabudowań.

Pojedyncze strzały i serie z broni maszynowej nie milkły, lecz wydawały się jakieś przypadkowe, chaotyczne. Wybuchów nie było. Widocznie lotnictwo, artyleria i czołgi przerwały swą czynność po całodziennym aktywności.

Kilkakrotnie na polecenie posterunków skręcali z ulic w bramy i posuwali się naprzód podwórzami przez dziury w murach i płotach lub piwnicami, które tu i ówdzie tworzyły dzięki przekopom długie, choć zawile ciągi. Jakby jakieś pogmatwane uliczki podziemne.

Choć było blisko północy, wielu ludzi nie spało. Siedzieli na swych pakunkach w piwnicach i korytarzach często całymi rodzinami, stali pod ścianami domów i w bramach. Przeważnie milczeli.

W pewnym momencie grupa Orszy wyszła na duży ogród między kilkoma domami i stanęła niezdecydowana. Ogród był zatłoczony przez biwakującą na nim masę ludzi, z płaczącymi dziećmi, zdenerwowanymi głosami kobiet, klątwami mężczyzn, jękami i szlochaniem.

Ubrania tej ludzkiej masy przesycone były dymem, uwalane wapnem i sadzą, upstrzone puchem, pierzem. Zwarte grupy otaczały kilka postaci w białych kitlach pielęgniarskich - to właśnie stąd rozlegały się zawodzenia i jęki i stąd niekiedy promieniowały przykre zapachy.

- Co tu się dzieje? Skąd państwo jesteście? - spytała Irka jakiejś kobiety.

- Z Płockiej, z Górczewskiej. Niemcy mordują tam ludzi, palą domy.

- Kiedy to było?

- Jak to „kiedy było”? Teraz! Cały dzień, cały wieczór. Najpierw w dzień rzucali bomby z samolotów i niszczyli domy czołgami, a potem chodzili z wielkimi bańkami na plecach i tryskali ogniem na to, co jeszcze stało nie ruszone. A inni wywlekali ludzi z domów i mordowali. I znikąd ratunku, o Boże, Boże...

Irka tłumiąc zdenerwowanie rozpytuje dalej:

- A Szpital Wolski? (Do ogromnego tego szpitala przy Płockiej w pierwszych dniach powstania odsyłano rannych „Zośki” i „Parasola”.) - Szpital Wolski? Nie ma go już.

- Nie ma szpitala?

Do rozmawiających podchodzą inni. Patrzą ponuro i teraz oni się z kolei dziwią.

- To nic nie wiecie o Szpitalu Wolskim?

I zaczynają opowiadać o czymś, co wydaje się tak nieprawdopodobne, tak nierzeczywiste, że Orsza kilkakrotnie przerywa, aby się upewnić, co opowiadający widzieli na własne oczy, a o czym tylko słyszeli i od kogo. Po kilkudziesięciu minutach dla nikogo już nie ulega wątpliwości, że stoją wobec jednego z najokrutniejszych faktów wojny: SS-mani wpadli do szpitala i wyprowadzili na dziedziniec personel lekarski oraz pielęgniarki i wszystkich pomordowali. Dyrektor szpitala, doktor

Piasecki, miał na sobie rękawiczki operacyjne oraz fartuch gumowy, oderwano go od przeprowadzanej operacji. Potem wypędzali z sal chorych i rannych mogących się poruszać i mordowali bezgłośnie. Tylko niektórym udało się schronić lub zbiec. Także część tych, co się nie mogli ruszać, pozabijano w łóżkach.

Mężczyzna, który zaczął swe opowiadanie stosunkowo spokojnym głosem, ostatnie zdanie krzyczał przejmującym falsetem, potrząsając pięścią. W tym głosie wyczuwało się taką nienawiść i ból, że zogniskował on uczucia słuchających, którzy patrzyli na krzyżącego jak zahipnotyzowani.

Gdy Orsza i jego towarzysze wyszli z tłumu biwakującego na zniszczonych grzędach wielkiego warzywnika, usiłowali przypomnieć sobie, kto spośród rannych „Zośki” i

„Parasola” był w Szpitalu Wolskim. Jakiś mężczyzna, który przyłączył się do nich, gdy opuszczali warzywnik, w pewnej chwili odezwał się:

- Szpital Wolski! Przecież nie on jeden. A szpital Karola i Marii na Lesznie? Nawet dzieci z oddziału dziecięcego wyłukli granatami w piwnicy.

I byli tam ranni żołnierze niemieccy, którymi w szpitalu opiekowano się na równi z naszymi.

To ci Niemcy ujęli się za Polakami - tyle pomogło, co kot napłakał: ocalili tylko trochę personelu.

Rozmawiając półgłosem szli ulicą zasłaną szkłem, ułamkami blachy, poplątanymi przewodami, gałęziami rozbitych drzew. Kluczyli wśród wyrw, jakichś rowów, naprędcie robionych zapór, wśród zwałów kamieni, żelastwa i wszelakiego rupiecia; posuwali się w kierunku Chłodnej. Posterunki powstańcze i posterunki obrony przeciwlotniczej, złożone przeważnie z robotników, zgodnie twierdziły, że po przedwieczornych bombardowaniach i pożarach przejść do Śródmieścia już nie ma, że cała Wolska, Chłodna i Żelazna Brama aż do Ogrodu Saskiego są doszczętnie wypalone i opanowane przez czołgi. Młodzi ludzie usiłowali stłumić zdenerwowanie i uparczywie posuwali się ku owym wypalonym domom w nadziei, że jednak znajdą sposobność do przejścia na drugą stronę. Dym i żar płonącej ulicy coraz bardziej męczyły. Odczuwali duże pragnienie, stanęli więc, aby napić się wody z kranu podwórzowego oraz umyć twarz i ręce. Na podwórzu, jak wszędzie, zastali kilku ludzi nie mogących spać. Było to dwóch starszych mężczyzn i kobieta. W ich ruchach, postawach, głosie wyczuwało się przejmujący niepokój. Podeszli do młodych ludzi w panterkach, przyglądali się ich myciu i wreszcie jeden z mężczyzn odezwał się:

- Panowie, co z nami teraz będzie?

Orsza wycierając twarz zbliżył się do pytającego.

- Obawia się pan czego?

- Jakże się nie obawiać! Przecież po Ogrodowej zaraz nasza ulica. Wie pan, co działo się z Ogrodową w ciągu dnia? Wjechało chyba z dziesięć czołgów i za nimi jakieś oddziały piesze.

Ogłosili, że dają ludziom dziesięć minut na zebranie się w podwórzach. Potem oddzielili młodych mężczyzn i gdzieś uprowadzili; a resztę z tobołkami popędzili w inną stronę. I zaczęli domy podpalać

miotaczami płomieni. A jak ludzie, co za pierwszym razem nie wyszli z domów, teraz wybiegali; to podpalacze strzelali do nich. Jutro będzie pewnie kolej na naszą ulicę. Co robić?

Zostawić dom - i dokąd?

Wyszli z tego podwórka jak w ucieczce i kontynuowali swój marsz poszukując sposobu przedostania się na drugą stronę Chłodnej. Atmosfera nieszczęścia i lęku, która panowała tutaj na wszystkich podwórzach i we wszystkich piwnicach, była tak przygnębiająca, że szli już tylko ulicą.

I nagle trafili w nurt ludzkiego potoku, który wyłonił się z boku i dążył w kierunku Starego Miasta. Stanęli przy ścianie domu, aby nie iść pod prąd tych przygarbionych pod tobołami postaci, sapiących ze zmęczenia starców, ciężko oddychających kobiet i mężczyzn, płaczących się pod nogami zaspanych dzieci. Jakaś kobieta potknęła się tuż koło nich i upadła, a tobół przewalił się przez jej głowę. Gdy pomogli jej wstać i chcieli podać pakunek, kobieta przyglądała się chwilę w świetle pożarów ich panterkom, broni, opaskom powstańczym. Nagle, trzęsąc się cała, zaczęła ostrym, przenikliwym głosem krzyczeć:

- Wy, łajdaki, kary na was nie ma. Cóżście zrobili z narodem? Przeklęte diabły. I czemuście, głupki, zaczęli z Niemcami? O Jezu, co wyście narobili, co wyście narobili...

Stali przy ścianie jak pod pręgierzem, ciężko łykając wraz ze śliną głęboką urazę, wstyd i ból.

Milczeli, bo i cóż mogli powiedzieć tej oślepionej przez nieszczęście?

Jakiś wymijający ich mężczyzna w tramwajarskiej czapce pociągnął za rękaw złorzeczącą: -

No, dość już, chodź pani. - Wyszarpnęła tobół z rąk Irki, zarzuciła ze stęknieniem na swe plecy i wzdychając ciężko wmieszała się w przepływający tłum.

Długo stali bez ruchu, choć ludzie z tobołami dawno już zniknęli w cieniach ulicy. Ale cóż pomoże rozpaczliwe szamotanie się myśli? Poszli więc mrużąc oczy w kierunku kłębow dymu, trzasku płonących dachów, wzbijających się fontann iskier. Wciąż pytali o przejścia.

Tu już nie funkcjonowały posterunki opl, ale gdzieniegdzie stały jeszcze posterunki powstańcze. I właśnie jeden z takich posterunków, gdy już tracili resztę nadziei, poinformował ich, że w ruinach po spalonym przedwczoraj domu, koło placu Mirowskiego, jest miejsce „przeskoku” dla kolporterów i gońców.

Poszli tam i zastali około trzydziestu mężczyzn i kobiet z opaskami powstańczymi, oczekujących w piwnicy na swoją kolejną przechodzenia.

Okazało się, że na wprost spalonego domu znajdują się resztki barykady powstańczej, niezupełnie rozjeżdżonej przez czołgi, i że w przerywanym cieniu tej barykady można próbować przeczołgania się na drugą stronę, gdy na ulicy nie ma widzialnych przeszkód.

Ruch przechodzących regulowało kilku powstańców, ostro pilnując, aby przez zbytne zagęszczenie i pośpiech nie spowodować zerwania tej ostatniej już i jakże wątej nici łączącej Wolę ze

Sródmieściem.

Młodzi ludzie w panterkach usiedli na deskach obok dwóch drzemiących kolporterek, powracających po dostarczeniu na Wolę prasy. Pozostało już tylko czekać cierpliwie i mieć nadzieję, iż ich kolej nadejdzie przed świtem.

Irka przytuliła się do Jasia, jakby starając się ogrzać przy nim. Ręce miała rzeczywiście zimne. Głosem pomieszonym z płaczem, którego dotąd u niej nie słyszał, zaczęła mówić:

- Jaś... Czy te ludzkie nieszczęścia nie są naszą winą? Chcieliśmy jak najlepiej. Życie byśmy dali za nich. Ale czy nie wynikło coś przeciwnego?

Czy to wszystko nie przez nas?

Jaś tak ściska palce rąk, że Irka łykając łzy słyszy trzask stawów. I odpowiada dopiero po dłuższej chwili:

- Myślę, Iruśka, że podobne pytanie zadawano sobie nieraz w czasie tej wojny na wielu polach bitew: angielscy oficerowie na plażach Dunkierki, Sowieci - wśród zgliszcz miast białoruskich i ukraińskich, jugosłowiańscy partyzanci - w setkach wsi, których ludność wróg wymordował.

- Więc zarzuty tych nieszczęśliwych wobec nas są niesłuszne?

- Ach, Irko, czemu mnie dręczysz?! To jest zbyt skomplikowane. Ja wiem tylko jedno: spełniamy swój obowiązek.

I po paru chwilach przerwy:

- Naród to wprawdzie także ludność Woli, ale nie tylko ona, bo i ci, którzy żyli przed wiekami, i ci, co będą w przyszłości.

Czują oboje, że drążący ich serca niepokój nie został w tej rozmowie rozproszony całkowicie.

Czy jakiegokolwiek rozumowania są zdolne wymazać z wyobraźni to, co niedawno widzieli i słyszeli?

Obejmują się - i choć obok Jasia pogwizduje któryś z jego towarzyszy, a obok Irki gryzie kostki cukru jedna z kolporterek, dłonie ich w dotyku pieszczoty stopniowo łagodzą udręki niepokoju i napełniają piwnicę łagodnymi tonami barw i melodii.

Ich kolej przekraczania niebezpiecznego wąwozu Chłodnej nadeszła na krótko przed świtem.

Przebrnęli wszyscy szczęśliwie niebezpieczny odcinek, choć czołgając się i posuwając na klęczkach w migotliwych blaskach pożaru przez bardzo szeroką ulicę - mieli dusze na ramieniu.

- Jesteście prawdopodobnie jednymi z ostatnich przybyszów z Woli do Śródmieścia -

powiedział przyjmujący ich z drugiej strony ulicy oficer.

Byli tego samego zdania.

Gdy o świcie szybko szli ulicami Śródmieścia, szczególne wrażenie wywarła na nich ulica Jasna, obwieszona flagami narodowymi i czysto zamieciona. - To teraz centralna ulica powstańczej Warszawy - uśmiechnął się do nich wartownik, rozpoznając w nosicielach panterek przybyszów z innej dzielnicy.

Na Dobrej otworzyła drzwi zaspana pani Janina i, oszołomiona radosnym wrażeniem, obcałowywała córkę, głaskała po czarnej czuprynie Jasia, pytała o Marynę.

Gdy piątego dnia powstania Niemcy zabrali się do Woli serio i w skoncentrowanym działaniu różnych rodzajów broni wyrąbywali drogę przez Wolską i Chłodną do mostu Kierbedzia, wówczas „Parasol” znalazł się od razu w sytuacji tak ciężkiej, jakiej nie wyobrażali sobie dotychczas jego młodzi dowódcy.

Pierwsze uderzenie ugodziło w stanowiska batalionu przy ulicy Wolskiej.

Między innymi w pałacyk Michła (o którym mówiła ulubiona piosenka) i w młyn znajdujący się koło pałacyku. Na załogę tych obiektów zwały się bomby lotnicze. Potem zaatakowały je działa szturmowe. Wreszcie pod osłoną czołgów ukazała się piechota. Skoro to natarcie powstrzymano i piechota cofnęła się, wielki czołg Tygrys podszedł do pałacyku na odległość około piętnastu metrów i walić zaczął z armaty w jego ścianę szczytową. Ściana pękała, kruszyła się, pokrywała wyrwami ukazującymi wnętrze.

Jeremi, dowodzący osobiście na tej najbardziej zagrożonej placówce, uwijał się jak w ukropie, co kilka minut zmieniając stanowiska załogi. Gdy działo czołgu biło, obrońcy kryli się w piwnicach. Gdy milkło, wbiegali na piętro, gotowi do przeciwstawienia się natarciom.

Parę razy wbiegali niepotrzebnie, ale za trzecim razem po zamilknięciu czołgu ukazała się znów na ulicy piechota.

I oto Gryf - odważny i bystry dowódca plutonu - nie czekając na rozkaz Jeremiego, krzyknął:

- Mój pluton za mną! Na ulicę!

Gdy biegli za Gryfem przez podwórze, serca podchodziły im pod gardła: na ulicy, naprzeciw pałacyku stał przecież czołg!!! Gryf jednak wiedział, co czyni: wyłonił się ze swym plutonem na Wolskiej w chwili, gdy piechota niemiecka była już blisko. Wyłonił się z boku od czołgu, poza zasięgiem jego wizjera.

Wściekła strzelanina, którą rozbrzmiała ulica między pałacykiem Michła a fabryką Franaszka, była strzelaniną niemal jednostronną: strzelali ludzie Gryfa, wspierani z okien przez Jeremiego. Niemiecki oddział piechoty, zaskoczony, oszołomiony, rzucił się do ucieczki, ścieląc ulicę ciałami zabitych i rannych. Kiedy czołg, dygocąc motorem i zgrzytając gąsienicami, zaczął obracać się, Gryf ostrym gwizdem odwołał pluton za mur.

Zdążyli.

Po pewnym czasie pod pałacik nadjechało dodatkowo działo szturmowe.

Nieprzyjaciel podpalił też miotaczami płomieni sąsiednie domy. Pociski armatnie kruszyły ściany, ogień nieprzyjacielskiej broni maszynowej utrudniał nie tylko walkę, ale i obserwację.

Dym, płomienie otaczały zewsząd pałacik i młyn.

Na rozkaz Pługa Jeremi zarządził opuszczenie stanowiska. Odchodził jako jeden z ostatnich.

Dostał wówczas postrzał w szyję. Biegąca u jego boku Jasia podsunęła się pod ramię rannego i objąwszy go - podtrzymała w biegu. Gdy znaleźli się w bezpiecznym miejscu, Jeremi przyklęknął. Otoczyli go chłopcy. Jasia wystraszona zakładała drżącymi rękami opatrunek.

Pierwsze oszołomienie minęło i zorientowano się, że rana nie jest niebezpieczna: krwawienie było stosunkowo słabe. Żadna z arterii i żył nie została tknięta. Po zabandażowaniu szyi i kilku łykach wody Jeremi wstał i objął dowodzenie.

Czym dla pierwszej kompanii było powstrzymywanie natarć nieprzyjacielskich wzdłuż ulicy Wolskiej, tym dla kompanii drugiej stały się działania opóźniające wzdłuż ulicy Górczewskiej. Początek tych walk związał się z bolesną stratą: poległ wówczas Andrzej Wojnicz.

Nie był to dowódca wysokiej rangi ani też stary „parasolarz” - wszedł do batalionu na czele własnej drużyny zaledwie miesiąc przed powstaniem.

Wiedzano wprawdzie, że drużyna Wojnicza jest dobrym zespołem, od dawna działającym w konspiracji. Była to jednak grupa „dorosłych” i nikt tych ludzi nie znał. Nie mieli oni nic wspólnego z Szarymi Szeregami. Początkowo nie zbliżano się jakoś do nich i nie zwracano na nich większej uwagi.

Ale już od pierwszych godzin powstania drużyna pokazała bardzo wysoką klasę żołnierską.

Jej dowódca, Andrzej Wojnicz, z miejsca zyskał opinię człowieka, na którym można całkowicie polegać. Okazali się szczególnie mocni w wypadach: zdobyli kilka samochodów, sporo broni maszynowej i jeńców.

Gdy czołgi niemieckie przystąpiły do niszczenia ulicy Górczewskiej, druga kompania

„Parasola” znalazła się w ciężkiej opresji, a szczególnie - eksponowana placówka z narożnego, piętrowego domu, położonego około stu metrów od ulicy Działdowskiej. Domu tego broniła jedna z drużyn plutonu Kopcia oraz jakiś oddział Armii Ludowej. Powstańcy AL

obsadzili pierwsze piętro, a Garbaty z kolegami - drugie. Ci z dołu byli to mężczyźni starsi od

„parasolarzy” i popijali tego, odgrażając się hitlerowcom: tamci z góry nie popijali wprawdzie, ale też byli pewni siebie i swej broni. Gdy rozpoczęło się natarcie niemieckie, obydwie piętra budynku zamienionego w redutę współpracowały ze sobą zgodnie i walczyły dobrze, ale kiedy nieprzyjaciel



wprowadził do akcji dwa działa szturmowe, kiedy zdawało się, że mury domu zaczynają chodźć, kiedy waliły się ściany i kłęby kurzu zapelniające pokoje wżerały się w oczy i nozdrza, wówczas osłabły serca obrońców. I właśnie wtedy Mirski skierował tu drużynę Andrzeja Wojnicza.

Wbiegali do niszczonego domu od tyłu. Po jednym, po dwóch. Nie mogli przybyć w momencie szczęśliwszym, zamilkły bowiem wybuchy i pod osłoną broni maszynowej oddział

Wehrmachtu ruszył do szturmu. To, co odbyło się w ciągu najbliższych trzydziestu minut, trudno opisać, nikt bowiem z obrońców nie widział dobrze, co się właściwie dzieje.

Rozrzućeni po gmachu, trwali pokuleni i jakby pozrastani z murami przy otworach w odulicznej ścianie domu i gdy dostrzegali biegnących Niemców, strzelali lub ciskali granaty.

Czuli jednak, że ci nowi wzięli na siebie poważny ciężar walki oraz inicjatywę w walce.

Tym razem natarcie zostało powstrzymane i tym razem czołgi nieprzyjacielskie odjechały. Ale wśród poległych był także Andrzej Wojnicz, główny sprawca zwycięskiej obrony.

Po zburzeniu i wypaleniu Wolskiej oraz Górczewskiej wojska niemieckie ruszyły na Młynarską i Żytnią, stanowiące jakby dwa ramiona odgradzające cmentarze wolskie od wyrąbywanej przez nieprzyjaciela trasy. Na oddziały „Parasola”, wsparte o barykady Żytnia -

Karolkowa i Żytnia - Młynarska oraz rozlokowane na przedpolu ogrodów szpitala Karola i Marii, waliły z samolotów bomby burzące. Kiedy ustawały ataki z góry, wjeżdżały w ulice czołgi i biły z dział wszędzie tam, gdzie dostrzegały jakikolwiek ruch, oraz w budynki nie ogarnięte pożarem. Ponadto nie wiadomo skąd nadlatywały duże pociski artyleryjskie, rwały się pociski granatników, nieustannie trzeszczała broń maszynowa. A wszystko to było w swędzie dymów, w trzasku płomieni, w opadającym pyłe popiołów. Czy można dziwić się, że po jednym dniu tego wszystkiego „Parasol” poszarpany i skrwawiony otrzymał rozkaz wycofania części swoich oddziałów w kierunku Gęsiówki i na cmentarze, gdzie gęsta zieleń drzew i krzewów oraz tysiące mogił zapewniały skuteczniejszą osłonę.

Pluton Gryfa walczył w rejonie barykady na rogu Młynarskiej i Żytniej. Tu właśnie Jasia -

blada, zdenerwowana - dostarczyła rozkaz Jeremiego o niezwłocznym wycofaniu się na cmentarz kalwiński.

- Niezwłocznie? - mamrotał Gryf przyglądając się przez szparę między workami zawalającymi okno pierwszego piętra, jak w ulicę wjeżdżają powoli trzy czołgi.

- Gryf, Gryf - denerwuje się łączniczka - Jeremi kazał, abyś natychmiast opuścił stanowisko.

Grozi wam zniszczenie.

- Nie gadaj tak dużo, Jasia. Powiedz Jeremiemu, że zostanę tu jeszcze z jedną drużyną, a resztę wyprowadź na cmentarz.

Nie było warunków na spór i zwłokę. Jasia zniknęła. Pobiegnęła za nią także część plutonu Gryfa. A sam Gryf wbrew rozkazowi pozostał z kilkoma chłopcami.

Przypuścił do barykady czołgi nieprzyjacielskie tak blisko, jak tylko się dało. Za czołgami posuwały się kolumny nieprzyjacielskiej piechoty. Gdy wreszcie Gryf wrzasnął rozkaz, butelki z benzyną i granaty dosięgły łatwo pierwszego czołgu, a pociski karabinów, pistoletów i broni maszynowej bić poczęły szybko, nerwowo w biegnących naprzód Niemców. Po kilku minutach na jezdni i chodnikach leżało około dwudziestu nieprzyjacielskich żołnierzy.

Jeden z czołgów płonął. Chłopcy chyłkiem, wykorzystując konsternację nieprzyjaciela, przemknęli się na cmentarz, unosząc rannego Gryfa, który za swą niekarność otrzymał Virtuti Militari.

Teraz cmentarz kalwiński oddzielony był od atakującego nieprzerwanie nieprzyjaciela tylko zabudowaniami Ewangelickich Domów Starców. Niedawne te kwatery „Parasola” stały się z godziny na godzinę pierwszą linią frontu.

Frontu ruchomego, który łamał się i kruszał pod twardymi uderzeniami niemieckich wozów pancernych, artylerii i lotnictwa.

Kompania Rafała wpada do izb jednego z tych domów, aby obsadzić okna pierwszego piętra.

Rozgorączkowany powstańcy, podnieceni bitwą i zawieszony nad ich głowami katastrofą natrafiają w jednej z sal na grupę rannych Niemców. Granatami w nich!

Na szczęście w pierwszej fali nadbiegających powstańców jest także Rafał.

- Stać, wariaci! Co robisz, Aldi! Aldi, psiakrew, ręce przy sobie!!

Już oprzytomnieli. Podbiegają do okien, umacniają je w pośpiechu czym się da i zaczynają pojedynczo strzelać do ukazującej się nieprzyjacielskiej tyraliery. Któryś jeniec, ranny w nogi, podczołguje się do Rafała i o coś go prosi. Ten kiwa głową.

- Anno, zorganizuj wycofanie tych rannych gdzieś na tyły. Może do „twierdzy”.

Rejon Domów Starców został przez „Parasola” utrzymany.

Konsekwencje „wyrąbywania” przez Wolę drogi niemieckiej zwały się na trzecią kompanię

„Zośki”. Dnie 7 i 8 sierpnia stały się dla tej kompanii, podobnie jak dla wielu innych oddziałów powstańczych, złym czasem.

Na rogu Okopowej i Żytniej znajdowała się barykada, której broniła właśnie kompania Giewonta. Sam Giewont z plutonem Howerli ulokował się przy barykadzie. Pluton drugi z Michałem na czele zajął pasaż w fabryce Schichta, aby uniemożliwić uderzenie w barykadę z boku, od rogu Żytniej i Okopowej.

Gdy niemieckie oddziały pancerne przy pomocy lotnictwa i piechoty przebiły drogę wolską i

przystąpiły do prób wzięcia „w kocioł” cmentarzy wolskich, stanowiących terytorialny trzon zgrupowania Radosława; barykada Giewonta, ciągnąca się przez całą szerokość Okopowej na wprost placu Kercelego, stała się poważną w tym miejscu przeszkodą ograniczającą działania nieprzyjacielskie. Dowództwo niemieckie, zniecierpliwione przedłużającym się oporem barykady, rzuciło na nią takie siły, jakie tylko mogły pomieścić swe działania w gardzieli Okopowej i pasażu koło fabryki Schichta. Te właśnie uderzenia zwały się na dwa plutony Giewonta w dniach 7 i 8 sierpnia. Nie wyjaśnione odejście batalionu Sosny odsłoniło lewe skrzydło zgrupowania Radosława. Sytuacja barykady była niezwykle ciężka.

Taktyka Giewonta była prosta: ludzi trzymać w budynkach. Gdy tylko czujki sygnalizowały zjawienie się czołgów lub piechoty, część ludzi stawała pod barykadą. Inni obsadzali okna pierwszego piętra kilku domów Okopowej i Żytnej na przedpolu barykady. Ten system obrony, mimo potoku pocisków walącego w odcinek kompanii, dawał dobre rezultaty; jeden wrak czołgu już wyciągnęli Niemcy sprzed barykady. Najgroźniejszego dla obrońców niebezpieczeństwa - pożaru zajmowanych przez nich domów - dotychczas udawało się uniknąć między innymi dzięki odwadze i ofiarności obrony przeciwlotniczej, zorganizowanej przez robotników mieszkających w tych domach.

Ale nadszedł moment, w którym zamarły serca obrońców.

Ucichły ostatnie wybuchy. Czujka gwałtownie sygnalizowała pojawienie się czołgów.

Wyznaczeni powstańcy wyskoczyli ku barykadzie. Sanitariuszka Maryna podciągnęła do włazu piwnicznego nosze i również wybiegła pod barykadę. W pierwszych chwilach ścielący się od Leszna dym utrudniał rozpoznanie. Gdy wreszcie dojrzeli to, co sunie w stronę barykady, opadły im ręce. Dwa czołgi pełzły obok siebie szeroką jezdnią Okopowej, za nimi -

pluton piechoty, a przed czołgami - tłum kobiet i starych mężczyzn... Tłum ten zbity w ciasną gromadę postępował w niemym milczeniu, niektórzy spleli się rękoma, kilka kobiet niosło dzieci, a wszyscy starali się iść jak najwolniej; wydawało się, iż czołgi wnet gnieść zaczną stalowymi gąsienicami tych, co są na końcu.

- Chłopcy, kochani, nie strzelajcie - nie może się opanować sanitariuszka.

- Uspokój się, Maryna - mówi Giewont usiłując nadać głosowi normalne brzmienie. I nieco głośniej:

- Uwaga, pluton na barykadzie, nie strzelać.

Powtarzam: nie strzelać i nie rzucać butelek. Barbara, biegiem do Schichta, do Michała, niech przepuści ludzi - i w szkopów!!

Mijają sekundy. Bezbronna masa ludzka przed czołgami, czołgi i piechota suną powoli ku barykadzie. Sto metrów... osiemdziesiąt... czterdzieści...

- Ludzie - woła Giewont - biegiem do nas i bokami w Żytnię, w Żytnię za domy!!

Tłum rzuca się ku barykadzie. Na przedzie kuśtyka jakiś stary człowiek o jednej kuli zamiast nogi. Czołgi przyśpieszają ruch... Jeszcze sekunda, druga... Jeszcze chwila... Jazgot niemieckiego karabinu

maszynowego wypełnia wąwóz ulicy i w tej samej chwili Michał

spoza Żytnej krzyczy pełnym głosem:

- Ognia!

Przed oczyma wirują ludzkie postacie. Dymią lufy karabinów i pistoletów, rozrywają się pociski granatów, pękają butelki. Jęk i krzyki włączają się w ten chór grozy. Benzyna na jezdni płonie. Jeden z czołgów wycofuje się ku tyłowi. Żołnierze niemieckiej piechoty usiłują kryć się po bramach.

Szturm odparto. Maryna na czele swoich kilku sanitariuszek wyciągała z ulicy ciała zabitych i rannych kobiet, mężczyzn i dzieci spośród tych, którzy nie zdążyli na czas zbiec w Żytnię lub przelecieć za ochronny wał barykady. Myślała, że zemdleje... Po raz pierwszy od wybuchu powstania zwlekała z udzieleniem pomocy rannemu Niemcowi i musiała się przemóc, aby po opatrzeniu ludzi pędzonych przed czołgami i kilku rannych obrońców barykady (Karola Czarnego, Rocha) zabrać się wreszcie do ran tamtego człowieka.

Gdy skończyła, podeszła do niej nowa łączniczka, Renia. Trzymała w ręku butelkę wina z francuską nalepką i zawstydzonym głosem powiedziała: - Maryno, dla rannych.

Sposób, jaki zastosowano, by zdobyć barykadę Giewonta, mógł złamać odporność moralną obrońców. Ale wywołał skutek odwrotny. W pół godziny po tym natarciu do Giewonta zgłosiło się trzech robotników z obrony przeciwpożarowej i poprosiło o wcielenie do kompanii oraz danie jakiegokolwiek broni. Także lżej ranni żołnierze, którzy dotąd przesiadywali w piwnicach, zwrócili się o przydział zadań bojowych lub służb.

Barykada wydawała się trwalsza i mocniejsza niż kiedykolwiek. Nadeszły także posiłki.

Tymczasem na terenie dziedzińca fabryki Schichta drugi pluton Giewonta, dowodzony przez Michała, prowadził ciężką walkę, chroniąc barykadę przed uderzeniem z boku. Wchodziło się do Schichta od ulicy Leszno, a wyjść można było na Żytnię, tuż koło prawego skrzydła barykady. Pluton Michała najpierw bronił głównego wejścia od Leszna i dużego dziedzińca fabrycznego. Gdy jednak nieprzyjaciel opanował frontowy dom i uprowadziwszy zeń ludność, podpalił, Michał wycofał się na małe podwóreczko za Schichtem i tak obsadził

czworobok domów, że mógł chronić je przed podpaleniem oraz razić wdzierających się na podwórze.

Te dwadzieścia cztery godziny, które zainaugurowało pierwsze natarcie nieprzyjacielskie na podwórko, stały się dla plutonu Michała pamiętne na zawsze. Atakującymi byli Kałmucy dowodzeni przez oficerów niemieckich oraz jakaś kompania niemiecka. Siedem razy wdzierał

się nieprzyjaciel na podwórko, usiłując zdobyć przejście na Żytnię, i siedem razy wypierali go powstańcy filipinkami oraz strzałami z okienek piwnicznych. Huk rozrywanych granatów w ciasno zabudowanym podwórku był ustokrotniony przez echa odbijane po wielekroć od murów. Obrońcy i nacierający głuchli w tej kanonadzie. Zapach prochu, dymu i kurzu kruszonych tynków męczył,

oddychanie sprawiało ból. Nie było tu bowiem żadnego przewiewu.

Niesamowitość walki potęgowały trupy poległych, rozrzucone po podwórku i szarpane przez odłamki granatów ciskanych na kolejne fale nacierających.

Walczone w odcięciu od macierzystej kompanii. Ogień zaporowy nieprzyjacielskich karabinów maszynowych wzdłuż Żytniej uniemożliwiał przebieganie. Chleb i konserwy przerzucano obrońcom przez ulicę.

Ósmego sierpnia wieczorem Giewont otrzymał rozkaz opuszczenia barykady i Schichta oraz połączenia się z trzonem zgrupowania. Rejon „Telefunkena” przechodził ostatecznie w ręce nieprzyjacielskie.

Gdy obydwaj plutony Giewonta, druga kompania „Parasola” i inne oddziały powstańcze odchodziły z tego rejonu Żytniej i Leszna, przynaglone do pośpiechu przez dowódców, żegnały ich ponure twarze zostających kobiet i mężczyzn.

- Narozrabialiście, a my za wszystko odpowiemy - krzyknął jakiś wysoki, chudy mężczyzna i jego głos jakby wyzwolił falę złorzeczeń, która zwała się na głowy umęczonych powstańców wycofujących się w żar płonącej ulicy.

Jedna z sanitariuszek, szczupła, niska, uginająca się pod ciężarem kilku toreb sanitarnych, szepnęła do Maryny:

- Ten wysoki, chudy, co pierwszy zaczął przeklinać, pamiętasz, gdy przed czterema dniami wywiesiliśmy flagę i zebrali się koło tej flagi nie wiadomo skąd ludzie, i zaczęli śpiewać

„Jeszcze Polska”, on też był i tak się cieszył.

- Przestań - mówi Maryna. Nosze, na których leży ciało poległej łączniczki Barbary, zaczynają jej ciążyć; czuje się tak, jakby miała zemdleć.

## VI. NA CMENTARZACH WOLI

Są na Woli obok siebie trzy cmentarze: żydowski - bezdrzewny, porośły tylko krzakami, wypełniony płaskimi grobami i nielicznymi kapliczkowatymi grobowcami, oraz kalwiński i ewangelicki, obydwa niczym park tonące w zieleni drzew i krzewów, z ustawionymi pionowo płytami grobowymi i z licznymi grobowcami, poprzecinane równymi drózkami. Cmentarze są otoczone przez wysokie mury. Do żydowskiego przylega „twierdza” i jest on w zasięgu obserwacyjnym „Zośki”. Do kalwińskiego dotykają Domy Starców i panują tu placówki

„Parasola”. Na ewangelickim - placówki „Parasola” oraz baonu „Wigry”.

Dwie kompanie „Parasola” obsadziły cmentarz kalwiński. Jedna - cmentarz ewangelicki.

Ewangelickie Domy Starców, położone przy Żytniej na skraju cmentarza kalwińskiego, trzymał Wacek.

Tu już cofać się nie należało. Gdy ludzie któregoś nowo uformowanego plutonu, nie zdążywszy ochłonąć z tego, co wycierpieli na Młynarskiej, zaczęli na widok fali nacierającego nieprzyjaciela zrywać się do ucieczki, pojawił się wśród nich Radosław i takim głosem krzyknął kilkakrotnie - stać! - że wydał im się groźniejszy od Niemców. Zawrócili, odparli atak.

Szósty sierpnia był dniem cięższym od poprzednich. Kiedy Jeremi wracał z odprawy od Pługa, powietrze drgało w warkocie maszyn lotniczych. Cały cmentarz buchał rozrywającymi się pociskami i wyrzucaną w powietrze ziemią.

Jeremi położył się pomiędzy dwiema mogiłkami, aby przeczekać nalot. I nagle skurczył się cały w sobie słysząc świst spadającej bomby. Wybuch nastąpił o kilkadziesiąt kroków od niego, opadające grudki ziemi uderzyły go w plecy, nogi, głowę. Położony o dwadzieścia metrów dom administratora cmentarza miał rozwaloną ścianę, drzwi i okna, zerwany dach. Z

rozwalonych pokojów drużyna „Wigier” wynosiła zabitych i rannych.

Jeremi wstał i szedł dalej, atak lotniczy przesunął się ku Młynarskiej.

Jakiś odłamek uszkodził urządzenie sygnalizacji przeciwlotniczej pobliskiej fabryki i umieszczona na jej dachu syrena wyła przeraźliwie, bez końca.

Jeremi przychwycił się na próbie zatkania uszu palcami i to go doprowadziło do równowagi:

„spokojnie, chłopcze, spokojnie, bo się rozkleisz”.

Nareszcie przyszedł do siebie. Jego miejsce postoju jest grobowcem o żelaznych drzwiach obecnie stojących otworem: w podziemnym, murowanym wnętrzu mieszczą się dwie trumny, które ulokowano jedną na drugiej i tak przysunięto do ściany, aby zostało jak najwięcej wolnej przestrzeni. Na trumnach - zwoje jakichś kaplicowych draperii, które w nocy służą Jeremiemu zamiast siennika.

W grobowcu czekał już na niego jeden z dowódców plutonów oraz łączniczka.

- Wiesz, Jeremi, strzelali w nas jak w tarczę na strzelnicy, a potem skokami od domu do domu.

- Kto?

- No, szkopy! I już byli o jakie sto kroków, ale załamali się i prysnęli.

Na razie - w porządku. Tylko ten żar ognia trudno wytrzymać.

- Chcesz czego ode mnie?

- Tak. „Wigry”, ten ich pluton na moim skrzydle, dały znać, że wieczorem opuszczają cmentarz i batalion ich przechodzi na Stare Miasto.

- Co takiego? - pyta Jeremi i wstaje ze stołka, intensywnie patrząc na mówiącego. - Co to znaczy?

- Dostali rozkaz od swego dowódcy zgrupowania, pułkownika Pawła. Podobno Radosława zawiadomili. Ale przyszli do mnie młodzi tramwajarze z Młynarskiej, siedmiu czy ośmiu, i mówią, że jak im damy broń, to tę barykadę obsadzą.

- Dom wariatów - mówi Jeremi i usiłuje spacerować po wnętrzu grobowca, ale gdy to się nie udaje, znów siada i wydobywszy notes pisze w nim szybko kilka zdań. Wydziera kartkę i daje łączniczce, która siedzi na najniższym stopniu grobowca z głową podpartą na rękach i oczyma utkwionymi w Jeremiego.

- Jasiu, zanieś to migiem do Pługa. Po drodze przyślij mi kogo z łączności. Ty, bracie, wydziel drużynę i daj ją natychmiast na barykadę przy ulicy Długosza. Gdyby nawet po odejściu

„Wigier” zostali tam sami, nie wolno im się ruszać, dopóki Pług nie nadeśle rozkazów.

Rozumiesz? Uważaj na niemieckich strzelców wyborowych, ci są tam gorsi od czołgów. Aha

- tramwajarzom podziękuj, broni wolnej nie mamy.

Niedługo był sam. Ktoś przyszedł zameldować, że poza dziurą w murze na wprost kaplicy Knolla kilku naszych padło i nie można wyciągnąć ich ciał.

Fatalny ogień karabinu maszynowego.

- Spróbujcie w nocy - mówi Jeremi.

- Ale jeśli nie utrzymamy się tam do nocy?

- O... - denerwuje się Jeremi - nie zaprzataj sobie tym głowy! W nocy wyciągniecie zabitych.

7 sierpnia walka rozpoczęła się od bardzo wczesnego rana. Utrzymanie barykady przy zbiegu Żytniej

i Młynarskiej, bronionej przez trzy karabiny maszynowe, staje się tak trudne, że Pług zarządza jej przygotowanie do ewakuacji. Oparciem obrony ma się stać teraz wał zbudowany przed bramą cmentarza kalwińskiego i umocniony płytami chodnika. W tym miejscu walczy kompania pierwsza - Rafała, której posterunki rozlokowane są wzdłuż muru cmentarnego od Żytniej. Niektóre trwają na dachach najbliższych parterowych domków.

Natomiast kompania druga trzyma się wciąż jeszcze w ogrodach ewakuowanego szpitala Karola i Marii z drugiej strony Żytniej. Są to najbardziej wysunięte pozycje „Parasola”; ze swych najdalszych posterunków chłopcy widzieli wczoraj dopalający się szpital Świętego Łazarza, położony przy ulicy Leszno naprzeciwko szpitala Karola i Marii. Słyszeli z tamtej strony krzyki i jęki. Głosy mordowanych były tym nieznośniejsze, że wśród rannych znajdował się tam Cyklon, jeden z najbardziej bojowych ludzi drugiej kompanii. Kompanią nie dowodzi już zresztą Mirski - został ranny. Dowództwo objął z lekka ociężały Kopec.

Wśród zieleni krzaków widać niekiedy, jak sady od stanowiska do stanowiska w swych wysokich butach, z ciągle pochyloną głową, z rozpiętym kołnierzem panterki i z natężonym skupieniem na okrągłej, śniadej twarzy. Teraz spostrzegł Pługa. Pędzi ku niemu.

- Panie kapitanie, proszę nie stać! Proszę się położyć!

Pług jednak stoi dalej, oparty o filar bramy. Stoi w gwizdzie kul, wśród pękających tu i ówdzie pocisków granatnika, uważnie wpatrując się w teren.

Jest zaczerwieniony, spocony - rzadko u niego występująca oznaka napięcia wewnętrznego.

Kopec stanął przy Dyrektorze, oparłszy się plecami o drugą stronę filaru.

- Panie Kopec - mówi Pług - proszę polecić drużynie Garbatego, aby zajęła stanowisko bardziej na lewo, o, za tamtym pasmem krzaków - i ręka Pługa wskazuje leszczynowym prętem upatrzone miejsce. - Ma pan jakie kłopoty?

- Panie kapitanie, tamta przebiegająca o dwieście kroków przed nami grupka to nieprzyjaciel.

Nie wolno nam tu stać.

- No, jeśli pan każe...

I Pług szybkim krokiem oddala się w kierunku Żytniej.

Była godzina dziesiąta, gdy zjawił się na stanowisku Wacka w jednym z Domów Starców. Od paru dni gospodarowali tu już wyłącznie powstańcy.

- Co słychać u pana na odcinku?

Gdy Wacek wprowadzał dowódcę batalionu w sytuację, wyszli na długi balkon pierwszego piętra. Okna balkonu miały tylko resztki szyb, a cały mur od strony ulicy połupany był



pociskami. Teraz też, gdy patrzyli na ogromne kłęby dymów pożarowych unoszące się nad Żytnią, Lesznem i Wolską, w mur przy balkonie raz po raz coś uderzało.

Wacek od wczoraj nie wychodził na ten balkon i chętnie zniknąłby stąd jak najszybciej. Ale Pług stał tu obojętny na pociski. Musiał stać i Wacek.

- A gdzie ma pan łączność z lewym sąsiadem?

Wiązka strzałów karabinu maszynowego uderzyła z kierunku Karolkowej nad ich głowami. Z sufitu za nimi posypał się tynk.

- Więc jak jest z tą łącznością na lewym skrzydle?

Długa seria pocisków zadzwięczała o spód balkonu i o podłogę.

Teraz dopiero Pług spojrzał uważnie w stronę Karolkowej i klęknął. Wacek klęknął również.

Niestety, za długo stali w tym miejscu.

Następna wiązka kul dosięgła Pługa. Upadł.

- Jestem ranny.

Na twarzy skurcz bólu i zdumienie.

Wacek chwycił Pługa i ciągnąc począł ku drzwiom balkonu. Nie szło to łatwo, gdyż Pług był wielkim mężczyzną, a Wacek niski, szczupły.

- Bardzo boli - wycedził przez zaciśnięte zęby Pług. Wówczas dopiero Wacek spostrzegł, iż ciągnie za ramię, które jest całe we krwi. Chwycił rannego inaczej. Znaleźli się wreszcie obydwaj w pokoju.

- Sanitariuszka! Sanitariuszka!

Gdy Wacek chciał biec do doktora Maksa, Pług powstrzymał go skinieniem ręki. Był bardzo blady i jawnie walczył z ogarniającym go omdleniem.

- Proszę natychmiast zawiadomić Jeremiego, że ma objąć dowództwo batalionu.

Niewiele przed południem wpadła do grobowca, stanowiącego „miejsce postoju” Jeremiego, Jasia. Na twarzy jej widniało wzburzenie. Jeremi odruchowo wciągnął głębiej powietrze w płuca.

- Jeremi, Pług ranny!

Jeremi powoli zbliża się do łączniczki i wymawia jedno tylko słowo, które mu przeszło przez gardło:

- Szczegóły...

- To było na stanowisku Wacka, w Domu Starców. Na balkonie. Pług był tam na inspekcji. Ma ciężko uszkodzone ramię. Wzięli go do szpitala. Był przytomny. Rozkazał, abyś objął

dowództwo batalionu, i Radosław to zatwierdził, bo gdy przyszedłem, był przy nim Radosław...

Jeremi, co będzie z nami?

Jeremi dopiero teraz, spostrzegłszy lęk w wielkich oczach Jasi, odczuwać zaczyna gwałtowne bicie pulsów na skroni. Pług ranny... Batalion bez Pługa... Jak to może być, aby batalion był

bez Pługa?

- I wiesz, Jeremi, jeszcze jedna bardzo przykra wiadomość. Zginęła Anna, łączniczka Rafała, pamiętasz? Córka Melchiora Wańkowicza.

Dopiero po dłuższej chwili odzywa się Jeremi do Jasi:

- Sprowadź tu na godzinę dwunastą dowódców kompanii.

Narady z Rafałem, Kopciem i Jurkiem Lotem nad sytuacją bojową odcinka zajmowanego przez batalion oraz nad wytycznymi na dzień jutrzejszy trwały około godziny. W planowaniu brali także pod uwagę przebijanie się przez Żoliborz do Puszczy Kampinoskiej. Wiedzieli bowiem od Pługa, że Radosław zwrócił się już w tej sprawie do Komendy Głównej. Rafał

zatrzymał się jeszcze chwilę po odprawie. Był strapiony bardziej niż kiedykolwiek.

- Pług jak Pług - odezwał się do Jeremiego, gdy zostali sami - wyjdzie prawdopodobnie z tej rany, ale Wańkowiczówna? Przyrzekłem matce czuwać nad nią. Gdy biegła ostatni raz z rozkazem, wykonywała moje polecenie...

Nie dokończył zdania i nie pożegnawszy się z Jeremim ruszył ku wyjściu.

Jeremi nie miał czasu na przeżywanie bólu Rafała ani na myślenie o Pługu.

Już wychodzili ludzie, nie mogący się doczekać chwili, gdy w grobowcu Jeremiego nie będzie dowódców kompanii. Wnet jednak przybiegła wystraszona łączniczka pierwszej kompanii i Jeremi rzucił się ku barykadzie przy Żytniej.

Barykada została utrzymana. Jeremi osobiście zorganizował i poprowadził przeciwnatarcie.

Przeciwnatarcie to wsparł ogień zdobywczej Pantery.

Gdy walka wygasła, Jeremi, ledwie żywy ze zmęczenia, umył się pod strażką wody, którą mu Jasia lała z menażki na ręce, i przekazawszy Rafałowi dowództwo, poszedł do szpitala, do Pługa. W szpitalnych miejscach „twierdzy” tłok był ogromny: ranni leżeli po dwóch na jednym łóżku oraz gdzie się dało - na podłogach. Pług miał sytuację nie najgorszą; leżał na łóżku sam, z ręką obandażowaną od dłoni po staw barkowy i umocowaną linkami do ramy wyciągu. Nie spał. Był blady i bardzo

zmęczony.

Jeremi długo trzymał zdrową dłoń człowieka, który stał się dlań wzorem dowódcy i kimś szczególnie bliskim. Nie zdobył się na wyrażenie tego, co czuł.

- Nie jest najgorzej - przemówił pierwszy Pług. - Cóż tam w batalionie?

Dopiero po dobrej chwili Jeremi przełamał wzruszenie i zaczął opowiadać o cmentarzach.

Mówił półgłosem, aby nie niepokoić rannych. W pewnej chwili spytał:

- A jak ostatecznie sprawa odejścia do Puszczy Kampinoskiej?

Pług wykonał gest zniechęcenia.

- Nic z tego. Powiedziano Radosławowi: „Dobijecie powstanie, jeśli wykonacie swe zamierzenie”. No i pułkownik, wbrew własnemu przeświadczeniu, zostaje. Ta decyzja to czyste szaleństwo. Ale skoro klamka zapadła, bić się będziemy do końca.

Pług zamilkł i wpatrywał się w Jeremiego, jakby oczekując czegoś od niego.

- To jasne - burknął tamten.

- Słuchaj, Jeremi: utrzymanie cmentarzy jest bardzo ważne. Dla Starego Miasta i innych dzielnic to szansa, którą tamci wykorzystają, aby jak najlepiej przygotować obronę.

Jeremi kiwnął potakująco głową.

- Trzeba będzie podać do odznaczenia Zabawę. Fantastyczny typ. Uratował nieraz sytuację.

Gdy wracał pośpiesznie do siebie, widział, jak ogromny pożar otacza półkolem ich rejon.

Paliły się od zachodu i północy liczne domy. Zwarte kłęby dymu przenikały przez gęstwą gałęzi drzew cmentarnych, układając się w dziwaczne kształty. Jedną z bocznych ulic szybko biegła grupa mężczyzn, kobiet i dzieci z tobołami na plecach, walizami lub zawiniątkami w ręku.

W swoim grobowcu pobyl krótko. Wysłuchał kilku meldunków i ruszył na obchód, zbierając skrzętnie informacje o położeniu oddziałów nieprzyjacielskich.

I zaczęło się znów! Na cmentarze lunął grad różnorodnych pocisków. Ziemia tryskała pod niebo, odłamki płyt grobowych i żelastwa dzwoniły po grobowcach, ostry trzask broni maszynowej rozlegał się we wszystkich kierunkach, a cały ten chaos dźwięków podwajało echo odbijane od gęstwy drzew. Jeremi doskonale rozróżniał serie strzałów wychodzące z karabinów maszynowych niemieckich i naszych: nasze były krótkie, oszczędne, ich przelewały się potokami nie milknącego jazgotu.

Od Młynarskiej i z boków ruszyło szeroko natarcie niemieckie. Widać było żołnierzy

przeskakujących pojedynczo od domu do domu i przez ulicę. Jeremi pobiegł skulony do trzeciej kompanii i objął bezpośrednie dowództwo.

Przesunął stanowiska lkm i rkm, skierował paru strzelców wyborowych na dogodniejsze miejsca. Gdy fala nacierających załamała się i Niemcy po jednym, po dwóch zaczęli umykać, Jeremi poderwał jeden z plutonów i ruszył za uciekającymi. Przeskoczyli na drugą stronę Młynarskiej, okrążyli jakieś budynki i wpadli w ogrody warzywne. Stąd razili skutecznie uciekających, dopóki nie wymacały ich pociski sąsiedniego oddziału niemieckiego. Jeremi dał gwizdkiem sygnał na wycofywanie się. Odchodząc zrywali w pośpiechu soczyste pomidory.

Siódmy sierpnia mijał w oddziałach „Parasola” jak ciężki chorobliwy sen.

Znikły godziny dnia, posilano się nie wiadomo kiedy i byle czym. Czas stanął w swym biegu.

Cmentarze kalwiński i ewangelicki stanowiły jedyną oazę w morzu płomieni. Ale żar tych płomieni, potęgowany przez żar sierpniowego słońca, czynił z owej oazy miejsce udręki.

Samoloty bombardujące krążą nad cmentarzami. Także dalekie działa pociągu pancernego wstrzelały się w cmentarze. Najbardziej niebezpieczne, gdyż nieobliczalne, są pociski niemieckich granatników. Sanitariuszki nie nadążają z uprzątnieniem rannych i zabitych.

Późnym wieczorem z rozkazu Radosława oddziały „Parasola”, zluzowane przez „Zośkę”, wycofały się z cmentarzy na Stawki, aby wypocząć i zreorganizować się po ciężkich stratach.

Gdy w milczeniu, ciężko wlokąc nogi, ruszyli ku gruzowiskom getta, czerwone od pożarów niebo napełniało cmentarze niesamowitym światłem, które szarzało, brunatniało, fioletowiało od przewalających się chmur dymu. Strzelanina zmniejszyła się, ale nie ustawała.

Na Stawkach spędzili noc i część dnia. Nareszcie mogli pospać spokojnie.

Nie wszyscy zresztą. Jeremi wraz z dowódcami kompanii i plutonów przeformowywał skrwawione bardzo oddziały. Drugą kompanię po rannym Kopciu objął Wacek.

Wieczorem wrócili na swe dawne stanowiska.

Noc minęła stosunkowo spokojnie.

Ranek 9 sierpnia wstał w chmurach i zapowiadał dżdżysty dzień. Pierwsza kompania Rafała szykowała się do uderzenia na kompleks Domów Starców przez cmentarz kalwiński, ale już wkrótce po świcie nieprzyjaciel otworzył na cmentarze ogień tak intensywny, jak nigdy dotąd.

Jeremi, zbudzony z krótkiego snu, zorientował się od razu, iż zanoszą się na silne uderzenie niemieckie. Wybiegł pośpiesznie ze swego grobowca ku stanowiskom 3 kompanii Lota na cmentarzu ewangelickim.

Już po godzinie sytuacja stała się nie do zniesienia. Wśród szczekania cekaemów, grania moździerzy,

grzmotu artylerii i rwących się pocisków żołnierze 3 kompanii czekali na spodziewane natarcie powtulani między groby. Jeremi, pełzając tu i tam, sprawdzał gotowość obronną plutonów.

Nieprzyjacielskie czołgi skończyły wywalać otwory w murach cmentarnych.

Wśród grobów pojawiła się piechota niemiecka. Dwa razy wypierano nieprzyjaciela poza mur cmentarny. Pojawił się tu po raz trzeci i po kilkunastu godzinach zjadłej walki o każdy niemal grób opanował cmentarz kalwiński całkowicie a ewangelicki częściowo. Po pewnym czasie nieprzyjaciel rozpoczął natarcie chcąc zupełnie wyprzeć powstańców także i z tego cmentarza. Żołnierze niemieccy usiłowali posuwać się naprzód pomiędzy mogiłami i pomnikami, ale co pewien czas padali i długo nie ruszali dalej.

Pozostałe groby wciąż dawały ochronę obrońcom, a krzewy maskowały ich ruchy. Dowódcy

„Parasola” resztkami sił wykorzystywali te właściwości terenu, a zarazem przeklinali je, gdyż dowodzenie kompaniami, a nawet plutonami, stawało się fikcją. Na szczęście świeżo zwerbowani żołnierze, częściowo młodzi robotnicy wolscy, wykazywali - podobnie jak weterani „Parasola” - niezwykłą zaciętość. Jeremi, zachrypnięty, spocony, uwalany popiołami i ziemią, nie miał potrzeby zachęcać do trwania: w tym chaosie wybuchów, błysków i świstów ogarniającym oddziały zrodziła się zaciętość tak silna, że ludzie walczyli bez rozkazów jak w uniesieniu. Broniono poszczególnych grobów, odpierano wroga granatami i pistoletem, piersią w pierś. Powiedzenie: „walka na życie i śmierć” w tym miejscu nie było frazesem.

W pewnej chwili Jeremi przywołał łączniczkę.

- Leć do obwodu, do porucznika Wacka. Powiedz, żeby w żadnym razie nie szedł nam z pomocą. Niech przynajmniej druga kompania ocaleje.

Pod koniec dnia tych straszliwych walk siły „Parasola” wyczerpały się.

Były to mimo wszystko nieodpowiednio uzbrojone kompanie, których straty w zabitych i rannych osiągnęły pięćdziesiąt procent. Żaden dowódca i żaden oddział nie utrzymałby się dłużej w tych warunkach. 9 sierpnia przed wieczorem przeważająca część „Parasola” w ogniu wszelakich broni opuściła cmentarz i nocą została wycofana dla wytchnienia na obszar Starego Miasta.

Ale wycofanie się „Parasola” nie oznaczało oddania cmentarza ewangelickiego nieprzyjacielowi. Przeciwnatarcie „Zośki” odepchnęło posuwające się za „Parasolem” fale niemieckiej piechoty. Odepchnęło aż poza mur cmentarza.

Plutony „Zośki”, zajmwszy znów pozycje „Parasola”, przejęły jego zadania bojowe.

Podczas walk o cmentarz ranna została Jasia. W biegnącą z rozkazem łączniczkę uderzył odłamek pocisku armatniego.

Nie był to cios śmiertelny. Jasia ocalała. Lecz...

Odłamek trafił w szczękę dziewczyny. Poszarpał mięśnie, oderwał część kości, ciężko skaleczył język.

Jeremi był porażony cierpieniem.

Jasia nie mogła mówić. Gdy odzyskała nieco sił, poprosiła o ołówek.

Pierwsze zdanie; które napisała drżącą ręką na notatniku polowym podanym jej przez Jeremiego, brzmiało:

Jeremi - boję się, że jestem zeszpecona - Jeremi - nie przestań mnie kochać.

Jeremi upadł przy rannej na kolana, głowę objął rękoma i dłońią zacisnął usta. W gardle czuł spazmatyczny skurcz.

Gdy rozciągnięta kolumna „Parasola” po opuszczeniu cmentarza posuwała się marszem ubezpieczonym przez Gęsiówkę, Stawki i getto, ostrzeliwały ją posterunki nieprzyjacielskie skądś z daleka. Po pewnym czasie oddziały weszły wreszcie na stosunkowo spokojny obszar dalszego getta. Jeremi i Rafał przepuścili naprzód plutony i około stuosobową grupę jeńców.

Szli na końcu. Jeremi powłóczył nogami, potykając się o gruzy. Rafał szedł znacznie lżej od swego towarzysza, zwykłym, kołyszącym się krokiem.

- Należy ci się ode mnie podziękowanie - zaczął Rafał. - Bez twojej szybkiej interwencji koło grobowca Halpertów byłbym już chyba u Bozi. Ja i połowa mojej kompanii.

Jeremi włókł się dalej w milczeniu.

- No, chłopie, czemu osowiałeś? To przecież wojna, sam tyle razy mówiłeś.

Jeremi nie reagował. Rafał też zamilkł, zniechęcony. Był o jakie pięć lat starszy od Jeremiego i jeszcze niedawno był jego wychowawcą, ale teraz szedł przecież obok swego dowódcy batalionu. Przemógł się i zwrócił się jeszcze raz do Jeremiego:

- Jeremi, przecież ty musisz trzymać w garści swoją wrażliwość. Nie możesz uprawiać huśtawki uczuciowej, bo się wypompujesz doszczętnie.

Łuny dalekich wolskich pożarów pozwalały rozpoznać majaczące już zarysy domów Bonifraterskiej.

- Jeremi, ile ty właściwie masz lat?

Po raz pierwszy w czasie tego marszu we dwójkę Jeremi otworzył usta:

- Dwadzieścia jeden...

Jeżeli plutony „Zośki”, obejmując cmentarz ewangelicki po odchodzącym „Parasolu”, tak skutecznie i

szybko zrolowały nieprzyjaciela, to zasługa tego czynu bojowego opromienia przede wszystkim kapitana Jana, miedzianowłosego bożka wojny, jak go żartobliwie nazywał

Andrzej Morro.

Kapitan Jan już przed paroma dniami opracował pomysł, dla którego urzeczywistnienia zgromadził odpowiedni materiał i cierpliwie czekał na sposobność. Gdy batalion „Zośka” obejmował pozycje „Parasola” na cmentarzu i w przerwie między natarciami piechoty nieprzyjacielskiej pokazał się wśród dymów nieba klucz nadlatujących „stukasów”, kapitan Jan, znajdujący się wraz z „Alkiem” na skraju cmentarza, rozpakował szybko plecak i po chwili w górę wystrzeliła niemiecka biała rakietka sygnałowa, podająca lotnikom kierunek bombardowania. Za nią druga, trzecia. Wynik przeszedł najśmielsze oczekiwania: „stukasy” od razu przeszły w loty nurkowe i na zajętej przez Niemców część cmentarza runęły bomby.

Gdy ostatni ze „stukasów” wyrównał lot, kapitan Jan nie panując nad sobą rzucił się naprzód krzyżąc głośno „hura”! Za nim, z krzykiem „hura”, biegł Kołczan, cały „Alek” i część „Maćka”.

W powstaniu nie zawsze szło się do natarć z krzykiem. Tym razem krzyk stał się wewnętrzną potrzebą serc tych żołnierzy, tak jednostronnie dotychczas i bezkarnie rażonych przez wrogie lotnictwo.

Po piętnastu minutach cały cmentarz ewangelicki przeszedł w ręce powstańców. Niektóre drużyny zapędziły się za uchodzącym nieprzyjacielem w ulicę Żytnią.

Po usunięciu Niemców z cmentarza ewangelickiego oddziały „Brody” starały się szybko umocnić na odbitym terenie. Nikt się nie łudził: lada moment cmentarz stanie się znów piekłem.

Kołczan energicznie organizował odcinek swego plutonu. Przebiegał od jednej drużyny do drugiej, wyznaczał pole ostrzału, wytyczał linie łączności, wysyłał na przedpola czujki. Jego krótkie nogi nie ułatwiały przeskakiwania przez groby, ale gnała go naprzód pewność, że jeśli nie wykorzysta tych względnie spokojnych minut, to potem mogą się zwać nań ciężkie kłopoty.

Potężny wybuch na pobliskim skrzyżowaniu uliczek cmentarza był jakby zapowiedzią:

„zaczyna się”. Kołczan popędził do swego stanowiska i wcisnął się tam między dwa groby.

Był już czas. Pociski rwały się teraz bez przerwy i ogień lekkich moździerzy wydawał się niebezpieczniejszy niż kiedykolwiek.

Granaty padały gęsto, a niekiedy uderzając w napotkane pnie lub gałęzie, rozrywały się w powietrzu i raziły wówczas na sposób szrapneli. Rozlegać się zaczęły głosy przywołujące pomoc.

- Ty, bracie - zwrócił się Kołczan do leżącego w pobliżu powstańca - skocz do Maryśki, niech weźmie jednego ze strzelców wyborowych i wyjrzy za mur, może uda im się sprzątnąć obsługę któregoś z tych piekielnych granatników.

Goniec zniknął. Kołczan w huku rozrywających się pocisków i w trzasku broni maszynowej przeżywał jakby rozdwojenie psychiczne. Krótka wymiana zdań z ludźmi odchodzącego

„Parasola” nastroiła go poważnie: to nie przelewki, to bitwa prawdziwa, może być bardzo ciężko. Ale równocześnie - cóż na to poradzić! - czuł się dobrze, był zdrow, silny i nie miał

wyobraźni sugerującej strach. Nie bał się. Przeciwnie - jak zawsze w walce - odczuwał

zadowolenie z dowodzenia, radowała go precyzja myślenia wojskowego i sprawność aparatu, którym dysponował. Kochał wojsko. Pragnął zawsze kariery oficerskiej i wierzył, że to jest jego powołanie. Zresztą, czyż „Alek” nie stał się najsprawniejszym plutonem w „Zośce”, a może i w całym zgrupowaniu?

Gęste wybuchy wzdłuż muru, rozpryskujące się odłamki cegieł kazały domyślać się, że czołgi znów wywalają otwory w murze cmentarza. Dymy płonących domów Żytnej wyciskały łzy z oczu. Obok przebiegła pochylona łączniczka. Jakiś żołnierz prowadził pod ramię ślaniającego się kolegę.

Natężenie ognia wzrastało.

- Nieprzyjaciel na terenie cmentarza - biegnie głośny meldunek po stanowiskach powstańczych. Kołczan zastanawia się, czy nie przedsięwziąć czego na własną rękę, gdy nadbiega łączniczka z rozkazem Andrzeja Morro.

- Szykować się do szturmu - woła Kołczan. - Ładować broń! Niemcy od muru!

Odczekał minutę czy dwie. Przeżegnał się, zerwał i krzycząc „naprzód” skacze zgięty przez groby z visem w dłoni. Jest pewny, że za nim biegną jego towarzysze. Nie ogląda się za siebie. „Naprzód, naprzód”. Widzi przenikających przez mur na cmentarz Niemców. Pada na ziemię za jakimś pomnikiem. Za nim padają inni. Oddycha ciężko. Terkotanie broni maszynowej wypełnia powietrze. Każdą biegnącą od muru alejkę cmentarza i każdą ścieżkę pokrywa potok pocisków.

Odpocząwszy krótko zrywa się znów i biegnąc woła „naprzód”. Póki skacze przez groby, dba tylko o to, aby nie zaczepić o mogiłę, barierkę, wieniec, ale ilekroć musi przebyć ścieżkę lub dróżkę, pragnie mieć pęd strzały.

Słyszy coraz częstsze głosy rannych. Ogień nie do zniesienia. Dalej - wykluczone: śmierć.

Pada znów, odpoczywa.

Teraz z kolei zrywają się od muru Niemcy i skokami, pojedynczo biegną w ich stronę.

Wybuchy, dymy, wytryski ziemi, trzask łamanych gałęzi. Jęki.

Jakaś łączniczka, zgięta niemal do ziemi, skacze przez groby i krzyczy jakby przez łzy:

- Chłopcy, nie dajcie się!



Kończan uśmiecha się i uśmiech ten trwa dłuższą chwilę w jego czarnych oczach, w nieco wysuniętych ku przodowi szczękach i zaczepnym nosie. Leżący za nim młodzi żołnierze powstania są jawnie wzruszeni głosem dziewczyny i nie odrywają przyjaznych spojrzeń od biegnącej.

- Przygotować granaty - rozkazuje Kończan odwróciwszy głowę. I po chwili:

- Czołgać się do alejki. - Posuwają się pełznąć między grobami. Teraz najmniejsze wysunięcie głowy jest niebezpieczne. Wybuchy, gwizd pocisków, ogromne gorąco.

Przed linią alejki rozpełzają się w lewo - w prawo. Czekają ukryci za mogiłami. Czekają cierpliwie w ogniu granatników. Jęki stają się coraz częstsze.

- Podaj lornetkę - mówi Kończan do kogoś z obsługi erkaemu; czując, że długo tu nie wytrzymają. Przykłada lornetkę do oczu. Hełm nasuwa na czoło i ostrożnie wychyla się ku dróżce, przecinającej alejkę w kierunku bramy cmentarza. Z początku w szklach migają mu tylko plamy czerni i zieleni, naraz - wstrzymuje oddech: w polu widzenia zjawia się wielka głowa niemieckiego oficera z lornetką polową przy oczach i Kończanowi wydaje się, iż poprzez szkła obydwu lornet dostrzegł źrenice tamtego.

- Granatami w nich! - wrzeszczy dziko i ciska swój w kierunku Niemca. - Granatami!...

Cisnęli. Odczekali i rzucili się naprzód skacząc przez alejkę i poprzez gwizd kul.

Niemcy znów zostali wyparci za mur.

Mijały godziny. Nieprzyjaciel ponawiał natarcia, chłopcy „Zośki” trwali, cofali się lub próbowali przeciwnatarć. W tym zgiełku, huk, dymach i krwi Kończan z niepokojem obserwował pracę sanitariuszek. Odczuł skurcz serca, gdy wpatrując się we wleczone ciało powstańca, który wyskoczywszy przez dziurę w murze cmentarza usiłował zniszczyć granatami czołg, rozpoznał nieżywą twarz Małego Tadzia, brata Czarnego Jasia; zzymał się na cywilne myślenie tego chłopca, lekceważył jego zainteresowania sztuką graficzną, ale przywiązał się doń w czasie dywersji. Ścisnął zęby i poczołgał się ku tyłowi. Dotarł do ścieżki, gdzie zobaczył całą obsługę karabinu maszynowego, od której niedawno pożyczał

lornetkę. Leżeli nieruchomo w nienaturalnych pozach. Sprawdził - wszyscy zabici. Naciągnął

mocno rzemień hełmu i pełznął dalej. Dopiero widok Maryśki przywrócił mu równowagę psychiczną; ten ulokował się za wielkim pomnikiem wygodnie położonym przy zbiegu dwóch ścieżek i mierzył spokojnie ze swego niezawodnego karabinu w żołnierzy nieprzyjacielskich, usiłujących przenikać na cmentarz. Nie mógł się jednak Kończan zdobyć na uśmiech dla Maryśki ani dla tego drugiego, który przeskoczył niebezpieczną ścieżkę i podczołgawszy się do zabitego Niemca, odpina mu pistolet. Równocześnie ktoś inny z „Alka” zbiera broń leżącą przy zabitych kolegach.

Mijają godziny. Wybuchy, świsty i dymy nie ustają. I znów: - Niemcy od muru!

- Pojedynczo, skokami naprzód - rozkazuje Kończan. Jak zwykle zerwał się pierwszy, ale widząc padającego tuż obok człowieka, zatrzymuje się, pomaga wstać rannemu i prowadzi go do punktu

sanitarnego. Ranny jęczy i zaczyna narzekać: - Boli... boli... boli. - Cicho, uspokój się - mówi Kołczan - i nie jęcz, bo nie ma czego. - Jest zły na siebie, że zajął się rannym, zamiast posłać z nim któregoś ze swoich. Wrócił na linię. Przednia tyraliera nacierającego

„Alka” była już znacznie wysunięta naprzód, zsunąwszy więc dla ochłody hełm z czoła, zaczął biec w tamtym kierunku, wymijając żołnierzy jakiegoś oddziału „Parasola”, skierowanych ze Starówki dla wzmocnienia obrońców cmentarza. Gdy przeskakiwał jedną z alejek, stanął nagle wyprostowany, ręce wznosił ku głowie i runął na jakiś grób.

- Kołczan ranny - biegnie wieść po linii. Ten i ów zaczyna pełznąć tam, gdzie upadł Kołczan, na przedzie dwie sanitariuszki. Już po chwili pierwsza z nich nieruchomieje zabita, druga -

Ziuta z „Parasola” - dostaje ciężki postrzał. Jeszcze jedna dziewczyna próbuje dotrzeć do Kołczana - Bożena, też z „Parasola” - i ta zostaje poważnie ranna w biodro. Wreszcie komuś z

„Alków” udało się zbliżyć do swego dowódcy i odciągnąć go w bezpieczne miejsce. Po chwili jest już przy Kołczanie kilku, wszyscy przyplaszczeni do ziemi spoglądają na leżącego, którego ktoś odwrócił twarzą ku niebu. Nie ma wątpliwości - Kołczan nie jest ranny. Kołczan nie żyje raniony śmiertelnym pociskiem w czoło.

- Kołczan nie żyje - rozchodzi się wieść po „Alku”, po „Zośce”, wśród dymu wybuchów i zgiełku walki, poprzez rozszarpywane drzewa i rozrywane groby. Kołczan nie żyje...

Ludzie „Alka” byli tak wstrząśnięci tym niewiarygodnym faktem, że poddali się ogarniającemu ich uczuciu strachu. Ten i ów zrywał się i uciekał ku tyłowi, jak najgłębiej ku tyłowi.

- Chłopcy, oszaleliście? - krzyczy sanitariuszka Joanna. - Zostawiacie rannych!

Kilku umyka dalej, ale większość przystaje i padłszy na ziemię obraca się znów głowami ku nieprzyjacielowi. Dostrzegają poprzez pomniki i luki w krzewach okopujących się Niemców.

- Ja pomogę Joannie, a wy osłaniajcie! - krzyczy Maryśka - tylko bez nawiewania, panowie! -

I biegnie kilkadziesiąt kroków pod ogniem. Gdy oboje z Joanną chwycili leżącego powstańca, wydało im się, że krzewy są tu rzadsze niż gdzie indziej. Dziewczyna dźwiga rannego za nogi, Maryśka za ręce. Ranny pojękuje. Ma poszarpany brzuch. Cięży ogromnie, a udrękę ratujących i ratowanego pomnaża konieczność przechodzenia przez groby, kluczenia między pomnikami i przełazenia barier, gdyż dróżki są pod ostrzałem. Maryśka, wysoki, chudy, męczy się tym dźwiganiem. Na szczęście podbiegają Andrzej Bury i Jaś. Przejmują rannego.

Joanna starła pot z czoła i biegnie znów w stronę stanowisk niemieckich. Ruszył za nią teraz Boruta.

Reszta zaś umacniała się, jak mogła. Już wiedzieli, że nie będą uciekać.

Maryśka, odzyskawszy swój dziwaczny humor, przekrzykiwał wybuchy i gwizd pocisków: -

Hej, wojsko świętej Jadwigi, dziady jedne! Cóż wy myślicie, jak powąchaliście trochę prochu, to już

jesteście wojskiem?

Dopiero gdy noc przerwała natarcia nieprzyjacielskie, pluton „Alek” został wycofany z cmentarza na drugą stronę Okopowej, do fabryki, z dala od terenu bitwy.

Odszedł więc z pola walk Kołczan. Niezwykle odważny i żołniersko twardy Kołczan, którego czyny bojowe w dywersji i powstaniu opromieniały „Zośkę” Równocześnie z Kołczanem śmiertelnie ugodzony został „Alek”, wspaniały „Alek”, którego straty w zabitych i rannych sięgały sześćdziesięciu procent.

Andrzej Morro postanowił urządzić Kołczanowi pogrzeb żołnierski. Gdy nadejdzie spokojniejsza godzina, gdy zamilkną działa pociągu pancernego, na niebie nie będzie samolotów i złowrogie granatniki ograniczą swe wybuchy, urządzi się ten pogrzeb.

Grób zostanie wykopany tuż za „twierdzą” - planuje Andrzej - na skraju ogródka warzywnego. Nie będzie to mogiła indywidualna - na groby jednostkowe nieodpowiedni jest czas. A zresztą, czyż Kołczanowi nie będzie miło, gdy legnie wśród swoich druhów, otoczony przez nich? Andrzej Morro to wszystko dobrze rozważa. Kołczan spocznie w samym środku, otoczony jak całunem ciałami Karola, Jasia, Szarego, Sosny, Małego Tadzia, Wojtka, Krysia...

Będą leżeć wszyscy w wielkiej mogile, szczelnie poowijani w ciemne, jednolitej barwy koce - trumien już się nie robi. Ojciec Paweł odmówi krótką modlitwę i ciała zostaną ostrożnie zsunięte do mogilnego dołu.

Własnymi rękoma zasypie „Rudy” braterski grób. Andrzej wystąpi parę kroków i zaszalutuje świeżo usypany kurhan. Nie wolno mu dopuścić do oczu łez, bo jeśli to nastąpi, wszystkich dookoła ogarnie histeria płaczu. Aby uniknąć załamania głosu przy wydawaniu komendy -

wzniesieniem ramienia nakaże przygotowanie broni do salwy honorowej i opuszczając szybko rękę wywoła salwę.

Planując to wszystko odbywał Andrzej samotnie inspekcję placówek cmentarza żydowskiego; był to już teraz jedyny cmentarz wolny od nieprzyjaciela. Chciał Andrzej zostać bodaj kilkadziesiąt minut sam, aby doprowadzić do porządku nerwy. Kołczan, mimo istniejących między nimi różnic poglądów; był mu tak bliski, jak brat, a śmiertelnie raniony „Alek” to przecież nie tylko doskonały pluton, lecz jakby zespołowe wcielenie Alka Dawidowskiego. A Tadzio Wuttke? Co teraz się dzieć będzie z „Rudym”, „Zośką”, „Parasolem”, gdy tak szybko odchodzą ci, którzy mimo różnic usposobień i ocen byli przecież czołowymi realizatorami szaroszeregowej postawy moralno-społecznej? Czyż przy wyznaczaniu następcy Kołczana na dowódcę „Alka” wolno dziś brać pod uwagę jakiegokolwiek inne kwalifikacje prócz odwagi bojowej i przytomności dowódczej w ogniu nieprzyjacielskiej broni? A przecież nie zawsze cnoty bojowe łączą się z dzielnością cywilną i z szerokością spojrzenia...

Tej nocy Andrzej Morro spał źle i krótko. Z rana był osowiały, ale ogolił się, wymył do pasa, wyczyścił buty. Czynności te, jak zwykle, wywarły swój dyscyplinujący wpływ na samopoczucie

Andrzeja. Wyszedł na odcinki plutonów szybkim krokiem. Ledwo przelazł

dziurą na cmentarz żydowski, musiał skoczyć w najbliższy dół. Fiuuuu-up, fiuuuu-up, fiuuuu-up...

Zaczęło się.

Nieprzyjaciel po ciężkich dla siebie doświadczeniach ze zdobywaniem cmentarza ewangelickiego nie nacierał piechotą, lecz wziął cmentarz żydowski w krzyżowy ogień artylerii i moździerzy, przerywany na krótko nalotami „messerschmidtów”, rażących cmentarz ogniem karabinów maszynowych.

Było to obliczone na skrwawienie oddziałów powstańczych za pomocą broni, wobec których powstańcy byli bezsilni. Ludzie „Rudego” starali się zamienić w kretów i zagrzebaniem w jakieś doły oraz minimalnością ruchów uchronić przed pociskami. Łapali się na tym, że z niecierpliwym upragnieniem oczekują... natarć nieprzyjacielskiej piechoty!

Po południu rozpoczęło się wreszcie natarcie piechoty, która przenikać zaczęła na cmentarz.

Obserwując nowy etap walki Andrzej w pewnym momencie zerwał się i skulony popędził ku stanowisku zdobycznego moździerza, jedyne, którym dysponowała od niedawna „Zośka”.

Dobiegając do obsługi wołał z daleka:

- Co robicie, przerwij ogień! - Dopadł moździerza i chwilę ciężko oddychał wchłaniając dym niedawnego wypału. - Ależ z was wojaki - zaczął - amunicji jak kot napłakał, a wy bijecie w piechotę. O, widzisz, bracie, tamto źródło ognia maszynowego? To cekaem, tam wal.

Rozumiesz? - A gdy po niecałej minucie ustał jazgot wskazanego przez niego cekaemu, Andrzej poklepał po ramieniu celowniczego: - No, strzelec z ciebie niezły.

Aby lepiej wejrzeć w cały teren walki, z którego Niemcy gdzieś zniknęli, Andrzej postanowił wpaść do stanowiska Giewonta, położonego w wieży obserwacyjno-strzelniczej „twierdzy”.

Biegając skokami wśród wybuchających pocisków dopadł wieży, gdzie zastępca Giewonta, Tadeusz, osobiście kierował ogniem.

Wpatrując się uważnie przez jedną ze szczelin w pole walki, Andrzej równocześnie podziwiał

sprawność Tadeusza - Janka Kubackiego. Ten strzelał najpierw z karabinu, wyłuskując pojedyncze postacie wychylające się z otworów w murze cmentarza, ale wnet wziął z rąk celowniczego Zenka erkaem i Andrzej dostrzega, jak równocześnie z echem strzałów erkaemu z wieży wywracają się, kurczą, nieruchomieją lub odczołgują ludzie z obsługi niemieckiego karabinu maszynowego ulokowanego obok białego grobowca pod murem cmentarza. - Jak to dobrze, że w czasie walki nie myśli się o przeciwniku jako o człowieku czującym, cierpiącym i widzi się tylko pionki, które trzeba za wszelką cenę usunąć - mówi łączniczka podając Tadeuszowi amunicję.

Andrzej patrzy wciąż na cmentarz. Widzi wyraźnie, że nie tylko Tadeusz ma doskonały wgląd w przygotowującego się do natarcia przeciwnika. Także nasza broń maszynowa w piętrowych oknach fabryki Pfeiffera ma przed swoimi lufami cały niemal cmentarz żydowski. W pewnej chwili lęk ogarnia Andrzeja.

Dostrzegł, że Niemcy przenikają z opanowanej części cmentarza żydowskiego w gruzowiska getta. Okrażenie! Na szczęście ogień z Pfeiffera jest dla wypadu nieprzyjacielskiego zabójczy i nieprzyjaciel znika z cmentarza.

Teraz powinno się zacząć na całego. Andrzej wielkimi susami zbiega z wieży i pędzi z powrotem do „Rudego” na cmentarz. Jednej z łączniczek każe biec z meldunkiem do Jerzego.

I gdy dostrzegł podrywających się z ziemi żołnierzy niemieckich, woła:

- „Sad”, naprzód!...

Ruszyli pojedynczo, skokami, jak już tyle razy w dniach poprzednich.

Andrzej biegnie koło Czarta i Bonawentury. Mundur brata czuć spalonym prochem, Andrzej niespokojnie kontroluje jego ruchy. W porządku! Dziwnie z tym chłopcem - myśli Andrzej o bracie - w ciężkich walkach odzyskał dobrą formę. - Biegną, padają, biegną. Kryją swe ciała za byle zasłoną, w byle wgłębieniach i strzelają sami ostrożnie się wychylając. Powietrze jest rozedrgane od huków, świstów, uderzeń, szarpnięć, zgrzytów i ludzkich, sporadycznych krzyków. Nie sposób już posuwać się naprzód. Niemcy też nie podrywają się.

- Jasiek - mówi Andrzej do brata - cofnij się ze swą obsługą erkaemu gdzieś w głąb, wybierzcie jakiś wyższy punkt, dobrze go ubezpieczcie i prujcie stamtąd.

- Rozkaz - odpowiada Bonawentura, a Andrzej tym razem znów nie wie, ile w tej odpowiedzi brata jest służbistości żołnierskiej, a ile kpiny zatwardziałego cywila w panterce.

Mijają długie minuty. Widać, jak wtulona w ziemię cmentarza piechota nieprzyjacielska skupia na sobie ogień z wieży „twierdzy”, z Pfeiffera, a pewnie i erkaemu Bonawentury. I oto znów oczy żołnierzy „Rudego” widzą to, co falą podniecenia zalewa mózg: Niemcy zaczynają się podrywać, ale pędzą już nie w ich kierunku, lecz przeciwnie - do tyłu.

Opuszczają cmentarz.

Biegnąc naprzód widzi Andrzej sanitariuszkę i któregoś z chłopców dźwigających na rozwiniętym kocu ciężko rannego. Pociski wybuchają za nimi i przed nimi. Dźwigający poruszają się pośpiesznie, pochyleni, uderzając ciałem rannego o nierówności terenu. Ranny jęczy głośno i woła na pół przytomnie:

- Dobijcie mnie... jak wy niesiecie... dobijcie...

Ogień nieprzyjacielski nie maleje, choć niemieckiej piechoty już na cmentarzu nie ma.

Andrzej wpada w jakiś dół i odpoczywa. Tam właśnie, w owym dole, usłyszał głos sanitariuszki:

- Chłopcy, pomóżcie...

Była to ta sama dziewczyna, która dźwigała na kocu ciężko rannego. Teraz ranny leżał na ziemi obok nieruchomego, zakrwawionego żołnierza, przed chwilą pomagającego sanitariuszce nieść kolegę.

Andrzej podbiegł do tej grupy i stwierdziwszy, że niedawny ratownik nie żyje, pomógł sanitariuszce ułożyć równo na kocu ciężko rannego, który zapadł w omdlenie.

- Niesiemy.

Mimo że po pewnym czasie kto inny zastąpił Andrzeja i ranny odbywał dalszą drogę na noszach, Morro szedł jeszcze parę minut obok niego. Nie mógł strząsnąć z siebie pierwszego wrażenia podobieństwa twarzy rannego do twarzy Zośki.

Przed wieczorem, gdy ogień nieprzyjacielski nieco zelżał, poszedł do szpitala. Nie specjalnie do „swego” rannego, nie był w szpitalu parę dni.

Gdy wszedł do sali, uderzył weń taki fetor moczu, wymiotów, eteru, jodiny, iż stanął czując, jak ślina skupia mu się w ustach i fala mdłości podchodzi do gardła. Przewyciężył się jednak i blady wszedł do środka. Ranni leżeli na łóżkach po dwóch-trzech i między łóżkami, i pod łóżkami. Gdy stał niezdecydowany, jak wkroczyć w ten gąszcz leżących, z sali zaczęły się odzywać głosy.

- Tu, Amorek, ja tu, chodź!

- Andrzej, co tam u „Felków”? Zabierz mnie stąd do plutonu, bo odkituję w tym towarzystwie jak nic!

Przecisnął się ostrożnie i stanął przy łóżku któregoś z chłopców „Alka”.

Rozmowa była jednak utrudniona. Na tym samym łóżku leżał inny ranny, którego właśnie spowiadał ojciec Paweł. Andrzej usiłował nie słuchać tego, co się odbywa między spowiednikiem a bladym, młodzieńskim żołnierzem o amputowanej dłoni, lecz nie mógł -

głosy choć ciche były jednak bliskie.

- Bij się w piersi... Czujesz żal za grzechy?

- ...Nie - mamrocze ranny - żalu doskonałego nie czuję.

- Synu, bij się w piersi i wejrzyj w siebie.

- Nie czuję, ojczy, nie czuję - denerwuje się ranny.

Andrzej Morro nie może opanować uśmiechu, lecz udaje, że ten uśmiech odnosi się do słów chłopca z „Alka”, który właśnie przekazuje pozdrowienia dla kolegów z plutonu.

Po uściśnięciu jeszcze kilku dłoni, także spoconej, prawie bezwładnej dłoni powstańca podobnego do Zośki, Andrzej z ulgą opuszcza teren ciężkiego zaduchu i idzie do Broma, z którym przyjaźnią się od czasu akcji pod Wilanowem. Brom właśnie skończył operację i sanitariuszka sprowadza go do Andrzeja. Lekarz bierze gościa pod rękę i prowadzi do swojej izby, Andrzej zaś z niepokojem wpatruje się w zmienioną twarz Broma, w fioletowe nabrzmienia pod jego oczyma i niezdrowe wypieki na twarzy.

- Cóż chcesz, pracuję bez przerwy już około stu godzin, rozumiesz, co to jest? - mówi Brom jakimś podnieconym głosem. - Gdyby nie postawa moich dziewcząt z sanitariatu, zwariowałbym chyba... Wojna... Rzygać się chce...

- Brom, uspokój się - mówi Andrzej. Wie, że w tym prowizorycznym szpitalu musiały dziać się rzeczy straszne, skoro Brom, ten młody, żywotny, zawsze opanowany i imponujący bojowością Brom, teraz czyni wrażenie człowieka skończonego.

- Słuchaj, Andrzej, nie wiem, co tam myślicie wy, pod otwartym niebem, ale ja w tych piwnicach wiem, że jest bardzo niedobrze. Rozumiesz? Sprawy idą bardzo niedobrze. Dostaję po 50-60 rannych na dobę. Czy ty to rozumiesz? Najcięższe beznadziejne przypadki za każdym razem szarpia sumienie... Jedyne rozwiązanie - przeklęta strzykawka.

Andrzej jest bardziej blady niż kiedykolwiek i może się zdobyć tylko na powiedzenie: -

Trzymaj się, Brom, bo będzie z tobą i rannymi źle. - A po dłuższej chwili:

- Słuchaj, Brom, wszystko rzucam i prosto stąd idę do Jana i Radosława, aby natychmiast rozpoczęto ewakuowanie od ciebie rannych.

- Tak, ewakuacja... - szepce Brom - Radosław już o tym myśli, ale idź do niego, idź.

Ewakuacja szpitala „twierdzy” rozpoczęła się w nocy z 10 na 11 sierpnia.

Była ona tylko fragmentem ewakuacji oddziałów powstańczych z Woli, zdecydowanej przez dowództwo powstania 11 sierpnia po południu ostatnie skrawki tej dzielnicy miały być opuszczone.

Andrzej Morro przewidując, że dzień jutrzejszy, dzień wycofywania się z Woli, nie będzie łatwy, postanowił pójść do siebie, by spróbować zasnąć.

Sen jednak nie przychodził. Gdy leżał po ciemku, w głowie wirowały obrazy ostatnich walk i obrazy ze szpitala, na których tle czarniawy, wyzywający, nieustraszony Kołczan prowadził

jakiś ożywiony dialog z jasnowłosym, kosookim, o nieregularnych rysach Andrzejem Długim.

„Żołnierz na wszystko zdecydowany jest najgroźniejszą bronią wojny” - mówi Kołczan. A Długi, jakby nie słysząc słów Kołczana: „Wartości moralne są cenniejsze nad życie”. I znów Kołczan, zaciskając dłoń w pięść:

„Żołnierz na wszystko zdecydowany to broń, na której widok zamiera serce wroga”. A Długi:

„Tylko w świecie wolności, sprawiedliwości i prawdy warto żyć”. Ale oto Kołczan i Długi zwracają się ku sobie i przerzucają się słowami: „zwycięstwo” - „wolność”, „wolność” -

„zwycięstwo” i słowa te krążą po sali szpitalnej wokół głów spoconych, pobandażowanych, jęczących, wykrzywionych grymasami bólu lub zastygłych w lodowatym spokoju. A w otoku tych twarzy - Brom oraz powstaniec podobny do Zośki, szeroko patrzący swymi niepokojącymi oczyma.

Nie mógł spać. Męczył się. Więc wyszedł z izby i jak ciągnięty przez magnes skierował się ku szpitalowi Broma.

Wywożenie rannych. Jedni leżą na noszach na korytarzu, innych wyniesiono już na podwórze, gdzie pod kierunkiem Piotra odbywa się umieszczanie noszy z rannymi na trzech samochodach; w czwartym - eskorta uzbrojona w pistolety maszynowe. Gdy auta opuściły podwórze i zniknęły w Okopowej, Andrzej podszedł do Piotra.

- O, jesteś - powiedział Piotr. - Ten transport, który teraz odszedł, to trzeci. Rozmawiałem z szoferami, jazdę mają złą: bez świateł, przez gruzowiska getta jadą z dużą szybkością niemal po omacku. A tu chmury zaciemniły blask łun pożarowych. Wyobrażasz sobie, jak tam jest w środku wozów, gdy pędzą po nierównościach getta? Niestety - tak musi być. Całe szczęście, że Niemcy nie wiedzą jeszcze o tych podróżach.

Rozmawiają w mrokach nocy, oczekując na powrót wozów transportowych, i Andrzej po chwili wahania opowiada Piotrowi o dręczących go myślach.

- Wiesz, Piotr, przeżywam godziny słabości... nigdy siebie o to nie posądzałem... Dręczy mnie ogrom ofiar... I nieskuteczność tych ofiar... To prawda, że z własnej woli dajemy życie w tej walce. Ale jakże drogo płacimy sami i ileż ginie istnień ludzkich, dla których nie ma nic cenniejszego nad życie. Czy krwawa ofiara świadomych i mimowolnych uczestników powstania nie jest jakimś monstrualnym nieporozumieniem? Szaleństwem, w którym za wytwory wyobraźni, za ziarno zasiane nieodpowiedzialnymi uniesieniami poetów i polityków płacimy tym, co niepowtarzalne, jedyne - życiem własnym i życiem mieszkańców miasta?

Przez pewien czas spacerowali w milczeniu. Piotr objął Andrzeja w pól.

- Wielu jest takich, którzy życie ludzkie traktują jako wartość najwyższą, i w ich oczach czyny podobne naszemu powstaniu wydają się prawdopodobnie szaleństwem, może nawet zbrodnią. Ja osobiście i przecież ty też, i wielu, wielu naszych wiemy i czujemy, iż jednak istnieją sytuacje, w których życie własne przestaje być dobrem najwyższym i że trzeba ryzykować jego utratę. Jeśli uzbrojony zbój w mojej obecności podniesie rękę na moją matkę, rzucę się nawet bezbronny w jej obronie, choćbym wiedział, że zginę.

- Ale ratując matkę narażam tylko własne życie...

Piotr długo nie odpowiadał. Krok jego stał się jakby powolniejszy i cięższy.

- Jakaż wobec tego alternatywa? - rzekł wreszcie. - Mieliśmy czekać, aż front przewali się przez nas



i inni nas wyzwolą? Krwią swoich własnych żołnierzy i krwią milionów nieżołnierskich istnień swoich narodów? Czy taka bierność była do pomyślenia? Przecież to, co dziś się dzieje w Warszawie, nie jest wynikiem czyjejś jednorazowej decyzji w przededniu powstania; szliśmy ku temu przez cały czas okupacji, może nawet przez całe stulecie.

- Więc jednak „książeczki zbójckie” poetów i nieodpowiedzialne koncepcje polityków?

- Nie, nie, nie!

Milczenie. Wreszcie Andrzej, odetchnąwszy głęboko:

- Masz rację, nie.

Przy bramie „twierdzy” zawarczał motor samochodu. Przerwali spacer; kolumna samochodów szczęśliwie wróciła i zaczęto ekspediować następną grupę.

Ostatni dzień pobytu „Zośki” na Woli był jednym z dni najcięższych.

Lotnictwo bombardowało „twierdzę” kilkakrotnie. Granaty lekkich moździerzy uniemożliwiały niemal poruszanie się po dziedzińcu. Nieprzyjaciel zajął prawie cały cmentarz żydowski. Po południu na podwórze „twierdzy” zaczęły już padać trzonkowe granaty. Ulica Okopowa od czasu do czasu znajdowała się pod ostrzałem i wówczas przebycie jej szerokiego traktu stawało się ryzykowne. Na szczęście nasza broń maszynowa rozlokowana w górnych oknach Pfeiffera i „twierdzy” likwidowała najbardziej niebezpieczne sytuacje, chroniąc ją przed odcięciem. Ewakuacja rannych samochodami trwała cały dzień. Szoferzy byli niezrównani. Jeden z nich - Geniek - młody, nie zorganizowany „rodak warszawski” z Marymontu, który przystał do „Brody” w pierwszym dniu powstania, swą postawą i sprawnością oszołamiał nawet ludzi tak dzielnych, jak kapitan Jan lub Andrzej Morro: nie przerwał wywożenia rannych nawet w czasie natarć niemieckich. Choć pędził ulicami getta jak szatan i rannych trząśł do omdlenia, to jednak uratował im życie i wozu nie rozbijał.

Tuż przed godziną szesnastą jedna z najpoważniejszych czynności ewakuacyjnych została zakończona: wszystkich rannych ze szpitala Broma wywieziono, a o godzinie szesnastej ostatnie oddziały powstańcze opuszczały Wolę.

Okopowa była już pod ostrzałem z obu wylotów jednocześnie. Ulicę przecinały na różnych wysokościach i całej szerokości świetlne pociski wszelkiej broni maszynowej. Z cmentarza żydowskiego zaczęli przenikać do „twierdzy” Niemcy, trzymani w szachu jedynie przez kilka naszych erkaemów.

Wskutek bombardowania artyleryjskiego pobyt w salach „twierdzy” stawał się niemożliwy.

Wielki gmach drżał od wybuchów. Zaczął się palić jego strych. Przeskok przez Okopową stał się niebezpieczny. Mimo że odbywał się wzdłuż barykady (zbudowanej głównie z wagoników do wywożenia gruzu z getta) i mimo że odwrót osłaniał nasz czołg, ustawiony przed

„twierdzą”. Ten ostatni czołg powstańczy dokonał swą straceńczą postawą rzeczy zdumiewającej:

zmusił do wycofania się z Okopowej trzy czołgi nieprzyjacielskie. Teraz więc znów przez Okopową przebiegają chłopcy i dziewczęta - jak najszybciej, w pojedynkę, pochyleni, z ciężkimi plecakami na ramionach. Przeskakują ciała poległych z oczyma utkwionymi w zbawczą wyrwę w murze po drugiej stronie ulicy.

Nadlatuje kilka samolotów i krąży nad Okopową, „twierdzą”, Pfeifferem.

Cały ruch zamarł. Nikt nie śmie się ruszyć, aby nie zdradzić przed Niemcami ścieżek odwrotu. Gdy samoloty odleciały, ostatni żołnierze powstania opuszczają dziedziniec

„twierdzy”. Do grupy tej należą: Jerzy, Piotr i Andrzej Morro. Z nimi - kompania Giewonta jako straż tylna. Andrzej zwlekał z odejściem tak długo, jak tylko się dało, bardzo niespokojny o pluton „Felek”, stacjonujący w szkole na Spokojnej, z którego nie przybyło dotychczas kilkudziesięciu ludzi i Kuba.

Wpadli do fabryki Pfeiffera, aby wycofać stamtąd posterunki, gdy nadleciał nowy klucz samolotów. Rzucają bomby zapalające. Robotniczy zespół obrony przeciwpożarowej, który przez wszystkie te dni współdziałał z naszymi posterunkami, zostaje teraz na terenie fabrycznym sam. Andrzej i placówka „Rudego” z Pfeiffera nie ma nawet czasu pożegnać tych ludzi, są oni wszyscy na strychach i dachach, usiłując zrzucić lub zasypywać piaskiem małe bomby zapalające. Któryś lotnik zniża się i zaczyna bić z karabinu maszynowego w ratujących. Jeden z robotników trafiony pociskiem stacza się z dachu na podwórze fabryczne.

Długim wężem idą powstańcy, czasem przypadając do ziemi, przez pustynny obszar getta.

Wymijają pagóry gruzów. Gdy oglądają się, widzą płonąca „twierdzą” i ogień ogarniający Pfeiffera, na którego dachach wciąż jeszcze uwija się parę postaci.

Wloką się obciążeni swym żołnierskim dobytkiem wśród rzadkich wybuchów wyrzucających w powietrze ceglasty pył. Niosą sporo broni zdobyczej i amunicji. Omijają ciała poległych.

W pewnej chwili Konrad Stak rozpoznaje wśród leżących ciał jedną z sekcji ich trzeciej kompanii: Jacek, Kazik, Krysiek, Longin. Widocznie wpadli w ogień zaporowy artylerii. Jest strasznie gorąco. Pot zalewa oczy, usta pieką, język drętwieje, koszule lepią się do ciała.

Dopiero teraz wychodzi z nich zmęczenie tych wszystkich dni. Nie rozmawiają. Ojciec Paweł i sanitariuszka Ewa dźwigają rannego.

Andrzej Morro, zdobywszy się na największy wysiłek, obchodzi rozlazłą kolumnę, sprawdzając stan swojej kompanii. Przy „Felku” zatrzymuje się chwilę.

- Nikt więcej nie dołączył?

- Nikt.

Z dala widać już pierwsze domy Starego Miasta. Na niektórych biało-czerwone flagi. Słońce odbija

się w całym, nie stłuczonych przez wybuchy szybach.

- No, no, no - rozlega się w rozproszonych grupach „Zośki”. - Raj...

Przemęczonymi, brudnymi rękoma wycierają spocone twarze i obciągają mundury.

## **VII. ODYSEJA KSIĘCIA I JEGO TOWARZYSZY**

Pluton Kuby - „Felek” - stanowiąc na Woli placówkę najdalej wysuniętą ku ulicy Powązkowskiej. Rozlokowany wraz z jakimś mniejszym oddziałem powstańczym w gmachu szkoły przy ulicy Spokojnej i w kilku sąsiednich domach, osłaniał samotnie „twierdzę”, z dala od swej kompanii i swego batalionu.

Rankiem dziewiątego sierpnia na ten oderwany od całości oddział uderzyły moce tak wielkie, jakich nigdy dotąd nie doświadczyli. Silne bombardowanie ustawało tylko na krótko i wówczas do szturmu ruszały oddziały piechoty niemieckiej oraz SS Galizien, wsparte przez czołgi. Ledwo obrońcy odparli ogniem swej broni maszynowej, a często i granatami ręcznymi szturm, gdy na nowo zaczynały wybuchać pociski artyleryjskie. Wprowadzono także do walki goliaty, którymi burzono sąsiadujący ze szkołą dom. Przez cały czas atakowani musieli budować zapory w oknach i inne umocnienia. Nieprzyjaciel, w zdecydowanej woli odcięcia zgrupowania Radosława od Starego Miasta, likwidował placówkę „Felka”. Na początku tych walk ciężką ranę otrzymał Anoda - udało go się jeszcze odnieść do szpitala.

W trzecim dniu nieprzerwanych walk - 11 sierpnia - byli już tak wyczerpani fizycznie i nerwowo, że przestawali reagować na rozkazy Kuby i pragnęli tylko jednego: końca, jakiegokolwiek końca.

I właśnie wtedy przedarta się ku nim łączniczka z poleceniem opuszczenia Spokojnej i dołączenia do odchodzącego na Stare Miasto zgrupowania.

Ponieważ Niemcy mieli już wówczas w swoim ręku część ruin szkoły na Spokojnej, Kuba usiłował ściągnąć czujki i posterunki swego plutonu na teren sąsiedniej fabryczki Cygana. Ale i tu sytuacja była nieznosna: dom sąsiadujący z fabryczką już także zajmował nieprzyjaciel.

Ulica, sąsiedni ogród i fabryczka otrzymywały taki typ ognia, który zapowiadał nowe natarcie. Wobec tego Kuba, nie czekając na ściągnięcie wszystkich, wyprawił w kierunku

„twierdzy” tych, którzy wycofali się pierwsi.

Chaos wybuchających pocisków, trzasku broni maszynowej, rozsypujących się ścian był tak wielki, że reszta przybywających ze stanowisk ludzi nie mogła się już połączyć w sytuacji.

Kuba, wyczerpany fizycznie nie mniej od innych, blady, spocony, cały zaprószony pyłem tynku - wytrzeszczał swe nieco wylupiaste za okularami oczy i poprzez kurz, żar słoneczny i kurtynę wybuchów usiłował zebrać resztę tych, co jeszcze żyli lub byli lżej ranni.

Tym razem nie miał na ustach swego zwykłego uśmiechu.

Wreszcie zdecydował ruszyć. Przekrzykując wybuchy rzucił spiekłymi wargami kilka objaśniających zdań, kończąc rozkazem: - Czekać, aż dam znak, potem - na cmentarz żydowski. - Skoczył przez wąską uliczkę Kolską na rozpoznanie. Obserwujący Kubę towarzysze widzieli, jak dostał z boku ogień, ale zniknął szczęśliwie za domkiem i oto hełm jego unosi się nieco nad jakimś stosem cegieł i obraca w różne strony. Ci, co śledzą to z fabryczki Cygana, czują znów, pozbawieni Kuby, jak ogarnia ich panika: lada chwila mogą wejść Niemcy. Aż oto głowa Kuby zwraca się ku towarzyszom i ci słyszą, jak woła:

- Nie prze...

Pojedynczy strzał - Kuba pada.

Odruchowo zrywa się łączniczka plutonu Ira i odtrącając Świstę, który chciał ją zatrzymać, rzuca się w kierunku Kuby. Zakurzyło się od serii pocisków, które dostała pod nogi przebiegając ulicę, ale szczęśliwie dotarła do miejsca, gdzie upadł Kuba. Po chwili słyszą jej zrozpaczony głos:

- Dostał w samą głowę, nie żyje.

Głos ten w pierwszym momencie sparaliżował ich. Natychmiast jednak stało się z nimi coś, czego nie mogli potem pojąć: poczęli zrywać się pojedynczo i biec przed siebie. Każdy oddzielnie, każdy ogarnięty własnym przerażeniem i własną wolą ratunku. Nie zdawali sobie sprawy, dokąd biegną. Nie myśleli, aby trzymać się razem. Uciekali, padali i znów uciekali.

Dopiero gdy wyrwali się z miejsca niechybnej śmierci, zaprzestali zrywać się. Leżeli bez ruchu niehumanie wyczerpani. A gdy ochłonęli z paniki, poczęli skupiać się znów, dając sobie nawzajem znaki rękoma i ostrożnym nawoływaniem. Byli na dużym kartoflisku niedaleko cmentarza żydowskiego. W ślepej ucieczce każdy nieświadomie wykonał ostatnią instrukcję Kuby.

Gdy odpocząwszy nieco ruszyli ku cmentarzowi, dostali stamtąd ogień broni maszynowej. Na cmentarzu byli Niemcy. Rzucili się więc w bok i czołgając bruzdami patrzyli, jak kule ścinają nać kartoflaną i uderzając w ziemię wydmuchują małe kłęбки kurzu. Zaczynają także pękać pociski granatników.

Ogień staje się znów nie do wytrzymania.

Ktoś krzyknął: - Dostałem. - Hanka zrywa się, biegnie ku rannemu i klęka obok niego.

Kilkanaście par oczu patrzy na sanitariuszkę. Teraz kogoś ratować?

Postępek sanitariuszki normalnie funkcjonującej oddziałuje na ich gromadkę trzeźwiąco. Po raz pierwszy rozlega się głos kogoś, kto zdecydował objęcie dowództwa nad zespołem i teraz podaje kierunek odwrotu. Jest to głos Księcia. Książę wprawdzie nie jest wśród uchodzących najstarszy szarżą, ale tak jakoś się stało, że jego głos zabrzmiał w tonie rozkazodawczym i do niego zaczęli towarzysze zwracać się w momentach trudnych.

Za jakimiś sągami drzewa trafili znów na strefę spokojniejszą. Niezdolni już byli do dalszego biegu i czołgania, pozrucali więc plecaki i ociekając potem leżą jak martwi. Ale na pół

otwartymi oczyma spoglądają wszyscy na jeden przedmiot, na hełm trzymany przez Irę, która dołączyła do nich przed minutą. Hełm Kuby z czerwoną plamą w jednym miejscu. Ira rzemieniem przytracza go do swego chlebaka. Robi to niezręcznie, przewlekle, nie panuje nad ruchami pleców. Nie mogą na to patrzeć. Ten i ów zamyka oczy, ale hełm nie znika nawet spod powiek. Czyż mieli zostać koło ciała Kuby?

Nie mogli zrobić inaczej, niż uczynili.

Są tak zmęczeni, że przestają myśleć i zapadają w odrętwiający bezwład na pograniczu snu i omdlenia. Wybuchy pocisków zbliżają się do sągów kryjącego ich drzewa, trzeba by natychmiast ruszać dalej, nie są jednak w stanie.

Nagle trzeźwieją wszyscy, w ich oczach pojawia się lęk: jakiś przejmujący głos rozlega się tuż za sągami, głos rozpaczy, jakiego nigdy dotąd nie słyszały ich uszy.

- Co to? - szepce wystraszony Leszczyc.

To nie był głos istoty ludzkiej, ale także żadnego znanego zwierzęcia.

Leszczyc, obdarzony nadmierną wyobraźnią, czuje, jak zaczyna łomotać mu serce. Księżę wstaje i ostrożnie zagląda przez sągi drzewa na niewielkie podwóreczko.

- No wiecie... Coś podobnego! Osły!

Teraz już wszyscy starają się zajrzeć na podwórko i patrzą wielkimi oczyma na kilka przerażonych osłów, niespokojnie poruszających się po małej, zamkniętej przestrzeni.

Patrząc, ocierają spocone czoła i szerzej odchylają kołnierze. Ktoś uśmiecha się:

- Wszystko w porządku, Kuby przecież zawsze trzymały się kawały.

Irka jest zła na ten żart nie w porę, ale inni zaczynają się także uśmiechać.

- Pamiętajcie, jak Kuba znajdował własne pistolety?

- A pamiętacie, jak płacił gazeciarkom „Biuletynami” za szmatławca?

- Albo jak kiedyś...

- Dostyc! - woła Księżę - zgłupieliśmy w tym oślim sąsiedztwie. Ruszamy.

Granatniki tak mocno biją koło sągów drzewa, że muszą chwilę przeczekać.

Wyskakują wreszcie. Pędzą skokami i wówczas właśnie kula przebija łokieć Księcia. Ogień jest gęsty, ranny więc ogranicza się do zawinięcia sobie rękawa i przewiązania sznurkiem ramienia powyżej łokcia, aby zatamować krwawienie. Biegnie skokami dalej. Przepelzają przez druty

kolczaste.

Okrażają jakiś czerwony budynek i oto są już prawie u celu: w odległości około pięćdziesięciu metrów - „twierdza”, której dach płonie. Jest godzina szesnasta.

Łączka ciągnąca się między czerwonym domem a „twierdzą” znajduje się pod bardzo silnym ogniem broni maszynowej i granatników. Nie mają odwagi przebiec jej. Zostają na kilka minut w czerwonym domu i przez jego okna widzą, jak sprzed „twierdzy” odjeżdżają auta z rannymi i przeskakują na drugą stronę Okopowej powstańcy. Dostrzegają zbliżającego się do bramy Andrzeja Morro i kilku innych. Dopiero wtedy z przerażeniem orientują się, że to są ostatni ludzie opuszczający „twierdzę”.

- Andrzej, czekaj! - krzyczy pełnym głosem Książę.

- Czekajcie - wołają inni - zabierzcie chociaż rannych!

Machają panterkami, strzelają. Ale wybuchy pocisków i warkot nadlatujących samolotów głuszą wołania i strzały sygnałowe. Widzą, jak jeden po drugim znikają z „twierdzy” w popłochu ku drzwiom.

- Stać - woła Książę - wystrzelają was! - Jego wzniesione ku górze skrwawione ramię ma wymowę większą niż głos. Zatrzymują się i ciężko siadają na podłodze pod ścianami.

Gdy po pewnym czasie zdawało im się, że ogień zelżał, Książę dał rozkaz kolejnego przeskakiwania łączki. Sam stoi przy oknie i reguluje ruch.

Najpierw ranni, których paru podsadza na parapet okna. Któryś ma przestrzeloną rękę, mimo to dźwiga karabin.

- Rzuć karabin - mówi Książę.

- Cóżes ty, Książę, przecież ja ten karabin...

- Rzuć karabin!

Powstaniec zwraca twarz ku rozkazującemu, jego oczy przymrużają się.

- Nie rzucę!

- Leszczyc - mówi Książę do innego - odbierz mu karabin.

Powstaniec usiłuje opierać się, lecz jest przecież ranny. Leszczyc wyrywa broń ze ściskających ją dłoni i po zepsuciu zamka rzuca w kąt. Ranny oddycha ciężko, w jego oczach pojawiają się dwie krople. Powłócząc nogami zbliża się do okna i przelazi wolno, niezgrabnie na zewnątrz.

Nie wszyscy przebyli łączkę. Kilku zostało w jej trawie na zawsze. A ci, co skupili się wreszcie pod murami „twierdzy”, widzą, że przybyli za późno.

Gmach jest pusty, jego górna część pali się. Na ulicy przed bramą - opuszczony i podpalony czołg powstańczy. Nieprzyjacielska zapora ogniowa położona wzdłuż Okopowej wyklucza przeskok przez szeroką ulicę, a cmentarz żydowski jest w rękach nieprzyjaciela.

- No cóż, braciszku i siostry - konkluduje Książę; usiłując naśladować niefrasobliwy ton Kuby - pięknie żyliśmy, pozostaje teraz pięknie to życie zakończyć, wyrządzając przy okazji jakiś poważniejszy kłopot szkopom.

To przemówienie przerywa czołg niemiecki, który nadjeżdża Okopową i nie wiadomo dlaczego zaczyna walić z armaty w dziedziniec „twierdzy”. Chronią się do garażu. Gdy przesuwają się między samochodami, uwagę ich zatrzymuje wielki wóz Zakładu Oczyszczania Miasta, służący do wywożenia śmieci.

Oglądają chwilę żelazny zbiornik śmieciarki i gdy Słoń rzuca pytanie: - A może by tam do środeczka? - wszyscy w lot podchwytyją tę myśl i z miejsca ją realizują. Podsadzili dziewczęta. Potem wgramolił się Słoń. Na końcu - zgrabny i zwinny mimo fatalnego zmęczenia Książę. Leszczyca zasunął ciężką, zardzewiałą klapę. Siedzą już w ciemnościach żelaznego wnętrza wszyscy ci, którzy ocalili w opisanym odwrocie ze Spokojnej. Jest ich ośmioro: pięciu żołnierzy i trzy łączniczki. Także łączniczka ze Starówki. Siedzą niewygodnie, jedno przy drugim, w tym ogromnym, okrągłym bębnie. I choć na zewnątrz rozrywają się pociski, a serca dręczy niepokój, usypiają z przemęczenia.

Obudziła ich cisza. Ostrożnie uchylili klapę: prócz trzasku ognia płonącej „twierdzy” nie było w pobliżu słyhać ani wybuchów, ani gwizdu kul. Nie wychodzili jednak na zewnątrz. Mimo protestu Słonia któryś zapalił papierosa i wówczas w świetle zapałki zauważono skrwawione ramię Księcia, wciąż jeszcze obwiązane sznurkiem.

- Ależ z nas towarzystwo - syknęła jedna z dziewcząt i przedostawszy się do rannego zaczęła w ognikach zapałek opatrywać ranę, słuchając zresztą instrukcji Księcia, który słyhał w plutonie z dobrej głowy i dobrej ręki przy opatrywaniu ran.

Krótkie błyski zapałek oświetlały także hełm Kuby przy chlebaku Iry. Na prośbę Leszczyca Ira opowiada szczegóły śmierci Kuby, ale wnet przerywa i płacze. Pocieszają ją, głaszczą po włosach i po rękach. Jak to dobrze, że ciemność kryje ich twarze.

Czyjś pomysł, aby powiedzieć sobie swe prawdziwe nazwiska - nie chwyta.

Ostatecznie - gra trwa, a do jej reguł wdrazali się przez tyle miesięcy i lat. Tylko pseudonim Księcia jest dla którejś z dziewcząt tak intrygujący, że wreszcie Książę częściowo uchyla przyłbicy.

- Moje arystokratyczne pochodzenie nie obrosło zbyt odległą tradycją. To kiedyś Kuba w przystępie dobrego humoru... Inni mianowańcy Kuby: Lord, Hrabia, Baron szybko strząsnęli ze siebie te pseudonimy, a mój przylepił się jak kleszcz. Słoń przecież był kiedyś Biskupem, ale jest Słoniem. Tylko ja...

Stefa słuchając Księcia uśmiecha się jak inni, ale wie, dlaczego to żartobliwe imię wojenne zrosło

się z jego nosicielem. Przecież ten chłopiec ma po trochu wygląd księcia z bajki: jest wprawdzie krępy, ale ładnie zbudowany, czysty, zgrabny w ruchach, a wielki łuk zrośniętych brwi nadaje twarzy urzekająco męski wygląd.

Korzystając ze spokoju część z nich opuściła wóz i spenetrowała teren.

Nikogo. Pożar na razie garażowi nie grozi.

Znów są wszyscy w środku. Krótkimi, urywanymi zdaniem mówić zaczynają o swym plutonie, o Felku, Kubie, o osiemdziesiątej drużynie harcerskiej, z której się wywodzą. Myślą, że byli chyba najbardziej bojowym plutonem „Zośki” - a dziś? Rozmowy jednak po pewnym czasie przerywa niepokój. Słyszą łomot i zgrzyt czołgów, bliskie strzały. Z niedalekiego domu mieszkalnego dochodzą krzyki, nad którymi dominują krótkie, gardłowe głosy niemieckie.

Te głosy niemieckie zbliżają się. Słoń na ciche mruknięcie Księcia zamyka ostrożnie klapę.

Poprzez blachy wozu słyszą uderzenia podkutych butów o asfalt i głosy już gdzieś w bardzo niedalekim pobliżu. Poprzednio uradzili, że gdyby ich odkryto, będą rzucać filipinkami i strzelać, rozbiegając się, gdzie oczy poniosą. Teraz przygotowali granaty, odbezpieczyli pistolety i siedzą w milczeniu, bez ruchu. Głosy przeszły obok i rozplynęły się w oddali.

Otworzyli znów klapę. Przez jej otwór i przez szpary wozu przenikają do jego wnętrza czerwone blaski ognia płonących górnych pięter „twierdzy”. W tym oświetleniu, migotliwie błyskającym po ich dziwacznych, skulonych postaciach i uzbrojonych dłoniach, zaciera się w myślach Leszczyca, człowieka o wyobraźni artysty, granica między realną sytuacją i fantazją.

Musi powstrzymać się od dziecinnej chęci uszczypnięcia skóry dla sprawdzenia, czy jednak to wszystko nie jest urojeniem? Uczucia i myśli krążące dotychczas pomiędzy biegunami zdecydowania i rezygnacji, teraz, jakby w ucieczce od złej rzeczywistości, skupiły się na naiwnej wierze, że wszystko musi się jakoś dobrze skończyć.

Marzenia Leszczyca przerywają zbliżające się kroki, które wkrótce mijając zaczynają garaż w jego bezpośrednim pobliżu. Nagle - głośny, przeciągły ryk i przyczajeni w wozie powstańcy gwałtownie zatykając sobie usta dłońmi, aby stłumić śmiech: osły! Ich osły, prowadzone widocznie przez jakiś patrol niemiecki. Gdy ochłonęli, ze zdziwieniem rozważają kontrastowe skoki swych uczuć.

Najgorsze ze wszystkiego jest to, iż w niewygodnej śmieciarce nie można się prawie poruszać. Każdy ruch wywołuje trzaski w blaszanej pokrywie wozu.

Niemcy krążą w pobliżu przez całą noc, toteż młodzi ludzie uciszają się stale ruchami rąk.

Rankiem ruch koło garażu i w samym garażu bardzo wzrósł. Widzieli przez szpary kolejarza niemieckiego, który coś chował w garażu, patrzyli, jak żołnierze niemieccy uruchamiali niektóre samochody, a w innych usiłowali rozpoznać uszkodzenia. Ciągle ktoś przychodził i odchodził.

- A to co za wóz? - spytał jakiś podoficer, uderzając dłonią w ich śmieciarkę.



- To stary grat. Na pewno pusty - odpowiedział inny głos.

Większość rozumiała ten dialog, usiłowali więc własne oddechy uczynić niesłyszalnymi. A kiedy po pewnym czasie inny Niemiec wszedł na ich wóz, wsadził głowę w górny otwór i chwilę patrzył w ciemne wnętrze, byli przeświadczeni, że to już koniec. Leszczyc widział

wyraźnie zaglądną do środka wozu twarz, bliznę na brodzie i błyszczącego bączka na furazerce.

Twarz zaglądną znajdowała się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od głowy Słonia, który jak wszyscy - skamieniał w bezruchu. Wydawało się niepodobieństwem, aby Niemiec nie zauważył Słonia, nie wyczuł go. Jednak po dwóch, trzech sekundach głowa w furazerce zniknęła i równe, spokojne kroki oddaliły się z garażu. Zaczęli oddychać szeroko otwartymi ustami i czuli, jak wiotczeją ich napięte mięśnie.

Przesiedzieli wewnątrz śmieciarki cały nie kończący się dzień. Męczyło ich pragnienie. Było bardzo gorąco, a nie mieli ani kropli wody. Było także duszno, wiatr nawiewał we wnętrze garażu dym palącego się gmachu. Uwierały nieznośnie drobne kawałki węgla, porozrzucane na blaszanej podłodze wozu, a przy najmniejszym poruszeniu blacha wydawała trzaski, zgrzyty, czasem nawet huki, które w tym wnętrzu żelaznym czyniły wrażenie strzałów. Tak właśnie przeraził półśpiących nieostrożny ruch Słonia, który uderzył lufą karabinu w blaszaną ścianę. Otrzeźwiali momentalnie przekonani, że Słoń strzelił z pistoletu. Po kilku minutach znów zapadli w stan zamroczenia. Nie rozmawiali. Ich myśli koncentrowały się wokół

jednego tylko pragnienia: wyjść z wozu.

Toteż gdy zgęstniał mrok, Księżę skorzystał z pierwszej ciszy świadczącej o oddaleniu się ludzi i wysłał Kierosa na zwiad. Po kilku minutach wygramolili się wszyscy. Ani w płonącej

„twierdzy”, ani na jej dziedzińcu nikogo nie było. Natychmiast z bronią na ramieniu ruszyli ku otworowi w murze, wychodzącemu na cmentarz żydowski. Szli tędy w skarpetkach, aby sprawiać jak najmniej hałasu. Hełmy przykryli pokrowcami i zdjęli opaski powstańcze.

Gdy oddalili się w ciszę i bezruch cmentarza na tyle, że nie sięgał ich już żar, dym, blask i opadające popioły, wyszukali jakieś wgłębienie i wyznaczyszy kolejność jednogodzinnych wart, położyli się na ziemi. Teraz dopiero poznali, jak bardzo są wyczerpani. Któryś dostał

torsji, inny omdlał. Prawie wszyscy odczuwali zawrót głowy. Lecz mimo ogromnego zmęczenia długo nie mogli usnąć.

Na cmentarzu spędzili dwie noce i dzień. Nocami penetrowali teren, usiłując wyłowić wśród panującego chaosu jakiegokolwiek wskazówki, które by pomogły do ułożenia planu wydobycia się z matni. Zorientowali się tylko w jednym: wszędzie dookoła jest nieprzyjaciel i nigdzie w sąsiedztwie nie widać ani nie słychać mieszkańców miasta.

Do dręczącego nieznośnie pragnienia dołączył się głód. Ich jedynym pożywieniem w ciągu czterech ostatnich dni było trochę sucharów i kostek cukru, ale od chwili opuszczenia śmieciarki, gdzie został

chlebak z resztkami cukru, nie jedli w ogóle nic. Ich uczucia podobne się stały do uczuć człowieka w gorączce: ze stanu podniecenia przeskakiwali w stan apatii, z apatii - do podniecenia.

Jednym z momentów wielkiego wzruszenia był znaleziony na małej polance między krzakami stary kubek z resztkami wody. Woda była ciepła od słońca, ale miała zapach dobry. Zbili się, klęcząc, w zwartą gromadkę i chciwymi oczyma śledzili Księcia, gdy ten próbował wodę.

- Dobra, możemy pić - powiedział Książę. Wszyscy widzieli - był przecież dzień - iż „jabłko Adama” na otwartej szyi Księcia poruszyło się tylko raz.

No, w porządku, próba nie kosztowała drogo: jeden łyk. Wyciągnęli niecierpliwie ręce do kubła.

- Najpierw damy - ogłosił Książę. - Starajcie się, aby dla każdego starczyło.

Kubek przechodził z rąk do rąk. Ostrożnie nachylany sączy wodę w zachłanne usta, a każdy ruch pijącego śledzą wszyscy pozostali. Pijący zaś, zanim odchyłą kubek od ust, przeżywają chwile, w których nienawidzą kolegów lub brzydzą się sobą.

Na wniosek Iry Książę, z powodu znacznego upływu krwi, miał wypić podwójną ilość wody.

Gdy przyszła na niego kolej, stojący najbliżej Leszczyc zauważa, iż Książę po kilku łykach trzyma jeszcze parę chwil usta w wodzie udając picie, ale nie pije. Leszczyc unosi nieco brwi i wpatrywać się zaczyna w Księcia, jakby go dopiero teraz zobaczył.

Drugiej nocy spędzonej na cmentarzu zdecydowali się wreszcie na jego opuszczenie; choć nie wiedzieli, co się dzieje na zajętej przez nieprzyjaciela Woli, postanowili dotrzeć do Szpitala Wolskiego na Płockiej, gdzie mieli znajomych wśród personelu i dokąd w początkach powstania odeszło kilku rannych kolegów.

Skończyli naradzać się i teraz, siedząc na mogiłach, czynią przygotowania do odejścia w okupowaną znów przez wroga część miasta. Książę co parę chwil spogląda na Irę. Wreszcie decyduje się powiedzieć to, co nosi już w sobie od kilku godzin.

- Moja droga, myślę, że nie powinniśmy wyruszać na Płocką z hełmem Kuby.

- Dlaczego? Był z nami w wozie ZOM-u, błąkał się z nami po cmentarzu, może więc także ryzykować wyprawę na Płocką.

- Iro... Nie tylko tobie trudno rozstawać się z czymś, co stanowiło część Kuby. Ale może byłoby lepiej, gdybyśmy pochowali hełm, póki jesteśmy wszyscy razem i póki mamy dookoła spokój?

Pochować hełm? Nie pochowali ciała Kuby, a mają chować hełm?! Ira patrzy na Księcia rozszerzonymi oczyma i po dobrej chwili, po raz pierwszy od pochwylenia hełmu przy zabitym Kubie, oddaje go w inne ręce.

Dwóch ludzi wygrzebało nożami i palcami dołek mogilny koło jakiegoś starego grobu, a Książę, potrzymawszy chwilę hełm przy swojej piersi, zawinął go w panterkę. Potem ustawił

wszystkich w szeregu i wydał komendę „bacność”. Jędrak i Sęp wzięli hełm i troskliwie złożyli na dnie mogiłki.

Gdy nad zasypanym hełmem wyrósł mały kurhan, Słoń wetknął weń niewielki drewniany krzyżyk z wojennym imieniem Kuby i datą 11.VIII.1944. Postali jeszcze chwilę, otoczywszy zwartym kręgiem mogiłkę, i po odmówieniu krótkiej modlitwy ruszyli w kierunku łun pożarowych na Czystem, uwrażliwieni znów na dalekie wybuchy i bliskie strzały karabinowe.

Idą rzędem, pierwszy Książę. Gdy weszli na ulicę Sołtyka, zaczynają biec pod murami cicho jak widma. Na nogach znów mają tylko skarpetki. Piękny księżyc daje więcej światła niżby pragnęli, ich cienie przesuwają się po murach tuż za nimi. Przenikają z jednej ulicy w drugą, a wszędzie ta sama niesamowita cisza wśród czerni wypalonych domów i gdzieniegdzie tłących rumowisk. Małe uliczki i ogródki zjeżdżone są przez czołgi, na chodnikach i jezdniach porzucona pościel, trupy. Nawet jeśli nie widać ludzkich ciał, wiadomo, że leżą tu i tam, gdyż do woni spalenizny dołącza się mdła woń rozkładu. Nigdzie żadnego śladu życia.

Więc to tak jest w dzielnicy zajętej przez nieprzyjaciela...

To, co widzą, jest gorsze, niż przypuszczali w swych domysłach. Zwalniają kroku, przystają i przywarci do ściany spalonego domu patrzą w zalaną księżycowym światłem ulicę, sponiewieraną ulicę zmęczonych ludzi.

Pod wpływem nocnego chłodu ruszyli dalej. Teraz muszą trochę kluczyć, aby omijać otwarte przestrzenie. Jeszcze trochę - i Płocka. Zatrzymują się w klatce schodowej zniszczonego domu, a dwuosobowy patrol idzie na wywiad.

Wraca bardzo prędko: w gmachu Szpitala Wolskiego - Niemcy.

A niech to wszyscy diabli! Dokąd teraz? Są tak pozbawieni jakiegokolwiek sensownej koncepcji, że bezmyślnie idą ku najbliższej bocznej uliczce. Byle nie na cmentarz i byle jak najdalej od szpitala. Raz szybko, raz wolno kroczą wypalonymi ulicami, od czasu do czasu wymijając fale mdłego zapachu.

Trzymają się jak najbliżej ścian domów. Panującą ciszę przerwał warkot motorów samochodowych, których kolumna przejechała gdzieś obok. Potem znów cisza.

Około północy dostrzegli w niewielkim ogrodzie nie zniszczony domek.

Weszli. W splądrowanych pokojach nie było ludzi. Za domem - klatka z królikami! Ten, kto dostrzegł króliki, przywołał innych i po chwili, wśród radosnego podniecenia, zwierzaki zostały ubite. W ogródku były też ogórki, a pod szopą stała beczka z wodą. Beczka z wodą!

Pili, aż bulgotało im w gardłach, pili bez końca, pili na zapas, pili na długi zapas.

Teraz wiedzieli, co mają robić, gdyż głód zaatakował ich wyobraźnię.

Weszli z powrotem do domu, jak mogli najlepiej zasłonili okna kuchni i zapalili znaną lampkę

naftową. Dziewczęta zabrały się do zapalania ognia pod płytą oraz oprawiania królików. Chłopcy siedzieli dookoła paleniska i połykając napływającą obficie do ust ślinę, czekali.

Kontemplację zbliżającego się szczęścia przerwał Leszczyc. Ciekawością powodowany szedł do piwnicy, lecz zamiast ziemniaków znalazł tam właścicieli domku. Pierwsi żywi ludzie, Polacy! Zbiegli natychmiast do piwnicy i zasypali pytaniami dwoje staruszków.

Ludzie ci byli bardzo wylękli i z trudem dawali sensowne odpowiedzi. Tak, Niemcy są w kilku sąsiednich domach, na kwaterunku; tutaj kilka razy dziennie przychodzą po jarzyny; na pewno w sąsiednich domach, na przykład na rogu jest taki nie spalony dom.

Księżę nakazał natychmiastowe wygaszenie ognia i przygotowanie się do wymarszu. Wypytał staruszków o drogę do najbliższej wsi podwarszawskiej w kierunku na Kampinos. I oto znów maszerują gęsiego pod murami, okrążywszy domy zajęte przez posterunki nieprzyjacielskie.

W chlebakach unoszą na pół oprawione króliki, bochenek chleba oraz dużo pomidorów i ogórków, w żołądkach mają pełno wody, no i najważniejsze - wiedzą, dokąd iść. Uczuli się lepiej niż kiedykolwiek w tej swojej wędrówce.

Przemykanie się ulicami przedmieść ku krańcom miasta trwało dwie noce i jeden dzień. Szli tylko nocami, dzień natomiast spędzili w bezruchu, wśród gąszczu krzaków malinowych.

Drugiej nocy wyszli z ulic w jakieś ścieżki, myśleli więc, że to już chyba kończy się miasto. I właśnie wówczas słaby początkowo ogień broni przeciwlotniczej przybrał tak niezwykle rozmiary, że musieli przerwać marsz, w blasku pękających pocisków i ślizgających się smug reflektorów widoczność stała się niebezpieczna. Ze wszystkich stron mknęły po niebie kolorowe paciorki, wyrzucane z szybkostrzelnych działek.

Od czasu do czasu błysnął wybuch większego pocisku. Reflektory ślizgały się po wysokim pułapie nieba. Nieprzerwany huk działek i dział zagłuszał szum maszyn lotniczych krążących nad tą częścią miasta, w której powinna być Starówka. Leżąc w trawie obserwowali z zachwytem i niepokojem widowisko rozgrywającej się w górze pogoni rojów kolorowych punkcików i długich ramion świetlnych, usiłujących schwytać niewidocznych przybyszów.

Oto macka reflektora prześliznęła się po wielkiej maszynie, otoczyła ją swą mleczną białością i zgasła. Serie punkcików gonią przed chwilą dostrzeżony samolot, spóźniają się, mijają lub pękają za wcześnie.

- „Liberatory” - mówi Księżę.

Niebo jest całe w ogniach, huk nieprzerwany, powietrze jakby faluje od wstrząsów. Wszystko drży. Tu i tam coś trzaska - spadające szczątki pocisków.

- Ależ piorą - odzywa się z kolei Słoń. - Wygląda, jakby niemiecka artyleria przeciwlotnicza cała powróciła z ewakuacji i jeszcze została wzmocniona. Cóż to się, do diabła, dzieje na tych frontach?

Raz po raz zaczynają obecnie migać poprzez pasma światła wielkie cielska „liberatorów”, które krążą teraz na niezbyt dużych wysokościach. Samoloty zachowują się tak, jakby nic sobie nie robiły z orgii otaczających je blasków i błysków. Aż nagle jeden z kolorowych sznurów dosięga maszyny i ta chwije się, nurkuje, wlokąc za sobą kłęby dymu. Po chwili ogień ogarnia spadający samolot. Odrywają się płonące kawały kadłuba. Ogień artylerii osiąga szczytowe natężenie - lotnicy latają bardzo nisko i tak śmiało, że Księżę i jego towarzysze wstrzymują chwilami oddech z emocji.

- Fajne typy - odzywa się któryś. - Może Polacy?

W pewnym momencie ogromny samolot przelatuje niziutko tuż nad nimi, a dalej nad miastem wypływa wysoko jeszcze jedna maszyna, ta jednak płonie i zaczyna spadać. Dostrzegają rozkwitające koło palącego się samolotu spadochrony i widzą, jak Niemcy zaczynają strzelać amunicją świetlną do białych parasoli bujających w powietrzu.

Wyprawa „liberatorów” dobiegała końca. Milkły huk, znikła feeria światła. Zwyczajna powstańcza noc, czerwieniejąca kilkoma wielkimi plamami przyziemnych pożarów, objęła znów miasto. Młodzi ludzie powstali i w milczeniu ruszyli dalej. Minęła teatralna niezwykłość zjawiska, spłynęło z nich, natomiast odezwało się w duszach poczucie serdecznego koleżeństwa w stosunku do tych tam, spadających w płomieniach z niebios lub rażonych z broni maszynowej, gdy zwisają nieporadnie pod spadochronami. Taaak... Ten lot kosztował ich niełicho... Ale chyba zrobili swoje. Co też z tych zrzutów dostaną „Zośka” i

„Parasol”? Ot, żeby przeciwczołgowe piaty!

Przeszli w poprzek jakąś spaloną i pustą ulicę, potem brnęli długo przez parowy, kartofliska, wały, aż wreszcie trafili na domy wznoszące się wśród ogródków i pól. Zaczynał się dzień.

Ulokowali się więc w krzakach, a Ira ze Słoniem poszli na wywiad do najbliższych zabudowań.

Była to wieś Górcze. Kręcili się po niej minionego dnia Niemcy i Ukraińcy, wyłapujący mężczyzn i rekwirujący bydło, ale jedna z gospodyń zgodziła się zająć królikami, które jej wręczyła Ira, udająca wysłanniczkę licznej rodziny uchodźców. Wkrótce spory gar z tą od dawna pożądaną i wymarzoną potrawą znalazł się w krzakach, a jego smakowita woń rozeszła się wokoło.

Drzemka po posiłku nie przebiegała spokojnie. Przez Górcze przechodzili uciekinierzy warszawscy obciążeni tobołami, a krzaki, w których się skryła nasza ósemka, rosły, jak się okazało, blisko ruchliwej drogi polnej.

Niektórzy z przechodzących siadali dla odpoczynku w pobliżu tych krzaków i wtedy dopiero młodzi ludzie zorientowali się, za jak nędzną znajdują się zasłoną. Leszczyc prawie do połowy jest widoczny z drogi, przykrywa się więc żółtą stroną panterki, ale ma wrażenie, że występuje w roli śpiewaka operowego, który „schował się” za wątle „drzewo” dekoracji i śpiewa: „ja kryję się”.

Mimo woli wysłuchują narzekań, zwierzeń i opowiadań odpoczywających koło nich ludzi.

Uciekinierzy - jak to uciekinierzy: o szczegółach brutalnych wysiedleń, o tym, co kto zdążył z domu

wynieść... Ale oto siada przy drodze dwóch mężczyzn:

- No więc jak, Franuś, robimy?

- Bo ja wiem...

- Ty, jełopo jedna; nigdy do niczego nie dojdiesz. Szabru się boi. A na Młynowie ile domów nie spalonych, bogatych domów, skoczylibyśmy nocą.

- A jak stukną?

- Stukną, stukną! To chodźmy na handel. Nabierzemy z Górców towaru i na Koło, tam mortusiaki każdą cenę dadzą. Karol gadał, że za jedną gęś wziął dwa górale. A można brać pierścionki, zegarki. Albo wiesz co? Chwyćmy się...

Głosy przechodzą w szept. Książę, który w ciągu rozmowy warszawskich „kombinatorów” pilnie przyglądał się swej rannej ręce, szepnął do Słonia:

- Ależ narodek!

Słoń, naburmuszony, nie chciał podejmować tematu, który go drażnił. Więc do Księcia:

- Czemu przypatrujesz się tak ręce?

- Patrzę, czy nie zaczyna się gangrena. Przecież opatrunek robiliśmy w śmieciarce. Ale jak dotąd - w porządku.

Pod wieczór do Górców napłynęło tyle ludzi, że koło ich krzaków zrobiło się wprost rojno.

Każdej chwili mogli być spostrzeżeni. Jakaś przechodząca kobieta zawołała nawet: - O, patrzcie, w krzakach broń i hełmy! - Więc jak się tylko ściemniło, opuścili przeludniony teren i pomaszerowali ku Laskom.

Jak zawsze prowadził Książę. Gdy wyszli poza opłotki i obawa patroli nieprzyjacielskich penetrujących wieś znikła, uczyli ogromne odprężenie.

Mówili więc głośniej, dowcipkowali. Wkrótce jednak przekonali się, że drogi polne; raz piaszczyste, raz błotniste, męczą ich bardzo. W pewnej chwili Słoń uczył tak przykry zawrót głowy, że upadł na ziemię. Gdy koledzy pomogli mu wstać, był bardzo speszony, nie wiadomo za co przepraszał i usiłował iść możliwie szybko naprzód, lecz co chwila ocierał

występujący na czole obfity pot. Zwolnili więc kroku, a gdy się znaleźli na terenie nowej wsi, tym razem wolnej zupełnie od Niemców, ulokowali się na słomie w stodole i posnęli wyzwalającym snem.

Rankiem obudziła ich pomyślna wieść: w pobliżu są oddziały partyzanckie!

O, jakże piękne jest życie! Myją się gruntownie, pokrywając głowy, piersi, nogi płatami mydlin i strumieniami lanej z wiader wody. Potem jedzą dużo i szumnie, pełnym głosem wychwalając swe zalety i dowcipkując pobłaźliwie na temat swych słabości. A wreszcie zabierają się do czyszczenia broni. Broń! Była z nimi, jest z nimi i przyda się jeszcze, przyda!

Teraz już są pewni, że wybrnęli z najgorszego. Chłopi, zdziwieni przemianą swych gości z uciekinierów w żołnierzy, otaczają ich coraz tłumniej. Gdy Słoń zaczyna opowiadać o Warszawie, zbiega się chyba pół wsi.

Mogliby słuchać bez końca, ale Księżę nagli do odmarszu. Słoniowi, który odzyskał siły i dobre samopoczucie, trudno odejść od młodzieży wiejskiej, pokazuje filipinki własnej roboty, zdobywcze „rozpylacze”, opaski powstańcze. Słoń jest jedną z wybitniejszych indywidualności „Rudego” - szczególnie wrażliwy na postawy społeczne i wartości cywilne.

Opaski powstańcze! Wkładają je znów na ramiona i odciągawszy Słonia niemal siłą od jego słuchaczy, ruszają w drogę. Maszerują odrodzeni psychicznie, z dużą pewnością siebie, na oczach całej wsi i ciągnącego właśnie sznura uchodźców. Niektórzy patrzą na nich z rezerwą, ale inni machają rękami, czapkami, chustkami, na co zżyma się wojskowy zmysł Księcia, a rozplywa w szerokim uśmiechu gęba Słonia. Jakiś młodzieniec z wędką przystał do nich i nie chce się odłączyć. Słychać daleko głucho detonacje.

W Laskach nie było partyzantów, ale dostali przewodnika, który ma naszą ósemkę do partyzantów doprowadzić. Informująca ich pani, osoba „organizacyjna”, twierdzi, że Starówka przechodzi z rąk do rąk. O „Zośce” też słyszała.

- A gdzie mogą być ranni z „Zośki”? - pyta Ira.

- W szpitalu na Barokowej - odpowiada bez wahania „organizacyjna” pani.

- To dobrze - stwierdza Słoń. - Tam są grube mury, nic im nie zrobią.

Przez lasy, pola, wiejskie drogi i leśne bezdroża dotarli wreszcie do upragnionego terenu w Puszczy Kampinoskiej. Pierwszy zwiastun partyzantki wyłonił się nareszcie spośród drzew niewielkiego zagajnika. Na szkapinie człapał zaspany ułan i śpiewnym akcentem dobrodusznie zagadnął dziewczęta, po czym nie wysłuchawszy do końca objaśnień, machnął

gościnnie ręką: - Przechodźcie! - Patrzyli z pomieszaniem uczuciem rozczarowania i radości na pyzată, zaspaną twarz jeźdźca, jednakże wzruszenie przemogło. Otoczyli go kołem i głaszcząc szkapinę częstowali jej pana papierosami. Był to szósty dzień od chwili opuszczenia objętej ogniem ulicy Spokojnej.

Zanim dotarli do gajówki, Księżę tak osłabł, że upadł na ziemię. Potem ledwo włókł się, nie pozwalając jednak nikomu sobie pomagać. Tuż przed gajówką zemdląła Ira. Byli bardziej wyczerpani, niż przypuszczali.

Wstydzili się przed partyzantami swego fatalnego stanu, szczególnie, że gospodarze okazali się ich

dawnymi sąsiadami z przedpowstaniowej bazy leśnej - oddziałem partyzantów wileńskich, chłopów. Poznawali się teraz wzajemnie, przypominali się sobie, oglądali broń, a kilku wilnian z miejsca przystąpiło do urządzenia legowisk dla ślaniających się ze zmęczenia warszawiaków.

W otoczeniu majora Okonia spotkali także innego znajomego: był to Garbaty z „Parasola”.

- Co tu robisz? - spytał Słoń potrząsając dłoń Garbatego.

- Przyszedłem przed kilkoma dniami z majorem. Major ma do spełnienia jakieś zadanie.

Przydzielono nas kilku do niego.

Słoń, który znał bliżej Garbatego, zauważył, że chłopak jest jakiś dziwnie niespokojny. Ale Garbaty był zawsze nerwowcem i człowiekiem bardzo wrażliwym, Słoń więc jego obecny stan wytłumaczył w sposób najprostszy: silne przeżywanie walki. Gdy jednak w nocy, leżąc koło Garbatego, słyszał, jak ten jęczy przez sen i rzuca się niespokojnie na sienniku, nie wytrzymał:

- Bracie, uspokójże się.

Garbaty, obudzony, usiadł na sienniku. Drżał.

- Co ci jest?

Milczenie.

- Co ci jest, chłopie? Musisz się wziąć w garść, bo źle będzie z tobą.

Po długim milczeniu Garbaty zaczął szeptać. Szeptął powoli, jakby słowa z trudem wydobywały mu się z ust:

- Gdy szliśmy tu z Okoniem... Gdy wyszliśmy z majorem Okoniem, było nas siedmioro: pięciu mężczyzn i dwie łączniczki. Ze Starego Miasta trzeba było przejść na Żoliborz kanałami. Kanały ściekowe - to ostatecznie nieważne, ale jest tam burzowiec. Wiesz, taki ogromny kanał, w przekroju pięć metrów, może sześć. Było po deszczu - burzowcem waliła masa wody. Jak w głębokim, stromym, górskim potoku... Szumiało, bulgotało, wrzało.

Złożył dłonie i w świetle lampki naftowej widać było, jak ściska palce.

- Ten burzowiec trzeba było przejść w poprzek. Przedstawaliśmy się pojedynczo, przewiązani liną: Koledzy z drugiej strony przeciągali idącego.

Mężczyźni przeszli szczęśliwie. Na końcu ruszyły łączniczki... Obydwie jednocześnie... Też przewiązane linami, ale jednocześnie.

Zamilkł na chwilę. Słyszając jego przyspieszony oddech, Słoń poczuł, że zaczyna się denerwować opowiadaniem.



- I nie utrzymały się w tym wściekłym prądzie. Zbił je z nóg, porwał, zawinał za róg ściany.

My oczywiście trzymaliśmy linę i ciągnęliśmy do siebie. Prąd był wściekły, woda wielka i tylko tę, co była bliżej, podciągnęliśmy do rogu wylotu. A dalej - ani rusz. Osłabiliśmy. Pot nam zalewał oczy, lina parzyła dłonie, oślepiłszy i ogłuchliłszy w tym szumie, bryzgach, pianie. I nie mogliśmy tych dziewcząt przeciągnąć za róg wylotu, choć jedna z nich była tuż przy naszym rogu. Ale drugą wciąż rzucało w przeklętym nurcie, za niewidzialną ścianą.

Czuliśmy drzenie liny.

Zwilżył językiem wyschłe wargi.

- No i jeden z nas wyjął nóż, sięgnął poza plecy tej pierwszej i przeciął linę...

Zacisnął pięści. Miał oczy szeroko otwarte.

- Teraz już poszło łatwo. Ale gdy wreszcie byliśmy wszyscy - pięciu mężczyzn i jedna łączniczka - poza burzowcem, w ciszy kanału ściekowego, ta ocalona zaczęła się oglądać i wołać koleżankę. Prosiła, aby poczekać na zostającą w tyle. Nie wiedziała, a my milczeliśmy.

Wreszcie - zrozumiała. I zaczęła płakać, głośno płakać. W tej ciszy, na tle szumu walącej niedaleko wody burzowca, szloch powtarzany przez echo... Nie mogę... Widziałem przecież niejedną śmierć, ale tego wszystkiego nie mogę znieść. Miała osiemnaście lat, może siedemnaście. I torbę sanitarną, którą własnoręcznie wyhaftowała bławatkami. Pokazywała mi ją przed zejściem do kanałów...

Garbaty siedział na posłaniu z szeroko otwartymi oczami. Zaciśnięte w pięść dłonie przyciskał do twarzy.

Słoń nerwowo zwierzał palce. Nie wiedział, jak się zachować; objął więc tylko Garbatego i powtarzać zaczął w kółko:

- No już, no już...

W Puszczy Kampinoskiej przebywali około trzech dni. Były to dni całkowitego wypoczynku, dobrego odżywiania, troskliwej opieki lekarskiej.

Oglądając łokieć Księcia doktor pochwalił opatrunek i wieszował uchronienia ręki od gangreny.

- Jestem medykiem - powiedział Książę.

- Pan? To czemuż u licha poszedł pan do linii?

Książę uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

Wileńscy partyzanci robili wrażenie wesołych, twardych ludzi, żyjących dniem dzisiejszym, zwalczających energicznie trudy i niewygodę koczowniczego życia, radujących się swymi sukcesami wojennymi i przeważnie optymistycznie patrzących w przyszłość. Ósemka warszawiaków „dobrzała”

- szybko nie tylko fizycznie, lecz i psychicznie wśród tych miłych, dobrych, szczerych ludzi. „Ziemia obiecana” - mówili do siebie o tym państewku partyzanckim w Kampinosie.

Jednakże w miarę jak wracały siły, dusze ich nawiedzać począł niepokój.

Coraz częściej zachodzili do radiotelegrafisty, aby dowiadywać się o Warszawę. Wieczorami i nocą wpatrywali się coraz dłużej w odblaski łuny pożarowej nad daleką stolicą. Z rozmyślań o tym, co sami widzieli i przeżyli na Woli, oraz z wiadomości, które wydobywali od radiotelegrafisty, ułożyli sobie niewesoły pogląd na los powstania i Warszawy. A jednak...

Jednak coraz częściej spoglądali w stronę pożarów warszawskich.

I gdy rozeszła się wiadomość, że major Okoń rusza z Kampinosu na czele dużego oddziału ku Warszawie, zwrócili się do niego o zabranie ze sobą.

Okoń patrzył na nich chwilę, po czym rzekł:

- Radzę tego nie robić. Musicie jeszcze solidnie wypocząć. Chętnie przydzielę was tu w puszczy do oddziału nocnego, podejmującego zrzuty broni. To będzie właściwsza dla was służba. Zresztą w Warszawie jest bardzo ciężko. Coraz ciężej...

- Wiemy, panie majorze - odpowiada Słoń. - Rozmawialiśmy ze sobą i dużo widzieliśmy.

Jednak głupio jakoś tu zostawać. Tam są nasi...

Decyzja ośmiu warszawiaków wywołała szczególne poruszenie w chałupie, do której przychodzili na posiłki. Zbierało się tam także trochę osób cywilnych, które uszły ze stolicy.

Jakiś mężczyzna po czterdziestce nie mógł opanować swej dezaprobaty.

- Po co wracacie, panowie? Przecież tam piekło. Czy wasza ósemka może w czymś pomóc powstaniu? Osiem trupów więcej. A w ogóle, po co to wszystko było robić? Rosjanie i tak przepędziliby Niemców i wyzwolili Warszawę, jakby nadeszła pora. My, Polacy, zawsze musimy nadstawiać łba zamiast uczyć się mądrości politycznej od Czechów czy Francuzów.

Jedno wam powiem i słuchajcie uważnie, panowie: w takich czasach - grunt to przeczekać. A jak czekać się nie da, to wybierać zło mniejsze. A wy... wy...

Siedzieli milcząc w tym potoku namiętnych wypowiedzi. Wreszcie Słoń zdecydował się zabrać głos za wszystkich:

- Widzi pan - zaczął z lekkim uśmiechem - to skutek przyzwyczajenia.

Przed czterema laty zamiast zająć się handelkiem albo przeczekiwaniem wojny na kompletach uczelnianych - rozpoczęliśmy mały sabotaż. I potem to już szło. Jak się raz wybrało nadstawianie łba, trudno się od tego odzwyczaić; przyzwyczajenie, proszę pana.

Zresztą, może to przyzwyczajenie liczy sobie nie cztery lata, a znacznie więcej? I może polega nie tylko na nadstawianiu łba, ale także na chęci walki ze złem?

Teraz Słoń już się nie uśmiechał. Mówił poważnie. Wszyscy siedzący przy stole patrzyli nań w skupieniu. I tylko pan po czterdziestce nie dał za wygraną.

- I akurat dla tego zwalczania zła potrzebna jest śmierć dodatkowych ośmiu ludzi?

- O, to już niejako efekt nadprogramowy. Tam są nasi chłopcy. Pan rozumie? Koledzy...

- Nie, nie rozumiem - burknął ich antagonistą i wyszedł zdenerwowany z izby. Młodzi ludzie zaś rozpoczęli przygotowania do drogi.

I oto długa kolumna dowodzona przez Okonia maszeruje piaszczystą drogą.

Ósemka warszawska jedzie na razie wozem, przy czym - nowe wspomnienie z bazy! -

woźnicą jest jeden z dwóch jeńców radzieckich, którzy po ucieczce z niewoli zbłądzili do bazy szaroszeregowej nad Bugiem. Gdy kolumna mija wieś, ludzie wychodzą z domów i choć niektórzy patrzą bez uśmiechu na maszerujących, inni życzliwie częstują mlekiem, owocami.

Po pewnym czasie towarzyszący ułani opuszczają kolumnę. Odjeżdża także wóz, którym dotąd jechali. Niestety, nieład organizacyjny grup partyzanckich, widoczny już w chwilach odmarszu, trwa.

Gdy nadeszła noc, zamilkły w maszerującej kolumnie rozmowy. Słyszeć tylko nierówny, tłumiony miękkością gruntu stuk obcasów. Czasem szczególnie broń lub ktoś uderzy butem o kamień. Przed nimi coraz czerwiejsza, coraz ogromniejsza łuna. Warszawiacy stanowią poczet majora.

Naraz wzbija się w górę rakietą i słyszeć z dala donośnie: - Halt!

Zatrzymali się i legli niespokojnie na ziemi. A major, zleciwszy zastępcy: - Nie strzelać, siedzieć cicho, czekać - wysunął się ze swym adiutantem do przodu i zniknęli w ciemnościach. Kolumna w ciszy przegrupowywała się do natarcia. Mijały dziesiątki minut.

Major wyłonił się z ciemności od strony posterunków nieprzyjacielskich tak samo, nagle, jak zniknął tam.

No, droga wolna. Maszerować. To Węgrzy, zawarłem z nimi porozumienie.

Gdy maszerujący partyzanci mijają grupkę milczących obcych żołnierzy, zapytują ich co chwila:

- Madziar?

- Magyar, Magyar - padają niezmiennie odpowiedzi.

I mijający, i mijani są wobec siebie nieufni, obawiają się podstępu, ale równocześnie w ich wzajemnym przerzucaniu się jedynym słowem: Madziar - Magyar wyczuć można ludzką życzliwość.

Książę i Słoń rozmawiają o majorze. Zaimponował im. Przed ich oczyma rozegrał się akt dowodzenia, z którym się dotąd nie zetknęli w swym krótkim żołnierskim doświadczeniu: inteligencja dowódcy osiągnęła szybko i bezkrwawo cel, który mógł kosztować wiele istnień ludzkich i wyczerpać przedwcześnie oddziały.

Ogień karabinów maszynowych spotkał ich po raz pierwszy dopiero na przedpolu Bielan.

Przebiegli szczęśliwie ostrzeliwaną uliczkę, ale uczyli się głupio. Odwykli już od tego.

Dopiero widok posterunku powstańczego z białą-czerwoną opaską na ramieniu poprawił nastrój: nareszcie znów w powstańczej Warszawie.

Nocleg i następny dzień w Szklanych Domach Żoliborza to były ostatnie spokojne godziny.

Mogli się nawet umyć w łazience. Ludzie z okolicznych mieszkań zorganizowali wydawanie im obiadów, zajęli się naprawą ich obuwia, wypraniem bielizny. Książę i jego towarzysze usiłowali zachować sztywność żołnierską, by nie poddać się nastrojowi „sentymentu narodowego”.

Potem nadeszła noc szturm, dokonanego przez grupy partyzanckie na Dworzec Gdański, szturm, który miał „odkorkować” Stare Miasto. Książę i jego towarzysze - ze względu na ich wciąż jeszcze nie zadowolający stan fizyczny - nie otrzymali żadnych poważniejszych zadań w tej dramatycznej akcji, kiedy to w niezwykle gęstym ogniu dział, moździerzy i broni maszynowej oddziały partyzanckie usiłowały przedrzeć się przez tory i zbadać dworzec.

Żołnierze-chłopi krwawili bardzo w mało im znanych warunkach walki w mieście. Następnej nocy szturm został powtórzony. Mimo ogromnych strat jeden z plutonów zajął bunkry na dworcu, ale nie dostał pomocy.

Akcja, wykonywana przez Okonia w ramach szerszego planu dowództwa powstania, nie dała wyników. Wobec tego polecono majorowi wrócić do Kampinosu po nowe posiłki. Major wezwał do siebie Księcia ze Słoniem i zaproponował ich grupie powrót do puszczy. Na Starówkę mogą się wprawdzie dostać kanałami, ale czy ma to sens w obecnych warunkach, gdy Stare Miasto pozostaje osaczoną wyspą zniszczenia?

- Wiemy, jak jest ze Starówką - odpowiada Słoń ściskając rękę majora. - Robiliśmy wywiad.

Zniszczenia straszne, poruszanie się prawie niemożliwe z powodu nieustannych bombardowań. Wiemy też, co znaczy niepowodzenie ostatniej akcji. Ale my, panie majorze, wolimy do „Zośki”, do „Felka”, do swoich.

Pożegnanie z majorem, z Garbatym i z odchodzącymi partyzantami było bardzo serdeczne.

Gdy udało im się wyblagać przepustki na przejście kanałem z Żoliborza do Starego Miasta i przyszli do wjazdu kanałowego - jeszcze raz ich serca zostały poddane próbie. Przed zejściem do kanału jakiś ksiądz udzielał absencji, a odbierający przepustkę powstańcze żoliborski powiedział: - idziecie, koledzy, na mięso. - Grupa zaś, która tuż przed nimi zeszła do kanału, cofnęła się z powrotem: -

Niemcy rzucają granaty, nikt już nie przejdzie.

- Tylko bez paniki i bez kwękania - mówi Słoń. Po czym, zwracając się do wartownika: -

Teraz nasza grupa, prawda?

Obładowani amunicją dla Starówki spuszcza ją się do kanału. Stojących w wodzie ludzi obiega ostrzeżenie prowadzącego kolumnę oficera: - Za rozmowę w kanale kara śmierci.

Równocześnie z rozkazem: „maszerować” Księżę odwraca się i wypowiada ostatnie, jeszcze tu dozwolone zdanie: - „Zośka”, trzymać się.

Idą schyleni pod prąd ciekącej wody. Idą powoli. Cichy chłopot. Niekiedy stopy trafiają na jakieś oślizgłe przeszkody: kamienie? ciała ludzkie?

Dusžno. Wstrętna, specyficzna woń. Przewodnik gasi świecę. Kanał staje się wąski i jeszcze duszniejszy. Ręce dotykają lepkich ścian, wymacując rozgałęzienia kanałów. Nad głową błysnie czasami światełko okienek. Idą coraz niżej pochyleni, trzymając się jeden drugiego.

Czasem ten wąz rozrywa się i wówczas silniej biją serca tych, co pozostali nieco w tyle. Ten i ów odczuwa zawrót głowy, utrzymanie równowagi staje się trudne. Ale oto zwiększa się głośny szum burzowca i kanał wchodzi do poprzecznego, szerokiego tunelu. Prąd wody staje się natarczywy, atakujący. Słoń myśli o nocnych zwierzeniach Garbatego i czuje, jak pot pokrywa mu czoło. Na szczęście deszczu nie było, poziom wody w burzowcu niewysoki i w poprzek została przeciągnięta lina, której można się trzymać. Przeszli przez ten niespokojny, wartki, szumiący potok i znów są w kanale ściekowym. Znów coś oślizgłego pod stopami. Już chyba minęło pół godziny, a może godzina?

Oslabłemu Leszczycowi pomaga Stefa. Kanał staje się wąski i niski nie do zniesienia. Na szczęście przewodnik zapala świecę - a więc najgorsze minęło. Żeby nie ta okropna duszność... W chybotliwych blaskach świeczki lśnią oślizgłe i lepkie ściany, a ciecz pod nogami staje się obrzydliwie gęsta. Płuca pracują jak miechy w tej przestrzeni o skąpym tlenie.

Nareszcie! Z trudem, z wielkim trudem unoszą stopy i ręce na kolejne szczeble żelaznych klamer, wbitych w brunatne cegły ściany. Wreszcie usta i oczy są w krainie powietrza.

Pierwsze wrażenie na widok ulicy było wstrząsem: takiego strasznego zniszczenia, takich gruzów otaczających kikuty domów nie spotykali na Woli.

Ale na rozglądanie się nie czas. Wali świetlna seria pocisków.

- Biegiem - w ruiny!

Tylko pierwsze wrażenie było wrażeniem zgrozy. Wnet owiała ich radość: dotarli na Stare Miasto! Jest to noc z 23 na 24 sierpnia, czyli trzynasta doba ich odysei. Są wciąż tą samą ósemką: trzy łączniczki i pięciu żołnierzy „Felka”.

Aby dostać się do placu Krasińskich i na Franciszkańską, potrzebowali prawie całej doby. Nie tylko

z powodu wielkiej trudności poruszania się przez zatłoczone do niemożliwości piwnice i ciężko ostrzeliwane i bombardowane ulice, ale także dlatego, że dowódcy mijanych odcinków usiłowali „łatać” nimi niepokojące dziury swych pozycji obronnych.

Gdy wreszcie weszli do kwatery „Felków”, serca biły im szybko i uśmiechały się oczy. Ktoś z leżących krzyknął: - Słoń! - i rzucił się na szyję pierwszego z wchodzących. Zerwali się na nogi i w głośnej radości obejmowali przybyłych. Całowali się wszyscy - chłopcy, dziewczęta

- i nie wstydzili się tym razem łez. Nie mogli się sobą nacieszyć. Śmiali się pełnymi głosami, poklepywali po plecach i ponownie obcałowowali. Przybysze wręczyli drobne upominki, specjalnie przyniesione z Kampinosu: chusteczki do nosa ze spadochronów, angielskie papierosy dla palących, czekoladę.

Dusze ich napęliła otucha: życie nie jest straszne. Teraz już wszystko powinno biec dobrze, są przecież znów razem.

Radosne podniecenie przywitań ściągnęło do „Felków” Andrzeja Morro.

Wbiegł obandażowany po niedawnym oparzeniu przez minę i chwytając każdego z przybyłych w ramiona, wykrzykiwał coś pośpiesznie i przyglądał im się jak zmartwychwstałym.

Leszczyc, który pisał pamiętnik, nie bardzo się zresztą afiszując tą „niemęską” skłonnością, rozpoczął opowieść o dniu 24 sierpnia nagłówkiem:

„Najszczęśliwszy dzień w życiu”.

## VIII. W GRUZACH GETTA. STAWKI

Parasol wycofany został z Woli o brzasku 10 sierpnia i pierwsze dwa dni jego pobytu na Starym Mieście były odpoczynkiem. Wypoczynek był zresztą konieczny: odpieranie kilkudniowych ciężkich szturmów nieprzyjacielskich na cmentarze wyczerpało i bardzo skrwawiło żołnierzy „Parasola”.

Gdy większość batalionu rozlokowała się w pałacu Krasińskich, gdy chłopcy przespali się i najedli, inaczej spojrzeli na świat. Stare Miasto to nie Wola nie tamta makabra! We wszystkich oknach pałacu - szyby, całe szyby!

Śpią w łóżkach! Na noc można zdjąć buty! Co mówię, nie tylko można - trzeba, po salach bowiem krąży służbowy i nie pozwala kłaść się do łóżka w butach! A noce są tak bezpieczne, że nareszcie można spokojnie spać. Spać w czystych, świeżych koszulach, które im rozdano.

Jakże tu wygodnie, ile przestrzeni. No - i funkcjonujące wodociągi, ustępy. Ten i ów po kilka razy spuszcza wodę w ustępie dla samej przyjemności usłyszenia miłego jej szmeru. Piękne drzewa ogrodu Krasińskich zagląдают wprost w okna, a w ogrodzie fontanna, pod którą można się wykapać.

Mają sporo czasu na wałęsanie się, bo służbę pełnią kolejno kompaniami, zmieniając się na stosunkowo dalekiej linii. Wprawdzie na krańcach Starego Miasta czasem jest niespokojnie, a niebem ciągną chmury dymów pożarowych, ale wszystko to jest przecież poza Starówką. Tu, na uliczkach i rynkach, ludzie chodzą normalnie i spokojnie latają gołębie, często-gęsto zwisają białoczerwone chorągwie, widać narodowe orły, rozlegają się dźwięki radia.

Z wyżywieniem też nie najgorzej: obfite magazyny niemieckie na Stawkach i w piwnicach Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych zaopatrzyły nie tylko wojsko. A na murach -

afisze, napisy sloganowe, odezwy Delegata Rządu, znaki kotwic. I codzienna prasa drukowana na Starym Mieście (centralna prasa warszawska, wydawana w śródmieściu, tutaj nie dociera): „Powstaniec”, „Warszawianka”, „Walka”, „Armia Ludowa”, „Żołnierz Starego Miasta”, „Żywią i Bronią”, „Głos Warszawy”, „Sprawa”, „W Walce”, „Iskra”, „Kurier Stołeczny”... Czynne są restauracje, kawiarnie, bary, knajpki - wszystko to przepełnione.

Otwarte są sklepy, w których rozdziela się ludności produkty spożywcze zdobyte w składach niemieckich. Czynne są apteki.

Sielanka! Raj !

Sielanka! Szpitale są jednak przepełnione rannymi. Na ulicach spotkać można wynędzniałe postacie w pasiakach: Żydów uwolnionych z Gęsiówki. W podwórzach, bramach, piwnicach koczują wśród swych tobołków gromady bezdomnych uchodźców z Woli, Koła, Młynowa, Muranova. Ogromne obozowisko powstało na zieleńcach szerokiej fosi pod starymi murami miasta; płoną tu setki ognisk, na których ludzie gotują posiłki i przy których śpią w nocy.

Od czasu do czasu padają na Stare Miasto bomby lotnicze.

Jedna z takich bomb walnęła w pałac Krasińskich. Ludzie „Parasola” nie ucierpieli. Wybuchł

pożar (okupant uczynił w pałacu skład mebli pożydowskich), którego nie dało się ugasić, i znaczna część budynku uległa zniszczeniu. Wobec tego „Parasol” został przeniesiony do sąsiedniego gmachu Sądu Apelacyjnego. Tu wprawdzie nie było już takich rozkoszy, jak w pałacu, ale wygody i wypoczynkowa atmosfera trwały. A swoją drogą piwnice pałacu Krasińskich służyły nadal „Parasolowi” za kwatery.

Jeremi, wspierany radami przebywającego w szpitalu Pługa, reorganizował batalion, którego stan po wyjściu z Woli był zły. Krążył wówczas wierszowany dowcip Ziutka: W „Parasolu” już taka jest mania,

Że na pluton mówi się kompania,

No i takie trzy plut-kompaniony

Zwą się szumnie szturm-batalionem.

Tak często, jak tylko się dało, wpadał Jeremi do szpitala Jasi i głaszcząc jej rękę opowiadał wydarzenia batalionowe i powstańcze.

Przychodzili także inni. Kryjąc swe uczucia, usiłowali zachowywać się w stosunku do rannej tak, jakby się nic nie stało. Żarty i dowcipy szły ostre.

Jasia początkowo nie miała odwagi mówić. Gdy wreszcie, ulegając prośbom Jeremiego, odezwała się doń krótkim zdaniem, Jeremi uczuł, jak chłód ogarnia mu piersi i zamiera serce.

Zamiast słów usłyszał niezrozumiałe bełkot.

Rafał z zainteresowaniem śledził intensywną pracę organizatorską Jeremiego. Młodzieńczy dowódca batalionu, niedawny wychowanek Rafała, stanowił dlań pasjonujący temat rozmyślań. Sam Rafał, od czasu jak odrzucił temblak, który musiał nosić na skutek rany w łopatkę, odniesionej podczas lipcowej akcji na Koppego w Krakowie, czuł się doskonale; i choć ssał go ciągły niepokój o żonę, działającą gdzieś w Śródmieściu, dowodził swą kompanią sprężysto i zdolny był po dawnemu do myślenia o świecie i ludziach. A ludzie to przede wszystkim Jeremi. Cóż za zmiana, i to zmiana, która się dokonała w ciągu kilku złych dni na cmentarzach. Wprawdzie uczuciowiec Jeremi podlegał już nieraz „przestawieniom” psychicznym, ale to, co działo się z nim teraz, wyglądało na fakt bardziej poważny. W

stosunkach z ludźmi zniknęła tak właściwa Jeremiemu nuta pogodnej zarozumiałości i lekceważącego uśmiechu, znikła zapalczywość, niepohamowana aktywność i to, co najbardziej raziło Rafała: rozproszenie zainteresowań. Jeremi, który przywłókłszy się z Woli, po kilku godzinach kamiennego snu przystąpił do pełnienia swych obowiązków, był

człowiekiem o ruchach niemal flegmatycznych i o myśleniu skierowanym stale na zewnątrz, na innych ludzi. Zdawało się, iż przestał zupełnie interesować się i zajmować sobą. Jego skłonność do



abnegacji przybrała teraz postać dziwną: był bodaj jedynym człowiekiem w batalionie, który po przyjeździe na Stare Miasto nie ogolił się, a Rafał sądził, iż gdyby osobiście nie zaciągnął Jeremiego pod fontannę ogrodową, ten by się nawet nie wykąpał.

Gdy czasem na krótko wychodzili we dwójkę, aby przejść się ulicami, Rafał z zainteresowaniem rejestrował w myśli krótkie wypowiedzi Jeremiego.

- Popatrz, w co się te dzieci bawią - odzywał się na przykład Jeremi, wskazując na grupkę ośmiolatek, która popędziła przed sobą kilkoro maluchów, wyrzaskując: - Raus, raus! -

Albo:

- Widzisz tę oparzoną dziewczynę? Jakież okaleczenie!

Natomiast zdawał się nie zwracać uwagi na stojącą obok ponętą brunetkę, karmiącą resztkami jedzenia stadko białych gołębi, i przychodził obojętnie koło gwarnej knajpki, w której ktoś grał na harmonii.

W pracy organizacyjnej talenty Jeremiego nie doznały zaburzeń.

Przeciwnie. Jego inteligencja dowódcy, po dawnemu bystra i autorytatywna, została teraz wzmocniona przez jakieś skupienie i powagę wewnętrzną.

Reorganizację batalionu prowadził sprawnie, spokojnie i solidnie. Prawie nie przyjmował ochotników, wyrozumowawszy w naradach z Pługiem, Rafałem i Piotrem, że dni, które nadejdą, staną się specjalnie niebezpieczne dla nie obytych z karnością, z bronią, z walką.

Przeorganizowanie związało z posiadaną bronią i z właściwym ześrodkowaniem ludzi koło tej broni. Nowe kompanie i plutony, choć słabe liczebnie, zyskały znacznie na sile ognia dzięki zaboremu zdobywaniu przez Jeremiego karabinów maszynowych.

„Parasol” z dnia na dzień wracał do zdrowia bojowego.

Początkowo ten powrót batalionu do dobrej formy nie miał możliwości uzewnętrznienia się; jego pozycje w ruinach getta były pozycjami na razie spokojnymi. Plutony wymaszerowały z placu Krasińskich na swój odcinek frontu położonego w granicach od pałacu Mostowskich, poczynając z lewej, poprzez ruiny getta i tak zwany Biały Domek (róg Nalewek i Nowolipek) - do Gęsiej z prawej. Tam, na stanowiskach, w pałacu, w domach oraz wśród wzgórz i wądołów rumowisk getta, oddziały „Parasola” zabezpieczały od północnego zachodu Stare Miasto, same z kolei zabezpieczone przez „Zośkę” i inne oddziały Radosława, walczące ciężko w rejonie Okopowej. Czasem „popukali” trochę bez większej szkody dla nieprzyjaciela i bez strat własnych.

Korzystali chętnie z życzliwości okolicznych mieszkańców, zapraszających ich na proste, lecz serdeczne zakąski, na przepierki, na pogaduszki.

Gdy jedenastego sierpnia oddziały Radosława opuściły Okopową i wycofały się na Stare Miasto,

linia „Parasola” stała się nagle odcinkiem wielkiej doniosłości, zabezpieczającym Stare Miasto na osi głównych uderzeń wroga.

Dwunastego sierpnia runął na nich taki ogień z dział, moździerzy, granatników, broni maszynowej, dopełniany nalotami lotnictwa myśliwskiego i bombardującego, że cały odcinek wprost „chodził” wśród wytrysków ziemi i gruzów, wśród walących się ścian najbliższych domów, ogarnianych pożarami, wśród huku wybuchów i wycia pikujących samolotów.

Powstańcy usiłowali wtulać się we wgłębienia terenu, wpełzali w załomy resztek murów, w schrony piwniczne i - w bezruchu, w milczeniu przeczekiwali szturm żywiołu wojny.

Odcinkiem dowodził wówczas porucznik Konrad, oficer zawodowy, kawalerzysta odkomenderowany przed kilkoma dniami do „Parasola”. Jednakże Jeremi był tu też; od czasu do czasu zrywał się w tym chaosie błysków, świstów, huków i pędził do rozrzuconych placówek. Nie wątpił o celu intensywnego ognia nieprzyjacielskiego, przygotowywał więc oddziały do tego, co miało nastąpić. I gdy w pewnej chwili ogień artyleryjski częściowo ustał, a z rdzawych nierówności getta od strony Leszna pojawiły się fale biegnących skokami żołnierzy nieprzyjacielskich, oddziały „Parasola” były na tyle opanowane, że w pierwszych kilkunastu minutach nie reagowały na natarcie, podpuszczając tyraliery wroga bliżej pod lufy swej broni. I dopiero gdy rozległ się ostry gwizd porucznika Konrada, odezwała się strona polska.

Nie na próżno przez kilka minionych, spokojnych dni Jeremi, Konrad, Rafał, Wacek i Jurek Lot w sposób pedantyczny wyznaczali stanowiska broni maszynowej, sprawdzając po wielokroć pole ostrzału. Nie na próżno! Gdy teraz broń „Parasola”, słaba i nieliczna wobec niemieckiej, odezwała się wyzwolona gwizdem Konrada, skuteczność jej była dla atakujących mordercza.

W godzinę potem na wielkim obszarze gruzów przed lufami „Parasola” nikt już nie podrywał się do skoku i nie biegał ani do przodu, ani do tyłu.

Tej nocy ani Jeremi, ani Rafał nie odeszli z linii na odpoczynek. Piotr Pomian, który przyszedł wywiedzieć się, jak „Parasol” przetrzymał ciężki dzień, odszukał obydwu w niby-piwnicy jednego z rozebranych domów getta.

- Życie jeszcze?

Rafał przecierał rozspane oczy, Jeremi stał przy ścianie z rękami głęboko wciśniętymi w kieszenie spodni, szczupły, niski, zarośnięty. Nie uśmiechał się odpowiadając Piotrowi.

- No, nie było najgorzej, choć porucznik Konrad ranny paskudnie. Żaden z naszych oddziałów nie próbował się cofać, a co do natarcia niemieckiego - byliśmy dobrze wstrzelani.

Żadna filozofia.

Piotr nie może powstrzymać odruchu i mocnym uściskiem dłoni przypieczętowanie zwycięstwo „parasolarzy”. Szedł tu z uczuciami mieszanymi.

Widział, jak skrwawiony ciężko „Parasol” opuszczał bez Pługa Wolę, i odtąd z niepokojem myślał o tym batalionie. Teraz już wiedział, jak z nim jest naprawdę.

- Może chcecie sardynek? Mam też chleb. Myślałem, że jeśli nie pójdziecie do siebie na kwaterę, możecie być głodni.

Jedząc, pokazywali Piotrowi plan odcinka i porównywali jego opinię ze swymi koncepcjami w niektórych szczegółach obrony.

W pewnej chwili Jeremi powiedział:

- Byłem dziś u Jasi w szpitalu i zajrzałem do Pługa. Rana mu się pogorszyła, ropy do cholery.

Usłyszałem od niego wyznanie: jego zdaniem wielka historia „Parasola” skończyła się wraz z okresem dywersji i rozpoczęciem powstania. Takiej niezwyklej mobilizacji inteligencji, sił

duchowych i precyzji organizacyjnej, jakich od każdego z nas wymagała akcja dywersyjna, nie ma już w walkach regularnych.

Piotr uśmiechnął się powątpiewająco, lecz nie podjął tematu. Jeremi zaś dodał jeszcze:

- Myślę, że powstańczy typ walk otwartych wymaga nie tylko innych umiejętności niż dywersja, ale i innych dyspozycji psychicznych.

Gdy Piotr odszedł i Jeremi został sam na sam z Rafałem, zwrócił się do swego starszego wiekiem przyjaciela:

- Rafał, co sądzisz o Wacku?

- O dowódcy drugiej kompanii?

- Tak.

Rafał uśmiechnął się.

- Najbardziej zawrotna kariera w „Parasolu”. Zjawił się u nas wraz z drużyną Andrzeja Wojnicza na miesiąc przed powstaniem i pierwszego dnia powstania był tylko dowódcą sekcji. Po kilku dniach objął drużynę, po sześciu - pluton, a w ósmym dniu powstania został

dowódcą kompanii. Dziś jest dwunasty dzień powstania, a więc Wacek już cztery bite dni dowodzi kompanią. Czy zapowiada się nowy awans?

Jeremi speszył się. Opuścił powieki.

- Nie żartuj, Rafał. Ja mówię poważnie. Czy nie sądzisz, że Wacek ma lepsze od nas i gruntowniejsze wykszolenie liniowe? Facet skończył normalną, przedwojenną podchorążówkę i w kampanii wrześniowej dowodził plutonem w polu. My zaś wyspecjalizowaliśmy się w dywersji; w taktyce

walk otwartych wciąż jeszcze możemy pewnych rzeczy nie chwycić.

Rafał popatrzył uważnie na Jeremiego. Ten wreszcie „odkrył karty”.

- Czy miałbyś coś przeciwko mianowaniu Wacka moim zastępcą, zastępcą dowódcy batalionu do spraw taktycznych? Stanowisko zastępcy należy się właściwie tobie, ale...

- Jeremi, Jeremi? Czyż poważnie sądzisz, że mnie to może dotknąć? Zgadzam się z tobą: Wacek jako organizator walk otwartych może być lepszy ode mnie.

Tyle tylko, że będziemy musieli obydwaj mu pomóc, nie zna przecież Szarych Szeregów.

Jeremi wyciągnął rękę:

- Dziękuję ci.

Gdy późną nocą w schronie piwnicznym dowódcy batalionu zameldował się Wacek, Jeremi powstał na jego widok z krzesła.

- Witajcie, kolego. Pragnę was prosić, abyście objęli stanowisko mojego zastępcy do spraw taktycznych. Dowódca zgrupowania aprobuje tę koncepcję.

Ostre rysy Wacka złagodniały. Wyraz zaciętości, tak charakterystyczny dla jego twarzy, zniknął. Tylko szare oczy pozostały zimne i na wąskich wargach nie pojawił się uśmiech.

- To dowód dużego zaufania, bardzo dziękuję. I chcę to rozumieć także jako pozytywną ocenę bojowej pracy drużyny Andrzeja Wojnicza, z którą wszedłem do „Parasola”.

Mówił szybko, energicznie.

- Więc przyjmujecie zastępstwo?

- Tak jest, panie poruczniku. (Jeremi tuż przed powstaniem został mianowany podporucznikiem; była to jedna z najpierwszych nominacji oficerskiej chłopców „Parasola” i

„Zośki”.) - No, po co zaraz tytuły. Czy nie czas, abyśmy przeszli na nazywanie się po imieniu? Chcę zapoczątkować to pierwszy, Wacku, i chcę, aby pierwsze zdanie, które wypowiem ci w nowej formie, brzmiało tak: uważam ciebie za dar niebios dla „Parasola”.

Myślę, że staniesz się teraz jeszcze bardziej użyteczny w batalionie. Ale, ale, czy byłeś kiedyś w harcerstwie?

- Nie. Byłem w „Wiciach”, jestem jakby wychowankiem „Wici”.

- To ty wiciarz, bracie?! A tośmy się dobrali!

Następnego dnia ciężkie bombardowania i naloty powtórzyły się. Oczekiwano znów natarcia

piechoty. Wprawdzie „Parasol” wciąż trzymał się dobrze, ale straty na skutek intensywnego ognia miały znaczne.

- Niezła zapowiedź na najbliższe godziny - mruknął Jeremi do Wacka, gdy inspekcjonując kompanię Rafała odebrali jego meldunek o licznych granatnikach na nowych stanowiskach niemieckich. - Znosi się na ciężkie walki.

Rafał kiwnął głową i równocześnie pomyślał: „Trzeba natychmiast napisać do Wandy”.

W parę godzin potem naloty ustały i tyraliery nieprzyjacielskie ruszyły do natarcia. Fala za falą, fala za falą. Osłaniająca natarcie broń maszynowa biła po stanowiskach „Parasola” niezwykle gęsto i dopiero gdy wróg podchodzić już zaczynał pod nasze stanowiska, ogień ten zelżał.

Z boku, stosownie do umowy Wacka z batalionem „Chrobry”, odezwał się ostry trzask czterech ciężkich karabinów maszynowych porucznika Konara.

Wacek wyskoczył pierwszy spoza osłony - szczupły, niski, zacięty.

- Naprzód! Naprzód! - krzyczał tak, że piana wystąpiła mu na wargach. Tuż za nim wyskakiwali chłopcy drugiej kompanii, z boku wyłonił się Rafał na czele pierwszej, która biegła nieco zakosem na skrzydło niemieckiej tyraliery. Nie strzelali, aby nie ranić kolegów, nie rzucali granatów, pędzili z odbezpieczoną bronią naprzód.

Bieгли ogarnięci uniesieniem. Któryś pędzący tuż za Wackiem (Borski?) nie zastanawiając się nad tym, co czyni, zaczął ochryple śpiewać:

Hej, kto Polak na bagnety..

I stała się rzecz w powstaniu jedyna: biegnący w przeciwnatarciu chłopcy „Parasola” podchwycili melodię i słowa. Zadyszani, ochryplymi, nienaturalnymi z podniecenia głosami ryczeli „Warszawiankę”, pędząc ku zapadłej w gruzy fali wroga.

Hej, kto Polak na bagnety,

Żyj swobodo, Polsko żyj!

Już! Ci na przedzie poczęli rzucać granaty i padłszy otwierali ogień ze stenów,

„czterdziestek” i karabinów. Potem - znów naprzód.

Natarcie niemieckie zostało złamane i nieprzyjacielskie tyraliery cofać się poczęły śpiesznie ku tyłowi. Wacek ostrym gwizdem powstrzymał dalszy pościg.

Gdy po godzinie liczył w swoim schronie znoszoną z pola walki zdobycz, ręce mu wciąż jeszcze lekko drżały z podniecenia, a szare oczy lśniły.

Broni maszynowej zebrano więcej, niż można było oczekiwać.

Do schronu wszedł Jeremi.

- No, Wacek, zacząłeś nie najgorzej.

Wacek oderwał wzrok i ręce od porządkowanej broni.

- Myślę, Jeremi, że należą się od nas podziękowania dwu ludziom: Konarowi z „Chrobrego” za wsparcie przeciwnatarcia ściśle na czas cekaemami oraz Rafałowi za jego wzorową wobec mnie lojalność.

Gdy 11 sierpnia przed wieczorem kompanie „Zośki” pojawiły się na skraju Starego Miasta, nie była to już wprawdzie dzielnica tak zdumiewająco normalna, jaką jeszcze zastał przed dwoma dniami „Parasol”, ale w każdym razie był to fragment miasta całego, z ludnością chodzącą ulicami, z szybami w oknach, z flagami na balkonach.

Ktoś z „Rudego” wpadł na wariacki zdawało się pomysł urządzenia... defilady i myśl ta owładnęła młodymi żołnierzami. Ludzie ci, wycieńczeni do kresu wytrzymałości wielodniowym bojem, ledwo wlokący nogi przez gruzowiska getta pod ciężarem broni i amunicji, pokryci potem, brudem, bandażami, kulejący, przygarbieni, z drobinami piasku w wyschniętych ustach, z błyszczącymi gorączką oczyma - ci wszyscy wyczerpani nieludzko na wieść o defiladzie ożyli, prostowali się, obciążali panterki, poprawiali hełmy, mocniej stawiali krok. Dziewczeta - wszystkie w spodniach - rozłokowały również ciężar toreb sanitarnych i poprawiały czapeczki. Z tła myśli zniknęła udręka świeżych wspomnień o tych, co pozostali za nimi, teraz widzieli tylko to, co było przed nimi: zgrabną postać kapitana Jana w polskim mundurze i w hełmie nieco przekrzywionym ku prawej stronie rudawej głowy oraz szczupłą, rygorystyczną sylwetkę Piotra Pomiana w panterce przygniecionej skórą „cielaka”.

Maszerują czwórkami. Krok stał się równy, miarowy, prawie lekki. - Hej, chłopcy, bagnet na broń - zaczyna śpiewać „Rudy” i ulubioną piosenkę podchwytuje cały batalion. Na chodnikach coraz więcej ludzi, dużo powstańców z opaskami, młode kobiety. Maszerującym wydaje się, że wszystkie oczy tylko w nich są wpatrzone, że podziwiają ich broń, ich mundury, ich samych. Mają wygląd jednolity, jak chyba żadne inne oddziały powstania: niemieckie spodnie, panterki, buty z cholewami, hełmy. Niektórzy zdążyli wyszukać wśród zielska getta lub traw pustych placów jakieś skromniutkie kwiatki i ozdobić nimi swe hełmy. -

Bacność! - Podkute buty ostro biją w bruk ulicy. Nawet ranni usiłują wyglądać dzielnie. - Na prawo patrz! - Prężą się piersi, oczy patrzą naiwnie-zawadiacko na salutujących ich Jana, Piotra, Jerzego, ojca Pawła. Uszy chwytają jakże miły głos klaszczących dłoni, oczy zaś dostrzegają pieszczące serca uśmiechy. Tu i tam ktoś nawet krzyczy na ich cześć. Są dumni.

Są szczęśliwi...

Ta spontaniczna defilada była przecież pierwszą defiladą tego młodego, powstańczego żołnierza. A dla ogromnej ich większości była także - wraz z paradniejszą defiladą jutrzejszą -

defiladą jedyną.

Ludzie I i II kompanii „Zośki” rozlokowali się w Pasażu Simonsa, kompania Giewonta natomiast pozostała na obszarze getta, aby obsadzić nową linię.

Gdy zajęli wyznaczone im placówki i powysuwali czujki, zapadł zmrok. Ledwo zaczęli się mościć, a już przeżyli emocję: w szarzejących niedaleko ruinach coś się ruszało; patrol z odbezpieczoną bronią wysunął się ostrożnie w tamtym kierunku. Naraz owe „coś” wyskoczyło z gruzów. Padli wystraszeni i dopiero po chwili rozeznali, że to wielki pies.

Wrócili na swe stanowiska wysapując resztki wzruszenia.

Łagodny sierpniowy wieczór odprężył umęczone ciała. Posnęli niemal natychmiast. Spały całe placówki, spały wszystkie czujki, z bronią leżącą pod ręką i z głowami w tym kierunku, skąd można się było spodziewać nieprzyjaciela. Spali mimo ognia artyleryjskiego - nie intensywnego zresztą - i mimo jakiejś chaotycznej strzelaniny broni maszynowej, mimo palących się w pobliżu kilku domów, mimo płaczów i nawoływań ogarniętych przerażeniem uchodźców, przebiegających gdzieś obok. Gdyby Niemcy w tym czasie zaatakowali... Ale nie zaatakowali!

Czołówki „Zośki” i innych oddziałów zgrupowania Radosława wysunięte zostały dość głęboko w gruzowiska getta, na linię ulicy Lubeckiego. skąd było znacznie bliżej do Okopowej niż do Bonifraterskiej. Nie można powiedzieć, aby ta sytuacja podobała się owym czołówkom. Toteż gdy nieprzyjaciel zaatakował, zachowały się one miękko i linia Lubeckiego „puściła” szybko. Dopiero stanowiska wyznaczone w rejonie ulicy Zamenhofs, położonej niejako na przedpolu Bonifraterskiej (czyli na przedpolu Starówki), wydały się plutonom linią rozsądną. Szczególnie, że na lewym skrzydle sąsiedowali teraz z „Parasolem”, a na prawym - z jakimś innym pewniakiem. No, teraz można wojować!

Kompanie „Zośki” oparte o Nalewki, z placówkami wysuniętymi w rejon ulicy Zamenhofs znalazły się już 12 sierpnia w opałach. Zwalił się na nie ten sam dwunastogodzinny ogień artyleryjski, przerywany nalotami „stukasów”, który przeżył „Parasol”.

Piotr Pomian, jak zwykle w takich wypadkach, ruszył na linię. Tym razem prócz visa wziął

kilka granatów, spodziewał się, że nieprzyjaciel, zachęcony całkowitym wyparciem powstańców z Woli, może pokusić się o jakiś ostry atak na Stare Miasto.

Skokami i pełzaniem posuwał się Piotr ku stanowiskom kompanii Giewonta.

Teren getta był tutaj nierówny, gruzy wypiętrzały się lub zapadały w wielkie doły, gdzieniegdzie porośłe zielskiem. Trafiające się zagłębienia stanowiły dla Piotra dobre etapy skoków. Po pewnym czasie zaczął w tych dołach spotykać ludzi Giewonta. Zwykle był to ręczny karabin maszynowy z obsługą lub pistolet maszynowy z paroma żołnierzami uzbrojonymi w karabiny.

W paru takich stanowiskach Piotr trafił na śpiących. Ten, co spał, układał się zwykle w czymś w rodzaju gniazda, z którego wybrany i odpowiednio ułożony gruz miał zabezpieczać od kul i odłamków.

Do Giewonta dotarł, gdy ten jadł śniadanie. Siedział w wygodnym wgłębieniu piwnicznym koło wysokiego dźwigu. Była tu także łączniczka Renia.

- Macie rannych?

- Jakoś dotychczas nic poważnego. Biją głównie poza nas.

Przegryzając suchary czekoladą milczeli chwilę.

- Myślałem - zaczął znów Giewont - że będziemy mieć chociaż trochę spokoju po tej Woli, a tu licho nadało z jednego młyna w drugi. Jak sądzisz, Piotr, długo nas się będą czepiać?

- Myślę, że po opanowaniu Woli najbardziej kłopotliwą dzielnicą Warszawy jest teraz dla Niemców właśnie Stare Miasto: zagraża arterii przelotowej wschód-zachód i obwodowej linii kolejowej. Wiesz, Dworzec Gdański.

- A niech to pioruny! Że też...

Niezadowolenie Giewonta przerwały dźwięki tak charakterystyczne i zarazem tak nowe, że zamilkli i wsłuchiwali się w coś, co czyniło wrażenie serii regularnych, głośnych zgrzytów, jakby nakręcań ogromnego, zardzewiałego mechanizmu zegarowego. Cztery... pięć... sześć...

Patrzyli na siebie zdziwieni w kilkusekundowej ciszy, która nastąpiła po zgrzytach. Naraz posłyszeli bliski, przeraźliwy świst. Schyliwszy instynktownie głowy spostrzegli, jak na wysokości może ośmiu metrów ponad nimi przelatują czarne, podłużne pociski, lecące na ukos z góry w dół, jeden obok drugiego, w niewielkich od siebie odstępach. W ułamek sekundy potem sześć potężnych wybuchów i niezwykły podmuch targnęły powietrzem.

Ogromna, czarna chmura pyłu kłębiła się i dymiła nad zboczem położonym tuż za dźwigiem.

Giewont z przerażeniem pojął, że tajemnicze pociski walnęły w najbliższe stanowisko cekaemu plutonu Michała.

- Renia, pędź po sanitariuszki, Piotr, wypęłzamy.

Pełznąć widzieli, jak Renia wśród ostrej strzelaniny i padających odłamków przeleciała cało przez zaporę ogniową położoną wzdłuż uliczki. W kilkanaście minut tę samą zaporę przeskoczyła Maryna z koleżanką. Gdy dziewczęta dobiegły do zbocza dymiącego resztkami kurzu oraz jakiejś smolistej sadzy i dla złapania tchu padły w pobliskie wgłębienie, Maryna dostrzegła czołgające się po stoku postacie uwalane w czarnym brudzie.

Rozpoznała wśród nich Giewonta i Michała.

- Gdzie ranni?

- Ranni... Chodź no tu, Maryno.



Podpełzła. Na stoku leżało trzech żołnierzy utyłanych całkowicie, prócz białek oczu, w mieszance kurzu, miazgi ceglanej i sadzy. Leżeli jak ogłupiali, w oszołomieniu, ale oddychali równo i nie było na nich śladów obrażeń. Ocaleli cudem - wszyscy, prócz Cichego, który znajdował się z nimi razem, leżał - o tu, na skraju, za małym murkiem, i teraz nie ma Cichego!

Piotr, Giewont, Michał szukali ciała, spenetrowali cały stok i nie dostrzegli nawet śladu po Cichym, żadnych strzępów, żadnych plam krwi, żadnych resztek broni - nic. Michał jest blady i żegna się.

- Jeden z pocisków musiał trafić prosto w niego - mówi Giewont, a Maryna kiwa potakująco głową, starając się opanować napływający do serca lęk.

Tak oto żołnierze Giewonta zetknęli się z niemieckimi moździerzami salwowymi, które nieprzyjaciel wprowadził w tym dniu po raz pierwszy do walki przeciw powstańcom. Z

czasem na Starówce do moździerzy tych przylgnie nazwa „szafy” (bo skrzypią jak przesuwane szafy), w Śródmieściu zaś, gdzie głos ich wydał się ludziom podobny do porykiwań krowy, będzie się na nie mówiło „krowa”. Te nazwy jednak pojawią się dopiero w następnych dniach.

Teraz nie było czasu na rozmyślanie o groźnej broni. Sypnęły się znów gęściej pociski granatników i zaczęły rozlegać się wołania rannych. Maryna, poruszająca się ze swą torbą sanitarną w miarę ostrożnie i w miarę odważnie, w pewnej chwili krzyknęła do Michała:

- Pomóż, nie mogę dać rady.

Michał podbiegł i ujrzał ciężko rannego.

- Niesiemy? - zwróciła się do niego Maryna.

Leżący obok rannego Michał wstrzymał oddech: nieść wielkiego chłopca z tą dziewczyną to znaczy iść wolno, wyprostowanym, pod ogniem granatników.

- Niesiemy - odpowiedział głosem, który jemu samemu wydał się obcy.

Maryna ujęła rannego pod kolana, Michał pod pachy i tak szli ponad sto metrów, wypoczywając niekiedy na leżącym. Gdy wymijali dźwig, pod którym znajdował się Giewont i Piotr, tuż przed nimi wytrysnęła fontanna ziemi, obsypując i rannego, i ich. Ostatnią przeszkodę stanowiła ulica wśród gruzów, wzdłuż której gęsto gwizdały kule karabinowe.

Kiedy wolno przekraczali tę ulicę, Michał czuł, że wargi ma zimne i prawdopodobnie niebieskawe. Maryna zaś, znacznie niższa od wielkiego Michała, wiedziała wprawdzie, iż powinna się bardzo bać, ale całą jej uwagę pochłaniał wysiłek dźwigania rannego i dopasowania się do ruchów Michała.

Mimo znacznego ognia Piotr zdecydował wycofać się i przejść do kompanii „Maciek” dowodzonej przez Blondyna. Trafił na pluton przygotowujący się do zluźnienia jednego z oddziałów „Rudego”. Gdy oczekując na rozkaz ruszenia, siedzieli w hełmach, z bronią w ręku pod ścianami, do Piotra przysiadł się Wojtek Synon.

- Wiadomość specjalnie dla ciebie, Piotr: wyfasowałem na lewo pięćset koców; to było za dużo dla kompanii, połowę więc rozdaliśmy uciekinierom, wiesz, tym, co obozują w fosie przy starych murach Podwala.

- Wyfasowałeś na lewo?

- Tak. Trafiłem na oddział, który obsadził jakiś wielki skład koców, udałem więc ważnego, napisałem pokwitowanie i wydali. Mówię ci, jak je rozdawałem, to jakaś młoda mamusia z dzieckiem na ręku zaprosiła mnie do siebie, gdy będzie po wszystkim, ale zgłupiałem i nie zapisałem adresu.

Piotr uśmiecha się i klepie Synona po kolanie.

- Zrobiłeś dobrą rzecz, to fakt. Ale ja bym ci zaproponował drobną poprawkę: jeśli trafisz na wielki skład prześcieradeł, to nie rozdawaj sam, lecz zwał to na Okręgowego Delegata Rządu albo na Ośrodek Zdrowia i Opieki.

- Piotr, cóżes ty?! Będą urzędować, naradzać się, kombinować, a ja wprost ludziom, przeważnie kobietom z dziećmi. Noce przecież chłodnawe.

- Wiesz, w Ośrodku Zdrowia na Starówce są równe niewiasty. Ja bym im zaufał.

Jeszcze chwilę rozmawiają. Synon - to jeden z tych licznych w batalionach chłopców, którzy garną się do Piotra, darzą go szczególną sympatią i zaufaniem.

Zbliżył się do nich także przechodzący obok Boruta z „Alka” - nie chciał ominąć sposobności pokpienia z idących na linię „Maćków”.

Gdzieś z boku pojawiła się łączniczka. Szła wolno z oczyma myszkującymi po ziemi.

- Nie widzieliście, koledzy, przypadkiem parabelki? Przenoszono tutaj naszego rannego i pistolet wypadł mu z kabury.

Przyglądają się dziewczynie. Ma chyba dwadzieścia parę lat, jest ubrana w panterkę i czapeczkę. Na czapeczce dwie białe litery: AL. Na prawym ramieniu opaska powstańcza i te same litery.

- Nie, nie znaleźliśmy parabellum - odpowiada Piotr. Chwilę jeszcze przygląda się zatroskanej twarzy łączniczki, a potem sięga do kabury i wyjmuje swoją „efenkę”, piętnastkę.

- Niech pani weźmie. Ja sobie jakoś poradzę.

Boruta wytrzeszczył oczy i zagwizdał cicho, przeciągle. Dziewczyna chwilę wahała się, jakby zawstydzona, ale oczywiście wzięła podaną broń.

„Dziękuję”.

- Wychodzić, wychodzić! - woła wbiegający w uliczkę Blondyn. A spostrzegłszy Piotra: -

Piotr, ty u nas?

- Pójdę z tym plutonem.

- Świetnie.

Krótko tylko szli pod ścianami domów. Potem - „pojedynczo, skokami, naprzód marsz!” Zrywają się pochyleni i biegną przez nierówności gruzowisk i wyrwy po pociskach.

Terkotanie nieprzyjacielskich karabinów maszynowych jest nieprzyjemne. Kotłujące się smużki pyłu znaczą przed nimi ślady ryglowego ognia Niemców. Padają w jamy, doły, wyrwy i uspokajają oddechy.

Potem - całym pędem naprzód przez ową zaporę. Gdy Piotr biegnie schylony, wyciskając z siebie maksimum pośpiechu, słyszy serię sześciu ostrych zgrzytów, usiłuje więc pędzić jeszcze szybciej. Jeszcze dziesięć kroków, pięć, dół! Pada. Huk jeden po drugim. Ostry podmuch, gwizd i plask odłamków szarpia powietrze. Piotr wyskakuje z dołu, za nim inni.

Zaporę ogniową przebyli bez strat. Gdy ciężko dysząc leżeli w dołkach jakiegoś stoku i liczyli się oczyma, nie mogli uwierzyć, że są wszyscy i cali.

Na Zamenhofa, pod boki stanowisk nieprzyjacielskich, było już spokojniej. Luzowali więc placówki i czujki „Rudego” bez pośpiechu, „bez nerwów”. Z Andrzejem Morro Piotr rozmawiał chwilę o moździerzach salwowych „szafach”: zgodzili się, iż kilkudziesięciosekundowy odstęp między ich zgrzytami a upadkiem pocisku daje szansę ukrycia się.

- Zdaje się - powiedział Andrzej, jak zawsze rzeczowy - że działanie odłamków tych min jest znacznie mniej groźne niż ich płomienie i podmuch.

Specjalnie obserwowałem.

- Terroryzująca broń - dodał Piotr. Andrzej przytaknął. Obydwaj pomyśleli o Florianie-Jagielle, zastępcy Andrzeja, obok którego - gdy był na patrolu, padły pociski „szaf”. Kiedy chłopcy po wybuchach podbiegli do Floriana, leżał na potrzaskanym asfalcie bez żadnej rany, bez obrażeń. Ale serce nie biło.

Andrzej odszedł. Blondyn z Piotrem poszli wzdłuż stanowisk. Piotr nie był przełożonym Blondyna, ale był Piotrem, Blondyn więc, podobnie jak Morro i Giewont, chętnie przyjmował

jego spostrzeżenia i uwagi.

Ogień artylerii i granatników wzmógł się. Pociski zaczynają padać na linię stanowisk

„Maćka”. Huk jest taki, że Blondyn musi mówić głośno, aby Piotr go usłyszał. - Natarcie? -

Piotr kiwał głową i dodaje: - Ale chyba dopiero po pewnym czasie. - Blondyn jednak woli już teraz przerzucić część kompanii na drugą stronę Zamenhofa. Pociski idą przeważnie wysoko nad ich

głowami, bijąc gdzieś w Nalewki czy Bonifraterską. Gdy nadlatują samoloty i krążyć zaczynają nad nimi, żołnierze „Maćka” w swych panterkach, z dłońmi wciągniętymi w rękawy i twarzami obróconymi ku ziemi, usiłują być niewidzialni dla lotników.

Tak też jest w rzeczywistości. Samoloty lecąc nisko mijają ich stanowiska, ale rakiety z sąsiednich pozycji niemieckich nakierowują lotników na właściwy cel. Wrócili i krążą coraz niżej, wprost nad nimi, a szum motorów staje się nieznośnie denerwujący. Powstańcy leżą jednak wciąż bez ruchu. Naraz - wycie pikującej maszyny, wycie o narastającym, coraz wyższym tonie. Piotr odczuł ból w korzonkach włosów. Wybuch! Drugi! Trzeci!

Bębenki uszu bolą. Znow potworne wycie nurkującego samolotu. Wybuchy...

Gdy maszyny odleciały, Piotr uniósłszy pokrytą potem głowę rozgląda się dookoła i poprzez tumany pyłu ceglanego dostrzega biegnącą parę sanitariuszek z noszami oraz sylwetkę nieodłącznego dziś Wojtka Synona, który usiłuje przetrzeć oczy chusteczką.

Ledwo odleciały samoloty, odezwała się znow artyleria, granatniki, moździerze salwowe; tym razem wiele pocisków rwie się na stanowiskach „Maćka”. Blondyn postanawia cofnąć się w kierunku Nalewek. Piotr potakuje.

Przed wieczorem, wśród nieustannego ognia różnorodnych broni, nieprzyjaciel podciągnął swe stanowiska na wysokość uderzenia szturmowego.

I wówczas Blondyn zdecydował się na reakcję czynną. Gdy patrol „Maćka” zlikwidował obsługę najbardziej dokuczliwego nieprzyjacielskiego karabinu maszynowego, jedna z drużyn zrywa się do przodu, a za nią pojedynczo, skokami cała fala „Maćka” z Blondynem i Piotrem.

Na prawym skrzydle podrywa się również do natarcia kompania Giewonta. Mimo dużego ognia powstańcy swym impetem terroryzują Niemców, którzy pojedynczo, po kilku zaczynają uciekać.

Nacierający są tak blisko, że ciskają granatami obronnymi w uchodzących.

Znow są pod ulicą Zamenhofa.

Mijają godziny, mijają dni... Te same gruzy getta w codziennym ogniu dział, miotaczy, moździerzy, granatników... Czasem natarcia. Niekiedy przeciwnatarcia. Batalion „Zośka” musiał zrezygnować z Zamenhofa, ale w linię ulicy Nalewki wrósł twardo. Zmiana oddziałów na stanowiskach możliwa jest tylko w nocy. W świetle dnia czasami tu i tam dotrą dziewczęta z wodą okraszoną winem lub z czymś gorącym, czasami wbiegną sanitariuszki. Każdej nocy ojciec Paweł odmawia nad grobami w podwórzach lub ogródkach krótkie modlitwy.

Ci, co zmienieni na linii, wracają na odpoczynek do kwater w Pasażu Simonsa, a potem na Franciszkańskiej po zjedzeniu posiłku natychmiast usypiają i śpią aż do nowego wymarszu na linię. Potrzeba snu jest tak wielka, że usypiają przy każdej okazji, o każdej porze dnia i nocy.

Któryś odkrył opuszczoną bibliotekę, ten i ów próbował czytać, lecz po kilku minutach odkładali książkę i nigdy już nie brali jej do rąk. Czasami zdobywali się na namiastkę „życia towarzyskiego”, ale wnet szli znów, spać.

Jednego dnia przyszedł do nich ojciec Paweł, zapowiadając spowiedź, komunię, nabożeństwo. Prawie wszyscy przyjęli sakramenty i dnia tego byli bardziej uroczyści niż kiedykolwiek. Nabożeństwo w wielkich piwnicach Franciszkańskiej, przy migocie świeczek i detonacjach docierających z zewnątrz, wywarło na nich wielkie wrażenie, gdy stali w zwartej ciasnej masie, zbrojni, w mundurach przesyconych dymem. „Boże coś Polskę” śpiewano w nastroju uniesienia.

Kwatery w Pasażu Simonsa, a potem na Franciszkańskiej nie były kątami spokojnymi.

Któregoś dnia „szafa” uderzyła tak fatalnie we fronton ich domu, że zabiła dwie łączniczki i trzech żołnierzy oraz wielu poraniła. Ale nawet dalsze części Starego Miasta przeżywały już w owych dniach najokrutniejsze doświadczenia. Przy ulicy Kilińskiego nastąpił wybuch czołgu, który nieoczekiwanie lekko zdobyli powstańcy; jak się potem okazało, czołg był

oddany przez nieprzyjaciela umyślnie, zawierał bowiem w ukryciu potężny ładunek dynamitu, połączony z mechanizmem zegarowym. Wybuch nastąpił, gdy czołg otaczało ponad pięciuset młodych żołnierzy, dziewcząt i dzieci, między innymi wielu chłopców z plutonu łączników kompanii Harcerstwa Narodowego „Gustaw”, która kwaterowała w pobliżu. Żadna relacja o skutkach wybuchu nie może być bardziej przejmująca nad wydrukowane zarządzenie Okręgowego Delegata Rządu z 14 sierpnia, polecającego placówkom obrony przeciwlotniczej i ludności „przejrzeć w obrębie wypadku place, gruz, podwórza, dachy celem usunięcia części rozerwanych ciał, które mogły się tam znaleźć i nie zostały dotąd zabrane”.

Razem z ludźmi Starego Miasta ginąć już także zaczynały najczcigodniejsze mury. Jedna z pierwszych padła katedra Świętego Jana, która w ciężkim nalocie straciła wieże i obydwie nawy boczne, a to, co z niej zostało, trwało przez długie godziny w ogniu. Wraz z katedrą płonęło wiele domów Starego Miasta, obrzucanych przez lotników bombami zapalającymi.

Zły los Starego Miasta przeżywał specjalnie ciężko Piotr Pomian, w dawnej epoce pokoju -

nauczyciel. Uświadamiał sobie może bardziej od innych ludzi „Zośki”, jakie treści narodowe kryją w sobie mury katedry, składy Archiwum Akt Dawnych, sale kamienicy książąt Mazowieckich lub Baryczków. Gdy dowiedział się, że katedra płonie, stracił w takim stopniu opanowanie nad sobą, że porzucił gruzowiska linii bojowej i skrzyknawszy ochotników z kwatery na Muranowskiej, pobiegł ratować zabytkową świątynię. W akcji ratunkowej uczestniczyły setki powstańców oraz setki mieszkańców Starówki, ale brakowało już wówczas wody, a lotnicy ponownie i po raz trzeci obrzucili rejon katedry pociskami zapalającymi. Kiedy po wielogodzinnej, ciężkiej, beznadziejnej pracy Piotr, bliski omdlenia, wycofał się wreszcie i wszedł do parterowego mieszkania, w którym, wraz z wieloma innymi ludźmi, pozostawił swój chlebak i kurtkę, aby nie przeszkadzały w akcji ratunkowej, stwierdził ze zdumieniem, że w kieszeniach kurtki brakuje mu wiecznego pióra i zegarka. Nie rozumiejąc sytuacji, szukał jeszcze przez pewien czas zguby, dopiero po kilku dobrych minutach dotarła do jego świadomości prawda. Przykra prawda o synach wielkiego narodu.

Na prawym skrzydle oddziałów Radosława, broniących gruzowisk getta przylegających do Starego Miasta, znajdowały się Stawki. Radosław zresztą w owym czasie nie dowodził już zgrupowaniem: podczas wycofywania się z Okopowej na Stare Miasto został ranny w głowę, bok, nogi i na Starówkę nie wkroczył, lecz wniesiony został na noszach przez swoich młodych żołnierzy.

Ale chociaż zgrupowanie objął kto inny, imię popularnego dowódcy - Radosław - trwało przy oddziałach, wrosnięte w umysły.

Tak więc na prawym skrzydle zgrupowania Radosława broniącego Starego Miasta znajdowały się Stawki. Na Stawkach zaś, wzdłuż kilku bocznicowych torów kolei obwodowej, wznosiły się ogromne składy wojennych zapasów nieprzyjaciela. Składy, zajęte już w początkach powstania, zaopatrzyły obficie spiżarnie powstańcze i ludność cywilną.

Choć spożytkowywane szczodłą dłońią, wciąż stanowiły cenne źródło zaopatrzenia oraz dobry punkt wyjścia dla akcji zmierzającej ku połączeniu Starego Miasta z Żoliborzem.

Stało się więc niedobrze, gdy 11 sierpnia oddziały Radosława opuściły Stawki. Już ostatnie drużyny wycofywały się z tego terenu, a jeszcze krążyli wśród magazynów pojedynczy mężczyźni i kobiety, unoszący papierowe worki z cukrem w kostkach lub z mąką. Nie zważając na przelatujące kule dreptali szybkimi krokami, zgięci wpool pod ciężarem.

Po południu 12 sierpnia podjęto próbę odbicia Stawek. Wśród oddziałów powstańczych skierowanych do tej akcji znajdował się także „Rudy”. Piotr, który po odejściu z Woli stał się bardzo wrażliwy na straty ludzkie „Zośki”, postanowił uczestniczyć w akcji jako obserwator, w nadziei, że jego doświadczenie i rozsądek przydadzą się nacierającym. Przyłączył się do

„Alka”, który miał atakować obok „Sadu”; uszczuplony bardzo „Felek” pozostał w odwodzie.

Wyszli z kwater około godziny czternastej. Gdy zbliżali się do Bonifraterskiej, pod butami chrzęściło coraz więcej szkła i coraz głośniejszy był terkot karabinów maszynowych oraz huk pękających granatów.

Na ulicy Przebieg, przed zajezdnią tramwajową, weszli do bram, aby przeczekać pewien czas.

Chłopcy „Alka” z Piotrem, uchyliwszy ciężką bramę, przedostali się na podwórze. Z okien ostrożnie wyjrżeli ku nim przestraszeni ludzie: panterki, hełmy - Niemcy? Piotr mówi do wylękłych kilka uspokajających zdań; chłopcy siadają na ziemi i któryś zaczyna śpiewać

„Noc taka cudna”. Ale Małego Jędrka i Borutę denerwują te sentymenty, przerywają więc energicznym, domorosłym marszem. Teraz cały już pluton śpiewa: Choć nam braknie kul, naboii,

Nie poddamy się,

My nie - my nie-

My nie poddamy się!

Coraz więcej ludzi otacza śpiewający pluton. Wymuszone początkowo uśmiechy znikają, mężczyźni i kobiety stają się naturalni. Zaczynają pytać - przede wszystkim o sytuację w mieście. Maryśka próbuje dowcipkować, ale Piotr przerywa mu i odpowiada poważnie. Gdy ludzie dowiedzieli się, że pluton wyrusza do natarcia, przynoszą gorącą zupę, chleb ze smalcem, kawę.

Są w stosunku do tych młodych żołnierzy bardziej serdeczni, niżby pragnęli okazać; tyle przecież klęli na powstanie w złych godzinach bombardowań.

Teraz są jakoś życzliwie podnieceni i mówią coraz więcej.

- Odmarsz!

Ktoś wsuwa w rękę Boruty kawałek chleba, ktoś inny ściska dłoń Piotra.

Z lewej strony wymijanej zajezdni płoną budynki. Dochodzą do Inflanckiej.

Znów postój. Piotr z dowodzącym plutonem Maryską poszli na odprawę. Ledwo wrócili - czerwona rakietka. Więc już!

Ruszają drużynami. Piotr, Maryśka i drużyna, do której należy Boruta, dopadają budynku szkoły w chwili ucieczki z niej ostatnich Niemców. Maryśka strzela - niecelnie. Z okien próbują granatami i gamonami zniszczyć czołg niemiecki blokujący ulicę. Czołg zaczyna bić w okna, a gdy wreszcie milknie ogarnięty przez ogień, sanitariuszki wyciągają spod okna dwóch zabitych powstańców.

Ku magazynom! Tam od pewnego czasu walczy już „Sad”. Maryśka w biegu strzela do dwóch Niemców wyłaniających się spoza drewnianego domu. Znów nie trafia, ale Niemcy rzucają broń i uciekają. Chwyciwszy porzucony przez wroga karabin maszynowy, biegną dalej. Dookoła huki, trzaski, świsty, dym.

Ogień broni nieprzyjacielskiej skupia się tam, gdzie naciera „Sad”.

Dobiegają do pierwszego magazynu i podnoszą znów dwa „rozpylacze” porzucone przez uciekających. Jeden z bocznych magazynów pali się powoli, pełen cukru i konserw. Obok zejścia do piwnicy - małe czołg z rozwiniętym drutem.

Większość chłopców widzi to dziwadło po raz pierwszy.

- Uwaga, Goliat! - woła Piotr. Maryśka podbiega do piwnicy, ku której prowadzi drut z lilipuciego czołgu bez obsługi, naładowanego materiałem wybuchowym. Przecina ten drut, unieszkodliwiając Goliata. Biegną dalej wśród dymu i iskier, ogłuszeni, oszołomieni. Znów wpadają do jakiegoś wielkiego budynku, zabijając kilku zapóźnionych w ucieczce nieprzyjaciół.

Pod budynkiem - czołg. Maryśka rzuca granat. Jędrak bije z „rozpylacza”, czołg dymi, próbuje odjechać. Motocykl! Powstańczy erkaem zwala motocyklistę i dwóch w przyczepce.

Maszyna, skręciwszy raptownie, rozbija się o mur. Chaos wybuchów, strzałów, ognia - ukryci za

parapetami okien, za węglami domów ostrzeliwują się.

- Biegnę do „Sadu”! - krzyczy w kierunku Maryński Piotr.

„Sad” - pluton stanowiący trzon „Rudego” - wpadł na teren magazynów po wywaleniu za pomocą plastyku wielkiej wyrwy w murze. Powitał ich ogień karabinów i karabinów maszynowych, skryli się więc za przyzmy kamieni. Po chwili poderwali się i krzycząc „hura”, pędzili wśród kul ku budynkom składowym. Dopadli - nie wszyscy - jednego z magazynów i chwilę odpoczywali. A potem po dwóch, po trzech, po czterech - naprzód, do następnych magazynów. Znow przez gwizdy kul i teraz także poprzez wybuchy granatników. Dym płonących składów utrudnia widoczność. Biegną czasem na ślepo. Szum motoru - czołg ustawiony w przejściu. Ktoś ciska gamon pod maszynę. Od tyłu, pomiędzy dwa sąsiednie magazyny wjeżdża inny czołg, posuwający się wśród drżenia ziemi wprost ku nim, z działem złowrogo poruszającym się od góry w dół i na lewo... Błysk, huk, ciemności przed oczyma...

Rzuceni na ścianę magazynu, oszołomieni, ogłuszeni wpełzają pod rampę. Dym gryzie oczy, pociski czołgu paraliżują wolę przeskoku. Nowina krzyczy: „naprzód”, wybiega za mur i pada ciężko ranny. Ali Sadowy wciąga go pod rampę i usiłuje niezręcznie przewiązać ranę -

tamten mamrocze:

- Nie zostawiajcie mnie... w kieszeni kartka... oddaj.

Zemdlał. Czołg przesunął się gdzie indziej, Ali wciąga Nowinę na plecy i wycofuje się.

Ciężar kolegi i podwójnej broni odbiera zdolność myślenia.

Gdy wreszcie Ali dowlóknął się do przeciwległego końca długiego magazynu i ostrożnie zsunął rannego, zobaczył, że dźwigał martwego.

Do magazynu wpada Andrzej Morro. Twarz ma pochłapaną krwią, panterkę rozdartą. I do Matrosa:

- Gdzie reszta? Prowadź! - Biegną między magazynami w bok. Mijają trzech rozszarpanych straszliwie Niemców i trafiają na paru powstańców skrytych za węglem: - Andrzej, kończy się amunicja. - Biegną dalej zagarnawszy tych dwóch. Któryś pada. Nieznośny żar płonącego magazynu. Rój iskier opada na ich hełmy, panterki, na twarze. Andrzej wygląda za barak i naraz: - Tam, tam. Bij!! - Widzą biegnących Niemców, odruchowo naciskają spusty broni.

Już po nich. - A jak wy z amunicją? - pyta Andrzej paru leżących pod magazynem strzelców i z ich min odczytuje odpowiedź. Zewnętrznie jest spokojny, tylko niekiedy skurcz dłoni na visie jest tak mocny, iż odczuwa ból.

Walka trwa. Ogłuszeni, przesyleni dymem przesuwiają się powoli, skokami w pojedynczych grupkach od magazynu do magazynu. Granatniki powodują niepokojące straty.

Spoza baraku na lewo wyłonił się Piotr, blady, bez hełmu, z visem w rękę; w oczach niepokój.



- Andrzej, ty tu? Stój! Przed wami czołgi, samochody pancerne i piechota.

Czy masz łączność z Sosną?

- Nie! Nie ma go nigdzie.

Patrzą sobie chwilę w oczy, wreszcie Andrzej do Piotra:

- Cofamy się?

- Cofamy. Ja wracam wycofywać „Alków”.

Andrzej do Jurka, dowódcy „Sadu”:

- Jurek, zbieramy „Sad”.

Wyskoczyli obydwaj. Biegając przez dym, iskry i wybuchy granatów, Andrzej krzyczy: -

„Sad”.. „Saaad”... do mnie! Wycofujemy się! „Saad”... cofać się!

- Jurek pobiegł krzycząc podobnie w innym kierunku. Spotkali się przy rannym w brzuch Żaku, który wypychał wychodzące mu na zewnątrz wnętrzności.

Andrzej chwytą Żaka pod ramiona, Jurek pod kolana, nie mogą już biec, ale wciąż krzyczą: -

„Sad”... Cofać się! - Po chwili natykają się na czterech innych, także dźwigających rannego, i widzą, jak pada Farys. Idą coraz wolniej, krztusząc się dymem i utykając w miejscach większego ostrzału. Gdy wyszli wreszcie na czystsze powietrze i bezpieczniejszy obszar, przekrwione oczy wychodziły im z orbit, język robił wrażenie jakiegoś obcego, wstrętnego ciała, a pot oblewał skórę. Ujrzeni krzaki pomidorów, zostawili więc rannych i wszedłszy do warzywnika drżącymi, uwalanymi we krwi rękoma zrywali owoce i podsuwali do spragnionych ust.

Tam właśnie znalazła Andrzeja łączniczka.

- Andrzej, Bonawentura ranny!

- Gdzie? - pyta Andrzej i czuje, jak serce stanęło mu w piersiach, a potem walić zaczęło gwałtownie.

- Już go wynieśliśmy ze Stawek... Jest na noszach... Andrzej, a ty? Masz twarz we krwi...

- Głupstwo, prowadź. Opowiadaj.

Idą tak szybko, jak tylko są w stanie. Andrzej odzyskał zdolność prędkiego ruchu. Chłonie każde słowo łączniczki.

- Chłopcy mówili, że to podczas walki z czołgiem. Bonawentura, wiesz, zawsze bez strachu...

Podsadzili go na dach przybudówki magazynu, pod którym stał czołg. Miał rzucić gamon.

Nawet nie podpełznął do końca... jakiś pojedynczy strzał z boku...

W kilka minut potem Andrzej klęczał koło brata. Przybył, gdy sanitariuszka kończyła zakładać opatrunek. Nie przerywając pracy, powiedziała: - W brzuch. - I dodała: - Mały otwór po pojedynczej kuli. - W spłoszonych myślach Andrzeja błysnęła nadzieja: to nie jest przypadek stracony.

Nachyla się nad bladą twarzą dziewiętnastoletniego brata i kładzie lekko rękę na jego spoconym czole, odganiając kosmyki jasnych włosów.

Jaś-Bonawentura nie odzywa się, jest najoczywiściej speszony swoją przygodą, patrzy tylko szeroko otwartymi oczami na brata. Byli zawsze razem - oni dwaj i matka! Matka! Serce Andrzeja znów walić zaczyna na trwogę.

Wraz z innym powstańcem Andrzej bierze nosze. Ruszają. Na szczęście w tym terenie jest stosunkowo spokojnie.

- Wiesz, bracie, Okura i Cis ranni - odzywa się wreszcie Bonawentura.

Andrzej milczy. Po dłuższej chwili Bonawentura zaczyna znów, a tym razem głos jego jest, jak często dawniej, kpiący: - Moja rana to zdaje się betka wobec tych draństw, jakie tu się działy, pewno się wyliżę. Ale jeśli nie, wysłuchaj ostatniej woli swego brata: żadnego uroczystego pogrzebu, żadnego Krzyża Walecznych. Najwyżej cywilne bławatki pod kocyk.

- Nie wygłupiaj się, Jasiu - mówi Andrzej i usiłuje wikłać krok, aby usunąć kołysanie się noszy. Jaś rozgadał się jednak na dobre i częstuje brata nowym zwierzeniem:

- A swoją drogą, czy to nie zabawne, Andrzeju, że uderzył we mnie tradycyjny cios romantycznych poetów: kula. „Leński brew ściągnął, właśnie brał wroga na cel, gdy w tejże chwili z przeciwnej lufy huknął strzał.

Wyroczny bije grom w poetę: dłoń się rozstała z pistoletem”.

Andrzej mówi raz jeszcze: - Nie wygłupiaj się - ale w duszy jest rad z postawy brata i sam uspokaja się nieco. Weszli w ulicę Sierakowską.

Ludność, widząc powstańców wracających z rannymi, prześcigała się w okazywaniu serdeczności. Kobiety i mężczyźni wybiegali na ulicę z napojami; z pożywieniem, z chwyconymi naprędce lekarstwami. Gdy Andrzej Morro, zwilżywszy bratu usta, sam wypił

chciwie podaną mu przez jakąś tęgą kobietę szklankę herbaty z winem, Bonawentura szepnął

doń po odejściu kobiety:

- No, braciszku, ten polski narodek nie jest ostatecznie najgorszy. „Sad” dostał dziś diabelnie po skórze, ale patrząc na tę herbatę, robi się jakoś lżej.

Od Stawek szybko zbliżał się do nich Matros.

- Wiecie, Nowina zabity.

Bonawentura zbladł. Nowina? Przyjaciel. - Zamknął oczy. Dopiero teraz uczył, że jest naprawdę ranny.

Ruszyli dalej, niewielka karawana ocalałych. Zdrowi prócz dźwigania rannych nieśli także broń kolegów. Nieco ponad dwudziestu ludzi czarnych od dymu, prochu i ziemi, uwalanych we krwi, ledwo trzymających się na nogach - oto czym był wracający z natarcia na Stawki pluton „Sad”. Zginęła trzecia część plutonu.

Straty „Sadu” były tym boleśniesz, że na skutek spóźnienia się oddziałów Sosny „Rudy” nie mógł utrzymać zdobytych pozycji i Stawki 13 sierpnia znalazły się znów w rękach nieprzyjaciela. „Rudego” ogarnęła fala złych uczuć i oburzenia odbierającego rozsądek.

Piotr, po zdziękowaniu „Sadu”, nie zważając na drogę służbową, zgłosił się do dowódcy Starego Miasta, pułkownika Wachnowskiego. Kwatera pułkownika znajdowała się w kamienicy Archiwum Głównego Akt Dawnych na Długiej. Oczekując na przyjęcie w jednej z sal wśród żelaznych rusztowań i półek, Piotr zbliżył się do okien zastawionych stosami foliałów mających zabezpieczać pomieszczenie od odłamków. Gdy wzięwszy któryś tom zaczął przerzucać pożółkłe karty rękopisów, zauważył w osłupieniu, iż trzyma przypuszczalnie księgę sądową ziemi czerskiej z początków XV wieku, mniej więcej z czasów bitwy grunwaldzkiej. Na kilku aktach odczytywał wykaligrafowane łacińskim gotykiem imię księcia Janusza Mazowieckiego.

Położył tom z powrotem na stos zabezpieczający otwór okienny i uczył się tak bardzo zmęczony, że usiadł na taborecie. Usiłował stłumić falę rozpacz.

- Porucznik Piotr Pomian!

Pułkownik był człowiekiem dużej kultury; wysłuchawszy Piotra powiedział, że czuje dobrze problem przedstawiony mu przez Piotra, gdyż swego czasu dowodził 36 pułkiem Legii Akademickiej. Rozumie, co to znaczy, że batalion „Zośka” jest batalionem kadrowym i że jego dotychczasowe straty w powstaniu przekraczają pięćdziesiąt procent, podobnie zresztą jak batalionu „Parasol”. Ale skoro propozycja odejścia do Puszczy Kampinoskiej została odrzucona i pozostali w murach Warszawy...

- Panie pułkowniku, my jesteśmy ciągle w linii. Od początku powstania.

Czy tak jest ze wszystkimi oddziałami Starego Miasta? Czy nie można by naszych oddziałów rozprościć częściowo na bierniejsze odcinki frontu?

Potrzebna jest przecież jakaś rozsądniejsza gospodarka ludźmi.

Pułkownik nie zwrócił uwagi na ostrość ostatnich słów Piotra.

Odpowiedział.

- Jesteście najlepiej uzbrojonymi oddziałami powstania. Macie dobrego ducha walki.

- Ale my ulegamy zniszczeniu, całkowitemu zniszczeniu. I nie tylko nasze bataliony. I nie tylko wojsko. Czyż nie ma sposobów powstrzymania zagłady albo przynajmniej ograniczenia jej zasięgu?

- Panie poruczniku, traci pan poczucie rzeczywistości.

Piotr, zrozpaczony, podszedł bliżej do pułkownika i nie panując nad sobą mówił zdławionym głosem to, o czym myślał bez przerwy od wielu dni. A wyczerpawszy argumenty, począł

zarliwie prosić, choć w głębi duszy pojmował, że obydwaj - i on, i pułkownik - są jakby w zamkniętej ulicy bez wyjścia.

Ostatnie zdanie, które usłyszał od pułkownika, brzmiało:

- Nie mogę nic zmienić w obecnej sytuacji Starego Miasta. Postaram się jednak, aby bardziej oszczędzano wasze bataliony. Nic więcej nie mogę uczynić.

Po rozmowie z pułkownikiem Wachnowskim Piotr udał się do swej kwatery, która od niedawna mieściła się przy Franciszkańskiej 12, w trzypiętrowej kamienicy o czterech oficynach, gdzie znajdowały się dowództwa zgrupowania Radosława, „Brody”, „Zośki” oraz szereg oddziałów. Pragnął bodaj przez kilka godzin побыć sam. To była nie tylko sprawa przemęczenia, to była także nie doświadczona dotychczas przez Piotra utrata równowagi ducha. Czuł się dziwnie niespokojny.

Na szczęście w izbie, gdzie spał wraz z innymi, nikogo nie było. Położył się i usiłował

zasnąć. Po półgodzinie przewracania się na kocu rozłożonym na podłodze pojął, że mimo znużenia - sen nie nadchodzi. Nie chciało mu się jednak wstawać i podejmować zwykłych czynności.

Postanowił więc napisać list do Czarnego Jasia.

Dziś właśnie otrzymał dwa listy Czarnego Jasia, które, choć pisane w pewnym odstępie czasu, przyszły jednocześnie. Jeszcze raz odczytał obydwa spore, gęsto zapisane arkusiki.

Dziękuję za pomoc w sprawach pocztowych. Zbyszek był uszczęśliwiony. Nie poznaję tego typu! Przecież to przeciętny instruktor, ale od czasu pomysłu z Poczta Powstańczą imponuje nam. Dorwał się chłop do swojej roboty. Irka mówi, że przekracza własną miarę.

Oczywiście Kuropatwa to tylko „góra”. Fundamentem są dwie setki chłopców, którzy zgłosili się na listonoszy. Wiesz - odwaga, poświęcenie to sprawy normalne w atmosferze powstania, ale te szczeniaki imponują także sumiennością, wytrwałością, czyli właściwościami sprzecznymi z ich wiekiem.

Obawiam się tylko, aby lawina korespondencji nie sparaliżowała całego aparatu. A poza tym te straszne przeszkody. Ostatnio z kanałów znów któryś nie wrócił.

Ale właściwie nie o tym chciałem pisać.

Chodzi o wiek chłopców. którzy pełnią służbę w poczcie. 14- 15 lat, trafiają się i trzynastoletni, a raz sam odkryłem dwunastolatka. Przecież to zbrodnia. Przecież chłopiec w tym wieku jest bardziej

narażony na śmierć lub kalectwo. Zawsze mnie raziła nieodpowiedzialność literatów wychwalających bohaterstwo wojenne dzieci. Drażnią mnie rysunki i rzeźby przedstawiające dzieci w mundurach. Gniew mnie zalewa, gdy czytam w prasie powstańczej zachwyty na temat dzieci walczących na barykadach. Sam kilkakrotnie interweniowałem przeciwko przyjmowaniu do oddziałów chłopców i dziewcząt poniżej osiemnastego roku życia. A w poczcie, która pośrednio mnie podlega, biegają po ostrzeliwanych dzielnicach chłopcy czternasto-piętnastoletni.

Wszyscy tu dookoła mówią, z Irką włącznie, że jeśli nie damy jakiejś konkretnej pracy najaktywniejszym spośród tych wyrostków-zawiszaków, to chłopcy sami będą szukać roboty i wówczas mogą wpaść naprawdę, zaangażowani przez któregoś bezmyślnego dowódcę liniowego. My przynajmniej roztaczamy nad ich aktywnością maksimum opieki i oddalamy od linii.

Ale czy te motywy i nasza troskliwość o bezpieczeństwo chłopców dają rozgrzeszenie?

Pamiętasz, jak ten sam problem męczył nas w związku z akcjami Małego Sabotażu? Orsza przecież pragnął nawet wycofać zawiszaków z „Wawra”.

Wyrostki w oddziałach żołnierskich i w służbach na obszarach walki - to sprawa haniebna. A przecież my sami przyczyniliśmy się do wytworzenia tego nastroju.

List dobiegł końca, Piotr wyciągnął się na posłaniu i na chwilę przymknął oczy.

Na temat służby w Poczcie Powstańczej zawiszaków - najmłodszej wiekiem gałęzi Szarych Szeregów - jeszcze wczoraj nie miał Piotr tych wątpliwości co Jaś. Była to w rozumieniu Piotra praca powstańcza właśnie na miarę czternasto-piętnastolatków. Przecież nie posyłało się ich w miejsca atakowane. Dziś jednak Piotr był wykolejony w ocenianiu zjawisk. Zresztą podzielał zasadniczy nurt troski Jasia. I jego drażniło przyjmowanie przez niektórych dowódców do dywersji i do szeregów powstańczych młodzików po piętnaście-szesnaście lat, i on uważał to za niemoralne, a ponadto za coś, co obniża powagę spraw dojrzałej, męskiej ofiarności w walce.

Wyrostki. A dzieci? Dzieci powstania?

Pod przymkniętymi powiekami Piotra przewija się niedawno obserwowana scena, gdy przechodząc na teren ruin getta zatrzymał się na sporym podwórzu przy ulicy Muranowskiej.

Była to jakaś spokojniejsza godzina, a więc matki pozwoliły wybiec z piwnic chłopcom i dziewczynkom w wieku sześć-dziewięć lat. I oto dzieci bawią się gromadką na podwórzu, a zabawa pochłania je całkowicie. Jedne mają kije imitujące karabiny, inne porobiły sobie z deszczulek broń krótką, paru trzyma w rękach coś, co wydaje się naśladownictwem

„rozpylaczy”. Piotr nie może oderwać wzroku od przejmującego widowiska, które rozgrywa się na podwórzu przy akompaniamencie dziecięcych krzyków. Jeden z chłopców leżał w rynsztoku z wystawioną imitacją karabinu maszynowego i szybko wykrzykiwał:

„ta-ta-ta-ta-ta”, a jego koledzy usiłowali przebiec „skokami” tę „linię ognia”. Ku przebiegającym podbiegał inny chłopiec i przykładając do ich głowy drewnienko wrzeszczał: -

Bum - w czapę! - Gdzieś z boku trzech innych ustawilo pod murem dziewczynkę i przygotowywało się do egzekucji „szpiega”.

Ta dziecinna zabawa wydała się wówczas Piotrowi krzywdzącą karykaturą wyzwolenczej walki, teraz usiłował dociec, czy jest jakiś związek między tamtymi scenami zabawowymi a gorącym pragnieniem wyrostków pełnienia służby w Poczcie Powstańczej.

- Nic wspólnego! Nic - powiedział niemal głośno sam do siebie. Tam - bezmyślne naśladownictwo scen batalistycznych w ich najbardziej powierzchownym, brutalnym wyrazie, tu - idealizm młodzieńczy spragniony bohaterstwa.

Piotr leży bez ruchu i usiłuje wprowadzić ład w opadające go myśli.

Dopiero po długiej chwili przysuwa się znów do światła i otwiera następny list Jasia.

Dziękuję za list o ostatnich dniach Woli. Czytaliśmy go tutaj głośno parę razy. Chodziliśmy pod wrażeniem listu jak oszołomieni. Dziękuję także za szczegóły o śmierci mego brata.

Czynię wszystko, aby o tym nie myśleć.

Po Twoim liście krępuje mnie opisywanie naszego życia. Śródmieście wprawdzie też doświadcza bombardowań, ale czymże to jest wobec waszej sytuacji. Opiszę ci jednak dwa wczorajsze przeżycia.

Byłem... w kinie! Sala „Palladium” na Złotej jest jakby wielkim schronem piwnicznym, stosunkowo więc bezpieczna. Była wypełniona po brzegi, chyba ponad tysiąc osób. Wszystko

- powstańcy. Wyświetlano filmy powstańczych ekip filmowych: akcje bojowe, pożary, barykady, ulice, szpitale, jeńcy. Gdy projektor przestał pracować i zapalono światła, sala spontanicznie zaczęła śpiew „Warszawianki”. Coś wstrząsającego. „Powstań Polsko, skrusz kajdany, dziś twój tryumf albo zgon „. Żadnej pieśni nie śpiewałem tak jak tej.

A oto obrazek drugi, który dedykuję specjalnie tobie. Nasza kwatera jest na drugim piętrze czteropiętrowej oficyny. Okna wychodzą na podwórze.

Podwórze jest otoczone ze wszystkich boków wielopiętrowymi oficynami.

Wczoraj przyprowadzono tu dwudziestkę jeńców niemieckich, którzy zaczęli usuwać stąd jakieś paki. Pilnowało ich dwóch powstańczych żandarmów. Jeden haniebnie traktował

jeńców: wrzeszczał, poszturchiwał, któregoś uderzył w twarz. W oknach zaczęły pojawiać się głowy ludzkie, głównie kobiet. W pewnej chwili jeden z Niemców przenoszących paki potknął się, upadł i paka wypadła mu z rąk. Powstaniec podbiegł do leżącego, począł go kopać i bić kolbą karabinu. I naraz - ze wszystkich okien rozległy się krzyki:

„Dosyć!”, „Przestań!”, „Nie wolno bić ludzi!”, Ty łajdaku, nie bij człowieka!” Głosy kobiece naładowane były taką pasją, iż robiło to wrażenie zbiorowego afektu. Żandarm przestał

znęcać się nad jeńcem i już cały czas zachowywał się spokojnie.

Piotr oderwał oczy od maczku liter. Zawsze był wrażliwy na niebezpieczeństwo zaszczepiania w psychice polskiej hitlerowskich wzorów.

Toteż scena opisana przez Jasia poruszyła go bardzo.

Znów nachylił się nad listem.

Na sam koniec zostawiłem zwierzenie dla mnie ogromnie przykre, ale odkąd odeszli Tadzio i Długi, jesteś mi bliższy niż ktokolwiek z naszych, prócz Irki.

Nie wiem, czyś zauważył pewną moją właściwość, którą ukrywałem, bo najpierw sam byłem zaskoczony, a potem wstydziłem się tego, jak złego piętna: podczas bombardowań ogarnia mnie stan takiego lęku, że trudno to wypowiedzieć. Kilka razy zemdlałem, a zawsze w takich chwilach tracę zdolność myślenia i czuję się rozdygotany psychicznie i fizycznie do krańca wytrzymałości. Zęby mi wówczas dzwonią, krew odpływa od głowy, ziębną ręce i nogi - coś okropnego. Rozumiesz, jak to jest? Przecież mam za sobą podchorążówkę i mogę lada dzień zostać dowódcą oddziału w walce... Wstydzę się tego szczególnie wobec Irki, która jest tak kolosalnie odważna.

Byłem dziś u lekarza i wiem już, że sprawa jest nie do naprawienia. Tyle że można złagodzić nieco te stany lekarskami.

Piotr przerwał czytanie i usiadł na posłaniu. Wyznanie Jasia jakby zeń wyzwoliło spychaną na dno własną tajemnicę. Więc lęki jego, Piotra, który zewnątrz jest przecież sprężysty wojskowo i odważny, nie są czymś odosobnionym? Tyle że Jaś przeżywa to w o wiele silniejszym stopniu. Bez lęku był chyba Maciek lub Bonawentura. Trzeba o tym napisać do Jasia, może to chłopcu doda otuchy.

Pisał już około piętnastu minut, gdy zapukano do drzwi. Wszedł Andrzej Morro. Na ustach miał lekki uśmiech i zbliżał się z wyciągniętą ręką.

- Piotr, gratuluję: przygotowuje się twoja nominacja na kapitana. Musisz zameldować się u dowódcy „Brody”.

Piotr uściskał dłoń Andrzeja. Usiłował się cieszyć.

- Dziękuję, Andrzej. Nie spodziewałem się... Czy do Jana od razu teraz?

- No, dziesięć-piętnaście minut nie jest ważne.

Na zapytanie Piotra Andrzej odpowiedział, że stan Bonawentury jest poważny, ale Brom twierdzi, że może z rany wyjść cało. Psychicznie chłopak trzyma się bez zarzutu. - Tylko wiesz, Piotr- - zaczyna mówić cichszym głosem Andrzej - skoro już dotknąłem spraw osobistych, chcę ci powiedzieć, że w prasie Śródmieścia, która tu dziś przyszła, jest trochę o ochocie, o tym rejonie, gdzie nasze mieszkanie... Matka... Paskudne wiadomości o sposobach pacyfikacyjnych Niemców... Jestem bardzo niespokojny. - Piotr, który pierwszy raz widzi Andrzeja w stanie wzruszenia, kładzie dłoń na jego

ramieniu i mówi jedyne zdanie, jakie jest w stanie wypowiedzieć:

- Nie trać nadziei.

I w chwilę potem, zmieniając temat rozmowy, opowiada o swej wizycie u pułkownika Wachnowskiego. Andrzej, wysłuchawszy relacji, rzekł:

- Tego należało oczekiwać. Pułkownik, podobnie jak my, ma ogromnie ograniczoną swobodę ruchów.

A potem z dawnym uśmiechem:

- Ale za to mnie, Piotrze, powiodło się lepiej. Wiesz, zdobyłem dla kompanii dziesięciu nowych ludzi, ludzi wyszkolonych.

- Skąd? Jak?

- Kupiłem ich za ciężki karabin maszynowy na wózku. Na dodatek dostałem jeszcze kilka butelek wina i setkę batonów czekolady. Za jednego maxima!

- Co za głupstwa mówisz?

- To nie głupstwo. To tylko wykorzystanie właściwości dowódcy PWPW oraz skutku nierównomierności posiadanej przez nas i przez nich broni. Zresztą handluję także z AL -

wczoraj Boruta z Wąsikiem odstąpili „Czwartakom” drugi cekaem za kilka skrzynek amunicji i miche placzków kartoflanych! Potem chciałem powetować stratę owych przehandlowanych karabinów maszynowych i pchnąłem drużynę na Miodową, do samolotu kanadyjskiego, który spadł podczas zrzutów, ale jakieś typy uprzedziły mnie i wszystka broń „liberatora” była wymontowana.

A po chwili.

- Co ci jest, Piotr? Wyglądasz jakoś nietęgo. I nie cieszysz się z nadchodzącego awansu?

U Jana, po wysłuchaniu życzeń, Piotr otrzymał zalecenie, aby dla wojskowego utwierdzenia swej nominacji objął dowodzenie planowanego natarcia w kierunku Stawek. Potwierdził swą gotowość, szczególnie gdy uzyskał zgodę, że przebieg natarcia uzależniony zostanie od stopnia oporu nieprzyjacielskiego. Gdyby obrona okazała się twarda, nie będą z siebie robić bohaterów i wycofają się. Po omówieniu kilku szczegółów technicznych Piotr zwrócił się z zażenowaniem do Jana, aby na czas natarcia pożyczył mu swój zegarek.

- Bardzo chętnie - odrzekł Jan - mam zapasowy w swym prywatnym „mobie”.

Ale co się stało z zegarkiem pana?

- Hm... zawieruszyłem gdzieś - odrzekł Piotr, zły na siebie, że odczuwa jakieś zahamowanie, wstydzi się powiedzieć prawdę.



Wrócił do siebie i wziął do ręki zabrany od Jana maszynopis komunikatów wojennych.

Najdłużej wczytywał się w dwie krótkie wiadomości: Moskwa donosiła, że 15 sierpnia rano Niemcy rozpoczęli ponowne uderzenie na wschód od warszawskiej Pragi: nieprzyjaciel skupił

na tym odcinku wielkie siły piechoty i czołgów. Równocześnie rzecznik dowództwa powstania informował, że 15 sierpnia po raz pierwszy od czasu powstania pojawiły się nad Warszawą samoloty radzieckie przeprowadzając nalot na lotnisko niemieckie na Okęciu.

Piotr przeczytał kilkakrotnie obydwie wiadomości, usiłując zrozumieć ich sens i wpływ na losy powstania, na losy chłopców „Zośki” i „Parasola”. Ale napłynęła wreszcie fala snu i myśli poczęły mu się mącić. Usnął.

Na dwie godziny przed północą, gdy kończył się szesnasty dzień sierpnia, Piotr zaalarmował oddziały wyznaczone do natarcia na Stawki i kwaterujące w domach przy Franciszkańskiej 12. Był jak dawniej sprężyste żołnierski, twardy.

Ostro dudniły po schodach podkute buty. A potem marsz przez długie i ciemne korytarze, przez piwnice, przez świeżo przekopane lub wybite przejścia. Podczas przemarszu przez piwnice mimo woli budzili nocujących tu dla bezpieczeństwa mieszkańców, których tysiące od pewnego czasu dniami i nocami przebywały pod ziemią. Zmęczone oczy tych ludzi na widok przechodzącego węża zbrojnej młodzieży zdobywają się niekiedy na uśmiech, niekiedy ktoś szepnie słowa modlitwy, niektóre twarze zasepiają się w nieżyczliwości.

Wyszli z piwnic i rowem łącznikowym przebiegli przez Sapieżyńską na teren szpitala Jana Bożego, obsadzonego także przez „Zośkę”. Tu Piotr, korzystając z panującego spokoju, skupił

wokół siebie oddziały i wyjaśnił cel i plan natarcia. Dążyć mają do zlikwidowania klina niemieckiego, który wbił się w rejon skrzyżowania Franciszkańskiej i Nalewek. Mówił

zdecydowanie, spokojnie, powoli. Słuchali z zaufaniem, wpatrzeni w tego szczupłego, smagłolicego oficera.

Potem czarny wąż schylonych postaci sunie w stronę muru getta. Skok przez Bonifraterską i biegiem tyralierami przez otwartą przestrzeń rumowisk ku sylwetkom „wzgórz”, za którymi znajdują się stanowiska niemieckie osłaniające Stawki. Wzbija się z sykiem biała rakietka, tyraliery przypadają ku ziemi. Spada, zgasła - naprzód! Mijają rzędy wagoników, podchodzą pod „wzgórza”... W pierwszym rzucie nacierających, obok dowódcy „Maćka” - Blondyna, idzie szybko Piotr, w drugim rzucie - obsługi erkaemów i sanitariuszki. Usiłują zachować jak najrówniej linię tyralier. Biegiem mijają szczyty pierwszych „wzgórz”, Znow rakietka. Padają.

I gdy zgasła, znow biegiem naprzód. Konrad, Sęp, Tulipan, Kmita, Poraj, Anna, Tur...

Naraz zamigotały przed nimi szybkie, przerywane błyski i ostrym, mechanicznym jazgotem zagrał karabin maszynowy. Pociski na szczęście szły górą. Padli. Odezwały się inne karabiny maszynowe, chaotycznie, nieskładnie, nieszkodliwie. Wróg wyczuwał ich, ale nie widział.

Biegiem naprzód! Odzywają się działka piechoty. Rakiety - jedna, druga, trzecia.

Leżą nieruchomi. Od strony Dworca Gdańskiego - Zgrzyty „szaf”. Miny wybuchają gdzieś za nimi, pociski działek - też za nimi. Zerwali się i - nareszcie płytki, długi rów.

Drużyna, do której należy Wojtek Synon, dotarła tu bez strat. Przypatrują się sobie w słabej poświacie dalekich pożarów, są wszyscy. Ale słaba widoczność sprawiła, że utracili łączność z Blondynem i Piotrem oraz drugą drużyną plutonu.

Leżą w płytkim rowie (o którym na odprawie mówił Piotr), mając przed sobą rząd wagoników i resztki dwóch domów. Za nimi - ulica i stanowiska nieprzyjaciela. Niemcy musieli lepiej rozeznaczyć się w sytuacji, kule idą teraz zupełnie blisko, odbijając się rykoszetami od wagoników i z charakterystycznym gwizdem przelatując tuż nad głowami. Starają się kryć za żelazne belki, za szyny. Rakiety! Twarze przy Ziemi, ciała jak najpłaśniej.

Znów ciemno. Synon wyciąga z kieszeni kilka kostek cukru i wkłada jedną do ust, spostrzegając ze złością, że ręka mu nieco drży. Częstuje najbliższych sąsiadów.

Jakiś cień przesuwa się szybko wśród linii wagoników. - Łączniczka od Blondyna, podaj dalej. - Synon wytrzeszcza oczy i czuje uderzenie pulsów na skroni: Jasny gwint! Czemu nie idzie za linią? I naraz: Boże, żeby tylko nie Ewa, Boże, czy Ewa dziś przy Blondynie? Boże...

Ręka drży mu jeszcze bardziej.

Na znak dowódcy drużyny pojedynczo przekradają się pomiędzy wagonikami i zatrzymują pod ścianą domu. W chwilach ciszy do uszu Synona dobiegają głosy niemieckie, odległe o 10-15 metrów. Nowa rakietka ujawnia tym razem tyle szczegółów, że zanim zgasła, gorączkowa strzelanina karabinów i pistoletów rozlega się z obydwu stron. Gniazdo powstańczego cekaemu z Muranowa swym wsparciem ogniowym umożliwia dalszy ruch.

W tym czasie Piotr, który przyłączył się do kompanii Giewonta nacierającej na prawym skrzydle, poderwał się pierwszy spośród leżącej w gruzach tyraliery, ale w momencie gdy zaczynał skok, rozbłysła rakietka. Dwa - trzy kroki... Gwałtowny, gęsty terkot karabinu maszynowego i Giewont widzi, że Piotr pada. Chce biec do niego, lecz ogarnięty lękiem nie może się ruszyć. Biją w nich dziesiątki granatników i cały wachlarz karabinów maszynowych. Tu i tam rozlega się rozpaczliwy krzyk lub jęk. Teraz seria „szaf”. Co chwila rozbłyskują rakietki, zalewając potokami światła cały obszar gruzowisk, ruin, opuszczonych domów. Walą coraz gęściej móżdżerze.

Wykończą nas - myśli Giewont, ale wie, że szansa ocalenia jest tylko w bezruchu.

Gdy po kilkunastu minutach ogień zelżał, Giewont wycofuje jeden pluton ku tyłowi, wysyła łączniczkę do Blondyna, sam zaś z drugim plutonem osłania pracę sanitariuszek i usiłuje dotrzeć do Piotra. Strumień pocisków karabinu maszynowego jest jednak niemożliwy do przebycia. Wycofują się więc, zostaje tylko zespół trzech ochotników z sanitariuszką; pragną przeczekać najgorsze godziny, aby odszukać Piotra lub jego ciało.

Po paru godzinach, gdy bitwa wygasła, kilka ledwo dostrzegalnych cieni pełzać zaczyna po gruzowiskach w poszukiwaniu Piotra. Rakiety już od dawna przestały wybuchać. Teren pogrążony jest w całkowitych ciemnościach, których nie łagodzą dalekie pożary, niskie chmury bowiem przytłumiły nadwarszawskie łuny. Ludzie pełzają tu i tam, tu i tam. Mylą im się kierunki, przestają zdawać sobie sprawę, czy przeszukują miejsca nowe, czy też krążą po już zbadanych. Odpoczywają i szukają znów. Mijają godziny.

Jeszcze nie tracą nadziei znalezienia Piotra. Kapitana Piotra.

Dopiero gdy wraz ze świtem odezwały się strzały i kule pogwizdywać zaczęły koło, nich, wycofali się zrezygnowani.

A gdy następnej nocy ludzie „Zośki” usiłowali ponowić poszukiwania i kilka drużyn ruszyło w kierunku Stawek, sytuacja niedawnego pola walki zmieniła się bardzo. Wszystkie domy sąsiadujące z tym terenem stały w ogniu, oświetlając głęboko przedpole. Wejście na jaskrawo oświetlony obszar równało się samobójstwu.

Echa śmierci człowieka podobne są kręgom rozchodzącym się po wodzie jeziora, gdy padają różne kamienie.

Ta śmierć na przedpolu Stawek rozbiegła się kręgami po wszystkich dzielnicach powstańczej Warszawy, gdzie walczyły oddziały Szarych Szeregów, i po oddziałach Lublina, Radomia, Kielc, gdzie tyle razy podczas okupacji dojeżdżał Piotr. Ale najmocniej śmierć ta szarpnęła młodzież „Zośki”. Ci przecież przez ostatnie szesnaście najdonioślejszych w życiu dni byli najbliżej tego starszego od nich, trzydziestoparoletniego mężczyzny, do którego lgnęli w sposób sprzeczny z przybraną przez nich pozą żołnierskiej, często cynicznej rubaszości.

Piotr bowiem - co pojęli dopiero po jego śmierci - uosabiał ich ideał mężczyzny w czasach okupacji i powstania: był żołnierski i zarazem cywilny, był męsko dzielny i zarazem dobry.

Był ich towarzyszem i bardzo kompetentnym dowódcą, a zarazem był po ojcowsku o nich troskliwy. Wojtek Synon dowiedziawszy się o Piotrze, płakał. Nie on jeden.

## **IX. NA STARYM MIEŚCIE - POZA LINIĄ**

Ostatnie dni drugiej dekady sierpnia zatarły różnicę między sytuacją na linii i na tyłach.

Nieprzyjaciel ostrzeliwał od rana do nocy całe Stare Miasto. Biło w nie najcięższe działo kolejowe, takie, jakich używa się do burzenia fortyfikacji. Bombardowały samoloty, uderzały pociski „szaf”.

Ulice i place zamarły pozbawione ruchu. Cała ludność stłoczyła się w piwnicach.

Któregoś ranka Andrzej Morro w towarzystwie swej łączniczki Basi wychodził z kwatery do sąsiedniej oficyny, aby porozumieć się z komitetem mieszkańców w sprawie wspólnego użytkowania świeżo uruchomionej studni (wodociągi działały już wówczas tylko w nielicznych miejscach), gdy usłyszał groźne skrzypienie „szaf”. Wbiegli do klatki schodowej i stanąwszy w jej wnętrzu

obserwowali podwórze. Andrzej widział, jak powstańcy przebywający na parterze zbiegli na dół. Naraz - seria druzgocących uderzeń, łomot walących się ścian, drżenie wszystkich murów i tuman pyłu tak gęsty, że o dwa kroki nic nie widać. Jakieś smagnięcie płomienia dotknęło Andrzeja, zakrył twarz rękoma, tłumiąc dłońmi palące się brwi i włosy na skroni. Na szczęście był w hełmie i w sukiennym mundurze niemieckim, a podmuch płomienia dosięgnął go tylko końcami swych języków.

Dopiero po dobrej chwili przez opadający gąszcz kurzu dostrzegł, że Basia jest ranna, a czteropiętrowy dom od ulicy Franciszkańskiej został zdruzgotany; lewa jego część leżała w gruzach, sięgających wysokości drugiego piętra. W gruzach tych przywalonych zostało kilka osób cywilnych, które nie znajdowały się jak wszyscy w piwnicach.

Gdy tylko odesłał Basię do szpitala, a sanitariuszka przemyła mu twarz i nałożyła opatrunek, poszedł kierować akcją ratowniczą. Dramatyczna scena rozgrywała się przy małym otworze, spoza którego dochodził głos zasypanego mężczyzny i widać było jego głowę. Ludzie z obrony przeciwlotniczej denerwowali się: po każdym poszerzeniu małego otworu zasypywał

go ponownie górny zwał gruzowiska. Głowa mężczyzny i pierś były odsłonięte, ale dolną część tułowia i nogi przywaliła masa gruzu; przy próbie wyciągnięcia za ramiona przywalony krzyczał w rozpacz: - Zastrzelcie mnie ! - i młiał z okrutnego bólu.

- Andrzej - odezwał się Kajus, który pomagał tu od pewnego czasu „cywilom” - a gdybyśmy tego jegomościa ciągnęli nie za ramiona, lecz próbowali wyciągnąć ze wszystkimi łaćchami, na których leży? Chwyćmy za skraj tych łaćchów.

Udało się! Andrzej z uznaniem trzepnął pomysłowego Kajusa po łopatce.

Pryszczowaty powstaniec rozjaśnił spoconą twarz i pobiegł na kwaterę po kubek wina dla swojego uratowanego.

Akcja ratownicza trwała, choć odłamki granatników zabiły dwóch mężczyzn pracujących nad wyciągnięciem zasypanych.

17 sierpnia zginął Blondyn.

Był najbardziej powściągliwym w „Zośce” dowódcą kompanii. Nawet w jego własnym

„Maćku” nie wszyscy go znali naprawdę. Był skromny, czasem nawet nieśmiały. Niektórzy w głowę zachodzili, jak to się stało, że Blondyn zajmował w „Zośce” tak stosunkowo wysokie stanowisko. Ale dla dowódcy „Zośki”, Jerzego, rzecz była jasna: ten czerwieniący się niekiedy młody człowiek był świetnym organizatorem: inteligentny, spokojny i systematyczny, uczynił z „Maćka” wzorowy oddział, słynący z dobrego zaopatrzenia chłopców we wszelkie potrzeby żołnierskie. Także niektórzy chłopcy „Maćka”, obserwujący bliżej Blondyna, umieli dostrzec jego zamaskowaną siłę: bezgraniczne oddanie służbie, czyniące zeń żołnierza zdolnego do wszelkich poświęceń i niezwyklej odwagi. Ale żołnierskie cnoty Blondyna nie rzucały się w oczy, zasłonięte przez skromność i nieśmiałość.

Nawet śmierć - i ta usiłowała zamaskować żołnierskość Blondyna: nie padł on na polu walki, jak wszyscy wybitniejsi dowódcy obydwu batalionów, zginął w sposób niewojskowy.

Wykorzystując spokojniejsze godziny na odcinku swojej kompanii, postanowił

ureczywistnić nurtującą go od chwili przybycia z Woli myśl: odwiedzić matkę. Matka Blondyna mieszkała przy ulicy Przejazd, tam gdzie Długa zbliża się do ulicy Leszno, czyli na granicy świata powstańczego i terenu zajętego przez nieprzyjaciela. Wyrwawszy się z powstańczych obowiązków, ruszył wreszcie Blondyn do matki. Niedaleko jej domu, gdy przeskakiwał ulicę, przez którą już od szeregu dni nikt nie miał odwagi przebiegać, został

trafiony kulą. Upadł na jezdnię. Żył. Był ciężko ranny, ale nikt nie miał odwagi przyjść mu z pomocą.

Wiść o wypadku dotarła jakimś cudem do kompanii. Kmita krzyknął do Ewy, aby chwyciła torbę sanitarną, zawołał Wojtka Synona i biegiem ruszyli ku Arsenałowi. Załoga Arsenалу wskazała im miejsce, w którym leżał Blondyn.

Rowem łącznikowym przeszli na drugą stronę Przejazdu. Minęli jakieś budynki, garaże, gruzy i dotarli do dziury w murze.

Blondyn, wysoki, kościsty, leżał na jezdni nieruchomo. Wpatrywali się weń uważnie, nie oddychał. Jasne włosy były zmierzwiłone, hełm stoczył się daleko. Długi strażacki bosak świadczył, że usiłowano ciało przyciągnąć do dziury, ale bez skutku. Teraz Kmita z Synonem ponawiają te próby i udaje im się podciągnąć poległego do samej dziury. Ale gdy Synon wychyla się z otworu, aby unieść Blondyna wyżej, seria strzałów karabinu maszynowego i masowo odpryskujące koło dziury cegły powodują, że cofa się gwałtownie.

Zewnętrzna część otworu jest tak szpikowana kulami, że po pewnym czasie rezygnują z wysiłków.

Powrócili na to miejsce w nocy. Ogień płonących w sąsiedztwie domów oświetla jaskrawo ciało Blondyna i otwór dziury. Kilkakrotne próby podciągnięcia poległego na wysokość otworu w murze kończą się niepowodzeniem. Karabin maszynowy wroga nie pozwala wychylić się poza otwór. W migocie płomieni twarz Blondyna co chwila zmienia wyraz.

Patrzą w nią jak urzeczeni. Wreszcie Kmita przerywa to zapatrywanie i komenderuje: - W

dwuszeregu zbiórka! - A po chwili: - Bacność! Na ramię broń! Prezentuj broń! Na prawo patrz!

Chwilę stoją wyprężeni, patrząc na mieniącą się w krwawych połyskach twarz poległego, oddaloną zaledwie o parę metrów, lecz niedostępną. Czują, jak ogarnia ich uczucie niesamowitości.

Mimo uroczystego pożegnania w kilka godzin później, już nad ranem, jakiś rozkaz wewnętrzny kazał Kmicie, przyjacielowi Blondyna, przyjść samotnie po raz trzeci do otworu w murze przy ulicy Przejazd. Bez świadków, w parosekundowej przerwie między dwoma seriami karabinu maszynowego, Kmita pochwycił ciało i tym razem wciągnął je do wnętrza.

Można było oddać poległego towarzysza ziemi.

„Parasol” już ponad dziesięć dni pełnił swą służbę w gruzach getta, przedpołu Starego Miasta.

Jego lewe skrzydło sięgało pałacu Mostowskich, gdzie stacjonował także jeden z oddziałów

„Wigier”. Skrzydło prawe niestety nie łączyło się z placówkami „Zośki”. Przez wszystkie te dni odłamki granatników, „szafy”, pociski artyleryjskie, bomby lotnicze sięgały stanowisk

„Parasola”. I żaden z tych dni nie mijał bez strat. A były i takie, na których wspomnienie Rafał odczuwał przyspieszone bicie serca.

Mimo wysiłków Jeremiego, który od pewnego czasu nie opuszczał stanowisk i całą inteligencję skupiał na obmyślaniu zabezpieczeń, batalion topniał zastraszająco. Plutony przestawały istnieć. Kompanie zamieniały się w zespoły 25-40 ludzi, z których połowę stanowili lżej ranni, kaleki, kulawi, za wszelką cenę pragnący nie opuszczać linii.

Nieprzyjaciel miał taką przewagę, że oddziały „Parasola” musiały się ograniczyć do utrzymania stanu posiadania, inicjatywa działań wojennych przeszła całkowicie na ich odcinku w ręce wroga. Ale „Parasol”, niezdolny już do obrony czynnej, trzymał się swych pozycji z jakimś nieludzkim uporem. Poukrywani za workami piasku w piwnicznych okienkach z ledwo widoczną szparą na zewnątrz, wkopani w ziemię, ustawieni za załomami murów na piętrach domów odpierali nacierających i trwali na swych stanowiskach.

Noce były spokojniejsze. Systematyczni Niemcy zaprzestawali z zapadnięciem zmroku pracy wojennej, odpoczywali. Ustawiały naloty, nie skrzypiały „szafy”, zamierał ogień artyleryjski i tylko nigdy nie wygasające pożary, pożary ogarniające coraz większy obszar i olbrzymią łuną rozświetlające niebo oznajmiały wsiom, miasteczkom i miastom rozrzuconym w stukilometrowym promieniu od stolicy, oznajmiały lotnikom alianckim nadlatującym ze zrzutami oraz wojskom radzieckim w okolicach Radzimina, Wołomina, Falenicy, że śmiertelna walka Warszawy o wolność trwa.

Ulice podczas nocy były niesamowite: pozbawione całkowicie ludzi, żyły ruchem cieni, cieni domów i ruin, migocących i falujących w łunach pożarowych, przerywanych kłębam dymów.

Błyski czerwieni i fioletu ślizgały się po kikutach ścian i czarnych oczodołach okien, iskrzyły się w szkle zaścieniającym chodniki ulic, którymi od czasu do czasu przechodził samotny kot lub dreptały niespokojnie gromadki szczurów. Trzask płonących zabudowań przerywały chwilami strzały karabinów lub broni maszynowej. Gdy ustawiały, ze wschodu, spoza Wisły słyhać było dalekie, niskie odgłosy wielkich dział artyleryjskich.

Jednej z takich nocy, gdy świeżo przybyła z linii zmiana „Parasola” szykowała się w kwaterze na Długiej do wyzwalającego snu, Ziutek odczytał swój nowy wiersz. Zawsze chętnie słuchali piosenek i wierszy Ziutka. Tym razem rytm wymawianych zdań oddziałał na nich jak zabieg hipnotyczny, oddalający sprzed powiek groźną rzeczywistość. Zdejmowali buty, rozluźniali pasy, poprawiali pod głowami plecaki i słuchali.

- A gdy będzie już po wojnie - zaczął Ziutek cichym, spokojnym, z lekka afektowanym głosem i

przerwał, dając kolegom czas na wygodne ułożenie się.

A gdy będzie już po wojnie,

Będzie miło i spokojnie...

Przymykali oczy wsłuchując się w trochę sentymentalny, a trochę kpiący ton Ziułka.

Zaczynali równo oddychać.

Będzie miło i spokojnie,

I dostatnio, i wygodnie,

I dziewczęta zdejmą spodnie,

I nie będą „szafy” fruwać,

I będziemy masło wsuwać.

Skończą także swe wybryki

Zwariowane granatniki...

Uśmiechali się. Rzeczywistość ztracała swe ostre kontury i przybierała znów te kształty, w jakich przedstawiła im się podczas pierwszych paru dni powstania. Marzyli. Do zacierającej się świadomości docierały słowa Ziułka, koronujące jego wizję upragnionej szczęśliwości: Będzie Polska z woli Bożej..

Spali tej nocy spokojniej niż zwykle, uśpieni żołnierską bajką.

Zresztą nie wszyscy spali. Jeremi jeszcze pracował w swoim pokoju.

Przybył tu na kilka godzin, aby uporządkować sprawy amunicji i zaopatrzenia. Był bardziej zmizerowany i zarośnięty niż kiedykolwiek. Gdy skończył pracę, przykrył Rafała kocem, który ten we śnie zrzucił z siebie, i włożywszy hełm na głowę skierował się ku wyjściu.

Postanowił i tym razem spędzić noc na linii.

Mógł o tej porze iść ku Nalewkom przynajmniej częściowo ulicami, ale ostatnio jakaś wewnętrzna potrzeba pchała go do przejść piwnicznych. Nie ze względu na własne bezpieczeństwo, Jeremi jak dotąd szczęśliwie nie odczuwał lęków, lecz ze względu na niezrozumiałą dlań potrzebę zetknięcia się z masą ludzką, z jej cierpieniami i bólem, aby poddać ponawianej próbie hartu swą żołnierskość.

Kiedy stykał się z ludźmi piwnic w pierwszym tygodniu powstania, czuł to samo, co wielu jego kolegów: jakąś swą odmienność, inność w stosunku do tych biernych, wylękłych ludzi, do ich nieporadności, do ich nijakości.

Ludziom starszym wybaczał, ale do mężczyzn i kobiet w sile wieku odczuwał niechęć.

Jednakże od pewnego czasu inaczej zaczął spoglądać na ludzi piwnic. Zaczął dostrzegać fakty i zjawiska dręczące, dostrzegać w sposób tak skrajny, że wzrok jego jakby eliminował obrazy o odcieniu optymistycznym.

Gdy wszedł do schronów piwnicznych, jak zwykle pierwszym silnym wrażeniem był zaduch.

Wszystkie okienka były założone workami z piaskiem lub zasypane ziemią. Przechodził obok legowisk, tobołów, koło nie wynoszonych kubłów z nieczystościami, śmieci. Oddechy i pochrapywania śpiących pokotem na leżąco lub siedząco przerywał płacz dziecka, czasem klątwa lub skarga. Obok zdrowych rozróżniał w słabym świetle lamp elektrycznych lub naftowych twarze ludzi chorych najczęściej na czerwonkę. Starcy, kobiety w ciąży, trochę młodych, dzieci... Wiedział już dobrze: odżywianie wielu tych ludzi jest na granicy głodu, woda dociera tu w znikomych ilościach. Boją się wychodzić po nią do nielicznych czynnych kranów lub studzien.

Jeremi szedł wąskim przejściem między śpiącymi, skręcał w lewo, w prawo, wspinał się niekiedy do przełazów lub pochyłał, gdy trzeba było przejść dziurą wybitą w murze lub wykopaną w ziemi dla połączenia dwóch korytarzy piwnicznych. Kierunek wskazywały strzały wyrysowane na murze oraz umieszczone przy nich napisy. Niekiedy orientowali go stojący na skrzyżowaniach służbowi. W oczach tych, którzy nie spali i teraz patrzyli na niego, gdy ich wymijał, dostrzegał napięcie oczekiwania i lęku. Czasem niechęć do swego powstańczego munduru, hełmu, pistoletu. Ziutek parokrotnie zwierzał się Jeremiu, że gdy przechodzi piwnicami; wyczuwa we wzroku wpatrzonych weń „cywilów” nadzieję i świadomość związku ich losów z losami jego, żołnierza powstania, który jeden zdolny jest dać wyzwolenie, ratunek.

„Tylko nie zostawiajcie nas samych” - mówiono do Ziutka w piwnicach. Jeremi natomiast chwycił wzrokiem i słuchem inne niż Ziutek spostrzeżenia: dostrzegał głód w wielu oczach, z półsłówek domyślał się krążących wieści o potwornościach, które nasycaly atmosferę piwnic przerażeniem łamiącym ducha. Jeśli zwracano się doń - słyszał zwykle: „Jak długo to jeszcze potrwa?” lub „Dokąd mamy uciekać, gdy tu przyjdą Niemcy?” Niekiedy zaś w spojrzeniach i mruknięciach Jeremi domyślał się rzeczy najstraszniejszej: nieżyczliwości, nienawiści do jego powstańczej opaski.

W jednej z obszerniejszych piwnic spostrzegł na boku czterech mężczyzn grających w karty przy świeczce. Gdy mijał ich, przerwali grę i któryś zwrócił się do Jeremiego: - Panie poruczniku, chwileczkę. - Przystanął.

Zaprosili, aby usiadł na minutkę i porozmawiał. Jeden z grających, łysawy, pięćdziesięcioletni, wyciągnął papierośnicę. I stereotypowe pytanie:

- Długo to jeszcze potrwa, panie poruczniku?

Jeremi wzruszył ramionami. Cóż można na takie pytanie odpowiedzieć.

- Pan nie wie, nikt nie wie... A czy wie pan przynajmniej, jak jest z Sowietami? Przecież co noc słyszać ich artylerię, są blisko. Kiedy ruszą naprzód? I czemu nie przysyłają swych myśliwców, żeby



przynajmniej postraszyć tych drani?

Jeremi milczał. Wówczas inny gracz, garbaty chudzielec, wtrącił swoją uwagę:

- Oj, narobiliście biedy z tym powstaniem. Po jaką cholere zaczęliście, jak jesteście tacy słabosilni?

- Według pana powinniśmy czekać spokojnie, aż nas Rosjanie albo Anglicy wyzwolą?

- Ja nie jestem wojskowy, panie poruczniku - podjął znów łysawy - ale cały interes nie podoba mi się. I znów panu zadam pytanie: czy to w porządku, że z miasta cywilnego robicie fortecę?

Że domy Starówki uważacie za betonowe forty? Że z katedry zrobiliście redutę? Że, jak mówią, walki tam odchodzą o każdy filar? Kto to wymyślił, żeby największe boje urządzać w środku stolicy, gdzie taki gęszcz ludności i tyle pamiątek narodowych? I to już drugi raz, bo we wrześniu 1939 roku to samo było.

Jeremi czuł, że blednie. Ma, czego chciał. Pokonał odruchową chęć oddalenia się, zdjął hełm, rozluźnił kołnierz panterki.

- Panie, ja jestem żołnierzem. Połowa moich kolegów poległa w ciągu tych dwóch i pół

tygodnia. Przecież my walczyliśmy i umieraliśmy nie o swoje prywatne sprawy. Chodzi o dobro wszystkich, o ratunek wszystkich.

- Ładny ratunek.

- Czemu pan patrzy tylko na bliską odległość? Niech pan spojrzy na odległość dalszą. Jeżeli człowiek straci rękę, ale uratuje swoje życie - wygrał. Jeżeli my, żołnierze, nie wyjdziemy z tej walki żywi i jeżeli Warszawa ucierpi strasznie, ale tym kosztem ugruntujemy wolność całego narodu, to w sumie właśnie my wygramy, zwyciężymy.

- Wygramy przez zniszczenie Warszawy, tak?

Jeremi patrzył chwilę na swego opozycjonistę, wreszcie rzekł:

- Cóż na to poradzimy, pan i ja, że świat przyznaje prawo do życia i wielkości tylko tym narodom, które zdolne są dać krew za swe istnienie. W tej wojnie nie tylko Warszawa płaci wysoką cenę za prawo do wolności. Ale dlatego, że cenę tę płacimy podobnie jak czołowe narody Europy, nabywamy praw szczególnych i jakby zakładamy fundamenty dla budowania w przyszłości czegoś wielkiego.

Zapanowało krótkie milczenie. Wreszcie znów łysawy jegomość:

- Staram się pana zrozumieć, panie poruczniku, i przyznałbym panu rację, gdyby nie to, że rozum mówi mi: udział Polaków w wojnie był konieczny, bo Hitler chciał nas tak czy owak wykończyć; to fakt - musieliśmy wojować; ale wojujemy bez mądrości, bez rozumu, zanadto niszczymy własny

naród.

Jeremi wstał. Musiał już iść. I tak się zbytnio zagadał.

- Panie poruczniku, przerywa pan rozmowę.

- Bardzo mi przykro, ale na mnie już czas. Życzę dobrej nocy.

Odszedł szybko, lecz po pewnym czasie zwolnił kroku i szedł jakoś ciężko, nie dostrzegając ludzi i instynktownie tylko nie myląc drogi. Kąciki ust miał opuszczone ku dołowi, jak zwykle w chwilach rozgoryczenia.

Jasia wciąż jeszcze przebywała w szpitalu, lecz stan uległ na tyle poprawie, iż doktor Maks godził się na jej odejście do kwater batalionu.

Rana goiła się dobrze, klamerki zostały zdjęte, ale ponieważ szczęka była zdeformowana i opuchnięta, a blizny jaskrawe - dziewczyna miała dolną część twarzy zabandażowaną. Jeść mogła tylko miękkie potrawy. Mówiła mało i niechętnie, z wymową były trudności.

Jeremi wpadał do szpitala codziennie, a czasem parę razy w ciągu dnia.

Nie usiłował analizować swoich uczuć wobec Jasi, wiedział tylko, że góruje w nich tkliwość.

Nie mógł znieść niepokoju, który czasami wyczuwał w spojrzeniach dziewczyny, i jakichś wobec niego zahamowań.

W dniu, w którym zostały usunięte klamerki z rany i Maks wyraził zgodę na opuszczenie przez Jasię szpitala, Jeremi był po raz pierwszy od wyjścia z Woli pogodny.

- Jasia, uszy do góry! Chcę ci zaproponować małżeństwo. Ślub mogliśmy wziąć raz-dwa.

Jasia szeroko otworzyła oczy. Była tak oszołomiona propozycją, że usiadła z wielkiego wrażenia na posłaniu.

- Je-emi... Ko-any...

- To nie wszystko, Jasia. Maks mówi, że gdybyś po powstaniu trafiła w ręce doktora Meisnera, mógłby twoją szczękę doprowadzić do dobrego stanu.

To specjalista od podobnych spraw.

W dniach powstania warszawskiego nie tylko śmierć biegła miastem w siedmiomilowych butach. Życie również. Nie zdziwiło więc zbytnio najbliższych towarzyszy Jasi i Jeremiego, gdy dowiedzieli się, że następnego dnia ma się odbyć ślub tej pary. Ojciec Paweł - mądry i ludzki kapłan - życzliwie błogosławił podobne związki, nie zważając na formalności.

Ceremonia odbyła się w czasie krótkiego zluźnienia batalionu na linii przez sąsiednie zgrupowanie.

Jeremi po nie przespanej nocy miał zaczerwienione oczy, ale buty i mundur w stanie wyjątkowej czystości. Był spokojny, poważny. Jasia wprawdzie miała twarz obandażowaną, ale tym razem ubrała się nie w panterkę i spodnie, lecz w świeżą, czyściutką bluzeczkę i spódnicę, pożyczone u podnieconych faktem niezwykłego ślubu mieszkanek Starówki. W rękę trzymała kilka kwiatków azalii, jakimś cudem zdobytych i ofiarowanych jej przez koleżanki. Nie było stuły, ksiądz złączył dłonie młodych swym pasem zakonnym.

Pokój Jeremiego na kwaterze w sądzie apelacyjnym był niewielką, prowizoryczną izdebką, do której ciągle ktoś pukał, zaglądał, wpadał, ciągle ktoś tu siedział meldując o czymś lub wysłuchując rozkazów i zarządzeń. Stare Miasto było przeludnione niezmiernie zarówno z powodu zniszczeń, jak i na skutek napływu wielkich mas ludności Woli. Tu właśnie, do owej izdebki służbowej, przyszli państwo młodzi po ślubie i tu roześmiani, dowcipkujący towarzysze, starając się nie zwracać uwagi na twarz Jasi, obdarzyli ich prezentami.

Najbardziej imponująco wyglądał piękny ozdobny sztylet oficerski, zdobyty na jakimś wyższym niemieckim oficerze i teraz ofiarowany Jeremiu.

Jeremi sposepniał.

- A po co mi to? Jak sobie wyobrażacie, do czego będę tego używać?

Ofiarodawcy skonsternowali się. Stali zakłopotani, nie wiedząc, jak reagować na odruch Jeremiego. Ale ten odczuwszy delikatne a nieznaczące głośnięcie przegubu swej dłoni, rozchmurzył się i nawet uśmiechnął.

- No pysznie, ładny to on jest, ten sztylecik. Będzie w naszych przyszłych zbiorach rodzinnych pierwszym trofeum. Prawda, Jasiu?

Przytuliła się do męża.

A potem?

Stare Miasto weszła już wówczas w okres najcięższych walk i zmagañ.

Jeremi zaś był dowódcą batalionu szturmowego, który niemal nieustannie tkwił na linii.

Usiłowali być jak najczęściej ze sobą razem. Owo „razem” prawie nigdy nie znaczyło „we dwoje” i z reguły miało za tło pośpiech oraz napięcie nerwów, zmęczenie i lęk, meldunki i rozkazy, kurz i krew, drżenie murów, wybuchy, śmiertelne gwizdy i błyski...

Nawet gdy czasem krótko znaleźli się na kwaterach w pokoju Jeremiego, nic się nie zmieniło. Wprawdzie towarzysze Jeremiego usiłowali być delikatni, pragnęli uszanować potrzebę samotności młodej pary, ale czy mogli? Czy ci wszyscy gońcy, łączniczki, liczni dowódcy oddziałów i służb mogli nie szarpać klamki pokoiku dowódcy batalionu, nie wbiegać tu w podnieceniu, gdy sprawy życia i śmierci zależały od szybkości decyzji.

Potrzebę serdecznej czułości Jasia i Jeremi przejawiali więc w spojrzeniach skierowanych ku sobie

wśród rozgwaru i niepokoju otaczających ich ludzi, w krótkich wykradanych losowi uściskach. Jasia po kilka razy dziennie podrzucała mężowi karteczki, na których wypisywała zawsze to samo zdanie: „Jestem taka szczęśliwa”.

Kiedy ewakuowano szpital „Brody” z Okopowej, ranni zostali rozlokowani po szpitalach Starego Miasta, głównie w szpitalu Jana Bożego przy Bonifraterskiej. Jednakże z różnych powodów wielu z nich źle się czuło w miejscach, gdzie ich umieszczono (na przykład „Jan Boży” znalazł się od razu pod silnym ogniem dział niemieckich). Kto mógł, „urywał się” stamtąd i przywlekał do swej kompanii. Toteż gdy zgrupowanie Radosława skończyło wreszcie organizowanie własnego szpitala, odetchnęli zarówno dowódcy, jak i ranni.

Szczególnie ranni. Nie tylko dlatego, że będą wśród swoich najbliższych towarzyszy, lecz nade wszystko dlatego, że w batalionach ustaliła się atmosfera zaufania do własnych lekarzy i do własnych pielęgniarek. Byli przekonani, że ci ludzie uczynią wszystko, aby pomóc każdemu z nich.

Nowo otwarty szpital mieścił się w pięknym, obszernym gmachu na ulicy Miodowej 23 przy rogu Długiej. Kiedy 17 sierpnia późnym wieczorem przyniesiono tu pierwszych rannych, ci byli oszołomieni: czyściutka pościel, lśniąca posadzka i miejsca tyle, że każdy otrzymuje własne, oddzielne łóżko. No, a przede wszystkim miłe twarze dobrze znanych sanitariuszek, które krzątają się uczynnie koło każdego z nich, jakby byli generałami. Tu dopiero człowiek zacznie zdrowieć!

W niewielkim pokoiku o dwóch łóżkach, położonym na pierwszym piętrze, ulokowano Bonawenturę i Michała. Bonawentura był ranny przed trzema dniami, podczas próby odbicia Stawek. Michał, dowódca jednego z plutonów kompanii Giewonta, dostał odłamkiem pocisku granatnika w nogę przed dwoma dniami, podczas powstrzymywania na Przejeździe natarcia niemieckiego.

Przyniesiono ich do pokoju na pierwszym piętrze niemal jednocześnie. Był piękny, wczesny ranek. Uśmiechnęli się do siebie na powitanie, a potem obydwaj znacząco spojrzeli na wielkie weneckie okno ich pokoju i widoczną przez nie zieleń podwórza.

- Z tym oknem od podłogi do sufitu daleko nie zajedziemy, Bonawentura.

- Taak... Ile by tu trzeba worków z piaskiem... Musimy prosić o coś zaciszniejszego.

Oczywiście rozmowa szybko przeszła na szczegóły porażeń. Bonawentura opowiedział o głupiej, pojedynczej kuli, która go pacnęła nie wiadomo skąd, nie pozwalając „wykończyć” czołgu znajdującego się tuż pod ręką. Michał przedstawił sytuację, w jakiej go zraniono.

Strzelał ze swoim plutonem z okien czynszówki; gdy Niemcy ruszyli na bramę, w grupę Michała uderzył pocisk granatnika. Hryński i Rybak zostali zabici, kilku rannych - właśnie wtedy Michał dostał w nogę; nie przeszkodziło to zresztą obrzucić nadbiegających Niemców granatami i sidolówkami. Nieprzyjaciel wycofał się i wówczas rannego Michała ulokowano na kocu, ale kiedy pluton usiłował połączyć się z kompanią, okazało się, iż są odcięci.

Myśleli, że to już koniec. Wrócili zrezygnowani do czynszówki. Mijały godziny. Głęboką nocą nadleciały samoloty alianckie ze zrzutami i rozpoczęła się wściekła palba artylerii przeciwlotniczej.

Kolorowe paciorki amunicji świetlne i mleczne, ruchliwe smugi reflektorów uczyniły z nieba jakby cudowny parasol rozpięty nad ziemią. Jeden z „liberatorów” lecąc płonął. I wówczas Michał zabawił się w psychologa: zakładając, że uwaga żołnierzy niemieckich jest pochłonięta fantastycznym widowiskiem niebios, polecił plutonowi ruszyć ku stanowisku Giewonta. No i przemknęli się, dźwigając go na kocu.

Chwilę milczeli. Jeden rozważał rolę przypadku na wojnie, a drugi - dobroć Opatrzności.

Michał odezwał się pierwszy:

- Czemu ty, Bonawentura, nic teraz nie piszesz? Przecież o tych chwilach tak się dawniej marzyło. Pamiętam doskonale twoją „Wizję”:

Ej, jeszcze kiedyś gruchną strzały,  
poleci miastem tupot nóg,  
błyśnie w ciemności orzeł biały  
i zadrży wróg.

Bonawentura uśmiechnął się blado.

- Wiesz, Michał, może i dobrze, że nic obecnie nie piszę, bo byłby to dziwaczny pamiętnik poetycki powstańca. Nie wiem, skąd się to bierze, ale gdybym dziś utrwał na papierze swoje uczucia, pisałbym takie na przykład zwierzenia:

Nikt się o mojej miłości nie dowie,  
nikomu miłość się moja nie przyśni,  
świeższa niż wiatru wiosennego powiew,  
bielsza od kwieciem obsypanej wiśni.

No, pomyśl, Michał, czy coś podobnego można dziś pisać? A o „rumienieniu krwią ulic” lub o „pieśni-pożodze” nie mógłbym, naprawdę bym nie mógł.

Za drzwiami rozległy się energiczne kroki, ktoś ostro nacisną kławkę i Andrzej Morro stanął pomiędzy czystością bieli dwóch łóżek. Jego panterka i sukienne spodnie przesycone były dymem, a gdy zdjął hełm, ujrzeli spalone brwi, nadpalone włosy nad czołem i posmarowaną jakimś tłuszczem czerwień policzków; czoło owijał bandaż.

- Cześć bohaterom - zaczął pogodnym głosem. - Przynoszę prawdziwy cud: trzy pomarańcze.

Wiedzieli już o wczorajszym oparzeniu twarzy Andrzeja przez „szafę”, toteż nie zaniepokoił

ich jego widok. Bonawentura, choć nie był smakoszem, z przyjemnością wziął do rąk pomarańcze.

- Skąd dostałeś?

- To wciąż jeszcze składy PWPW i moje „siuchy” z ich dowódcą.

Przeprowadzałem zamianę paru skrzynek amunicji - pomarańcze są „procentem” za pośrednictwo. Zdobyłem kilka kilo. Już dałem sanitariatowi.

Andrzej usiadł na taborecie. Spokój obydwu rannych i spokój pokoiku udzielał się gościowi.

Rysy męskiej jego twarzy łagodniały, mięśnie rąk i nóg ulegały rozprężeniu, zdawało się nawet, że mięśnie od wewnątrz autorytatywność Andrzeja. Rozejrzawszy się dookoła, rzekł:

- Czy nie sądzicie, że to okno pozbawia pokój zaciszności? Gdybyście woleli mniej powietrza i światła, pomówię zaraz z Bromem.

Uśmiechnęli się. Nie, pośrednictwo zbyt dobre. Załatwią sami przy pierwszej sposobności.

Rozmawiali coraz spokojniej, coraz ciszej. Na pytanie Andrzeja o stan rany, Bonawentura powtórzył opinię Broma: sprawa niebłaha, ale z dobrą prognozą. Potem przeszli na śmierć Piotra i na rolę, jaką Piotr odegrał w ich batalionie. Bonawentura, który ostatnio wpadał

wobec brata w nastroje zwierzenia się, maskując zażenowanie tych wypowiedzi tonem lekkiej kpiny, tym razem też odczuł potrzebę podzielenia się myślami:

- Wiesz, bracie, że gdy się ma dziewiętnaście lat, człowieka pociąga filozofowanie i socjologia, i historiozofia. Ale багаżyk wiedzy jest nietęgi, a gmatwanina poglądów różnych czytanych autorów taka, że tylko się płakać. I wówczas pomoc ludzi dobrych i mądrych, którzy umieją się zbliżyć do dziewiętnastolatka, jest nieoceniona. Myślę, braciszku, że Piotr był tym mądrym i dobrym człowiekiem, którego szczęśliwy los ulokował wśród naszej bandy.

- Masz rację - powiedział Andrzej. - Tyle, że Piotr prócz mądrości i dobroci posiadał jeszcze specjalnie cenny rys: realizował w codziennym życiu głoszone przez siebie idee. No i był znakomitym oficerem - dowódcą.

Dlatego nie tylko porządkował różne sprawy w głowach, ale był czymś w rodzaju wzorca.

Bonawentura leżał wyciągnięty w całej swej tyczkowatej długości, blady, ze spokojem na twarzy. Oczy miał lśniące. Przesłonił je powiekami i mówił dalej półgłosem:

- Pamiętasz gawędę Piotra w „twierdzy”, po której Czarny Jaś odszedł do Śródmieścia? Piotr mówił o zarazie hitlerowskiej, której nieświadomie ulegają niektórzy z nas. Następnego dnia poszedłem z Tadzkiem Wuttke do niego. Przegadaliśmy chyba ze dwie godziny, bo i mnie dręczyły te okropności dostrzegane u niektórych naszych. Ach, to było straszne: widziałem znęcanie się nad jeńcem, widziałem strzelanie do rannego, widziałem „łapankę” urządzoną na mężczyzn-cywilów, których

brano do budowania umocnień. I przypomniałem sobie tę karuzelę blisko pomnika Kilińskiego w czterdziestym trzecim roku podczas powstania w getcie: za murami getta - mordowanie ludności żydowskiej, strzały, dymy pożarów, a o kilkadziesiąt metrów od tych murów - karuzela z wesołą muzyczką i amatorami zabawy. A donosy do gestapo? A „szmalcownicy”?

- Chcę ci przerwać, Bonawentura - odezwał się Michał - ale skoro zwierzasz się w mojej obecności, pragnę uzupełnić twoje szkice na temat społeczności polskiej własnym obrazkiem: pierwsze „lanie” spotkało mnie nie z ręki gestapo, lecz z ręki rodaków, zwabiono mnie na pół

roku przed powstaniem do Falenicy pod pozorem sprzedaży broni, której tak bardzo wtedy potrzebowaliśmy; tam pięciu uzbrojonych mężczyzn napadło mnie w lesie. Paru z nich, przekonawszy się, iż nie mam przy sobie pieniędzy, zaczęło mnie bić. I gdyby nie jeden z tej piątki, który - grożąc pistoletem - stanął w mojej obronie, byłoby ze mną kiepskawo. Potem rozgryzłem sprawę: byli to wykolejeńcy należący do jednej z komórek dywersji, którzy tym sposobem „zarabkowali” na boku.

Zapanowało milczenie. Brwi Andrzeja zbiegły się, wargi zwięzły, milczał jednak. Więc znów Bonawentura:

- Otóż Piotr, gdy tak pogadaliśmy z nim, Tadzio i ja, tak rzecz umiał ująć, że po wyjściu z jego pokoju miałem w głowie ład, a w duszy spokój.

Odtąd już mnie te sprawy nie dręczą, choć nienawidzę ich w dalszym ciągu.

- A co ci wtedy mówił Piotr?

- Och, to trudno powtórzyć. I bez nastroju, jaki panował w pokoju Piotra, bez jego głosu, bez jego oczu słowa wypadną zbyt skromnie. Istota sugestii Piotra - bo to chyba była sugestia? -

polegała na tym, że Piotr powiedział, jak on sam te sprawy przeżywał i jak je w sobie uporządkował: łajdaków polskich jest sporo, jeszcze więcej jest wśród Polaków ludzi ciemnych. Ale oprócz łajdaków i ludzi ciemnych znajduje się wśród nas niemało typów przyzwoitych. Trudność polega według Piotra na tym, że łajdacy i ciemni są zwykle bardzo pewni siebie, arogancy, napastliwi, typy przyzwoite zaś to przeważnie różne odmiany Hamletów. Chodzi o to - powiedział Piotr - aby nosiciele dobrych postaw zamiast biadolenia stali się ofensywni, zaczepni, żeby najodważniejsi z nich pociągnęli za sobą innych. I jeszcze jedno:

Piotr zaszczeplił mi myśl, że rozglądając się po świecie, trzeba starać się dostrzegać nie tylko cienie, lecz i punkty jasne.

- Na przykład grube kobiety podające rannym herbatę z winem - uśmiechnął się Andrzej.

Bonawentura kiwnął głową i również się uśmiechnął.

- Ja wiem, że to wszystko, co powiedziałem, może wydawać się naiwne, a mój stosunek do Piotra - dziecinny, ale trudno, nie zdążyłem jeszcze wydorosnąć na obraz i podobieństwo niektórych bohaterów Balzaka.

Andrzej przyglądał się chwilę bratu, a potem rzekł:

- Szumowin jest znacznie mniej, niż wydaje się to na podstawie szumu, jaki robią. Trzeba ich mocno trzymać w garści, nie pozwolić brykać, a jeszcze bardziej zmaleją. Gorsza sprawa to ludzie nie odróżniający jasno dobra i zła. O, z tym będzie wielki i długi kłopot. W sam raz dla nas po wojnie.

Andrzej wstał. Był już na niego czas. Szybko opowiedział rannym nowiny z batalionu, uściśnął rękę brata i Michała, włożył hełm i odszedł. Wkrótce potem Bonawentura, zmęczony rozmową i wzrastającą temperaturą, usnął.

Michał patrzył przez pewien czas na śpiącego kolegę, a potem skierował wzrok ku oknu i zieleni drzewa. Zamyślił się.

Z długiego zamyślenia-półsnu przywołał go do rzeczywistości odległy, wibrujący dźwięk motorów samolotowych. Głos ten nasilał się, potężniał i wkrótce Michałowi się zdało, iż lekkie drżenie udziela się murom szpitala.

Napłynęła nań fala niepokoju, chciał odezwać się do Bonawentury, lecz zaniechał tego widząc, iż sąsiad śpi dalej spokojnie.

To, co nastąpiło potem, trwało sekundę. Michał dojrzał wśród zieleni podwórza wielki słup ognia i błyskawicznie pojął, że to wybuchła bomba.

Drugiej bomby już nie ujrzał i nie usłyszał.

Gdy w kilka godzin potem ocknął się z omdlenia w schronie piwnicznym szpitala, dowiedział

się, że wraz z łóżkiem przeleciał przez trzy pokoje razem z ich ścianami i piecem. Ocalenie zawdzięczał temu, iż jego łóżko zgięło się jak rogalik, przy czym materace owinęły Michała, chroniąc go od urazów. Bandaże miał zerwane, rany na nowo otwarte, lecz żył. Bonawentura natomiast został wraz z łóżkiem i ze ścianą, przy której leżał, rzucony na klatkę schodową i spadł na parter. Gdy dotarła doń sanitariuszka - nie żył.

Świeżo oddany do użytku szpital zamienił się w rumowisko. Wśród gruzu rozwalonych ścian, po resztkach klatek schodowych i pomiędzy chaosem drzewa, pokręconego żelastwa, zniszczonych mebli krążyły postacie pokryte gęstą powłoką kurzu. Wydobywano ocalonych i zabitych.

W obszernych piwnicach pod gruzowiskiem organizowano pośpiesznie nowy szpital.

## **X. JAN BOŻY**

Śmierć brata odczuł Andrzej jak uderzenie pocisku we własne ciało. Serce ogarnęła panika, w wyobraźni mignęła przerażona twarz matki.

Aby dobrze zrozumieć Andrzeja, trzeba uprzytomnić sobie, jak intensywnie pracowały jego nerwy w dniach powstania. W ciągu doby, poprzedzającej śmierć brata, zginął Piotr, jeden z najbliższych mu ludzi, oraz Blondyn, z którym Andrzej stykał się niemal codziennie od kilku lat. Sam Andrzej znalazł



się o krok od śmierci, gdy wybuch „szafy” oparzył mu twarz. I w kilka godzin po śmierci brata musiał wszystkie siły duchowe skoncentrować na reorganizacji swego odcinka, który pod naporem nieprzyjaciela załamywał się.

Andrzej nie miał czasu przeżywać śmierci brata, podobnie jak nie miał czasu na przeżywanie śmierci swych przyjaciół. Co więcej, Andrzejowi nie było wolno przeżywać zbyt mocno i długo strat osobistych, gdyż od jego stanu psychicznego, od sprawności jego umysłu i niezachwianej równowagi zależało życie wielu ludzi i określony odcinek frontu. Tak się bowiem ułożyło, że od czasu natarcia na Stawki plutony i drużyny „Rudego” ufały jego zmysłowi dowódcy bardziej niż kiedykolwiek.

A właśnie teraz „Rudy” wraz z całym batalionem znalazł się w ciężkich opałach. Znaczne siły niemieckie zostały skierowane na ich odcinek frontu, aby wyprzeć stąd powstańców i poszerzyć pas niemiecki oddzielający Stare Miasto od Żoliborza. Kompanie „Zośki” musiały opuścić gruzowiska getta oraz zrezygnować ostatecznie ze Stawek i teraz, wraz z innymi oddziałami powstania, całą moc wytrwałości skupiały na utrzymaniu Bonifratskiej, Sapieżyńskiej, Franciszkańskiej. Znaczyło to, iż z północnych przedpoli Starego Miasta oddziały powstańcze wycofały się na północny skraj Starego Miasta i tu usiłowały pozostać.

Teren szpitala Świętego Jana Bożego, położony między Bonifratską, Sapieżyńską i Konwiktorską, stał się z dnia na dzień czołową redutą powstania, której doniosłość polegała nie tylko na bronieniu dostępu w głąb Starówki, ale także na tym, iż stanowiła ona najdogodniejszy punkt wyjścia do planowanych akcji połączenia Starego Miasta z Żoliborzem.

W starych murach Jana Bożego od dawna był zakład leczniczy dla umysłowo chorych. Pod koniec okupacji Niemcy w kilku jego salach umieścili chorych więźniów z Pawiaka, których w czerwcu wyzwolił jeden z plutonów „Maćka”, jak to opisano w pierwszej części tej opowieści. Od początku powstania zaczęto tu kierować rannych spośród ludności cywilnej, a także powstańców, 11 sierpnia zaś karetki sanitarne „twierdzy” szaleńczo pędząc przez ostrzeliwane getto przywiozły znaczną część pacjentów Broma.

Już następnego dnia szpital Jana Bożego rozpoczął nowy okres swego istnienia. Zwały się nań pociski artylerii i salwowych moździerzy. Mury drżały, sypało się szkło. Na korytarzach rozlegał się tupot uciekających w panice ludzi. Przez wybite szyby wdierał się dym wybuchów i woń trotylu.

Ci, którym udało się zwlec z łóżek, pomagają wstać ciężej rannym i wspierając się usiłują wyjść z sal na bezokienne korytarze.

Pociski rozbiły jeden z pawilonów izolowanych chorych; wśród korytarzy i sal innych gmachów szpitala pojawiają się postacie, które na rannych wywierają przygnębiające wrażenie. Robią miny do rannych, szepczą im coś do uszu. Chichocą. Czasem na widok którejś z szarytek rozbiegają się z piskiem. A jeśli nawet zachowują się normalnie, to i wówczas ranni nie mogą wyzbyć się niepokoju w kontakcie z nimi.

W ciągu następnych dni nie było poprawy. Pociski wciąż raziły gmachy Jana Bożego, drżały mury. Ludzie siedzący pod ścianami na korytarzach kurczą się, ci, co musieli zostać na łóżkach, czują się nieznośnie. Jakiś mężczyzna wpada do jednej z sal i krztusząc się ze śmiechu wymachuje rękoma.

Wśród chłopców „Zośki” zapada decyzja: „wiać stąd”. Kto tylko może, powinien ćwiczyć się w chodzeniu i następnego dnia - do kompanii. Silniejsi obiecują pomóc słabszym, pozostaną tylko ci, którzy nie mogą zupełnie wstać.

I następnego dnia, podtrzymując się wzajemnie, gorączkujący ludzie w bandażach, z szynami na rękach lub nogach, kulejąc, garbiąc się lub trzymając nienaturalnie sztywno wyszli późnym wieczorem na Sapieżyńską.

Jednakże ranni spośród ludności cywilnej zostali. Nie ewakuowano także części rannych powstańców.

Gdy jednego z następnych dni oddziały „Zośki” obsadziły teren szpitala usytuowana pod Stawkami część Muranowskiej znajdowała się jeszcze w rękach polskich i stanowiła niejako tarczę Jana Bożego. Ale w nocy coś tam musiało ulec pogorszeniu, gdyż fala uchodźców ruszyła z Muranowskiej ku Staremu Miastu.

Giewont, stanąwszy w bramie szpitala na Sapieżyńskiej, z troską patrzył na gromady uchodźców sunące po szkle i gruzowisku ulicy w czerwonych odblaskach palących się niedaleko domów. W twarzach mężczyzn i kobiet obarczonych dziećmi, walizami, tobołkami pościeli - widział Giewont udrękę lęku, otępiające zmęczenie, gorączkę pośpiechu, a w ich postaciach i spojrzeniach chwycił coś takiego, co kamieniem zapadało mu w serce. Ale stojący na warcie w bramie Wojtek Synon, obserwując te same grupy uchodźców, dostrzegał

w ich spojrzeniach, ogarniających jego żołnierską postać, jakby apel o pomoc i otuchę. Więc choć był po bardzo ciężkim dniu, odczuł silniej niż kiedykolwiek, że nie wolno mu zawieść zaufania i nadziei bezbronych, którzy widzą w powstańcach mur osłaniający ich od podłego wroga. Wyszunąwszy się nieco z bramy, dawał dzieciom kostki cukru, których zawsze miał

sporo w kieszeniach, zapewniał jakiegoś mężczyznę, że dalej już Niemców nie puszcza, a do młodej, zapłakanej kobiety z dzieckiem na ręku powiedział: - Niech pani się uśmiechnie. -

Kobieta przystanęła na chwilę obok młodego żołnierza i rzeczywiście uśmiechnęła się. Gdy w innej grupie Synon dostrzegł starą kobietę i podszedł, aby poprawić zsuwający się z jej pleców tobołek, kobieta odsunęła go łagodnie i przeżegnała, a Wojtkowi się wydało, że ten znak krzyża objął całe ich stanowisko bojowe. Był wstrząśnięty. Jak nigdy dotąd pojął

własnym sercem sens walki i przelewanej krwi.

Nadeszła zmiana i Synon skierował się do jednej z oficyn szpitala.

Równocześnie wraca także Giewont. Nie rozmawiali ze sobą, pogrążeni we własnych myślach. Dwudziestosiedmioletni Giewont szedł powoli, przygnębiony tym, co widział, oraz poczuciem bezsily i złymi przewidywaniami.

Osiemnastoletni Wojtek Synon również pod wpływem tego, co widział przed chwilą, stawiał

kroki mocno i niósł w duszy poczucie siły i męstwa oraz potrzebę wielkiej ofiarności.

W parę godzin potem Giewont poprowadził natarcie odciążające. Przez Bonifraterską - w ruiny getta - ruszyli tylko żołnierze; sanitariuszkom i łączniczkom rozkazał Giewont pozostać w kościele przyszpitalnym, którego fronton znajdował się przy Bonifraterskiej. Renia usiłowała prosić o zmianę tego rozkazu, ale Giewont krzyknął do niej ostro i pobiegł schylony przez ulicę.

Siedziały więc w pustce kościoła rozświetlonej czerwoną poświatą przenikającą przez otwarte drzwi. Renia płakała z bezsilnej złości w jednej z ławek: taka sposobność, po raz pierwszy miała uczestniczyć w natarciu, a tu bezduszny, nieuzasadniony rozkaz Giewonta wszystko pokreślił. Inny dowódca tego by nie uczynił, ale Giewont w opinii Reni zawsze był

bez polotu. Zaciskał pięści w żalu, zdenerwowaniu, poczuciu krzywdy.

Zazdrościła chłopcom.

Przez otwarte na oścież drzwi widziała grupę Żydów wyzwolonych z Gęsiówki, którzy gorączkowo, w niepokoju, robili obok prowizorycznej barykady przekop przez Bonifraterską.

Wybuchy pocisków i trzask broni maszynowej, początkowo słabe, wzrosły gwałtownie. Obok kopiących przebiegł zgarbiony powstaniec i wpadł do kościoła: - Sanitariuszki, ranni za murem... granatniki.- Maryna natychmiast zorganizowała wypad sanitariuszek, a dostrzegłszy proszący wzrok Reni, zabrała i ją. Przebiegły ulicę i w gruzowiskach getta znalazły wreszcie fatalne miejsce. Natarcie nasze poszło już naprzód, kładły więc rannych na nosze lub dopomagały im iść we względnym spokoju. Parokrotnie powtarzały tę turę. Inne robiły w kościele opatrunki. Chaos wzrastał. Raz po raz przybiegał ktoś lub przywlekał się z terenu walki i pokazywał rany albo przekazywał meldunek. Strasznie wyglądał dowódca plutonu, Gazella, wyprowadzony przez paru żołnierzy: był cały uwalany krwią, którą tamował

naciskając kciukiem rozdartą żyłę szyi. Gdy zdenerwowana Maryna usiłowała nałożyć Gazelli opatrunek, ten zwrócił oczy w kierunku swoich zatroskanych towarzyszy.

- No, dziękuję, chłopcy, nie przejmujcie się i wrywajcie na linię.

Nad ranem bitwa wygasła. Do kościoła zaczęły przybywać grupki ludzi zmęczonych, lecz całych. Jako jeden z ostatnich przyszedł Andrzej Morro z leszczynowym kijkiem w rękę.

Maryna patrząc na pobladłą twarz Andrzeja i jego przekrwione z przemęczenia oczy, pomyślała: stracił brata. Gdy twarde kroki podkutych butów Andrzeja przebrzmiały, powiedziała do Reni:

- Wiesz, dziś rano zginął Bonawentura, jedyny brat Andrzeja Morro.

Na co Renia:

- To musi być okropne, taka strata kogoś, z kim się współhistniało od początku swego życia.

Ale wiesz, Maryno, Andrzej jest mimo to w dobrej sytuacji: walczy czynnie, jest ciągle w pierwszych liniach, nie to, co ja, zawsze w ogonie, zawsze z tyłu. A dziś była taka sposobność.

Maryna spojrzała na Renię uważnie. Renia była mężatką, nie miała dzieci, lecz trudno było uważać ją za naiwną, postrzeloną dziewczynę. W kompanii wiedziano, iż pozbawiona jest uczucia lęku: w najgorszych chwilach jej głos brzmiał normalnie i ruchy miała spokojne. W

dywersji otrzymała Krzyż Walecznych. Dlaczego tak pożądała męskich form walki zbrojnej?

Maryna nie mogła tego zrozumieć, sama nigdy nie pragnęła wziąć do ręki granatu lub pistoletu i sanitariat uważała za wspaniałe pole walki powstańczej.

Gdy Maryna wczesnym rankiem wróciła na Franciszkańską, nie poszła od razu spać, choć waliła się z nóg. Powiedziano jej, iż Jerzy wysyła kanałami łącznika do Śródmieścia i że można mu podrzucać prywatne kartki. Pisząc czuła przy sobie niemal dotykalnie matkę, starała się jednak nie „rozkleić”. Żadnych czułości. Pisała o Starówce, o „Zośce”. Że takich ludzi jak tu nie ma chyba nigdzie, że jest ogromnie wdzięczna Czarnemu Jasiowi za wprowadzenie do „Zośki”. A o sobie - że jest szczęśliwa, gdyż może walczyć w powstaniu bronią, która jest jej powołaniem: medycyną; wprowadzie ma tylko rok konspiracyjnych kompletów medycznych, ale w powstaniu taki ogrom praktyki i taka wielka sposobność być pożyteczną. Prosiła o pozdrowienie Irki i Jasia. Prosiła, aby broń Boże niczego mama jej nie przysyłała, bo ma wszystko, co trzeba. A potem, namyśliwszy się, dopisała: „Myślę takie rzeczy, jakich napisać nie można. Pomówimy kiedyś”.

Powoli składała kartkę. Brwi jej się zbiegły. Napłynęło ogromne zmęczenie. Przemogła się, wstała i poszła z kartką do Jerzego.

W dwa dni potem kościół Jana Bożego na skutek pocisków nieprzyjacielskich zaczął płonąć.

Równocześnie paliło się kilka zabudowań szpitalnych. Saperzy kończyli pogłębianie przekopu przez Bonifraterską, zapoczątkowanego rękoma wyzwolonych Żydów, i w przekopie tym wkrótce pojawiły się oddziały powstańcze ewakuowane z Muranowskiej.

Nawę palącego się kościoła zapełniali zbrojni przybysze zgrupowania „Leśnik”, koło których skupili się gromadą żołnierze „Zośki” ciekawi przybywających.

Naraz szybko wszedł do kościoła Andrzej Morro i poprzez trzask płomieni oraz serię niedalekich wybuchów rozległ się jego głos:

- Halo, „Zośka”, potrzebuję ochotników, zawaliło jeden ze schronów.

Wybiegli. Zanim dopadli dymiącego gruzowiska, Andrzej skierował kilku po łomy i kilofy.

Pracowali w takim pośpiechu, na jaki stać było ich wyczerpane ciała. Z nimi razem jacyś

„cywile”. Usiłowali odrzucić gruzy z tego miejsca, w którym powinno się być wejście do piwnicy.

Andrzej był wysportowany, rosły, silny, dłużej więc od innych nie poddawał się zmęczeniu, choć całe ciało pokryte miał potem i bolały go mięśnie. Gdy nogi zwiotczały tak, iż obawiał

się, że upadnie, przerwał odrzucanie gruzu, i usiadł na zwalisku cegieł. „Ależ mnie powstanie wyssało”. Oddychał głęboko. Przymknął powieki. Nogi wyciągnął przed siebie, plecami oparł

się o gruzowisko. O niczym nie myślał, oddychał równo. Naraz pomiędzy hukiem wybuchających bomb wyczuł raczej, niż usłyszał nikłe uderzenia pod murem, na którym odpoczywał. Otworzył oczy, usiadł prosto.

- Chłopcy, słyszycie?

Wszyscy zaczęli nasłuchiwać. A po chwili z nową energią zabrali się do odrzucania gruzu.

- Andrzej Morro! Czy jest tu Andrzej Morro?

- Jestem.

- Natychmiast do Jerzego. Natarcie od strony getta.

Andrzej wyprostował zgarbione plecy, poprawił bandaż na czole i usiłował przypomnieć sobie, komu dał do potrzymania pistolet maszynowy.

- Prowadź.

Kościół Jana Bożego palił się teraz wielkim ogniem. Był pusty. Idąc tędy Andrzej uczył się nieswojo wśród wielokrotnie mnożonego echa trzaskających stropów i migotu figur świętych, których barokowe kształty były karykaturalnie wypaczone przez cienie. Odruchowo sprawdził, czy hełm dobrze przylega do głowy, i rozpiął panterkę, aby osłabić działanie żaru.

Jerzy stał za załomem drzwi w grupie kilku powstańców. Tu trzask płonących belek był mniej głośny. Huczały natomiast przelatujące górą pociski artyleryjskie, wybuchały gdzieś w pobliżu granaty, trzeszczały ostro karabiny maszynowe. Po krótkiej wymianie zdań Andrzej oddalił się w kierunku stanowisk „Rudego”.

Dowódcy plutonów „Rudego” na skutek alarmu czujek o przygotowywanym przez nieprzyjaciela natarciu wyznaczyli już stanowiska na piętrach gmachu szpitalnego od strony Bonifraterskiej. Andrzejowi pozostało więc tylko sprawdzić i skorygować ich decyzje. Gdy to wykonał, położył się w jednym z pokoiów pierwszego piętra na stosie cegieł i gruzu, rzuciwszy na to górę poduszek z rozbitego tapczanu. Przez szparę między workami piasku spoglądał w stronę gruzowisk getta. Jasność ogni pożarowych była tak intensywna, że mógłby czytać leżący obok tom encyklopedii. Nie czytał jednak, choć podniósł z gruzu pięknie oprawioną książkę i wytarłszy ją skrajem panterki wahał się chwilę, gdzie książkę położyć.

Jakiś silniejszy wybuch przywołał go do rzeczywistości. - Zgłupiałem - mruknął, ciskając tom w gruzowisko przy ścianie. Po paru chwilach schylił się jednak, podniósł znów, wytarł i choć rozumiał, że postępuje jak głupiec, wstawił na wolne miejsce nie rozbitej jeszcze półki z książkami.

Natarcie, które wkrótce nastąpiło, zostało odparte przez „Zośkę” dziwnie gładko i niemal bez strat własnych. Dopuszczono falę nacierających możliwie najbliżej, po czym oświetlono teren jaskrawym

światłem białej rakiety, ujawniającej oczom obrońców wszystko to, czego nie odsłaniały łuny pożarów.

A gdy zabłysła następna biała rakietka, odezwała się wszystka broń, którą miały kompanie

„Zośki”. Szpary okien Jana Bożego tryskały kulami, niektórzy rzucili nawet granaty. I gdy rozświetliła się trzecia rakietka, na pobliskich gruzowiskach getta leżało już tylko kilkadziesiąt trupów i rannych oraz widać było znikające w ucieczce cienie.

Następne natarcie, przeprowadzone na Jana Bożego 20 sierpnia, nie było już tak miękkie. Do walki zostały wprowadzone czołgi, które Niemcy koncentrowali koło wiaduktu żoliborskiego.

Dzień był bezchmurny, słoneczny, przygotowania niemieckie widziano z pięter jak na dłoni.

Zaalarmowane oddziały zajęły swe stanowiska głównie na pierwszym piętrze, a podstawą obrony miało być parę zrzutowych angielskich piatów, granatników przeciwczołgowych.

Powstańcy, przyczajeni za oknami wychodzącymi na ulice Bonifraterską i Konwiktorską, śledzili przygotowania nieprzyjaciela.

Zwłaszcza czołg na Muranowskiej, połączony przewodem z małym Goliatem, oraz trzy czołgi ukryte za krzakami tuż poza ulicą Konwiktorską, a więc w odległości 70-100 metrów od luf ich broni.

Cały teren Jana Bożego był od pewnego czasu pod ostrzałem nieprzyjacielskim. Bezustannie waliły granatniki. Zewnętrzne ściany dymiły od masy bijących w okolice okien kul broni maszynowej.

Gdy koło czołgów zaznaczył się ruch, Andrzej Morro rozkazał podchorążemu obsługującemu piata rozpocząć ogień. Pierwszy strzał był nietrafny, pocisk przeniosło. Drugi strzał - też nietrafny. Trzeci, czwarty - podobnie.

Nerwowy podchorąży obsługujący broń, z którą wiązano tyle nadziei, klął ordynarnie i wycierając co chwila pot z czoła, usiłował zrozumieć przyczynę niecelności. Motory czołgów nieprzyjacielskich zaczęły warczeć.

- Puść mnie na chwilę do piata - rzekł Andrzej. Położył się, wsunął do otworu długi pocisk, nastawił starannie celownik, powoli wycelował i wypalił. Przerzut! Drugi raz - przerzut!

- Chłopcy, liczyć możemy tylko na starą broń. Piat ma defekt, strzelcy wyborowi - zaczynać ogień!

Szybko przechodził od jednego stanowiska do drugiego. W jednej z sal minął grupę umyślowo chorych leżących w milczeniu na stołach i ławkach; koszule mieli rozchełstane, głowy krótko przystrzyżone, spojrzenia jakieś oddalające od świata zewnętrznego. Zdawali się zupełnie nie reagować na to, co się dzieje wokoło, na huki, odłamki, niespokojny ruch zbrojny. W tej właśnie sali zetknął się z Giewontem.

- Piat nawalił.

- Wiem. Tadeusz zaczął wyłuskiwać erkaemem obsługę tych trzech czołgów w krzakach. Ma już paru na rozkładzie. Posłałem po drugiego piata, koniecznie trzeba go na narożnik.

Jeszcze minuta - dwie i zadrzały mury szpitala od strony Konwiktorskiej.

Czołgi ruszyły bijąc ze wszystkich dział. Za trzema pierwszymi pokazały się na wiadukcie dwa następne. Wybuchać zaczęły pociski jakiejś artylerii.

Pękały ściany, wyrwy powstawały w oknach. Pokoje i sale zapełniał pył, wszystko drżało i sypało się. Rozległy się głosy rannych. Przez mgłę kurzu widać było przebiegające sanitariuszki.

Wśród pyłu po ruinach sali i korytarza przechodził Andrzej Morro. Jest całkowicie szary.

Mokłą chusteczką przesłonił usta i nos. Nachylił się nad obsługą erkaemu.

- Żyjecie?

- Tak. Zbyszek lekko ranny w policzek.

- Pokaż swoją twarz, chłopie... No, głupstwo, siedź tu dalej.

Andrzej ostrożnie wygląda przez wyrwę w murze w kierunku Konwiktorskiej i po chwili woła tak głośno, jak tylko w tym kurzu jest możliwe:

- Przygotować granaty i butelki. Tygrysy podchodzą...

Gdy w godzinę potem atak czołgów został odparty i bitwa wygasła, Andrzej przysiadł na resztkach przewróconego łóżka, zdjął hełm i przytknął oczy - lecz natychmiast je otworzył, aby odepchnąć falę napływającego omdlenia.

Czuł się zupełnie wyzbyty sił.

- Andrzej! Andrzej!

Milczał. Nie miał siły odezwać się. Ale łączniczka znalazła go. Była tak samo jak on pokryta powłoką szarego kurzu, a w bezkrwistej twarzy tym jaskrawiej uwydatniały się oczy w gorączce.

- Andrzej, masz natychmiast zgłosić się do Jerzego i razem z nim do Jana.

Coś bardzo ważnego.

Jeszcze chwilę pozostał w bezruchu, a potem wstał niezgrabnie i ruszył przez gruzowisko. W

miarę jak szedł, prostowały się plecy i kroki stawały się bardziej elastyczne. Włożył z powrotem na głowę hełm i spuścił bezpiecznik pistoletu.

Na odprawie u kapitana Jana, dowódcy oddziałów „Brody”, zostali zapoznani z doniosłą decyzją

dowództwa powstania zmierzającą do „odkorkowania” Starego Miasta przez jego połączenie z Żoliborzem. Przewidywano dokonanie przebiccia siedemsetmetrowego pasa nieprzyjacielskiego terenu w rejonie Dworca Gdańskiego przez uderzenie z dwóch stron równocześnie: od Starego Miasta (głównie przez zgrupowanie Radosława) i od strony Żoliborza przez tamtejsze oddziały powstańcze oraz przez znaczną grupę partyzancką z Kampinosu, która właśnie przybyła na Żoliborz pod dowództwem majora Okonia.

Poprzedniej nocy Okoń usiłował dokonać przebiccia własnymi siłami, ale bez skutku.

Jakiegokolwiek ten i ów uczestnik odprawy miał wątpliwości, wiążące się ze stanem uzbrojenia i stanem liczebnym oddziałów powstańczych, to jednak dla wszystkich było jasne, iż tylko powodzenie omawianej akcji otwiera przed ludnością Starego Miasta i jego jednostkami wojskowymi jakąś perspektywę ratunku. Od dawna więc żadna akcja nie skupiła na sobie takiej uwagi jak ta. Jeśli uda się zaskoczenie nieprzyjaciela i dobrze zagra koordynacja, istnieją szanse powodzenia.

Gdy ostrożnie dozowane wiadomości o przygotowywaniu wielkiej akcji dotarły do kompanii i plutonów, ogarnęło ludzi, mimo wielkiego wyczerpania, optymistyczne podniecenie.

Nareszcie! Nareszcie wyjdą z przekłętego impasu, który kamieniem leżał na duszach.

Wszyscy lżej ranni napraszali się do udziału w przygotowywanym natarciu, ludzie ze służb chcieli także iść do walki.

Teren szpitala Jana Bożego stanowił punkt wyjścia dla ataku kompanii Giewonta i „Maćka”,

„Rudy” natomiast miał ubezpieczać natarcie całą swą bronią maszynową. Porucznik Motyl („Czata” 49) uderzał równocześnie od strony zakładów „Fiata”.

Jest noc z 21 na 22 sierpnia.

Oddziały już od paru godzin znajdują się na stanowiskach, gotowe do ruszenia. Kapitan Jan stoi przy bramie szpitala wychodzącej na Konwiktorską. Koło niego kilku dowódców

„Zośki”. W stronie Żoliborza wybucha gwałtowny ogień, ale nie ma zapowiadanego sygnału -

trzech czerwonych rakiet. Czekają więc. Mijają dziesiątki minut i strzały broni maszynowej na Żoliborzu potężnieją, ale rakiet nie ma. Kapitan Jan pali papierosa po papierosie i co chwila spogląda na fosforyzowane wskazówki zegarka. Mija jeszcze godzina. Kapitan wysyła gońców i gońcy wracają.

Rakiet wciąż nie ma. Wybuchy i strzały na Żoliborzu tracą na intensywności.

Niebo na wschodzie jest coraz jaśniejsze. Giewont, który nie pali, spostrzega w pewnej chwili, że trzyma w ustach nie zapalonego papierosa i ssie go bezmyślnie. Wypluwa papierosa, lecz po chwili bierze od kapitana następnego i miażdży w palcach pasemka tytoniu.

Strzelanina na Żoliborzu jakby ustaje i wówczas właśnie przybiega łączniczka: zaczynać!



Giewont mówi kilka słów, lecz nie poznaje własnego głosu.

- Panie kapitanie, nie wykonujemy tego rozkazu.

Jan patrzy chmurnie na Giewonta.

- Taki rozkaz otrzymało w tej chwili kilka jednostek podobnych do naszej.

Zaczynamy!

- Panie kapitanie - podnosi głos Giewont.

- Ruszaj pan! Nie czas na rozmowy!

Kompania Giewonta oraz przydzielona do niej drużyna „Maćka” opuszcza zabudowania szpitala i skokami dostaje się na drugą stronę Konwiktorskiej, a potem - przez dziury w ogrodzeniu - na boisko „Polonii”. Biegną bez pośpiechu, tyralierą do betonowego muru w stronie fortu i torów kolejowych.

Biegną bez strzału, dopiero w dziurach muru oddzielającego boisko od terenów przykolejowych mają zając stanowiska ogniowe. Robiło się widno.

Tym razem na mocy rozkazu wyższej jednostki w natarciu uczestniczą także łączniczki. Renia z pistoletem w ręku biegnie przez boisko koło swego dowódcy plutonu, zarumieniona, bojowa, sprężysta, ufna. Pada wraz z dowódcą i zrywa się razem z nim, jest to zresztą trzeci dowódca plutonu w ciągu dwóch ostatnich dni. Nie koszona od dawna trawa sięga do kolan, przeszkadza w biegu.

Gdy już prawie dobiegali muru, panującą ciszę przerwał ostry, gwałtowny szczekot broni maszynowej, którego gęstość była przerażająca. Jednocześnie Renia ujrzała serię pocisków świetlnych, przesuwających się wachlarzowato po lewym skrzydle nacierających. Kolorowe paciorki kul leciały kilkoma falami, krzyżowały się, rozchodziły. Padli na trawę i serca tłukły im się w trwodze: stało się najgorsze, Niemcy ich zaskoczyli.

- Pod mur, pod mur! - krzyczy Giewont.

Zrywają się, biegną, ale gdy dopadli muru, błyskać zaczęły wybuchające pociski granatników.

Jeszcze chwila i nieprzyjaciel reguluje granatniki tak, iż ich pociski padają stromo tuż za murem, tam gdzie leży tyraliera powstańców. Rozlegają się krzyki rannych.

Zajmowanie stanowisk ogniowych w dziurach muru straciło sens. Zawisła nad nimi zagłada.

Ludzi w tyralierze ogarnia lęk i opanowuje pragnienie ucieczki. Nawet Renia to wyczuwa.

- Cofać się... Rozkaz Giewonta... Cofać się... Podaj dalej.

Zrywają się pojedynczo ku tyłowi. Uciekają skokami, w oszołomieniu, bez jednego wystrzału do wroga, którego nie widzieli nawet. Nie myślą o niczym innym, tylko o wydostaniu się z matni.

Gdy Renia zamierzała zerwać się ku tyłowi, dostrzegła, że Grom został ciężko ranny. Zbliżyła się do niego szybko.

- Jak ci mogę pomóc, Grom?

Grom jest bardzo blady. Dolną część panterki ma we krwi.

- O, dziękuję ci... Oprzyj mnie plecami o mur... Bardzo dziękuję, doskonale... Weź mój pistolet maszynowy, ale rewolwer zostaw. Spróbuję walczyć, gdy przyjdą.

Renia pojęła, iż Gromowi ani ona, ani chłopcy pomóc w obecnych warunkach nie mogą. Więc tylko uklękła koło niego na chwilę, wzięła pistolet maszynowy i naboje, uściśniła w pośpiechu rękę i pobiegła ku tyłowi. Była ostatnią z cofających się.

Podczas przebywania zapory ogniowej ludzie Giewonta dostali się w taki odmęt błysków, huków, świstu odłamków, wyprysków ziemi, że padli sparaliżowani strachem i nie ruszali się.

- Naprzód, bo wytłuką nas wszystkich - krzyczy Edek.

Renia uczuła ciekącą krew na policzku oraz otrzymała silne uderzenie w udo. Zerwała się i pierwsza pędem ruszyła naprzód. Za nią któryś z żołnierzy. Wybiegli z ognia granatników i pochyleni wpadli w ogień karabinów maszynowych. Przed nimi, za nimi, wszędzie w powietrzu krzyżowały się gęsto świetlne pociski. Teraz - koniec - przemknęło przez myśl Reni, ale biegła dalej w świetle kul tak szybko, jak tylko mogła. Całe lewe przedramię miała we krwi - łokieć? Lewa noga przeszkadzała nieznośnie.

Renia biegnie coraz wolniej, lecz nie zatrzymuje się; wie, że jeśli przerwie bieg, nie wstanie.

Konwiktorska. Ostatni wysiłek, skok przez jezdnię pod kulami, i Renia czując, że chwytają ją ręce sanitariuszki - słabnie.

Pojedynczo, po kilku wracali z boiska ludzie kompanii Giewonta. Tylko trzech lub czterech bez szwanku.

A los licznych zabitych lub rannych, którzy pozostali na boisku, dopełnił się w kilkadziesiąt minut potem na oczach niektórych spośród ich ocalonych towarzyszy. Na boisko wtoczył się czołg i posuwając się powoli tu i tam, miażdżył gąsienicami leżące na ziemi ciała.

Wkrótce potem, jak kompania Giewonta ruszyła do natarcia od strony ulicy Konwiktorskiej, z innego punktu Jana Bożego, mianowicie z dymiących ruin kościoła, ruszyła do tegoż natarcia kompania „Maciek” pod dowództwem Kmity.

Kompania ta została wzmocniona oddziałem Armii Ludowej - „Czwartaków” liczącym około dwudziestu ludzi pod dowództwem kapitana Hiszpana. Wspólna akcja z AL zelektryzowała chłopców „Maćka”. Z całego okresu wojennego nagromadziło się tyle uprzedzeń i nieufności do PPR i AL, że część nawet teraz patrzyła na tamtych ludzi nieżyczliwie. Ale równocześnie alowcy byli przecież towarzyszami wspólnej walki i w powstaniu przelewali krew wspólnie z żołnierzami AK.

Wspólna walka ostatnich tygodni zaczynała zamazywać różnice, tuszować uprzedzenia, łagodzić nieufność, więc gdy teraz oddział AL stał obok nich wśród zgłiszcz kościoła w oczekiwaniu na rozkaz natarcia, spoglądali na alowców już tylko z żołnierskim zainteresowaniem: dziwili się, że niektórzy z nich uzbrojeni są tylko w granaty lub butelki zapalające, a ci, co mają broń długą i erkaemy, słabo stoją z amunicją.

Byli umundurowani w zdobyczne niemieckie mundury. Od chłopców „Zośki” różnili się literami na swych powstańczych opaskach: AL. Zauważono także, iż nowi towarzysze to mężczyźni starsi od nich, a ich dowódca, kapitan Hiszpan, wzbudzał zaufanie swą postawą, mundurem, przewieszonym przez ramię kocem, visem. Jest to krępy, chyba czterdziestoletni mężczyzna z sumiastymi włosami.

- Jakże wy tak z tą bronią - zafrasował się któryś z „Maćka”.

- Pomalutku zdobywamy, ale zdobywamy - uśmiechnął się Hiszpan. Po czym alowcy zaczęli się „rozkrochmalać” i wypytywać o warunki walki na odsłoniętych terenach getta, gdyż sami dotychczas walczyli tylko wśród kamienic rejonu ulicy Mostowej.

Ewa wraz z innymi dziewczętami „Maćka” iść miała dziś w natarciu.

Wyciągnęła Wojtka Synona z nawy kościelnej na korytarz. - Chodź tu, tam przecież posadzka tak parzy, że trudno wystać. - Rozmawiają chwilę w cieniu filara, przytuleni do siebie.

Wpada łącznik. Nareszcie! Jeszcze pół godziny, a zrobiłby się pełny dzień.

Drużyny przechodzą rowem łącznikowym na drugą stronę Bonifraterskiej i patrol rozpoznawczy z miejsca nadziewa się na nieprzyjacielski karabin maszynowy. Dowódca patrolu - Stefan Czarny - pada, ale wysunięta placówka niemiecka wycofuje się po krótkiej wymianie ognia. Za murem getta rozwijają się do natarcia. Erkaem alowców ubezpiecza posuwanie się pierwszego rzutu tyraliera, jednakże przepędzona placówka już zrobiła swoje; broń niemiecka zaczyna bić w rów łącznikowy i jego wylot na getto oraz w drzwi kościoła.

Gdy tyraliera powstańców rusza, milknie polski erkaem. Brak amunicji.

Na czele natarcia - tyraliera „Maćka”, na lewym skrzydle - „Czwartacy”.

Obie grupy posuwają się skokami naprzód w kierunku torów kolejowych, po tym samym terenie, w którym ostatnie swe natarcie prowadził Piotr.

Wybuchy coraz gęstsze, gwizdy kul chaotyczne.

Wojtek Synon podbiega do Ewy i krzyczy: - Nie wysuwaj się, zostań w tyle, będę ci przysyłać rannych. - Ale Ewa widzi, jak bojowo zachowują się obydwie łączniczki alowców, biegnące odkrytym terenem równolegle ze swym dowódcą, zdenerwowana więc odkrzykuje: -

Zostaw mnie, zostaw - i biegnie dalej.

Z impetem wpadają na sto metrów gładkiej, otwartej przestrzeni, a potem - w dwa samotne budynki

pierwszej linii niemieckiego oporu. Zabijają uciekających i chwilę odpoczywają pod osłoną zdobytych domów. W odległości dalszych stu metrów znajduje się niewielkie wzgórze gruzowiska, za którym siedzi nieprzyjaciel, idzie stamtąd silny ogień broni maszynowej.

Naprzód! Kmita przyłącza się do plutonu Skalskiego. Jakaś samotnie stercząca ruina, jakiś bunkier. Naprzód! Gdzieś na prawo biegną chłopcy z plutonu Misia-Zdzisia. Wagoniki. Krzyk rannego Virtusa. Naprzód!

Synon pędzi poprzez gwizd kul i wybuchy jak szaleniec. Dobiegłszy wzgórza rzuca granat w miejsce, gdzie migocą ogniki jakiejś lufy. Pada. Ze zdumieniem i lękiem widzi, iż jest sam.

Koledzy zostali w tyle. W jaskrawym świetle rakiet zalewającym pole bitwy dostrzega w tyle na lewo, jak alowcy zaległszy w gruzach biją po nieprzyjacielskich cekaemach.

Zaczyna wycofywać się ostrożnie. Rozlegają się skrzypiące zgrzyty „szaf”, pękają pociski napastników, odzywają się działa pociągu pancernego. Jeszcze kilka chwil - i słupy kurzu, dymu, przysłaniają widok, a powietrze drży od wybuchów. Gdy Synon dołączył do swoich, musiał natychmiast pomóc sanitariuszce odciągnąć ciężko rannego do pobliskiego dołu.

Gdzie Ewa? Niespokojny wypełza z dołu i przez wybuchy, dymy, błyski, kurz wypatruje jej na obszarze gruzów. Jest! Wysunęła się spoza wagoników i biegnie lekko pochylona, bez czapeczki, z rozwianymi włosami. Wybuch poza plecami Synona wywołał odruch odwrócenia głowy, a gdy znów zwrócił oczy ku Ewie, nie ma jej. Wychyla się bardziej i czuje, jak cały drętwieje. Ewa leży na ziemi.

W tejże chwili słyszy głos Tadka:

- Wojtek, obejmiesz dowództwo drużyny. Cofamy się.

- Tadek... ja...

Tadek nie zwraca już uwagi na Synona. Odbiera meldunek od zdyszanej Anny i zerwawszy się, krzyczy: - „Maciek” - cofać się! Cofać się!

Kule gwizdzą dookoła Synona, wzbijają wulkaniki kurzu. - Pojedynczo - cofaj się! - woła Synon. A gdy ostatnich dwóch oddaliło się ku tyłowi i został sam, przywołuje całą swą odwagę, aby ruszyć do Ewy. Ewa leży na stoku, usiłowała wyciągnąć stamtąd rannego Sępa, teraz ranny już się nie rusza. Cały stok zasypywany jest pociskami. Synon przełamuje lęk, unosi się nieco, ale gdy chce się zerwać, czuje uderzenie w nogę i widzi, że przez rozdartą pociskiem cholewę buta cieknie krew. Przywiera do ziemi, serce wali, jakby było pod samym gardłem. Stłumiwszy panikę Synon próbuje ruszyć nogą-boli, lecz zdaje się kość cała.

Oddycha szybko, a w głowie trzepocze jedna tylko myśl: muszę... muszę... muszę... Podnosi się ostrożnie i idzie przygarbiony, kulejący ku Ewie wśród pocisków, huków, kurzu, dymu, zostawiając za sobą niewielki, czerwony ślad. Doszedł, położył się przy niej i rękoma pocał

dotykać jej twarzy. Nie żyła. Włosy miała rozrzucone, głowa leżała na wysuniętym w przód ramieniu,

oczy były otwarte i wydawało się Wojtkowi, że usta jej uśmiechały się. Leżał parę minut bez ruchu, potem usiłował ciągnąć Ewę. Nie powiodło się. Więc wstał i powoli, kuśtykając, powłókł się ku tyłowi.

Jak długo szedł wśród pocisków i wybuchów, pokładając się czasami, nie zdawał sobie sprawy. Na pół przytomny rozpoznawał zabitych: Bolek, Sygnet, Cyklop, Kadawer... Potem ktoś go wziął pod ramię i pomagał iść, padać, powstawać. Przy wyjściu w murze getta dojrzał

grupę alowców i usłyszał głos Kmity: - Nie skupiać się, nie skupiać się! - Kmity miał rękę całą we krwi.

Gdy Synon dostał legowisko w jednym z pomieszczeń Jana Bożego, w których gromadzono rannych, popadł w półomdlenie.

„Rudy” podczas nieudanego wysiłku odkorkowania Starego Miasta poniósł straty niewielkie, gdyż rola jego polegała tylko na wspieraniu ogniem atakujących oddziałów. Ale ponieważ była to najliczniejsza i najmocniejsza kompania „Zośki”, bieg rzeczy sprawił, że na nią głównie zwały się konsekwencje bitwy „odkorkowującej”.

Dowództwo nieprzyjacielskie, pragnąc wykorzystać własny sukces i klęskę strony polskiej, zmontowało następnego dnia bardzo silne natarcie, mające na celu odepchnięcie powstańców dalej od Dworca Gdańskiego przez opanowanie północnej części Starego Miasta. Teren szpitala Jana Bożego stanowił obecnie czoło polskich reduct na tym kierunku, w niego więc uderzyło to natarcie.

Jest wczesne popołudnie 23 sierpnia. Panuje względny spokój. Andrzej Morro, który na czele

„Rudego” zajmuje od kilkadziesiątu godzin najbardziej wysunięty narożnik zabudowań szpitalnych u zbiegu Bonifraterskiej i Konwiktorskiej, postanawia wykorzystać brak poważniejszego ostrzału i zdobywszy miednicę oraz - cudem niemal - trochę wody, zaczyna pracować swą koszulę. W tych rzadkich minutach samotności przez głowę przesuwają mu się dziesiątki obrazów, nad którymi zapanowuje wreszcie twarz Jaśka-Bonawentury. Tym razem twarz brata jest zaczepna: „Znów wzięłeś moją koszulę!” Andrzej uśmiecha się i w myśli odpowiada zaperzonej twarzy brata: „A kto nosi moje nowe skarpetki w paski?” Bonawentura wydaje się speszony, lecz tylko na chwilę, gdyż twarz jego znów staje się zaczepna:

„Skarpetki, głupie skarpetki, jest się o co upominać! A ta koszula to moja najlepsza koszula, patrz, jak mama zreperowała kołnierzyk!”

Andrzej, uśmiechając się smętnie do wspomnień, tarł w wodzie namydlony kołnierz, gdy na teren szpitala zwały się nagle wielorakie pociski artylerii niemieckiej i w ciągu kilku sekund budynki, podwórza, ogródki zostały ogarnięte hukami, ogniem, kurzem, pryskającymi murami.

Szybko wycisnął wodę z koszuli i zawahał się, co z nią zrobić. Wnet jednak, choć rozumiał

nierozsądek tego, co czyni, szybko wciągać począł na siebie mokrą, nie dopraną sztukę.

Zapinając pas pobiegł przez gruz rozwalonego muru ku stanowiskom swoich plutonów.

Powstańcy pośpiesznie kończyli jeść zupę, Andrzej uśmiechnął się, rozumiał dobrze ten pośpiech: chcieli zjeść zupę, zanim zaproszy ją pył tynku rozbijanych ścian.

- Chłopcy, do schronów!

Sprawdziwszy kilka czujek, Andrzej zatrzymał się w schronie „Alka”. Seria „szaf” rozwaliła pobliską oficynę i kurz dostawał się nawet tutaj. Chwytał uchem wybuchy wielkich pocisków z działa kolejowego, rozróżniał ogień moździerzy. Po pewnym czasie artyleria ucichła, ale wnet rozległo się wycie pikujących „stukasów” i drzeć poczał od wybuchów budynek, nawet ziemia.

Siedzieli pod ścianami piwnicznego schronu oparci o lufy pistoletów maszynowych, wymizierowani, wymęczeni; od kilku dni byli nieprzerwanie na linii, większość z nich miała rany.

Naraz - potworny wprost wstrząs i huk. Dławiący kurz i pył zapełnia piwnicę. Na głowy sypie się gruz.

- Wychodzić na dwór - woła Andrzej, przymknąwszy oczy i zakrywając usta i nos chusteczką.

Wydobyli się przez na pół zasypane wyjście. Dwupiętrowy dom, w którego piwnicach siedzieli, zamieniony został w olbrzymie gruzowisko. Przy gruzach tych, obok wyjścia piwnicznego, stoi kapitan Jan i usiłuje się uśmiechnąć spoza mokrej chusteczki, którą osłania dolną część twarzy.

- „Stukasy”! Jesteście szczęściarze, przenoszę się do was.

Schodzą do piwnicy przy Bonifraterskiej. Ale po pewnym czasie wpada tu wystraszony obserwator.

- Goliat idzie!

Andrzej, jak sprężyną wyrzucony, biegnie ku wyjściu, krzycząc do Jana:

- Panie kapitanie, lecę do „Sadu”. Jędreku, dopilnuj, by nikt nie został w piwnicy.

Kapitan Jan opuścił piwnicę ostatni. Na dziedzińcu usłyszał warkot motoru dochodzący z ulicy, więc biegiem ruszył ku drugiej części podwórka. Warkot ustał. Kilka chwil ciszy. A potem nad frontowym gmachem przy Bonifraterskiej wzniósł się słup ognia i potężna eksplozja wstrząsnęła szerokim kręgiem ziemię, budynki, drzewa. Gmach frontowy walił się w gruzy aż do piwnic. A gdy gęsta zasłona kurzu poczęła się przerzedzać, chłopcy „Alka” ukryci za murem ogrodzenia widzą, jak na gruzy świeżo zwałonego gmachu wspina się obserwator z „Sadu” i wyszukuje miejsce dla nowego stanowiska czujki.

Kapitan Jan, wzięwszy ze sobą Borutę, obchodzi stanowiska. Jest dowódcą reduty, jaką stał

się Jan Boży, odpowiedzialnym za jej obronę. Kiedy idzie spokojnym krokiem po terenie nieustannego zniszczenia, bez broni, bez hełmu, w letniej koszulce z krótkimi rękawkami do łokci, powstańcy nie mogą oderwać odeń oczu. Poprzez pył wapienny, osiadły na głowie kapitana,

dostrzegają połyskującą w słońcu rudość włosów.

O godzinie szesnastej ogień artylerii nieprzyjacielskiej milknie całkowicie. Z budynku dowództwa wychodzi Andrzej Morro i szybko kieruje się do kapitana.

- Natarcie, panie kapitanie, prawda?

- Chyba tak. Niech pan wobec tego czyni swą powinność - mówi Jan.

Andrzej rusza ku „Felkom”: - Wychodzić! Na stanowiska! - Potem to samo w „Sadzie”. U

„Alków” pozostał. Jest tu także kapitan Jan.

Mijają minuty.

Z lewego skrzydła długa seria erkaemu. I jeszcze, i jeszcze... w gruzach kościoła pojawiają się pojedynczy Niemcy. Biegną w kierunku podwórza szpitalnego.

Alarm!

Trzask kilkunastu karabinów i pistoletów maszynowych, krzyki rozkazów.

Drużyny „Alka” wbiegają do kotłowni, która jest już w zasięgu nie tylko broni maszynowej, lecz i granatów ręcznych nieprzyjaciela. Kotłownia stanowi naturalną przeszkodę na głównej osi natarcia niemieckiego.

Gdy Boruta wbiegł między dwa wielkie kotły do wzywającego go kapitana, spostrzegł

dymiące jajko, toczące się po betonie posadzki. Kapitan coś mówi do niego, ale Boruta krzyczy wystraszony:

- Panie kapitanie, granat!...

Obydwaj odskoczyli na bok, lecz odłamki wybuchłego granatu dosięgły Borutę. Robi mu się ciepło, w uszach - szum, głowa ciąży ku dołowi. Po spodniach płynie dużym strumieniem krew.

- Prędko na punkt opatrunkowy - mówi do Boruty kapitan.

Boruta wychodzi, a gdy mija erkaem swojej drużyny, który milczy z braku widoczności, woła do Skąły: - Przenieś się za mur kotłowni, o tutaj, widzisz? - Po czym skok z tą przeklętą nogą przez otwartą przestrzeń między kotłownią a budynkiem dowództwa, pokrywaną ogniem erkaemów niemieckich i powstańców.

W kwaterze dowództwa pokrytej gruzem i szkłem - nerwowy ruch. Jęczą ranni, sanitariuszki robią opatrunki, krzyczą wbiegający łącznicy. A nad wszystkimi - głos Andrzeja Morro:

- Spokój, chłopcy, spokój! Bez hysterii... Ty tam, odsuń się, bo przeszkadzasz w strzelaniu.

Maryna z „Alka” podbiega do Boruty i w kilka minut opatrunek jest założony. Ktoś podaje mu łyk czerwonego wina. Wypija szybko, bierze do ręki pistolet maszynowy i kieruje się ku wyjściu.

Znów głos Andrzeja Morro:

- Boruta, nie wychodź. Dałem rozkaz wycofania się z kotłowni. Stań przy oknie i strzelaj, jeśli możesz.

Boruta wysuwa lufę przez rozbite okno i widzi wycofujących się z kotłowni chłopców swojej drużyny, a wkrótce za nimi wybiegających Niemców. Naciska spust pistoletu. Niemcy zniknęli. Naprzeciw okna - pochylony nad erkaemem trup Mietka. Z lewej strony przy kościele leży we krwi Zbyszek. Obok niego - Kazik z przestrzeloną piersią. Któryś wycofując się zabiera po drodze erkaem Mietka, lecz pada ranny; po chwili wstaje jednak i dobiega do budynku. Za nim Drucik, który obejmuje zakrwawioną głowę i krzyczy coś przerażonym głosem. Jeszcze dalej Ursus z przestrzeloną ręką.

Niemcy zajęli kotłownię i ponawiają natarcie. Co chwila pękają granaty.

Ze wszystkich okien strzelają chłopcy „Rudego”. Kilku odważnych Niemców dobiega do budynku dowództwa, wszyscy giną. Znów nowa grupa biegnących Niemców.

Kapitan Jan i Mały Jędrak ulokowali się w jakimś zwalisku murów nieco w bok od kotłowni i strzelają do atakujących. Morro krzyczy:

- Panie kapitanie, proszę cofnąć się, przeszkadza nam pan w strzelaniu.

Kapitan nie reaguje. Morro powtarza wezwanie, ale spostrzega, iż kapitan i Jędrak nie mogą się wycofać, są odcięci ogniem nieprzyjacielskim. Niemcy zbliżają się do budynku dowództwa na odległość dziesięciu metrów. Rzucają granaty ręczne w okna. Boruta czuje, że jeszcze chwila i straci panowanie nad sobą, nerwy ma napięte do ostateczności. Strzela bez przerwy, strzelają też inni. Niemców znów nie ma.

Minęła godzina. Słońce zbliża się ku zachodowi. Strzelanina i wybuchy nie ustają. Ale w kotłowni nie ma już Niemców, utrzymują się natomiast w ruinach kościoła. Zdążyli się tam umocnić. Dolatujące stamtąd krzyki i nawoływania wskazują, iż wnet rozpocznie się trzecie natarcie. Istotnie, potok ognia broni maszynowej bije znów na podwórze szpitalne, w okna, w drzwi. Krzycząc wybiegają z gruzów kościoła tyraliery niemieckie. Ale okna stanowisk powstańczych, choć zasypywane kulami cekaemów nieprzyjacielskich, żyją i rażą nacierających. Jednak fala natarcia dobiega budynków, ten i ów Niemiec próbuje rzucić granat w okno. Mały Jędrak pada zabity. Powstańcy przestają rozeznawać się w sytuacji, dym, krzyki, strzały, krew i łomot własnych serc oślepia ich i ogłusza. Po pewnym czasie pojmują jednak, że i to natarcie odparli.

W nocy kapitan Jan podjął jedną próbę wyparcia nieprzyjaciela z ruin głównego gmachu szpitala przy ulicy Bonifratskiej. Oddziały „Zośki” miały uderzyć od strony podwórzy, a wezwana do pomocy druga kompania „Parasola” powinna była obejść boczne skrzydło pod murami ulicy Konwiktorskiej i wyskoczywszy stamtąd na Bonifratską, natrzeć na tyły Niemców.



Kiedy ledwie żywe plutony „Zośki” powłokły się w ciemności nocy z podstawy wyjściowej do natarcia, „parasolarze” poczęli szybko jeden za drugim lukać w bramie wybiegać na Konwiktorską i pod murami, pod murami - w stronę Bonifraterskiej. W połowie drogi wpadli w morderczy ogień z barykady z parku Traugutta, którą Niemcy, jak się okazało, zbudowali na początku tej nocy.

- Do tyłu, do tyłu! - wrzasnął Wacek.

Niestety, pluton Górala nie miał już odwrotu. Potok pocisków cekaemu odciął drogę. Zapadli w jakieś załomy, doły i trwali w tym martwym dla ognia nieprzyjacielskiej broni maszynowej polu. Próbowali dostać się przez dziurę do wnętrza budynku, przy którym się schronili, lecz usłyszeli tam głosy niemieckie. W migotliwych blaskach pożarów przywarci do ziemi chłopcy z lękiem wpatrywali się w twarz Górala z jego złamanym nosem, usiłując odczytać w niej zapowiedź swego losu.

Nie zginęli. Uratowała ich szybka orientacja dowodzącego kompanią Wacka oraz męstwo plutonu z Legionowa, który wszedł do „Parasola” na krótko przed powstaniem i teraz, pod dowództwem Żarskiego, zaatakował od wewnątrz budynek, pod którym schronili się chłopcy Górala. „Parasolarze” legionowscy nacierali ostro przez korytarze i wielkie pokoje, świadomi, iż w ich rękach jest życie całego bratniego plutonu, na który lada moment mógł przecież spaść ogień napastników. Powiodło się! Dostrzegli wreszcie przez okno zdobytej sali błyski nieprzyjacielskiego cekaemu z barykady. Przygwoździli go ogniem swej broni i pluton Górala, biegnąc chyłkiem ku tyłowi, wpadł wreszcie do zbawczej bramy.

Teraz już Wacek rzucił wszystkie plutony do szturmowania wnętrza oficyny szpitalnej przy Konwiktorskiej. Skoro nie można jej obejść, trzeba spróbować zdobyć pokój po pokoju, salę po sali. W huku granatów, w ciemnościach i wśród sypiącego się z sufitu i ścian tynku posuwali się niemal na oślep do przodu, powstrzymywani lub odrzucani przez cofającego się lub przeciwnacierającego nieprzyjaciela. Opanowali już trzy czwarte gmachu i - ledwo żywi -

usiłowali posuwać się dalej, gdy odszukała Wacka łączniczka Andrzeja Morro.

- Panie poruczniku, „Zośka” przestał posuwać się naprzód.

Niepodobieństwo. Niemcy rozpoczęli ciężkie natarcie.

W dzienniku bojowym „Brody” zwięźli meldunek o tej bitwie kończą dwa następujące zdania: „Natarcie było odpierane przez całą noc. Żołnierze nasi już 80 godzin trwają na stanowiskach”.

W owych godzinach, gdy frontowe budynki Jana Bożego zamieniały się w olbrzymie gruzowiska, na których „Zośka” obok innych oddziałów „Brody” wiodł śmiertelną walkę, do głębiej i bezpieczniej położonych oficyn dostarczano nieprzerwanie rannych. Obszerne pomieszczenia piwniczne były przepełnione, tu leżała głównie ludność cywilna, znoszona do Jana Bożego od pierwszych dni powstania, oraz ci ciężko ranni żołnierze, których nie udało się rozlokować po innych szpitalach, gdy przed tygodniem przeprowadzono częściową ewakuację. Powstańców rannych w ostatnich walkach lokowano już w pomieszczeniach parteru i nawet pierwszego piętra.

Wojtek Synon został umieszczony w którymś pokoju parterowym. Ucieszył się, że nie będzie przebywał w ogromnym natłoczeniu cywilów i w tamtym zaduchu, ale ucieszył się jakoś blado, słabo. Powstanie straciło nagle w jego odczuciach patos, a walka i przygoda - mamiący blask. Nastrój innych rannych nie dodawał otuchy. Wprawdzie było kilku takich, którzy w podnieceniu wchłaniali odgłosy toczącej się walki i rwali się do swoich oddziałów, ale Synon poddał się nastrojowi przygnębienia, które malowało się na wielu twarzach; ludzie ci pogrążeni byli w milczeniu.

Synon nie miał duszy skomplikowanej. Ufał i wierzył, kochał dzielność wojskową i działanie, nienawidził wroga i był wiernym kolegą, egzaltował się sprawami narodowymi, ale na sprawy te reagował raczej odruchami niż rozważą. W „Maćku” nie pełnił funkcji dowódczych, choć miał za sobą „Agrikolę” i niekiedy prowadził patrole. A w powstaniu... w powstaniu...

Odwrócił się do ściany, bo czuł, iż oczy napęniają mu się łzami. Ta płaczliwość drażniła go, ale zarazem przejmowała lękiem - cóż to się z nim dzieje? Ewa...

Gdzieś w pobliżu eksplodowała seria wielkich pocisków. Z sufitu prószył tynk. Synon przykrył twarz rękami.

Ewa... Jak to się właściwie zaczęło? Tak... Trzeciego dnia powstania, gdy ich sekcję posłano dla rozpoznania na cmentarz powązkowski. Była księżycowa noc, ale mżył deszcz. Na Niemców natknęli się nieoczekiwanie. Gwałtowna strzelanina... Bliźniak wyskoczył jakoś z boku, myśleli, że to Niemiec...

Synon też strzelał... Jeszcze dziś, gdy przypomina sobie zakrwawioną głowę Bliźniaka, robi mu się niedobrze. A wówczas... Bliźniak był jego przyjacielem i przy tym - pierwszym zabitym, którego widział z bliska, jego rany, krew, bóle, bo przecież konał długie minuty obok Synona, wyniesiony poza mur Powązek... Boże, Boże... I oto gdy rozdygotany dowlóknął się z patrolem do „twierdzy” i dostał tu straszliwego bólu głowy, sanitariuszka podająca lekarstwo, widząc jego oczy i drżące ręce, wzięła te ręce w swoje dłonie i pottrzymała chwilę. Ewa...

„Proszę jeszcze pottrzymaść moje ręce” - prosił sanitariuszkę i czuł, jak napływa doń uspokojenie.

A w parę dni potem zetknęli się na wysuniętym posterunku - Ewa, Tadzio i on. Siedzieli razem w grobowcu na cmentarzu żydowskim z bronią pod ręką i gawędzili o ludziach i świecie. Rozmawiali cichym szeptem - stanowiska niemieckie były bowiem odległe może o pięćdziesiąt metrów. Dokładnie pamięta temat rozmowy: zastanawiali się, w związku z którąś gawędą Piotra, czy byłoby to możliwe, aby ich pluton wybrał jakiś powiat w Prusach Wschodnich, które przecież zostaną przyłączone do Polski, i - po wojnie, po skończonych studiach - aby wszyscy zaczęli osiedlać się w tym powiecie jako technicy i nauczycielki, agronomowie i lekarki. Ewa siedziała wówczas obok niego, czuł zapach jej włosów i z niezręcznie okazywanym zainteresowaniem wysłuchiwał jej planów życiowych.

Ach, a gratulacje Ewy! Jakże wówczas był dumny, jakże dokonane zwycięstwo urosło w jego własnych oczach. Było to na cmentarzu ewangelickim. W natarciu. Spozstrzegł

nieprzyjacielski erkaem za drzewem. Jeszcze teraz, wspominając tamtą scenę, czuje drżenie

„rozpylacza” w rękach po naciśnięciu spustu. Gdy wyszarpywał erkaem z rąk Niemca, tamten drgał w agonii i twarz miał wykrzywioną... To było okropne. Ale zdobył erkaem i dwa karabiny!

Zdobyl je w walce, po żołniersku, własnoręcznie! Koszmar twarzy zabitego przezeń człowieka przesłoniła uśmiechnięta twarz Blondyna, któremu Synon wręczał zdobycz. Gdy opowiadał Blondynowi szczegóły zwycięstwa, Ewa opatrując któregoś z rannych, przerwała na chwilę bandażowanie i zasłuchana patrzyła nań tak, jakby chciała powiedzieć: „dumna jestem z ciebie”. Coś takiego nawet powiedziała, gdy razem we dwójkę wracali na kwatery.

Świat wydawał się taki piękny, a powstanie tak wspaniałe.

Żołnierskość... Zawsze pragnął zdobyć swój krzyż Virtuti. Od czasu zaprzyjaźnienia się z Ewą pragnął tego ze szczególną uporczywością, lecz równocześnie tak jakoś dziwnie zaczął

się zachowywać. Gdy nieprzyjaciel rozpoczął od strony ulicy Powązkowskiej bombardowanie

„twierdzy” i ewakuowano z drugiego piętra pokój dziewcząt „Maćka”, Synon podbiegł do Ewy i - mimo jej protestów oraz mimo uśmiezków innych dziewcząt - pomagał Ewie znosić do piwnic zastrzyki, bandaże i inne skarby sanitariatu.

Bardzo się niepokoił podczas ewakuacji „twierdzy”. Zachowywał się jak histeryk, kompromitując swą żołnierskość. Ewa należała do ekipy mającej przewieźć sanitarkami pierwszy transport rannych z „twierdzy” do Jana Bożego przez obszar getta będący pod ogniem niemieckim. Lada chwila mogły się także pojawić w getcie tyraliery nieprzyjacielskie. Pragnął więc towarzyszyć Ewie i usiłował dostać przydział do grupy ubezpieczającej na ciężarówce przejazd sanitarek. Ale Blondyn odmówił. Na chwilę przed odjazdem transportu Ewa wyskoczyła na podwórko do stojącego tu z ponurą miną Wojtka i pocałowała go! Pierwszy raz! Sama! Stał jak ogłupiały, a gdy Ewa maskując uśmiechem zmieszanie poprosiła o jakąś broń - dał jej swój granat angielski. W świetle lampy widział

twarz Ewy na chwilę przed zatrzaśnięciem drzwi sanitarki. Następną godzinę przeżył jak człowiek pozbawiony rozumu. Nawet kapitanowi Janowi odpowiedział coś bezsensownego na jego pytanie. Starał się czymś zająć, palił papierosa po papierosie, wziął komuś manierkę z winem. Gdy Kmita skrzyczał go i kazał iść spać, położył się na pryczy, umieściwszy hełm pod głową i „czterdziestkę” na piersi. Nie mógł jednak zasnąć. Wreszcie usłyszał szum motorów pod bramą, zerwał się więc, zbiegł na dół; wśród panującego tu zgiełku samochodów usłyszał z daleka, jak Joanna woła: „Ewa, Ewa!” Stał, nad słuchiwał, serce biło mocno... „jestem!” Ona... Synon słyszy, jak Ewa rozmawia z Joanną.

Oparł się plecami o mur, odetchnął parę razy głęboko i zawrócił ku swej kwaterze, starając się iść w cieniu gmachu, aby go dziewczęta nie zauważyły. Zdjął buty, przykrył się i natychmiast zasnął.

- Panie, panie!

Zsunął ręcznik z twarzy, niespokojnie rozejrzał się dookoła i dopiero po chwili rozpoznał

rzeczywistość. Stoi przy nim „głupia Józia”, jedna z umyślowo chorych, którą szarytki używają do

posług przy rannych.

- Proszę pana, pali się pralnia, chce pan zobaczyć?

Minęło kilka minut, zanim udało mu się odprawić dziewczynę. Zmienił ostrożnie pozycję ciała. Bolała go głowa może od swędu i zapachu trotylu, który snuł się po sali. Co pewien czas ściany budynku drżały. Przymknął oczy. Wspomnienia wróciły nie od razu. Długo wsłuchiwał się w wybuchy pękających gdzieś blisko pocisków, zanim wybuchy te przeistoczyły się w tanto okropne popołudnie, gdy opuszczali „twierdzę”. Skokami przebiegli przez Okopową, która była pod ogniem. Potem - ostrzeliwane gruzowiska getta.

Został wyznaczony na zastępcę dowódcy patrolu rozpoznawczego na Stawki. Przekonał jakoś Tura i na siłę wprost zabrali ze sobą Ewę.

„Przyrzekłem, że nie zostawię cię nigdy samej; my już odchodzimy stąd, musisz iść z nami, musisz”. Było ich dwunastu, Ewa trzynasta. Przez Okopową puścił ją przed sobą i skoczył tuż za nią. Bał się o Ewę, a zarazem podziwiał jej zręczność. Gdy dotarli na Stawki i ulokowali się w jakiejś hali fabrycznej Ewa zajęła się przygotowaniem posiłku dla chłopców. Była piękna. Był dumny, że to jego dziewczyna krząta się wśród patrolu. Wreszcie pokładli się spać. Ewę ulokowali na jedynych noszach, które się tu znalazły, a sami spali pokotem dookoła niej na deskach podłogi. Synon usypiał szczęśliwy. Ewa była z nimi.

Na Starówce początkowo coś się między nimi popsulo. Nigdy tego nie mógł dobrze zrozumieć: może Ewę denerwowała jego apodyktyczność lub zraziły zaczepne pocałunki w Pasażu Simonsa? A może to jego zniechęciła Ewa swym niemądrym zawstydzieniem? Spali wówczas w dużej sali, chłopcy w jednej jej części - dziewczęta obok, w osobnej grupie. Spali, jak zawsze podczas powstania, nie rozbierając się, z bronią pod ręką, tylko buty można było zdjąć. Dziewczęta - w swych mundurowych spodniach, w panterkach, z plecakami pod głową. Chłopcy - podobnie. Synon położył się na przydziewczęcym skrzydle grupy męskiej i prosił, aby Ewa spała obok niego.

Odmówiła. A gdy nalegał, powiedziała mu coś przykrego.

Jakże głupio zachowywał się potem. Zaczął flirtować z Anną. Dał jej w prezencie mały belgijski pistolet, niedawno wymieniony za piętnaście koców z którymś powstańcem Roga.

Ale szczytem wszystkiego była rozmowa z Anną w dniu ślubu Jeremiego, na którym znaleźli się oboje przypadkowo, podczas odwiedzin u koleżanek Anny w „Parasolu”. Pokój, w którym odbywała się uroczystość, był pięknie uporządkowany po bombardowaniu porannym. Kurze niedawnego wybuchu pościerano i zastawiono stoły skromnymi kanapkami z konserw oraz kilkoma butelkami wina. W kącie znajdował się prowizoryczny ołtarzyk. Tłoczno było bardzo. Gdy ojciec Paweł przy świetle świec, po krótkich modlitwach połączył ręce Jasi i Jeremiego, Anna, patrząca z zachwytem na młodą parę - on w panterce, przepasany skórzanym pasem, przy którym widniała kabura pistoletu, ona w białej bluzeczce, z kwiatami w ręku - szepnęła na pół żartobliwie do Synona: „Wojtusi, może my byśmy się też pobrali?” A Synon: „Dobrze”. I po chwili jeszcze raz: „Genialnie”. Co zaś najdziwniejsze, gdy uściskiem dłoni „przybijali” z Anną tę rozmowę, był szczerze nastawiony na jej realizację!

Synon wzdycha niespokojnie i zmienia pozycję na łóżku. Noga rwie.

Co to właściwie było między nim - Anną, Ewą?

Nie, naprawdę kochał chyba tylko Ewę. Tylko jej opowiadał tak szczerze o sobie, tylko przy niej czuł, jak opuszczają go smutki i troski. Ona była w tych trzech tygodniach jego najserdeczniejszym przyjacielem i najbliższym towarzyszem broni. W chwilach ciężkich była dlań jak matka, a w godzinach walki samym swym istnieniem sprawiała, iż powstanie posiadało dla Synona atmosferę szczególnego patosu i romantyzmu. Swój Krzyż Walecznych przypisywał w dużym stopniu istnieniu podczas powstania Ewy. Ze względu na nią chciał być dzielniejszy, bardziej męski, odważny.

A ona - jakże była kobieca. Kiedy nocą stali we trójkę - Ewa, Giewont i on - w bramie Jana Bożego, a obok przechodził tłum ludzi z ewakuowanej Muranowskiej, jakaś młoda mężatka, do której Synon odezwał się życzliwie, przysiadła z dzieckiem na ławce koło ich bramy. Ewa wzięła wówczas na rękę jej maleństwo i popłakała się.

Następnego zaś dnia Synon stał się mimowolnym świadkiem drobnego, lecz jakże dlań radosnego szczegółu. Było południe, stał na posterunku, skrywszy się w cieniu drzewa przed promieniami słońca. Przebiegająca przez dziedziniec Ewa zatrzymała się koło idącej naprzeciwko Maryny. Nie zauważyły go, choć znajdował się o kilkanaście kroków od nich.

- Maryna, daj mi na chwilę lusterko.

Zdjęła czapczkę i zaczęła się czesać.

- Patrz, Maryno, jakie puszyste stały się włosy po tym „przypudrowaniu” przez „szafę” na Franciszkańskiej.

Potem włożyła czapczkę i jeszcze chwilę przyglądała się swemu odbiciu.

Była zarumieniona, a daszek czapczki włożonej nieco na bakier rzucał na oczy lekki cień.

- Ładnie wyglądam, Maryno?

Maryna śmieje się:

- Ładnie. Chcesz się komuś podobać?

- Chcę!

Wojtek chwyta w głosie Ewy zuchwałość i radość. Czuje, że i jego twarz pokrywa rumieniec, że i jego oczy lśnią. Nie zbliżył się jednak do Ewy i nie powiedział jej tego wszystkiego, co kotłowało mu się w głowie. Był szczęśliwy jak nigdy.

W kilkanaście godzin po incydencie z lusterkiem stali w kościele Jana Bożego, oczekując na rozpoczęcie natarcia. Kończyła się noc. Gorące cegły posadzki kościelnej parzyły mu stopy, przeskakiwał więc z nogi na nogę. Ewa stojąca w drzwiach korytarza, przyciągnęła go wówczas do

siebie: „Wojtek, tu nie parzy”.

A potem - to natarcie. Boże... Boże... Tak ją prosił, aby nie wybiegała na pierwszą linię.

Sanitariuszki nie powinny ruszać do pierwszej linii, nie wolno posyłać dziewcząt do linii szturmowej nie ubezpieczonej, nie zorganizowanej. Kto te straszne zwyczaje wprowadził do powstania?

- Boże, Boże... Zostawiłem ją tam samą.

Jest na pół przytomny z udręki, która go opanowała. Robi mu się duszno.

Kurz unoszący się w powietrzu wywołuje kaszel. Kaszląc słyszy szum motorów samolotowych i w chwilę potem gwałtownie narastające wycie pikującego „stukasa”.

Dostrzega na twarzach rannych kolegów przestrah i czuje sam, jak ogarnia go lęk. Naciąga koc na głowę i cały kurczy się pod nim.

## **XI. CENA WOLNOŚCI**

Niedawna próba „odkorkowania” Starego Miasta i obrona Jana Bożego były dla „Zośki” katastrofalne. Dotychczas groźne uderzenia trafiały w poszczególne plutony, inne plutony podtrzymywały wówczas rozbitków, a dowódcy kompanii łatali luki, wchłaniając żołnierzy z różnych zanikających na Starówce jednostek wojskowych. Ale tym razem walki szarpnęły wszystkie trzy kompanie batalionu, niszcząc go liczebnie i łamiąc trwającą dotychczas w

„Zośce” wiarę w zwycięstwo powstania.

Czym dla „Zośki” stało się natarcie na rejon Dworca Gdańskiego i obrona Jana Bożego, tym dla „Parasola” były walki o skrawek getta graniczący z ogrodem Krasińskich i o wznoszący się w pobliżu Biały Domek. Plac Krasińskich stanowił węzeł systemu obronnego Starego Miasta, a ogród Krasińskich, położony między placem Ci ulicą Nalewki, tworzył ten minimalny pas ochronny, który musiał być utrzymany w polskich rękach. Odcinek getta, położony tuż za nalewkowską granicą ogrodu, stanowił właśnie linię bojową, powierzoną zgrupowaniu, w którym był także „Parasol”.

Szczególnie zażarte boje toczyły się początkowo o pałac Mostowskich, lewe skrzydło tego odcinka. Pluton krzywonosego Górala został tu wzmocniony przez dobry oddział OWPPS.

Natarcie nieprzyjacielskie, które teraz nastąpiło, było tak zażarte, iż „parasolarze” i pepeesiacy myśleli, że to już koniec: zostali odcięci, wyczerpywała się amunicja i całe ściany waliły się na nich. A przy tym w ogromnym gmaszysku pałacu było ich tak niewielu.

Sytuacja stała się tragiczna, gdy czołgi niemieckie ruszyły w prawo od pałacu gruzami getta ku tamtejszym stanowiskom „Parasola” i przybliżyły się do nich na rzut granatem.

W tych strasznych minutach oddziały „Parasola” nie poddały się panice. I to je uratowało.

Atak czołgów został odparty, łączność z pałacem Mostowskich przywrócona.

Po czterech dniach ciężkich walk obronnych na tym odcinku kompanie „Parasola” zostały wycofane na krótki odpoczynek i zastąpione przez oddziały ze zgrupowania majora Sosny.

Przybywszy na swe kwatery przy placu Krasińskich „parasolarze” spali chyba dziesięć godzin, nie słysząc wybuchów krążących wieńcem wokół ich kwatery. Już od bardzo dawna nie mieli tak długiego wytchnienia.

Gdy Jeremi i Jasia kończyli jeść skromne śniadanie, zjawił się Rafał, przynosząc prasę powstańczą. Mały pokoiak przedstawiał obraz trudnej walki młodziutkiej „pani domu” z chaosem mebli, broni, amunicji, zmieczonego pod ściany szkła i gruzu. Jasia - wciąż jeszcze obandażowana - posadziła Rafała w najwygodniejszym miejscu i podała mu na spodeczku kostki cukru z sucharami.

- Przyszły jakieś rozkazy, meldunki? - spytał Jeremi, usiłując oderwać myśli od przerwanej rozmowy z Jasią.

- Nie - odrzekł Rafał - ale są ważne wiadomości prasowe: Rumunia skapitulowała, a w Paryżu, do którego zbliżają się dywizje amerykańskie, powstanie.

Jeremi rozważał usłyszane nowiny.

- Myślisz, że to może mieć wpływ na nasze losy? Że zbliża się załamanie Rzeszy? Szkoda, że pana Bolesława tu nie ma i nie usłyszemy jego uwag o tych faktach. Na moje wyczucie -

Niemcy to twarde typy. Nie trzaskną łatwo.

A co z Sowietami?

- Bez zmian. Mówił mi tylko Ziutek, że całą noc, a szczególnie przed świtem, słychać było daleką kanonadę za Pragę.

Jeremi spojrział na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu.

- My tak mało wiemy - odezwał się Rafał. - Trudno przewidzieć bieg wojny, ale ja myślę, że losy Warszawy rozstrzygną się nie w tamtych dalekich walkach lecz tu, nad Wisłą. Wiesz, chwytam siebie na tym, iż zaczynam pragnąć jak najszybszego zajęcia Warszawy przez Sowietów.

Na twarzy Jeremiego pojawił się grymas zniechęcenia:

- Ty, Rafale, masz perspektywę jasną: pragniesz zwycięstwa, bo w nim nie tylko twoje ocalenie fizyczne, ale i sens twego istnienia: dopiero po zwycięstwie zaczniesz prawdziwe swe życie, gdzieś tam w przywróconych Polsce Prusach Wschodnich. Do tego prawdziwego życia przygotowywałeś się podczas okupacji, ślęcząc nad problematyką Mazur i Prus, a nawet wcześniej, kiedy studiowałeś spółdzielczość i redagowałeś „Czerwone Tarcze”. Ale ja?

Jestem wykolejony. Przecież powołaniem moim była nie tylko chemia, inżynieria, ale i sprawy społeczne przez wojnę oczyszczone. To był i miał być po zwycięstwie sens mojego życia. A wystarczyło kilka tygodni, aby cała ta koncepcja zawałiła się. Dziś mierzi mnie wojna. Mierzi

społeczeństwo.

Mierzi myśl o przyszłym życiu.

Jasia podbiegła do męża, objęła go, przytuliła się do niego:

- Nie mów tak, Jeremi, nie mów!

Rafał przerwał gryzienie suchara.

- Słuchaj, bracie, Jasia ma rację! Nie rób z siebie człowieka bez busoli, bo nim nie jesteś.

Obserwowałem cię od czasu przyścia z Woli i cieszyłem się, że zanika twoja przesadna pewność siebie i powierzchowność sądów. Nie martwi mnie również załamanie się w tobie dotychczasowych koncepcji działacza społecznego. Ale ty, człowieku, gotów jesteś przeholować w mądrzeniu. Pamiętasz, po zamachu na Koppego uciekaliśmy gołym polem pod kulami żandarmów; upadłem ranny i leżałem bez sił; podbiegłeś do mnie, chwyciłeś pod ramię i krzyczałeś: „wstań, idioto, i biegnij, bo śmierć”!

Teraz ja się odwzajemniam: „Jeremi, idioto, oprzytomnij, bo śmierć”!

Jeremi uśmiechnął się blado, Rafał zaś podszedł do przyjaciela, nachylił się nad nim i kończył:

- Zacząłeś wreszcie poznawać podszewkę wojny i sens życia, ale w trakcie tego poznawania głupiejesz. Jesteś człowiekiem wielkich możliwości, masz zdolności organizatorskie, fantastyczną aktywność, inteligencję, odwagę. Po wojnie tacy jak ty mogą być sprężyną w każdej pracy społecznej i zawodowej.

Wspomniałeś „Czerwone Tarcze”. A Szare Szeregi? Nie zmarnuj tego dorobku.

Jesteś potrzebny i będziesz potrzebny.

- Przestań...

- Jeremi, kule i odłamki lubią bardziej pesymistów niż optymistów. Strzeż się!

Jeremi usiłował uśmiechnąć się ironicznie - nie wyszło. Jasia wzięła w dłonie jego rękę i głaskała ją, jakby uspokajając.

Rafał z troską patrzył na przyjaciela. W tej chwili ktoś zapukał i nie czekając pozwolenia na wejście, otworzył drzwi.

- Jeremi, przyszła łączniczka od Radosława. Masz zgłosić się natychmiast.

(Radosław w owym czasie objął już z powrotem dowództwo nad swymi oddziałami; wprawdzie cały był w bandażach i nie mógł chodzić, dowodził więc ze schronu lub przenoszony na noszach, ale dowodził i oddziały powitały jego powrót z zadowoleniem.) Jeremi kilkoma ruchami uporządkował



mundur. Nie pozwolił Jasi towarzyszyć sobie, chciał, aby jeszcze odpoczywała. Wyszedł w hełmie z pistoletem maszynowym przez ramię. Rafał i Jasia widzieli przez okno, jak plecy Jeremiego, posuwającego się wśród gruzów, prostowały się i krok stawał się elastyczny, a cała postać przybierała wyraz zdecydowania.

- No, jest nadzieja, że weźmie się w garść.

- Na pewno. Cmentarze Woli to jednak był ogromny szok. Nie sądziłam, że Jehemi ma tak bardzo wrażliwą duszę.

Rafał powrócił do swej kompanii. Usiadł przy stole i jak niemal codziennie zabrał się do pisania krótkiej kartki do żony, która w Śródmieściu kierowała jedną z komórek kolportażu.

Gdy stawiał pierwsze słowa, rysy twarzy łagodniały, na usta napływał ledwo widoczny uśmiech.

Problem Jeremiego schodził w cień, znów na plan pierwszy wysuwała się radość wczorajszej wiadomości - pierwszej wiadomości o skontaktowaniu się Wandy z Mokotowem, gdzie pozostała u babci ich półtoraroczna córeczka.

Gdy skończył pisać, wyszedł na korytarz i posłał po Bystrego.

Bystry zjawił się w kilka minut potem. Miał typową, żydowską twarz i charakterystyczny grymas. Był w hełmie, panterce, wysokich butach, z pistoletem maszynowym w rękę i opaską powstańczą na ramieniu.

- Panie podchorąży, strzelec Bystry melduje się na rozkaz.

- Nie tak służbowo, Bystry. Mów do mnie jak wszyscy, po imieniu.

- No, jeszcze trochę, panie podchorąży. Muszę się przyzwyczaić.

- Siadaj. Znów chcę cię męczyć sprawą kanałów. Powiedz, jak sobie dawaliście radę, gdy zbłądziliście?

Bystry usiadł i zmrużył oczy krótkowidza.

- Myśmy byli w czasie naszego powstania w bardzo złych warunkach, nie mieliśmy planów kanalizacji. Ja panu podchorążemu radzę: jeżeli pan coś przewiduje i chce na wszelki wypadek przygotować się do chodzenia kanałami to przede wszystkim niech pan idzie, gdzie trzeba, i przerysuje sobie plan tego odcinka, który pana obchodzi. To fundament powodzenia.

Ja panu to mówię.

Dłuższą rozmowę zakończyli umową, iż przy pierwszej sposobności Rafał z kilkoma ludźmi zejdzie najbliższym włazem do kanału, aby otrzymać praktyczną lekcję orientacji kanałowej.

Bystry już wstawał, aby odejść, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i wszedł Jeremi:

- Rafał, alarm w kompanii! Bystry, biegiem do Wacka, do drugiej! I do Jurka Lota! Wymarsz za piętnaście minut. Wacek natychmiast do mnie.

Rafał o nic nie pytając pobiegł do swych plutonów. Bystry biegł w innym kierunku. Jeremi wyjął z torby oficerskiej plan tej części miasta, w której był ich odcinek, i przyglądał mu się uważnie.

Na odprawie z Wackiem, Rafałem i Jurkiem Lotem wyjaśnił: oddziały, które zluzowały

„Parasol” w getcie i Białym Domku, zostały przez nieprzyjaciela zaatakowane i opuściły teren. „Parasol” otrzymał rozkaz odebrania części getta przylegającej do ogrodu Krasińskich oraz - jeśli się, da - Białego Domku, którego utrata jest bardzo przykra.

Uderzenie zorganizowane przez Jeremiego było jedną z najpiękniejszych, ale i najcięższych bitew „Parasola”. Sam Jeremi objął dowództwo nad zespołem cekaemów, natarcie natomiast prowadził Wacek z czarną opaską na czole po niedawnej ranie, z czarną, aby w nocy nie była widoczna. Pierwsze stanowiska nieprzyjaciela zdobyli zaskoczeniem i gwałtownością ataku.

Wielogodzinny odpoczynek przywrócił siły fizyczne powstańcom. Gdy cichutko i ostrożnie stąpając lub pełzając przez wysoką trawę pomiędzy krzakami i drzewami, osiągnęli odległość szturmową i stamtąd na sygnał Wacka zerwali się do biegu, pędzili w milczeniu tak szybko, jak chyba nigdy dotąd.

Posterunki nieprzyjacielskie spostrzegły ich za późno; chaotyczny, nerwowy ogień Niemców był niecelny. Ci, którzy nie zginęli lub uciekli, stali przerażeni z podniesionymi rękoma.

- Naprzód - krzyczał pełnym głosem Wacek - naprzód!

Jurek Lot utknął z trzecią kompanią na wysokości Białego Domku, ale druga kompania z Wackiem wpadła wielkim impetem do getta. Lunęły w nich potoki ognia broni maszynowej, każdy więc na własną rękę szukał schronienia w lejach, wgłębieniach, dziurach. Ale byli w getcie!

Wacek, szybko oddychając po męczącym biegu, wtulił się w jakąś wyrwę i poprawił opaskę na czole. Po chwili zwrócił się do swego gońca, Janka: - Leć do Górala, niech przesunie się na lewe skrzydło. - Zerwali się obydwaj jednocześnie, Janek pobiegł na lewo, Wacek - na prawo w skos.

Próbie przeciwnatarcia powstańcy stłumili w zarodku swymi erkaemami i pistoletami. Z

daleka były w Niemców cekaemy Jeremiego, utrudniając pracę nieprzyjacielskim gniazdom broni maszynowej. Wśród gęstej obopólnej strzelaniny ustalała się równowaga obu walczących stron. Niemcy postanowili przerwać ten impas za pomocą samolotów nurkujących.

„Stukasy” nadleciały przed wieczorem. Pokrążywszy nieco nad polem walki, poczęły nurkować. Szarpiące nerwy wycie pikujących maszyn, huki wybuchów, drżenie ziemi, fontanny wytryskujących gruzów - wszystko to oszołamiało i napełniało dusze ludzkie strachem. Leżeli nieruchomo, z twarzami obróconymi ku ziemi, niezdolni opanować łomotu serc.

Ledwo przebrzmiały wybuchy ostatnich zrzuconych bomb, gdy ponad dymiącymi kurzami gruzowiskiem rozległ się jakiś nienaturalnie wysoki głos Wacka:

- Naprzód, naprzód, naprzód! - W krzyku tym wyczuwali radość, szaleńczą radość.

Zerwali się półogłupiali ze strachu i nadziei. Zrozumieli: bomby „stukasów” - zmylone rakieta Wacka - spadły na pozycje niemieckie! Krzycząc dziko, pędzili przed siebie, skacząc przez ciała ludzkie, leje, doły.

Strzelali w leżących, strzelali do uciekających. Dopiero gdy zbliżyli się na rzut granatu do starych stanowisk niemieckich, padli i otworzywszy ogień umacniali się gorączkowo.

Niecały utracony poprzednio odcinek getta został odzyskany w tym ataku, w którym szybkość, zaskoczenie i odwaga zostały wsparte przez zdumiewający uśmiech losu. Nie odzyskali Białego Domku i na skutek załamania się natarcia sąsiednich oddziałów, nacierających na lewo równocześnie z „Parasolem”, musieli zaprzestać dalszych ataków. Ale niewielki „przyczółek” w getcie będzie chronić już do końca plac Krasińskich od bezpośredniego zagrożenia.

Chronić będzie Stare Miasto, lecz nie żołnierzy „Parasola”, którzy tu mają stanowiska.

Przeciwnie - teraz walić się zaczęła na batalion ciosy okrutne. Przez kilka dni z rzędu biją w ten szmat gruzowiska i w sąsiednie ulice „szafy” i granatniki. Nadlatują także samoloty nurkujące. Był jeden taki dzień, w którym „stukasy” przylatywały co dwadzieścia minut.

Czy człowiek, który nie przeżył powstania, będzie mógł pojąć, jakie treści kryje w sobie to zdanie złożone z pięciu słów: „stukasy” przylatywały co dwadzieścia minut. Wszystkie domy w tej części miasta spłonęły i wśród ogromnych pagórów gruzu wznosiły się tylko szkielety ścian. A ludzie? Nie - nie wszyscy żołnierze „Parasola” zostali w ciągu tych kilku dni zabici lub ranni, choć bardzo wielu skreślono wówczas z listy.

Jedyną otuchą powstańców stała się niemiecka systematyczność: w nocy ich artylerzyści i lotnicy nie pracowali. Fajrant! Około godziny siedemnastej każdego dnia przerywano nawałę ognia artylerii, granatników, samolotów i ruszała do natarcia piechota. Natarcia te jednak były zwykle miękkie i po pierwszych energicznych strzałach powstańczych tyraliery nieprzyjacielskie zwracały do tyłu. Potem trochę ognia artyleryjskiego i dzień pracy żołnierza niemieckiego skończony!

Wysiłki niemieckie zmierzające do skruszenia zachodniego pierścienia obrony Starówki w rejonie ogrodu Krasińskich zostały wprawdzie zahamowane przez „Parasol”, jednakże w innym miejscu - mianowicie na osi ulicy Długiej - nieprzyjacielowi powiodło się lepiej. Po złamaniu bohaterskiej obrony pałacu Mostowskich oraz zajęciu Arsenału czołówki niemieckie z dnia na dzień znalazły się stosunkowo blisko placu Krasińskich właśnie w ulicy Długiej, w pobliżu kwatery „Parasola” położonej w gmachu Sądu Apelacyjnego.

Batalion bronił jeszcze resztek getta, ale już musiał na wszelki wypadek trzymać na kwaterach: silniejszy oddział interwencyjny.

Pewnego popołudnia Jeremi przybył ze stanowisk w getcie do kwatery i natychmiast obudził

Rafała.

- Otwórz oczy i oprzytomniej, przynoszę dla ciebie rozkaz.

Rafał przeciągnął się i usiadł na łóżku.

- Wkładać buty?

- No, nie od razu. Masz dziś w nocy pójść na stanowisko kapitana Gozdawy i wyrugować Niemców z Długiej 31.

Rafał momentalnie oprzytomniał. Odczuł jakby skurcz serca. Chwilę nie oddychał.

- Długa 31?

Wiedział, co to znaczy. Przedwczoraj w walce został stamtąd wyparty oddział AL. Nie byli to

„Czwartacy”, na których najbardziej można było polegać, ale w każdym razie walczyli i ulegli przemocy. Potem trzykrotnie usiłowały budynek ten odzyskać oddziały majora Sosny -

bez rezultatu.

Wiedział z rozmów, że bitwy toczyły się w korytarzach, bramach, poszczególnych pokojach, a ten typ zmagania - niemal walka wręcz - wydawał się zawsze Rafałowi czymś szczególnie potwornym.

- Czy to ty wyznaczyłeś mnie do tej akcji?

Jeremi uśmiechnął się.

Nie, to ktoś ze sztabu wpisał twoją kompanię do rozkazu. Przywiązują do akcji duże znaczenie, ma być wstępem do czegoś bardzo poważnego. Ale może interweniować o zmianę?

- Nnnie... - Rafał raz jeszcze, jak już tylekroć w czasie swej krótkiej kariery wojskowej, zadał sobie gwałt. I dopiero po dobrej chwili: - Słuchaj, Jeremi, czy mógłbym wziąć ze sobą Lisa?

To dobry minier.

- Lisa? Nie zdążyłem ci powiedzieć: poległ dziś po południu.

- Poległ? Lis? Był mi szczególnie bliski.

- Myślę, że nie tylko tobie. Wiesz, jak odchodził z tego świata? Pędził do mnie z meldunkiem i został ciężko ugodzony odłamkiem granatu; dobiegł - widziałem po oczach, że już po nim; facet usiadł, wyciągnął rękę z kartką i bełkotał: „panie poruczniku... melduję... panie poruczniku...” I koniec.

Jeremi zamilkł. Stał chwilę bez ruchu, potem poczerwieniał i podniósł ku piersiom zaciśnięte pięści:

- Mam już tego wszystkiego gruntownie dosyć - szeptał zduszonym głosem. - Akszak ugodzony w serce, Mietek ciężko ranny w głowę, mam już tego dosyć! - Po chwili jednak uspokoił się i rzekł

normalnie:

- Wybacz, Rafale. Na linii przez tyle godzin trzymam nerwy na postronku, że czasem w samotności lub w towarzystwie twoim, Jasi nie wytrzymuję ciśnienia.

- Mój drogi, gdybym nie był z natury zrównoważony i spokojny, reagowałbym podobnie jak ty.

Rozmowę przerwano i Rafał wyszedł, aby montować akcję. Nie było to łatwe - kompania dopiero przed godziną wróciła z linii. Wytypował wreszcie pluton, który miał z nim ruszyć, zarządził czyszczenie broni i jej przegląd, udał się osobiście na wywiad. Zrobił szkic sytuacyjny. Największe niebezpieczeństwo polegało na tym, że nieprzyjaciel dobrze wstrzelał

się z cekaemów i granatników w nasze punkty wyjściowe.

Gdy Rafał skończył czyszczenie i oliwienie pistoletu, położył się i zasnął natychmiast. Ale obudził się już po dwóch godzinach - o godzinę za wcześnie. Nie miał odwagi zasypiać ponownie, leżał więc z przymkniętymi oczyma i rozmyślał.

- Nie śpisz? - zagadnął go leżący obok Jeremi, który został na tę noc w kompanii Rafała. - Ja też jakoś nie mogę spać. - A po dłuższej chwili: - Słuchaj, Rafał, czy ty chwytasz okres, w którym ukształtowałeś się takim jak jesteś?

Rafał długo myślał, zanim odpowiedział:

- Chyba tak. Zaczęło się to w Łodzi, w Szkole Zgromadzenia Kupców. To przy ulicy Narutowicza, taki spory gmach koło małego parku Staszica.

Uformowała się tam zgrana uczniowska paczka. Wiesz - postęp społeczny, sprawiedliwość, braterstwo bez względu na narodowość i tak dalej. Od tego czasu cokolwiek bym robił, wszystko było podporządkowane łódzkim ideałom i otoczone tamtą atmosferą. Gdy poszedłem na wyższą uczelnię, to, aby studiować spółdzielczość, gdy wybrałem dziewczynę za żonę, to nie tylko dlatego, że urocza, gdy wędruję po kraju, nie biorę namiotu, bo tylko nocowanie w chałupach ma sens. I dlatego Pet, i dlatego Szare Szeregi, i dlatego redagowanie

„Brzasku”, i nawet dlatego teraz broń...

- Jesteś z tym szczęśliwy?

- Sądzę, że tak. Mam nadzieję, iż dzięki temu, że wcześniej ujrzałem swą drogę, będę mógł dużo zrobić.

- Ulepiony jesteś z tej samej gliny co Piotr.

- Nno... z gliny podobnej, nie z tej samej. Zresztą z podobnej gliny są setki ludzi w naszych batalionach. A myślisz, że ty nie jesteś z tej gliny?

Przez ostatni rok zatarła się ona w tobie, zbyt pochłonięło cię wojsko i oszołomiła kariera dowódcy. Ale teraz ta „głina” ujawnia się w tobie znów.

Czemu na przykład zacząłeś od kilku dni interesować się kuchniami domowymi na Długiej?

Kto ci kazał kłopotać się o kaszę i cukier dla nich? Jeremi, Jeremi, ty także masz w życiu dużo do zrobienia.

Nie rozmawiali więcej, choć nie spali. Po pewnym czasie Rafał wstał, włożył buty, pozapinał się i widząc, iż Jeremi wciąż nie śpi, podał mu rękę.

- Skręć kark - rzucił Jeremi lotnicze zakłęcie i uśmiechnął się.

Akcja trwała krótko. Bardzo krótko.

Po północy oddział Rafała ruszył do budynku przy Długiej 27, na podstawę wyjściową do natarcia. W piwnicach przeciskali się wśród ciżby odpoczywających powstańców. Potem przez wyłomy w murach Długiej 29 posuwali się w zupełnej ciszy ku budynkowi obsadzonemu przez nieprzyjaciela. Rafał, jak zwykle w takich wypadkach, siedł na przedzie, z odbezpieczonym pistoletem maszynowym w rękach. Ruinami przesączał się świt. W pewnej chwili Rafał stanął i przyłożył gwizdek do ust. Zamarli w bezruchu. Rafał wciągnął głęboko powietrze w płuca, gwizdnął i skoczył przez otwór w murze.

Niemal w tejże chwili rozdarł ciszę wybuch pocisku granatnika i Rafał padł, a biegnący za nim Tarzan chwycił się za głowę. Wciągnięto obydwu do środka i Włodek - zastępca Rafała -

usiłował kontynuować natarcie, ale skoncentrowany na wylocie otworu w murze ogień karabinu maszynowego i granatników uniemożliwiał wychylenie się na zewnątrz. Ręczny granat niemiecki wtoczył się do otworu, za którym skupili się powstańcy. Włodek kopnął go nogą i wybił poza otwór.

Cofnęli się unosząc Rafała.

Jeremi wciąż nie spał, już z daleka usłyszał czyjeś szybkie kroki.

Odruchowo usiadł na pryczy i patrzył w drzwi. Włodek wszedł bez pukania.

- Jeremi, akcja załamana, Rafał ciężko ranny w prawy bok. Wyszarpane...

- Gdzie?... Gdzie jest Rafał?

- U Maksa.

Zerwał się z łóżka i wybiegł, nie zauważywszy, iż jest bez butów, bez hełmu. Gdy wbiegł do salki ambulansowej, doktor Maks był już przy rannym.

Jeremi zbliżył się do stołu, na którym leżał Rafał, i patrząc w twarz przyjaciela szeroko otwartymi

oczyma milczał chwilę, a potem zbliżył swą głowę do głowy Rafała.

- Rafał, słyszysz mnie?... Rafał... Nie możesz mówić?

Maks wziął Jeremiego w ramiona.

- Jeremi, proszę się uspokoić.

Jeremi odsunął od siebie lekarza i znów nachylił się nad Rafałem. Nie odzywał się już.

Oddychał szybko.

W kilkanaście minut potem Rafał zakończył życie.

Minęło dwa dni od śmierci Rafała. Pierwsza kompania „Parasola”, pogrzebawszy swego dowódcę w płytkim grobie koło pałacu Krasińskich, siedziała w piwnicznych schronach pałacu. Samoloty już od godziny zrzucały pociski bombardujące na Stare Miasto. Potężne wybuchy przenikały do piwnic pałacu i wyczuwało się, iż jego wypalone mury drżą.

Siedziało ich tu około dwudziestu pięciu - wszyscy ci, którzy nie mieli tego ranka służby na linii, przede wszystkim chorzy, lekko ranni i drużyna gospodarcza. Był następca Rafała, Włodek, był Olbrzymek. Jedni drzemali, paru coś majstrowało przy broni, kilku skupiło się wokół Ziotka. Ten piosenkarz i poeta „Parasola”, niefrasobliwy szalaputa i lekkomyślny wesolek, ulubieniec batalionu, był od paru dni w nastroju przygnębienia.

Dostrzegł wreszcie powstanie w jego grozie i okrucieństwie, a nowy ten obraz ujawnił mu się nagle w twarzy zabitego Rafała, do którego był bardzo przywiązany.

Zaraz po śmierci Rafała napisał o nim wiersz, pierwszy poważny wiersz w swej karierze poetyckiej. Teraz bronił się przed naleganiami kolegów, proszących o odczytanie go. Ziotek zwykle czytał chętnie swoje utwory, lubił je, cieszył się nimi, tym razem jednak odczuwał

jakieś skrępowanie przed odsłanianiem własnych uczuć. Przemógł się jednak, zbliżył do szpary w okienku piwnicznym i wyciągnął notes.

Zaczął tak, jak zaczynają się tradycyjne ballady:

To był ostatni twój szturm, Rafale.

Szliśmy z tobą, twoja wierna gromada,

Twoja pierwsza kompania szturmowa

Na twój rozkaz do zrywu gotowa.

Cień zza murów wnękami się skradał

i peemy błyskały zuchwale.

Z rytmicznych strof wyłaniał się wąż postaci żołnierskich, sunących w ciszy z Rafałem na czele. Rafał...

Ty nie byłeś z krwi-kości żołnierzem,

Nie kochałeś się w łunach i wrzawie...

Słuchali, zapatrzeni w czytającego i w cud wskrzeszania swego dowódcy.

Tysiąc szturmów cię jeszcze czekało,

Całe życie zmagania i trudów,

Setki zwycięstw dla Polski i chwały.

Do tej walki twe serce się rwało,

Rwało się do pracy wśród ludu...

Toczyły się dalej rytmiczne zdania o tym, którego życie i śmierć przetwarzały się w duszy ich towarzysza-poety w jakąś podstawową prawdę:

Myśl o tobie nam wciąż przypomina,

Że się walczy nie tylko kulami.

Kiedy Ziutek zaczął czytać ostatnią strofę, otaczający go towarzysze odczuli, że przestaje panować nad głosem:

Pozdrów od nas, gdy będziesz już w niebie,

Przemka, Reka, Juranda, Tomicza,

Tam jest prawie pół twoich chłopaków...

Przerwał. Nie mógł dokończyć. Słyszał było tylko ludzkie oddechy. Unikali patrzenia na siebie w obawie, że nerwy im nie dopiszą.

- Ziutek!

Drgnęli. Był to głos Jeremiego. Nie zauważono, kiedy wszedł do ich schronu i jak długo stał w ich pobliżu, zarośnięty, wymizerowany, blady.

- Ziutek i Włodek, wyjdźcie ze mną na chwilę.



Jeremi odwrócił się i ruszył ku wyjściu. Ziutek złożył notes, wsunął go do kieszeni na piersiach wiatrówki, wziął karabin i poszedł wraz z Włodkiem za Jeremim, który zniknął w wyjściu.

Kiedy Jeremi wychodził ze schronu, nad placem krążyło kilka samolotów.

Zawahał się chwilę - może wrócić? Nie, nie warto! Szybko skierował się do jednego z korytarzy zrujnowanego pałacu. Nagle potężny wybuch wstrząsnął wypalonym gmachem. Z

sufitu opadał tynk, wylatywały ze ścian rami okienne, gęsta chmura kurzu przesłoniła światło dnia. Jeremi przywarł plecami do muru i ogarnięty przez zupełną ciemność, dusił się dymem, kurzem, wapiennym pyłem. Ponowny straszliwy wybuch. Potem trzy ciężkie uderzenia, przebijające sufity kilku kondygnacji. Niewypały? Czasowe? Mija kilkanaście sekund -

wybuch! I znów! I znów! Czasowe. Wypalony pałac drży cały, chwieje się, pęka, wali. Koło Jeremiego runął fragment ściany i zapadła się podłoga. Ciemny gąszcz kurzu narasta. Ale równocześnie świadomość chwyta zanikający warkot motorów. Odleciały.

Wyciągnąwszy przed siebie rękę i ostrożnie wymacując stopami drogę, Jeremi ruszył powoli w stronę, gdzie powinno być wyjście. Dotarł do drzwi i usiłował je otworzyć - bez rezultatu. Dusił go kurz. Przyłożył chustkę do nosa i ust - niewiele pomagało. Około pięciu minut krążył w ciemności wśród gruzów usiłując odszukać jakieś wyjście. Okropny kaszel i duszność odbierały mu zdolność myślenia. Wreszcie poprzez opadający kurz dostrzegł część zachowanego otworu okiennego. Dobrnął tam, przelazł przez okno i wyłonił się wreszcie z kłębowiska kurzu na placu przed dziesiątkiem wystraszonych ludzi. Był cały szary. Miał

także zupełnie szarą twarz.

Bielwały mu tylko białka oczu. Ktoś podbiegł do niego i chciał ująć go pod ramię, Jeremi odsunął go i krztusząc się, zawołał:

- Jest tu ktoś z „Parasola”?

- Jestem. - Ziutek podobnie jak Jeremi miał głowę i mundur pokryte gęstą powłoką kurzu.

- Leć do kwater... Natychmiast tutaj... Siekiery, łomy, kilofy, nosze...

I zwracając się do wystraszonych gapiów: - Panowie, kto może, proszę pomagać. - Gdy to mówił, patrzył cały czas w stronę gmachu Sądu Apelacyjnego, w którym zostawił Jasię.

Poprzez opadający kurz dostrzegł wreszcie tamten gmach: stał cały.

Wypalony uprzednio pałac Krasińskich stanowił teraz jedną ogromną ruinę, w części zaś -

górze gruzów, wśród których sterczały resztki ścian. Nad wszystkim unosiła się chmura kurzu i dymu.

Kierowanie pracami ratowniczymi objął czarny, wysoki Włodek. Pracowano pod ogniem nieprzyjacielskiej broni maszynowej, granatników i moździerzy.

Pracowano bardzo ofiarnie. Raz tylko udało się wyciągnąć zasypanego: jeniec niemiecki odkopał Płomienia.

Po kilku godzinach gorączkowej, wyczerpującej roboty jasna się stała jej beznadziejność: strop piwnicy, w której znajdowała się kompania Rafała, zawalił się, grzebiąc pod sobą wszystkich ludzi.

Kompania Rafała prócz tych, którzy byli na linii, została zasypana 27 sierpnia rankiem. 28 sierpnia przed wieczorem został zasypany w swej kwaterze przy Franciszkańskiej pluton

„Sad” z kompanii „Rudy”. Zginęło czternastu ludzi „Sadu” - w tym cała drużyna Wąsika -

oraz czterech ludzi z „Maćka”, którzy przyszli odwiedzić kolegów. Owego dnia od wczesnego rana do późnego wieczora krążyły nad Starym Miastem samoloty i zrzucały pociski. Na miejsce tych, które wyzbyły się bomb i odlatywały po nowy ładunek, przybywały z pobliskich lotnisk nowe maszyny obciążone śmiertelnie ciężarem. Lotnicy niemieccy czuli się całkowicie bezpieczni: od początku powstania żaden myśliwiec, żadne działo przeciwlotnicze nie zakłóciło ich rajdów, a karabiny maszynowe powstańców tylko raz jeden miały szczęście ugodzić w jakiś splot nerwów maszyny, która spadła na Hipotecznej.

Ciężkie bomby lotnicze, trafiając w odwieczne kamienice Starego Miasta, łatwo przebijały zestarzałe stropy kilku kondygnacji i wybuchały często dopiero w piwnicach, zamieniając w górę gruzów cały budynek.

Tak właśnie było z Franciszkańską 12. Ludzie „Sadu” i „Maćka”, którzy tu zginęli, stanowili tylko część okrutnej daniny pobranej przez los z tego domu.

Andrzej Morro w chwili wybuchu był w sąsiednim budynku; nie mógł wydostać się przez drzwi, wyskoczył więc oknem. Nie mógł poznać małego podwórza i cmentarzyka, który był

na nim. Gdy spojrzął na dom, w którym kwaterował „Sad”, ujrzał ścianę przechyloną do tyłu, a u jej szczytu - resztki palącego się dachu. Cała kwatera została zamieniona w kupę palącego się gruzu. Pobiegł poprzez kłęby kurzu do tego gruzowiska, równocześnie biegli tam już i inni powstańcy, aby wyciągać, kogo się da, i ratować od spalania.

W wyłomie ściany ukazuje się Wojtek Lenart, spod hełmu cieknie krew, spadając stróżką na obsypany pyłem mundur, w oczach - strach. Podchodzi do Andrzeja Morro kierującego akcją ratowniczą i chwyta go za rękę.

- Andrzej, tam, tam - pokazuje ręką na rumowisko.

- Opanuj się, Wojtek. - Andrzej bierze w ramiona powstańca i lekko nim potrząsa.

- Tam leży mój brat, Andrzej, ratuj!

Ogień z przeraźliwą szybkością ogarnia całe gruzowisko, uniemożliwiając pracę ratowniczą.

Nie ma wody.

Kompania Rafała została zavalona 27 sierpnia. 28 sierpnia został zavalony gruzem pluton

„Sad”.

30 sierpnia Giewont, dowódca trzeciej kompanii „Zośki”, siedział przy niewielkim stole w pokoju na parterze przy ulicy Zakroczymskiej 5. Dom ten w owym czasie stanowił jedno z ogniw północnego frontu Starego Miasta. Tu była linia. I tego właśnie dnia kompania Giewonta obsadziła owo ogniwo linii. Część jej siedziała w pokoju razem z Giewontem, inni byli na stanowiskach.

W poprzednich dniach kompania miała w swym posiadaniu dom przy Zakroczymskiej 9. Po spaleniu go przez nieprzyjaciela - zajęła Zakroczymską 7. Dziś ustabilizowała stanowiska obronne przy Zakroczymskiej 5. Obok - plutony „Rudego” obsadziły garaże fabryki „Fiata”.

Giewont siedział przy stole i czyszcząc swój pistolet rozmyślał. Przed dwoma dniami wysłał

list do Śródmieścia, do Stefana Orszy, naczelnika Szarych Szeregów. Pismo było następującej treści:

Stefan! Długo namyślałem się nad tym listem, ale nie mam już wątpliwości.

Postaraj się jak najprędzej przyjść do nas kanałami. Z nami - bardzo źle.

Obydwu batalionom grozi zagłada. „Rudy” wchłonął trochę nowych, ja przyjąłem dziesięciu.

„Maciek” podobnie - i dlatego zachowujemy jeszcze pozory kompanii i plutonów. Ale nabojów mamy tak mało, że wolno strzelać tylko do celów widocznych i z bliska. Spośród 26

chłopców i dziewcząt (to cała moja kompania razem z nowymi) prawie trzy czwarte ma rany.

Nieliczni cali są tak przeciążeni służbą, że walą się z nóg. Chłopcy nie boją się zabicia, bardzo się boją poważnego zranienia, bo w szpitalach - straszne rzeczy. Gdy mamy akcję, do walki idą nie tylko kaleki, ale i kucharze, i dziewczęta. Wszyscy pragną już tylko końca powstania i wkroczenia Rosjan.

Tu nie ma całych domów ani ulic: góry gruzów.

A o ludności tylko tyle: tłum skupiony w podziemiach i w nawach franciszkanów chciał

wyjść na stronę niemiecką. Dowódca odcinka zagroził, że każe strzelać do wychodzących, więc zostali. I to Ci jeszcze powiem, że ludzie są opanowani przez strach, że mężczyźni nie chcą wychodzić z piwnic nawet dla ratowania zasypanych. Trzeba ich zmuszać groźbą. Kilka oddziałów powstańczych opuściło już Starówkę kanałami, jeden - samowolnie, sterroryzowawszy posterunek pilnujący wjazdu.

Stefan - przyjdź szybko. Naprawdę ginimy. Nie wiem, jak nam możesz pomóc, ale pomóc musisz. Tylko ty możesz rozmawiać z naszymi wodzami jak równy z równymi.

Giewont kończył czyszczenie pistoletu. Na rękach widoczne były ślady oparzeń i skaleczeń.

Przymknąwszy przekrwione z niedospania i od kurzu oczy, zastanawiał się. Dziś Orsza powinien już tu przybyć ze Śródmieścia.

Lada godzina. Pod ścianami drzemali wymizerowani, wymęczeni ludzie przeważnie z ranami  
- nie dogojonymi lub świeżymi.

Nagle koło wejścia zrobił się ruch i szybkimi krokami zbliżyła się jakaś osóbką. Giewont spojrzął na przybyłą i zamrugał oczyma. Miał przed sobą dziewczynę w powstańczym mundurze, z zawadiacko włożoną czapeczką, rozgorączkowaną, zarumienioną.

- Panie poruczniku, łączniczka Iza z kompanii „Rudy” melduje się z pismem podchorążego Andrzeja Morro. - Głos miała dźwięczny, zdecydowany. Giewont osłupiał z wrażenia.

Niektórzy z siedzących w pobliżu chłopców wykrzywili twarze, jakby w uśmiechu.

- Skąd się pani wzięła w „Rudym”?

- Ja, panie poruczniku, jestem z „Dysku”. Całe powstanie kwasiałam się.

Dopiero teraz dostałam porządny przydział. I tak się cieszę, że do „Zośki”.

Tu dopiero mam prawdziwą robotę. I podchorąży Morro... Ale, przepraszam, panie poruczniku, pan podchorąży czeka na odpowiedź. Pilne.

- Jeszcze moment. Jak tam u was na gruzach Jana Bożego?

- Bardzo dobrze, panie poruczniku. Właśnie stamtąd idę. Zachodnią część terenu mają Niemcy, ale my trzymamy się we wschodniej części. Tam teraz siedzi drużyna Księcia, wie pan porucznik, ci, co wrócili z Kampinosu i Żoliborza. Więc jak będzie z tym erkaem, panie poruczniku?

Giewont przeczytał kartkę Andrzeja.

- Proszę powiedzieć, że erkaem przyślę wieczorem. Ale tylko na tę jedną akcję i bez amunicji oczywiście.

- Tak jest, panie poruczniku.

Zasalutowała, zrobiła w tył zwrot i odeszła tak samo sprężysto, jak weszła. Giewont długo patrzył w otwór okna, przez które wyszła łączniczka, i w zamyśleniu pocierał swędzące go dłonie. Powiedziała, że się cieszy...

Cieszy się! Giewont mocniej potarł dłonie i chciał splunąć ze złości.

Cholerny naród. Wstał i wyszedł na obchód stanowiska.

W podwórzu natknął się na Marynę. Była jak zawsze spokojna, ze swą torbą sanitarną przy boku. Jej krótko obcięte, wijące się włosy, znajdowały się w lekkim nieładzie, czapeczkę miała przewieszoną przez torbę. Tylko twarz, uderzająco blada twarz, jeszcze przed paroma tygodniami tak pięknie zarumieniona, zdradzała nie przespane noce, wyczerpującą pracę i udręki duszy. Prawy policzek zasłaniała warstwa gazy, z widocznymi na niej śladami krwi.

- Dzień dobry, Maryno. Jesteś ranna?

- To szczeniak, od tego się nie umiera. - Maryna usiłowała się uśmiechnąć. A po chwili: -

poczekaj, mam do ciebie sprawę.

Giewont cofnął się pod ścianę i wysłuchał Maryny. W sąsiednim podwórzu, pod numerem siódmym, dzień i noc stała kolejka ludzi po wodę. O parę kroków od tego miejsca był ustęp podwórzowy w ohydny stan. Trzeba koniecznie ten ustęp doprowadzić do porządku.

- Beznadziejna praca, Maryno.

- Ależ, Giewont, roje much...

- Zajmiesz się tym, jeśli mi się uda zmusić ludzi do tej roboty?

- Dobrze.

Już miał odejść, lecz przyjrzawszy się uważniej Marynie, powiedział:

- Jesteś bardzo zmęczona, powinnaś przespać się ze dwie godziny.

- Zmęczenie? Jestem przede wszystkim zmęczona życiem, a tego dwugodzinny sen nie naprawi.

Rozstali się. Giewont zatroskany poszedł na pierwsze piętro. Tam przy szparach okien stały posterunki z bronią gotową do strzału.

Z Koźlej 7, gdzie teraz znajdowało się miejsce postojowe „Brody” i „Zośki”, nadeszło dwóch ludzi niosących obiad. Było to jedyne danie, to samo, które jedli już w ciągu trzech poprzednich dni - „plujzupa” - gorący, ocukrzony płyn z jakąś nie łuskaną kaszą, której powłokę trzeba było wypluć.

Giewont dał hasło do obiadu i w parterowym pokoju zeszli się wszyscy prócz pełniących służbę na posterunku pierwszego piętra. Dochodziła godzina 14.30. Strzelec Zan na widok

„plujzupy” odczuł takie zniechęcenie, że opuścił pokój i na ochotnika poszedł zastąpić czujkę, ulokowaną przy szczycie gruzów koło pasażu do „Fiata”. Ledwo zdążył urządzić się tutaj, zauważył nadlatujący samolot, który najpierw zatoczył koło nad ich stanowiskiem, potem zszedł w lot nurkowy i gdy z wyciem pikował w ich stronę, Zan ujrzał trzy kolejno odrywające się od jego kadłuba bomby.

Zerwał się, pobiegł i... nie wie, co się stało dalej. Z omdlenia ocknął się dopiero po odkopaniu go z gruzowiska.

Wydobyto także z gruzów sanitariuszkę Marynę. Ta jednak nie odzyskała przytomności i w takim stanie odniesiono ją na noszach do szpitala.

Prócz tych dwojga - Maryny i Zana - oraz kilku ludzi przebywających w szpitalu i na mieście cała kompania Giewonta, wraz ze swym dowódcą, przestała istnieć. Nie zachował się żaden świadek ich męki, gdyż Maryna - choć jeszcze żyła parę dni - także nie przemówiła.

Jedynie na podstawie protokołu ekshumacji, przeprowadzonej tu w pół roku po powstaniu, można domyślać się tego, co się stało. Odkopano ciała ludzi stojących w kolejce po wodę na sąsiednim podwórzu, odkopano również ciała tych, co zginęli w piwnicy - dwaj mężczyźni, których śmierć zaskoczyła przy grze w karty, zostali odsłonięci w realistycznych pozach.

Resztki zwęglonych kości około dwudziestu czterech ludzi kompanii Giewonta, skupionych w pokoju parterowym oraz w położonym bezpośrednio nad nim pokoju pierwszego piętra, zmieściły się w jednej miednicy i w żołnierskim hełmie.

Gdyby nie liczne żelazne przedmioty - pistolety, fragmenty karabinów, hełmy - można by mniemać, iż wieść o zniszczeniu w tym miejscu kompanii Giewonta jest wymysłem.

Po samym Giewoncie pozostał jeden tylko ślad: srebrny łańcuszek z dwoma medalikami.

Anoda dostał się do szpitala przy Miodowej 23 na skutek rany w pierś.

Rana ta nie była na tyle ciężka, aby przykuć Anodę do legowiska. Co parę godzin opuszczał

siennik i snuł się po podziemiach zapełnionych rannymi. W swej ułańskiej czapce - cudem jakimś zachowanej przez cały ten miesiąc - czapce, którą zdejmował z głowy tylko na noc, wysoki, szczupły, dowcipkujący, był jedną z najbardziej charakterystycznych postaci podziemnego szpitala. Umiał przechodzić obok ludzi leżących prostopadle do ścian na siennikach lub słomie przykrytej kocami i ranni nie przeklinali go za nadeptanie lub potrącenie. Udawało mu się przeciskać nawet do najciężej dotkniętych kolegów, leżących na nielicznych łózkach. Na szczęście piwnice szpitala były nieźle oświetlone. Elektrycznością!

Anoda, zamiłowany w technice, przygotowujący się do zawodu elektryka, z podziwem rozprawiał na temat załogi elektrowni na Powiślu. „Z ikrą muszą być chłopcy!” Na salach coraz trudniej było o

spokój. Choć chirurg Brom sypiał tylko 3-4 godziny na dobę, choć personel lekarski i pielęgniarski pracował ponad możliwości, nie nadążano z operacjami.

Przewlekały się niepokojąco zmiany opatrunków. Zapach ropy i wydzielin zatruwał powietrze (piwnice nie miały wietrzników, okienka zaś były założone ziemią), a z sali operacyjnej, mimo wysiłków odizolowania jej, dochodziły nieludzkie głosy bólu i rozpacz.

Wyczerpała się narkoza i zabrakło morfiny do uśmierzania bólów, Brom operował więc „na żywca”, starając się oddziaływać na krzyczących z bólu perswazją („człowieku, nie wstyd ci?”), a niekiedy, gdy ranny uniemożliwiał operację, musiał używać siły. Fragmenty dramatów rozgrywających się na „salce” operacyjnej wdzierały się do pomieszczeń z rannymi, wzmagając nastrój podniecenia. Zresztą na „salach” też nie brakło źródeł nerwowego napięcia.

Niedaleko Anody leżał ciężko ranny, który niemal nieprzerwanie, monotonnym głosem wołał:

- Siostrzyczko - na chwilę. - Ledwo przywołana pielęgniarka odeszła od wzywającego, a ten znów swoje: - Siostrzyczko, proszę przyjść, na chwileczkę. - Ranny nie mógł

unieść głowy, leżał w najciemniejszym kącie piwnicy, rzadko więc Anoda dostrzegał

przeraźliwie bladą, wychudzoną twarz. Uprzedniego wieczoru był szczególnie dokuczliwy.

Zgaszono już światło, ranni usiłovali zasypiać, a ten monotennie i głośno: - Siostrzyczko - koniecznie, mam krwotok. - Pielęgniarka ułożyła wysoko nogę rannego - cóż mogła zrobić innego, gdy zabrakło już żelatyny do tamowania krwawień - istotnie bandaż miał straszliwie przekrwione. Anoda odwrócił się, nie chciał na to patrzeć. Ale ledwo sanitariuszka odeszła - ranny znów: - Siostrzyczko, na miłość boską... - Wówczas z przeciwległego końca sali ktoś krzyknął: - Ty, gnojku, milcz tam, jełopo głupia, spać nie dajesz. - Głos ten wyzwolił uczucia tajone w kilku innych piersiach. Rozległy się najordynarniejsze, najplugawsze przekleństwa miotane w kierunku molestującego rannego.

Gdy złorzeczenia ustały, jakiś głos kobiecy zawołał: - To wy tak do rannego kolegi? Obyście w najgorszych bólach marli! - Zapanowała zupełna cisza.

Milczał niecierpliwym ranny, milczeli przeklinający. Anoda uniósł nieco głowę. Tak, to Renia.

Minęła noc. Rankiem Anoda podszedł do siennika Reni. Uśmiechnęła się blado na widok jego czapki. Zaczęli rozmawiać o przykrym nocnym zajściu, potem - o oddziałach „Zośki”, ale rozmowę trzeba było przerwać, gdyż zbliżała się poranna toaleta. Podeszła pielęgniarka, aby uporządkować pościel Reni i umyć ją mokrym ręcznikiem. Nawet w tych najcięższych czasach usiłowano tu zachować tradycję porządku szpitalnego i przemęczona służba zdobywała wodę do oszczędnego mycia rannych, prześcielała legowiska, dość punktualnie podawała mizerne posiłki.

Anoda powlókł się do siebie. Zbliżała się pora śniadania.

Fajna baba, ale narwana - myślał jedząc owsiankę.

Dialog, który w myślach prowadził z Renią, uchronił go tym razem od przykrości, jaką zawsze odczuwał zabierając się do jedzenia z talerza, na który nałożono potrawę bez umycia go po poprzednim chorym.

Wkrótce po śniadaniu zjawił się - jak zwykle - ojciec Paweł dla odprawienia mszy przy ołtarzyku zaimprovizowanym w jednej z „sal”. Tym razem wydawał się jakiś niespokojny.

Wysmukły, czterdziestoletni zakonnik był lubiany przez „Zośkę”. Widziano, jak na Woli wynosił z cmentarza ewangelickiego na plecach jednego z rannych, a nie były to chwile bezpieczne. Podobne fakty sprawiały, iż w oczach młodych żołnierzy „Zośki” wzrastała sugestywność wychudłej, ascetycznej twarzy jezuity. Ranni, którzy obserwowali dziś ojca Pawła, jego nerwowe niekiedy ruchy i zdania przerywane w pół słowa, pojęli, iż jest w złej formie. Dlaczego? Niepokój zakonnika udzielił się całej sali, gdy ojciec Paweł zapowiedział

absolucję dla wszystkich - bez spowiedzi indywidualnej - którzy przywołają w myślach swe grzechy, wzbudzą za nie żal i odmówią akt skruchy. Gdy to się stało, udzielał komunii tym, którzy zapragnęli. Przyjęli ją niemal wszyscy. Ostry niepokój wywołany niezwykłością sytuacji rozpraszał się w nastrojach modlitewnego skupienia i na nowo rodzącej się ufności.

Wśród nielicznych, którzy nie przystąpili do komunii, było także dziesięciu jeńców niemieckich, leżących w osobnej grupce na jednej z sal szpitalnych. Byli protestantami. Gdy Anodzie minął modlitewny nastrój, powlókł się do Niemców. Znał niemiecki i niekiedy chciało mu się wywiedzieć czegoś od nieprzyjacielskich żołnierzy lub wytłumaczyć im dobitnie, co myśli o Hitlerze.

Początkowo Anoda - jak wielu innych - zżymał się i złościł, gdy obserwował stosunek lekarzy i sanitariuszek do Niemców, gdy widział, iż opatrunki, zabiegi, posiłki otrzymują na równi z powstańcami. A gdy pewnego razu spostrzegł, iż jeńcom, podobnie jak powstańcom, rozdaje się czekoladę, ogarnęła go taka wściekłość, iż prasnął swą tabliczką czekolady o posadzkę i soczyście, ostro zaklął. Ale po pewnym czasie poczuł wątpliwości i nawiedziły go skrupuły, tak że zawahał się w swym nieprzejednaniu. I chociaż nigdy nie nabrał do rannych Niemców życzliwości, to jednak począł na nich patrzeć spokojniej.

Podczas obiadu (krupnik i zbożowa kawa) podziemie szpitalne drżało od niedalekich wybuchów bomb. Przed kolacją przyniesiono kilkudziesięciu nowych rannych i tu i ówdzie rozległy się narzekania tych, którzy musieli się ścieśniać na swych legowiskach. Przecież i tak niemal dotykają obolałymi ciałami jeden drugiego! Znaleźli się jednak znajomi lub koledzy świeżo przyniesionych i ci chętniej robili miejsce nowym.

Nieludzkie krzyki, dochodzące z salki operacyjnej, stały się przed wieczorem nie do wytrzymania. W pewnej chwili operowany zaczął krzyczeć: - Dosyć, dosyć, zabijcie mnie, zabijcie! - a potem wył jak zwierzę. Nawet Anoda nie mógł tego znieść. Położył się i zatkał

uszy palcami. Niewiele pomogło. I dopiero przybycie na salę doktor Przemysławy wprowadziło pewne odprężenie. Ta pięćdziesięcioletnia kobieta miała niemal hipnotyczny wpływ na rannych. Jej cichy głos, powolny chód, łagodne ruchy rąk, jej zdumiewająca pogoda ducha, wyczuwalna pomimo braku uśmiechu na twarzy, wprowadzały na salę atmosferę spokoju. Nawet gdy drżały mury, gdy



krzyczał ktoś rozpaczliwie pod lancetem lub piłą Brom, widok doktor Przemysławy uspokajał znękaną duszę. Zdawało się niekiedy rannym, że sam tylko dotyk jej rąk uśmierza bóle, uspokaja serca.

Gdy nadeszły późne godziny wieczoru, zapanował na salach spokój. Nie groziły już pociski z samolotów ani „szafy”, ani artyleria i Brom w tych godzinach unikał głośniejszych operacji.

Odprężały się nieco nerwy. Służbę objęła doktor Magdalena, inna niezwykła lekarka tego szpitala.

O tej porze Michał, Anoda, Wojtek Synon i kilku innych mimo woli nasłuchiwali charakterystycznych kroków, które co drugi - trzeci dzień rozbrzmiewały w korytarzu piwnic szpitalnych. Cieszyli się z tych wizyt, wspominali je w rozmowach następnego dnia. Jest!

Uśmiecha się Anoda, uśmiecha Michał: kroki podkutych butów dźwięczą ostro na kamiennej posadzce i w światło piwnicznej sali wkracza wysoka, męska sylwetka w hełmie, panterce, z kijkiem leszczynowym w ręku: Andrzej Morro. Jest bodaj jedynym dowódcą, który systematycznie odwiedza rannych towarzyszy. Oczywiście - kosztem skróconego snu.

- Serwus, Anoda, pozdrowienia od Księcia! Serwus, Michał, mam dla ciebie kartkę od panny.

Witaj, Sławek. Halo, a gdzie położono Matkę Grakchów?

- Jak to? Joanna jest tu? - pyta Anoda.

- To nie wiecie? - Andrzej spoważniał. - Dziś została ranna i powinna być tutaj. Anoda, szukamy.

Ruszają wzdłuż legowisk i po kilku minutach znajdują Joannę. Leży nieruchoma, płytko oddychając. Ale oczy ma otwarte, przytomne. Młodzi ludzie klękają przy jej sienniku i cicho wypytyują o zdrowie. Joanna odpowiada krótkimi zdaniami, między którymi czyni dłuższe przerwy. Gruby bandaż na czole nie przysłonił gęstych, słomianożółtych włosów ani pięknej twarzy młodej kobiety, która po śmierci Dużej Zosi stała się jedną z najpopularniejszych sanitariuszek „Zośki”. Nazywano ją Matką Grakchów i młodzi żołnierze otaczali istotnie tę dwudziestojednoletnią medyczkę uczuciami podobnymi do uczuć synowskich. Była prawdopodobnie najpiękniejszą dziewczyną „Zośki”, oddana chłopcom bezgranicznie i... bardzo silna! Iluż rannych wyciągnęła z najgorszych odcinków linii! Mogła rannego wynieść na rękach jak dziecko, niektórych wyciągała z terenów walki na własnych plecach. Była lekarzem z powołania i marzyła - podobnie jak Duża Zosia - o medycynie społecznej.

- Joanno - mówi Andrzej - przyniosłem trochę prawdziwej herbaty. Napijesz się? Będzie mocna, aromatyczna.

Joanna uśmiecha się i potakuje przymknięciem powiek. Kiedy parzono herbatę w kuchni, Anoda przy pomocy Andrzeja umył zmoczoną szmatką nogi Joanny powalane krwią i czymś ciemnym. Potem ostrożnie poprawili poduszkę.

Joanna patrzyła na obydwu opiekujących się nią młodych ludzi i nic nie mówiła, ale gdy skończyli, poprosiła, aby podali jej swe ręce. Uścisnęła je: - Jesteście dobrzy chłopcy i dobrzy koledzy. - Usiłowała mówić zwykłym, normalnym głosem.

Pomogli jej wypić herbatę. Andrzej widział, z jaką przyjemnością łyka aromatyczny płyn, zapragnął więc sam spróbować, lecz przemógł się i poprosił Anodę, aby poczęstował herbatą innych rannych.

- Już dawno nie piłam czegoś równie rozkosznego - powiedziała Joanna. - Andrzej, a jak tam na linii? Co w „Maćku”? Jak Słoń?

Podczas rozmowy przykuśtykał na kulach Wojtek Synon. Był wzruszony widokiem Joanny.

Tak często spotykał w jej towarzystwie Ewę. Po pewnym czasie Andrzej odszedł do innych, aby opowiedzieć nowiny z kompanii i plutonów. Na pytania ogólne o sytuacji odrzekł: -

Kiepska, ale musimy wytrzymać.

Kiedy dyżurna pielęgniarka zapowiedziała zgaszenie światła, Michał zaczął tradycyjną pieśń obozów harcerskich, którą podchwyciła cała sala:

Idzie noc, słońce już

Zeszło z gór, zeszło z pól, zeszło z mórz.

W cichym śnie głowę złoż,

Bóg jest tuż...

Drugi raz powtórzyli tę pieśń półgłosem, po raz trzeci - „mruczando”.

Gdy pogasły światła, Andrzej, ściskając ręce Anody i Michała, powiedział:

- Jesteście oazą równowagi ducha i spokoju w otaczającym świecie.

- Nie każdego wieczoru - mruknął Anoda.

Andrzej oddalił się, usiłując stąpać jak najciszej. Przy sienniku Joanny przystanął, lecz Matka Grakchów spała. Poszedł więc ku wyjściu, a gdy przechodził obok sali operacyjnej, dostrzegł

przez uchylające się drzwi przygarbioną nad stołem operacyjnym postać i zbrukany fartuch.

Nie mógł poznać, czy operującym jest Brom. Na framudze uchylonych drzwi salki operacyjnej spały setki wielkich, czarnych much.

Andrzej Morro wyszedł ze szpitala przez zawałone gruzem podwórze, pod wypalonym szkieletem bramy i na chwilę stanął zapatrzony w miasto. Szpital mieścił się w ruinach domu przy roku Długiej i Miodowej, miał więc Andrzej przed oczyma obydwie te ulice oraz panoramę placu Krasińskich. Niebo było jedną olbrzymią łuną pożarową, płonęło między innymi kilka domów na Długiej w stronę Freta, a w czarnych, brunatnych i siwych kłębach dymów przewalających się po niebie widać było niesamowite migotanie krwawej poświaty.

Ogrom zniszczenia, który tu nastąpił w ciągu kilku ostatnich dni, zmienił do tego stopnia wygląd wszystkiego, iż Andrzej przestawał poznawać otoczenie. Miodowej właściwie nie było. Gruzowiska domów zwalone w kierunku jezdni utworzyły wielkie pagóry, których nierówne, falujące, dziwacznie powyginane zbocza zapełniały wąwóz dawnej ulicy, sięgając niekiedy szczytu sterczących szkieletów fasad. W ulicę Długą, w jej część bliższą Starego Miasta, wysypywały się także gruzy rozbitych gmachów, ale ponieważ ulica ta była szeroka, zwałiska nie wypełniały całej jezdni - środkiem biegła wijąca się dolina, zagrodzona barykadą, jakże mizerną i niską wobec sąsiadujących z nią zwałów gruzu. Inna część Długiej, ta w kierunku Arsenału, przedstawiała tak nieprawdopodobny chaos rumowisk, resztek rozwalonych ścian, samotnie sterczących kominów, zapadłych domów, przez które otwierały się nowe perspektywy, iż Andrzej niczego już nie poznawał. Liczył tylko w myślach: Długa 25 - to jeszcze powstańcze ruiny, z których ruszył do natarcia Rafał, Długa 27 - to teren niczyj, Długa 29 - tu zginął Rafał, usiłując zdobyć teren Długiej 31 obsadzony przez Niemców. Może od tego czasu Niemcy przysunęli się bliżej?

Trzeba odwiedzić Jeremiego - pomyślał Andrzej. - Chłop na pewno znów się dręczy. Za wiele na niego spadło.

Odczuwał ogromne zmęczenie i wiedział, że o świcie zostanie obudzony.

Jednakże przemógł się i poszedł do ruin Sądu Apelacyjnego, w którym znajdowała się kwatery „Parasola”. Gmach sądu mieścił się naprzeciwko szpitala, ale wejście prowadziło od strony placu Krasińskich. Plac był wymarły i tylko z rzadka przemykały się pojedyncze postacie lub niewielkie grupki. Powietrze nasycił dym, lekki wiatr niósł popiół i kurz.

Niekiedy nawiewał także woń rozkładających się ciał. Działa milczały. Tylko od czasu do czasu fiutnął pocisk karabinowy lub wystrzeliła ku górze kolorowa rakietka rozpryskując się po niebie snopem iskieł.

U wejścia Andrzej podał hasło i wnet znalazł się w pokoju dowódcy batalionu. Jeremi jeszcze nie spał, kończył odprawę służb. W pokoju stało sześciu czy siedmiu ludzi, a za nimi - jak za sztachetami parkanu - dostrzegł Andrzej skuloną na tapczanie, przykrytą kocami postać z białą bandaża na dolnej części twarzy.

Andrzej podszedł do tapczanu. Jasia leżała z otwartymi oczami. Oczy te zmrużyły się lekko, gdy poznała Andrzeja. Przysunęła się nieco do ściany, robiąc mu przy sobie miejsce.

Nie chciała mówić, tylko gestami reagowała na słowa Andrzeja. Już po kilku minutach Andrzej odniósł wrażenie, iż młodzianka żona Jeremiego jest w złym stanie psychicznym.

Była niespokojna i jakby zagubiona. Co chwila spoglądała na Jeremiego. Andrzej też począł

mu się przyglądać. Jeremi był zawsze abnegatem, lecz obecnie zdradzał większe zaniedbanie niż kiedykolwiek. Andrzej odczuł niemal zażenowanie, iż jest jak zawsze ogolony i oczyszczony. Rozglądając się zauważył na stołku pistolet maszynowy Jeremiego, wziął go do rąk: był czysty i świeżo nasmarowany.

- Czy to ty czyścisz Jeremiemu broń?

- Nie, on sam - odpowiedziała ruchem głowy Jasia.

Andrzej uśmiechnął się. No, nie jest tak źle!

Zostali wreszcie sami, we trójkę.

- Przyszedłeś mnie pocieszać po śmierci Rafała, tak? - spytał Jeremi.

Patrzył na Andrzeja niemal ostro.

- No, nie tylko... Myślałem, że może i ty mi coś powiesz, widzieliśmy się przecież przed śmiercią Jaśka i Piotra.

Jeremi zmiękł. Podszedł do Andrzeja i dotknął jego ramienia.

- Nie gniewaj się, stary. Człowiek jest czasem w myślach jak osaczone zwierzę. Rafał, Bonawentura, Piotr... A cała kompania Rafała zasypana tu, obok; dziś okrąża się ją z dala, bo smród bije z gruzowiska. A twój „Sad”?

Ile nas dziś zostało? Ile zostanie za dwa dni? Że giniemy fizycznie, to jest potworne, ale to jeszcze można by zrozumieć - jesteśmy wojskiem. Ale nad nami zawisło coś, co swą dziką niesprawiedliwością odbiera rozum.

Wczoraj szedłem z poczem przez zatłoczone piwnice, ktoś zawołał za nami:

„bandyci”.

Jeremi poszukał manierki i wypił kilka łyków. Ręka mu drżała. Jasia usiadła na tapczanie i błagalnie wyciągnęła ręce do męża. Usiadł przy niej.

Andrzej oparł się plecami o ścianę. Gdy zaczął mówić, mówił cicho i czynił wrażenie człowieka, który głośno myśli.

- Z tymi „bandytami” to rzecz skomplikowana. Boruta opowiadał taką przygodę: przed trzema dniami ich drużyna szła piwnicami; ludzie patrzyli spode łba i paru też mruknęło:

„bandyci”; po dwóch godzinach Boruta wracał z nieudanego wypadu tymi samymi piwnicami; miał skrwawioną dłoń, a za nim niesiono na kocach ciężko rannego; ludzie wołali:

„zrobić miejsce powstańcom”, częstowali papierosami, wypowiadali życzliwe słowa. Myślę, że przekleństwa spowodowane nadmiarem cierpienia nie mogą stanowić ani oceny powstania, ani oceny nas, żołnierzy powstania. Powinniśmy je wybaczyć tym nieszczęśliwym.

Jeremi zsunął dłonie Jasi ze swoich rąk i wstał nerwowo.

- Nie! Ja nie jestem święty ani zimnokrwisty jak ty! Mnie ta niechęć i nienawiść w ludzkich oczach pali. A najstraszniejsze jest to, że przestałem rozumieć, czy żal do nas jest wołającą o pomstę krzywdą i niesprawiedliwością, czy też zasłużoną zapłatą za naszą szaleńczą głupotę i nieudolność wojskowego myślenia. Zachwycałem się wojskiem, ale dziś go nienawidzę. Bo wiedza wojskowa i umiejętności wojskowe obnażyły swą nicość.

Choćby ta próba połączenia Starówki z Żoliborzem, która przecież nie jest wyjątkiem. Ale nie tylko to! Sama istota przewlekłych walk w gąszczu miasta, wciągnięcie w to wszystko setki tysięcy kobiet, dzieci, starców jest nie do zniesienia. A nawet rzecz nieżywa - mury: dziś było w komunikacie, że kościół Panny Marii przechodzi w walkach z rąk do rąk. Ja nie jestem humanistą, ja jestem technikiem, ale wiem, że te mury to piętnasty wiek, to najstarszy zabytek Warszawy. Rzygać mi się chce na wojnę.

Sięgnął znów po manierkę.

- Alkohol? - spytał Andrzej.

Jeremi przestał pić i spojrzał na Andrzeja tak, jakby go dopiero teraz zauważył.

Spochnurniał, uspokoił się od razu.

- Upijanie się? Cóż za bzdura! Ja się męczę, jestem w udreće, ale nie stałem się jeszcze szmatą. Wiem, że życie setki ludzi zależy w tym gruzowisku nie tylko od przypadku, lecz także od stanu mego umysłu.

Usiadł na krzeselku zgaszony, zmęczony. Patrzył gdzieś w kąt. Jasia zakryła twarz rękami.

- Ależ z ciebie nerwus - powiedział Andrzej. - Człowiek wprost czuje, jak się spalasz. Jeremi, trzymaj się, bo zniszczysz sam siebie.

- Trzymaj się! Puste hasło, nic nie znaczy. Daj mi punkt oparcia, daj mi coś, czego nie można chwycić.

Andrzej był bardzo zmęczony, ale ponieważ wiedział, że rozmowa ma dla nich obydwu wagę szczególną, nie przyśpieszał odejścia.

- Ja w tym młynie, Jeremi, nie miałem możliwości przemyślenia spraw powstania. Tak jak ty wyrażę na gorąco to, co czuję. A czuję inaczej niż ty, choć i ja miałem przez pewien czas chaos w duszy. Pamiętam rozmowę z Piotrem pod koniec Woli, gdy zginął Kołczan i strasznie skrwawił się „Alek”. Byłem w rozterce, zaczynałem wątpić w sens podstawowych prawd. Ale na szczęście to już minęło. Ja, Jeremi, też widzę bankructwo wielu rozpaczliwych koncepcji wojskowych i ciężkie straty, które ze sobą niosły.

Może gdyby na czele powstania stali ludzie bardziej przenikliwi i o większej wyobraźni, nasze straty byłyby mniejsze i miasto by tak nie ucierpiało. Ale te przypuszczalne błędy i cierpienia prawdy podstawowej: nasza walka jest słuszna, powstanie - to elementarna konieczność, najgłębsza potrzeba narodowa.

- Czy tak samo myśli naród stłoczony w piwnicach Starówki?

- Ludzie w piwnicach zbyt cierpią osobiście, Jeremi. Ale naród to nie tylko oni.

- Skąd znasz opinię całego narodu, wszystkich przeszłych i przyszłych jego pokoleń o Powstaniu Warszawskim?

Andrzej wstał. Teraz już nie mówił spokojnym głosem. Podeszedł do Jeremiego blisko.

- A ty skąd czerpiesz pesymistyczną wiedzę o sprawach narodowych? Ze statystyki? Z

głosowań? Obydwaj sięgamy do tego samego źródła, do naszych sumień. Ja w głębi samego siebie czuję i wiem, że powstanie było żywiołowym odruchem narodowej potrzeby przeciw terrorowi, przeciw poniewierce, przeciw śmiertelnemu wrogowi, który nas niszczył. I gdyby dziś, po tym wszystkim, co widziały na Woli i Starówce moje oczy, stanęła przede mną znów decyzja: iść do powstania czy nie, poszedłbym na nowo i wiem, że poszliby inni.

Andrzej oddychał szybko. Był wzburzony. Jeremi usiadł i patrzył na krążącego nerwowo po izbie przyjaciela. Jasia wpatrywała się weń również intensywnie, uważnie.

- My, Jeremi, walczyliśmy o dobra tak wielkie, że żadne ofiary nie mogą nas powstrzymać.

Walczyliśmy o wolność. Może w niebiosach są dobra cenniejsze, ale tu, na ziemi, wśród społeczności ludzkich, nie ma nic wartościowego nad wolność i sprawiedliwość. Nas tego pozbawiono. I my to przywracamy. A potworność otaczających nas zniszczeń, trupów, męki ludzkiej i naszej męki osobistej to miara naszego pragnienia wolności, to dowód, jak wysoką cenę gotowi jesteśmy płacić za wolność.

- A jeśli powstanie padnie? Jeśli te straszne ofiary okażą się bezcelową hekatombą?

- Nie, nie, nie! Wartości idei nie można mierzyć jej zwycięstwem militarnym. Zaszlibyśmy za daleko. Wynikałoby z tego, że tylko zwycięzcy mają rację. Niezależnie od tego, czy powstanie zwycięży wojskowo, czy padnie, nasza walka jest święta, nasza cena wolności wejdzie do skarbu dóbr narodowych. I nie tylko narodowych. Walcząc o własną wolność, walczymy o tryumf wolności w świecie. Gloria victis - chwała zwyciężonym - będzie kiedyś wyryte także na warszawskich cmentarzyskach powstańczych, jeśli ulegniemy w tej walce.

Andrzej zapinał ostrym szarpnięciem rzemień hełmu. Był już najwyższy czas na odejście, o świecie obudzi go przecież warta, musi przespać się kilka godzin, jeśli ma być zdolny do intensywnych działań następnego dnia, Podeszedł do Jasi i trzymał przez chwilę w swych dłoniach jej rękę. Nic do niej nie mówił, oddychał głośno, był najwyraźniej zmęczony. Ona zaś zęgnęła go przymrużeniem swych wielkich oczu, tylko Jeremi wiedział, iż zmrużenie to jest uśmiechem. Wstał też i odprowadził gościa do sieni. Nie uśmiechał się żegnając Andrzeja. Ścisnął mu mocno ręce.

- Zazdroszczę ci wiary - powiedział do przyjaciela odchodzącego w ciemną czerwień pożarów.

## XII. WYJŚCIE ZE STAREGO MIASTA

Następny dzień po odwiedzinach w szpitalu i u Jeremiego był dla Andrzeja bardzo ciężki.

Całe Stare Miasto, także odcinek obsadzony przez Zośkę, znajdowało się pod nieustannymi nalotami. Właśnie tego dnia o godzinie 14.30 „stukasy” zburzyły dom przy Zakroczymskiej, grzebiąc pod jego gruzami resztki kompanii Giewonta. Andrzej znajdował się wówczas tuż obok, na stanowiskach „Rudego” w ruinach garaży „Fiata”, ale po pierwszym zrywie musiał

zrezygnować z prób ratowniczych, nieprzyjaciel bowiem skoncentrował ogień granatników na dymiących gruzach Zakroczymskiej i na terenie „Fiata”, uniemożliwiając wydobywanie zasypanych.

W parę godzin potem łączniczka Jerzego wezwała Andrzeja alarmowo do dowództwa batalionu. Gdy przyszedł na Koźłą i zameldował się u Jerzego, zastał tam Orszę, naczelnika Szarych Szeregów. Przywitali się. Andrzej, siadając na łóżku Jerzego, powiedział:

- W gorący czas druh przybył tutaj.

- Spóźniłem się o kwadrans. Dostałem nagłą list Giewonta i wyruszyłem ze Śródmieścia od razu, jak tylko uruchomiono zatrzymaną przez pewien czas łączność kanałową. Idąc Koźłą widziałem atak „stukasów”, które zniszczyły dom na Zakroczymskiej i zabiły kompanię Giewonta. Spóźniłem się o kwadrans...

Orsza mówi to równym i jak zawsze spokojnym głosem; tylko bladość jego długiej, wymizerowanej twarzy i ręce zwisające ku cholewom gumowych butów zdają się nieco odsłaniać stan duszy. Dopiero po dłuższej chwili ręce te unoszą się, aby poprawić ramię pasa.

- Gdy wychodziłem ze Śródmieścia, pułkownik Monter polecił mi przekazać dowódcy Starego Miasta pakiet z ważnym rozkazem - dodaje Orsza. - Zdaje się, że wasz batalion jest od kilkudziesięciu minut objęty działaniem tego rozkazu.

- Jaki rozkaz?

Jerzy, który dotychczas nie przerywał krótkiej rozmowy swych gości, wstał.

- Andrzeju, wyjątkowej wagi rozkaz: dziś w nocy będziemy przebijać się do Śródmieścia.

Andrzej wstał również. Odczuwane dotychczas zmęczenie prysło. Zakotłowały się myśli i uczucia. Był tak przejęty, że nie mógł znaleźć słów, patrzył tylko intensywnie na Jerzego. A Jerzy podawał szczegóły. Dowództwo Starego Miasta stwierdziło, że dalsza obrona jest niemożliwa - oddziały są uszczuplone katastrofalnie, amunicji brak, stan szpitali i stopień zniszczenia dzielnicy fatalne.

Zdecydowano więc wyprowadzić wojsko powstańcze ze Starówki do Śródmieścia przez przebicie otaczającego pierścienia nieprzyjacielskiego. Śródmieście ma współdziałać. Czoło natarcia oddziałów Starówki stanowi „Zośka” i kilka innych wybranych batalionów. Te grupy szturmowe otworzą drogę pozostałym oddziałom powstańczym, które, zajmując „wyrąbany” korytarz, powinny utrzymać go przez pewien czas, aby umożliwić przejście lżej rannych i jeśli się da - ludności

cywilnej.

Andrzej słuchał i - być może pod wpływem wczorajszej rozmowy z Jeremim - nie mógł zdusić natarczywej myśli, iż wszystkie dotychczasowe koncepcje ofensywne kończyły się źle.

Czyż jest w ludzkiej mocy wyłamania się z otaczającego ich kotła za pomocą broni ręcznej: pistoletów, karabinów, granatów?

Myśli tych jednak Andrzej nie wypowiedział. Bo po co? Rzekł natomiast:

- Nie będzie to łatwe. Ale zrobić trzeba.

I rozładowując atmosferę skupienia, dodał:

- Jak z tego widać na Starówce nie będzie Termopilów, przewidywanych przez moich chłopców. To się dopiero zmartwią!

Roześmiali się.

- No, a teraz, Andrzej, do pracy - powiedział Jerzy. - Na początek sprawa rannych. Jak mówiłem, przewidujemy, że natychmiast po wyrąbaniu przejścia do Śródmieścia ranni zdolni do marszu mają przejść tym „korytarzem”. Ale - tu Jerzy potarł w zakłopotaniu brodę -

wolałbym jakiś spokojniejszy sposób ich, ewakuacji. Zjawienie się naczelnika jest opatrnościowe. Przełamałem jego pragnienie przyłączenia się do grup szturmowych i Orsza podjął się pokierowania ewakuacją przez kanały naszych rannych mogących chodzić. Jeśli masz, w plutonach ludzi nie nadających się do natarcia szturmowego, skieruj ich natychmiast do Orszy.

Andrzej kiwnął głową. To dobra myśl. To bardzo ważne - zabezpieczenie rannych. Krótko ustalił z naczelnikiem konieczne szczegóły, po czym Orsza odszedł do szpitali. Tymczasem przybyli major Jan, Kmita i inni. Rozpoczęto omawiać sposób opuszczenia dotychczasowych stanowisk i przejścia na podstawę wyjściową natarcia, wyznaczoną przy Bielańskiej.

Ogród Krasińskich. Kikuty nagich, osmalonych drzew straszliwie pokaleczonych pociskami.

Las krzyżów nad setkami mogiłek powstańczych, gąszcz lejów, powyrywanych z korzeniami drzew, spalonych krzaków, wyrzuconych z ziemi części zwłok.

W ostatnich paru dniach ogród Krasińskich skupił na sobie uwagę dowództwa Starego Miasta ze szczególnych względów. Część ogrodu pozostająca w rękach polskich stanowiła wąski pas ochrony placu Krasińskich, na tym placu zaś znajdował się najważniejszy obecnie punkt Starego Miasta: wjazd do kanału przy ulicy Długiej 24, przy placu Krasińskich. Władem tym postanowiono bowiem ewakuować rannych i żołnierzy bez broni do Śródmieścia. „Parasol” z natury swego usytuowania musiał uczestniczyć w obronie terenu przywłazowego, tej ostatniej nadziei ratunku.

Jeremi spełniał swe obowiązki dowódcy jak automat. Ostatnia rozmowa z Andrzejem Morro zapaliła



wprawdzie w duszy Jeremiego wątpy ogieniek optymizmu, ale słabe było to światełko wobec nieszczęść, które zwały się na niego i na „Parasol”.

Udręki duszy oraz wyczerpanie fizyczne spowodowało, iż wrażliwość Jeremiego stępieła w sposób uderzający. Gdyby nie Jasia - odczuwałby pustkę uczuciową graniczącą z zupełnym zubożeniem.

304

Wykonywał prace dowódcy mechanicznie. I choć odczuwał nieludzkie zmęczenie, a próbował wewnątrz ten nieprzerwany łańcuch meldunków, wezwań, żądań, rozkazów, prośb, zapytań, coraz inne twarze, coraz inne głosy, cały kalejdoskop szybko zmieniających się sytuacji.

Choć rozpadała się wiara i ufność, choć chwiały się uznawane prawdy i zasady, Jeremi czuł, wiedział, że obowiązek swój musi pełnić do końca. W to jedno nie wątpił. Obowiązek trzeba spełniać, choćby się walił cały świat zewnętrzny i wewnętrzny. Musi walczyć i musi ochraniać.

Wczesnym rankiem 30 sierpnia nastąpiła pierwsza faza masowej ewakuacji kanałami. Jeremi wykonywał służbę ochronną tego ruchu od strony ruin pałacu. Obchodząc teren widział, jak ze wszystkich stron dążyły tu szeregi lekko rannych i nie uzbrojone oddziały, ale widział

także, jak podążały masy kobiet, dzieci, mężczyzn - niewojskowych, mające nadzieję dostania się do kanału. Zapełniały się wszystkie sąsiadujące z włazem podwórza, ruiny, piwnice.

Posterunki żandarmerii powstańczej tonęły bezradne w masie kotłujących się ludzi. W pewnej chwili Jeremi zmuszony był zorganizować dostanie się do włazu grupy rannych dziewcząt, prowadzonej przez młodą kobietę ze szpetną raną głowy. Torując drogę tej grupie, Jeremi po raz pierwszy osobiście zetknął się z włazem. Najpierw musiał dostać się przez podziemie do domu przy ulicy Długiej 24. Szedł przez korytarze podziemne i otwory wybite w murach, trzymając się przymocowanej do ściany linki-przewodnika: A potem - do bramy przez wykop, obłożony płytami chodnika. Sam otwór włazu otaczały worki z piaskiem, bele papieru oraz najrozmaitsze większe pakunki i tobołki, których żandarmi nie pozwolili ewakuowanym zabrać ze sobą. Osłaniające właz bele papieru zbryzgane były krwią.

- Najlepiej wchodzić do tego włazu z zamkniętymi oczyma - usiłowała zażartować żegnająca się z Jeremim kierowniczką grupy rannych kobiet.

Przed wieczorem wzrósł zastraszająco nacisk na właz ze strony niecierpliwących się rannych i oddziałów oraz wystraszonego, zdezorientowanego tłumu „cywilów”. Jeremi, usiłujący zaprowadzić ład w pobliżu pałacu, słyszał nieustannie ochryply, nerwowy, kobiecy krzyk kapitan Danuty, kierującej ewakuacją. Po pewnym czasie obok przenikliwego głosu kobiety rozlegać się zaczęły basowe przekleństwa i wrzaski mężczyzny.

Do Jeremiego przybiegł łącznik.

- Panie poruczniku, major Barry prosi, aby pan natychmiast przyszedł do włazu z uzbrojoną osłoną. Ale jak najszybciej!

Przeciskając się w pośpiechu przez ciżbę zalegającą piwniczne przejścia i podwórza, Jeremi tuż przed wjazem wyminął znaczną grupę podnieconych rannych i przeskoczył rów dobiegowy do wjazdu; w świetle łun pożarowych zobaczył rosłą, barczystą postać dowódcy żandarmów, majora Barry. Stał rozkraczony koło wielkich beli otaczających otwór wjazdu, z zawiniętymi rękawami koszuli, i wymachiwał pistoletem, spod hełmu widać było spoconą, skażoną gniewem twarz.

- Nie puszczę was, gówniarze, nie puszczę! Musicie złożyć broń; o tu, koło moich nóg!

Odsuń się pan, bo strzelę!

Koło Barrego - kilku jego żandarmów z pistoletami maszynowymi, a naprzeciw... kto to?

Orsza? Tak, Orsza! Jeremi poznaje bladą, podłużną twarz naczelnika Szarych Szeregów i teraz dopiero orientuje się, iż stojąca za Orszą grupa rannych to żołnierze „Zośki”. Na bladej twarzy Orszy po raz pierwszy w czasie powstania widać wzburzenie, on także trzyma w ręku pistolet, tyle tylko, iż nie wywija tym pistoletem jak purpurowy z gniewu Barry i jego lufę ma skierowaną ku ziemi.

- Druhu naczelniku, co się tu dzieje? - pyta Jeremi.

Orsza odwraca głowę, poprawia odruchowo chustę na szyi i poznawszy Jeremiego, mówi usiłując zachować resztki spokoju:

- Ten pan każe nam zostawić broń.

Spoza pleców Orszy ktoś wtrąca niecierpliwie:

- Dość tego gadania, druhu, sprzątnijmy drania i do wjazdu, szkoda czasu.

Barry też dostrzegł Jeremiego.

- Panie poruczniku, ta banda nie chce wykonać rozkazu. Tłumaczyłem jak ludziom, że nie wolno mi wpuszczać dziś do wjazdu nikogo z bronią. To przecie nie mój wymysł, to rozkaz dowództwa. Ale te pętaki stawiają się, grożą!

- Panie majorze, to nie „pętaki”, to żołnierze „Zośki”. - A zwracając się do Orszy: - Druhu naczelniku, czemużście nie zdobyli jakiegoś papierka na przejście z bronią?

Spoza pleców Orszy znów głos:

- Dostyc już rozmów! Droga wolna, do cholery, bo będziemy pruć.

Jeremi patrzy wyczekująco w oczy Orszy. Ten odwraca się i rzuca do tyłu:

- Spokój, chłopcy, spokój!

Chwila ciszy. Słychać tylko głośny oddech potężnych płuc Barrego. Naraz od strony bramy ktoś

mówi: - Przejście dla pułkownika.

Deus ex machina - myśli Jeremi, dostrzegając niesione przez dwóch rosłych powstańców nosze, a na nich znaną głowę w bandażach, ręce w bandażach i nogi w bandażach: Radosław.

- Co to za awantura? Hałasujecie, jakby Niemcy byli za lasami.

Po minucie wąż rannych żołnierzy „Zośki” zaczyna wchodzić z bronią do wjazdu, biorąc z pudełka trzymanego przez Orszę pastylki przeciw kaszlowi (w kanałach należy zachować zupełną ciszę). Nosze przeprowadzającego inspekcję pułkownika zniknęły w kierunku Bielańskiej.

Przeciskając się ku ulicy, Jeremi z trudem torował sobie drogę. Długie szeregi rannych stały pod ścianami w spokoju.

Byli podzieleni na pięćdziesiątki i już teraz trzymali w rękach sznur, który miał być w kanałach łączącą te grupy materialną więzią. Stali w ciszy, jacyś skupieni, nad wyraz poważni. Ale tłocząca się obok nich cizba „cywilów” była coraz bardziej niespokojna, podniecona wiadomościami dochodzącymi do wjazdu, iż żandarmi wpuszczają tylko rannych i oddziały powstańcze.

Noc dobiegała końca.

Późnym wieczorem koło łóżka szpitalnego, na którym leżał twórca i pierwszy dowódca

„Parasola”, Pług, stanęła łączniczka. Mogła mieć osiemnaście lat, była krępa, silnie zbudowana. W rękach trzymała butelkę wina i jakąś torebkę.

- Panie kapitanie! Słyszysz pan? Przysłał mnie Jeremi; abym przeprowadziła pana kanałami do Śródmieścia.

Pług otworzył oczy, lecz zamknął je znowu. Ile razy otwierał oczy, piwnica szpitalna zaczynała wirować i odczuwał napływającą falę torsji.

- Nie wiem, czy to się da zrobić. Jestem bardzo osłabiony.

- Damy sobie radę, panie kapitanie. Przyniosłam coś na doraźne wzmocnienie: wino i cukier.

Można podać?

Pług nie odpowiadał. Czuł teraz bardziej niż kiedykolwiek całą swą nędzę.

Zapalenie szpiku kostnego w zranionym ramieniu wyssało zeń wszystkie siły.

Nie opuszczała go wysoka gorączka, ropa sączyła się z rany nieustannie w zatrważającej ilości, od paru dni nie był już w pełni przytomny.

- Panie kapitanie, szkoda czasu. O, tu jest szklanka, proszę pić. No, już - bardzo proszę.

Pomogła mu unieść się na łóżku i włożyła do zdrowej ręki szklanę z winem.

Zaczął pić. Ze zdumieniem odczuwał, jak w miarę picia oraz jedzenia cukru wracały doń siły i przytomniał umysł. Ale gdy łączniczka zakładała mu dłoń rannej ręki za głowę, aby ją uwiązać w tej pozycji, zemdlął z bólu. Ocuciła go i karmiła znów cukrem popijanym winem.

- Ruszamy, panie kapitanie, dobrze?

Kiedy przeciskali się przez piwnice szpitalne, a potem wśród tłumów zalegających ulicę, Pług usiłował przypomnieć sobie, kim jest dziewczyna, którą obejmował zdrową ręką za szyję i która podtrzymywała go mocno w pasie. Tak, na pewno z „Parasola”. Na pewno! Ale pseudonim? Nie uprzytamniał sobie, nie wiedział - nie była to bowiem łączniczka z dowództwa, poruszała się gdzieś na peryferii parasolowych służb.

Przed zejściem do kanału dała mu do zjedzenia resztę cukru i resztę wina.

- Ja będę w kanale iść przodem, panie kapitanie. Proszę zdrową ręką opierać się o moje plecy.

Może się pan mocno opierać.

Pług był wielkim mężczyzną. Wprawdzie choroba pozbawiła go nieco ciała, ale w każdym razie ważył co najmniej osiemdziesiąt kilogramów i wzrostem górował nad ludźmi, czekającymi u wjazdu na swoją kolejkę.

W kanale, już u początków drogi, nastąpił u Pługa nawrót stanów półprzytomności i majaczeń. Ciągłe pochylanie górnej połowy ciała powodowało zawroty głowy. Stracił

poczucie czasu. Ale dłonią zdrowej ręki trzymał się kurczowo szyi i pleców łączniczki. Kilka razy mdlał z bólu, duszności, wyczerpania, zwał się wówczas całym ciężarem wielkiego ciała na plecy dziewczyny. Łączniczka przystawała, ale przynaglana głosami ludzi idących za nimi, chwyciła ponad swą szyją zdrowe ramię Pługa i wlokła się z rannym naprzód. Po pewnym czasie Pług przytomniał i zaczynał iść znowu o własnych siłach. Gdy wysokość kanału obniżyła się, męka ciała stała się nie do zniesienia. Ocknąwszy się z kolejnego omdlenia zauważył, iż dziewczyna wlecze go, posuwając się naprzód na kolanach i jednej ręką przez cuchnący szlam.

Nie mógł sobie uprzytomnić ani wydostania się z kanału, ani drogi do szpitala powstańczego przy ulicy Foksal. Gdy wróciła mu wreszcie świadomość, leżał w ciszy, na czystym łóżku.

Nikt z personelu szpitalnego nie umiał niczego powiedzieć o tych, którzy go do szpitala przynieśli.

Mimo starań nie dowiedział się Pług ani nazwiska, ani pseudonimu łączniczki, której zawdzięczał życie.

Wieczór mijał w dużym podnieceniu. Niełatwo było organizować poważną akcję przebicia się do Śródmieścia, obejmującą liczne grupy i grupki porozrzucane i poukrywane na dużej przestrzeni piwnic, ruin, gruzowisk, na które nieustannie spadały pociski i odłamki. Gdy nadeszła wreszcie noc, ustały bombardowania lotnicze i artyleryjskie, lecz wzrosła trudność orientowania się w terenie: noc

była bezkسیężycowa, a gęste kłęby nisko ścielących się dymów zaciemniały światło łun pożarowych. Otoczenie co dnia ulegało wskutek zniszczeń takim zmianom, iż łączniczki i żołnierze gubili się w tym chaosie gruzów, zanikłych ulic, szkieletów kamienic, nowych perspektyw.

Przez taki właśnie chaos na Sapieżyńskiej przedziera się łączniczka Andrzeja Morro, posłana dla odszukania i sprowadzenia patrolu „Sadu”.

Pluton ten - jak wszystkie inne - został przed kilkoma godzinami wycofany z linii i pozostawił tylko (podobnie jak inne plutony) trójosobowy patrol, mający markować pełną obsadę stanowiska. Kompania już dawno odmaszerowała na punkt wyjściowy natarcia i obecnie major Jan, nie ufając sygnałom raketowym, ściąga z dawnych stanowisk patrole ubezpieczające.

Łączniczka usiłuje jak najszybciej poruszać się po zwaliskach cegieł, żelastwa, rozbitych murów Sapieżyńskiej. Niedaleko dopała się winiarnia.

Osmalone jamy okien mijanego domu wydzielają resztki burego dymu. Gdzieś na prawo słyhać charkotliwe głosy Niemców. Potknęła się i o mało nie wpadła do leja po wybuchu ciężkiego pocisku.

Wreszcie brama. Chyba to ta? Dziewczyna wchodzi do sieni i w ciemny, zarzucony meblami labirynt pokoi, potem przez wykutą w ścianie dziurę.

Nigdzie nikogo. Robi jej się nieswojo, ale idzie dalej. „Saaad, Saad” - woła półgłosem. Nikt nie odpowiada. Szkło trzeszczy pod butami. Naraz, tuż przed sobą dostrzega leżącą na jakiejś ladzie postać. Serce zamiera.

Przezwyjęża się jednak, podchodzi i patrzy z bliska: powstańcza opaska i równy oddech śpiącego. Szarpie żołnierza za ramię, ten zrywa się, siada półprzytomny na ladzie i ściska kurczowo karabin.

- Czy tu jest patrol „Sadu”? - pyta półgłosem łączniczka.

- Tak. Dowódca Matros przed chwilą poszedł na rozpoznanie. Jestem jego zastępca, Czart.

- Czemu nie wycofaliście się dotąd?

- Niech to jasna cholera! Przecież miała być rakietą!

- Szybko zbieraj swoich, Andrzej bardzo się złości.

Oboje ruszają przez zniszczone pokoje i korytarze do Bila. Bil, którego znajdują przy otworze okiennym, wygląda podobnie jak Czart: półśpiąca, półprzytomna postać chudzielca o długiej szyi, twarz blada, powalana popiołem i sadzą, mundur pokryty grubą warstwą kurzu.

Łączniczka fizycznie wprost czuje ogrom zmęczenia obydwu chłopców, ciężar ich powiek, przekrwienie oczu.

- Jesteśmy bez przerwy na służbie od trzech dni - tłumaczy jakby usprawiedliwiając się Czart.

Ocalałe okno skrzypi na zardzewiałych zawiasach. Kłęby gęstego dymu przesłaniają gwiazdy.

Przez ruiny „Fiata” prześwieca ogień pożaru.

Przyciszone nawoływanie jakiegoś Niemca jest tak bliskie, jakby wołający był w sąsiednim domu. Wchodzą do ciemnego korytarza, Czart przykłada dłoń do ust i woła stłumionym głosem: - Matros! Matros! - Odpowiada echo, potem - cisza. Czekają kilka minut i posuwają się jeszcze trochę naprzód. Bil szarpie Czarta za rękaw: dalej nie wolno. - Maaaatros! - Cisza.

- Ja już muszę wracać - oznajmia łączniczka. - Wam radzę też ruszać.

Andrzej bardzo się denerwował.

Z ociąganiem, niechętnie idą za dziewczyną. Trzask spadającej belki wystraszył ich. Wreszcie brama. Lewe skrzydło domu dopala się, wewnątrz podwórza czerwienieje jak palenisko, ogień sięga już małej komórki, w której leży kilka ciał, złożonych tu rano.

Nagły, ostry grzechot erkaemu. I wnet potem płaski jazgot odpowiedzi.

- Matros! Matros! - krzyczą teraz na cały głos.

Mija znów parę minut. Zdenerwowana łączniczka przynagla. Nie sposób zwlekać dłużej.

Poszli.

Na Koźlej spotkali się z patrolem „Alka”, który podobnie jak oni opuszczał stanowisko.

Oddalali się od linii, przemykając gęsiego ścieżkami poprzez gruzy, zwaliska, zniszczone barykady, rowy przeciwczołgowe, klucząc wśród ruin lub koło nielicznych całych domów, a niekiedy zagłębiając się w piwnice, gdzie panowało niezwykle ożywienie. Wieść o zamierzonym przebijaniu się dotarła, (szepetana jako ścisła tajemnica) do ludzi piwnic.

Wiele kobiet i mężczyzn w podnieceniu ciągnęło ku Bielańskiej.

Plac Krasieńskich obydwaj patrole przebyły biegiem. U wylotu Długiej ujrzeli kryjące się z trudem szeregi rannych, a nieco dalej - oddziały powstańcze, oczekujące na rozpoczęcie akcji.

W przejściu obok Kina Miejskiego na Daniłowiczowskiej trafili na gęstą cizbę ludzi objuczonych tobołami, walizkami, zawiniątkami oraz na jakieś luźne grupy powstańcze. Z

trudem przeciskali się wśród siedzących na tobołkach, wśród rannych przyniesionych tu na krzeselkach, na noszach zrobionych ze szczotek do zamiatania lub z drzwi szaf. Ciężko ranni leżeli na tych prowizorycznych noszach lub wprost na kocach koło nóg stłoczonej ludzkiej masy, obwiązani bandażami, gorączkujący. Przy niektórych widać opiekę, czasem sanitariuszkę powstańczą, inni leżą i siedzą osamotnieni. Łączniczkę Andrzeja ogarnia lęk: co to wszystko znaczy? Co będzie się dziać, gdy ta lawina ludzka ruszy? I ci ludzie mają przebyć za oddziałami pas śmierci, groźny nawet dla najsprawniejszych żołnierzy, mobilizujących wszystkie swe siły fizyczne i duchowe?

Wojtek Synon tej nocy nie mógł zasnąć na swym szpitalnym sienniku. Rany nóg uniemożliwiły zaliczenie go do grupy rannych, która przed kilkoma godzinami ruszyła z Orszą na czele do Śródmieścia kanałami, ani do grupy drugiej, która miała dostać się do Śródmieścia górą, tuż za oddziałami zbrojnymi. Ta druga grupa wyszła przed pół godziną.

Synon mógł chodzić tylko za pomocą kul, musiał więc zostać. Odchodzący koledzy i koleżanki pocieszali go, usiłowali żartować, ale Synon widział, iż wszyscy tak są pochłonięci własnymi przeżyciami i tym nieznanym, w które za chwilę się pogrążą, że nie są już zdolni odczuć jego bólu moralnego, bólu pozostawianego towarzysza.

Teraz leżał w przerzedzonej sali piwnicznej, wśród pozostałych tu ciężko rannych, i nie mógł spać. Ogarniało go coraz większe zdenerwowanie.

Przewracał się niespokojnie z boku na bok, wreszcie powziął decyzję: nie zostanie! Pójdzie za oddziałami szturmowymi! Wygramolił się z pośłania, uporządkował ubiór i ruszył o kulach do wyjścia.

Na Długiej trafił w tłum ciągnący niespokojnie, chaotycznie ku Bielańskiej. Po raz pierwszy od tygodnia zobaczył znów niebo, po którym przewalały się kłęby podczerwienionych dymów, brunatnych, szarych, czarnych. Gdzieś w dali rozlegały się pojedyncze strzały i wybuchy.

W miarę posuwania się naprzód ciżba gęstniała. Oddziały powstańcze, śpieszące na miejsce zbiórek, z trudem przeciskały się przez tę masę.

Wojtek porwany ludzką falą ledwo utrzymywał się na kulach, którymi nie nauczył się, jeszcze dobrze posługiwać. Popychany, szturchany, odsuwany, przybliżał się powoli wraz z tłumem do Kina Miejskiego. W pewnym momencie jakiś brutalniejszy ruch cisnął go pod mur, ktoś odepchnął go silnie, szcudła splątały się, ranny zachwiał się, uczuł nieznośny ból nóg...

Przerażony odsuwał się od setek stóp stawianych w podnieceniu byle gdzie.

Udało się. Oparty plecami o ścianę domu, kurczowo ściskając pod pachami poprzeczki szcudeł, patrzył wylękły na przesuwaną się przed nim gęsto zbitą ciżbę. Usiłował

powstrzymać łzy i napływające omdlenie - przymknął powieki...

Andrzej przyprowadził kompanię na podstawę wyjściową natarcia - do wypalonych ruin Banku Polskiego przy Bielańskiej - parę godzin przed akcją.

Ogromny gmach, wyłożony częściowo blokami piaskowca i granitu, a od wewnątrz płytami marmurowymi, w migocie łun pożarowych wyglądał przejmująco. Dziesiątki wielkich wyrw w murach, skręcone żelazo stropów, zwały gruzów, rozwalone otwory okien - wszystko świadczyło wymownie o tym, co znieść musiała załoga tej reduty, utrzymanej do dziś w rękach powstania, gdy w domach po przeciwnej stronie ulicy były od dawna stanowiska nieprzyjacielskie.

Sprawdziwszy broń i oporzędzenie wszystkich drużyn oraz wysłuchawszy meldunku łączniczki

przybyłej z Sapieżyńskiej, Andrzej udał się do majora Jana (właśnie w tych dniach Jan otrzymał nominację na majora).

- Panie majorze, czy wie pan, co się dzieje na tyłach Banku Polskiego, Hipotecznej i w pasażu Kina Miejskiego?

- Ma pan na myśli szeregi rannych i tłum ludności cywilnej? Wiem, oglądałem sam.

- Przecież zanoszą się na jakąś potworną hekatombę. Trzeba przeciwdziałać.

- Ani ja, ani pan, ani - obawiam się - nikt z dowództwa nie opanuje tego żywiołu. Żołnierz powstańczy zbyt jest wrośnięty w ludność, ludność zbyt powiązana z wojskiem. Nie dało się zachować w tajemnicy planu przebicia, nie dało się opanować więzi koleżeńskiej rannych z ich towarzyszami w szeregach. Nam, żołnierzom grup szturmowych, nie wolno o tym myśleć, musimy skoncentrować wszystkie siły na swym głównym zadaniu: na przebicciu się do Śródmieścia.

- Ale trzeba przynajmniej uprzedzić tych ludzi, co ich czeka, na jakie szalone ważą się poczynanie.

Po chwili namysłu major zwrócił się do adiutanta:

- Słuchaj, Brat, wyślij jeszcze jeden meldunek o rannych i o tłumach na naszych tyłach. Proś o interwencję. Coś w rodzaju szybkiej agitacji. A teraz, panie Andrzeju, dość o tym. Przed nami rzecz takiej wagi, że trzeba tylko na niej się skupić.

Na odprawie dowódców batalionów i kompanii Jan zapoznał swą grupę z planem akcji.

Natarcie ma rozpocząć się o godzinie pierwszej w nocy - była to noc z 30 na 31 sierpnia - i uderzenie nastąpi z dwóch miejsc wyjściowych, położonych po tej stronie ulicy Bielańskiej: grupa majora Jana („Zośka”, „Wigry” i kilka innych jednostek) uderza z rejonu Banku Polskiego, na prawo od nich grupa majora Sosny ruszy z rejonu pałacu Radziwiłłów.

Obydwie grupy mają sforsować ulicę Bielańską i zmierzać przez ulicę Senatorską, plac Bankowy i Ogród Saski do placu Żelaznej Bramy, gdzie już współdziałać będą oddziały Śródmieścia. Uderzenie obydwu grup ma być jednoczesne, a raczej - prawie jednoczesne, gdyż grupa Jana, narażona na ogień nieprzyjaciela ryglujący Bielańską od strony Tłomackiego, odczeka chwilę, aż major Sosna zwiąże ogniem niemiecką broń maszynową przy Tłomackiem. Równocześnie z uderzeniem grup szturmowych Jana i Sosny na tyłach niemieckich, mianowicie na placu Bankowym, ma wyjść z włazów kanałowych „desant” oddziałów „Czaty” i „Miotły”, i wykorzystując czynnik zaskoczenia zdeorganizować tam nieprzyjaciela oraz otworzyć od placu Bankowego drogę dla grup przebijających się z Bielańskiej.

Dochodziła godzina pierwsza, przybliżał się jeden z doniosłych momentów walk powstańczych. Budzeni ze snu żołnierze czynili ostatnie przygotowania do szturm.

Podwórze banku było tak obszerne, iż mieścił się tu ustawiony w kolumnie cały - jakże przerzedzony - batalion „Zośka”.



Po raz pierwszy słyszeli Jana przemawiającego przed frontem. Najbardziej wryły się w pamięć dwa zdania tego krótkiego, żołnierskiego przemówienia:

„Zrobiliście dotąd więcej, niż wymagał żołnierski obowiązek”. I drugie:

„Musimy skupić wszystkie siły ciała i ducha na szturmie, który nas za chwilę czeka; niezależnie od tego, czy zwyciężymy, czy padniemy - tej walki Warszawa nam nie zapomni”.

A Jerzy: „Okna Banku Polskiego widziały najślawniejszy wyczyn dywersji bojowej Zośki - odbicie Rudego; obecnie oczy tych okien znów będą oglądać nas w akcji”.

Oddziały opuściły podwórze i w ciszy zajęły właściwe miejsca. Godzina 1.00... Lada moment strzelić powinna w niebo rakietą, sygnał na rozpoczęcie natarcia.

Mijają powoli minuty... Powstańcy nie czują zmęczenia nie przespanych nocy, w napięciu ściskają broń i spoglądają na siebie niemo - nie wolno rozmawiać, nie wolno palić -

stanowiska wroga są po drugiej stronie ulicy.

Andrzej zbliża do oczu przegub ręki z fosforyzującymi strzałkami zegarka:

- 1.20. Marszczy brwi i rozluźnia ostrym ruchem niebieską chustkę na szyi.

Mijają dalsze minuty.

Naraz w rejonie placu Bankowego, gdzie miał wyjść „desant, rozlega się gwałtowna strzelanina. Jeszcze chwila i w tamtej stronie zaczynają grać dziesiątki karabinów maszynowych, a potem - liczne wybuchy granatów. Morro kieruje się szybko do Jana, biegnie tam również Jerzy i kilku innych oficerów.

- Panie majorze...

- Do ciężkich diabłów, spokój! Czyż nie rozumiecie, że nie wolno zaczynać bez rozkazu?

A po chwili już spokojniej: - Na miejsca, panowie, sam nie rozumiem zwłoki... Wyślę łącznika.

Po kilkunastu minutach strzelanina na placu Bankowym ustaje i tylko od czasu do czasu wybucha jeszcze granat lub zatrzeszczy seria karabinu maszynowego. Tu i tam rozświetlają niebo rakiety, ta jednak, na którą oczekują, wciąż się nie ukazuje.

Mijają dalsze minuty i dziesiątki minut. Do Andrzeja i Jerzego zbliża się Jan.

Mówi:

- Rzecz się wyjaśniła, grupa uderzeniowa Sosny dotychczas nie skoncentrowała się. Zachodzi obawa, że potrwa to jeszcze około godziny.

Możecie pozwolić ludziom spać.

Andrzej Morro patrzy na majora rozszerzonymi oczyma. Atak bezsilnego gniewu jest tak gwałtowny, że nie może mówić. Dławi go w gardle. Jan, wyczuwając myśli Andrzeja i Jerzego, dodaje:

- Major Sosna to dzielny oficer. Ale dowodzi zgrupowaniem skłecnym dopiero podczas powstania. Nie są zgrani.

- Jak mógł pułkownik tego wszystkiego nie wziąć pod uwagę? Ludzie „Czaty” i „Miotły” zostali zniszczeni na placu Bankowym. A los całej akcji?

Andrzej, którego głos drży, przerywa. Przecież Jan czuje i myśli podobnie.

I na pewno jemu także narzuca się złowróżbne porównanie z przedtygodniowym natarciem na Dworzec Gdański.

Dowódcy „Zośki” i „Parasola” byli doskonałymi organizatorami. Wielbili sprawność organizacyjną, a w powstaniu jakże często organizacja zawodziła.

Andrzej nie mógł się z tym nigdy pogodzić.

Po dłuższej chwili milczenia Morro opanowuje się i uspokaja.

- Ma pan rację, panie majorze: tutaj nie czas na troski, gniewy i osądzenia. Idę do plutonów.

Kroki podkutych butów wchłonęła ciemność nocy. Po pewnym czasie plutony „Rudego” przesunęły się do podziemi banku. Jerzy wyciągnął do majora dłoń z kilkoma cukierkami.

Spacerowali milcząc. W pewnej chwili usłyszeli głos Andrzeja; głos usiłował być ściszony, ale drgały w nim dźwięczne tony. Coś opowiadał; słowa opowiadania przerwał śmiech którejś sanitariuszki czy łączniczki.

Rozkaz do natarcia został wydany nieco po godzinie 3.30. Był już przedświt.

Kompanie „Zośki”, „Wigier”, Topolnickiego stoją gotowe do skoku.

Niestety. Od strony Sosny nie słychać ognia, który miał związać nieprzyjacielski cekaem ryglujący Bielańską od Tłomackiego.

- Nie czekamy dłużej - odzywa się Jan.

Andrzej oddycha z ulgą.

Pierwszy ruszył jeden z plutonów podległych Trzasce, dowódcy „Wigier”.

Żołnierze skoczyli przez ulicę. Nie dobiegli połowy jezdni, gdy dostali strzały od czoła, a w sekundę potem rój pocisków świetlnych śmignął wzdłuż Bielańskiej od strony Tłomackiego.

Ognistozłote smugi kul cekaemu odcięły bank od ruin z drugiej strony ulicy, a wnet rwać się poczęły nad jezdnią i nad bankiem pociski granatników. Białe i czerwone rakiety rozświetliły pole walki. Widać wyraźnie, jak kolejne plutony „Wigier” - bratniego batalionu harcnerskiego -

usiłują przebyć ogniową zaporę, wykorzystując nędzną osłonę resztek rozbitej barykady.

Wśród przebiegających jezdnię - wielka postać Trzaski, sadzącego ogromnymi krokami. Na chodnikach i jezdni coraz więcej ciał. Ale żołnierze „Wigier” już znikają w ruinach po przeciwnej stronie ulicy i stamtąd odzywają się wybuchy granatów ręcznych oraz krótkie serie automatów.

Jerzy wyjmuję z torby granat i odbezpiecza go. Andrzej odbezpiecza pistolet maszynowy.

- „Rudy”, ruszać!

Grupy „Alka”, potem „Felka” rzucają się naprzód. Wśród pierwszych - Andrzej i Jerzy.

Schyleni biegną przez Bielańską wzdłuż barykady ku niskiemu murkowi oddzielającemu osypisko gruzów od ulicy. Przed nimi, za nimi, nad nimi świst roju świetlnych pocisków. W

uszach - groźny terkot karabinów maszynowych; usta chwytają krótkie, szybkie łyki powietrza. Ktoś pada, ktoś krzyczy, ale dopadli murku i ruin po drugiej stronie Bielańskiej.

Teraz przebiega grupka Sznicy. W świetle rakiety widać ruiny i rumowisko z usiłującymi się skryć postaciami żołnierzy powstańczych. Bije w te miejsca niemiecka broń maszynowa od strony Tłomackiego i z placu Teatralnego. Odłamki, rykoszety, odpryski cegieł uderzają w hełmy i mundury. Gruzowisko dymi od bijących w nie pocisków. Rakieta zgasła - naprzód, naprzód!

Potykają się o ciała i gruz, zapadają w jakieś leje, płaczą się wśród murów, natykają się twarzą w twarz na wroga, strzelają i sami są rażeni.

Jerzy czuje uderzenie w nogę, wymacuje ręką - krew. Schronił się do jakiejś wnęki, ostrożnie ściąga but; nakłada bandaż. A potem kulejąc biegnie ku grupie powstańczej wśród której słyszy wzywający głos Andrzeja Morro. Natyka się na żołnierzy cofających się z powrotem ku Bielańskiej - to wigierczycy. Skrwawieni, oszołomieni, wymijają Jerzego nie widząc go.

Jerzy usiłuje ich zawrócić i biegnie naprzód, zapomniawszy o nodze.

Major Jan ruszył ze swym poczetem przez Bielańską razem z grupą ludzi „Maćka”. Ulicę przebiegli szczęśliwie, ale zaledwie dopadli ruin, niezwykle silny ogień przykuł ich do gruzowiska. Kiedy nieco zelżał, Jan wpadł do ruin wypalonego domu przy Bielańskiej 3, a po chwili skoczył z pierwszego piętra na gruz podwórza skierowanego do Senatorskiej i biegł w czerwonych połyskach pożaru. Jego szczupła sylwetka wyróżniała się wśród towarzyszących mu żołnierzy polskim mundurem oficerskim i polskim hełmem.

Biegnąc strzelał z pistoletu. Wpadł na wysokie usypisko gruzów, za którym znajdowało się stanowisko nieprzyjacielskie. Dobiegając szczytu pagórka rzucił granat na drugą jego stronę, przypadł na chwilę do ziemi, po czym zerwał się i biegł naprzód, a za nim jego poczet. Nagle z

ciemnych okien budynku - błysk ognia kilku łuf uderzył w ich piersi z odległości niewielu metrów. Pod nogami rwały się granaty...

Major Jan poległ.

A wraz z nim jego poczet: Brat, Kruk, Jaga. Kilku ocalałych chłopców „Maćka” pełzło z powrotem w kierunku Bielańskiej.

Szturm załamał się. Ogień nieprzyjacielski ryglujący Bielańską stał się tak intensywny, a pociski granatników rozrywające się na terenie walki tak gęste, iż oddziały powstańcze zaniechały dalszych prób przebijania się.

Części nacierających udało się przedrzeć z powrotem do rejonu banku. Ludzi „Rudego” wśród nich nie było.

Dniało. Bitwa wygasła. Tylko w rejonie kościoła Świętego Antoniego przy Senatorskiej trwała jeszcze strzelanina. Coraz słabsza zresztą.

Łączniczka Basia, która tego ranka ocknęła się z omdlenia na gruzowisku w pobliżu poległego majora Jana, była świadkiem mordowania przez wroga rannych i zbłąkanych, wziętych z pobojuwiska. Sama uszła śmierci.

Gdyby tego wczesnego ranka nieprzyjaciel ruszył na stanowiska powstańcze, mógłby opanować łatwo Stare Miasto, ale dowództwo niemieckie nie zorientowało się w sytuacji.

Oddziały powstańcze, wyczerpane fizycznie i moralnie zajęły jednak ponownie opuszczone stanowiska, a odpływające z Hipotecznej i Długiej masy ludzkie uniknęły masakry.

„Parasol” też należał do oddziałów szturmowych, mających wyrąbać przejście z kotła staromiejskiego do Śródmieścia. Walczył na prawym skrzydle, w grupie uderzeniowej majora Sosny. W ramach tej grupy otrzymał trudne zadanie przebicia ulicy Długiej. Batalion - a właściwie resztki batalionu - miał zdobyć szereg domów obsadzonych przez nieprzyjaciela i

„odkorkować” wylot Długiej na Bielańską. A więc należało wielokrotnie powtórzyć akcję niedawno przeprowadzoną z tak złym skutkiem przez Rafała.

Kompanie „Parasola” - raczej ich strzepy - zajęły stanowiska wyjściowe na Długiej 29.

Natarciem dowodził Wacek, wciąż jeszcze z opaską na zranionym czole i z niezmiennym wyrazem zaciętości na szczupłej twarzy.

To była okrutna praca. Przedarto się przez fatalny dla Rafała wyłom na obszar Długiej 31 i w ciężkiej walce wręcz posuwano się domami Długiej 31-35. Wywalczać należało pokój po pokoju. Pistoletami i granatami. Pluton krzywonosego Górala, stanowiący przez pewien czas czoło szturm, dał z siebie więcej, niż można było oczekiwać.

Na jednym z podwórzy Wacek został ciężko ugodzony w nogę pociskami karabinu maszynowego.

Usiłował jeszcze przez pewien czas dowodzić natarciem, musiano go jednak wynieść z powodu upływu krwi. Dowództwo objął Jeremi i wysunawszy się na czoło do plutonu Górala, kierował dalszym przebijaniem się. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej powróciła doń nagle siła ciała i twardość duszy. Z krzykiem „hura!” rzucali się obydwaj z Góralem w kurz i dym, w świst pocisków i odłamków, w wybuchy i błyski.

Jeszcze kilka izb, jeszcze kilka pięter. I następny dom.

Wtem - przeciwuderzenie Niemców. Teraz oni wrzeszczą „hura” i teraz ludzie „Parasola” cofają się ku tyłowi, opuszczając w takiej męce zdobyte pokoje, piętra. Jeremi, spocony, z oczami wychodzącymi z orbit od natężenia głosu, organizuje obronę i nasze przeciwuderzenie. W owym straszliwym chaosie dźwięków i migotu światła, bólu i jęków zapełniających izby, wśród których trwa bój, udaje się mu wreszcie zaprowadzić pewien ład.

I znów któryś z plutonów „Parasola” krzyczy „hura”, i znów Jeremi z chłopcami przedziera się do przodu.

Silne szarpnięcie w nogę - krew.

Na szczęście rana nie jest groźna i po prowizorycznym opatrunku Jeremi kieruje walką dalej.

Nie powinien zresztą odejść, bo prócz Wacka zostaje z terenu walki wyniesiony dowódca trzeciej kompanii - Jurek Lot, a wnet potem Konrad.

Akcja przebicia nie powiodła się także i na tym terenie. „Parasol” miał wielu rannych i był już jasny dzień. Wobec niemożności dalszego posuwania się naprzód musiano przerwać ataki.

31 sierpnia i 1 września, ostatnie dni powstańczej Starówki, były bardzo złymi dniami. Do straszliwych bombardowań lotniczych i artyleryjskich, do męki ludzi ginących pod gruzami dołączyły się teraz groźne początki rozprężenia. Zaczęło się to już 31 sierpnia, po nieudanej próbie wyłamania się do Śródmieścia. Wielki tłum, nie wiadomo jak i kiedy skupiony, ruszył

ku barykadzie powstańczej, zbudowanej u wylotu Bonifratskiej przy placu Krasieńskich, i powiewając białymi płachtami, ręcznikami, chusteczkami usiłował przedostać się przez tę barykadę w kierunku Żoliborza, na teren opanowany przez nieprzyjaciela.

Mimo wezwań i ostrzeżeń oszalałego z podniecenia dowódcy odcinka kobiety i mężczyźni prą naprzód i poczynają rozrzucać barykadę.

- Ludzie, opamiętajcie się, wpuściecie Niemców do środka Starówki!

- Milcz, zbrodniarzu przeklęty!

- Oszaleliście, Niemcy was pomordują. Stójcie!

Gorączkowe niszczenie barykady trwa. - Zbrodniarze! - krzyczą podnieceni rozpaczą ludzie do grupy powstańców. - Wojujcie sami! - Czoło tłumowi, przebywszy barykadę górą, powiewając bielą, zsuwa

się ku stronie niemieckiej.

Gdy Jeremi, który widział tę scenę z okien gmachu sądu, pobiegł ku barykadzie z chwyconą naprędce grupą „Parasola”, rozległy się jedna po drugiej krótkie serie broni maszynowej i po chwili krzyki rozpacz. „Za późno” - błysnęło w mózgu Jeremiego, lecz nie przerwał biegu.

Widział, jak tłum ucieka w panice, pozostawiając na jezdni i na barykadzie kilkanaście ciał.

Jeremi dopadł zdyszany dowódcy odcinka. Ten, leżąc we wnęce rozwalonej bramy, trzymał wciąż jeszcze w ręku dymiący cekaem. Popatrzył na Jeremiego wąską szparą oczu o nabrzmiałych powiekach - świadectwo szeregu nie przespanych nocy i dni.

- Nie dało się inaczej, panie poruczniku. Staralem się w nogi...

Rozprężenie ogarniało nie tylko ludność cywilną. Oddziały powstańcze, niekiedy najlepsze w dotychczasowych walkach, samowolnie opuszczały swoje odcinki i naruszając ustalony porządek ewakuacji, próbowały ujść kanałami.

Dowództwo Starego Miasta przynaglone koniecznością nieprzerwanie kontynuowało ewakuację kanałową. Aby uniknąć masakry i zdradzenia ruchu przed lotnikami, żandarmeria powstańcza usiłowała trzymać kolumny oczekujące ewakuacji tylko w piwnicach lub w głębi ruin. Gdy nie było w pobliżu samolotów oficer przy włączu dawał znak i kolejna grupa starała się jak najszybciej dostać z bramy do otworu włączowego.

Była taka chwila, że Niemcy, złamawszy obronę ogrodu Krasieńskich, przegrali się przez ten ogród, zajęli ruiny pałacu Krasieńskich i postępując ku ruinom Sądu Apelacyjnego, pokryli równocześnie ogniem broni maszynowej plac Krasieńskich. Los włączu kanałowego zawisł na włosku.

„Parasol” zdobył się wówczas na jeszcze jeden straszny wysiłek.

Przeciwwuderzenie poprowadził Ziutek. Poeta i od wczoraj dowódca resztek pierwszej kompanii.

Nieprzyjaciel został wyparty z ruin w głąb ogrodu.

Z groźnej tej walki Ziutek wyszedł cało. Ale w kilka godzin potem trafiła weń przypadkowo odpalona pistoletowa kula. Trafiła niebezpiecznie.

Gdy Jeremi odszukał rannego, Ziutek był przytomny.

- Jeremi, podejdź bliżej... Wyjmij z kieszeni mojej wiatrówki notes, wiesz... Weź ten notes do siebie.

Jeremi spełnił polecenie.

- Oddam ci go w Śródmieściu, gdy cię urządzę tam w szpitalu. Ranny usiłował uśmiechnąć się.

Noc z 31 sierpnia na 1 września wieńczyła dramat rozgrywający się przy włączu do kanałów.

Teraz wychodziły ze Starego Miasta oddziały z bronią, kolejno opuszczając swe stanowiska bojowe. Nawet dla najbardziej pozbawionych wyobraźni jasne było, co może się stać, jeśli nieprzyjaciel, rozpoznawszy sytuację, wtargnie przez nie bronione barykady i opuszczone ruiny na plac Krasińskich. A na tym placu w rejonie wjazdu prócz oddziałów żołnierskich skupiły się także nowe grupy rannych, tych, którzy mają wyznaczoną kolej odejścia po oddziałach. A ponadto - zrozpaczony tłum ludzi pozawojskowych, nie tracących nadziei, że może i oni zostaną wpuszczeni...

„Parasol” opuszcza Stare Miasto w dwóch grupach. Jedną z tych grup - rannych - poprowadził wcześniej Kopec, druga odchodziła głęboką nocą.

Ustawili się tak, że zdrowi i ci, którzy zachowali siły, przeplatali się z osłabionymi i lekko rannymi, aby w razie potrzeby pomagać kolegom. Wielu z silniejszych i zdrowszych wzięło także od niektórych towarzyszy broń i plecaki. Kolejno znikali we wnętrzu wjazdu. Wraz z ostatnią grupką był Jeremi. Stał opierając się o laskę razem z Jasią przy noszach, na których niesiono jego zastępcę, Wacka.

Jasia miała wciąż jeszcze obandażowaną dolną część twarzy i była bardzo osłabiona, usiłowała jednak trzymać się dzielnie.

- Jasiu - powiedział Jeremi - gdybym w kanale musiał się oddalić, trzymaj się blisko noszy Wacka. A w Śródmieściu postaram się też ulokować cię koło Wacka.

Młoda kobieta popatrzyła pytająco na męża. Przecież Wacek jest poważnie ranny i jego pomoc nie może wchodzić w rachubę.

Jeremi zawahał się, uśmiechnął nienaturalnie i powiedział półgłosem:

- Wacek jest szczęściarz, rozumiesz? Wackowi nie stanie się nic ostatecznego, Wacek będzie żył, ocaleje, rozumiesz?!

Jasia szeroko otworzyła oczy. To, co mówił Jeremi, było tak dziwne, że aż obróciła się ku niemu. I uśmiechnęła! Uśmiechnęła się wprawdzie tylko zmrużeniem oczu, lecz był to autentyczny, promienny uśmiech dawnej Jasi.

- E-ys-o? Wierzysz w to? - zrozumiał Jeremi.

Zmieszał się jeszcze bardziej. I nic nie odpowiedział. Twarz miał jednak poważną.

Przy wjeździe major Barry, zmęczony, przejrzał przepustkę Wacka i machnął ręką: w porządku.

Jeremi zatrzymał się chwilę i przepuścił drugie nosze, na których niesiono Ziotka, poetę i pieśniarza „Parasola”. Ranny był na pół przytomny, miał dużą gorączkę.

- Przepustka dla tego rannego - zażądał major.

- Nie ma - odpowiedział Jeremi.

- Panie poruczniku, co pan wyczynia? Nie można tak, ranny musi pozostać.

- Tego rannego nie zostawimy.

- Dlaczego nie wziął pan przepustki?

Patrzyli na siebie przez chwilę. Potem Barry - dziś wyraźnie w niedobrej formie - odwrócił

się i zagadał ze stojącym obok żandarmem. Jeremi dał znak, rannego zaczęto spuszczać do wjazdu. Ostro zaterkotał gdzieś karabin maszynowy. Jeszcze chwila i Jeremi, przesunawszy dłoń po zarośniętych policzkach, podszedł sam do wjazdu. Jedną nogą poruszał sztywno, podpierając się laską. Ostrożnie zaczął schodzić w dół.

Wśród ruin szarzał początek dnia. Robiło się coraz jaśniej. Większość „cywilów” pochowała się do piwnic, tylko nieliczni stłoczyli się obok rannych, czekających cierpliwie na swoją kolejkę do wjazdu. Szereg ten stał po parzystej stronie ulicy Długiej, wzdłuż ścian wypalonego domu, w panującym tu jeszcze półmroku.

Renia, czekająca w tej grupie, wiedziała, że Niemcy już zajęli wylot Długiej od strony Freta, ale nie przejmowała się tym zbyt, widząc grupkę żołnierzy powstańczych stojących ze swym dowódcą w bramie naprzeciwko.

„Jeszcze się trzymamy” - pomyślała. Teraz żołnierze ci pobiegli w stronę barykady. Niezłe samopoczucie Reni wzmacniał fakt, że jako ranna w nogę dostała do osobistej pomocy w wędrówce przez kanały jakiegoś niewojskowego mężczyzny, który uszczęśliwiony był z tego obowiązku.

Nagle tłum zafalował, gdzieś od Starego Miasta rozległ się szybki, zgrzytliwy głos broni maszynowej i kule bić zaczęły po jezdni, po wjeździe, po murze, przy którym stłoczyli się czekający. Ludzie w panice pobiegli do bramy wypalonego domu, inni - podobnie jak Renia -

bardziej przywarli do muru. Pręży ku bramie potracali rannych, deptali po nogach, cisnęli.

Rozległy się krzyki i jęki. Ktoś upadł. Tratowano jakąś kobietę. Ranni zachowali spokój, utrzymywali kolejność i porządek.

„Może cierpienia fizyczne osłabiły nasze reakcje nerwowe” - myśli Renia.

Nie traci nadziei dostania się do wjazdu.

Na szczęście ogień karabinu maszynowego ustał. Nie ustała jednak niepewność. Spoglądali co chwila na niebo, zbliżała się pora codziennych niemieckich nalotów.

Grupa Reni była już o kilkanaście metrów od wjazdu, gdy przy jego wylocie zakotłowało się niepokojem. - W kanale ogień! Niemcy wleli benzynę!

Obok kolejki rannych przebiegła kobieta z opalonymi włosami, w zniszczonych przez ogień butach i spódnicy, a potem kilku przerażonych mężczyzn w mundurach, z których bił



specyficzny śwąd. Od strony Freta znów lunęły kule broni maszynowej.

Ludzie szybko opuszczali rejon wjazdu. Renia nie mogła się zdobyć na przebiegnięcie ulicy, noga ją bardzo bolała. Powlokła się przez niebezpieczny pas jezdni do swego szpitala.

Kilkanaście żelaznych klamer i stopy Jeremiego z chlupotem opadły na dno kanału. Szlam sięgał do kostek. Przepchnął się obok noszowych Ziutka i zajął miejsce między nim a Wackiem, który zemdlął w czasie spuszczenia noszy. Jasia usiłowała ocucić go. - Gotowe, podaj dalej - rzucił półgłosem do przodu. Po paru minutach dostrzegł, błysk dalekiego światełka na przedzie i długi wąż ruszył powoli naprzód, ze specjalnym przewodnikiem kanałowym na czele.

Odblask pożarów, promieniujący z wjazdu, zniknął, zapanowała ciemność i cisza. Nie wolno wywoływać chlupotu wody i szlamu, trzeba przesuwac nogi bez podnoszenia stóp. Nie wolno palić. Mówić jak najmniej i cicho.

Kanał jest nadszodziejanie wygodny: wysokość ma taką, że Jeremi może stać wyprostowany, wąty strumień wody nie zalewa butów. Woń jest przykra, lecz łagodzi ją przewiew. Tylko oślizgłych ścian lepiej nie dotykać. Po paru minutach marszu stają. Minuta odpoczynku.

- No, nareszcie człowiek wysapie z siebie strach - zamamrotał krępy, silny, zdrowy eks-kadet Kaczka, ustawivszy nosze, Ziutka na nóżkach. - Życ nie umierać w tych kanałach: cekaem nie rozwali, bomba nie rąbnie, „szafa” nie poharata. Spokojnie na sto dwa.

Inni myślą podobnie. Nawet Jeremi odczuwa pewną ulgę. Najbardziej obawiał się szlamu, ścieków. Gdy mówi o tym Wackowi, ten - zupełnie już przytomny - odpowiada:

- Wiem od ludzi z „Czaty”, że jeszcze przed dwoma czy trzema dniami było tu po pas wody ściekowej.

Jeremi milczy. Wacek ciągnie dalej:

- Skomplikowana podobno była praca. Niemcy zatarasowali kanał w rejonie Dworca Gdańskiego tamą z worków cementu i szyn, podnosząc tym sposobem poziom ścieków kanałowych Starówki i Śródmieścia. Przygotowując ewakuację dowództwo Starego Miasta skomunikowało się z dowództwem Żoliborza drogą radiową przez Londyn (kanał

zablokowany został tamą, do której od strony Starówki nie było dojścia, właśnie z powodu zalania kanału) i zorganizowało wysadzenie tamtej tamy od strony Żoliborza. Zważ przy tym, że trzeba było wysadzić tamę, ale nie zawalić kanału, gdyż to pogorszyłoby sytuację. Oto przykład dobrego funkcjonowania sztabowców.

- Sztabowców, ale i bojowców - mruknął Jeremi.

Nie mógł wiedzieć, jak jego uwaga trafiła w sedno. Tama wysadzona została przez patrol harcierskiego plutonu nr 227 z Żoliborza pod dowództwem przebywającego tam przypadkowo pana Janka, który dotarł przed kilku dniami kanałami ze Starówki dla organizowania projektowanej ewakuacji rannych z „Zośki” na Żoliborz.

- Ruszamy - rozległo się półgłosem od przodu.

Jeremi stara się przyzwyczać do bezszelestnego włóczenia nogami. Osiąga to łatwo, gorzej natomiast jest z wysokością kanału, która obniżyła się tak, że trzeba iść z pochyloną głową.

Do tego nie można się przyzwyczać, przeciwnie - to zaczyna dokuczać. Cięży pistolet maszynowy zawieszony na szyi, Jeremi zdejmuje go i bierze do rąk. Słyszy coraz głośniejsze sapanie Kaczki. Jeszcze parę minut. Kark boli porządnie, świszczący oddech Kaczki niepokoi. A nosze Wacka? Wyciąga rękę przed siebie - nikogo. Przyspiesza posuwanie nóg.

Wreszcie ręka dotyka pleców poprzednika.

Minuta odpoczynku!

Jeremi staje i wyciera dłonią spocone czoło. Denerwuje go to, że nie może wyprostować głowy. Opanowuje się jednak i zwraca do Kaczki:

- Daj mi swój karabin, poniosę go. Na następnym postoju postaram się o zmianę dla was.

Gdy z troską zwrócił się ku Jasi, ta milcząc wzięła jego dłoń i przesunęła dokoła swej głowy.

Zrozumiał: mogła iść kanałem nie pochylając się.

Idą znów. Podwójny ciężar broni, brak świeżego powietrza i ciągle pochylenie do przodu wywołują u Jeremiego zawroty głowy. Musi trzymać się oślizgłej ściany, aby nie stracić równowagi. Co pewien czas dotyka pleców poprzednika, gdy na nie natrafia, przyspiesza kroku. Serce wali mu w piersiach, nie sądził, aby karabin Kaczki był tak diabelnie ciężki. W

pewnej chwili zawrót głowy stał się tak nieznośny, że Jeremi zaczął wymiotować.

„Wykończył mnie brak snu w ostatnim tygodniu” - myśli, wycierając spocone czoło ręką. Po chwili cofa szybko rękę. Za późno, odtąd przykra woń nie zejdzie mu z twarzy.

Minuta odpoczynku! Jasia staje tuż przy nim. Oddech ma głośny, przyspieszony, ale uściskiem dłoni zdaje się mówić mężowi: czuję się nieźle, wytrzymam!

Teraz już Jeremi nie odpoczywa stojąc. Siada w kucki i nareszcie wyprostowuje głowę. Woła półgłosem ku przodowi:

- Czterech ochotników do noszy, podaj dalej.

Po chwili przecisnęło się trzech.

- Brak jednego ochotnika, podaj dalej.

Przecisnął się i czwarty. Jeremi oddał karabin Kaczce, ale wziął broń do niesienia od tego

czwartego. Nachylił się nad noszami:

- Jak się czujesz, Ziutek?

- Żyję. Jesteście tak dobrzy dla mnie...

Szept łączy się z przykrym, gorączkowym oddechem.

Posuwają się dalej. Jeremi zamienia kilka cichych zdań z Wackiem. Ranna noga coraz bardziej mu drętwieje. Po kilkudziesięciu krokach stają. Postój przedłuża się, więc Jeremi znów kuca. - Franek upadł i zemdlął - szepce ktoś od przodu. Franek - to cekaem, duży ciężar.

Jeremi wstaje i przeciska się naprzód, nienaturalnie wygięty w kolistym kanale. Cekaem powinien być gdzieś niedaleko, w ogonie kolumny. Potrąca mijanych, depce im po nogach, a gdy dochodzi do cekaemu, spostrzega, iż przyszedł tu niepotrzebnie: Franek już w porządku, a cekaem wzięli od niego Bystry i Nitka.

Idą teraz szybciej, aby dołączyć do wysuniętej naprzód kolumny.

Jeremi posuwa się kulejąc przed cekaemem. Po chwili wahania zapala zapalną. Ściany kanału rozświetliły się lśniąca, połyskliwą jasnością, jak wnętrze lufy olbrzymiego działa oglądanej pod światło; zapalną zgasła, nie dojrzał przed sobą ludzi, ale nie dojrzał także żadnej boczniczy kanału.

- Idziemy - powiedział to niemal szeptem, ale echo powtórzyło szept.

Posuwają się znów naprzód, usiłując nie pluskać butami. Po pewnym czasie Jeremi zawiesza znów na zgiętym karku broń swoją i broń noszowego, a sam wyciąga obydwie ręce w bok i idąc wymacuje koniuszkami palców ściany kanału w obawie przed jakimś rozwidleniem.

Robi mu się znów niedobrze, nie zatrzymuje się jednak. Oddycha szeroko otwartymi ustami.

Idzie naprzód, choć w głowie mu się mąci i męczy nieznośne uczucie zbliżających się torsji.

Nagle - potężny grzmot!

Stanęli jak wryci. Serca podchodzą do gardła.

A grzmot przemienia się w łomot, w pasmo częstotliwego, rozedrganego łomotu powtarzanego ustokrotnionym echem w długiej pustce kanału. Łomot jest tak wielki, że Jeremi wyczuwa drżenie ściany. Ciało pokrywa pot. W mózgu kołacze mu: Jasia, Jasia.

- To czołgi, panie poruczniku, ja to znam z kanałów getta. Czołgi idą nad nami.

Głos Bystrego brzmi spokojnie. Ten uczestnik powstania w getcie zna kanały świetnie; podobno ukrywał się w nich przez długie miesiące po zniszczeniu getta.

Ruszyli znów.

- Jak tam, Bystry, z cekaemem?

- Lekki to on nie jest. Żelaza w nim o wiele za dużo. Ale we dwóję lżej.

Na przedzie mignęło światelko. I znów - tym razem bliżej. - Czemużeście się urwali? - pyta niecierpliwie łącznik przybyły od przodu. - Szybciej, szybciej!

Jeremi przepuszcza ludzi z cekaemem i zajmuje z powrotem miejsce przy Jasi między noszami. - Wszystko w porządku - mówi do Wacka i Ziotka. A do żony: - Bardzo się przestraszyłaś?

- Uhm - potakuje Jasia.

Męczący marsz trwa. Co pewien czas potykają się o jakieś porzucone w kanale tobołki czy paczki. Przedmioty te - nasiąknięte wodą, miękkie, bulgocące pod stopami - wywołują w Jeremim przykre skojarzenia: usiłuje nie stąpać po nich, przekraczać je. Raz wszakże nie udało się. Dotknąwszy czegoś noskiem buta, podniósł nogę, zrobił duży krok, a mimo to wszedł na to coś... Jeszcze krok i Jeremi poznaje: pod stopami miał ludzkie ciało.

Noga straszliwie zaboląa.

Kolejny odpoczynek. Trzeba zmienić noszowych.

- Czterech ochotników do niesienia rannych! - woła półgłosem Jeremi.

Nikt nie przychodzi. Jeremi odczekuje chwilę i powtarza wezwanie. Znów bez skutku.

- Chłopaki! - po raz trzeci odzywa się Jeremi - bez kawałów! Czterech ochotników do niesienia Wacka i Ziotka.

Pomogło. Jednym z ochotników jest znów Kaczka. Jeremi jak poprzednio bierze od niego karabin. Idą teraz bez odpoczynku kilkadziesiąt minut.

Jeremi po pewnym czasie przestaje słyszeć, przestaje wyczuwać stopami przedmioty, po których niekiedy depcze, przestaje myśleć - wszystkie uczucia koncentrują się na męce pochylonego ciała, obciążonego podwójnym ciężarem broni, i na przewyciężaniu zawrotów głowy, napływających coraz częściej.

Stanęli wreszcie. Jeremi na pół przytomny, siada w wodzie i opiera się plecami o plecy Jasi.

Zamyka oczy. Z odrętwienia wrywa go szept biegnący wzdłuż linii: - Uwaga, otwarty właz.

Niemcy... Pod otworem przechodzić szybko, pojedynczo, w ciszy.

- Dacie radę? - pyta Jeremi noszowych.

- Musimy - odpowiada Kaczka.

Gdy ruszyli, Jeremi przepuścił przed sobą Jasię i nosze Ziutka. - Trzymaj się Wacka -

powiedział do żony. Szedł teraz ostatni w ich grupie.

Posuwali się krótkimi etapami, często przystając, aby umożliwić „skoki” pod otworem włazu.

Jeremi czuł, jak w miarę zbliżania się do włazu wzrasta zdenerwowanie żołnierza niosącego przed nim Ziutka.

Jeremi od czasu do czasu dotykał ręką jego pleców, aby kontrolować łączność, odczuwał

wówczas rozdygotanie tego człowieka. Na którymś z chwilowych przystanków żołnierz zaszeptał szybko do Jeremiego: - Słyszałem o tym włazie, to koło Bristolu, rzucali tu granaty.

- Może ja teraz poniosę - powiedział Jeremi - a ty pobiegiesz.

Żołnierz długo nie odpowiadał. Wreszcie rzekł bez przekonania:

- Nie warto. Wytrzymam.

Jeszcze kilka krótkich przejść i lekki powiew świeżego powietrza.

Wciągają go chciwie do płuc. O kilkanaście metrów przed sobą dostrzega Jeremi nikły słup poświaty pożarowej promieniujący z góry i słyszy powolne kroki podkutych butów wartownika. Gdy kroki oddaliły się, nosze z Ziutkiem szybko przeniesiono pod włazem, a tuż za nimi przemknął Jeremi. Teraz naprzód, szybko i cicho, jak najdalej od włazu.

Marsz trwał. Jeremi znów popadł w stan odrętwiałej bezmyślności. Zatracał się w tych ciemnościach, ciasnocie, braku powietrza, w lepkim brudzie rąk, w ustawicznym potykaniu się o coś pod nogami. Zdawało mu się, iż ktoś powiedział, że Ziutek bredzi w gorączce; zdawało mu się także, iż inny głos skarżył się, że znów utracono łączność z czołem kolumny.

Jeremi ścisnął kurczowo przeklęty karabin Kaczki, opierając się nieznośnej pokusie rzucenia go. Włókł się resztkami sił i resztką sił zawołał półgłosem do przodu:

- Halo, Kaczka, masz łączność?

Po długim milczeniu - odpowiedź:

- Nie... Ale teraz miga jakieś światełko.

Znów odrętwienie bezmyślności nasycone bólami ciała, ześrodkowanymi w karku i kręgosłupie. Ale nogi posuwają się wciąż naprzód.

Przy światełku oczekiwało na zapóźnionych czoło kolumny. Przewodnik zarządził

półgodzinny odpoczynek. Jeremi usiadł, a raczej położył się jak na leżaku w mokrej wnęce kanału.

Zawołał do Jasi: - Obudź mnie przed wymarszem - i zasnął natychmiast, świadom, iż żona trzyma się w kanale nadspodziewanie dobrze.

Przewodnik wiedział, co czyni, zarządzając dłuższy odpoczynek. W tym miejscu bowiem następowało rozwidlenie kanału i dalszą drogę trzeba było przejść kanałem znacznie niższym i węższym. Wprawdzie można tę trasę przebyć w trzydzieści minut, ale nie będą to minuty łatwe.

Jeremi po półgodzinnym śnie powrócił do sił. Kark nie bolał, zniknęły zawroty głowy.

Przygotowując się do wymarszu przesunął się nieco naprzód, między Ziutka i Wacka. Chciał nieść torbę Jasi - nie dała. Gdy odchodzili, z tyłu za nimi przybyło czoło następnej grupy prowadzonej kanałami.

Nowy kanał okazał się od pierwszej chwili fatalny. Szli zgięci wpół. Już po pierwszej setce kroków niesienie rannych stało się niemożliwe. Zaczęli się więc posuwać na kolanach.

Szli bardzo powoli. Jeremi niekiedy przykuczał i aby dać wypoczynek plecom, próbował iść na czworakach, nie przynosiło to jednak ulgi. Po pewnym czasie musiał zastąpić jednego z noszowych, który zupełnie stracił siły. Lewą ręką ciągnął drążek noszy, prawą przyciskał pod pachą broń swoją i Kaczki. Wiedział tylko jedno: musi iść naprzód.

Parę razy potknął się i upadł na dno kanału. Zetknięcie z dużą płaszczyzną cieczy trzeźwiło go, wstawał więc i włókł się dalej. Lewą dłoń miał tak kurczowo zaciśniętą na drążku ciągniętych noszy, że stracił czucie w palcach. Zaczęła go nieznośnie piec rana na udzie -

pewnie przemoczył bandaż.

- Jak tam Jasia? - spytał przez zaciśnięte zęby, odwracając głowę do tyłu. Ktoś odpowiedział:

- W porządku.

Mijały nie kończące się minuty. Znow poczęło wszystko wirować w głowie.

Byle nie zemdleć... Odpoczął chwilę i ruszył dalej, ciągnąc drążek noszy i przyciskając do boku broń. Poprawił rannego.

W dali mignęło nikłe światło - nie złociste, nie czerwone światło ognia, lecz jakaś bladawo-szarawa poświata. I nikły ciąg świeżego powietrza... Czyżby kres udręki?

Bladawa poświata intensywnieje w miarę dalszego posuwania się, intensywnieje również świeży powiew. Maleje zawrót głowy, ale ból grzbietu staje się tak okropny, że Jeremi jęknął.

Rana nogi piecze nieznośnie i piec zaczynają oczy. Otwarte usta wciągają wielkimi oddechami powietrze.

Powoli, przystając co chwila, zbliżał się długi wąż „Parasola” do wjazdu.

Pod samym włazem zrzucono dla rannych sznur zakończony pętlą. Gdy ostrożnie wciągnięto ich na górę, Jeremi powoli, niezgrabnie począł wspinać się po klamrach. Dłonie mu drżały.

Wychylił wreszcie głowę na zewnątrz, oślepiony światłością poranka, oszołomiony świeżą rześcią powietrza i ogromem przestrzeni. Ktoś pomógł mu wyjść.

Przez wąziutkie szparki oczu nie mógł w pierwszych chwilach rozróżnić przedmiotów. W gwarze kilku głosów usłyszał głos przewodnika ich kolumny: - Ostatni. Przeszli wszyscy.

Jeszcze sekunda i świat stał się widzialny. Zrozumiał, że znajduje się na ulicy Wareckiej przy rogu Nowego Świata. Na tle normalnego, nie rozbitego domu i czystych, przyjemnych sanitariuszek Śródmieścia, krzątających się koło rannych, ujrzał całe rozpaczliwe wybieczenie swych ludzi, rumieniec gorączki na uśmiechającej się doń twarzy Ziutka, obandażowaną twarz Jasi, ledwo trzymającej się na nogach, i ciężko oddychającego Kaczkę.

- Masz swój karabin, Kaczka - powiedział Jeremi podchodząc do niego. - Zamek nie zamoczony.

Kiedy oddawał Kaczce broń, stojący w pobliżu Brzoza otworzył lewą ręką parasol (prawą miał na temblaku) i uniosł go ku górze - rozpostarty, podziurawiony, uwalany szlamem.

Parasol! Na szarej z brudu i zmęczenia twarzy Brzozy błąkał się uśmiech.

### **XIII. „RUDY” PRZEBIJA SIĘ**

Gdy „Rudy”, ze swym dowódcą - Andrzejem Morro na czele, przebył zaporę ogniową ulicy Bielańskiej i wdarł się do ruin drugiej strony ulicy, powstańcy znaleźli się w chaosie nie znanych sobie murów, potrzaskanych ścian, zatarasowanych bram, gruzem zawalonych podwórz, nieoczekiwanych klatek schodowych. Dezorientację pogłębiała ciemność bezksiężycowej nocy, niewiele tu rozświetlonej łuną pożarów. Nieustanny ogień nieprzyjaciela ukrytego nie wiadomo gdzie i wybuchające granaty paraliżowały ruchy, kazały chronić się w załomy murów, wciskać się w doły, szukać piwnic. Oszołomieni, zagubieni, wylękli, nie dostrzegający się wzajem, przestawali być zespołem, tracili impet natarcia.

I wówczas rozległ się wielki głos Andrzeja Morro:

- „Ruuudy”, „Ruuuuudy”!

Głos ten wybijał się ponad trzask broni i wybuchy, przenikał w ruiny, skupiał niewidzące oczy.

Zrywali się i pojedynczo lub po kilku biegli od zasłony do zasłony, wypatrując źródeł ognia nieprzyjacielskiego i kierując w tamte miejsca kule swych pistoletów maszynowych lub ciskając granaty.

Słoń pobiegł z erkaemem tam, gdzie musiało być lewe skrzydło nacierającej kompanii, i ujrzawszy błyski nieprzyjacielskiego karabinu maszynowego, skierował nań potok ognia.

Nieprzyjaciel zamilkł. Słoń skoczył jeszcze kilka kroków i rzucił w tamtą stronę granat. Padł

oczekując wybuchu, potem zerwał się i biegł ku następnej zasłonie, wypatrując gniazd ognia nieprzyjacielskiego. Jakiś rykoszet uderzył go w hełm; minął Sznicę o straszliwie zakrwawionej twarzy, potknął się o czyjeś ciało i w rozpaczliwej determinacji przeskoczył

podwóreczko sieczone rojem świetlnych pocisków. Wpadł w jakąś sień, a za nim Leszczyc, a potem - do piwnicy.

Przez okienko wypatrzył stanowisko nieprzyjaciela bijące świetlną amunicją i usłyszał

stamtąd rosyjskie przekleństwo. Własowcy. Nacisnął spust erkaemu, zadygotała w ręku broń.

- „Ruuudy... „Ruuuudy”! - rozległ się znów głos Andrzeja, jakby oddalający się ku Senatorskiej. Słoń rozumiał; w tym chaosie nie znanego terenu i ciężkiej walki rozproszonych ludzi Morro swym wielkim wołaniem skupiał kompanię, koncentrował natarcie. Ale Słoń należał do grup szturmowych od ich początku, brał udział w odbiciu Rudego pod Arsenalem, widział Rudego-Bytnara w walkach dywersji. Więc gdy teraz w groźnym boju nocnym toczonym wśród ruin słyszał jego imię, jeżył się cały i ogarniało go uczucie niesamowitości: nie mógł odpędzić myśli, że Andrzej Morro wzywa z zaświatów swego poprzednika i ducha opiekuńczego kompanii, aby ich wspomógł w ciężkiej godzinie.

- „Ruuuuuudy”!

Słoń wydostał się z piwnicy i biegł w kierunku głosu, chroniony od pocisków z lewa przez murek. Rakiet! Wpadł w lej po bombie na okrwawione zwłoki z opaską powstańczą i tuląc się przy poległym towarzyszu, czuł, jak opadają nań kawałki wyrzuconych w powietrze cegieł. Gdy wychylił głowę, aby przy niknącym blasku rakiety zorientować się w terenie, dostrzegł Jerzego, który pośpiesznie bandażował nogę, zwrócony twarzą w stronę głosu Andrzeja.

Z boku biegł w kierunku tego głosu ogromny Trzaska, ze skrwawionym ramieniem, za nim kotłowały się kłębki miazgi ceglanej, wzniecone przez serię pocisków. Nagle - wybuch tuż przy leju, w którym leżał Słoń. Zerwał się ogluszony, oślepiał i pobiegł. Dopadł z paroma innymi domu i stanął, przytulony płasko do ściany. Poza ścianą - głosy. Nasłuchują: rosyjskie słowa własowców. Wróg! Słoń wyjął granat, odbezpieczył, wypatrzył okno, wychylił się i cisnął do środka. Pobiegli dalej.

Dostali się w jakieś ruiny. We wnętrzu spalonego domu kręciło się trzech żołnierzy „Sadu”.

Któryś wdrapał się już na mur i usiłował zajrzeć przez otwór wywalony pociskiem. Wpełznął

w ten otwór i zniknął, a po chwili zawołał spoza ruin ściany:

- Halo, wszystko w porządku, chodźcie.

Wyrwa w murze znajdowała się dość wysoko. Czart ustawił pudło po karbidzie na ceglach i pomógł przedostać się rannym. Potem - reszta.



Na niewielkim podwóreczku jest już kilku powstańców. Po chwili z wnętrza bramy wychodzi szybko Andrzej. Andrzej! Ma rozdarty pokrowiec hełmu i wyszarpany kawał sukna spodni na udzie, lecz porusza się normalnie.

Obejrząwszy jeden ze zrujnowanych boków podwóreczka, mówi:

- Łom! Wybić przejście!

Szybko wybito dziurę. Najpierw wszedł w nią dwuosobowy patrol, w parę minut potem przedostali się inni. Ujrzeni spory dziedziniec, otoczony ze wszystkich stron przez mury wypalonych kamienic, chroniące podwórze od pocisków broni maszynowej. W ruinach tych nie było nieprzyjaciela.

Prześwitywała przez nie ulica Senatorska i fronton kościoła Świętego Antoniego.

Ulga, pierwszy swobodniejszy oddech. Teraz dopiero czują, jak straszliwie są umęczeni i wyczerpani fizycznie i psychicznie. Trudno im ustać na nogach. Siadają opierając się plecami o mur.

W klatce schodowej frontu pokazuje się Andrzej.

- Słoń, weź ludzi natychmiast do okien sklepowych, wychodzących na Senatorską -

ubezpieczaj... Witold, do oficyny, ubezpieczaj od Bielańskiej... Drogosław, zorganizuj kilka dwuosobowych patroli do ściągania naszych; tylko nie ściągaj nam na głowy włosowców -

dodaje Andrzej, a w jego głosie - czyżby to było możliwe? - Czart chwyta ton humoru! Czuje, jak rozluźniają mu się napięte mięśnie, i patrząc na znikającego w innej klatce schodowej Andrzeja mruczy do siebie: - Z tym typem można wojować.

Co chwila w ruinach pokazują się nowi ludzie. Dostają się tu przez świeżo wybity otwór albo przez otwory wywalone pociskami artyleryjskimi w innych ścianach. Niektórzy zeskakują z wysokości pierwszego piętra.

Andrzej zjawia się w zrujnowanych sklepach o oknach wychodzących na Senatorską i zaczyna uważnie przyglądać się kościołowi Świętego Antoniego, którego mury szarzeją w świetle rozpoczynającego się dnia. Kościół znajduje się na wprost witryny, za którą stoi Andrzej. Tuż przy chodniku wznosi się mur otaczający cmentarz kościelny, w murze - dwie furty i krużganek prowadzący do kościoła. Od czasu do czasu wzdłuż ulicy bzykają kule.

- Słoń, trzeba zobaczyć, co tam jest w kościele i koło niego. Weźmiesz kilku ludzi i skok przez ulicę. Wykonuj!

Słoń przełknął ślinę, wytrzeszczył oczy, stał chwilę nieruchomo, wreszcie zawołał:

- Kto na ochotnika z mego plutonu?

Gdy już patrol był gotowy, podszedł do nich znów Andrzej:

- Pobiegnę z wami też.

- No, tak to co innego - uśmiechnął się Słoń.

Chwilę czekali rozglądając się uważnie. Wreszcie Andrzej dał znak i niewielki zespół rzucił się przez ulicę. Zjadle szarpnęły słuch ostre, długie serie karabinów maszynowych, ale biegnący byli już na drugiej połowie jezdni. Koło ich nóg posypały się iskry, a świst potoku kul wypełnił gardziel ulicy. Stojąca przy oknie witrynowym łączniczka Andrzeja mimo woli przymknęła oczy; gdy je otworzyła, ani na jezdni, ani na chodniku nikt nie leżał, nikt nie jęczał.

Gdzieś ponad murem otaczającym cmentarz kościelny ujrzała Andrzeja strzelającego w biegu do kogoś uciekającego z cmentarza. Po pewnym czasie we wnęce furty pokazał się czerwony, spocony Słoń.

- Cmentarz wolny! Kościół wolny!

Słoń zniknął, a wkrótce grupka stojąca przy witrynie sklepu dostrzegła wśród żelaznych sztachet ogrodzenia twarz Andrzeja.

- Erkaem do mnie! - woła Andrzej.

Trójka obsługująca erkaem nie może zdobyć się na skok. Pociski karabinu maszynowego prują gęsto przez jezdnię. Andrzej dostrzegłszy wahanie chłopców odczekał na krótką przerwę między seriami strzałów i w ostrym pędzie pobiegł z furty kościelnej przez ulicę ku domowi obsadzonemu przez powstańców. Zagrał karabin maszynowy, wbiegający na chodnik Andrzej zakrył obydwojma rękami twarz.

Przy parapecie witryny sklepu chwycił go w ramiona Drogosław i podtrzymując wprowadził na dziedziniec. Przez palce rąk, którymi Andrzej osłaniał twarz, przeciekała krew.

- Andrzej, co z tobą?

Andrzej uczynił jeszcze kilka kroków. Szedł jak ślepiec, potykając się.

Krew ściekała na panterkę. Staął.

- Sanitariuszka! Jest tu gdzie sanitariuszka? - zawołał zduszonym głosem, nie odrywając rąk od twarzy.

- Jestem, Andrzej!

Lidka podbiegła do ranego. - Kładź się, zaraz się połóż. - Gdy wyjąwszy, co trzeba, z torby sanitarnej odsunęła dłonie leżącego Andrzeja od twarzy i poczęła badać ranę, na dziedzińcu wśród pół setki zbrojnej młodzieży zapanowała zupełna cisza. Nic nie mówili. Wszystkie oczy wpatrzone były w głowę leżącą na asfalcie i w ruchy rąk sanitariuszki.

- Jak tam oczy, Lidko, i jak kość czołowa? - spytał cicho Andrzej, ale to jego pytanie dotarło poprzez strzały i wybuchy do świadomości wszystkich.

- No, nie najgorzej z tobą. Oczy w porządku. Kula przeszła przez nasadę nosa i zdaje się przez zatokę Heimora; wyszła policzkiem. Wyglądasz niepięknie, ale mimo to jesteś, Amorku, szczęściarzem.

Oczyściła okolice rany i założyła opatrunek. Gdy obmywała spirytusem twarz rannego, do skupionej przy Andrzeju grupy podszedł Jerzy, który przed chwilą przybył na dziedziniec, gdzie koncentrował się „Rudy”. Prócz przestrzelenia stopy miał naszpilkowane drobnymi odłamkami granatu kolano.

Zjawił się także Trzaska z raną na prawym ramieniu. Obydwaj z troską patrzyli na leżącego Andrzeja.

Nadbiegła łączniczka Witolda, którego zespół znajdował się na piętrze głębiej położonej oficyny, ubezpieczając całość.

- Niemcy podchodzą od Bielańskiej!

Andrzej chciał wstać; Lidka przytrzymała go delikatnie, lecz stanowczo.

- Ja tam pójde - mówi Jerzy. - Wezmę ze sobą erkaem i paru stenistów.

Z kilkoma ludźmi wbiegł na pierwsze piętro i ostrożnie zbliżył się do wnęk wielkich portfenetrów, z których widać było znaczny obszar ruin w kierunku Bielańskiej. Szarość poranka przenikała już w głąb podwórzy i ruin. Dwoma blisko siebie postępującymi tyralierami zbliżały się dwie drużyny żandarmów niemieckich. Przetrzęsali mijany teren, zaglądali tu i tam nie zachowując wielkiej ostrożności, jakby nie wiedzieli, że tuż przed nimi jest budynek zajęty przez powstańców. Witold szybko rozmieścił erkaemy. Jerzy szeptem wydał rozkazy.

Dopuszczono tyraliery żandarmów na odległość około trzydziestu metrów.

Skutki ognia powstańczej broni były okrutne: z tyralier pozostało kłębowisko ciał. Nikt nie uszedł, nikt nie skrył się.

Jerzy wrócił do Andrzeja i skupionej przy nim grupki. Ranny wciąż leżał - teraz w bramie - a zabarwiony na czerwono opatrunek nie dawał pewności, że krwawienie ustało. Oczy ponad bandażem miał przytomne, żywe. Lidka trzymała głowę rannego na swych kolanach i usiłowała namówić go na jeszcze kilka łyków wódki.

- Zrobiliśmy ich na szaro - powiedział Jerzy i dodał kilka szczegółów. A potem: - Jak to było z tobą, z twoją raną?

- Ach, oglądałem Senatorską. Posuwanie się domami równoległe do ulicy w kierunku placu Bankowego - wykluczone: Nasze podwórze i okna frontowego domu są na wprost kościoła Świętego Antoniego. Tu skok przez ulicę najprostszy. Zorganizowałem już przyczółek z tamtej strony, w kościele - jest tam Słoń z patrolem. Kilku Niemców wypłoszyliśmy, tylko erkaemu nie zdążyłem przerzucić, dostałem w głupi nos i leżę teraz z głową na kolanach sanitarnego dziewczęcia.

Lidka przesunęła ręką po włosach rannego.

Andrzej wymawiał słowa jakimś nienormalnym głosem. Dopiero po chwili Jerzy zrozumiał, że prawdopodobnie w jamie nosowej potworzyły się skrzepy.

- Dobrze - mówi Jerzy. - Z tym kościołem to dobrze. Czy wiesz, że jesteśmy odcięci? Jan zdaje się zabity.

Andrzej patrzy na Jerzego i długo nic nie mówi. Jak zwykle w chwilach zdenerwowania usiłuje rozluźnić węzeł chustki na szyi. Lidka pomaga mu.

- Mówisz, że Jan poległ?

- Prawdopodobnie - poprawia Jerzy. - Tak mi się zdawało.

Trzaska jednak dodaje:

- Ja też widziałem. Śmierć Jana prawie pewna. Żaden oddział już potem nie ruszył przez Bielańską. Nikt. Wycofałem ludzi z mojej grupy - tych, co ocaleli - z powrotem na drugą stronę Bielańskiej, ale sam już nie mogłem przeskoczyć. Wściekły ogień wzdłuż ulicy.

Musimy się naradzić...

Andrzej patrzy na swego byłego komendanta w Agrikoli, kapitana Trzaskę, oraz na swego obecnego dowódcę batalionu, porucznika Jerzego, i mówi:

- Tylko jedna droga wchodzi w grę: do Śródmieścia. I to jak najprędzej.

Jerzy kiwa głową. Ponieważ jednak ludziom trzeba dać kilkanaście minut wytchnienia oraz odczekać na przedzierających się jeszcze przez teren walki, siadają we trójkę na betonie i usiłują analizować położenie oraz ustalić dalsze działanie.

Mija kilkadziesiąt minut. Sanitariuszki kończą najpilniejsze opatrunki.

Andrzej dodatkowo charakteryzuje sytuację na Senatorskiej: przy placu Bankowym stoją czołgi z lufami dział wzdłuż Senatorskiej, niemiecka broń maszynowa jest wstrzelana w bramę kościelną i w furty, a także przejeżdża się po bramach i oknach naszej strony ulicy.

- Może zostanemy tu, gdzie jesteśmy, i tutaj się brońmy?

Andrzej zdecydowanym ruchem odsunął opiekuńczą dłoń sanitariuszki i usiadł.

- Nie, nie. Tylko pierwszy plan jest dobry: do kościoła i dalej do Śródmieścia. Jak najszybciej.

Możemy i musimy się przebić. Pozostanie tutaj to pewna zguba.

- Uspokój się, Andrzej - mówi Jerzy.

Lidka z lękiem wpatruje się w bandaż na twarzy rannego. Nie zabarwia się więcej. Andrzej wstał. Chwilę czuł zawrót głowy, ale minęło.

- Uwaga, „Rudy”! Potrzeba kilku ochotników. Witold, do mnie!

Gromadę na podwórzu opanowało podniecenie. Nie wierzyli oczom. Czart patrzył jak urzeczony. Gdy niedawno zobaczył Andrzeja leżącego z zakrwawioną twarzą, ogarnęło go uczucie wielkiego niepokoju. Widząc teraz zrywającego się pomyślał w pierwszej chwili, że to objaw szoku po ranie w głowę, ale usłyszawszy rozkazy Andrzeja pojął prawdę: Andrzej nie jest ciężko ranny! Czarta, podobnie jak innych, ogarnia ufność: Andrzej znów prowadzi!

Nie trzeba się dziwić: Jerzy i Trzaska byli dzielnymi oficerami powstania, starszymi od Andrzeja wiekiem i szarżą: pierwszy dowodził batalionem „Zośka”, drugi dowodził

„Wigrami”, a ostatnio - specjalnym ugrupowaniem. Ale żołnierze „Rudego”, którzy tu, w podwórzu przy Senatorskiej, stanowili ogromną większość, widzieli tylko podchorążego Andrzeja (który dopiero przed dwoma dniami został podporucznikiem) w dziesiątkach szturmów i w dziesiątkach odwrotów, widzieli, jak biegł na ich czele w ogniu nieprzyjacielskim, jak sam wyciągał rannych spod paskudnych ostrzałów, jak niejedną raz wyprowadzał ich z doliny śmierci. Ufali intuicji bitewnej Andrzeja, bo po wielekroć doświadczyli trafności jego przewidywań i rozkazów. Nie należy się więc dziwić, iż ujrzawszy swego Amorka znów w jego właściwej roli - otrząsnęli się z przygnębienia.

Andrzej tymczasem wyjaśnił zadania, omówione przed chwilą z Jerzym, dwóm trójosobowym patrolom ochotników: cała sześćdziesięcioosobowa grupa powstańcza ma przebiec Senatorską jednocześnie, wielkim rojem; aby skok się powiódł, obydwa patrole powinny utworzyć po obydwu bokach zasłony z dymu, ognia i wybuchów, pomiędzy którymi jak korytarzem przebiegną wszyscy ulicę.

Patrol prawoskrzydłowy ma przy tym zadanie szczególnie niebezpieczne: musi zaatakować ciężki karabin maszynowy - ten sam, który postrzelił Andrzeja - i ściągnąć na siebie jego ogień. Ze względu na rozstrzygające znaczenie tego właśnie prawoskrzydłowego patrolu dowództwo nad nim obejmie Witold, zastępca Andrzeja.

Kończono ostatnie przygotowania. Lidka nie odstępowała Andrzeja, kontrolując co pewien czas stan bandaża. Skupili się wszyscy w sklepach przy rozbitych witrynach. Oczyszczili z grubsza dostęp do tych wielkich okien, patrole osłonowe ulokowały się w sklepach bocznych z obydwu stron grupy. Tylko jeden człowiek leży na ziemi - ciężko ranny, chyba w nogi.

Zewnątrz jest zupełnie spokojny. Oparty o niemiecki plecak z końskiej skóry - ścisną w rękę granat. Ten nie ruszy się stąd.

- Kończyć przygotowania!

Wszystkie oczy wpatrzone są w odległy o kilkadziesiąt metrów fronton barokowego kościoła, oświetlony promieniami słonecznego wschodu. Niezdolni są jednak dostrzec złocistego piękna, które

zaróżowiło szary tynk, niezdolni są dojrzeć uroku starych akacji i żółtawej zieloności wysokich, nadwiślańskich topoli ani łaskawości Matki Boskiej wznoszącej się nad murem. Ich oczy i uszy chłoną tylko nerwowo, z dłuższymi przerwami, jazgot broni maszynowej i świsty przelatujących wzdłuż ulicy pocisków. Szczególnie denerwują pryskające kawałeczki tynku i cegieł przy prawej furcie krużganku kościelnego (furta lewa jest nieco zaciszniejsza) i potok kul kierowany do bramy kościelnej. Także przez okna i bramy tej strony Senatorskiej, gdzie się znajdują, przesuwają się od czasu do czasu serie nieprzyjacielskiej broni maszynowej.

- Patrole osłonowe na miejsca.

Witold wraz z Czartem i Argosem stoją już na prawym skrzydle. Jeden z nich trzyma gamon, drugi - świecę dymną, trzeci - filipinkę. Są bardzo zdenerwowani - nieprzyjacielski cekaem znajduje się w odległości około czterdziestu metrów i co pewien czas błyska ogniami pocisków.

- Dostaniemy w czapę - szepce Witold.

Jego szczupła postać przylgnęła do muru, czarne włosy zdają się jeżyć pod hełmem.

- Na to się zanosi - przytakuje Czart, łykając głośno ślinę.

Czekają w napięciu na rozkaz. Wreszcie...

- Osłooony... Rzut!

Wychylają się i pędzą w nieuniknioną zdawałoby się śmierć, wprost na cekaem, rzucając równocześnie swe pociski. Na chwilę przywarli do muru ściany... Błyski! Huki! Dym...

Na lewo od nich pędziła teraz rozrzucona masa żołnierska, na prawo - kłębił się dym i kurz.

Ogień zaporowy ustał nagle i dopiero po dobrej chwili potok kul lunął znów ulicą. Ale dobiegali już wnętrza furt i bramy.

Na około sześćdziesięciu ludzi tylko jeden pozostał we krwi na asfalcie ulicy: ten, który zawahał się i wybiegł nieco później niż inni.

Dlaczego nieprzyjaciel przerwał na kilka sekund ogień? Opatrzność?

Przypadek? Słoń, ściskając w kościele zdyszanych biegiem przyjaciół, wykrzykiwał swoją własną hipotezę: - Zbaranieli! - Był przekonany, że na Niemców podziałał „chwyt psychologiczny”: wprawdzie posługiwanie się zasłoną dymną nie jest nowością, ale tu była mieszanka efektów: dymowi świecy i filipinki towarzyszyły potężne wybuchy gamona i teźże filipinki - najgłośniejszego z granatów świata!

Jeszcze nie opadł dym filipinek i świec, a już powstańcy wbiegający na teren kościoła zajęli z góry wyznaczone stanowiska obronne. Jerzy i Andrzej obchodzili szybko posterunki, wprowadzając drobne korekty. Błagalne krzyki ciężko rannego, który pozostał na jezdni, napełniały cały kościół.

- Lidka, wyjrzyj, czy nie da się go jakoś wciągnąć - mówi pośpiesznie Andrzej, kładąc się obok celowniczego erkaemu, który niecierpliwie manipulował przy zacinającym się zamku.

Erkaemy „Rudego” otworzyły ogień w kierunku placu Bankowego.

We wnętrzu kościoła panował nieład. Wypłoszeni stąd SS-mani urządzili przed wielkim ołtarzem barłóg z szat liturgicznych i zdartych z drzewc chorągwi. Wszędzie leżały puszki od konserw, resztki jedzenia, butelki; widać było rozlane kałuże; koło barłogu - granaty, karabiny, amunicja.

Powstańcy, którzy nie tkwią na posterunkach, obchodzą ten rozgardiasz, rozświetlony barwnymi promieniami przenikającego przez resztki witraży słońca. Wypatrują przede wszystkim broni i amunicji. Biorą trochę jedzenia do chlebaków, ale jeść tutaj w tym napięciu nerwowym nie są w stanie. Chyba pomidory, których trochę znaleźli i których nie jedli od początku powstania.

Wyglądają fatalnie. Prawie wszyscy mają rany. Twarze szare, wymęczone; mundury brudne, często podarte i pokrwawione.

Czart znalazł wreszcie to, czego szukał od kilku minut: papierosy. Gdy podnosił zapalną do ust, spostrzegł, iż ręka mu drży. „Rozklejam się” - pomyślał ze złością. Palba na zewnątrz wzrasta. Czart mija obojętnie otwartą walizę z jajami i chlebem, ale napełnia manierkę śliwowicą i bierze do chlebaka nie wiadomo po co dwie pary żółtych rękawiczek.

- Andrzej, Andrzej! - krzyczy biegnąca przez kościół łączniczka.

- Jestem, czego chcesz?

- Niemcy zajmują dom, który opuściliśmy, z placu ruszyły ku nam czołgi.

Andrzej obrócił się do drzwi:

- Witold, szybko zamykać drzwi. Na zasuwę!

Jeszcze trochę - i pociski cekaemu zaczęły bić we frontowe drzwi kościoła, przenikając je łatwo i sięgając wielkiego ołtarza. Kościół zostaje jakby przepołowiony strumieniem kul.

Potem - narastający łomot czołgów - cisza - i pierwsze huknięcia dział czołgowych. Pantery walą w drzwi frontowe, w drzwi boczne, w okna, w sam fronton. Kościół zasypany jest drzazgami, odpryskami cegieł i tynku, odłamkami pocisków. Przez witrażowe okna wpada kilka granatów trzonkowych. Akustyka kościoła powiela, potęguje i zniekształca głosy wybuchów, które w uszach powstańców brzmią niesamowicie.

Zbylut dostał postrzał w twarz i umiera na rękach opatrującej go sanitariuszki. Zygmunt ma strzaskany łokieć. Jankowi krew zlepia włosy na głowie.

Andrzej podchodzi do Jerzego.

- Słuchaj, pójdę zbadać odskok w kierunku pałacu Zamojskich. Tu nie ma co tkwić.

- Tak. Uwiń się szybko. Ja tu pozostanę.

Morro odszukał Słonia.

- Weź sekcję z erkaemem, idziemy na rozpoznanie.

Słoń wypełza ze stanowiska we wnęce muru i przygląda się swemu dowódcy.

Andrzej wygląda strasznie. Przekrwiony bandaż zasłania środek twarzy, na brodzie - także krew, czoło - powalane sadzą, pokrowiec hełmu - rozdarty, panterka - cała w wapnie.

- Andrzej... Może ja pójdę sam, bez ciebie... Zostań.

- Szybko, Słoń. Idziesz ze mną, nie sam.

Przez zrujnowaną piwnicę kościoła wychodzą niewielką grupką. Jest już pełny ranek.

Ostrożni, czujni, posuwają się w szyku ubezpieczonym ku „błękitnemu pałacowi”, spalonemu jeszcze we wrześniu 1939 roku. Pałac leży na zaplanowanej trasie dalszego przebijania się do Śródmieścia. Wygodniej jest jednak dojść do trzypiętrowej kamienicy na tyłach pałacu, więc kierują się tam. Dotarli nie zauważeni, nie ostrzelani przez nieprzyjaciela. Szybka penetracja gmachu pokazała, że jest bezludny, wypalony. Andrzej pozostawia tu Słonia, a sam z łączniczką wraca do kościoła. Aż - dziw, że nikogo dookoła nie widać, strzelanina i wybuchy

- to jakby inny świat za zasłoną muru, bujnej zieleni drzew, kościoła.

- Jerzy, gotowe. Pusty, wypalony trzypiętrowiec z wieloma piwnicami.

Możemy odskakiwać. Trzeba próbować dostania się tam niepostrzeżenie. Są szanse.

- Organizuj to.

Andrzej zebrał w podziemiach kościoła wszystkich dowódców drużyn i plutonów. Siedzieli pod ścianami wycieńczeni, poranieni, zdenerwowani.

Andrzej stał. Czuł się bardzo zmęczony.

- Koniec z nami, Andrzej, prawda?

Morro patrzy na mówiącego:

- Typie, typie, stuknij się w głowę! - I po chwili: - Uważajcie! Nasza nowa baza leży na tyłach pałacu Zamojskich, na granicy Ogrodu Saskiego.

Byłem tam. Dojście nieoczekiwanie puste, osłonięte od Senatorskiej i częściowo z innych stron. Mamy w rękach wielką szansę: trzeba spróbować dostania się tam niepostrzeżenie...



Niepo...

Piwnica zawirowała mu w oczach... Napłynęło ogromne osłabienie. Serce zamierało...

Zacisnął zęby... zwarł palce zwinięte w pięść.

-...niepostrzeżenie. Musimy tam dotrzeć niepostrzeżenie. To nasza wielka szansa. Ja sam wybiorę chwilę tego przemarszu. Szybko, cicho. Dobrze wytłumaczcie chłopcom. Można odejść. Witold, zostań jeszcze.

Na bladą, bezkrwistą część twarzy Andrzeja, nie osłoniętą przez bandaż, wracał rumieniec.

Lidka podsunęła mu pudło, aby usiadł. Andrzej do Witolda:

- Zostaniesz z jedną sekcją, aby osłaniać wycofywanie się, gdy inne oddziały opuszczą stanowiska. Rób jak najwięcej hałasu w kierunku Senatorskiej, nie żałuj amunicji ani granatów. Zostawię ci łączniczkę, która zna drogę.

Mijały minuty. Przypadek - bo tym razem był to już jawny przypadek - zrządził, że właśnie wówczas nad teren Banka Polskiego, położony o kilkaset metrów od kościoła Świętego Antoniego, nadleciały „stukasy” i poczęły pikując ciskać bomby. Potężne detonacje wstrząsnęły pobliskimi ruinami i kościołem. Andrzej zerwał się i pobiegł wzdłuż kościoła na cmentarz, wołając:

- Zbiórka! Prędeż! Zbiórka w piwnicy! Witold, obiegnij krużganki, kaplicę, zakamarki, zbieraj wszystkich. Prędeż!

Zrozumieli Andrzeja i jego niecierpliwość. W dwie-trzy minuty potem przy tylnych, piwnicznych drzwiach tłoczyli się już wszyscy. Wybuchy bomb lotniczych trwały, powodując drżenie ścian.

Biegiem opuścili kościół, biegiem przebyli pustą, zalaną słońcem przestrzeń na tyłach kościoła obok kamiennych posązków i jakichś inspektów.

Gęsta trawa tłumiała tupot ich żołnierskich butów, osłaniały drzewa, mury, spalony dom.

Za węglem muru wpadli na samotnego SS-mana, Andrzej był najbliżej, dostrzegł na twarzy hitlerowca zdumienie, które nagle przekształciło się w przerażenie na widok powstańca z zakrwawionym bandażem opasującym środek twarzy. Andrzej biegnąc uniósł do pól piersi pistolet maszynowy, z lufy błysnął ogień i lunęła struga pocisków.

Przeskakując przez zabitego schyleni minęli węgiel muru i zniknęli w piwnicach trzypiętrowego budynku.

Wydychali ze siebie zmęczenie nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do krótkiego odcinka biegu. Szybko falowały piersi. Niespokojni rozglądali się po nowym miejscu i penetrowali pomieszczenia piwniczne, denerwując się trzaskaniami i zgrzytami miażdżonych przez buty skorup, deptanych fragmentów blachy, potrącanych pudeł - całej tej zrujnowanej graciarni zaściełającej piwnice.

Podpiwniczony był cały dom. Jeden rząd piwnic miał okienka wychodzące na wąski dziedziniec między kamienicami od strony ulicy Senatorskiej, rząd okienek z przeciwnej strony wychodził na zieleń drzew i krzewów Ogrodu Saskiego i na odległą o paręset metrów Świątynkę Sybilli. Między tymi obydwoma rzędami pomieszczeń piwnicznych znajdował się długi, wąski korytarz, który - jeśli pozamykać drzwi łączące go z poszczególnymi piwnicami

- pozostawał bez światła dziennego, gdyż drzwi wiodące do tego korytarza z podwórza, jedyne wejście do piwnic, nie przepuszczały przecież światła.

- Jeżeli nieprzyjaciel nie zauważył naszego przejścia, możemy tu trochę odsapnąć -

powiedział Andrzej siadając na jakimś pudle. - Halo, Witold, dopilnuj, aby chłopcy rozlokowali się tylko w wąskiej kieszce korytarza, w piwnicach zewnętrznych nie wolno.

Erkaem przy drzwiach wyjściowych.

Ledwo erkaem zajął stanowisko, gdy z zewnątrz rozległ się tupot kroków, pchnięto drzwi i w rozświetlonej ich ramie ukazał się żołnierz w wehrmachtowskim mundurze, z bergmanem gotowym do strzału.

Ta-ta-ta-ta-ta - zajazgotał erkaem i żołnierz wbiegający w drzwi zwałił się twarzą na posadzkę korytarza piwnicznego. Gdy padał, Andrzej ujrzał na jego ramieniu białą-czerwoną opaskę.

- Cóżś zrobił, człowieku - wyszeptał schrypniętym głosem do celowniczego erkaemu.

Ten rozwarł szeroko oczy i zbladł.

- Ja... on... On nie ma panterki.

- Czyś zapomniał, że wzięliśmy kilku nowych na Starówce, bez panterek?

Lidka precisnęła się do trafionego. W piwnicy panowała taka cisza, iż słyhać było każde poruszenie rąk sanitariuszki.

- Nie żyje.

Jerzy zaklął i zdenerwowany przesunął się do okienka z widokiem na Ogród Saski. Po kilku długich minutach podszedł zachmurzony do Andrzeja.

- Zdaje się, że jesteśmy w niezłym punkcie wyjścia do przebijania się przez Ogród Saski. Nie widzę w pobliżu stanowisk niemieckich, są widocznie gdzieś głębiej. Tylko ta przeklęta aleja o pięćdziesiąt metrów od nas, na której spory ruch samochodowy i pieszy do placu i z placu Bankowego. Żebyż to dało doczekać się nocy!

Doczekać się nocy... Jeżeli ich odkryją i otoczą, paskudna będzie sprawa.

Może lepiej zaryzykować przebijanie się do Śródmieścia teraz, po kilkudziesięciu minutach

odsapnięcia?

Gdy o tym rozmyślają, orientują się podświadomie, iż wokół nich zaszła jakaś zmiana. Co to się stało? Ach, tak - umilkły detonacje, „stukasy” odleciały znad Bielańskiej. Tym wyraźniej słychać teraz niedaleki jazgot broni maszynowej i wybuchy granatników. Wsłuchują się uważnie i wreszcie Trzaska wypowiada to, o czym myśli od paru chwil wielu z nich:

- Zdaje się, że nieprzyjaciel w dalszym ciągu ostrzeliwuje kościół Świętego Antoniego.

Są tak przejęci analizą wrażeń słuchowych, że nie mogą mówić i myśleć o czym innym.

Wkrótce nie mają już wątpliwości: nieprzyjaciel rzeczywiście wali z kilku stron w kościół!

Nie zauważono ich odejścia!

- Pozostajemy tu do nocy - decyduje Jerzy, a Trzaska i Andrzej mruczą potakując. Jerzy wstaje ostrożnie z wiadra popiołu, na którym siedział, i krzywi się boleśnie (noga spuchła, rana rwie i krwawi).

- Zorganizuję to wszystko, a ty odpocznij - mówi do Andrzeja.

- Chyba tak zrobię, kołuje mi się w głowie, trzeba położyć się - odpowiada Andrzej. - Tylko, Jerzy, bierz pod uwagę, że jeśli zostaniemy tu zaatakowani, musimy mieć warunki szybkiego opuszczenia piwnic; każ odpowiednio przygotować okienka i wyznacz, kto którądy wyskakuje.

Po kilkudziesięciu minutach uczynione zostało wszystko, co można było przewidzieć w zakresie obrony i ewentualnego przeciwuderzenia. Cała sześćdziesiątka skupiła się w długim, środkowym korytarzu, a wszystkie drzwi wiodące do zewnętrznych pomieszczeń piwnicznych zamknięto, z wyjątkiem jednego, którego dwa okienka wychodziły na Ogród Saski, ale światło z tych okienek nie padało na drzwi, lecz obok, na ścianę, gdyż drzwi piwnicy oddzielone były od jej części przyfrontowej krótkim korytarzykiem. Tu właśnie, w tej jedynej piwnicy frontowej mającej otwarte drzwi ulokowali się Jerzy, Trzaska i Andrzej; siedzieli oparci plecami o mur oddzielający ich od okienek, których nasłonecznione kontury mogli obserwować na przeciwległej ścianie piwnicy.

Mieli także bezpośredni kontakt z całym oddziałem, skupionym w długim korytarzu.

Powstańcy leżeli tu fatalnie stłoczeni, w niewygodnych pozycjach, na podłodze pokrytej skorupami, szkłem, blachą, kawałkami drzewa i cegieł.

Wiedzieli, iż zachowanie ciszy jest sprawą życia. Ktokolwiek mógł usnąć, powinien skorzystać ze sposobności - zachęcał Jerzy. Czuwać musiała tylko zmieniająca się obsługa dwóch erkaemów, których lufy skierowane były ku okienkom jedynej otwartej piwnicy i ku drzwiom wejściowym od zewnątrz.

Teraz dopiero rozpoczęły swą pracę sanitariuszki; po zdezynfekowaniu rąk watą umaczaną w benzynie lub wódce opatrywały rannych i zmieniały opatrunki, pośpiesznie założone na polu walki. Wśród całej sześćdziesiątki nie było prawie nie tkniętych przez kule lub odłamki.

Niektóre rany zaczynały wyglądać szpetnie. Powstańcy dopiero teraz poczuli bóle, rwania, niesmak gorączki w ustach i pragnienie - piekące, dręczące pragnienie.

Niestety, wody tu nie było.

Lidka uporawszy się ze swoją partią rannych usiadła przy leżącym na ziemi Andrzeju i położywszy jego głowę na swych kolanach zdjęła bandaż. Obejrzała ranę i postanowiła zmieniać co pewien czas opatrunki. Widząc, że Andrzej ma gorączkę, zachęcała go do snu.

Morro przełożył przez szyję rzemień pistoletu maszynowego, sprawdził stan amunicji w magazynkach i łyknął parę proszków nasennych podanych przez sanitariuszkę.

Oddychał szeroko otwartymi ustami. Usypiając słyszał wciąż trwającą strzelaninę przy kościele oraz monotonną rozmowę Jerzego z Trzaską.

- Czy nasz budynek to Biblioteka Zamojskich?

- Nie. To jakiś dom mieszkalny koło biblioteki... Głupio się czuję z tym łokciem...

Obudził się w poczuciu niebezpieczeństwa. Nim otworzył oczy, słuchał: u góry, na stropie piwnicznym, szurały czyjeś kroki. Liczne kroki. Na zewnątrz cisza; żadnych głosów, żadnych strzałów, wybuchów... Czyjś cichy szept w korytarzu: „piić” i ledwo słyszalna reakcja: „cicho, durniu”.

Uniósł powieki - słoneczną plamę okna na ścianie przesłaniał cień, który po chwili zniknął.

Kroki na żwirze za okienkiem... Na twarzach Jerzego i Trzaski natężone skupienie, mięśnie kolan Lidki, na których Andrzej trzymał głowę, napięte, twarde. Morro uniósł się nieco, przerzucił ku pierścionkowi rzemień pistoletu maszynowego, usiadł, odbezpieczył broń.

Po kilku minutach kroki nad głowami zamilkły. Za okienkami nie słychać było ruchu. Jerzy nachylił się w stronę Andrzeja:

- Jakiś patrol. Poszli już. Gdyś spał, słyszeliśmy krzyki koło kościoła i strzelanina tam ustała:

„zdobyli” kościół! - Jerzy nie może powstrzymać uśmiechu, ale uśmiech wnet gaśnie: Niemcy przecież muszą zacząć poszukiwania, może już zaczęli?

Andrzej ostrożnie wychyla głowę i spogląda w okienka. Na alei biegnącej między ich domem a Świątynią Sybilli ruch bardzo wzrósł. Jest najwidoczniej upał, gdyż żołnierze idący aleją mają podwinięte rękawy mundurów, a żandarmi siedzący na ławkach przejeżdżającego samochodu pozdejmowali hełmy.

Wśród stłoczonych w korytarzu ludzi coś zgrzytnęło ostro i dźwięcznie, widocznie prostujący nogi powstaniec zaczepił o blachę.

- Ciicho, do cholery!

Po chwili inny przytłumiony głos:

- Dziewczęta kochane, dostańcie gdzieś choć trochę wody.

I stała riposta kilku jednocześnie ust: „cicho”!

Andrzej także chce pić. Pragnienie tak go dręczy, że musi skupiać całą wolę, aby nie zwrócić się do Lidki z głupią prośbą o wodę. W głowie mu huczy i dzwoni; usta, język, gardło palą.

Rana piecze.

- Patrz, jak zielono w ogrodzie - szepce do Jerzego Trzaska. Andrzej usiłuje nie słuchać rozmowy. Lidka robi mu zastrzyk morfiny i znów zmienia opatrunek. Przykłada wilgotną gazę i to przynosi pewną ulgę.

- Odpocznij sobie, zostaw mnie - mówi do sanitariuszki.

Ta jednak pozostaje przy nim. Po kilku minutach Andrzeja znów ogarnia senność, lecz trzeźwieje, gdy słyszy, iż Jerzy wstał. Rozgląda się i widząc niepokój w spojrzeniu Jerzego spogląda tam, gdzie patrzy Jerzy: leżący na posterunku przy erkaemie Słoń coś pokazuje Jerzemu na migi i Andrzej pojmuję, że ku ich domowi zbliża się grupka piętnastu Niemców z granatami w rękach.

Morro odwraca się plecami do ziemi i głową w kierunku okienek: - Co robisz, Andrzej -

szepce wylękła Lidka i dopiero teraz Morro czuje, że zrzucił opatrunek i ranę ma otwartą. Nie zmienia jednak pozycji i wzięwszy w obydwie ręce pistolet maszynowy, poprawia łokciami swe położenie.

Za nim stoi Jerzy, ten jednak zwrócił się twarzą ku korytarzowi, gdzie leżą stłoczeni ludzie.

Przyłożywszy dłonie do ust mówi wyraźnym szeptem:

- Pogotowie bojowe. Leżeć, leżeć, nie wstawać! Żadnego strzału, żadnego głosu! Wolno się ruszyć tylko na mój rozkaz. Leżeć przy ziemi; żadnego ruchu, żadnego głosu...

Słoń znów miga rękoma: nowych piętnastu Niemców, też z granatami.

Pulsy na skroniach odmierzają mijające sekundy. Kwadrat słońca na ścianie piwnicy Jerzego i Andrzeja zostaje przesłonięty. Słysząc głosy Niemców, kroki po żwirze i...

Coś niewielkiego wpadło do frontowej piwnicy, koziółkuje - trzonkowy granat! Jerzy pada, pociągając za sobą Trzaskę, Andrzej chyli głowę w hełmie do samej ziemi... Mocny huk!

Oczy zaprószone popiołem nic nie widzą... Andrzej na ślepo odpełza ku tyłowi... Nowy huk. I znów wybuch!

Gęsty pył tak przesyca powietrze, iż oddychanie staje się bardzo uciążliwe.

Trzaska klęka i choć nie widzi, odbezpiecza pistolet i trzyma go w zaciśniętej dłoni zdrowej ręki.

Cisza... Przy drzwiach z zewnątrz do piwnicy żadnego ruchu.

Po paru sekundach znów groźny huk wybuchających granatów, tym razem w dalszych pomieszczeniach piwnicznych. Potem w coraz innych. Wybuchy, dziesiątki wybuchów otaczają ze wszystkich stron ich wewnętrzny korytarz dudniąc w piwnicach jak w beczce.

Odłamki biją w drzwi, kurz i dym przenika szpary. Jęk - jęk, który tłumią usta rannego i dłoń najbliższego kolegi.

Ktoś pyta nerwowo: - Wyskakujemy? - Jerzy energicznie przeczy ręką - nie!

Argos podczołguje się do piwnicy Jerzego i Andrzeja: nie może wytrzymać w grozie niewiedzy, musi zobaczyć. Musi! Widzi wreszcie koziółkujący „handgranat”, cofa głowę i dusi się dławiącym kurzem; zatyka usta, aby nie kaszlnąć. Nowa grupa żandarmów na nowo obrzuca piwnice granatami. Znów wybuch! I znów! Argosa boli serce... pot ścieka na oczy...

tynk sypie się na głowę. Gdy kurz i dym przeredziły się, Argos ostrożnie podnosi twarz znad ziemi. Szuka wzrokiem Andrzeja, który leżał z pistoletem w piwnicy z okienkami, Andrzej żyje, porusza się na ziemi normalnie. Argos uspokaja się i wypęłza na swoje dawne miejsce.

Gdy żandarmi oddalili się, gdy opadł kurz, rozwiął się dym i przy wyjściu piwnicznym nie było ruchu, Jerzy sprawdził sytuację w korytarzu.

Zdumiewające! Tylko jeden lekko ranny po całej tej grozie i kanonadzie.

- Chłopcy, ten korytarz jest niezłym schronem. Najważniejsze - nie zdradzić obecności.

- A która teraz godzina? Jest już piąta?

- Jedenasta.

Długie milczenie i czyjś rozpaczliwy szept: - O rany boskie.

Gdy Lidka wycierała Andrzejowi spirytusem okolice rany i nakładała na nią warstwę gazy, na żwirze za okienkiem znów rozległ się chrzęst kroków. Ręce sanitariuszki znieruchomiały.

Kroki skierowały się ku drzwiom wiodącym z zewnątrz do piwnic. Andrzej czuje, jak palce dziewczyny zaczynają drżeć na jego policzkach, a na jej twarzy pojawia się wyraz przerażenia.

- Uspokój się, dziewczyno, i kończ szybko opatrunek.

Niemiec stanął pod drzwiami. Nasłuchuje? Twarze ludzi skupionych w ciasnym korytarzu nieruchomieją i stają się bardziej szare. Sekunda... dwie... Kroki oddalają się!

- Wody...

- Milcz, frajerze, póki jestem dobry!

Odtąd nie mieli już spokoju. Kilka razy podchodziły do ich domu patrole nieprzyjacielskie i ciskały granaty ręczne w okienka piwniczne. Po odejściu każdej z tych grup powstańcy słyszeli wybuchy granatów także koło sąsiednich domów. Jasne było, że nieprzyjaciel nie wiedział, gdzie uszła grupa powstańcza z kościoła, i każdy z patroli na wszelki wypadek szpikuje granatami wszystkie piwnice okolicznych domów. Ale dlaczego nie badają wnętrza piwnic, dlaczego nie wchodzą do nich po obrzuceniu granatami?

Strach o własne życie? Ci, co leżą w okropnej niewygodzie ciasnego korytarza piwnicznego - gorączkujący, spragnieni, wymęczeni nieprzerwaną trzydniową służbą i napięciem nerwowym ostatnich dwunastu godzin, ci ludzie przeżywają każdy nieprzyjacielski patrol zjawiający się u okienek piwnicznych jako niepowtarzalny wstrząs, bo przecież każdy z patroli może uczynić to, czego nie zrobili poprzednicy: wejść do piwnic.

Trzecia z kolei grupa nieprzyjacielska, obrzuciwszy piwnice granatami, zaczęła prac w okienka krótkimi seriami karabinów maszynowych. Drewniane drzwi oddzielające piwnice frontowe od środkowego korytarza nie mogły stanowić ochrony przed kulami. Leżący tam powstańcy równocześnie z trzaskiem broni maszynowej dostrzegli uderzenia pocisków w drzwi i kruszący się tynk ścian. Zaskoczeni nową sytuacją, przytulali się całą płaszczyzną ciał

do podłogi piwnicznej, nie śmiejąc unosić głów. Trzask karabinów maszynowych urywał się na krótko, aby znów zajazgotać w innych oknach.

Witold trzymając palec na spuście erkaemu, mówi nerwowym szeptem do Jerzego: - Popruję.

- Jerzy podpełza do Witolda i ostro pociąga go za ramię, przykładając palec drugiej ręki do ust. W piwnicy, pomiędzy jedną a drugą serią, słychać tylko szybkie oddechy. Odpryski tynku wskazują, iż kule biją mniej więcej o metr nad podłogą, widocznie nieprzyjaciel strzela nie bezpośrednio przy okienkach, lecz z pewnej od nich odległości.

Ale najgorsze chwile przeżyli powstańcy pod wieczór, gdy do ich domu podszedł jakiś niewielki zespół i po pewnym czasie rozległo się kucie.

Uderzano młotkiem w żelazo, przyłożone do muru, i echo tych uderzeń, obiektywnie niezbyt głośne, rozchodziło się słabo po piwnicach, ale gdy powstańcy zaczęli domyślać się jego znaczenia, kucie dotarło do dna ich serc i rozsadzać poczęło czaszki.

Andrzej usnął niedawno pod wpływem zastrzyku morfiny. Obudziło go szarpanie. Gdy z trudem odyskując przytomność otworzył oczy, ujrzał patrzącą nań w przerażeniu sanitariuszkę. - Wstań, Andrzej, wstań! - Nie zauważywszy na zwykłym miejscu Jerzego i Trzaski, odwrócił się ku wewnętrznemu korytarzowi. Wszyscy powstańcy stali z bronią w rękę - Jerzy wśród nich. Na ich twarzach malowało się podniecenie. Andrzej wstał i oparł się o ścianę. Kołowało mu się przed oczyma. - Co to, Jerzy? - Jerzy położył palec na ustach.

Morro skupił uwagę. Ktoś bije w ścianę? Kucie? W jednej chwili wróciła mu pełna przytomność umysłu, cała uwaga skoncentrowała się na regularnych uderzeniach. Lidka chwyciła go nerwowo za rękę. Wyobraźnia Andrzeja błyskawicznie odtworzyła znane i przeżyte sceny ostatnich chwil „Sadu” i kompanii Giewonta: potężny tuman kurzu wzbijający się ku górze i walące się masy murów, pękające stropy, zasypywane wyjścia. Na czole i skroniach wystąpiły krople potu. Regularne uderzenia w mur trwały. Wciągnął głęboko powietrze do płuc i starał się wzrokiem uchwycić spojrzenie Jerzego. Jerzy to widocznie odczuł, gdyż skierował wzrok ku Andrzejowi. Patrzyli sobie chwilę w oczy.

Kucie ustało. Cisza. Kroki kilku ludzi oddaliły się. Cisza.

- Wyskakujemy? - szeptem Witold.

- Nie - odpowiada Jerzy. - Opuść erkaem.

Mija kilka sekund. Wszyscy stoją nieruchomo, usiłując jak najciszej oddychać, aby usłyszeć najśłabszy nawet szmer spoza okienek. Andrzej wychylił się, ostrożnie podchodzi do okienka i rozgląda się po świecie. Gdy cicho i powoli wrócił na dawne miejsce, Czart wpatrujący się intensywnie w jego zabandażowaną twarz i ruchy dostrzega w nich intuicyjnie coś, co uspokaja.

- Piąta godzina - mówi półgłosem Andrzej, spojrzawszy na zegarek. - Na alei przed naszymi oknami normalny, spokojny ruch. Normalny, spokojny ruch.

Radzę się położyć i kto może, spać. Ja tak właśnie zrobię, mamy jeszcze ze cztery, pięć godzin.

Długie westchnienie ulgi. Ale są tak zdenerwowani, że tylko niektórzy z nich kładą się lub siadają. Większość woli na razie stać. Czart zauważa, że oddycha teraz równiej, normalniej. Z

czasem zanotuje w pamiętniku:

Uspokoiłem się nieco, mam do Andrzeja bezgraniczne zaufanie.

Pedantyczny „fajrant” wojujących Niemców objął także patrole włóczące się przez cały dzień dookoła Biblioteki Zamojskich. Powstańcy stopniowo uspokajali się i większość posnęła.

Bardzo wielu gorączkowało. Do tych ostatnich należał także Andrzej. Usnął, ale oddychał

nierówno i od czasu do czasu jęczał przez sen. Gdy Jerzy obudził go o zupełnym zmroku, był

tak osłabiony, iż z lękiem myślano, czy zdolny będzie do poruszania się. Na szczęście po zastrzyku i kilku łykach wódki wrócił do sił.

Dziewczęta przeglądały apteczki, chłopcy - korzystając z ciemności - wyszli w ciszy do piwnic z okienkami. Choć nie rozmawiali, wyczuć można było w tych młodych ludziach przyływ energii i ufności. Ten i ów usiłował po ciemku przeczyścić broń. Jerzy, Trzaska i Andrzej omawiali szczegóły dalszej akcji, a ich grono powiększył rzeczoznawca - Słoń -



bohater podobnej sytuacji sprzed trzech tygodni, gdy wydostał się z zajętej przez nieprzyjaciela Woli.

Na zarządzanej wkrótce zbiórce w korytarzu piwnicznym Jerzy objaśnił zadanie: opuszczą piwnicę około dwudziestej drugiej; ponieważ mają na sobie mundury niemieckie - będą grać rolę oddziału niemieckiego; w czasie marszu nie wolno nikomu otworzyć ust prócz Drogosława i Witolda, gdyż oni właśnie dobrze znają język niemiecki. Cały Ogród Saski ma liczne stanowiska artylerii i moździerzy salwowych. Trzeba je mijać w spokoju tak długo, jak tylko się da - przebijanie zbrojne rozpoczną dopiero, gdy zajdzie po temu konieczność.

Oddział prowadzi Andrzej Morro.

Dwudziesta druga!

Witold z patrolem wypęłza do ogrodu i zapada w krzaki pod okienkami, aby ubezpieczyć wyjście całości. Potem cicho, ostrożnie, pomagając sobie nawzajem, wydobywają się kolejno następni i nikną w krzakach. Noc jest ciemna. Ubezpieczenie przesuwa się w kierunku Świątyni Sybilli. Gdy Słoń szepnął Andrzejowi: - gotowe - Morro wstał i - po raz pierwszy w ciągu tego dnia - wyprostował się na całą wysokość i całą pierś wciągnął orzeźwiające powietrze ogrodu. Na twarzy nie miał bandaża, ranę przykrywał tylko wałek gazy. Z lekkim rozmachem zarzucił pistolet maszynowy na ramię.

- No, braciszku, wstawać... Bez mego rozkazu - żadnego strzału, żadnego granatu.

Ruszamy!

Nie czuli zmęczenia, opuszczał ich lęk. Po makabrycznym dniu wracali do znanych sobie sytuacji. Powoli ruszyli naprzód, starając się stąpać w sposób ociężale-naturalny. Szli dużą, luźną, pozornie bezładną grupą - na przedzie Andrzej Morro, Trzaska, Jerzy, Drogosław, w środku - dziewczęta, na bokach i z tyłu - erkaemy. Broń mieli przewieszoną przez ramiona, ręce - w kieszeniach, w rękach - granaty.

Kiedy znajdowali się w odległości około dwudziestu metrów od alei łączącej plac Bankowy z ulicą Alberta, wyłoniły się na niej dwa auta pancerne i mknęły z na pół przygaszonymi reflektorami. Zanim uchwycili bieg wydarzeń, znaleźli się na granicy nasilającego się blasku.

Najdrobniejszy błąd groził przedwczesną walką.

- Nie zwracajcie na tych panów uwagi - odezwał się głośno i spokojnie Andrzej, wykorzystując narastający szum nadjeżdżających wozów.

Samochody minęły ich w odległości około 5-7 metrów. Światła reflektorów przesunęły się po SS-mańskich mundurach i hełmach powstańców, ale i po ich biało-czerwonych opaskach, na ten wieczór wprawdzie zwężonych. Nie zwalniając biegu wozy pojechały w stronę placu Teatralnego.

Przekroczyli aleję i mijali kopiec Sybilli. Z mroku wyłonił się drobny, szczupły Witold ze swym patrolem. - Ubezpieczaj marsz od tyłu - powiedział cicho Andrzej.

Dobry początek wzmógł ufność maszerujących. Choć wciąż czujni, ostrożni, napięci, odczuwać poczęli wreszcie miękkość trawy pod stopami, łagodny powiew chłodnawego wiatru, lekki szum liści na drzewach. I ta przestrzeń - olbrzymia, wolna, nieograniczona przestrzeń ogromnego Ogrodu Saskiego. Lęk wyparował do reszty.

Idą w kierunku palmiarni, lecz nie idą tam prosto. Kluczą, starając się wymijać rozpalone ogniska, mającące w ciemności działa, rozmawiające grupy Niemców. Jednej z kuchni polowych nie dało się wyminąć, przeszli tak blisko, iż odczuli denerwujący zapach kotła z resztkami kawy; ktoś z tej kuchni przyglądał im się przez chwilę, lecz nic nie powiedział.

Zaraz potem natknęli się na pozycje moździerzy salwowych, przeklętych „szaf”; stały w ciemności osamotnione, bez obsługi.

Palmiarnia! Nagie, żelazne szkielety i resztki biednych, pokaleczonych, egzotycznych drzew.

Koło palmiarni jakieś zarysy niewielkiego, podłużnego wypiętrzenia. Barykada niemiecka?

Barykada! Przy niej, na szeroko rozstawionych nogach, wartownik i tuż za nim lufa cekaemu.

Powstańcy bezładną masą, powoli przechodzą obok wartownika, kierując się ku siatce oddzielającej ogród od ulicy, i choć usiłują nie patrzeć na Niemca, czują, że on nie spuszcza z nich oczu. Jerzy kroczył pod samą siatką, gorączkowo wypatrując jakiejś dziury.

- Tędy nie przejdziecie - odzywa się Niemiec. - Musicie się cofnąć.

A Drogosław bezczelnie:

- Sami wiemy, którądy trzeba iść.

Nie zatrzymując się, nie przyspieszając kroku idą dalej w kierunku Marszałkowskiej, wciąż czując na sobie wzrok wartownika. Spyta o hasło?

Zaalarmuje?

Nie spytał, nie zaalarmował.

Dziury w siatce wciąż nie ma. Andrzej do Jerzego: - Wywalamy otwór gamonem. - Jerzy przeczy ruchem głowy: - To ostateczność, szukajmy dalej. - Jeszcze kilkadziesiąt kroków. I Andrzej: - Masz rację, póki tylko się da, odwlekajmy walkę.

Idą dalej wzdłuż siatki.

Nareszcie - szeroka dziura w siatce!

Słoń ze swoimi jako ubezpieczenie przednie przechodzi pierwszy na drugą stronę. Za nim kolejno reszta. Witold wciąż ubezpiecza od tyłu.

Wykorzystując osłonę drzew przesuwały się w kierunku wypalonego gmachu giełdy towarowej przy ul. Królewskiej. Wkroczyli w najniebezpieczniejszy odcinek drogi: tu grożą nie tylko pociski niemieckie, lecz także pociski oddziałów powstańczych z drugiej strony Królewskiej. Niedaleko od giełdy mijają gniazdo nieprzyjacielskiego cekaemu. Znów niepokój zalewa serca i ręce ściskają granaty.

- Wy skąd? - pyta Niemiec obsługujący cekaem.

- Z pałacu Brahla - odpowiada nie zatrzymując się Drogosław.

- Da sind die polnische Ratten - ostrzega Niemiec, pokazując ręką wypalone domy Królewskiej.

Drogosław śmieje się głośno i już z daleka odpowiada Niemcowi:

- No, dziś im pokazemy.

Od pewnego czasu nasilał się odblask łuny pożarowej. Gdy podchodzili pod ruiny giełdy, w czerwonej poświacie widać już było wyraźnie szczegóły budynku. Jeszcze trzydzieści metrów... Jeszcze dwadzieścia...

Nerwy nie wytrzymały dłużej. Bez rozkazu, odruchowo poczęli biec ku wypalonemu budynkowi, ściągając z ramion broń. Dopadli murów i skoczywszy w cień, przenikali do środka gmachu.

Gmach giełdy był pusty. Od stanowisk powstańczych po drugiej stronie Królewskiej dzieliła go tylko szerokość ulicy.

Andrzej szybko kierował ludzi do frontowej części gmachu, do okien parterowych i niskiego murku oddzielającego ruinę giełdy od ulicy, gdy nagle z drugiej strony Królewskiej zabrzmiały krótkie częste serie erkaemów. W tejże chwili zajazgotał od tyłu ciężki karabin maszynowy, gdzieś na prawo zawołano po rosyjsku, z głębi ogrodu odezwały się działka szybkostrzelne. Ktoś w ruinach krzycheć począł i skowytał z bólu. Krzyk ten przenikał domy, ulice, drzewa, ludzkie serca. Lecz tak samo jak nagle wybuchł, równie nagle w ruinach ustał.

Z drugiej strony Królewskiej były teraz w gmach giełdy dziesiątki karabinów, gwizd kul nie pozwalał wychylić się spoza zasłon. Odpryski muru obsypały hełm i panterkę Andrzeja Morro.

- Nie strzelać! Nie strzelać! Idzie Starówka! Starówka! Nie strzelać!

Druga strona Królewskiej milknie i słychać stamtąd cichy głos: - O rany boskie.

Andrzej Morro skacze z wysokiego okna na gruz, Jerzy przesadza murek, za nimi inni, potem przez jezdnię, potykając się o zwisające nisko druty tramwajowe, obok spalonego auta, po szkle chodnika, przez pustą barykadę, w niskie okna - do środka. Pokój piwniczny pusty.

Jakiś korytarz, zakręt.

Andrzej szarpie klamkę bocznych drzwi i oślepiony zostaje potokiem elektrycznego światła.

- Nie strzelać! Starówka!

Krótką chwilą ciszy, a potem - tumult radości rozsadzającej piersi.

Andrzej, wciąż oślepiiony światłem, czuje, jak ktoś rzuca mu się na szyję, ktoś ściska rękę, ktoś zdejmuje hełm, ktoś całuje go w policzki.

- Jestem bardzo brudny - odzywa się Andrzej.

Śmiech. Wołania. Andrzej usiłuje przyzwycząić oczy do światła. Pokój zapełnia się ponad miarę. Inne pokoje też.

Gdy wreszcie wzrok przyzwycząił się do światła, Morro ujrzał grupkę swoich chłopców przy beczce z wodą. Podszedł także, piekące pragnienie zagłuszyło wszystkie inne uczucia. Woda była brudna i cuchnąca, nie mógł się jednak powstrzymać od picia.

- Co robicie, to beczka przeciwpożarowa! Zaraz przyniesiemy czystej wody!

Padają pytania i odpowiedzi; chełpliwy ton opowiadania, zdumione okrzyki; rośnie poczucie braterskiej jedności. Nie ma zmęczenia, nie ma ran, nie ma trosk.

Prowadzeni przez przewodnika minęli długim węzłem kilka barykad. Weszli do bramy, gdzie znów witali ich radośnie, ale i współczująco jacyś ludzie niewojskowi, podając wodę i papierosy.

- Wyglądają strasznie - usłyszał Andrzej czyjś szept.

Wreszcie - miejsce na nocleg w dużym mieszkaniu szefa „Pasięki” - Jacka, Świętokrzyska 28.

Po radosnej burzy powitań z „Pasięką” nadszedł czas na sen i odpoczynek. Na spokojny sen.

Stanęli w dwuszeregu. Odliczają. Pięćdziesięciu ośmiu - tylu ich przebiło się. Jedyne oddział, który dostał się ze Starego Miasta do Śródmieścia górą.

Światło wielowatowych żarówek brutalnie ujawnia całą nędzę żołnierzy „Rudego” i ich towarzyszy: brud nie mytych od tygodnia rąk, ziemistą szarość wycieńczonych głodem i bezsennością twarzy. mundury podarte, wymiętoszone, uwalane w popiele, węglu, wapnie oraz bandażę i plastry na głowach, twarzach i szyjach, bandażę na rękach i nogach, z których poodwijano lub poobcinano części rękawów i nogawic, bandażę przekrwione i zbrukane oraz bandażę ukryte, których domyślać się można pod wypukłościami munduru.

Przykry zaduch nie zmienianej od dawna bielizny i skarpet nasycza salę, w której stoi dwuszereg. Z wonią tą łączy się zapach eteru i amoniaku, trotylu i dymu.

A pod zewnętrzną powłoką cierpień, walk i wyczerpania widnieją zwykle postacie chłopców i dziewcząt z roczników zrodzonych przed siedemnastoma - dwudziestoma laty; niezgrabny i naiwny Słoń; gruba Grażyna, zwana Czołgiem; przystojny Leszczyc; dorodna, silna Lidka; wrażliwy chudzielec Czart; wysoki, postawny Andrzej Morro; niski, czarniawy Witold...

Ale twarze tej młodzieży są inne od twarzy miliona jej rówieśników i od ich własnych twarzy sprzed paru lat: posiadają jakiś wspólny im wszystkim wyraz, polegający jak się zdaje na lekkim ściągnięciu brwi ku środkowi i nieco ku dołowi oraz na silniejszym zwarciu pierścienia ust. Jest w tym jakaś ostrość i surowość, twardość i upór. Są to twarze młodych, którzy gwałcąc po wielokroć instynkt życia walczyli o wolność czyniąc i przeżywając rzeczy nieludzkie.

Kończył się jeden z ich najcięższych; ale i najślawniejszych dni.

Zdjęli hełmy.

I rozpoczęli pieśń, która towarzyszyła im w początkach walk na Woli, z którą kładli się spać w bazie leśnej nad Bugiem, którą pamiętali z dawnej epoki chłopięcych obozów pod namiotami:

O Panie Boże, Ojczy nasz,

W opiece swej nas miej.

Harcerskich serc Ty drgnienia znasz,

Nam pomoc zawsze chciej.

Wszak Ciebie i Ojczyznę

Miłując chcemy żyć...

#### **XIV. PRZEZ ŚRÓDMIEŚCIE DO CZERNAKOWA**

Jeremi i Andrzej Morro wyszli z podziemi gmachu PKO na Świętokrzyskiej, skręcili w Jasną i powoli szli obok siebie w promieniach przedpołudniowego słońca.

- No, Andrzej, należy ci się ode mnie powinszowanie. Uważaj się za wyściskanego. Jak to tam było w rozkazie? „Za przeprowadzenie sławnego i brawurowego przebicia się ze Starówki do Śródmieścia podporucznik Andrzej Morro awansowany na porucznika”. Tak?

Druga nominacja w ciągu tygodnia.

Jeżeli tak dalej pójdzie, skończysz wojnę w stopniu generała. Oto co znaczy mieć wojsko we krwi!

- Tak myślisz?

- Przecież wystarczy na ciebie popatrzeć, aby ujrzeć wzór oficera.

Andrzej wiedział, co pokpiwający Jeremi ma na myśli. Oczywiście nie ranę na twarzy, która zresztą dobrze się goiła pod niewielkim pokładem gazy, przytwierdzonej leukoplastem.

Jeremi pokpiwał z tego, co stanowiło drugą naturę Andrzeja - z jego czystości i codziennego golenia się, z porządnie wyglądającego munduru i połyskujących butów, z jego prostego trzymania się i

sprężystego kroku.

- A jednak, Jeremi, mylisz się. Odczuwam, oczywiście, satysfakcję z przebicia się „Rudego”, nie mam fałszywej skromności, wiem, że jestem niezłym dowódcą. Ale to wszystko ani o grosz nie zmieniło mego nastawienia do wojskowości, do oficerstwa. Wojuję, bo dziś to najważniejsze.

Przerwali rozmowę, trzeba było wyminąć długą kolejkę ludzi stojących po wodę. Ale widocznie temat dotknięty żartobliwie przez Jeremiego bardzo Andrzeja poruszył, gdyż po chwili podjął go znowu:

- Ja wojsko traktuję podobnie jak Zośka. Czy pamiętasz nasze nie kończące się rozmowy w początkach czterdziestego trzeciego, gdy zaczynaliśmy dywersję? Zośka mówił wtedy, że walkę kocha bardziej niż wojsko, że wojsko to tylko jedna z form walki, że podczas wojny z konieczności uprawia ten właśnie typ walki, lecz dopiero po wojnie wejdzie do walki naprawdę pięknej. Mnie ta postawa Zośki bardzo odpowiada. Podobnie jak Zośka kocham walkę w jej przejawach dzielności, bohaterstwa, braterstwa i marzę, aby doczekać prowadzenia walki jako organizator życia ekonomicznego w wielkiej ofensywie na obszar Wisły.

Andrzej przerwał. Staął, zwrócił się twarzą ku Jeremiemu i dotknął jego ramienia:

- Słuchaj, bracie, gdy widzieliśmy się ostatnim razem u ciebie na Starówce, mówiłeś o załamaniu się w tobie wiary w dotychczasową koncepcję pracy i życia. Pamiętasz? Przyszło mi teraz na myśl, że może przeprowadziłeś złe rozpoznanie spraw swojej przyszłości? Czyż połączenie inżynierii chemicznej z postawą społeczną nie zapowiada niezwykłych perspektyw dla fabryki, którą kiedyś zaczniesz kierować.

Obydwaj uśmiechnęli się.

- Jakież ty jesteś szczęśliwy z tym swoim optymizmem - powiedział Jeremi.

- Jasia ma rację, gdy mówi, że najsilniejszą stroną twojej osobowości jest mocna wiara w to, co robisz. Tą wiarą hipnotyzujesz otoczenie. Ja dawniej też byłem taki.

Rozmowa urwała się. Szli pogrążeni w myślach, pochłonięci przez swe przeżycia, lecz powoli narastało zainteresowanie ulicą i mijanymi ludźmi.

Chociaż był to już drugi lub nawet trzeci dzień ich pobytu w Śródmieściu, wciąż jeszcze nie mogli oswoić się z widokiem normalnych, nie zniszczonych domów i normalnych, nie zawalonych gruzami ulic. Na pojedyncze leje w jezdni, na rozbitą tu i tam ścianę lub spalony gdzieś dom patrzyli niemal melancholijnie, jak na skromniutkie odbicie ich dzielnic: Woli i Starego Miasta. Barykady Śródmieścia wydawały im się jakieś nierzeczywiste, ich pedantyczna budowa, staranne wykończenie i panujący koło nich spokój wywoływały mimowolny uśmiech na twarzy Andrzeja i zniecierpliwienie we wzroku Jeremiego. Ale najdziwniejszy był tu wygląd ludzi na ulicach. Nie przemykali się chyłkiem, w poczuciu, iż lada chwila coś zwalić się im może na głowę, lecz szli chodnikami, szli wprawdzie szybko, ale ruchy mieli opanowane. Byli normalnie ubrani, czyści. Kobiety zachowały w prostocie swych ubiorów pewną elegancję, mężczyźni mieli krawaty.

- Ludzie mieszkają tu nie w piwnicach, lecz w swych domach - stwierdził Jeremi.

Gdy to mówił, ogarnęło go tak plastyczne wspomnienie piwnic Starówki, że odczuł fizycznie niemal ciżbę stłoczoną w schronach, przez które z trudem przeciskano się i przepychano, odczuł woń nie rozbierających się od miesiąca ludzi, ich rozdrażnienie i wyczerpanie psychiczne spowodowane nieustannym przebywaniem w tłoku.

- Tak, masz rację. Ludzie tutaj żyją dotychczas prawie normalnie. Ale to nie tylko sprawa zachowania mieszkań i braku fatalnego zagrożenia, jakie było u nas. Ktoś powiedział, że natężenie niebezpieczeństwa na jednostkę czasu i powierzchni jest tu bez porównania mniejsze niż na Starówce. Tu można na razie żyć spokojnie i posiadać sprawną organizację.

Patrz, zamiatają ulicę.

Jasna wciąż jeszcze pretendowała do zachowania rangi pierwszej ulicy powstańczej Warszawy. Nawet o tej wczesnej godzinie ruch był tu znaczny. Na naramiennikach wielu mijanych mężczyzn widniały gwiazdki i paski majorów, pułkowników. Obydwaj przyjaciele musieli co chwilę salutować. Andrzej traktował salutowanie, nie praktykowane na Woli ani na Starówce, tak jak się traktuje różnorakie śmieszności, ale Jeremiego denerwowało to. A ponieważ był po staremu zarośnięty i na butach miał zaskorupiałe ślady wędrówki kanałowej, Andrzej przy każdym salutowaniu wyobrażał sobie trochę z uśmiechem, a trochę z niepokojem, jaka scena może się tu rozegrać, gdyby któremuś z mijanych oficerów przyszła ochota zwrócić uwagę Jeremiu na niestosowność jego wyglądu.

Na szczęście Jasna już była poza nimi. Szli Szpitalną w kierunku Widok.

Tu ulice nie miały charakteru promenady, choć ruch wciąż był spory. Szum motorów samolotowych, na który początkowo nie zwracali uwagi, nasilił się do tego stopnia, iż ludzie zaczęli kryć się po bramach. Jakiś mężczyzna z OPL zawołał ku nim: - Do bram, panowie, do bram! - Bomby padać zaczęły gdzieś za Nowym Światem. Powiśle? Odczekawszy chwilę ruszyli dalej i szli jakby na tle dalekich eksplozji.

Jednak tu też! Andrzej powtórzył Jeremiu zasłyszane wczoraj szczegóły o szefie” Pasiaki”

- Jacku, który poległ przy placu Małachowskiego jako dowódca kompanii harcerzy Śródmieścia. Granatniki!

Po pewnym czasie weszli na podwórze i skierowali się do przejść piwnicznych wiodących ku barykadzie przecinającej aleję Sikorskiego (tak nazywano w czasach powstania Aleje Jerozolimskie). W rękach powstańców znajdował się cały prawie odcinek alei między Nowym Światem i Marszałkowską, lecz przechodzenie jej było w zasadzie możliwe tylko nocą, czołgi bowiem przed hotelu Polonia oraz strzelcy wyborowi, ulokowani na wyższych piętrach obsadzonego przez nieprzyjaciela Banku Gospodarstwa Krajowego, stanowili dla ruchu dziennego, nawet zabezpieczonego barykadą, znaczne niebezpieczeństwo. Andrzej i Jeremi szybko przebiegli na drugą stronę alei rowem wykopanym pod barykadą przez saperów. Przebiegli nie pochylając się! Ulegli mimo woli „fasonowi” żołnierzowi Starówki, którym „nie wypadało” schylać się w Śródmieściu

przy ostrzale. Do Kruczej doszli piwnicami i podwórkami. Andrzej, który krytycznie ocenił rów przybarykadowy (za płytki!), tu, w przejściach piwniczno-podwórzowych, z uznaniem obserwował organizację Śródmieścia: wyraźne drogowskazy, światło w zakamarkach, uprzejme objaśnienia służbowych na skrzyżowaniach „dróg”.

Krucza - nieszeroka, z setkami małych, pozamykanych obecnie sklepów, wydawała się jeszcze bardziej ruchliwa niż ulice na północ od Alei Jerozolimskich. Ta część Śródmieścia była zresztą mniej zniszczona od poprzedniej, zburzonych domów prawie nie widzieli -

czasem tylko dostrzegali rozwaloną ścianę lub wybite przez podmuchy szyby.

Przyłączył się do nich Czart, wracający z jakiegoś „szabru”. Był podniecony, usta mu się nie zamykały.

- Co za ludzie w tym Śródmieściu! Mówię wam, gdy wszedłem do jednego tam domu na Nowogrodzkiej, traktowali mnie jak zwierzaka. Dotykali panterki, zdjęli chustkę z szyi i chcieli ją kupić! Jakiś jegomość przyczepił się, żeby mu sprzedać pokrowiec hełmu! Ja, mówię wam...

Zbliżył się Kmita i teraz już szli we czwórkę. Kmita wracał z „fasunku”, przeprowadzonego dla rannych „Zośki”, rozlokowanych w trzech małych szpitalikach. Był oburzony na porządki w magazynach prowiantowych.

- Wyobraźcie sobie, że dla żandarmów powstańczych jest i chleb, i wino, i papierosy. Dla rannych dali mi przeklętej kaszy i cukru, a delikatesów tyle, co kot napłakał. Co za cholera!

Ciekaw jestem, czy takie porządki muszą być nawet w powstaniu? I czy zostaną także po wojnie?

- Złóż o tym meldunek - doradził Andrzej. Spochmurniał. Dotychczas podśmiewał się z wydziwiań swoich chłopców na temat Śródmieścia i tutejszego „lipnego wojska”, na temat salutowania i wymanicuroowanych sanitariuszek. Bawiło go, gdy chłopcy „Zośki” mieli za złe Śródmieściu nawet to, że „szafy” nazywają tu „krowami”! Andrzeja przede wszystkim radował podstawowy fakt, który go oszołomił w pierwszych chwilach zetknięcia się ze Śródmieściem: Warszawa istnieje! Jest normalne miasto, są normalne ulice i domy. I normalni ludzie. I nie zniszczone oddziały. Zguba Starówki to jeszcze nie zguba powstania!

Ale to, o czym mówi Kmita, to już niebłaha pretensja, to skaza.

Powtórzył: - Złożmy obydwaj o tym meldunek.

- Ja się w Śródmieściu czuję źle - powiedział milczący dotychczas Jeremi - choć na zdrowy rozum nie ma to żadnego sensu. Drażnią mnie te ulice, te porządki, ci ludzie. Jest mi tu obco, tęsknię do barykad na Żytniej, do cmentarzy przy Karolkowej, do zatłoczonych schronów Starówki i gruzowisk placu Krasieńskich. Chciałbym jak najprędzej stąd wyjść.

Andrzej objął Jeremiego w pól i podprowadził do okna sklepika zastawionego deskami.

- Odpukaj w nie malowane drzewo, odpukaj! Jeżeli stetryczjemy mając po dwadzieścia lat, to



wyrosną z nas straszni staruszkowie! Czyżby naprawę nie cieszyło cię istnienie Warszawy prawie normalnej, czyżby nie radowała cię zielona trawa w ogrodzie, na której za parę minut rozciągniemy się w cieniu drzew?

Jeremi uśmiechnął się nikłym uśmiechem.

Dochodzili już do siebie, weszli bowiem w nie zniszczoną ulicę Mokotowską. Wprawdzie ambasada bułgarska, na której terenie zostali zakwaterowani, mieściła się przy Alejach Ujazdowskich, lecz Aleje były w zasięgu nieprzyjacielskiej broni maszynowej, wobec czego do ambasady wchodziło się od strony Mokotowskiej. Przy bramie stał wartownik w panterce, z karabinem, wpuszczał tylko żołnierzy ze zgrupowania Radosława.

Minęli go, przeszli przez podwórze, drugą bramę - i oto są w ogrodzie.

Jakże tu zielono, zielono od trawy i panterek setki chłopców i dziewcząt.

Słońce prześwituje przez listowie drzew, pieszcząc głowy i dłonie.

Większość leży beczynn timer, leniuchując i rozmawiając sennie, niektórzy siedzą przy stolikach kawiarnianych, których tu dużo, i coś tam dłubią w broni lub oporządzeniu. Kilka dziewcząt pierze w miednicach. Gdzieś uporczywie strzela czołg, z dala dochodzi groźne skrzypienie

„szafy”, czasami słychać szum motorów samolotowych - to wszystko ich nie dotyczy.

Oni teraz nie wojują. Urlop! Laba! Teren ambasady leży w dzielnicy zamieszkaney podczas okupacji przez Niemców i zbyt blisko kilku czynnych dziś jeszcze centralnych niemieckich urzędów, ani artyleria więc, ani lotnictwo nie bombardują tych miejsc. Tu można mieć spokojną głowę. Gdybyż tylko nie kołatały się po tych głowach wspomnienia...

Andrzej Morro niedługo leżał sam na trawie pod starą jabłonią. Wnet odszukał go Jerzy i położył się obok, trzymając w ręku notes.

- No, Andrzeju, plan reorganizacji gotowy. Uzgodniłem z Radosławem i teraz na ciebie kolej.

Możesz zaczynać!

- Więc jak to ostatecznie ma być? - pyta Andrzej usiłując przezwyciężyć senność. Słońce delikatnie grzeje szyję i odsłoniętą pierś, trawa pachnie cierpko, brzęczy koło głowy osa.

- Zostałem dowódcą „Brody” - oznajmia Jerzy - ale zatrzymuję także dowództwo „Zośki”. Do

„Brody” prócz „Zośki” wchodzi również „Parasol”.

- Ooo! Więc pułkownik zatwierdził nasz pomysł? Znów będziemy razem!

Jeremi już wie o tym?

Andrzej jest tak przejęty usłyszaną nowiną, że strząsa ze siebie senność i siada, opierając się plecami o pień drzewa.

- Posłałem do Jeremiego łączniczkę. Ale słuchaj dalej. Spośród trzech kompanii „Zośki” jako-tako utrzymał się liczebnie tylko twój „Rudy”. Bo z kompanii Giewonta mamy razem z lżej rannymi i dziewczętami ledwo dziesięciu ludzi, a z „Maćka” nadaje się do linii około piętnastu. Wobec tego owe niedobitki - wybacz to okrutne słowo - włączamy do „Rudego” i tym sposobem „Zośka” składać się będzie tylko z twojej kompanii szturmowej i ze służb.

Postaraj się szybko ściągnąć trochę nowych z Szarych Szeregów, aby doprowadzić stan liczebny kompanii powiedzmy do dziewięćdziesięciu ludzi, i podziel to bractwo na dwa-trzy plutony. Uwijaj się szybko, gdyż jutro prawdopodobnie odejdziemy już stąd.

- Dobrze, zaraz się zabiorę do roboty. Ale powiedz mi jeszcze, jak wygląda sytuacja

„Parasola”?

- Gorzej niż „Zośki”. Zostali bardzo wyniszczeni na Starym Mieście. Cały „Parasol” sprowadza się do jednej kompanii pod dowództwem Jeremiego i kompania ta będzie jeszcze mniej liczna niż twoja. Ale, ale - w Śródmieściu dołączy do „Parasola” Luty, Jeremi będzie miał dobrego zastępcę.

Jerzy odszedł. Andrzej chciał wstać, ale nie mógł na to się zdobyć. Było tak miło leżeć na trawie... Napływała znów senność. Resztką woli zdobył się na zawołanie Anody i poprosił, aby obudzono go za pół godziny. Usnął od razu.

Anoda obudził Andrzeja punktualnie i był nieustępliwy, gdy ten chciał przedłużyć sen o dalsze pół godziny. - Nie, Amorku, do roboty! Wiem już od Jerzego, o co chodzi; powinienes nas jak najszybciej przetasować. - Andrzej wstawał zły, lecz gdy przetarł twarz wilgotnym ręcznikiem, nabrał wigoru.

W otoczeniu ocalałych dowódców plutonów i drużyn dokonał, po dłuższych deliberacjach, nowej organizacji „Rudego”. Będą trzy plutony: „Alek” z Księciem na czele, „Felek” ze Słoniem i „Sad” z Jureczkiem. Anoda z powodu nie zagojonego postrzału płuca nie mógł

objąć funkcji dowódczej.

Podczas tych organizacyjnych rozważań przyszedł Czarny Jaś. Zbliżała się godzina zapowiedzianej wizyty pana Bolesława i rozmowy z nim, Jaś - uczestnik tej rozmowy -

przybył nieco wcześniej.

- Serwus, Jaś - ucieszył się Andrzej. - Myślę o tobie już od godziny. Co byś powiedział na propozycję włączenia się do walecznych szeregów „Zośki” i „Rudego”?

Jaś, który od chwili zjawienia się „Zośki” w Śródmieściu widział już parokrotnie Andrzeja, popatrzył nań swymi ogromnymi przez szkła okularów oczami.

- Byłoby to fantastyczne znaleźć się znów z wami, jak na Woli. Myślałem o tym i już rozmawiałem z

Orszą. Ale stawiam warunek: musicie przyjąć także Irkę i oboje zgłosimy się dopiero jutro, po ślubie.

- Ooo!

Czarny Jaś stał speszony chóralnym okrzykiem, chociaż czuł życzliwość tego żołnierskiego bractwa.

- Idzie pan Bolesław.

Andrzej wstał, Czarny Jaś uśmiechnął się. Na dróżce między drzewami pojawiła się drobna, szczupła sylwetka męska w lichutkim garniturze. Pan Bolesław szedł szybko, a raczej kołysał

się kaczkowato na swych ułomnych nogach, jak zawsze bez czapki, ze sterzącym w nieładzie kosmykiem rzadkich, siwawych włosów. Spotkali się z Andrzejem w pół drogi i pan Bolesław, objąwszy dłońmi rękę Andrzeja, długo ją ścisnął nie mówiąc ani słowa.

- Proszę do mego pokoju - powiedział Andrzej. Gdy opuszczali ogród, nozdrza chwyciły smakowity zapach smażonych racuszków. Minęli hall ambasady i weszli na piętro.

- Czy wiesz, że znów będziemy razem? - spytał Andrzej Jeremiego, przepuszczając go przed sobą w drzwi. - I czemu przyszedłeś bez Jasi?

Jeremi uśmiechnął się blado. - Jasia nie czuje się dobrze. - I przysunął panu Bolesławowi krzesło. Od pierwszej chwili ujrzenia ich obydwu na dróżce ogrodowej Andrzej uchwycił

jakąś subtelną zmianę w postawie i ruchach Jeremiego. Teraz zrozumiał: Jeremi był czujnie opiekuńczy wobec pana Bolesława. Andrzej wiedział, że pan Bolesław odszukał

„parasolarzy” w godzinę po ich wyjściu z kanału i odtąd wiele godzin spędził wśród nich, znosząc lekarstwa, przyprowadzając lekarzy specjalistów, organizując zbadanie Jasi przez wybitnego chirurga. Przesiadywał wśród chłopców „Parasola” przeważnie w milczeniu, tylko pierwszego dnia wypytywał, kogo się dało, o ostatnie chwile Rafała.

Andrzej wyszedł na chwilę, a gdy wrócił, niósł półmisek pełny świeżo usmażonych racuszków. Ich widok i zapach odbierał zdolność myślenia - mijał przecież piąty tydzień powstania. Dopiero gdy cała zawartość półmiska została pochłonięta, spojrzeli na siebie przytomniejszymi i nieco zawstydzonymi oczami: nurtowała ich niejasna wątpliwość, iż atak na racuszki był może nazbyt gwałtowny.

Siedzieli we czwórkę: pan Bolesław, Jeremi, Andrzej i Czarny Jaś.

Rozmawiali o Śródmieściu, ale w istocie wszyscy myśleli o jednym, choć nie powiedzieli na ten temat ani słowa: zostało ich tylko tyłu spośród najbliższego grona przyjaciół.

Wreszcie Jeremi wyrzekł sakramentalną formułę wstępną ich dawnych sympozjonów:

- Panie Bolesławie, jak tam sytuacja?

I jak zawsze w takich chwilach pan Bolesław zmarszczył się, przetarł szkła okularów i patrzył na nich chwilę przymrużonymi oczami, jakby wahając się:

- No, cóż... Może zaczniemy od spraw wojskowych powstania. Nie znam waszego zdania, ale mnie się wydaje, że powstanie zostało przegrane już w pierwszych trzech-czterech dniach sierpnia... Przeprowadziłem tutaj na własną rękę pewną ankietę. Spośród około trzydziestu podstawowych obiektów, wyznaczonych do opanowania przez oddziały powstańcze, zdobytych zostało tylko kilka, z których tylko jeden naprawdę ważny - elektrownia. Nie zdobyto natomiast żadnego atakowanego fortu ani lotnisk, ani żadnych koszar, dworców, ani przyczółków mostowych, ani prawie żadnego z głównych urzędów niemieckich. We wszystkich tych atakach oddziały powstańcze zostały odparte, a niektóre bardzo skrwawione.

Jeremi patrzył uważnie na mówiącego. Andrzej i Jaś siedzieli spochmurniali.

- Cóż - ciągnął dalej pan Bolesław - każde z tych nieudanych natarć ma za sobą jakiś ważny powód niepowodzenia: tu siła wyższa uniemożliwiła na czas dowóz broni, tam przypadkowy patrol czołgów przeszkodził koncentracji, gdzie indziej Niemcy nie dali się zaskoczyć. Tak, ale jeśli niepowodzenie objęło 85 procent wyznaczonych zadań bojowych, to trudno mówić o przypadku, o sile wyższej i braku szczęścia wojennego. Wprawdzie ostateczne orzeczenie dać mogą dopiero badania historyczne, ale już teraz wolno chyba przypuszczać, że praca naszych sztabów była abstrakcją, że dowództwo powstania improwizowało pierwsze działania bez związku z wypracowanymi planami, że rzeczywistość powstańczych działań wojennych nie miała nic wspólnego z tym, co planowano.

- Okropne - powiedział Jeremi nienaturalnie wysokim głosem. I po chwili już spokojniej: -

Myśmy się domyślali tego na Woli, ale tam były to tylko domysły. Ukuliśmy nawet teorię, iż powstanie, nieudane jako akt ofensywy, przerodziło się w niezwykle skuteczne działania obronne.

- Tak jest! Ta przemiana niemal z dnia na dzień istoty powstania z planowanej, krótkotrwałej akcji zaczepnej na długotrwałą akcję obronną jest jeszcze bardziej zdumiewająca niż fiasko pierwszych dni sierpnia. Tu też miarodajne wyjaśnienia dadzą tylko badania historyczne, ale fakty, które zdołałem zebrać, wykazują, że - jak się zdaje - nowa, obronna postać powstania kształtowała się w chaosie organizacyjnym i raczej oddolnie: wielu dowódców działało w pierwszych paru decydujących dniach spontanicznie, z własnej inicjatywy, na własną rękę i dopiero stopniowo, w miarę nawiązywania łączności, włączały się w tę oddolną bojową samorzutność dowództwa wyższego szczebla.

- U nas było inaczej. Radosław od początku trzymał w ręku wszystkie oddziały i kierował naszą walką.

- Wy stanowiliście wyjątek, byliście jedyną większą, zwartą jednostką wojskową z okupacyjną zaprawą w walce. Ale nawet na was, jak mówił mi Pług, ten chaos pierwszych dni odbił się w postaci przygotowań Radosława do opuszczenia Warszawy. Zresztą oddziałów opuszczających Warszawę w pierwszych dniach powstania było sporo i jeśli wskazać trzeba plusy dowództwa

powstania - jednym z nich jest niewątpliwie powstrzymanie tego exodusu.

- Wie pan - powiedział w zamyśleniu Andrzej - nazwanie drugiej fazy walk powstańczych

„obronnymi” jest chyba nieścisle, pomniejsza rzeczywistość.

Przecież my otoczyliśmy i izolowaliśmy setki oddziałów i placówek nieprzyjacielskich.

Uniemożliwiliśmy im ruchy, oblegaliśmy i niszczyliśmy je. Zwiąaliśmy walkami niemało oddziałów wroga. Niemcy dotychczas nie mają podstaw uważania siebie za zwycięzców.

Mimo klęski pierwszych uderzeń jeden z celów powstania został wypełniony: zablokowaliśmy warszawską trasę wschód-zachód, kolej i szosy. Wygląda tak, że dowództwo, które zawiodło w pierwszym decydującym uderzeniu, w dalszych walkach i w organizacji tyłów działa sprawnie.

Jeremi chciał coś powiedzieć, lecz wykrzywiwszy wargi - milczał. Pan Bolesław natomiast dokończył uwagę Andrzeja.

- Cóż... Jest w tym typowo polski rys: niedowład w przewidywaniu i patos improwizacji, patos bohaterskiej realizacji. Nie tylko w oddziałach, ale i w dowództwach. Myślę, że powstanie w swym całokształcie, mimo fiaska celu podstawowego - wyzwolenia stolicy -

przejdzie do historii jako przykład szczytowy polskiego bohaterstwa wojennego.

Nikt już teraz nie siedział. Stali lub krążyli po pokoju, nie usiłując ukryć wzburzenia.

- Czy powstanie ma jakąś szansę ratunku? - spytał wreszcie Jeremi.

- Nnno... Powstanie! Powstanie jest tylko fragmentem sprawy polskiej...

Aby na pytanie to dać odpowiedź, trzeba wiedzieć, czym jest polityka.

Politykę można określić jako umiejętność wyboru w konkretnie istniejących warunkach najlepszego wyjścia. Należy jasno ujrzeć, jakie rozwiązanie jest korzystniejsze, i wybrać to rozwiązanie.

- A wartości moralne?

- Kryteria moralne w polityce służyły dotąd tylko do kształtowania fasady, przy budowaniu gmachu politycznego natomiast stanowiły utrudnienie.

Polityk nie liczy się z nimi poważnie.

- Co pan mówi, panie Bolesławie? - Czarne oczy Jasia są za soczewkami okularów ogromne, jego długie, wąskie palce oparte o blat stołu odpychają mimo woli stół.

Teraz zdenerwował się także pan Bolesław, Zmarszczki na jego twarzy zbiegły się i pogłębiły, cała postawa przybrała wygląd zaczepny.

- Traktowałem was jak umysły dojrzałe... Zaraz... Przecież ja nie ustanawiam norm politycznych ani moralnych... Ja nie głoszę, jak być powinno, ja stwierdzam, jak jest... Ja teraz charakteryzuję rzeczywistość, a nie naprawiam świat...

Zapanowało kłopotliwe milczenie.

- Więc co z tego wszystkiego wynika, panie Bolesławie? Jak według pana należy postępować?

- Jak postępować? Nie wiem...

- Można zniechęcić politykę - powiedział Jaś.

Andrzej Morro, który milczał od dłuższego czasu, patrząc niewidzącymi oczyma na wymarłą pustkę alei, odezwał się wreszcie:

- Gdyby nawet, panie Bolesławie, charakterystyka polityki, którą pan wypowiedział, odzwierciedlała wiernie doświadczenia wielu państw i wielu stuleci, nam się z tym pogodzić nie wolno. Bo my nie jesteśmy zdolni do chłodnego kalkulowania. Myśmy zbyt wiele doświadczyli, postawiliśmy zbyt wiele na stawkę moralną i mamy pewne zobowiązania... Pan rozumie, zobowiązania nasze, tych, którzy ocaleli, wobec tych, którzy leżą na Woli, na Starówce i gdzie indziej. I jeszcze jedno: cokolwiek sądzą i kalkulują politycy polscy, sowieccy, anglosascy, nasza podstawowa prawda jest ta, że my walczymy w najlepszych intencjach o wolność. Wolność narodu i narodów.

- Ach, Andrzej, Andrzej - odezwał się Jeremi. - Widzę już, jaki będzie koniec naszej roli w tej walce „pięknej, wzniosłej i szlachetnej”.

Mickiewicz znał się na świecie, gdy mówił, że ręce za lud walczące sam lud poobcina. Widzę proroczym okiem, jak za miesiąc rodacy zaczną nas traktować jako głupkowatych romantyków, za rok staniemy się dla nich kłopotliwym ciężarem, a reprezentanci ludzkości prawdopodobnie już teraz prowadzą o nas grę w kości.

- Jeremi, jesteś nieuleczalny - przerwał Andrzej. - Ale nawet gdyby twoje proroctwo miało się spełnić i gdyby doświadczenie historyczne pana Bolesława zatryumfowało także w tej wojnie, nie pogodzę się nigdy z cynizmem w polityce. Choćby tak było dotąd zawsze, musi być inaczej w przyszłości. Zło musi być zdławione. Zasady moralne muszą zatryumfować w życiu społecznym. I my musimy tego pragnąć, musimy do tego dążyć, musimy to urzeczywistnić.

Gdybyśmy tego zaniechali, dokonalibyśmy rzeczy gorszej niż Hitler: zamordowalibyśmy duszę powstania.

Stał wielki, lekko pochylony ku przodowi. Na twarzy pokrytej rumieńcem bielał opatrunek niedawnej rany. Rozsznurowany kołnierz panterki odsłaniał mocno mięśnie szyi. Pan Bolesław nie spuszczał zeń wzroku i wzrok ten stopniowo nabierał coraz większej życzliwości.

- Cóż... młodość... Zaraz, ja nie twierdzę... Instytucje społeczne i obyczaje nie są niezmiennie.

W starożytności i średniowieczu toczyły ze sobą wojny poszczególne miasta - dziś nie... Był

handel ludźmi - przewyciężono go... Zaraz, przecież na naszych oczach niszczonej jest rasizm... Cóż, walka o wolność narodów i jednostek, o sprawiedliwość społeczną może dać realne wyniki.

Młodzi uśmiechnęli się, uśmiechnął się i pan Bolesław. Czarny Jaś ujął drobnego, starszego pana w ramiona.

- Więc jednak pan z nami? Bo tak jak Andrzej myślał także Piotr i Zośka, i tylu innych.

Staraliśmy się tego nie zagubić nawet teraz, w tej bitwie tak trudnej. Pana oceny politycznej, panie Bolesławie, słuchaliśmy jak zawsze z wielkim zainteresowaniem: szukamy prawdy w wielu źródłach. Ale mieliśmy zawsze własne stanowisko. I na nim budowaliśmy naszą siłę.

Chcemy brać udział w budowaniu lepszego świata i wierzymy, że w tym udział bierzemy.

I Czarny Jaś uśmiechnął się ponownie do pana Bolesława.

- Więc jest pan jednak z nami?

- Zaraz... zaraz... Muszę sprecyzować... Gdyby nawet powstanie spotkała klęska, byłaby to przegrana koncepcji politycznej, ale nie narodu. Zaraz... to przecież jasne! Wszystkie pozytywy powstania, moralne i moralno-polityczne, staną się na pewno czynnikiem siły narodowej i elementem budowy lepszego świata. I w tym sensie...

Jeszcze raz odezwał się Andrzej. Mówił jakby z trudem zbierając myśli.

- My już w początkach powstania nie liczyliśmy na zwycięstwo.

Zaczynaliśmy natomiast podczas walk dostrzegać dramat naszego losu; czuliśmy, że kończy się świat, któremu ufaliśmy, że dzieje się coś niezrozumiałego, coś rozpaczliwego z naszymi sojusznikami. A od załamania się chroniła nas i chroni wiara w to, że wartości moralne są twardsze niż stal, że one muszą zatryumfować, że zatryumfują.

Pani Janina miała złą noc. Całodzienne uciążliwe roznoszenie prasy powstańczej nie było bagatelą dla jej pięćdziesięciu lat, ale nie to spowodowało bezsenność. Od pierwszych chwil zjawienia się oddziałów powstańczych ze Starówki łapała, kogo mogła, z „Zośki”, aby dowiedzieć się o losach młodszej córki, i wczoraj zbliżyła się do poznania prawdy, chociaż wciąż ranną widziano w szpitalu na Długiej. Pol niosący dla niej list od pani Janiny, który nadszedł na Starówkę pocztą powstańczą, widział Marynę na noszach, przykrytą kocem.

„Oddał pan Marynie mój list?” - spytała pani Janina. „Nnnie”. „Czemu?” „Bo, widzi pani....

hm... Maryna była ciężko ranna”. Nic z Pola nie dało się więcej wydobyć.

Pani Janina prawie nie spała tej nocy. Czowała, że stało się coś strasznego. Nie zdawała sobie sprawy, co to mogło być, usiłowała jeszcze nie łączyć swych złych przeczuć z Maryną, ale była niespokojna w najwyższym stopniu. Po raz pierwszy nie poszła po prasę. Nie wstała o zwykłej godzinie i leżała w swym pokoju jak sparaliżowana.

Około szóstej rano usłyszała szybkie kroki na schodach i trzask klucza obracanego w zamku.

Wpadła Irka.

- Matusiu, mam taką dobrą nowinę - wołała od progu.

Pani Janina usiadła na łóżku. Serce zabiło szybko.

- Mamo, dziś mój ślub!

Pani Janina zatrzepotała powiekami. Chwilę jeszcze siedziała bez ruchu i bez słowa ogarnięta zamętem uczuć na widok promieniejącej szczęściem starszej swej córki. Potem najwyższym wysiłkiem woli podniosła się z posłania i choć ręce jej drżały, poczęła wyjmować z szuflad, co miała najlepszego z soków owocowych, bielizny, drobiazgów toaletowych. Dźwięczny, młody, radosny głos rozbrzmiewał nieustannie po trzech pokojach ich mieszkania na Dobrej, zwierając się matce ze spraw błażych i ważnych. - Dziś w nocy idziemy z „Zośką” na Czerniaków, mamy już wyznaczone stanowiska. - Po szybkim śniadaniu matka i córka zabrały się do pakowania plecaka. Jeszcze kilka czynności, włożenie plecaka na ramiona i Irka, tak zawsze powściągliwa, zarzuca matce ręce na szyję i całuje ją, ciepła, rozgrzana radością.

- Uściskaj ode mnie Jasia - mówi pani Janina tuląc córkę. A kiedy wymawiała to zdanie, przez mózg jej przemknęło paniczne pytanie: „Ostatni raz ją widzę?” Córka szybko zbiegła po schodach. Matka stała oparta o poręcz, wsłuchując się w echo zanikających kroków i w nierówne uderzenia pulsów na skroniach.

Gdy wróciła do swego pokoju, nie położyła się już. Chodziła jak automat tu i tam. „Szkoda, że nie spytałam jej o Marynę, mogła przecież słyszeć coś nowego”.

A tymczasem Irka pędziła w górę Tamką. Nie czuła ciężaru plecaka, nie słyszała strzałów w rejonie uniwersytetu, nie widziała ogromnego słupa dymu nad Starówką. Czy w ambasadzie znajdzie się żelazko? Jasiowi trzeba koniecznie wyprasować panterkę i spodnie!

Ślub odbył się w kaplicy na Hożej. Tym razem ojciec Paweł wiązał dwie młode pary z

„Zośki”. Przyjaciół i widzów zebrało się sporo. Irka i Jaś czynili korzystne wrażenie, oboje wysocy, postawni, on - z włosami, których czerń lśniła granatem, ona - jasna blondynka, o złocistym odcieniu włosów; oboje w panterkach, przewiązanych pod szyją pomarańczowymi chusteczkami, oboje w spodniach żołnierskich i żołnierskich butach. Tylko wyraz twarzy młodej pary był nieco zaskakujący: uniesiona głowa dziewczyny miała wyraz zaczepnej odwagi, natomiast ogromne oczy mężczyzny, widoczne spoza grubych soczewek okularów, oraz ruchliwość powiek, warg, czoła ujawniały wrażliwość uczuć, ale i niepokój wewnętrzny.

Po ślubie Jerzy (od paru dni kapitan Jerzy!) urządził ku czci młodej pary bibę.

Hall ambasady bułgarskiej był zapełniony, a menu przyjęcia - imponujące; kanapki z konserw, befsztyki z koniny, po naparstku oryginalnej czarnej kawy i wino.



- Sto lat, sto lat, sto lat - śpiewali chórem po krótkim przemówieniu Jerzego.

Śpiewał wygodnie rozparty w krzesło Andrzej Morro, śpiewał wesoło piękny Książę, śpiewał najgłośniej sam Czarny Jaś i nawet Anoda z postrzałem w płuco.

Jeremi wprawdzie nie „ryczał” i nie „wyglupiał się”, ale był pogodniejszy niż zwykle i z przyjemnością łykał czarną kawę. Nie wypuszczał z lewej dłoni ręki Jasi, którą co chwila głaskał delikatnie (opatrunek Jasi był już bardzo zredukowany). Stojący w kącie pan Bolesław mrugał nerwowo oczami, pocierał niezdecydowanie szorstką brodę i nie mógł odpędzić z serca niespokojnego zdumienia i lęku przed tą bawiącą się głośno młodzieżą.

Przecież przed paroma tygodniami, przed kilkoma dniami, przedwczoraj ci młodzi ludzie widzieli śmierć swych braci, sióstr, przyjaciół, ukochanych.

W ciągu całego wieczoru raz tylko wspomnieli poległych.

- Wiesz, Jaś - pokpiwał Słoń - gdyby był z nami Alek, ten by ci urządził ślub! Klęczelibyście z Irką na flagach hitlerowskich, zamiast świec płonęłyby znicze spirytusowe, a ojciec Paweł

musiałby zamiast piuski mieć na głowie hełm. A my? Skapcanieliśmy w powstaniu. Ginie w narodzie fantazja!

- Ho, ho, ho - wpadł w ton Słonia Andrzej Morro - a gdyby żył Kołczan, młoda para wychodząc z kaplicy musiałaby przejść pod skrzyżowanymi karabinami i peemami. Kołczan, Kołczan...

Potem śpiewali piosenki powstańcze i harcercy oraz oglądali prezenty ślubne, które otrzymali młodzi: kilka kolorowych, pachnących mydełek, paczkę naboju pistoletowych, tuzin chustek do nosa, skarpety...

Zbliżał się wieczór. Trzeba było kończyć ucztę.

W miarę jak biegły godziny wieczoru, na terenie ambasady cichły głosy, twarze przybierały z powrotem wyraz skupienia, ruchy przechodzących stawały się szybkie. Po skrupulatnym przeglądzie broni i poprawieniu braków w jej stanie plutony przystąpiły do przygotowywania wymarszu i przejścia na Czerniaków.

Noc z 4 na 5 września była znów nocą księżycową. Długim, bardzo długim węzłem sunęli żołnierze „Zośki”, „Parasola” i innych jednostek Radosława przez upiorny plac Trzech Krzyży. Szli ku Książęcej, w cieniu murów, opasując plac, i gdy czoło, prowadzone przez przewodnika, sięgało już Książęcej, tyły jeszcze tkwiły w Mokotowskiej. Maszerujący, starając się iść jak najciszej, wpatrywali się w okrążane ruiny klasycystycznego kościoła, zaznaczające się ostro w księżycowym oświetleniu. Nad północną częścią miasta niebo płonęło czerwienią, na wschodzie - daleko za rzeką - mrucały niskimi głosami nieliczne działa. Po wielkim placu stąpał wolno samotny kot.

Irka i Jaś szli gdzieś w końcu milczącego węża zbrojnych. Jaś miał przewieszony przez ramię pistolet maszynowy i niósł skrzynkę z amunicją; Irka niosła skrzynkę z częściami zapasowymi do nadajnika

krótkofalowego. W pewnej chwili nie mogła opanować pragnienia i zwolniła nieco kroku. Jaś niemal dotykał jej plecaka.

- Jaś, urwijmy się... Przejdźmy na koniec kolumny.

Krótkie wahanie i - zgoda. Zeszli na bok do bramy i przeczekali, aż przejdą wszyscy. A potem, wzięwszy się za ręce, szli obok siebie w cieniu domów.

- Jak Jaś i Małgosia - szepnęła Irka, starając się kroczyć szerokimi krokami, odpowiadającymi krokom Jasia.

- Jak Jaś i Małgosia i w podobnie niesamowitym świecie - odszepnął, mocniej ściskając jej dłoń. Szli tak blisko siebie, jak tylko pozwalały na to plecaki, pistolet maszynowy i dwie skrzynki. Co pewien czas stawiali na ziemi te skrzynki, zdejmowali z głów hełmy i zatapiali się w pocałunku.

Księżęca.

- Jaś, nie sądzisz, że postąpiłeś lekkomyślnie zgłaszając się do linii?

Twój wzrok... Twoja wrażliwość na wybuchy i warkot motorów...

- Nie mogłem inaczej. Jestem podchorążym, przy tym byłem już na Woli w linii. A „Zośka” ma potworne luki w ludziach.

- Jaś...

- Co?

- Będziemy zawsze koło siebie, dobrze? W dzień i w nocy, rankiem i wieczorem.

- Jeśli się tylko da.

Ulica się skończyła. Weszli do jakichś piwnic, skakali z muru, wreszcie znaleźli się w ogrodzie Instytutu Głuchoniemych. Co jakiś czas wzdłuż sznura idących biegły powtarzane z ust do ust rozkazy: „trzymaj łączność”... „sprawdzić stany”. Irka i Czarny Jaś musieli dojść do kolumny, ale i teraz usiłowali kroczyć obok siebie i nie rozłączać splecionych dłoni. Niekiedy ze stanowisk niemieckich wylatywała rakietą rozświetlająca świat, wówczas wąż zbrojnych zamierał w bezruchu, aby nie zdradzić się przed nieprzyjacielem. Jaś obejmował wtedy Irkę...

Ach, te przekłete hełmy i głupie skrzynki!

Gdy czoło „węża” weszło w przekop pod ulicą Rozbrat, zderzyło się tam z drużyną transportową Czerniakowa. „Transportowcy” musieli się cofnąć, gdyż przekop był tak wąski, że nie pozwalał na wyminięcie się.

Co za niezguły - denerwował się Andrzej Morro. - Czyż nie mogli przekopać drugiego rowu przez Rozbrat dla oddziałów bojowych?

- Czekali na nas - zgryźliwie burknął Anoda.

Dobrze wreszcie do celu: ulica Cecylii Śniegockiej 7-9-11, nowoczesne domy z mieszkaniami po volksdeutschach. Takt Jerzego sprawił, iż Irka i Jaś dostali tu osobny pokój.

Kiedy Jerzy podszedł, aby ich zawiadomić o tym, Irka - oszołomiona niespodzianką - ucałowała go z radości.

- Jutro macie cały dzień wolny - powiedział odchodząc Jerzy.

Irka pobiegła za nim i ucałowała go jeszcze raz. Jaś uśmiechnął się patrząc na zakłopotaną minę Jerzego.

Gdy Jaś obudził się, był sam. Słońce pięknego, wrześnieowego poranka nasyciło pokój niezwykłą jasnością, ściany wydawały się złociste, lakier biurka lśnił czarno hebanem, porcelana na małym kredensie zdawała się niemal przezroczysta. Pomyślał: ładny dostaliśmy pokój. A po chwili: dokąd pójść mogła Irka?

Nie chciało mu się wstawać, leżał więc i przymknawszy powieki myślał o Irce i o ich miłości.

Ale po pewnym czasie uczucia - jak zwykle, gdy był sam - krążyć zaczęły wokół Małego Tadzia, który pozostał na Woli. I - jak to się działo od tygodnia - znów w myślach układał

wyimaginowany list:

„Najdroższy braciszku... Dlaczego to się stało? Dlaczego ty, przecież to ja powinienem...” Drzwi skrzypnęły, weszła Irka. Na wyciągniętej dłoni niosła talerz pełen pięknych, czerwonych pomidorów i rozpromieniona postawiła owoce przy tapczanie, koło głowy Jasia.

- Fantastyczne! - zachwycił się Jaś. - To takie cuda można tu dostać?

- Z narażeniem życia, mój mężu, tylko z narażeniem życia! Ale czegoż się nie robi dla swego pana! Wiesz, gdy dopełzłam do krzaków i zobaczyłam te żywe owoce, tchu mi zabrakło na ich widok.

Jaś nie przystąpił jednak do jedzenia niezwykłych przysmaków, gdyż usłyszawszy, iż Irka zaprosiła na śniadanie Jerzego, Andrzeja Morro, Jeremich i Anodę, ubierał się pośpiesznie.

Irka porządkowała pokój.

Spoglądając podczas golenia się na żonę i wymieniając z nią urywane zdania, ze zdziwieniem spostrzegł niezwykle ożywienie Irki. Wybiegła, aby przynieść trochę kwiatów, pościerała kurze, szukała w bieliźniarce volksdeutschowskiej obrusa, radziła się Jasia, jakie wybrać filiżanki.

- Irka, co z tobą?

- Jak to oo? Przygotowuję śniadanie.

- Ale czemu aż tak fantastyczne zaangażowanie uczuciowe w te śniadaniowe sprawy?

Irka stanęła i popatrzyła na Jasia wielkimi oczami.

- Nie rozumiesz? Po raz pierwszy będziemy podejmować gości...

Andrzej Morro i Jerzy zjawili się akurat na czas. Jerzy ponownie stanął na wysokości zadania: przyniósł kilka astrów i wręczył je Irce. Jakże te drobiazgi upiększają życie - myślał

zdumiony Jaś, przyglądając się radosnym ruchom swej młodej żony, układającej kwiaty w dzbanuszkę, niestety w dzbanuszkę bez wody. Irka tym razem ubrana była w spódnicę i bluzeczkę.

Jeremi i Jasia spóźniali się. Czekając na nich rozmawiali przy oknie.

- Cożeście wy w tym Śródmieściu robili po przejściu z Woli? - spytał Czarnego Jasia i Irki Andrzej.

- Och, w „Pasiece” był zawsze taki młyn, że jedno zadanie goniło drugie.

Ja współdziałałem ze starostą w najtrudniejszych dla życia cywilnego sprawach, w rozprowadzaniu żywności i urządzaniu bezdomnych. A potem organizowaliśmy dożywianie, dostarczanie lekarstw... No i byliśmy czymś w rodzaju pogotowia ratunkowego, a czasem nawet czymś w rodzaju pogotowia wojennego: wydobywaliśmy ludzi spod gruzów i pomagaliśmy w zdobywaniu na przykład PAST-y na Pięknej... Mieliśmy z Irką fantastyczne szczęście: wyszliśmy parę razy cało z domów, w które rąbnęły bomby lotnicze.

- Jednym słowem siedzieliście w pracy, której my na linii ledwo domyślaliśmy się.

- Wiesz, Jerzy, że przy tej robocie wcale nieźle widać było całość powstania.

- Co masz na myśli?

- Ot, proste i powszechnie widoczne fakty, które jednak u nas jakoś się zbiegły i przybierały postać uogólnienia. Biło w oczy, że powstanie stanowi dowód jedności narodowej. I przykład niezwykłych swobód politycznych.

Andrzej Morro żywo przytaknął Jasiowi:

- Ja już to zauważyłem przed powstaniem. Ile razy czytałem okupacyjną prasę tajną, zawsze miałem wrażenie, iż przeżywamy wyjątkowo piękny okres wolności.

Roześmieli się wszyscy.

Weszli Jeremi i Jasia. Mizerna zarośnięta twarz mężczyzny była, jak zwykle ostatnimi czasy, bez uśmiechu. Młoda kobieta nie miała już bandaża na twarzy; gdy witali się z nią, usiłowali nie dostrzegać deformacji szczęk, obrzęku i czerwieni blizn.

- Spóźniacie się.

- Regulowałem poranną awanturę w kompanii. Przypadek odsłonił stan duszy tych, co wyszli ze Starówki. Opowiem, bo to może się wam przydać.

Prowadziłem odprawę poranną u siebie na Zagórnej, oddział stał w dwuszeregu. Nagle usłyszeliśmy niedaleki, skrzypiący głos „szafy” - to jakby nakręcanie sprężyn. Kilku rzuciło się pędem ku schodom piwnicy. Czy zrozumieliście dobrze? Oddział stał w dwuszeregu, ja nie wydałem żadnego rozkazu, tych kilku odruchowo, nie zważając na nic, pobiegło ku schodom.

Krzyknąłem: wróć! - zatrzymali się, ale nie wszyscy. Paru pobiegło dalej do piwnicy.

Spochmurnieli. Więc do tego już doszło...

Andrzej pierwszy strząsnął z siebie uczucie przykrości.

- To może być przejściowe. Pobyt w bezpiecznych miejscach dał ludziom odprężenie, ale i zdemobilizował ich psychicznie. Gdy wejdziemy znów w walkę, chłopcy ponownie się zmobilizują. Ta „szafa”, mam nadzieję, nie rąbnęła w waszą stronę?

- Nie, gdzie indziej. Zdaje się, że na Czerniakowie mamy taki sam raj jak w ambasadzie. Na razie Niemcy nie traktują poważnie tego rejonu.

Irka dopiero podczas opowiadania Jeremiego usłyszała za oknem dalekie serie broni maszynowej i kilka potężnych detonacji. O Boże, a już o tym zupełnie tego ranka nie myślała...

Przy pomidorach nastroje poprawiły się, zwłaszcza że młoda gospodyni potrafiła zdobyć parę cebul i sól jedli nie pomidory, lecz sałatkę pomidorową! Można więc wyobrazić sobie przykrość Irki, gdy okazało się, że Andrzej nie je surowizn z powodu czerwonki. Szczęśliwie jednak pani Janina dała Irce na Dobrej trochę kaszki. Na kaszkę wskazała również głową Jasia, mogła jadać tylko miękkie potrawy; nie odzywała się, lecz była pogodna i uśmiechnięta.

Irka nachyliła się w stronę Jasi:

- A jak wy urządziliście się?

- Tip-top, I-ko. Mamy pokój z Lutym i Lutową.

Jasia usiłowała dobierać wyrazy najłatwiejsze dla niej do wymawiania i szło to zupełnie nieźle. Początkowy nastrój skrepowania w związku z przykrą raną żony Jeremiego mijał.

Niefrasobliwa rozmowa trwała podczas krótkiego śniadania i nawet nieco dłużej. O Bromie, który nie może jakoś skompletować swego haremu, brakuje mu wciąż kilku dziewcząt, o nowej łączniczce Andrzeja, Krystynie, którą Andrzej, według Anody, przyjął do służby następującą krótką przemową:

- Wszystkie moje dotychczasowe łączniczki poginęły. Ciekaw jestem, jak długo pani uda się pełnić tę służbę.

Andrzej nie usiłował przeczyć. Anoda zaś dodał jeszcze jeden szczegół:

- Wiecie, dlaczego przyjął nie oblataną, niezołkową łączniczkę, chociaż miał pod ręką dobrze wyszkoloną Stefę z „Alka”? Bo Stefa jest ruda i chuda!

A Grażyna z „Felka” - gruba i wielka!

- Jesteś starym draniem, Anoda - powiedział rozbawiony Andrzej. Anoda usiłował stłumić śmiech, aby nie drażnić zranionego płuca.

Gdy trzeba już było odejść, Andrzej powiedział:

- Dziś wieczorem urządzamy pod siódmką kominek harcerski. Mamy spory hall, zapraszam.

Irka i Jaś zostali znów sami.

Pierwsze dni pobytu „Zośki” i „Parasola” na Czerniakowie wydawały się młodym ludziom czymś nierzeczywistym. Żyli w spokoju! Wprawdzie nad północnymi dzielnicami Warszawy unosiły się bez przerwy ogromne kłęby dymu, wprawdzie gęsty ogień artylerii i masowe naloty bombardujące ogarnęły nagle Powiśle i północną część Śródmieścia, ale w ich dzielnicy - na Rozbracie, Czerniakowskiej, Ludnej, Wilanowskiej, Zagórnej - panowało zacisze wojenne.

Pozwolono na noc zdejmować ubranie i spać w bieliźnie!

Gdy tylko przejęli swój rejon od poprzednio rozlokowanych tu oddziałów kapitana Kryski, przystąpili natychmiast do budowania nowych umocnień oraz porządkowania, pogłębiania i uzupełniania rowów łącznikowych, przejść piwnicznych, nawiązywania kontaktów z komitetami domowymi. Kwatera dowództwa przeniosła się na Czerniakowską 225, ale i tu Jerzemu udało się znaleźć osobne mieszkanie dla „Jasiów”.

W tym to czasie nowa łączniczka dowódcy „Rudego”, Krystyna, otrzymała do wykonania swe pierwsze zadanie liniowe. Na stanowisku Słonia trwała jakaś pukaninka i Andrzej wysłał

Krystynę, aby dowiedziała się, o co chodzi oraz ile wystrzelano tam amunicji. Gdy wróciła z odpowiedzią, Andrzej zasypał ją pytaniami:

- Czy widać nieprzyjaciela na Rozbrat? Przez których chłopców obsadzone stanowiska?

Którzy strzelali? Jaka celność? Czy Słoń uregulował sprawę wody?

Dziewczyna była zaskoczona. Ledwo wyjąkała: - Nie było takich pytań, panie poruczniku.

Andrzej uniósł się:

- Jak to! Nie wie pani, że odbierając meldunek od łączniczki muszę mieć wrażenie, że sam byłem na miejscu?

Krystyna stała onieśmielona i speszona. Usiłowała nie zauważać drwiącego uśmiešku Anody, siedzącego w kącie pokoju.

- Może pani odejść - powiedział Andrzej, ale podnosząc oczy dostrzegł zmartwioną minę łączniczki. Natychmiast złagodniał.

- Nno, niech się pani nie przejmuje, na pewno będzie z pani doskonała łączniczka. To moja wina, że wcześniej nie wytłumaczyłem, jakich żądać meldunków.

Jednakże nie służba liniowa pochłaniała w owym spokojnym czasie energię Andrzeja i jego pocztu. Ponieważ noce stawały się zimne, Andrzej skupił swą pomysłowość i przedsiębiorczość na zaopatrzeniu kompanii w swetry, skarpety i rękawiczki, a przewidując możliwość nadejścia złych dni ścigał zapobiegliwie dla swych plutonów zapasy makaronu, cukru, mięsa. I jak zawsze specjalną troską otaczał rannych. Tym razem byli to ranni, którzy dołączyli do „Zośki” ze szpitali Śródmieścia. Ale najwięcej uwagi poświęcał umacnianiu stanowisk i przekopywaniu rowów łącznikowych oraz szabrowaniu, gdzie się dało, amunicji.

Od świtu do zmroku znajdował się w ruchu.

Zachodził niekiedy do piwnic na rozmowy z mieszkańcami i zachęcał do jak najliczniejszych wypraw kolumn transportowych cywilnych po żywność do kilku składów Śródmieścia. „Póki jeszcze można”.

I byłby opisywany odcinek Czerniakowa „królestwem spokoju”, gdyby nie groźny dramat powstańczy, który zaczął się rozgrywać u jego północnych granic. Mianowicie w dniu 6

września rano nieprzyjaciel przystąpił do ogólnego natarcia na Powiśle oraz na tę część Śródmieścia, która leżała pomiędzy Królewską i Alejami Jerozolimskimi. Po silnym przygotowaniu artyleryjskim i bombardowaniu lotniczym natarły na całym froncie od Wisły i Nowego Zjazdu nieprzyjacielskie oddziały piechoty, poprzedzane gdzieśkolwiek czołgami.

Zarządzono ewakuację ludności cywilnej z Powiśla.

W ogromnej ludzkiej rzece, zapełniającej z nadejściem zmroku całą szerokość Dobrej i Tamki, znajdowała się także pani Janina. Kroczyła wśród podnieconej ciżby mężczyzn i kobiet obarczonych tobołami, ciągnących wózki obładowane rzeczami, dźwigających resztki swego ubożego dobra w walizkach i koszach - kroczyła zobojętniała, jakby była z drewna, nie mając w rękach nic prócz torby kolporterskiej. Przed opuszczeniem mieszkania obeszała w zamyśleniu całe swoje domostwo, spojrzała na obrazy i fotografie, dotknęła niektórych przedmiotów. „Już tego nigdy nie zobaczę”. Niczego nie zabrała z mieszkania, bo i co tu wybierać z szaf, komody, szuflad, spośród mnóstwa gromadzonych przez lata drobiazgów?

Drzwi zostawiła otwarte.

Nazajutrz Irka i Jaś, ulokowani przy okienkach na strychu jednego z najwyższych domów, obserwowali w lęku i zgryzocie zwykły w powstańczej Warszawie widok zrzucających pociski samolotów i potężne kłęby dymów z przebłyskującymi wśród nich pasmami ognia.

Ale tym razem bomby te i dymy koncentrowały się w miejscu dla nich szczególnym - w rejonie ulicy Dobrej.

A następnym dni groza moździerzy salwowych, bomb lotniczych, pocisków artyleryjskich, morza płomieni i dymów skupiła się w kwadracie: Królewska - Aleje Jerozolimskie, Marszałkowska - Nowy Świat. Powiśle zostało stracone i oddziały nieprzyjacielskie forsowały Nowy Świat, usiłując wtargnąć głębiej jego przecznicami - Chmielną i Warecką. Pod uderzeniem najcięższych bomb lotniczych waliły się potężne żelazobetonowe gmachy, a ogień i dym wypełniały ulice i niebo nad nimi. Nocami tysiące ludzi przeciekało wąziutkim strumyczkiem jedyne go rowu łącznikowego na drugą stronę Alei Jerozolimskich. Rowu lichutkiego, ale jakże ofiarną pracą saperską utrzymywanego w stanie zdającym do użytku.

Oddziały Śródmieścia nie uległy. Nieprzyjaciel nie przedarł się głębiej poza Nowy Świat ani nie sforsował Królewskiej. W pustyni ruin, jaką stała się ta część Śródmieścia po ewakuowaniu ludności cywilnej, trwały, walczyły i nie ustępowały ciężko skrwawione oddziały powstańcze, a wśród nich bratnie „Wigry” i kompania „Wawer”, wywołująca tyle dawnych wspomnień.

Andrzej Morro, chwytając w dowództwie szczegóły walk toczonych w Śródmieściu oraz rozważając skutki zajęcia przez nieprzyjaciela Powiśla i części Solca, wiedział, że nieuchronnie zbliża się ku nim czas nowej próby.

Tym uporczywiej umacniał stanowiska „Rudego” i mobilizował, kogo się da, do całonocnych prac nad kopaniem rowów.

7 września w nocy zdarzyła się rzecz nowa: nad Pragę nadleciały samoloty radzieckie i w świetle rozwieszonych po niebie „lampionów” zbombardowały Dworzec Wschodni. Tę pierwszą w czasie powstania aktywność lotnictwa radzieckiego nad Pragę Andrzej potraktował początkowo jako swoistą sensację, ale gdy następnego dnia zobaczył ze strychu wielkie słupy dymu w okolicy Wawra i Anina, ożywił się: czyżby coś poważniejszego? W

nocy daleki pomruk dział za Wisłą był gęstszy i silniejszy niż kiedykolwiek. Przez parę następnych dni owa aktywność wojenna za Wisłą nie malała, 10 września zaś nasiliła się jeszcze bardziej. Po nocy wstrząsanej potężnymi eksplozjami bombardowanych na Pradze obiektów niemieckich nastąpił dzień, w którym podnieceni powstańcy ujrzeli pierwsze walki myśliwców radzieckich z samolotami niemieckimi! Od wczesnego popołudnia do wieczora samoloty radzieckie powracały wielokrotnie - bombowce nad Pragę, myśliwce - także nad Warszawę lewobrzeżną.

Nareszcie.

Tego popołudnia po raz pierwszy bombowce niemieckie nie zjawyły się nad miastem.

Było oczywiste, iż na wschód od Wisły rozpoczęła się poważna bitwa i że powstanie wejść może w nową fazę.

Los załogi bliskiego Czerniakowa stał się zależny od układu stosunków u dwóch granic tej dzielnicy. Na wschodzie, za Wisłą rozpoczynały się działania wojenne, mogące wyzwolić Warszawę. Ale na północ od Czerniakowa, na Powiślu i Solcu, koncentrowały się już oddziały nieprzyjacielskie, przygotowujące kolejne uderzenie w dzielnicę, której utrzymanie przez powstańców było dla dowództwa niemieckiego szczególnie niepożądane.



Nie tylko dowództwo powstania, lecz każdy żołnierz „Zośki” i „Parasola” rozumiał, że jedynie oddziały obsadzające Czerniaków zapewnić mogły rozpoczynającej się ofensywie radzieckiej oparcie dla utworzenia przyczółka w powstańczej części stolicy. Gdy o tym myśleli, ogarniało ich uczucie nadziei i lęku, dumy i strachu.

# XV. DESANT

Książę był szóstym z rzędu dowódcą „Alka” od wybuchu powstania. Poczet ten rozpoczął

Kołczan, który dowodził plutonem w walkach powstańczych przez dni osiem. Wśród czterech następców Kołczana byli jednak i tacy, którzy ginęli już następnego dnia po objęciu plutonu.

Książę oczywiście nie miał zamiaru ginąć. Od czasu odysei wolsko-kampinoskiej ufał swej gwiazdzie, ale sądził, że blask jej wymaga sławy bojowej. I dlatego nie narzekał, gdy pluton otrzymał rozkaz obsadzenia domu przy Książęcej 1, położonego u wylotu ulicy Czerniakowskiej i stanowiącego jedno z podstawowych ogniw zabezpieczających łączność Czerniakowa ze Śródmieściem. Robił, co mógł, aby wzmocnić siłę i sprawność swego plutonu ściągając broń, amunicję, no i przede wszystkim ludzi. Za Leszczyca ofiarowywał

„Felkowi” trzy pistolety maszynowe. Rozumiał, że ciężki czas jest nie za górami.

Stało się, jak przewidywał: kiedy nieprzyjaciel przystąpił do generalnego natarcia na Czerniaków, Książęca 1 znalazła się od razu pod silnym naciskiem wroga.

Był wczesny ranek, gdy posterunek, wystawiony na pierwszym piętrze od strony wiaduktu, zaczął się niepokoić. Na wiadukcie bowiem ustawiły się trzy czołgi i otworzyły ogień na sąsiadujące z Książęcą 1 gmachy ZUS-u i gazowni, a od strony Muzeum Narodowego ze schodów wiaduktu wybiegać poczęli żołnierze nieprzyjacielscy. Dziesięciu... dwudziestu...

trzydziestu...

- Miś; zamelduj Księżciu, że na przedpole wybiegło czterdziestu Niemców...

Poczekaj, powiedz, że pięćdziesięciu... Stój, melduj, że siedemdziesięciu i że wciąż ich przybywa.

Żołnierze niemieccy przebiegali ulicę i znikali w nierównym terenie.

Widać było ich połyskujące hełmy i broń trzymaną w rękę; kłusem przemknęło kilka par z noszami... Dziewięćdziesięciu... Stu dwudziestu...

Książę - krępy, zwinny, bystry - wbiegł na pierwsze piętro i począł obserwować nieprzyjacielskie „rojenie się”, usiłując jednocześnie rozeznaczyć strzelaninę, wybuchłą gdzieś blisko. Tu, na piętrze, odszukał go rozgorączkowany goniec.

- Książę, z ogrodów sejmowych dostaliśmy ogień Kałmuków. Będą chyba nacierać!

I w tej samej chwili rozległ się podniecony głos Kraka, przycupniętego w rowie strzeleckim, wykopanym w żółtym piasku koło barykady:

- O rany, w krzakach pod murem gazowni widziałem szkopa! Brałem na muszkę, ale się skrył.

Wkoło rozlegają się pojedyncze strzały i krótkie serie pistoletów maszynowych. Na dole słychać krzykliwy głos:

- Wal go! Za tym murem! Tu, tu - pod latarnią!

Tak oto Książęca 1 znalazła się nagle w opałach nie byle jakich. Książę; wyczuwając niepokój chłopców wywołany gwałtownością przejścia z dziesięciodniowej „laby” w ostry bój, krążył nieustannie między stanowiskami, kontrolując bieg walki i usiłując spokojem swego głosu i ruchów oddziaływać na kolegów. Jego „reduta” nie miała cekaemu, trzeba więc było podpuszczać nieprzyjaciela możliwie blisko i dopiero wówczas razić go pojedynczymi strzałami z karabinów lub krótkimi seriami lekkiej broni maszynowej.

Wróg tymczasem wstrzelał się w okna „reduty” i kule odłupują drzazgi z futryn, wypryskują tynk w ścianach pokoi. Na podwórzu huk i kłęby czarnego dymu - to zaczynają rozrywać się granaty.

Najgorsze jednak okazały się czołgi. Jeden z ich pocisków trafił w punkt opatrunkowy, pozbawiając życia dwie sanitariuszki - Zosię Żelazną i Halusię - oraz jednego rannego, inny pocisk rozniósł - dosłownie rozniósł - placówkę Olgierda, zabijając całą trójosobową załogę: Olgierda, Wojtka Lenarta i Wardę. Tu i tam ktoś ranny opuszczał stanowisko. Książę coraz częściej angażował się osobiście w walkę, luki bowiem w punktach obronnych stawały się niepokojące. Starał się być zawsze w miejscu największego zagrożenia i bił wówczas ze swej

„czterdziestki” do biegnących ku ich domowi żołnierzy nieprzyjacielskich. Wysportowany, czupurny Książę z włosami zawsze trochę „na sztorc” zachowywał wciąż dobrą kondycję fizyczną.

Rana ręki przestawała dokuczać.

Andrzej Morro zjawił się na Książęcej 1 w początkach walki. Trafił na moment wyłonienia się fali piechoty nieprzyjacielskiej, nacierającej od strony ogrodów sejmowych. Wybrał więc szybko odpowiednie miejsce i swym schmeisserem wzmocnił obronę. Dopiero gdy nieprzyjaciel cofnął się, obszedł z Księciem stanowiska.

- Powinieneś przez pewien czas dać radę. Będę z tobą w częstym kontakcie przez łączniczki.

Nie opuszczaj domu bez mego rozkazu. No, trzymaj się!

Nie mało upłynęło czasu i nie mało ucierpiał pluton, zanim nadszedł ów rozkaz, wyzwalający

„Alków” ze straceńczej pozycji. Ostatni meldunek z Książęcej 1 wystraszona Krystyna uzupełniła Andrzejowi tak: „Dom jest cały podziurawiony pociskami jak sito, a jedną ścianę ma zupełnie rozwaloną: klatka schodowa znikła, na piętra wdrapują się po jakichś szynach; strzelec Pyte został ponownie ranny”.

Przed wycofaniem się Książę uprzedził o tym grupę ludności cywilnej, stłoczonej w paru piwnicach. Dano jej czas na przejście rowem w głąb polskiego terenu.

Gdy ranni zostali już wyniesieni i pluton zbierał się w piwnicy, słychać było wyraźnie głosy

niemieckie z przyległego, spalonego budynku, a od strony ogrodów sejmowych - rosyjskie przekleństwa własowców.

Ciemnym rowem łącznikowym, przebiegającym pod prowizoryczną barykadą, dostali się do gmachu ZUS. Przeszli przez kotłownię, minęli skokami „bramę śmierci” (główne wejście ZUS-u), zabezpieczoną barykadą, zbudowaną z bloków papieru. Znaczna część podziemi, parteru i pierwszego piętra zajęta była przez szpital cywilny i właśnie ze względu na ten szpital Książę otrzymał rozkaz nieotwierania z ZUS-u ognia do nieprzyjaciela, aby nie sprowokować represji wobec wielkiej masy rannych. Ale lotnicy niemieccy nie szanowali znaków Czerwonego Krzyża - prawe skrzydło gmachu płonęło, obsypane z samolotów bombami zapalającymi.

Część plutonów wsparła natychmiast próby ludności, zmierzające do zlokalizowania pożaru, były pod ręką beczki z wodą, naniesioną przez jeńców niemieckich. Pracowano w dymie i duszności, wśród nieznosnego zapachu palącej się siarki.

Równocześnie trójosobowy patrol „Alków” zamykał przekop dochodzący do ZUS-u z Książęcej, zawałając przejście kłodami drzewa, wielkimi butlami tlenowymi, drągami żelaznymi. Dźwigali to wszystko w ciemnościach rozświetlonych nikłym płomykiem świeczki. Laudański coraz częściej odczuwał w ustach słodkawy smak krwi, dźwiganie ciężarów musiało źle wpływać na nie zagojony postrzał w płuco. Nie przerywał jednak roboty i niewiele nawet myślał o tym słodkawym smaku; był przesądny i starał się wyciągnąć wnioski ze śmierci Wojtka Lenarta, który zginął na placówce Olgierda. Od czasu jak brat Wojtka, Janek, i brat Laudańskiego, Stach, zginęli na Starym Mieście od jednej bomby, obydwaj starali się trzymać ciągle obok siebie. Na Książęcej 1 też. Ale właśnie gdy czołg walnął w placówkę Olgierda, Laudańskiego tam nie było i Wojtek zginął, a on ocalał. Czy to tylko przypadek?

Obok Laudańskiego, łykającego ślinę z krwią, pracuje przy zawałaniu przejścia Sem, brawurowo odważny Sem, ostatni żyjący z „Klanu”. Porusza się niezgrabnie, gdyż kuleje na lewą nogę. Na kilka tygodni przed powstaniem w czasie akcji dywersyjnej kula strzaskała mu kość. Trzecim „budowniczym” barykady piwnicznej jest Stefan Gruda, sapiący niecierpliwie na skutek dokuczającej mu od czasów Woli rany; jest to również rana nogi, ale prawej.

Nareszcie skończone! Oglądają uznojeni chaos nagromadzonych i splątanych przedmiotów, po czym gaszą świeczkę i chwilę odpoczywają siedząc w ciemnościach. Naraz - za ich barykadą słychać jakieś głosy. Wstają i z bronią gotową do strzału podsuwają się w ciemnościach ku przodowi.

Głosy zbliżają się i po chwili, tuż za barykadą, rozlega się krzyk kobiecy:

- Ludzie, przepuście! Ukraińcy mordują wszystkich! Polacy, miejcie litość!

Zapalają świeczkę i zaczynają rozwalać z takim trudem zbudowaną zaporę.

Budowali ją pośpiesznie, ale teraz butle po tlenie i pnie drzewa fruwały w powietrzu. Ciężkie drągi żelazne, które dźwigali we dwóch, teraz odciągają w pojedynkę, nie czując ani ich ciężaru, ani bólu swych nóg i płuc. Gdy wreszcie zrobiono przejście, w migotliwym płomyczku świecy ujrzeli przerażone, wychudłe twarze 10-15 kobiet, dzieci, starców.

A potem na nowo zabrali się do zawalania przejścia. Nie wolno im było marudzić, lada moment mógł się od strony Książęcej ukazać nieprzyjaciel.

Bitwa o styk ulicy Czerniakowskiej z Książęcą trwała.

Dom przy Czerniakowskiej 225 był miejscem postoju Andrzeja Morro, a wkrótce stał się jedynym nie zbombardowanym przez lotnictwo gmachem tego rejonu. Andrzej surowo rozkazał, by chronić się do rowów przeciwlotniczych na każdy alarm lotniczy, i raz jeszcze dowiodł tym rozkazem posiadania dobrego „nosa”. Podczas jednego z najbliższych alarmów ledwo załoga Czerniakowskiej 225 wpadła do rowu, gdy bliski i potężny wybuch targnął

powietrzem. Zostali przysypani piachem i gruzem walącego się domu, ale nikt nie zginął.

Gdy kurz opadł, pośpieszyli odkopywać z piwnic grupę mieszkańców domu.

Katastrofa Czerniakowskiej 225 odcięła „Alka” w ZUS-ie od powstańczego zaplecza. Gmach ZUS-u płonął, nie udało się ograniczyć pożaru prawego skrzydła. W tej sytuacji Andrzej zdecydował wycofać „Alka” z ZUS-u, ale by tego dokonać, należało związać niemiecki cekaem ogniem naszej placówki z rogu Ludnej-Czerniakowskiej, obsadzonej przez „Czaty”.

Mijały godziny, gmach ZUS-u palił się coraz jaśniej, lada chwila groziło mu otoczenie przez nieprzyjaciela, a placówka „Czaty” milczała.

Zdenerwowany Andrzej wystąpił z żądaniem natychmiastowego otwarcia ognia.

Wybiegła, wybrawszy bliższą drogę przez ruiny świeżo zbombardowanej kwatery „Rudego”.

Gdy podbiegała tam, nadleciały nowe samoloty. Bomby!

Gęsty kurz owiał Krystynę, zapełniał otwory nosa, wdzierał się do oczu.

Krzusząc się, uświadomiła sobie, że kurz jest najlepszą osłoną „dymną”, a więc możliwie najszybciej poczęła przebywać gruzowisko, ostrzeliwane przez nieprzyjaciela z Rozbrat i Frascati. Była jeszcze spory kawałek od bezpiecznej bramy, gdy kurz opadł i jej postać na odsłoniętych gruzach stała się widoczna jak na dłoni. Zatrzeszczał karabin maszynowy, pryskać poczęły dookoła cegły. Kluczyła między gruzami jak zając i w pewnej chwili uczuła silne uderzenie w czoło. W oczach rozbłysło tysiące światełek, a potem - ciemność i uczucie lepkiej wilgoci na twarzy i szyi. Ta wilgoć ją otrzeźwiła: „uciekać, póki jeszcze można”.

Niezbyt przytomna zdobyła się na skok z wysokości pierwszego piętra, przebiegła kilkadziesiąt kroków i znalazła się oko w oko z dowódcą „Czaty”. Jednym tchem powtórzyła rozkaz Andrzeja Morro.

- Proszę napić się wody. Nasza sanitariuszka zrobi pani opatrunek. Ranni przekręcają czasami rozkazy. Ja przecież miałem czekać z otwarciem ognia do zmroku.

Ogarnęła ją wściekłość. Zaczęła krzyczeć, świadoma ważności przyniesionego rozkazu. I za chwilę

odezwał się ogień erkaemu, a niemiecki cekaem odwrócił swą lufę w kierunku

„Czaty”. Księżę mógł rozpocząć wycofywanie plutonu z ZUS-u.

Rana Krystyny była fantastyczna (postrzał styczny czoła!), ale lekka. Gdy zameldowała się -

już po opatrunku - u Andrzeja, kręciło się jej tylko nieco w głowie. Andrzej aż skoczył z radości:

- Żyje pani? Powiedziano mi... Nno, czy wystarczy pani dwie godziny snu?

Nikogo nie mam na zastępstwo.

Działo się to 13 września, tego samego dnia, w którym komunikat Głównej Kwatery niemieckiej stwierdzał „włamanie się wojsk sowieckich w nasze linie obronne na wschód od Warszawy”. Tegoż dnia Czarny Jaś, kontrolując posterunek obserwacyjny na strychu domu zajętego przez dowództwo, usłyszał potężne detonacje na Wiśle, a gdy wyjrzał przez okienko, ujrzał, jak wałą się w rzekę dwa czy trzy przęsła mostu Poniatowskiego. Wstrząśnięty tym widokiem i sensem wojennym wydarzenia, pędem zbiegł na parter do Jerzego.

- Jerzy, most Poniatowskiego wysadzony! Rosjanie prawdopodobnie atakują już Pragę!

Jerzy powoli wstał, przerywając pisanie meldunku o opuszczeniu przez „Alka” Księżęcej 1 i gmachu ZUS-u. Patrzał na wymizerowaną w ciągu tych ostatnich dni twarz Jasia, na jego błyszczące w podnieceniu oczy i usiłował pojąć konsekwencje nowiny.

- Leć z tym do Radosława - powiedział wreszcie.

W drzwiach Jaś zetknął się z wchodzącą Irką. Jej twarz zdradzała niezwykle podniecenie.

- Czy wiecie...

- Wiemy, wiemy, sam widziałem!

- Jak to widziałeś? Słuchajcie! Niezwykła wiadomość: nasza krótkofalówka otrzymała spoza Wisły zapowiedź, że dziś w nocy nastąpią zrzuty broni, amunicji, żywności. I odtąd będą zrzucać codziennie. Rozumiesz?

Podnieceni, zdenerwowani wymieniali w krótkich zdaniach swe myśli. A gdy Jaś w towarzystwie Irki odszedł wreszcie do Radosława, Jerzy z trudem zmusił się do dokończenia pisanego meldunku.

Tym sposobem, po straceniu Księżęcej 1 i gmachu ZUS-u oraz zniszczeniu Czerniakowskiej 225, a także wobec opanowania przez nieprzyjaciela terenu gazowni i postępu, jaki uczynił

nieprzyjaciel nacierający od strony ogrodów sejmowych, łączność Czerniakowa ze Śródmieściem została ostatecznie zerwana. Silny nacisk nieprzyjaciela trwa.

Generalne natarcie niemieckie na Czerniaków uderzyło ze szczególną siłą w stanowiska obsadzone

przez „Parasol” na Solcu i Ludnej. Powstańcy, oszołomieni i zaskoczeni potęgą ognia oraz gwałtownością ataków, oddali swe pozycje i dopiero w rejonie gmachu PKO na rogu Ludnej i Okrąg Jeremi zdołał opanować sytuację. Mimo dokuczliwej rany nogi utrudniającej ruchy zdusił zarodki paniki ogarniającej ludzi i - co więcej - potrafił niemal z minuty na minutę tchnąć w oddział ducha walki. Gmach PKO, do którego wycofywali się, jest najmocniejszy ze wszystkich otaczających! Żelazo i beton! Tu, tylko tu, istnieją szanse oporu! Do okien parteru! Do okienek piwnic! Nie strzelać, nie strzelać, dopuścić wroga jak najbliżej!

Powiodło się.

Znaczny oddział SS, liczący około stu pięćdziesięciu ludzi, pojawił się w natarciu ścigającym na placu przed gmachem, w którym skrył się „Parasol”.

Rozgrzani dotychczasowym powodzeniem SS-mani posuwali się śmiało i zmyleni brakiem ognia powstańców podeszli niemal pod sam gmach. Dopiero wówczas Jeremi wrzasnął

rozkaz - wszystka broń palna „Parasola” uderzyła pociskami w gromadę hitlerowców.

Zaskoczenie było stuprocentowe. SS-mani rzucili się w panicznej ucieczce ku tyłowi, zostawiając na placu około pięćdziesięciu zabitych i rannych.

Powodzenie bitewne przywróciło „parasolarzom” wiarę w siebie. Szczęśliwy gmach pozostał

już w ich rękach. Jeremi zresztą miał rację: budynek PKO wzniesiono z żelazobetonu, łatwo więc dało się go przekształcić w rodzaj fortu. Oparty o ów „fort” „Parasol” objął swymi placówkami sporą przestrzeń zabudowań i placów między Ludną, Okrąg i Solcem.

Rozbicie pościgu na krótko tylko zapewniło spokój „Parasolowi”, wnet bowiem „stukasy” rozpoczęły systematyczne niszczenie w całym tym rejonie jednego domu po drugim. W ciągu 11, 12 i 13 września pociski burzące i zapalające padały dookoła i wkrótce pojedyncze pożary zlały się w jeden ogromny ogień. Płonął cały prawie Okrąg. Sam gmach PKO dało się na razie uchronić od ognia, ale gryzący dym i żar dokuczały jego załodze. Bomby rozwalające stropy i kruszące betonowe ściany uniemożliwiały pobyt na piętrach. Gdy samoloty zniknęły z nieba, w gmach poczynaly walić pociski dział szturmowych.

Sytuacja pogorszyła się, gdy nieprzyjaciel obsadził teren gazowni, po drugiej stronie Ludnej, w odległości około dwudziestu metrów od gmachu PKO.

Strzelcy niemieccy utrudniali teraz bardzo ruchy w gmachu i odcięli dzienną łączność

„Parasola” z powstańczym zapleczem. Płytki rów łącznikowy, widoczny także z wiaduktu, stał się ścieżką śmierci wielu łączniczek.

Bliskość stanowisk nieprzyjacielskich i możliwe w każdej chwili próby wdarcia się wroga zmuszały „Parasol” do ciągłego pogotowia. Napięcie nerwów było nieznośne.

Jeremi, kulejący i z ręką na temblaku, dowodził ze swego schronu i tylko w razie skrajnej

konieczności udawał się do miejsc wymagających szczególnego rozeznania sytuacji lub szczególnego wsparcia. Bolała go często głowa, mówił mniej niż kiedykolwiek. W sytuacjach alarmowych wciąż jeszcze zdobywał się na energię, twardość i bystrą decyzję, toteż „Parasol” nie przestał być dobrze dowodzonym oddziałem. Luty umiejętnie zastępował Jeremiego w linii na Ludnej. Jasia, silniejsza po dziesięciodniowym wypoczynku, wróciła do pełnienia obowiązków łączniczki i stanowiła Jeremiego oczy i uszy, on zaś był myśleniem i decyzją, i -

o Boże! - oparciem moralnym dla otoczenia.

Gdy rozpoczął się atak wojsk radzieckich na Pragę, Jasię ogarnęło podniecenie. Nie zważając na wielkie niebezpieczeństwo wbiegała po zrujnowanej klatce schodowej na strych, gdzie miała dobrą widoczność na Saską Kępę i Grochów. Przynosiła wiadomości, które napełniały serca „parasolarzy” nadzieją i otuchą.

- Je-emi, -osjanie bomba-dują cent-um P-agi. Wi-ać wybuchy i po-a-y.

- Słuchaj, słuchaj - wi-ałam kolumnę ołgów na osie mie-eyńskiej. St-elały w st-onę Saskiej Kępy.

- Je-emi! Całe d-ewa w Pa-ku Pade-ewskiego wylatują! Co sa widok! W ten pa-k biją og-omne pociski.

A w nocy po raz pierwszy usłyszeli za Wisłą głos, który nawet z tak dalekiej odległości wydał im się głosem grozy. W jego poszumie drżało powietrze, ziemia i ludzkie serca. Katiusze!

Ofensywa radziecka odbiła się na sytuacji „Parasola” o tyle korzystnie, iż najbliższej nocy nastąpiły pierwsze zrzuty - na ich odcinku spadły worki z sucharami i amunicją.

Ranek 14 września był dla gmachu PKO obsadzonego przez „Parasol” - straszny.

Nieprzyjaciel postanowił przyspieszyć zniszczenie powstańczego Czerniakowa. Wkrótce po świcie na Ludną i Okrąg nadleciały samoloty i waliły bombami przez kilka godzin z rzędu.

Wielki, betonowy budynek PKO zamieniał się w ruinę. Łamały się ściany, zapadały sklepienia, drżały fundamenty. A potem nadciągnęły działa szturmowe i czołgi, z sąsiednich ruin bić poczęły dziesiątki karabinów maszynowych i pokazały się pierwsze grupki szturmowe nieprzyjacielskiej piechoty.

„Parasol” tym razem obronił jeszcze swe stanowiska - na czas nadbiegła pomoc „Alka” - lecz straty miał ciężkie. Gdy Jeremi usiłował rozeznac sytuację na zewnątrz gmachu, został ranny po raz czwarty i tym razem pocisk przebił prawy bok. W godzinę potem zastępca Jeremiego, Luty, został ciężko ranny w kręgosłup. Krew i cierpienie dotknęły tego ranka szczątki

„Parasola” bardziej niż kiedykolwiek.

Doktor Maks obejrzał starannie rannych. O Jeremim powiedział do wystraszonej Jasi: -



Pocisk prawdopodobnie nie tknął wątroby, przeszedł jednak tuż koło niej; ranny musi leżeć w spokoju, tylko stałe leżenie może uchronić od zapalenia otrzewnej. - A do Lutowej o jej mężu:

- Będą trudności... ranny musi być pod stałą opieką.

Spokój i stała opieka! Gdy nad głowami zapada się świat i walka idzie na śmierć i życie, a do noszy Jeremiego raz po raz nadbiegają zdenerwowani gońcy i łączniczki.

Jasia i Lutowa usiłowały w tym chaosie i wśród rodzącej się paniki zorganizować jaki taki ład i bodaj namiastkę spokoju. Bez rezultatu. Na kategoryczne żądanie Jeremiego wyniesiono go do bocznej komórki, gdzie, złożony na przygodnym tapczaniku, dowodził dalej walką.

Na szczęście po południu nad Czerniakowem i Śródmieściem ukazały się myśliwce radzieckie i Niemcy zaprzestali nalotów oraz wycofali z akcji czołgi.

Wykorzystując tę sposobność i przypuszczalną konsternację Niemców, Jerzy wysłał do Jeremiego 14 września pod wieczór Czarnego Jasia jako łącznika specjalnego.

Znajdują się teraz - Jeremi i Czarny Jaś - w schronie gmachu PKO i przyglądają się sobie. Jaś dostrzega niezwykle wymizerowane leżącego Jeremiego oraz ostrość jego spojrzenia. Jeremi także widzi zapadłe policzki Jasia i jego wydłużoną twarz. Dostrzega drżenie rąk, które Jaś na próżno usiłuje opanować ściskając blat stołu. Widocznie Jaś zauważył wzrok Jeremiego skierowany ku swoim dłoniom, gdyż odezwał się:

- Macie fatalny rów łącznikowy. Strzelano do mnie. Nie znoszę fizycznie takich sytuacji.

Gdy to mówi, głos jego jest jakiś urywany, nienaturalny. W miarę jednak omawiania spraw wojskowych „Parasola” Jaś uspokaja się i staje coraz swobodniejszy w rozmowie. Podzielił się wreszcie najświeższą nowiną, którą usłyszał od Irki tuż przed wyjściem do Jeremiego.

- Wiesz, Jeremi, przed godziną radiostacja lubelska opublikowała komunikat o zajęciu Pragi.

A dowództwo sowieckie zapowiada conocne dla nas zrzuty broni i żywności.

Wyraz twarzy Jeremiego nie uległ zmianie. Jaś patrzył na niego w zdumieniu.

- Milczysz? Nie cieszysz się? Przecież to może mieć fantastyczne dla nas następstwa!

- Wybacz - mruknął Jeremi. - Boli mnie bok i głowa.

Wkrótce po odejściu Czarnego Jasia na linię powstańczą w rejonie Ludnej - a przede wszystkim na gmach PKO - natarł nieprzyjaciel „w nie spotykanej dotąd sile” (jak to określił

komunikat dowództwa powstania). Ataki ponawiane były wielokrotnie także następnego dnia.

Na „forcie” „Parasola” skoncentrowany został ogień artylerii i czołgów. W murach powstawały

dziesiątki wyrw, waliły się całe piętra. W nieustannym huku wybuchów, w dymie i kurzu trwał gmach PKO. W zrujnowanych resztkach, wykorzystując liche zasłony przyokiennych murów, kryli się coraz mniej liczni obrońcy.

Odpierali wroga, który co kilka godzin usiłował wtargnąć do gmachu.

Bezpośrednie dowództwo w walkach objął teraz Jurek Lot. Jeremi współdziałał w dowodzeniu ze swego schronu. Jego obandażowana głowa, skrwawiony temblak na ramieniu i surowy wyraz twarzy czyniły na ludziach szczególne wrażenie. Wykonywali jego rozkazy szybciej niż zwykle. Nie wiedzieli, iż częste teraz u Jeremiego mrużenie oczu jest odruchem na powracające bóle głowy.

Natarcia nieprzyjacielskie objęły także inne części dzielnicy. Powstańców wyparto z Portu Czerniakowskiego i z całej ulicy Solec. Spowodowało to odcięcie od Wisły. Trwał też nacisk z ulicy Książęcej wzdłuż Rozbratu i Czerniakowskiej na pozycje obsadzone przez „Rudego”.

Postęp zniszczeń w tym rejonie był tak szybki, że Krystyna, wysyłana z meldunkami na Wilanowską 18, gdzie mieściło się dowództwo zgrupowania, musiała za każdym razem wyszukiwać nowych przejść. Poprzednie były zwykle zawałone lub objęte pożarem.

Teraz stała obok Andrzeja Morro we wnęce rozbitego muru, na odcinku Sznicy. Przed kilkudziesięcioma minutami oddział Sznicy odparł granatami natarcie nieprzyjacielskiej tyraliery. Chłopcy usiłowali za pomocą długich tyk z hakami ściągnąć uzbrojenie zabitych.

- Jeszcze trochę od siebie... od siebie - radził Andrzej, wspiąwszy się na palce. Powstaniec, trzymając oburącz świeżo skonstruowaną „wędkę”, miał twarz spoconą z wysiłku: haczyk krążył koło leżącego na piasku schmeissera, ale wciąż nie mógł zaczepić się. Dwaj koledzy trzymali „rybaka” za nogi, aby nie wychylił się zbyt daleko i nie dostał „w czapę”.

- Czołgi od Górnośląskiej!

„Rybak” szybko wciągnął tykę. Andrzej przebiegł ku bramie wychodzącej na Czerniakowską.

Za nim Sznica i Krystyna. Trzy czołgi sunęły powoli w ich stronę, łomocąc gaśnicami o bruk.

- Krystyna, biegiem do kapitana Jerzego po piata.

Piata dostarczono niespodziewanie szybko, lecz jego obsługa zachowywała się tak, jakby miała z tą bronią pierwszy raz do czynienia. Czołgi tymczasem rozpoczęły powoli i flegmatycznie ostrzeliwać pobliską barykadę, obsadzoną przez „Felka”.

- Maciej! Gdzie jest Maciej? - krzyknął zniecierpliwiony Andrzej.

- Jestem.

- Weź się do piata.

Maciej strzelał z tej „zabawki” już wielokrotnie. Gdy teraz wziął broń do ręki i uważnie

nakierowywał ją na cel, wszystkie spojrzenia znajdujących się tu powstańców utkwiły w jego dłoniach. Wstrzymali oddechy. Nawet Andrzej nie mógł oprzeć się napięciu wewnętrznemu.

Krystyna szeptała: - Żeby trafił, Matko Najświętsza, żeby trafił.

Błysk - huk!

Czołg zakręcił się w miejscu, jakby ugryziony, po chwili ogarnął go jasny, równy płomień. Z wieżyczki wyskoczyło parę postaci i pobiegło za dwa następne czołgi.

Maciej tymczasem celował znów. I znów chwila napiętego oczekiwania, choć rozum każe odrzucić zbyt optywizm: drugi raz z rzędu, to byłoby za dobrze...

Piat strzelił! Usłyszeli zgrzyt drugiego czołgu i oszołomieni ujrzeni, jak pochylił się najpierw w jedną, potem w drugą stronę i zamarł w bezruchu. W pośpiesznie odrzuconej klapie ukazała się czarna sylwetka czołgisty, wychyliła się do połowy i niezgrabnie wyłaziła na zewnątrz.

Powstańcy w bramie i na barykadzie zaczęli krzyczeć w podnieceniu i chaotycznie strzelać.

Trzeci czołg włączył motor i gwałtownie skręcił ku tyłowi. Oddalił się na pełnym gazie ku Górnośląskiej. Obok niego, pod murami domów, biegły załogi dwóch zniszczonych. Wrzask radości na stanowiskach powstańczych nie sprzyjał widać celności strzałów, tylko jeden

„spieszony” czołgista został na ulicy.

- Dzielnieś się spisał, nie ma co - powiedział Andrzej, ściskając rękę Macieja.

- Wprawa... choć raczej przypadek - odpowiedział Maciej.

Z radości nie dostrzegali nisko ścielących się dymów nad Ludną, Książęcą, Okrąg, nie słyszeli huku rwących się granatów ani gęstych serii broni maszynowej i zapomnieli o wystraszonych ludziach piwnicznych. Zbyt efektowne było to, co rozegrało się przed ich oczami.

Łączniczka Jerzego zastała Andrzeja u „Felków”.

- Andrzej, o szesnastej odprawa u pułkownika Radosława.

Andrzej popatrzył na zegarek i westchnął: była piętnasta trzydzieści. Nie jedli jeszcze obiadu.

Na szczęście Słoń miał dziś w plutonie ugotowany własnym przemysłem rosół z koniny.

Zaprosił Andrzeja i jego łączniczkę na posiłek. „Koń na rzadko” był zupełnie niezły. W

pewnej chwili, przerywając żartobliwą rozmowę, Andrzej zwrócił się do Słonia:

- Dlaczego zawsze wysyłasz z meldunkami Grażynę? Masz przecie i inne łączniczki.

- Bo Grażyna jest gruba i wielka jak czołg - usiłował żartować Słoń - chcę, aby poszerzała sobą wąskie rowy łącznikowe.

Andrzej patrzył na Słonia bez uśmiechu. Ten zrozumiał.

Jeszcze kilka łyków i menażka pusta.

- No, żarłoku, idziemy na Wilanowską - powiedział Andrzej do Krystyny wstając. - Słoń, twój pluton w porządku. Dziękuję za dobry obiad.

Wilanowska 18 była niedaleko, lecz w warunkach walk powstańczych, gdy trzeba było kluczyć piwnicami, przekopami, rowami łącznikowymi, przedzierać się przez gruzowiska i ruiny, nawet odległości bardzo bliskie w linii powietrznej wymagały często sporego czasu do ich pokonania. Andrzej szedł pierwszy, Krystyna nieco za nim. Był teraz w szczególnie dobrej formie fizycznej, po ranie twarzy została tylko czerwona blizna. Nic mu nie dolegało. Dobre też miał samopoczucie psychiczne: zarówno przebicie się ze Starego Miasta do Śródmieścia, jak i zadowolający na ogół poziom walk obronnych na odcinku „Rudego” w ciągu trzech ostatnich, ciężkich dni wzmacniały w duszy Andrzeja poczucie siły. Sprzyjały także temu wiadomości o wydarzeniach za Wisłą, a nade wszystko - życzliwość i zaufanie, które wyczuwał dookoła siebie w swej kompanii i w „Zośce”.

W piwnicy na Wilanowskiej 18 panował niezwykle ruch. Ściągnięto wszystkich dowódców kompanii zgrupowania Radosława. Łączniczki przybywające ze swymi dowódcami pozostały w piwnicy obok, aby być pod ręką na ich rozkazy. Porozsiadały się jak i gdzie która mogła, większość drzemała, niektóre rozmawiały ze sobą szeptem. Odprawa ciągnęła się długo.

Nagle drzwi sąsiedniej piwnicy otworzyły się i stanął w nich Andrzej Morro.

- Moja łączniczka!

Krystyna zerwała się.

- Idziemy.

Szybko i w milczeniu wracali do siebie.

W pewnej chwili Andrzej wydobył z chlebaka garść cukierków.

- Niech sobie moja łączniczka podje - rzekł uśmiechając się.

Wzięła parę i patrząc podejrzliwie na te cukierki odczuła lekki niepokój.

Czyżby szykowała się jakaś poważniejsza akcja, skoro dają cukier na osłode?

Była jednak już na tyle wyrobiona, iż nie zadawała niepotrzebnych pytań.

Cukierki, które Andrzej podał Witoldowi, Księżciu, Słoniowi, Sznicy i Jerzykowi Sadowemu, wywołały u częstowanych przecucia podobne do przecuć Krystyny. Nie omylili się.

- Nno, moi drodzy - zaczął Andrzej - zanosi się na coś, co może stać się punktem zwrotnym powstania. Praga zajęta. Sztab Berlinga nawiązał z nami kontakt radiowy... Najważniejsze: prawdopodobnie dziś w nocy berlingowcy rozpoczną lądowanie na Czerniakowie.

Wstrzymali oddech. Szybkość biegu wydarzeń przeszła ich oczekiwania.

- A nasze zadanie? - spytał Księżę.

- Właśnie po to was wezwałem. „Rudy” dostał rozkaz przygotowania terenu do desantu.

Wygląda na to, że czeka nas praca bardziej odpowiedzialna niż kiedykolwiek. Poważniejsza niż przebicie się ze Starówki.

Milczeli. W lot chwycili konsekwencje otrzymanego rozkazu: ostatnie natarcia niemieckie zepchnęły powstańców z samego wybrzeża, teraz trzeba oczyścić z nieprzyjacielskich gniazd część brzegu Wisły i utrzymać co najmniej przez kilkadziesiąt godzin. Ten typ operacji zawsze pociągał duże ofiary w ludziach i rzadko dawał pomyślne wyniki. Słoń z trudem przełknął ślinę.

- Kto to ma wykonać prócz nas?

- W pierwszym rzucie tylko „Rudy”.

- O, cholera jasna...

Wszystkie twarze były poważne i skupione. Patrzono na Andrzeja. Andrzej to rozumiał.

- Myślę - powiedział wolno - że ten rozkaz Radosława ustala rangę „Rudego”. Jesteśmy chyba najmocniejszą kompanią Czerniakowa. Jeżeli my nie oczyścimy wybrzeża z gniazd karabinów maszynowych, nikt tego nie zrobi.

Rzecz bardzo trudna, prawie niemożliwa; tłokiem, masówką sprawy się nie rozwiąże. I dlatego powierzono zadanie nam, i dlatego musimy wybrzeże oczyścić.

Długo milczeli, zanim odezwał się pierwszy z uczestników odprawy:

- Tak, to jasne, teren dla desantu musimy przygotować. To przecież jedyna furtka, którą przyjść może pomoc dla Warszawy.

Uspokoił się. Pod wpływem słów Andrzeja zrozumieli konieczność tego, co ma się stać, i przyjęli ją jako swój własny, dobrowolny akt służby. Rozkaz dowództwa przetworzył się w nich na decyzję własnej woli.

W pół godziny potem odbył się w hali fabrycznej na Szarej przegląd kompanii. Powtórzyło się to, co zaszło na odprawie dowódców: radość nadziei, chłód lęku, a wreszcie zacięta twardość rozumianej konieczności.

- Wszyscy ranni wystąp!

Z dwuszeregu wystąpiło tylko dwóch, mieli obandażowane grubo nogi.

Niektórzy ranni, domyślając się w chwili ogłoszenia przeglądu, że zanosi się na jakąś akcję, na wszelki wypadek „poprawili” już opatrunki, zastępując bandaże, gdy tylko to było możliwe, skromnymi plastrami.

Andrzej wolnym krokiem przeszedł wzdłuż kompanii, wyłuskując poważniej rannych.

- Nie możecie być z nami, chłopcy. Kompania idzie do ostrego natarcia.

Musimy oczyścić wybrzeże z gniazd nieprzyjacielskich karabinów maszynowych.

Mowy nie ma o oszczędzaniu was, o opiekowaniu się wami.

Mijały wolno godziny. Żołnierze „Rudego” czyścili broń, szykowali ekwipunek osobisty.

Każdy dostał sporą paczkę cukierków, zajadali je więc teraz bez przerwy.

O zmroku nad stanowiskiem „Zośki” rozległ się charakterystyczny terkot i nisko nad ziemią ukazał się niezgrabny kadłub dwupłatowego „kukuźnika”, wolno sunący po niebie. Była to druga kolejna noc zrzutów sowieckich. Tym razem „terkot” krążył nad nimi wyjątkowo długo, zataczając wciąż ten sam łuk: gdzieś od Rozbratu, wzdłuż Szarej, zakręt nad Czerniakowską, i znów to samo. Niemieckie działa przeciwlotnicze milczały - nie ma ich?

Dobry omen - myślał niejeden podążając na zbiórkę kompanii.

Stali plutonami, gotowi do wymarszu. Płomienie kilku świec nikłymi ognikami padały na ich mizerne, zmęczone twarze, na błyszczącą smarami broń, na zielono-żółte plamy zniszczonych panterek. Najjaśniej oświetlony był stojący przed frontem Andrzej, w panterce, z hełmem na głowie, ze schmeisserem na ramieniu i trzonkowymi granatami u boku. Zżyli się już z Amorkiem i przywiązali do niego. On i oni stanowili jedność - to właśnie był „Rudy”.

Rozumieli się bez wielu słów i ufali sobie nawzajem.

- Plutonami odmaszerować!

Dwoma wężami wyłonili się w ulicy Szarej: „Felki” - pod murami jej lewej strony, „Alki” -

pod murami prawej. Noc była jasna, bo światło księżyca wzmacniała łuna pożarów nad Powiślem, Śródmieściem, Solcem. Palila się też ich dzielnica. Domy uchronione od bomb zapalających i pocisków dział salwowych teraz zajmowały się jeden za drugim - wrzesień był

dotychczas bardzo suchy. Któryś z tych domów płonął jak pochodnia, wszystkimi swymi czterema piętrami. Jego piwnice opuszczali chyłkiem ostatni mieszkańcy, wystraszeni, wymizerowani, brudni.

Chłopcy „Rudego” szli w ciszy, porozumiewając się półgłosem i krótko.

Cisza objęła w początkach tej nocy cały Czerniaków. Milczała artyleria niemiecka.

Gdzieniedzie tylko odzywały się rzadkie strzały. Najgłośniejszy był trzask płomieni palących się domów. Minęli parę placówek innych oddziałów AK, w których wyczuć było można niecodzienne ożywienie.

Boruta przyspieszył nieco kroku i zrównał się z Maćkiem.

- Słyszałeś, podobno zaraz po desancie mają nas zabrać na tamtą stronę na kilkudniowy wypoczynek?

- Słyszałem... Jak się tam znajdziemy, pierwsza rzecz - jeść, druga - spać, a potem - gorąca kąpiel. Nie?

Zamilkli, słysząc łomot walącej się ściany wypalanej kamienicy. Owiał ich gęsty kurz, a gdy wyszli zeń, trafili w duszący dym dopalającego się gruzowiska i bijący zeń żar.

Opuścili ulicę i znaleźli się w jakichś podwórzach i ogródkach. Przez każdą otwartą przestrzeń musieli teraz przebiegać, byli w zasięgu broni maszynowej nieprzyjaciela. Weszli w ulicę Zagórną. Mijali porozbijane auta, wozy. Potem piwnicami w ulicę Idżkowskiego.

Teraz czujnie podchodzą do ulicy Solec. Są na jakimś małym placyku, przez szeroką, długą bramę wyczuwają odświeżający powiew znad rzeki. Usiłują ponad wodą uchwycić ciemne kontury milczącej w ciszy Saskiej Kępy.

Ostrożnie, szybko pluton Księcia przeskoczył ulicę i zniknął za zabudowaniami w kierunku rzeki, pluton Słoń ma posuwać się wzdłuż ulicy, w kierunku mostu Poniatowskiego. Jak dotąd wszystko przebiega pomyślnie.

- Ruszamy!

Słoń idzie pierwszy z odbezpieczonym pistoletem maszynowym. Posuwa się szybko, czasem biegnie. Za nim w odstępach jego ludzie. Jest cicho i widno.

Nierówno stukają o bruk podkute obcasy, nie zawsze udaje się stąpnąć bezgłośnie.

Krótką, ostrą serią karabinu maszynowego! Druga! Pociski świetlne biją w jezdnię, w ściany.

- Aaach, aaaach - krzyknął ktoś z tyłu. Słoń uskoczył za najbliższy mur. Karabin maszynowy bije teraz bez przerwy krótkimi, regularnymi seriami. Słoń wsłuchuje się w rytm tych strzelań i nagle - pojmuje.

- Nie strzelać! - krzyczy na cały głos. - Przerwij ogień, do cholery!

Swoi!

Karabin maszynowy milknie. Tym głośniejszy staje się teraz jęk rannego.

Ktoś wybiega z szeregu, aby mu pomóc.

- Wróć, nie wychodź - rozkazuje Andrzej Morro. - Z tyłu są sanitariuszki!

Naprzód, chłopcy, naprzód!

Idą szybko dalej Solcem, po jego głębokim rynsztoku. Nie ma już spokoju.

Przed nimi odezwały się gęste, chaotyczne strzały; na prawo w skos nad Wisłą też strzelanina.

Także z lewej za nimi ktoś wali z broni maszynowej.

Zaczynają biec padają drużyny w jakieś podwóreczko, do jakiegoś garażu, który wskazuje im Andrzej Morro.

Słoń wbiegł do małego, nie zniszczonego jeszcze domku. Chwilę odpoczywają.

Wpada Krystyna i woła do Słonia:

- Porucznik Morro rozkazuje zacząć natarcie.

Leszczyc i trzech innych ostrożnie wysuwa się w kierunku rzeki. Wcale nie są zachwyceni swoją sytuacją. Przedzierają się jednak przez gęste, wysokie zieleń. Przed nimi niewyraźne kontury niewielkiego domu. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i nagle - długa, świetlna seria karabinu maszynowego błyska przed oczami. Padli. Karabin maszynowy bije bez przerwy. Z

tyłu też odzywa się broń maszynowa i pojedyncze strzały karabinów. Leszczyc słyszy gwizd kul tuż nad swoją głową. Podrywa się, biegnie i znów pada. Teraz słyszy ogień z obu stron. W

przodzie migają nieprzerwanie błyski. Traci zupełnie rozeznanie w sytuacji, przywiera płasko do ziemi i czeka.

- Wer ist da? Parole! - krzyczy jakiś Niemiec, widocznie tak jak Leszczyc nie mogący rozeznąć się w strzelaninie wybuchłej naraz ze wszystkich stron.

Gdzieś blisko rozerwał się granat. Za nim drugi. Nieustannie migają pasma pocisków świetlnych. Kolejny wybuch granatu wstrząsnął Leszczycem, w ustach uczuł ziemię, w uszach - dzwon eksplozji. Mimo przekłętego dzwonienia w uszach słyszy z dala głos Słonia:

- Dobra jest, ci już wykończeni!

Tymczasem Andrzej Morro, wyprawivszy Słonia wzdłuż ulicy Solec, montował uderzenie plutonu Księcia. Z rozwalonego garażu usiłowali obydwaj rozeznąć się w sytuacji nad brzegiem rzeki. Maciek ze swym erkaemem ubezpieczał pluton.

Ktoś się zbliżał. Kroki dość liczne. Widać już postacie w hełmach, z bronią gotową do strzału.

- Stój! Kto idzie? - woła Andrzej spoza bramy garażu.



- Was?

W tejże chwili Maciek naciska spust erkaemu. Niemcy zawracają w popłochu.

Andrzej wybiega za nimi i biegnąc strzela ze swego schmeissera. Jeszcze chwila - i krzyczy pełnym głosem:

- Uwaga! Niemcy wycofują się rowem łącznikowym do Wisły. „Alek”, naprzód, naprzód!

Pobiegli. Strzelają za uchodzącym nieprzyjacielem. Naraz dostali z boku, od Wisły silny ogień. Padli. Usiłowali chronić się do dołów, rowów, za nasypy. Karabiny siekły w ich kierunku gęsto, nieprzerwanie.

Po paru minutach Andrzej podpełznął do Księcia.

- Nic tu nie wyleżymy. Chodź do wału, trzeba zobaczyć, skąd piorą.

Popęzli jeden za drugim. Ostrożnie wychylają głowy z nasuniętymi nisko hełmami.

Obserwują brzeg rzeki. Dostrzegli kontury ni to statku, ni to domu, z którego wytryskiwały pasemka świetlnych pocisków.

- Tak... Wiem, co to jest: statek przystań „Bajka”. Zdaje się kilka erkaemów. Jak myślisz, Książę, jedna drużyna czy dwie.

- Chyba pluton.

- Dasz radę?

- Cholernie tu otwarte wszystko - cedzi przez zęby Książę. - Ale spróbuję.

- Dobrze. Ja skoczę na róg Wilanowskiej. Mam tam rezerwę.

- ?

- O, nic wielkiego: ranni i trochę dziewcząt. Pomogę ci, ale nie czekaj.

Zaczynaj od razu.

Odpełzli ku tyłowi, do plutonu. Książę przywołał dowódców drużyn. Andrzej skokami zbliżał

się do Wilanowskiej. Usłyszał pierwsze serie erkaemu „Alków”. Jeszcze skok i znalazł się na Solcu. Biegł pod ścianą w stronę Wilanowskiej. Nagle krótkie serie zaczęły tłuc za nim po murze. Upadł do rynsztoka.

- Przerwij ogień, patałachu! Gdzie strzelasz?

Erkaem umilkł jakby zawstydzony. Andrzej podniósł się i pobiegł dalej, wsłuchany w głosy

nasilającej się walki koło statku przystani. Nareszcie dom przy rogu Wilanowskiej i Solca, a w nim Pol z trzema rannymi żołnierzami i dziesiątkiem łączniczek i sanitariuszek.

- Gotowi? Za mną!

Przeskoczyli luźną gromadą ulicę Solec i posuwali się szybko, ostrożnie, w dół nad Wisłę. Z

dala bieleje częściowo zatopiona „Bajka”. Wokół niej toczy się walka. Błyskają pociski.

Czasami przebiega jakaś postać. Andrzej Morro z „rezerwą” sunie teraz wolno wzdłuż wału.

Jeszcze kilkadziesiąt kroków...

Nagle - ogień karabinowy z „Bajki”! Spozrzegli ich! Andrzej jednym skokiem przesadza wał, za nim trzech rannych, a potem kolejno dziewczęta.

Jęk i zduszony szept: - Nie zostawiajcie mnie. - Sanitariuszka pod strzałami zwleka rannego z wału, inni biegną naprzód rowem. Starają się nadążyć za Andrzejem Morro.

Na wysokości „Bajki” musieli przeskoczyć ulicę. Andrzej jak zawsze pierwszy. Ledwo mignął na drugą stronę, rozpętał się potworny ogień. Biła w nich z „Bajki” prawie wszystka niemiecka broń. „Rezerwa” wtuliła się w rów i nie śmiała poderwać do skoku przez ulicę.

Dwie dziewczyny są już ranne, sytuacja staje się nie do wytrzymania...

Lecz co to? „Hura! Hura!” Krzyki przy „Bajce”! Głos Andrzeja Morro!

„Hura!” Wybuchy granatów, chaotyczne strzały i cisza. Zupełna cisza wokół „Bajki”.

Gdy Andrzej wbiegł na pomost zdobytego statku przystani, wpadł niemal na któregoś z żołnierzy „Alka”.

- Andrzej, nie widziałeś Księcia?

- Nie! Przecież powinien być z wami.

- Nie ma go i całej jednej sekcji.

Andrzej stanął i opuścił dymiącą lufę schmeissera. - Co to znaczy?

Krążył po statku. Potem wyszedł na pomost i krzyknął na cały głos: - Książę! - Nikt nie odpowiadał. Powtórzył okrzyk - bez skutku.

Zdjął hełm i wytarł czoło.

- Lolek!

- Jestem.

- Obejmiesz pluton. Oczyść statek. Potem patrol ku Zagórnej i nawiązanie łączności z

„Felkiem”. Desantu z drugiego brzegu czekać będziesz tu, na „Bajce”. Musisz się ubezpieczyć. Powtórz!

- Obejmę pluton, oczyszczę statek, wyślę patrol ku Zagórnej, nawiążę łączność z „Felkiem”, ubezpieczę się i czekać będę na desant.

- Dobrze. Jeszcze jedno: szukaj Księcia i brakującej sekcji.

- Tak jest.

Był już za pomostem, gdy rozważywszy coś, zawołał:

- Dwóch do mnie na ochotnika!

Razem z dwoma nadbiegłymi powstańcami oddalił się rowem, ale nie skręcił w stronę Wilanowskiej. Zwrócił się w stronę mostu Poniatowskiego.

- Odbezpieczcie broń. Spenetrujemy teren koło mostu.

Gdy w godzinę potem zjawił się w plutonie „Felków”, Leszczyc słyszał, jak powiedział do Słonia:

- Nno, doszedłem prawie do mostu. Niemcy są tak podenerwowani naszą akcją, że spory patrol zniknął na sam mój widok. Przynieśliśmy ci cekaem.

Zostawili ze strachu na placówce. Przesuń się z plutonem bardziej ku rzece i wypatruj desantu. Książę się znalazł?

- Zdaje się, że nie.

Słoń stał zasępiiony, zgaszony, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie spodni. Minęła północ. Zrobiono wszystko, co należało. Łączniczka wysłana do „Felków” wróciła z wiadomością, że Księcia nie ma. Andrzej usiadł na oknie drugiego piętra domu przy Wilanowskiej 1 i patrzył przez Wisłę w stronę niewidzialnej, milczącej Saskiej Kępy. Po niedawnej gwałtownej strzelaninie i wybuchach granatów także na Czerniakowie panowała cisza. Cisza aż dziwna, aż nienaturalna. Zrobiło się chłodno. Andrzej marzył, ale nie usiłował

się rozgrzać. Ziąb najpewniej zabezpieczał zmęczone ciało przed snem.

Opanowanie brzegu wiślanego poszło nadspodziewanie łatwo. Czy dlatego, że słabsze niż oczekiwano były tu siły nieprzyjacielskie? A może udało się zaskoczenie? Może ogłupiła ich szybkość akcji powstańczej? Chłopcy spisali się dobrze, zupełnie dobrze. I straty „Rudego” też w istocie niewielkie.

Tylko Książę...

Dochodziła godzina druga. Na Wiśle - żadnego ruchu. Andrzej wstał i zszedł na parter. W

świecie zapałki odszukał śpiącą wśród dziewcząt Krystynę. Dotknął ręką jej nogi.

- Śpiochu, wstawać. Obejdziemy wybrzeże.

Zlustrowali najpierw placówki „Felka”, potem poszli do resztki „Alków”.

Chłopcy przeważnie spali.

Księżę z grupą swoich ludzi zginął. Ani tej nocy, ani nigdy już nikt nie natrafił na żaden ślad pięknego, dzielnego Księcia i jego towarzyszy.

Przepadli - jakby się ziemia pod nimi rozstała. Tyle setek ciał leżało na ulicach, w ogrodach, krzakach i piaskach wiślanego wybrzeża...

Andrzej, opuściwszy placówkę „Alka”, rozglądał się dookoła.

Cisza - zdumiewająca cisza - trwała. I księżyc. Tylko olbrzymia łuna nad miastem przywoływała do rzeczywistości.

- Czemu oni nie nadpływają, panie poruczniku?

- Skąd mogę wiedzieć? Wiem tylko, że my oczyściliśmy wybrzeże na wyznaczoną godzinę.

O świcie zjawili się na Wilanowskiej 1 Czarny Jaś i Irka. Andrzej wciąż nie spał. Krążył po pokoju, którego okna wychodziły na Wisłę i widoczną już teraz na wschodzie Saską Kępę.

- Czemu ich nie ma? Może coś zaszło nowego, jak myślisz?

Czarny Jaś zadając to pytanie był bardziej przejęty, niż chciał okazać.

Wszystkie jego myśli ostatnich kilkudziesięciu godzin skupiły się na tej oczekiwanej pomocy spoza Wisły.

Przed szóstą rano Andrzej zdecydował wycofać plutony z samego wybrzeża do Wilanowskiej 1. Był wczesny ranek i zaczynała się normalna widoczność dnia.

Dalsze pozostawianie placówek powstańczych nad samą rzeką, z dala od zaplecza, stawało się niebezpieczne.

Andrzej, wyprawivszy łączników po obydwie plutony, udał się do dowództwa zgrupowania na Wilanowską 18, by omówić sytuację.

Pol, któremu polecono ściągnięcie z wybrzeża „Felków”, przeskoczył Solec i chyłkiem biegł nad Wisłę do samotnego, białego domku, w którym przebywał Słoń. gdy dobiegał, spostrzegł

w lekkiej mgle nad Wisłą trzy łodzie.

Płynęły szybko ku brzegowi.

Zdawało mu się nawet, że słyszy plusk pośpiesznie pracujących wiosł.

Oszołomiony, podniecony, wpadł do białego domku.

- Słoń, masz rozkaz natychmiastowego wycofania plutonu na Wilanowską 1.

Ale, Słoń, płyną do nas jakieś łodzie. Widziałem.

Słoń w niezdecydowaniu marszczy zaspną twarz i bierze ze stołu broń.

- A co to za łodzie?

- Zobacz sam.

Słoń podchodzi do okna, robi z dłoni daszek nad oczami i patrzy.

- Choroba wie. Może podstęp niemiecki? Bo na desant przecie za późno. Już prawie ranek.

I po chwili:

- Chłopcy, pojedynczo skokami cofać się ku Wilanowskiej 1.

Ledwo ukazali się wśród trawy i krzaków wybrzeża, rozległy się strzały. W chwilę potem całe wybrzeże rozbrzmiewało gwałtownym ogniem. Pociski gwizdały nad głowami Słonia i jego ludzi, biły w wodę, w mury domku, ścinały gałęzie krzaków. Słoń padł w jakieś wgłębienie, aby rozeznąć, skąd idą strzały, i stracił zupełnie orientację. Wydało mu się, że biją w niego ludzie z łodzi i ktoś z Wilanowskiej, ktoś znad mostu Poniatowskiego. Ale pociski biły także w stronę łodzi, widać było, jak pryska woda. Co za cholera się robi? Nic nie rozumiejąc, zerwał się i podbiegł przygarbiony ku Wilanowskiej, za nim w odstępach inni.

Gdy wpadli na Wilanowską 1, Andrzej Morro jeszcze nie wrócił z dowództwa a zastępujący go szczupły, czarny Witold był tak samo zdezorientowany jak Słoń.

- Przecież to chyba nie desant! Trzy łodzie? I rankiem? Mieli być w nocy.

Co robić, Słoń?

- Cholera jasna! Walmy w nich, bo przecie z tych łodzi pruli do nas.

Tymczasem łodzie przybiły do brzegu i nie było ich widać z okien Wilanowskiej 1. Bitwa przybierała na natężeniu. Do ognia broni maszynowej włączyły się granatniki i jakieś działa.

Strzelanina objęła całe wybrzeże.

Szczególnie gorączkowy ogień bił z położonego o kilkadziesiąt metrów od Wilanowskiej 1 stanowiska niemieckiego. Ale w Wilanowską 1 najwyraźniej strzelano znad Wisły.

Przybiegł Andrzej Morro zaalarmowany rozgorzałą bitwą. Chwilę słuchał, zdyszany, podniesionych głosów Słonia, Witolda i Pola. Nie czekając na dokończenie raportów zawołał:

- Zamroczyło was! Przecież to Rosjanie lub berlingowcy! Trzeba natychmiast nawiązać łączność!
- Andrzej, oni strzelali do nas!
- Wariacie! Jesteśmy przecież w mundurach niemieckich. Obejdz ludzi i wytłumacz sytuację.

Nie było łatwo w tym chaosie bitewnym nawiązać łączność z desantem. Ulicę Solec i wybrzeże pokrywał krzyżujący się ogień stanowisk niemieckich i ludzi przybyłych łodziami.

Jedni i drudzy strzelali nie tylko do siebie, lecz trzymali pod ogniem także Wilanowską 1.

W „Rudym” chwycono się najprostszego pomysłu: naprędce sporządzono chorągiew z białego prześcieradła i jakiejś czerwonej narzuty na łóżko.

Wywieszono ją na wysokości trzeciego piętra tak, aby była widoczna znad Wisły i niewidzialna dla nieprzyjaciela. Równocześnie Andrzej przywołał do okien w pobliżu wywieszonej „chorągwi” kilku ludzi. Rozpoczęli w największym natężeniu głosów krzyczeć po polsku i - jak sądzili - po rosyjsku:

- Towaryszcze!... Sowiety! Tu swoi, tu Polaki! Do nas, do nas!

Kule od Wisły wylupywały po dawnemu tynk ze ścian i drzazgi z futryn.

Przybysze nie pojmowali krzyków „Rudego” ani wywieszonego znaku.

- Nie strzelać, cholerne berlingi! Tu swoi, tu powstańcy!

Nie pomogło. Czas mijał. Gdy Pol spojrzał na zegarek, zobaczył, że dochodziła ósma.

Wbiegająca łączniczka zameldowała, że od przystani „Syrena” ruszyło natarcie drużyn SS.

- Wystrzelają ten desant jak kaczki - powiedział Witold.

Andrzej uważnie badał sytuację, wyglądając ostrożnie przez okno spoza ściany.

- To trzeba inaczej, chłopcy. Pol, natychmiast rób drugą chorągiew, z drążkiem. Kto ze mną na ochotnika? Wskoczmy do nich i przyprowadzimy.

Strzelanina nie taka groźna, jak się wydaje.

W kilka minut potem Andrzej zszedł ku wyjściu, trzymając na drążku flagę biało-czerwoną.

Flaga była lepsza od poprzedniej, niemal normalna. Za Andrzejem uszykowało się trzech chłopców „Rudego” z odbezpieczoną bronią.

- Gotowi? Najpierw wybiegniemy razem, za białym domkiem będziecie mnie ubezpieczać od strony niemieckiej. Nno, już!

Wybiegli. Andrzej pierwszy, po nim trzech innych.

Ukryci za oknami powstańcy widzieli Andrzeja, jak biegł ku Wiśle z uniesioną flagą, cały w słońcu. Zniknął za białym domkiem. Wzmógł się ogień z najbliższego stanowiska niemieckiego.

Mijają chwile... minuty...

Spoza białego domku wyłania się kilka postaci i biegnie ku Wilanowskiej.

Niektórzy są w mundurach khaki i w czapkach, a nie w hełmach.

Słoń, Czarny Jaś, Witold, Krystyna, Pol tłoczą się podnieceni w korytarzu przy wejściu.

Pierwszy wpada jeden z tych, których wziął ze sobą Morro.

- Andrzej ciężko ranny!

Andrzej? Ciężko? To niemożliwe!

Pobladyły twarze... Oddechy stały się nerwowe, niespokojne.

- Sanitariuszka, sanitariuszka! - krzyczy pierwszy. Zosia chwyciła apteczkę i wybiegła w stronę brzegu. Witold i kilku innych biegło za nią, lecz wściekły ogień broni maszynowej z Wilanowskiej 6 zatrzymał ich pod białym domkiem.

Schronili się za jego mur.

Po chwili Zosia, śmiertelnie blada, wbiegła z powrotem. Jej panterka i spodnie zostały w kilku miejscach przestrelone.

- Dotarłaś do Andrzeja? - pyta Witold, nie spuszczać z niej oczu.

Dziewczyna pochyła się cała ku ziemi i zaczyna głośno płakać.

Przewyciężając szloch, mówi:

- Dostał w serce... Cała pierś we krwi...

Stali jak w ziemię wrośnięci. Ręce ścisnęły kurczowo broń. Dławiło ich w gardłach.

I zdało się im, że przygasł poranek, zmatowiał połysk fal wiślanych i gryzący dym drażnić począł oczy.

- Sanitariuszka, tu jeszcze jeden ranny!

Jakby odczarowani tym wezwaniem podnieśli wzrok na żołnierza, który siedzi w korytarzu białego domku. To jeden z tych, co przyplłynęli. Ma rogatywkę na głowie, na rogatywce -

orzełek. Ranny widząc wpatrzone w siebie oczy mówi:

- Ja muszę do waszego komendanta, towarzysze. Ja jestem dowódcą patrolu zwiadowczego z Pierwszej Armii.

Wycofali się z rannym na Wilanowską 1. Czarny Jaś i paru innych podchodzą do niego bliżej.

Serca ich i myśli przepelnia ból i rozpacz, ale usiłują uśmiechnąć się do przybysza. Ściskają serdecznie jego dłoń. Potem dłonie innych berlingowców, których teraz dopiero spostrzegli koło siebie.

Rozmawiają. Oglądają nie znaną sobie broń. Sanitariuszki opatrują rany żołnierzy I Armii.

Ktoś częstuje ich papierosami.

Spośród piętnastoosobowego patrolu, który wypłynął na tę stronę Wisły, ponad połowę straciło życie.

- Jakże to z tym desantem? - pyta Słoń.

- Desant będzie, nie bójcie się. Ale musimy dać znać do dywizji jak i co.

Patrol odszedł wraz ze swym rannym dowódcą i z dwoma jeńcami na Wilanowską 18.

Żołnierze „Rudego” zostali sami...

Każde życie ludzkie jest bezcenne. I każdy z poległych towarzyszy Andrzeja Morro ofiarował życie narodowi. Ani mniej, ani więcej niż Andrzej.

Ale śmierć Andrzeja była także ciosem w zespół. Andrzej Morro bowiem stał się w toku walk powstańczych uosobieniem „Rudego”, nadzieją „Zośki”, wcieleniem ideałów szaroszeregowych.

Patrol zwiadowczy I Armii wylądował na powstańczym brzegu Wisły 15 września rankiem.

Najbliższej nocy łodzie pontonowe przewiozły do tego punktu wybrzeża kilkuset strzelców 9

pułku piechoty pod dowództwem szefa sztabu pułku, majora Łotyszonka. Wojsko lądowało pod osłoną artylerii macierzystej trzeciej dywizji, bijącej z tamtej strony Wisły, i dlatego huraganowy ogień nieprzyjacielskiej broni maszynowej i granatników, otworzony na płynące łodzie i pontony, okazał się niezbyt celny. Tonęły dziurawione kulami łodzie, tonęli i broczyli krwią ludzie, ale wahadłowy ruch przez Wisłę trwał. Starszy saper Konieczny obrócił pięć razy. Dowódca plutonu



Maciejczyk dokonał ośmiu rejsów. Łodzie i pontony, wracające na Pragę po dalszych ludzi, broń i amunicję, zabierały z Czerniakowa rannych.

Także rannych z „Zośki” i „Parasola”. W ten sposób odpłynął również Anoda.

Ostatecznie żołnierze 9 pułku wylądowali, przewożąc kilkadziesiąt ciężkich karabinów maszynowych, rusznic przeciwpancernych, moździerzy i działek. W parę godzin później byli już w boju, wywalczając sobie stanowiska w rejonie Zagórnej, Wilanowskiej, Idżkowskiego.

Major Łotyszonok ze sztabem ulokował się w fabryce farb na Solcu 39.

Jeden z plutonów Berlingowych został przydzielony do „fortecy” „Parasola” w ogromnie już zniszczonym gmachu PKO przy rogu Okrąg i Ludnej. Pierwsze zetknięcie się powstańców i berlingowców cechowała ciekawość, połączona z pewną wzajemną nieufnością, uprzedzeniem i pretensjami, ale zarazem nasycona zaskakującym zdumieniem: więc to tak?

Oni też są Polakami?

Prawdziwymi Polakami? Przecież ci młodzi, niezgrabni berlingowcy to niedawno zmobilizowani chłopcy wiejscy z Lubelszczyzny, a tamte chytre mizeraki to rodacy warszawscy!

Najbardziej zbliżyło obydwie strony oglądanie broni. „Parasolarze” byli zachwyceni cekaemem, którzy przynieśli żołnierze I Armii, i starannie badali ich pepesze, tamci zaś z uznaniem brali do rąk steny, wykonane kowalską robotą, i cmokali na piaty.

Nastrój rezerwy przełamały ostatecznie cukierki. Był to jedyny luksus „Parasola”, przydzielony kompanii przed paroma dniami w znacznej ilości, teraz więc wyciągali do berlingowców dłonie i zachęcali gościnnie do próbowania.

Niestety, sielanka stosunkowo spokojnych rozmów trwała tylko przez najwcześniejsze godziny tego poranka. Potem jak zwykle rozpętała się codzienna walka. I niewyspani berlingowcy, wyczerpani niedawnym lądowaniem w ogniu nieprzyjacielskim, musieli z miejsca wejść do walki. Pierwszy efekt tej walki okazał się niezwykle szczęśliwy: kryci przez ogień własnego cekaemu, uczynili wypad do sąsiedniego domu na Ludnej i nieoczekiwanie łatwo wyparli stamtąd nieprzyjaciela. „Parasolarze” byli zachwyceni i teraz dopiero odczuli ogromną radość z przybycia berlingowców.

Ale w miarę biegu godzin walki, gdy ogień nieprzyjacielski nasilił się niezwykle, gdy zawałiła się dalsza część gmachu PKO i trzeba było gwałtownie przekształcać obronność stanowiska, odpierając równocześnie natarcie piechoty, ujawniać się poczęły w sposób ostry takie właściwości obydwu zespołów żołnierskich, które odrodziły wzajemne pretensje.

Berlingowcy byli to niemal wyłącznie chłopcy wiejscy, nie obyci z wielkim miastem, a przy tym zaledwie przed paroma tygodniami wcieleni do szeregów, a tym samym bardzo słabo wyszkoleni. W warunkach ciężkiej bitwy miejskiej czuli się obco, niepewnie, źle.

Zaskakiwało ich dziesiątki nieoczekiwanych zjawisk, których nie umieli rozpoznać, i nie wiedzieli, jak się do nich ustosunkować. A reagować trzeba było natychmiast, pod groźbą utraty życia lub

spowodowania nieszczęścia. Zdezorientowani, wylękli, popełniali głupstwa lub zachowywali bierną bezradność. Powstańcy zaś, przemęczeni do kresu sił i wskutek tego przedenerwowani, często nie umieli zrozumieć przeżyć swych nowych towarzyszy ani zdobyć się na rozsądne, braterskie prowadzenie ich poprzez tajemniczo-zaskakujący i groźny bój wśród płonącej ulicy, rozwalanych pociskami domów i nie wiadomo skąd bijących pocisków.

Próba odbicia jednego z pobliskich domów skończyła się tragicznie dlatego, że chłopcy z plutonu berlingowców utknęli podczas natarcia w bramie, spieszeni śliskością korytarza i schodów. Powstańców drażniła nieobrotność, niepojętność zastraszonych lubliniaków, w serca zaś tamtych zapadł uraz do pokpiwających, zarozumiałych, pokrzykujących powstańców.

Nastroje te osiągnęły szczyt, gdy zbliżyły się w chrzeście gąsienic trzy działa szturmowe i wszystkie trzy otworzyły ogień na gmach PKO. Zdawało się, że to już koniec. Wśród druzgotanych i walących się murów, w kurzu i dymie obracanych w ruiny pokojów, wśród rwących się granatów i roju pocisków broni maszynowej - każdy krok, każdy ruch, każda bierność stanowiły o życiu człowieka i o utrzymaniu stanowiska. Wówczas to powstańcy i żołnierze I Armii odczuli całe swe nieprzystosowanie się, niezgranie w walce, niezrozumienie słów, które od czasu do czasu sobie rzucali.

Gdy okazało się, że broń przeciwpancerna plutonu berlingowców nie działa skutecznie w rękach jej obsługi, Jurek Lot zdecydował, że należy użyć piata, do którego miał już tylko trzy granaty. Paweł, obsługujący tego piata, miał szczęśliwą rękę: za drugim strzałem obezwładnił

najbliższe działko szturmowe, dwa pozostałe po krótkim namyśle wzięły na hol wrak i zniknęły wraz z nim. Paweł nie mówi po polsku, to Żyd węgierski z Gęsiówki, który wraz ze swym kolegą Belą stał się żołnierzem „Parasola”.

Ledwo jednak Jurek Lot rozpoczął obchód stanowiska, gdy złośliwość losu sprawiła, iż walić zaczęły w gmach pociski artyleryjskie spoza Wisły.

Natychmiast podbiegła do dowództwa łączniczka, aby spowodować interwencję radiową, ale zanim to nastąpiło, nieszczęsny gmach został „zrabany” nie mniej niż przez niedawne działa szturmowe.

Jeremi, mimo unieruchomienia, mimo trwającego od kilku dni bólu głowy i dokuczliwości rany w boku oraz mimo nowej fali depresji, która ogarnęła go po wczorajszej wiadomości o śmierci Andrzeja Morro, rozumiał dobrze, na czym polega obecnie jego podstawowe zadanie, i choć sam coraz bardziej tracił nadzieję, rozpoczął oddziaływanie na żołnierzy „Parasola” i na berlingowców, zmierzające ku zgraniu ze sobą obydwu zespołów. Przenoszony po bezpieczniejszych miejscach gmachu, przełamując się, rozmawiał z ludźmi, wyjaśniając spokojnie i życzliwie sprawy proste i sprawy złożone.

Gdybyż to jednak odbywać się mogło w spokoju!

Następnego dnia szturm nieprzyjacielskie na budynek PKO ujawniły taką zaciętość, iż Jeremi i Jurek Lot alarmowo zażądali pomocy. Nie otrzymali żadnej. Jerzy nie dysponował

ani jedną wolną drużyną, a spoza Wisły dalsza pomoc w ludziach już nie przybyła. Około południa udało się Niemcom wtargnąć do gmachu PKO i usadowić się w jego części przy ulicy Ludnej.

Próba wyparcia ich stamtąd okazała się ponad siły wyczerpanego „Parasola” i zespolonego z nim plutonu berlingowców. A ponieważ na ten niemiecki „przyczółek” przybył jakiś świeży, liczny i dobrze uzbrojony oddział SS, Jeremi i Jurek Lot zdecydowali ewakuację.

Przerzedzone drużyny berlingowców wyszły pierwsze, prowadzone przez przewodnika.

Jeremi wyniesiony został z ostatnią drużyną „Parasola”. Przez piwnice sąsiedniego, płonącego domu trzeba było wyjść na niewielką otwartą przestrzeń (ogród warzywny?) i przebiec ją pod ogniem paru nieprzyjacielskich karabinów maszynowych, które były z boków na krzyż. Na warzywniku leżały ciała zabitych i ciężko rannych „parasolarzy” i berlingowców, których już nie sposób było stąd wyciągnąć.

Jeremi był niewysoki, szczupły i teraz bardzo wychudzony, niemniej jednak był to człowiek leżący na noszach, którego trzeba było przerzucić przez niewielkie, otwarte „pole śmierci”.

Jasia pomagała noszowym. Pobiegli.

Niepojęte, jak to się stało, że z tej przeprawy wyszli cało, jeśli nie liczyć przestrelonej łydki jednego z noszowych.

Nowy dom przy ulicy Okrąg, który obsadził teraz „Parasol”, wymagał natychmiastowego zabezpieczenia. Oszołomieni wstrząsem wycofywania się, wyczerpani nieludzko i głodni, musieli niezwłocznie przystąpić do budowania wśród ruin barykady z cegieł, kamieni, pni drzewa. Kończyli pracę, gdy nieprzyjaciel razić począł to miejsce pociskami granatników.

Posterunek „Parasola” pełniący tu służbę przeżył okropne dwie godziny.

Kiedy w pewien czas po ustaniu ognia granatników SS-mani podeszli do barykady, posterunek powstańczy spał. Posterunek oczywiście powinien był czuwać, ale chłopcy nie spali od kilku dni i od kilku dni byli w walce.

Wyczerpanie psychiczne i fizyczne zapanowało nad nimi. Obudziły ich głosy niemieckie nad barykadą.

Stracili nie tylko barykadę, lecz także niedawno obsadzony dom na Okrąg.

Oddziały nieprzyjacielskie, zacieśniające czerniakowski stan posiadania powstańców, były liczne i wypoczęte. Dowództwo niemieckie, zaalarmowane desantem Pierwszej Armii, ściągnęło na Czerniaków szereg jednostek wojskowych z innych dzielnic stolicy, aby szybko i radykalnie unicestwić tę jedyną furtkę powstańczej Warszawy. Natomiast polska załoga Czerniakowa, odcięta od Śródmieścia i bez dalszego dopływu sił ludzkich spoza Wisły, słabła w sposób zastraszający.

Resztki „Parasola” i resztki współdziałającego z nim plutonu berlingowców wycofały się jeszcze głębiej, tym razem do ruin domu stojącego w bezpośredniej bliskości Wilanowskiej.

Jeremi wniesiony do piwnicy znalazł się wśród stłoczonej ludności z tego i sąsiednich budynków. Ludzie byli przerażeni walką, która ogarniała teraz ich dom, i wyczerpani przez głód, pragnienie i lęk o los najbliższych. Aby bodaj symbolicznie okazać wobec tych nieszczęśliwych dobrą wolę, Jeremi polecił przynieść do piwnicy woreczek cukru z resztek zapasu żywnościowego „Parasola”.

Wczesnym popołudniem wpadł do Jeremiego Wiesiek.

- Panie poruczniku, czy można pana wynieść do bramy? Coś dzieje się na niebie.

Jeremi przyłożył do ust buteleczkę, łyknął kilka razy i skinął potakująco głową. Mimo protestu Jasi wyniesiono go na korytarz i w bramę. Już na korytarzu Jeremi spostrzegł, iż ustał

ogień nieprzyjacielskiej broni maszynowej i granatników, a gdy znalazł się w bramie, usłyszał

daleki i niezbyt głośny szum, szum jednak niezwykle, nasycony jakimś gęstym zwielokrotnieniem. U wylotu bramy stało już kilku żołnierzy „Parasola” i berlingowców, a także paru mężczyzn - niewojskowych. Wszyscy patrzyli ku górze. Rozstąpiono się, czyniąc miejsce dla noszy.

- Jeremi, zobacz, co się to dzieje!

Wysoko, może tysiąc metrów nad ziemią, leciał wielki zespół potężnych maszyn lotniczych, na pewno ponad sto. Płynęły wolno, majestatycznie, w regularnym szyku, migocąc w słońcu śmigłami swych poczwórnych motorów i lśniąc srebrzystymi kadłubami. Od kadłubów tych raz po raz odrywało się coś i spadając - rozkwitało barwnym bukietem. Gdy Jeremi uniósł

głowę, wysoko w powietrzu kołysało się już kilkaset spadochronów, a nowe setki przybywały nieustannie, zapelniając niebo barwnymi czaszami materii pomarańczowej, zielonej, czerwonej, niebieskiej, żółtej i białej.

Powstańcy i „cywile” w bramie patrzyli oczarowani, z zapartym tchem. Co to się dzieje i co to może być?

- O Boże - szepnął jeden z mężczyzn. - Przy spadochronach są ludzie... to chyba desant powietrzny?

Jeremi natężył wzrok, przysłoniwszy oczy „daszkiem” z dłoni. Wyczuwał wokół siebie rodzący się nastrój szaleńczej radości. Usiłował tym staranniejszym rozeznac to, co się działo na niebie.

Odezwały się pierwsze niemieckie działa przeciwlotnicze i ich palba nasilała się z minuty na minutę. Działom zawtórowały dziesiątki i setki karabinów maszynowych, wszystkie biły ku górze. Ogromna flotyła lotnicza płynęła wolno dalej, nie zmieniając ani odrobinę kunsztownej prawidłowości swego szyku. Widać było zupełne lekceważenie niemieckiego ostrzału, lekceważenie uzasadnione, żaden z samolotów nie zachwiał się od pocisku, nie zadymił. Natomiast ten i ów spadochron wiotczał nagle i ciągnięty przez obciążony go ciężar spadał kamieniem na ziemię.

- Co oni uczynili, ci szaleńcy! - gorączkował się mężczyzna. - Przecież Niemcy wybiją ich w powietrzu do jednego.

Nastrój uniesienia panujący w bramie zamieniał się w nastrój niepokoju. I wówczas odezwał się Jeremi:

- To zasobniki. Przy spadochronach wiszą zasobniki, nie ludzie.

Przelot 18 września w pełnym świetle dnia dużej floty amerykańskich „fortec latających” oraz zrzut wielu setek barwnych spadochronów stał się dla powstańczej Warszawy widowiskiem niezwykłym, a dla bardzo wielu także kilkunastominutowym przeżyciem oszołamiającej, radosnej nadziei. Ale wnet pojęto, że to tylko manifestacja solidarności alianckiej. Cenne zasobniki z bronią, amunicją, środkami opatrunkowymi, żywnością nie były już w stanie wesprzeć rzeczowo walki powstańczej. Na niewielkim terenie Czerniakowa, utrzymywanym jeszcze przez oddziały powstańcze, spadło ich zresztą kilka.

Po przelocie Amerykanów broń rolujących ulicę Okrąg oddziałów niemieckich skierowała się znów ku stanowiskom powstańczym i właśnie wówczas zagłada zajrzała w oczy resztkom

„Parasola”.

Zajmowany przez nich budynek został otoczony i odcięty od powstańczego zaplecza.

Rozpoczął się szturm. Czołgi uczyniły wyłom w murach od ulicy (powstańcy nie mieli już wówczas pocisków do piata) i SS-mani opanowali ruiny kilku pokojów. Ponieważ powstańcy nie ustępowali z dalszych części domu, Niemcy poczęli przebijać dziury w ścianach do pomieszczeń powstańczych i w dziury te wsuwali lufy broni oraz rzucali granaty.

Każda para rąk i każdy pistolet mogły teraz decydować o losie tej grupki powstańczej.

Dziewczęta walczyły na równi z innymi. Jasia stojąc sztywno przy ścianie korytarza wyczekiwała korzystnej chwili, aby cisnąć granatem do dziury wybitej w ścianie sąsiedniego pokoju, przez którą bił niemiecki elkaem. W pokoju jęczał ranny, nie mający siły usunąć się stąd, a nikt nie śmiał wbiec, aby mu pomóc. Walka o pokój trwała już około godziny. Parę razy udało się wypłoszyć z dziury lufę elkaemu i wówczas wrzucano przez nią granaty do pokoju „niemieckiego”. Raz w czasie takiego chwilowego powodzenia zabłysnął

szubieniczny humor Wieśka:

- Paweł, krzyknij po niemiecku szkopom, żeby się poddali. Powiedz, że będziemy jeńców dobrze traktować.

I Paweł powtórzył! Powtórzył poważnie, donośnym głosem, przymrużywszy kpiąco w kierunku Wieśka jedno oko.

Niestety, po udanych akcjach następowało wnet niepowodzenie. Z kolei Niemcy dostawali się do dziury i powstańcy musieli umykać na korytarz. Po godzinie pokój został ostatecznie stracony.

Usiłowano teraz nie wpuścić nieprzyjaciela do sporego hallu. Sytuacja stawała się tragiczna.

Na szczupłej przestrzeni kilku izb parteru skupili się walczący i ranni. Zostało już niewiele granatów. Kończyła się amunicja.

W tych dramatycznych chwilach kapitanowi Jerzemu udało się wreszcie dotrzeć z zewnątrz do budynku, w którym ostatkiem sił bronili się „parasolarze”. Umożliwiło to wycofanie się obłożonych. Rozgorączkowany, oślepieni i ogłuszeni walką, uchodzili ostrzeliwując się wśród dymu, wybuchów i gwizdu kul. Jeremi pólleżał na noszach, z pistoletem maszynowym w ręku ubezpieczając noszowych. Kilkakrotnie musiał strzelać. W czasie tej przeprawy poczuł

ostry ból w zranionym boku i zemdłał.

Ocknął się z omdlenia w szpitalu Broma, ulokowanym przy ulicy Okrąg 2.

Odzyskując przytomność już początkami świadomości chwycił strzelaninę, wybuchy, krzyki i jakiś nerwowy wokół ruch. Leżał na noszach tuż obok nieprzytomnego powstańca. Panował

niewiarygodny ścisk i zaduch. Przez szpary okienek i przez drzwi wdzierał się dym.

Nieludzki ryk człowieka, któremu lekarz łamał kość udową, zagłuszał nawet walkę toczącą się gdzieś w pobliżu. Niezwykłe podniecenie rannych widoczne było w błyszczących oczach i gorączką spieczonych wargach.

Gdy Jeremi uniósł głowę, drzemiąca obok Jasia ocknęła się.

- Je-emi, jak dob-e, ze op-ytomniałeś. Mas to i połknij. Zaaz zawołam nasych chłopców.

Oczy, wielkie oczy Jasi, mrużyły się w uśmiechu, gdy podawała mężowi lekarstwo.

Przecisnęło się ich dwóch do swego dowódcy. Brudni, z poszarzałymi twarzami, byli tak wyczerpani, że nie mieli sił stać, usiedli więc w tym tłoku, trzymając broń między kolanami.

Patrzyli z troską na Jeremiego. A on, choć znów bolała go przeklęta głowa, usiłował się do nich uśmiechnąć.

- Jak tam sytuacja, chłopcy?

- Mów cicho. Je-emi - powiedziała Jasia. - Miałeś khwotok.

- A co do sytuacji - wtrącił jeden z siedzących „parasolarzy” - to nic się nie bój, Jeremi.

Zmieniamy się po dwóch i w razie czego chwycimy twoje nosze.

- Mów wyraźniej.

- Przecież powiedziałem: ten budynek to Okrąg 2, rozumiesz? Ostatni na Okrąg. Niemcy zabrali się do niego, ale jak dotąd niegroźnie. Ty się nic nie bój, Jeremi. My cię nie zostawimy.

„Parasolarze” wstali i precyzyjnie się ku wyjściu.

Jeremi uczył, że ktoś dotyka przegubu jego ręki. Otworzył oczy - Brom.

Lekarz był bardzo blady, wzrok miał półprzytomny, oczy rozbiegane.

- Nie śpi pan? Puls jest nie najgorszy.

- Rozumiem. Czy to pan operował przed chwilą tego krzykacza?

- Och, wyc powinienem ja, nie on. Nie mam pił do przepiłowywania kości, muszę nadrywać je i łamać. I nie mam narkozy. Dziś zemdlałem podczas operowania. A tu jeszcze walka, która podeszła pod sam szpital. Trzeba nie mieć nerwów.

- Czy jest sens operowania w takich warunkach?

Brom ożywił się.

- Powiem panu coś, Jeremi, w co sam nie uwierzyłbym przed powstaniem: wiele ludzi wyjdzie zdrowo z tych strasznych „sal” operacyjnych! Operować trzeba, bodaj nożem kuchennym i piłą ślusarską, wśród much i nieczystości, bez środków dezynfekcyjnych i bez leków.

Brom wstał, zawstydzony swym gadulstwem.

- Pan powinien też z tej rany wyjść, Jeremi. Puls ma pan niezły, temperatura niezła.

Jeremi przymknął powieki i usiłował zasnąć. Ale wybuchy granatników i trzask karabinów dręczyły zboląłą głowę, smród i dym utrudniały oddychanie, a niespokojne szepty i nawoływania - denerwowały.

Gdy otworzył oczy, dostrzegł, że leżący obok ranny przygląda mu się uporczywie. Jeremi był

bardzo zmęczony, nie pragnął kontaktu z ludźmi, przymknął więc znów powieki. Sąsiad mimo to zaczął rozmowę:

- Porucznik Jeremi, prawda?

Głos miał słaby, przerywany. Jeremi przytaknął mruknięciem.

- Nie poznaje mnie pan? Jestem Lolek z „Zośki”, siódmy dowódca „Alka” w powstaniu.

Jeremi popatrzył uważnie na sąsiada.

Ranny orientował się widocznie w szybko biegnącej nieodwracalności swych spraw. Zaczął

prosić Jeremiego o przekazanie kilku zleceń do plutonu. I jeszcze dla kogoś. Co parę zdań milkł, aby odpocząć. W pewnej chwili, gdy Jeremi sądził, iż sąsiad skończył już swe zlecenia i usnął, ten

odezwał się jeszcze raz, bez związku z tym, o czym mówił poprzednio.

- My, cóż my? Daliśmy wszystko, cośmy mogli... Żeby tylko ci po wojnie to zrozumieli...

Ranny zamilkł zupełnie. Jeremi, jakby wsłuchany w jego myśli, przymknął powieki i leżał w pół śnie, pół jawie. Po godzinie, może po dwóch odczuł, iż ktoś zbliżył się, usiadł przy nim i zaszeptał z Jasią. Jasia wstała i odeszła gdzieś. Przybysz pozostał przy nim. I tym razem nie chciało mu się otwierać oczu. Wreszcie przemógł się i spojrzał - Czarny Jaś. Patrzyli na siebie w milczeniu. Jaś co kilka sekund przymykał nerwowo lewe oko, czyniąc przy tym grymas lewym policzkiem, i za każdym razem po tym odruchu zwilżał językiem wargi. W rękach trzymał pistolet maszynowy, na kolanach zdjęty hełm.

- Moja drużyna jest tutaj na stanowisku - powiedział wreszcie Jaś. - Na pierwszym piętrze od ulicy. Już od kilku godzin. Mówię ci: piekło. Bił w nas czołg. Myślałem, że oszaleję.

Potworne. Powiedzieli, że tu jesteś.

Teraz jakby spokojniej. Zostawiłem ich na dziesięć minut.

Jeremi milczał. Mógł tylko słuchać i patrzeć na mówiącego. Jasiowi to widać wystarczało. Po chwili przerwy zaczął znów mówić:

- Wykończą nas, Jeremi. Wylądowała część 9 pułku berlingowców i na tym koniec. Podobno dwa inne bataliony lądowały gdzieś poniżej mostu Poniatowskiego i zostały wybite do nogi.

Wczorajszej nocy - nikogo, dzisiejszej nocy też nic się nie zapowiada. Nie rozumiem!

Wstał, włożył hełm i znów go zdjął; usiadł z powrotem obok Jeremiego.

- Pomóc ci w czymś? - szepnął do Jeremiego, jakby wstydząc się swego wybuchu.

Jeremi zaprzeczył ruchem głowy. Zdobył się na kilka słów:

- A jak ludność cywilna?

- Kilka piwnic przepelnionych. Panika, Jeremi! Nie chodzę do nich, nie mogę tego znieść.

- Nachyl się do mnie... Powiedz Jerzemu, żeby spróbował...

Nagle potworny wybuch! Zakołysały się mury. Pękła i runęła jedna ze ścian grzebiąc pod sobą kilku rannych. Gryzący kurz zaciemnił salę. Zgasły świece. Ktoś histerycznie krzyczał.

Czarny Jaś przykucnął obok Jeremiego, chwycił się oburącz za głowę i dygotał cały. Gdy kurz opadł i Jeremi opanował wreszcie kaszel, spojrzał na Jasia. Ten miał oczy szeroko otwarte i przerażenie w twarzy. Jeremi dotknął dłonią jego kolana.

- To Goliat... Najgroźniejszy dla izb od ulicy. Idź do swojej drużyny, mogą cię potrzebować.



Gdy półprzytomny Jaś oddalił się, Jeremi znów przymknął powieki. W kącie sali wśród jęków i przekleństw ktoś bezskutecznie nawoływał do wydobywania przysypanych gruzem rannych.

- Boże, daj mi śmierć - wyszeptał Jeremi.

Szpital Broma zajmował tylko część gmachu przy ulicy Okrąg 2. Były tu także kwatery resztek „Zośki”, kapitana Kryski i innych oddziałów AK, skromne magazyny powstańczego wojska, schrony mieszkańców. Gdy pod wieczór 18 września Goliat wybuchnął przy odulicznym murze tego gmachu, zrozumiano, że zaczyna się szturm na budynek.

Goliat wywalił znaczną część ściany frontowej, wypłoszył także posterunki „Zośki” z części gmachu. W minutę potem wtargnęły w tę lukę oddziały SS.

Rozpoczęła się zwykła teraz na Czerniakowie walka o poszczególne pokoje.

Doktor Brom dopiero teraz przerwał operowanie rannych. Wytarłszy ręce o fartuch poszedł

śpiesznie wraz z doktorem Bogdanem do swego pokoju w północnej części gmachu, aby zabrać stamtąd „żelazną porcję” lekarstw.

Wracali przez korytarz i pokoje, w których widać było nieliczne posterunki powstańców przy szparach okien, przy wyrwach ścian. Czasem któryś puszczał krótką serię pocisków. W

załomie klatki schodowej ujrzeli sanitariuszkę Krysię.

- Co tu druhna robi? Proszę z nami!

- Nie mogę. Pozostał jeszcze jeden chłopiec na wysuniętej placówce. Tam, na piętrze. Muszę poczekać. Jak będzie ranny, zniosę go.

Dziewczyna mówiła zmęczonym głosem i cała jej postawa wyrażała ogrom znużenia. Brom przystanął, patrząc na sanitariuszkę.

- Tam na piętrze nie ma dobrej osłony. Już dwóch zniosłam. To idzie szybko.

Wybuch drugiego Goliata przesądził los gmachu przy Okrąg 2. Wprawdzie jasnowłosy Sigma pobiegł ze swym karabinem maszynowym prosto w dym i kurz wybuchu, by razić nacierającego wroga, i tuż za nim biegło kilku chłopców „Alka”, lecz Niemcy wdarli się do piwnic. Rozpoczęła się walka o piwnice.

Pierś w pierś. Aby umożliwić ewakuację rannych, sanitariuszki zgrupowania Kryski zaczęły podpalać zwalone w korytarzu piwnicy drzewo. Udało się.

Ogień powstrzymał postęp natarcia. Rannych przenoszono pośpiesznie poza kurtynę ognia na Wilanowską 18. Wśród nich byli Jeremi i Luty. Jerzy przybiegł, aby osobiście dopomóc w ich przenoszeniu. Pomagał upadającym z sił sanitariuszkom o opalonych włosach i brwiach, zaczerwienionej skórze twarzy i rąk oraz głowach pokrytych popiołem. Pod osłoną jednej z drużyn

„Parasola” oraz zacięcie walczącej grupy berlingowców posterunki opuszczały zrujnowany już zupełnie gmach. Została większość rannych i w części piwnic - ludność.

Czarny Jaś, z kulkami waty w uszach i z rozszerzonymi źrenicami widocznymi spoza okularów, udzielał wskazówek sanitariuszkom pozostającym z rannymi. Potem przecisnął się do komendanta opl, który okazał powstańcom tyle życzliwości i tyle pomocy. Chciał temu starszemu panu podziękować i - sam rozdygotany - dodać otuchy...

# XVI. WILANOWSKA 1

Powstańczy Czerniaków ginął. Ścieśniony został już tylko do ulicy Wilanowskiej i jej zaplecza w kierunku Zagórnej oraz skrawka ulicy Solec przy brzegu Wisły. 19 września pułkownik Radosław przystąpił do ewakuacji niezdolnych do walki żołnierzy swego zgrupowania kanałami na Mokotów.

Na Czerniakowie pozostawało nieco ponad dwustu ludzi. Istniała jeszcze nikła nadzieja dalszych desantów. Trzeba było bodaj dzień, dwa utrzymać przyczółek nad Wisłą.

Właśnie ze względu na ten przyczółek Niemcy atakowali teraz powstańców ze wzmożoną zaciętością, dążąc do jak najszybszego oczyszczenia wybrzeża.

W nocy z 19 na 20 września wyniszczeni ludzie Radosława znikali kolejno we włazie kanałowym. Był już najwyższy czas. Wilanowska 18 po walkach minionego dnia nie nadawała się właściwie do obrony.

Nieco przed północą przy noszach Jeremiego stanął ktoś w hełmie, z pistoletem maszynowym. Jeremi zmrużył oczy starając się poznać przybyłego.

- Panie poruczniku, śpi pan?

- Nie, Bystry!

- Panie poruczniku! Zostałem wyznaczony do przeprowadzenia kanałami grupy pułkownika Radosława. Odchodzimy za godzinę. Przyszedłem zabrać pana i porucznika Lutego. Pomogę pani Jasi nieść nosze; pani Lutowej dopomóc ma Kaktus. Umówiliśmy się.

Długie milczenie.

- Panie poruczniku, słyszał pan?

Bystry przybliżył twarz do twarzy rannego i Jeremi widzi teraz wyraźnie charakterystyczny grymas jego twarzy.

- Daj rękę, Bystry. Jesteś dobrym towarzyszem. Dziękuję. Ja nie pójdę do kanału, nie ma sensu. A Luty? Obudź ich, spytaj.

Tamci też zdecydowali zostać. Stan Lutego był tak ciężki, iż Lutowa bała się ryzykować przeprawę niezmiernie wyczerpującą. Bystry odszedł.

Jeremi usiłował zasnąć, nie mógł. Z otwartych drzwi pokoiku pod schodami dochodziły głosy, które drażniły Jeremiego. Jakiś porucznik - berlingowiec przeprowadzał badanie wziętych w dzień przez jego kompanię jeńców.

- Ihr Name?

- Herhard Schuelke.

- No, opowiadaj.

- Nasz batalion przyjechał do Warszawy 6 sierpnia, moja czwarta kompania miała stu trzydziestu ludzi, a dziś na apelu porannym było nas sześćdziesięciu pięciu. I kapitan mówił...

Monotonia pytań i odpowiedzi trwała.

Teraz już byli na Czerniakowie sami jedni - żołnierze „Zośki” i „Parasola”, resztki „Czaty” i oddziału Kryski oraz berlingowcy, skupieni na czterech stanowiskach: przy Wilanowskiej 18, Wilanowskiej 5, Wilanowskiej 1 i Solec 53. Pierwsze z tych stanowisk - Wilanowska 18, niedawne miejsce postoju i dowództwa Czerniakowa, było najostrzej atakowane, najbardziej zniszczone i praktycznie już nie do utrzymania. Szczególnie gdy berlingowcy pod naporem nieprzyjaciela opuścili sąsiednie domy po parzystej stronie ulicy. Praktycznie równało się to izolacji stanowiska. Minione popołudnie upływało w nieustannych atakach niemieckich właśnie przez te sąsiednie domy i przez podwórze. Jerzy postanowił przed świtem opuścić Wilanowską 18.

Był tylko jeden sposób wycofania się stąd: należało przejść rowem łącznikowym do Wilanowskiej 14 i stąd przebiec na drugą, nieparzystą stronę ulicy przez ogień zaporowy nieprzyjacielskiej broni maszynowej, która także nocą co kilka minut okazywała dowód swej czujności. Płytki wykop przez ulicę był zryty pociskami dział szturmowych. Nie nadawał się właściwie do użytku.

Oddział Czarnego Jasia otrzymał zadanie poszerzenia wybiegu z budynku Wilanowska 14 na ulicę, naprzeciwko magazynów „Społem”. Wycofanie się w tym miejscu, od piwnicy, a nie przez bramę, do której wstrzelali się Niemcy, zwiększało szanse pomyślnego odwrotu.

Oddziału Jasia nie stanowili już chłopcy, na czele których włączył się przed dwoma tygodniami do „Zośki”, nie istniały już teraz tradycyjne kompanie, plutony, drużyny. Ubytek ludzi był tak znaczny, że trzeba było ciągle przeformowywać się. Nie zachowała się nawet odrębność „Parasola” i „Zośki”.

Poszerzanie wybiegu skończono. Któryś z żołnierzy powiedział:

- Skaczmy pierwsi na drugą stronę, póki spokój.

- Nie, nie, nie, nie, nie - szybko i nerwowo sprzeciwił się Czarny Jaś. - Trzeba najpierw przerzucić rannych. Irka, biegnij do Lutowej, powiedz, że gotowe. Niech natychmiast zajmie się przerzuceniem Jeremiego i Lutego.

Zajazgotał długą serią nieprzyjacielski cekaem. Rozbłysło w górze światło rakiety. Z

trzaskiem pękł pocisk granatnika.

- Jaś, poślij kogo innego. Nie chcę cię zostawiać.

- Milcz! - krzyknął wysokim głosem Jaś. - Natychmiast wykonuj rozkaz!

Irka skurczyła się i zaszepiała cicho koło twarzy męża:

- Jaś, kochany... uspokój się... uspokój się... już idę.

Mężczyzna odetchnął kilka razy głęboko i przetarł dłonią czoło.

- Pośpiesz się, Irka - powiedział opadłym, znużonym głosem.

Kilku rannych, także Jeremiego i Lutego udało się przerzucić bezpiecznie na drugą stronę ulicy. Gdy biegł Paweł „od piata”, zajazgotał cekaem. Paweł uszedł cało, lecz ten, co podązał

za nim, padł na chodnik. Cekaem umilkł na chwilę. Z otworu piwnicznego sypnęło się równocześnie kilku następnych, a cekaem odezwał się natychmiast zajadle, niemilkiwie.

Rozległy się także strzały karabinów. Jedna po drugiej wybuchały teraz rakiety oświetlające jaskrawo ruiny Wilanowskiej 14, otwór, przez który wyskakiwali powstańcy, ulicę, posesję

„Społem”. Powstańcy usiłowali wyzyskać każdą chwilę milknięcia cekaemu i każdą chwilę ciemności, aby przeskakiwać ulicę i przekradać się przez ruiny „Społem”, przez jakieś dziwaczne podwórze pełne beczek i figur kamiennych - ku Wilanowskiej 13. Zaczynało świtać. Pozostali w opuszczonym stanowisku denerwowali się i wybiegali przedwcześnie. Na ulicy leżało już kilku zabitych. Paru ciężiej rannych usiłowało wyczołgać się. Ktoś jęczał

nieznośnie na terenie „Społem”.

Jaś wycofywał się jeden z ostatnich. Przy nim stała gotowa do skoku Irka.

Prócz nich nie było już żołnierzy w ruinach. W pewnej chwili cekaem przerwał długą serię strzałów. Jaś zgiął się do biegu, ale serce zakołatało mu gwałtownie, mięśnie zwiótzały.

Zawahał się. Nie wybiegł. Stał oparty plecami o ścianę i szybko oddychał. Karabin maszynowy już grał znowu.

Irka wzięła męża za rękę.

- Skoczmy razem, dobrze?

- Daj spokój - powiedział cicho. - To zaraz minie. Pobiegnę sam.

- Ale przede mną. Koniecznie przede mną.

Cekaem zamilkł.

- Już, już - zaszepiała Irka.

Jaś wybiegł i przygarbiony sadył wielkimi krokami przez jezdnię. Kula dosięgła go na chodniku, po drugiej stronie ulicy. Upadł. Irka w biegu chwyciła męża za panterkę i wciągnęła za mur „Społem”.

Tu, przy pomocy sanitariuszki oczekującej na zakończenie ewakuacji, odszukała ranę i gorączkowo pomagała sanitariuszce zakładać opatrunek. Jaś stracił przytomność i trudno było rozeznąć się w niebezpieczeństwie urazu. Gdy kończyły przewiązywanie rany, błysnęło coś przy nich, rozległ się ogłuszający huk, grudki ziemi i kawałki cegieł uderzyły w Irkę. Zasłoniła sobą Jasia, ale kiedy po opadnięciu kurzu spojrzała nań, zdrętwiała z przerażenia: panterka męża była cała we krwi. Krew sączyła się strugą na ziemię.

Czarny Jaś nie odzyskał przytomności. Zmarł na rękach Irki.

Młoda kobieta złożyła ostrożnie głowę męża na ziemi, położyła się przy nim i przytuliła do ciała poległego. Nie płakała. Nie myślała - była samym tylko uczuciem. Dłonią nakryła ziębnącą dłoń Czarnego Jasia.

Jazgotał po dawnemu karabin maszynowy. Wybuchwały tu i tam pociski granatników.

- Irko - spytała szeptem sanitariuszka - czy został jeszcze ktoś na Wilanowskiej 18?

- Tylko najciężej ranni. Ich nie można...

- To wycofujemy się stąd.

- Odejdź sama.

Było coraz widniej.

- Irko, posłuchaj, co to?

Irka nie odpowiadała. Nic ją nie obchodziły głosy niemieckie ani zgrzyt blachy, po której stapały podkute buty.

- Matko święta, uciekajmy póki czas!

-- Zostaw mnie...

Było za późno na ucieczkę. Kroki zgrzytały przeraźliwie blisko.

Sanitariuszka szybko dotknęła swej twarzy i szyi dłonią umaczaną we krwi Czarnego Jasia.

Irka przytuliła się do ciała męża.

Patrol nieprzyjacielski przeszedł tuż obok nich. Żołnierze, zapatrzeni ku przodowi, minęli obojętnie trzy leżące we krwi ciała.

Gdy zamilkły kroki i obce głosy, sanitariuszka szepnęła:

- Uciekajmy, Irko, uciekajmy... Wrócimy po niego w nocy.

Robił się dzień. Irka delikatnie zdjęła Jasiowi okulary, nakryła mu dłonią oczy, ściągając ku dołowi powieki. Nie mogła oderwać dłoni od kochanej twarzy. Uczyniła to wreszcie, po czym strzepnęła z munduru męża ziemię i okruchy cegieł.

Jeszcze chwila i obydwie, powstawszy, skradać się poczęły ku Wilanowskiej 13. Starwały się nie stąpać na porozrzucaną wszędzie blachę. W dziedzińcu zawalonym beczkami i kamiennymi figurami uczuły się bezpieczne i szybko poszły ku Wilanowskiej 5.

Jerzy sam dowodził obroną Wilanowskiej 5. Nie wolno było oddać stanowiska za wcześnie.

Nieprzyjaciel bił w to miejsce z trzech stron: na wprost - z ruin drugiej strony ulicy, na ukos - z ruin Wilanowskiej 18 oraz z boku - od posesji „Społem” i świeżo zajętej Wilanowskiej 13.

Do walki weszły też czołgi, działając teraz zupełnie bezkarnie. Powstańcy nie mieli nawet butelek z benzyną. Mury Wilanowskiej 5 pękały i waliły się w tempie zastraszającym.

Przybywało rannych. Opiekowały się nimi tylko sanitariuszki. Lekarzy już nie było.

Najbardziej niepokojącym miejscem stał się plac położony pomiędzy Wilanowską 5 a Wilanowską 13. Na placu tym prócz beczek stało także kilkanaście figur wykutych w kamieniu. Wśród figur pojawiła się przed wieczorem gromada biegnących w natarciu Niemców, a wnet potem przebiegli plac w przeciwnatarciu powstańcy. Gdy mrok zgęstniał, obydwie strony walczące przestały odróżniać posągi od żywych ludzi, plac z figurami był

więc pod stałym, niespokojnym ostrzałem. Do figur kamiennych strzelano jak do ludzi.

Przez pewien czas Wilanowska 5 przeżyła złudzenie przewagi nad nieprzyjacielem. Było to wówczas, gdy jeden z plutonowych - berlingowców, mizerny człowieczek zza Buga, w odważnym wypadzie odbił stracone niedawno przez ich kompanię działko przeciwlotnicze z amunicją. Witold - następca Andrzeja Morro i zastępca Jerzego - momentalnie spożytkowując tę żołnierską inicjatywę, wprowadził działko do walki i powstrzymał dzięki niemu jedno z najcięższych natarć.

Jeremi zachowywał wciąż przytomność. Głowa bolała go ciągle, rana boku dokuczała bardziej niż poprzedniego dnia. Leżał w niszy piwnicznej, nieruchomy, z zamkniętymi oczami, obojętny na zgiełk bitwy i swąd palącego się w pobliżu składu. Jasia wmusiła weń rosół z psa, nie chciał jeść. Nie dlatego, że pies - psie kotlety na Starówce smakowały mu. Nie chciał w ogóle jeść. Nie chciał mówić. Nie chciał myśleć. Pragnął być sam, coraz gorzej czuł

się z ludźmi. Drażnili go wszyscy. Nawet Luty, który leżał obok na noszach.

Stan Lutego był bardzo ciężki. Nie mógł oddawać moczu i Lutowa musiała pokonywać szalone trudności, aby zdobywać kateter. Luty, dowódca jednej z kompanii „Parasola”, ukończył konspiracyjne studia medyczne. Zdawał więc sobie dobrze sprawę z konsekwencji rany kręgosłupa. Nie łudził się.

Bardzo zmizerniał. Zawsze miał rysy ostre i nos wydatny, ale teraz twarz jego w swej ostrości

stawała się niesamowita. A gdy odzywał się, Lutową, słuchającą tych wypowiedzi, ogarniał

lęk. Zaczynała obawiać się samobójstwa. Postanowiły z Jasią nie zostawiać swych mężów ani na chwilę samych i zmieniać się przy nich kolejno.

Około południa zjawiała się w ich niszy sanitariuszka z Wilanowskiej 1.

- Błagam o kateter, mam ciężki przypadek.

Lutowa milczała i nie ruszała się z miejsca. Niedawno zdobyła kateter tylko cudem i naprawdę w ostatniej chwili. Na skutek trzydniowego nieoddawania moczu groziło Lutemu pęknięcie pęcherza.

- Więc nie macie katetera? - pyta zgnębiona sanitariuszka.

Milczenie przerwał głos Lutego, skierowany do żony:

- Daj kateter sanitariuszce.

Lutowa pokręciła przecząco głową.

- Daj kateter, bo strzelę - powiedział Luty. Wargi mu się zwarły, oczy błyszczały, wychudła ręka sięgała pod nosze.

Lutowa z rozpaczą w sercu wręczała kateter koleżance. Wiedziała, że jej zapewnienia o zwrocie są bez znaczenia w tym wszystkim, co się dzieje dookoła. Po odejściu sanitariuszki Lutowa przyklęka przy rannym mężu i zaczęła płakać. Byli w kilkuletnim małżeństwie parą wiernych przyjaciół, szli razem przez harcerstwo, razem przez Mały Sabotaż, razem przez dywersję i razem przez powstanie. Skoncentrowała się cała na jedynym pragnieniu: ocalić męża. Móc być razem także po wojnie, w pokoju... Lekceważył to, utrudniał wypełnianie jej powinności. Był lekkomyślny...

- Coraz bardziej nienawidzę wojny... - wymamrotał Luty.

Jeremi, który podczas całej sceny leżał bez ruchu, z przymkniętymi powiekami, otworzył teraz oczy i spojrzał na Lutego.

Trudno dociec, co stało się przyczyną paniki, która nagle jak płomień ogarnęła Wilanowską 5.

Może spowodowała to krążąca po piwnicach pogłoska o wymordowaniu kilkudziesięciu jeńców niemieckich przez jakiegoś oficera polskiego? Był wieczór, dopalały się domy Czerniakowa, trwały wybuchy granatników, biła dookoła broń maszynowa, kilku berlingowców wydobywało z gruzowiska pierwszego piętra - tam gdzie zawalił się strop -

swoich zasypanych kolegów. Irka szykowała się do wyprawy po ciało Czarnego Jasia...

Właśnie wówczas nieprzyjaciel rozpoczął kolejne natarcie. Ktoś krzyknął z posterunku na drugim piętrze alarmujące ostrzeżenie. Ludzie poczęli zbiegać ze stanowisk. Po chwili niepokój ogarnął



piwnice i parter. Powstańcy wyskakiwali na podwórze i biegli przez teren drewnianych komórek i garaży ku Wilanowskiej 1. Jedyne niewielka grupka berlingowców, z ppor.

Strzyżewskim na czele, usiłowała stawiać opór. Bezskutecznie. Witold nie mógł powstrzymać tego, co się działo. Ludzie przestali panować nad sobą. A Niemcy nadspodziewanie szybko pochwycili sposobność i w kilka minut obsadzili Wilanowską 5.

Zaczęli mordować rannych.

Jerzy, uniesiony gniewem, pragnął niezwłocznie odbić utracone ruiny. Wnet jednak zorientował się, że powstańcy nie są obecnie do tego zdolni.

- A gdzie Jeremi i Luty? - spytał Słonia. -- Idź, sprawdź, gdzie postawiono ich nosze.

Po piętnastu minutach zakłopotany Słoń zjawił się u Jerzego z meldunkiem: nosze Jeremiego na krzyk Jasi zdążono jeszcze pochwycić, Lutego natomiast i jego żony nie ma na Wilanowskiej 1. Chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Niech to wszyscy diabli wezmą - szepnął Jerzy.

Kulejąc, powlókł się na piętro w celu sprawdzenia posterunków.

Na Czerniakowie zostało ostatnie gniazdo oporu: Wilanowska 1 oraz związany z nim punkt przy Solcu 53. Na tym samotnym stanowisku powstańcy i żołnierze I Armii walczyli jeszcze przez dwa dni.

Wilanowska 1 był to czteropiętrowy, nowoczesny dom. Jego stukilkudziesięcioosobową załogę stanowiły pomieszane ze sobą resztki „Zośki”, „Parasola”, berlingowców i żołnierzy z różnych oddziałów powstańczych.

Panuje głód. „Terkot-kukuruźnik” już od trzech dni nie zrzuca żywności, wydziela się więc z największą oszczędnością po sucharze dziennie na osobę.

Szczęśliwie jednak w szopie położonej blisko domu granatnik zabił konia. Po koninę trzeba iść pod ostrzałem. Zdarzyło się, że spośród trójosobowego patrolu, który ruszył do szopy, wszyscy zostali ranni. Ale głód działa mocniej niż strach. Nowy patrol ruszył „po żywność”.

Do padłego konia czołga się także ludność z sąsiedztwa i nieraz między nią a powstańcami przychodzi do zajadłych starć o wykrawane części koniny. Wokół cuchnącego już konia leżą ranni, umierający i nieżywi. Miejsce to upodobały sobie szczególnie nieprzyjacielskie granatniki.

Pora obiadowa jest na Wilanowskiej 1 szczególnie przykra. Budzą się ludzie najbardziej zmęczeni. Najciężej ranni otwierają oczy i zaczynają mówić o jedzeniu. Ktoś zapala papierosa z rumianku. Witold wydziela po kilka ziarenek znalezionej gdzieś grochu (który je się na surowo).

Sanitariuszki nalewają skapiutki, po kilka łyżek, porcje rosółu z koniny.

Nie głód był jednak najcięższy, gorsze od głodu było pragnienie. Wodę z Wisły przynosić trzeba tylko nocą. Dostarczenie wody utrudnia ostrzał wybrzeża, brak odpowiednich naczyń, konieczny pośpiech niosących i częste padanie na ziemię. Obok domu jest źródło, lecz wydobyć zeń można tylko niewiele mętnej wody. Na rozkaz Jerzego źródło jest rezerwą wody dla rannych i nie wolno z niego korzystać na potrzeby ludzi „zdrowych”. Gdy ostrzał

którejś nocy uniemożliwił zupełnie przyniesienie wody z Wisły, ludzie gotowi byli oddać wszystko za łyk płynu; wszyscy przecież mieli gorączkę, byli na pół przytomni, pokryci grubą warstwą pyłu, poparzeni.

Mężczyźni pełnią nieprzerwanie służbę z bronią w ręku. Brak snu jest tak wielki, że zasypiają na posterunkach. Zwolnieni - kładą się na ziemi. Ani rozkaz, ani natarcie nieprzyjacielskie nie może przerwać im snu. Zresztą spanie nie jest rzeczą prostą: poza dwoma małymi łózkami wypełnionymi węglem nie ma piwnic i aby uchronić się jako tako od ostrzału artylerii i czołgów, powstańcy skupiają się możliwie blisko ziemi, to jest w dwóch suterrenach. W

pozostałych suterrenach ostrzał uniemożliwiał przebywanie, były one zresztą częściowo spalone, a częściowo rozwalone podczas poprzednich szturmów.

Ludzie są tak przemęczeni i zobojętniali, że każdy ruch, każda czynność wymaga ogromnego napięcia woli, mobilizowania wszystkich zasobów nikszej energii. Mnożą się dezercje.

Dobrzy do niedawna żołnierze przebijają się po cywilnemu i stapiają z tłumem piwnicznym.

Najtwardsze jest życie dotąd nie ranionych i nie załamanych psychicznie. Ci wykonują prace najcięższe fizycznie i najbardziej odpowiedzialne bojowo.

Jednym z tych, którzy trzymają się nieźle, jest także dowódca „Zośki” i zarazem dowódca Wilanowskiej 1 - kapitan Jerzy. Ten młody architekt i harcmistrz, podporucznik rezerwy w kampanii wrześniowej, był dowódcą „Zośki” w okresie dywersji i w czasie całego powstania.

Ale dotychczas znajdował się stale w delikatnej sytuacji człowieka, który ma wybitnego przełożonego i świetnego podkomendnego. Major Jan, dowódca „Brody” i przełożony Jerzego, wzbudzał uwielbienie chłopców „Zośki” swą szaleńczą odwagą bojową i niezwykłym urokiem dowódcy. A o Andrzeju Morro, który był podkomendnym Jerzego, powiedział na wieść o jego śmierci pułkownik Radosław: „Był to najbardziej utalentowany dowódca kompanii, jakiego w swej karierze wojskowej spotkałem”. Tak więc Jerzy, ustawiony pomiędzy majorem Janem i Andrzejem Morro, był jako dowódca w sytuacji wymagającej raczej taktu i powściągliwości niż ekspansywnej ambicji. Swoją dotychczasową rolę organizatora oddziałów i organizatora walki Jerzy spełniał dobrze, ale dopiero na Czerniakowie stał się właściwym dowódcą. Zresztą i tym razem miał świetnego zastępcę, Witolda, którego nigdy nie opuszczał hart i inicjatywa bojowa.

Nędza, głód, pragnienie i skrajne wyczerpanie obrońców Wilanowskiej to tylko połowa prawdy. Drugą połową prawdy był fakt, iż po odejściu oddziałów Radosława na Mokotów grupa Jerzego wraz z grupą majora Łotyszonka przez trzy pełne doby utrzymała kontrolę nad wybrzeżem wiślanym między ulicami Wilanowską i Zagórną. Broń maszynowa powstańców i berlingowców, czuwająca na

wszystkich czterech piętrach obracanego w ruinę gmachu Wilanowskiej 1 oraz na kilku posterunkach w parusetmetrowej odległości od gmachu, osłaniała znaczny obszar, uniemożliwiając nieprzyjacielowi dostęp do wybrzeża i utrudniając mu ruchy w całym tym rejonie. W jednym z górnych okien zwisała poszarpana pociskami biało-czerwona flaga, ta sama, którą miał ze sobą w ostatnich chwilach życia Andrzej Morro.

Rozpoczęła się trzecia doba samotnych walk grupy Jerzego i berlingowców, piątek 22

września. Jerzy obudził się ze stanu półdrzemki, w jaką zmęczony człowiek zapada między jednym a drugim natarciem. W suterenie dowództwa, gdzie drzemał, przez szparę strzelniczą między workami piasku w oknie przesączała się jasność świtu. Podporucznik Dobrowolski ze zwiadu dywizyjnego I Armii usiłował dopomóc radiotelegrafistce w uruchomieniu krótkofalówki po jej kolejnej awarii. Oficer radziecki dowodzący desantem, major Łotyszonok, spał, oparłszy głowę o stół. Ledwo trzymający się na nogach Sznica zdawał

Słoniowi jakąś broń. Sanitariuszka Krysia zapalała ogień pod kuchnią - sutereana dowództwa była zarazem jedynym miejscem gotowania posiłków.

W suterenie obok panowała cisza, wszyscy jeszcze spali. Spali ściśnięci, na siedząco, gdyż w panującym zatłoczeniu na leżenie nie było miejsca.

Tylko kilku ciężko rannym zrobiono tyle miejsca, aby mogli się wyciągnąć; leżeli byle jak, na kawałku koca lub jakimś przypadkowym materacu. Zdrowi nie zajmowali się zresztą rannymi, bo i cóż im można pomóc, gdy nie ma lekarzy, lekarstw, zastrzyków, opatrunków na zmianę, gdy cały zapas sanitarny na setkę osób składa się nieledwie z kilku opatrunków osobistych.

Za parę minut ranni obudzą się, zaczną jęczeć, na piętrach rozlegać się poczną krzyki świeżo ugodzonych, inni będą słuchać tych jęków i krzyków obojętnie. Sanitariuszki znajdują się w takim samym stanie obojętności, lecz istnieje jakaś siła, która zmusza każdą z nich do reagowania na głos:

„sanitariuszka... jestem ranny”. Siłą tą nie jest na pewno współczucie, do wzywających pomocy rannych podchodzą obojętnie, jak do przedmiotów, opatrunki zakładają machinalnie, byle prędeej. Siłą zmuszającą sanitariuszki do aktywności, podobnie jak łączniczki i żołnierzy, jest chyba wrośnięty w tych ludzi mus służby, nawyk służby. Zdaje się, że spośród sanitariuszek jedynie Krysia Zakurzona zachowała stosunkowo dobrą formę: nie mówi nigdy, że jest „wykończona”, i zdobywa się na zainteresowanie nieszczęściem cudzym, nie swoim.

Zosia, Wika, Paulinka usiłują również zwalczać paraliżujące poczucie bezsilności. „Trzyma się” także Słoń. Gdy któryś z jego najbliższych kolegów powiedział, że już ma wszystkiego dosyć - przebierze się po cywilnemu i „do mamy” - Słoń mruknął:

„rób jak chcesz, ale myślę, że powinniśmy być do końca razem”. I Leszczyk został.

Tak więc rankiem 22 września Jerzy obudził się z niespokojnej drzemki i nasłuchiwał. Nie było jeszcze słyhać ani trzasku broni, ani wybuchu granatów, ani cichego pojęku rannych i umierających. W ciągu nocy powziął decyzję: od 20 września front radziecki pod Warszawą znieruchomiał i nie

było żadnych zapowiedzi lądowania wojsk sowieckich z tej strony Wisły.

Nie ma po co tkwić w tym miejscu.

- Jak tam z krótkofalówką, panie poruczniku?

Podporucznik Dobrowolski przerwał majstrowanie przy aparacie.

Radiotelegrafista także odłożył dłuto.

- Od kilku dni prosiłem, kapitanie, o nowe akumulatory. Nie przysyłają.

Choć siadaj i płacz. Może myślą, że raketami będziemy kierować ogniem artylerii? Tfu!

- A czy próbował pan zastąpić akumulatory bateriami telefonicznymi i latarkowymi?

- Nie! - Dobrowolski patrzy na Jerzego jak na cudotwórcę.

Jerzy przywołał któregoś z chłopców „Zośki” znajdującego się na elektrotechnice i poleca wymontowanie wszystkich baterii z aparatów telefonicznych oraz zebranie wszystkich baterijek z latarek.

Udało się!

- Elektron, tu Sokół... Elektron, tu Sokół... Elektron, tu Sokół - odezwała się znów radiostacja.

Na odprawie w ścisłym gronie (mjr Łotyszonok, ppor. Dobrowolski, Witold, ojciec Paweł) Jerzy zakomunikował swą decyzję ewakuowania przyczółka. Czy dowództwo I Armii może dostarczyć łodzi i umożliwić wywiezienie załogi Wilanowskiej 1 oraz ludności cywilnej na drugą stronę Wisły? Oto lista punktów, które by trzeba pokryć ogniem artyleryjskim. Czy możliwe byłoby rozpoczęcie ewakuacji o godzinie ósmej rano, to jest za dwie godziny? Jeśli dowództwo I Armii nie będzie mogło podjąć się tej operacji - kończył Jerzy - jestem zdecydowany przebijać się w nocy do Śródmieścia.

Major Łotyszonok przychylił się do decyzji Jerzego. Stan resztek batalionu był ciężki, szczególnie po bardzo krwawym natarciu na Wilanowską 4, którą usiłowano odbić z rąk nieprzyjaciela; wczoraj pewna część żołnierzy batalionu poddała się. Stan resztek „Zośki” i

„Parasola” był bardziej niż opłakany.

- No cóż, kapitanie. Radiostacja działa, trzeba porozmawiać z dowództwem dywizji.

Decyzja przełożonych majora Łotyszonka była pomyślna, z tym że przesuwano początek ewakuacji na godzinę dziewiątą rano; zapowiadano przesłoneg z mgły.

Wiść o przeprawie, podawana z ust do ust, obiegała najdalsze posterunki, wzbudzając radosne ożywienie. Dzień wstawał pogodny i Saska Kępa nęciła jak nigdy bliskością swego brzegu, jasnością nie zniszczonych domów.

Tymczasem nieprzyjaciel rozpoczął swe codzienne dzieło zniszczenia.

Terkocze już cekaem, rwą się granaty, rozlega krzyk rannych.

Oddział żandarmów niemieckich wpadł do garażu, ale karabin maszynowy berlingowców, długimi seriami wymiatający podwórko, paraliżuje próby przedarcia się do budynku głównego. Kilku śmielszych żandarmów jęczy w bólach u drzwi garażu, inni cofają się.

Teraz kolej na obrońców. Lecą filipinki, lecą radzieckie pociski przeciwpancerne przez bramę i dach garażu. Belki pułapu walą się z suchym trzaskiem, głosy rannych wykrzykują niemieckie słowa. Niewielka grupa powstańców i berlingowców biegnie ociężale, niezgrabnie przez podwórze za pierwszy filar bramy, do garażu, do stróżówki, starą drogą, zasłaną nowymi trupami. Kilka krótkich serii pistoletu maszynowego, jeszcze jeden wybuch granatu i cisza.

Cisza zapanowuje koło garażu, ale nie wokół Wilanowskiej 1. Z domów po przeciwnej stronie ulicy bije teraz ogień we wszystkie piętra „fortecy”. Na drugim piętrze leży ciało Jureczka Sadowego, niedostępne z powodu ognia nieprzyjaciela, który przez wywaloną pociskami Tygrysów ścianę szczytową ma wygodny wgląd na klatkę schodową.

Drugi w tym dniu szturm niemiecki rozpoczął się wkrótce po otrzymaniu radiowej informacji z tamtej strony Wisły, iż wysłanie łodzi ewakuacyjnych odroczone do wieczora. W tym drugim szturmie nieprzyjacielowi udało się podejść od strony ulicy pod sam budynek i Niemcy rozpoczęli wrzucanie przez okna suterren paczek z trotylem. Są to jednak sutereny już zniszczone poprzednio, nie ma w nich ludzi. Ale całym podziemiem wstrząsa huk wybuchów.

Przez okna wpadają granaty - też na razie nieszkodliwe, lecz po korytarzu przepelnionym rannymi i po ich suterenie snują się kłęby dymu i czarnego pyłu. Rannych ogarnia panika, nie ma jednak drogi do innego schronu ani do ucieczki. Panika wzmagą się, gdy w ciasnym korytarzu piwnicy rozlega się szybkie kucie młota z zewnątrz. Ranni nie mogą opuścić korytarza. Jasia przytula się do leżącego na noszach Jeremiego, drży cała.

Wpada Witold, szczupły, podniecony i mimo szalonego zmęczenia - bystry.

Chwilę rozgląda się w sytuacji, a potem przywołuje pośpiesznie kilku chłopców „Zośki”.

I oto snop światła wdziera się nagle do piwnicy przez przebity otwór, dobywając z mroku wystraszone twarze rannych. W otworze ukazuje się ręka z jakimś woreczkiem, który usiłuje wcisnąć do środka. Kilka rąk z piwnicy wyciska woreczek wraz z ręką na zewnątrz. Po minucie worek wpychany jest znowu, teraz Witold szarpie go ku sobie, a Słoń, wsunawszy w otwór lufę pistoletu maszynowego, bije krótkimi seriami na ulicę, potem cofa lufę i rzuca przez otwór granat. Wybuch łączy się ze skowytem rannego i tupotem uciekających. Słoń, ciężko oddychając, woła: - Podać worek z piaskiem dla zatkania dziury.

W pewnym momencie strzelanina niemiecka ustaje i ku niezmiernemu zdumieniu obrońców na ulicy pojawia się grupka cywilnych i wojskowych, szybko zmierzająca ku Wilanowskiej 1.

Idący na przedzie ksiądz powiewa czymś białym. Powstańcy wpuszczają tę grupę do swego domu i oto przed Jerzym staje ksiądz Józef z zakonu palotynów w otoczeniu swej świty.

Ksiądz podjął się próby pośrednictwa między Niemcami i powstańcami i teraz przedstawia Jerzemu konieczność przerwania walki, konieczność kapitulacji: los rannych rozpaczliwy, los ludności cywilnej - tragiczny; od kilku dni ludzie gromadzą się wieczorem na brzegu Wisły, licząc na przeprawę; korowody rannych na noszach, o kulach i laskach zalegają okoliczne ruiny, a granatniki niemieckie dziesiątkują ich. Trzeba skończyć z beznadziejną walką, trzeba się poddać.

- Niemcy zobowiązują się traktować was jak żołnierzy armii regularnej - kończy ksiądz. -

Podziwiają wasze męstwo i proponują natychmiastowy rozejm dla przeniesienia rannych do niemieckich szpitali. W czasie rozejmu ludność i wojsko może bezpiecznie przechodzić na stronę niemiecką.

Ksiądz skończył. Jerzy mu nie przerywał. W izbie zapanowała zupełna cisza. Porucznik Dobrowolski tłumaczył szeptem majorowi Łotyszonkowi niektóre powiedzenia księdza.

Wreszcie Jerzy:

- Wyrażam zgodę na odejście ludności cywilnej z rejonu walki. Co do ciężej rannych żołnierzy: zastanowię się w trakcie ewakuacji ludności. To wszystko.

- Ależ, panie kapitanie, rzecz najważniejsza: poddanie się! Trzeba przerwać bezsensowną walkę!

Jerzy wstał.

- Jak ksiądz śmiał podjąć się takiego pośrednictwa!

Zapanowuje długie, kłopotliwe milczenie. Jerzy siada z powrotem i uspokojony wskazuje księdzu krzeselko. Stojący w kącie Jur uśmiecha się do Jerzego aprobującym uśmiechem. To samo Krysia Zakurzona, która gotuje zupę.

- Będę księdzu wdzięczny za doprowadzenie do skutku jednogodzinnego rozejmu dla wyjścia z rejonu walki ludności cywilnej i ewentualnie rannych; proszę także o dalszą opiekę nad tą ludnością po stronie nieprzyjacielskiej.

Parlamentariusze odeszli, a po upływie kwadransa powrócili: dowódca niemiecki wyraził zgodę na warunki Jerzego.

Radiostacja podała decyzję Jerzego za Wisłę, rozejm do godziny 9.

Wstrzymać natychmiast ogień.

Ucichły działa. Zamarł trzask karabinów maszynowych.

Na ulicę wypływa fala ludzi. Jakże wielu ich kryło się po okolicznych piwnicach! Idą grupami, obdarci, brudni, zastraszeni, niepewni dalszego losu. Niosą drobne tobołki - cały swój dobytek. Dorośli prowadzą za ręce dzieci. Kogoś podtrzymują z obydwu stron, kogoś innego dźwigają na „noszach” z drzwi... Teraz korowód rannych obwiązanych bandażami, szmatami.

Nie wszyscy ciężko ranni żołnierze zgodzili się na opuszczenie Wilanowskiej 1 mimo perswazji ojca Pawła. Wreszcie grupa cywilów uniosła „nosze” tych, co wyrazili zgodę na ewakuację, „nosze” przeważnie z koców, worków, futryn okiennych. Niektórzy z wynoszonych powstańców nie ukrywali poczucia krzywdy, która ich spotykała. „Wczoraj byłem dobry, potrzebny - dziś jestem śmieć, zawadzam”.

Powstańcze posterunki czuwają na swych stanowiskach, ale chłopcy i dziewczęta wolni od służby, korzystając z zawieszenia broni, poruszają się swobodnie po piętrach. Znoszą z góry ciała zabitych, które zatruwały powietrze. Przez wywalone w murach dziury widzą domy po przeciwnej stronie ulicy: na balkonach czerwone flagi ze swastyką w oknach - ciekawi Niemcy.

Zbliża się godzina dziewiąta - koniec zawieszenia broni. Raptem w panującej wokół ciszy głos: - Niemcy w garażu! - I krzyk Witolda: - Strzelaj drani!

Jerzy wygląda na zewnątrz i widzi kilku żandarmów; jakiegoś SS-mana i grupę cywilów, krzających się gorączkowo w garażu. Bić w nich zaczyna krótkimi seriami berlingowski cekaem, uciekają w popłochu.

Jakby na umówiony sygnał rozlega się jazgot karabinów maszynowych i dom drży wstrząsany wybuchami granatów, tynk opada z nadwątlonych ścian. W powietrzu rozchodzi się gęsty zapach ropy i za chwilę garaż strzela w górę płomieniami pożaru. Podpalili, łotry!

- Chłopcy, kto na ochotnika do pożaru?

Witold powtarza to wezwanie parokrotnie, zgłasza się wreszcie kilku.

Witold zachował wolę życia i wytrzymałość; jego wiara, że jeśli wytrwają do nocy, będą uratowani, udziela się po trosze innym.

Ochotnicy przebiegają podwórze orane wybuchami granatów i usiłują piaskiem ograniczyć postępy pożaru. Wysuszone belki garażu łamią się w ogniu z trzaskiem. Już płonie i stróżówka. Pociski nieprzyjacielskiej broni maszynowej koszą podwórko, uniemożliwiając dalszą akcję ratowniczą.

Płomienie zbliżają się do głównego budynku. Ledwo ugaszony wczoraj pożar pierwszego piętra wybucha znowu, podsycany przez Niemców pociskami fosforowymi i butelkami z benzyną, rzucanymi z domu po przeciwnej stronie ulicy.

W południe palą się już górne piętra domu. Akcja ratownicza prowadzona niechętnie przez ludzi wyzbytych sił polega jedynie na próbach niedopuszczenia pożaru na parter i do suterenu.

Zaniechano dotychczasowych wysiłków tłumienia kocami nowych ognisk pożaru na piętrach.

Jeremi był jednym z tych ciężko rannych, którzy w godzinie zawieszenia broni zostali wyniesieni na noszach z Wilanowskiej 1. Jasia uczyniła ten krok w rozterce, niepokoju, wśród dręczącej ją niepewności, a Jerzy nie miał odwagi odradzać. Stan Jeremiego był bowiem bardzo ciężki, ale zarazem w ostatnich dwóch dniach pojawiły się oznaki apetytu i unormowała się temperatura, można więc było mieć nadzieję, że szybkie oddanie rannego pod opiekę szpitalną uratuje go.

A sam Jeremi? Potraktował rzecz obojętnie, wszystko mu było jedno. Bardzo bolała go znów głowa i czuł się ogromnie osłabiony.

Wynieśli go na noszach dwaj przygodni mężczyźni, a Jasia szła obok. Nie była w stanie pomagać noszowym, czuła się sama źle. W tłumie ludzi cierpiących i wylekłych posuwali się zniszczonymi ulicami, przystając co pewien czas i znów idąc naprzód.

Na Agrikoli weszli w tłum czekających na coś, takich samych jak oni nędzarzy. Gdy Jasia idąc przy noszach Jeremiego mijiała ową kolumnę, dostrzegła Lutową i jej leżącego na noszach męża.

Po oszołomieniu i radości przywitania postanowiły trzymać się razem.

Okazało się, iż swe ocalenie Luty i Lutowa zawdzięczali temu, że Niemcy zajmą Wilanowską 5 nie zauważyli niszy piwnicznej, w której tama się znajdowali. Lutowa wyniosła stamtąd męża, gdy spostrzegła, iż przygotowuje się ewakuacja ludności gnieźdzącej się w okolicznych piwnicach. Marsz tej kolumny ewakuowanych był koszmarem, SS-mani zabijali pozostających w tyle, urządzali sadystyczne zabawy udawanego rozstrzeliwania całej kolumny.

Lutową zbito nahajem. Jasia, słuchając tych opowiadań, drży i szepce: - Boże, czy postąpiłam słusznie? - Lutowa zaś mówi o swoich przygodach tak, jakby to były sprawy naturalne.

„Twarda kobieta” - myśli o koleżance Jasia.

„Robi wrażenie skołowanej” - troszczy się o towarzyszkę Lutowa.

Konwojenci krzykami i strzelaniem dali hasło do wymarszu. Lutowa chwyciła nosze męża i niosła je wspólnie z jakimś młodym człowiekiem. Była silna. A Jasia, krocząc przy noszach Jeremiego, musiała zwalczać nieustanną pokusę oparcia się o nie. Była słaba, bardzo słaba.

Powoli sunący pochód wspinał się Agrikolą, a potem wszedł w szeroką, nie zniszczoną ulicę.

Domy tu były całe, miały nawet nie stłuczone szyby i jezdnia była gładka, równa, jak w zamierzchłej epoce przedpowstaniowej.

Jasia zauważyła, że Jeremi leżący dotychczas niezmiennie z zamkniętymi oczami, ma teraz powieki uniesione i wzrok czujny, uważnie przesuwający się po gmachach ulicy. Przyjrzała się ulicy również - i zdrętwiała.

Aleja Szucha!

Serce zabiło w niej gwałtownie. Oparła się o nosze. Oddychała szybko. Gdy zwróciła głowę ku



Lutowej, dostrzegła, iż twarz tamtej jest w pasach, a Luty, uniósłszy głowę, wpatruje się jak zahipnotyzowany w jeden z domów na lewo. Tak, to tu pluton Lutego przeprowadzał w maju akcję na Stamma. A kilka domów dalej, za Litewską, odbyła się wcześniejsza akcja na Lechnera - też pluton Lutego; o - tam zatrzymali auto i Niemira strzelał do gestapowca. Na innym rogu, przy Alejach Ujazdowskich, rozegrała się walka podczas akcji na Weffelsa. A szlabany i bunkry wprowadzono tu chyba wkrótce po akcji Jeremiego na Barckla. Jeremi położył wówczas ze stena kilku nadbiegających żandarmów...

Konwój kieruje czoło kolumny na prawo, do szerokiej bramy i na dziedziniec wyłożony płytami kamiennymi: gestapo. W oknach wielopiętrowego gmachu widać licznych mężczyzn w mundurach SS i po cywilnemu.

Obydwie kobiety instynktownie zbliżyły ku sobie nosze swych mężów. Jeremi zwrócił głowę w stronę Lutego i odezwał się - po raz pierwszy od chwili opuszczenia Wilanowskiej:

- Los potrafi być diabelnym reżyserem.

Chwilę jeszcze przyglądał się mężczyznom w oknach budynku - czystym, dobrze odżywionym, niekiedy uśmiechającym się - po czym odwrócił głowę i przymknął powieki.

Leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami i tylko raz czy dwa, gdy wyczuł rękę Jasi koło swej dłoni, pogłaskał ją, jakby pragnąc dodać odwagi.

Pobyt na dziedzińcu gestapo zakończył się nieoczekiwanym rozwiązaniem.

Jakiś SS-man obwieścił ze schodów przez tłumacza:

- Zdrowi - na lewo, ranni nie mogący się poruszać - na prawo. Zdrowi natychmiast odmaszerują na Dworzec Zachodni, po rannych przyjadą samochody ciężarowe i odwiozą do szpitali.

Jasia z uśmiechem na zniekształconej twarzy spojrzała ku Lutowej - koniec koszmaru!

Szpital! Lutowa nie odpowiedziała jej spojrzeniem, w tej właśnie chwili bowiem podeszło do niej dwóch małych chłopców, pewnie gazeciarzy.

- Pani, ten ranny to do pani należy? Tak? Niech pani z nim nie zostaje, bo Niemcy mordują rannych. Rozumie pani?

Lutowa stała blada, zdenerwowana. Tłum rozdzielał się na dwie grupy. Nie było chwili do stracenia.

- Pomóżcie mi, chłopcy.

- Dobra jest, na razie niesiem. Byle z oczu. A potem znajdziemy pani silniejszego chłopca.

Ulokowawszy nosze męża w środku tłumu szykujących się do odmarszu, Lutowa pobiegła do Jasi.

- Jasia, prędko bierz nosze. Idziemy ze zdrowymi. Nie wolno zostawać, rannych zabijają.

Jasia skamieniała.

Prędko, prędko.

- Jestem słaba. Nie ujdę z noszami nawet dziesięć khoków.

- Pomogą ci inni.

- Jesu... To niemożliwe s tą pogłoską. Ty śle mówis, to niemożliwe!

- Jaśka, opamiętaj się.

- Nie, nie, do Dworca Sachodniego, pieso, to śmiehe. Nose będą zostawać i wtedy naphawdę zastselą. Nie!

Jeremi otworzył oczy.

- Jasia, słuchaj mnie: trzymaj się Lutowej. Mnie tu zostaw.

- Co ty mówis! Nigdy! Zostaniemy hazem.

- Trzymaj się Lutowej, mówię ci. A mnie zostaw, poszukasz potem w szpitalach.

- Nie, nie, nie!

Lutowa pobiegła do męża. Był już czas, kolumna ruszała. Skryta w jej gąszczu kobieta dźwigała wraz z jakimś nieznanym swego ранego. Poprzez dziesiątki głów widziała Jasię, jak stała wśród wielu, wielu ludzi leżących na kocach, deskach, ławkach, workach, drzwiach... Jeremiego wśród rannych już nie mogła dojrzeć.

I choć po drodze na Dworzec Zachodni Niemcy zastrzelili wszystkich, którzy mieli na sobie panterki, Lutowa i Luty ocaleli. Jeszcze na Wilanowskiej zdążyli przebrać się w ubrania cywilne.

Natomiast Jasia i Jeremi...

Nie uchroniła Jasia męża od złego losu. I sama nie wyszła cała.

Żołnierz może na wojnie zginąć lub zaginąć.

Jeremi - zaginął.

Na Szucha został oddzielony od ludności cywilnej i po raz ostatni widziano go na placu Narutowicza koło Domu Akademickiego zajętego przez policję niemiecką. Przy noszach Jeremiego znajdowały się dwie postacie kobiece w panterkach. Nosze z rannym wniesiono do gmachu. Na tym ślad się urywa. Nikt nie dowiedział się już o jego dalszych losach.

Jeśli zmarł z ran, to wiadomo, iż prócz czterech ran odniesionych na Starym Mieście i Czerniakowie

miał głęboką ranę piętą - ranę duszy. Ten dzielny człowiek bowiem miał taką wrażliwość sumienia, która nie wytrzymała naporu ludzkiej krzywdy, towarzyszącej najstraszniejszym z polskich powstań.

A jeśli zmarł okrutniejszą niż żołnierska śmiercią, to los się okazał dziko bezlitosny w stosunku do tego, który przewodził w walce z jedną z najbardziej zbrodniczych instytucji, jakie zna ludzkość - z gestapo.

Na Wilanowskiej 1, wkrótce po zakończeniu godzinnego zawieszenia broni i podczas walki z szerzącym się pożarem, usłyszano daleki łomot sunących czołgów. Łomot nasila się z każdą chwilą. Radiotelegrafista nadaje bez przerwy: „Tanki idut od Zagornoj... Pociemu nie strielajesz? Podawaj agoń... Tanki od Zagornoj... Podawaj agoń. Podawaj agoń!” Nareszcie!

Pociski wybuchają zaczynają koło czołgów i wnet czołgi wycofują się - nie wszystkie, jeden zostaje rozdarty, powalony na bok.

Niestety, w czasie walki artylerii z czołgami kilka pocisków zza Wisły uderzyło także w Wilanowską 1. Sypie się tynk z sufitów, jest ciemno, duszno, obrońcy dławią się kurzem.

Nieprzyjaciel nie zrezygnował jednak. Pojawiły się od kilku dni nie widziane samoloty niemieckie, a potem znów suną niemieckie działa szturmowe. Radiotelegrafista rozpoczyna na nowo swe wezwania.

- Peteer, na stanowisko - krzyczy Witold.

Jest to już ostatnia z siedmiu rusznic przeciwczołgowych, które mieli tu przed kilkoma dniami berlingowcy. W ściany domu uderza kilka pocisków dział szturmowych i równocześnie rozlega się ogłuszający wystrzał z rusznicy - jeden, drugi, trzeci... Wybuchają także zaczynają pociski zza Wisły...

Ludzie na parterze i w dwóch suterrenach już nic nie słyszą, nic nie widzą, o niczym nie myślą; gruz i pył sypią się nieustanną lawiną. Wreszcie czołgi znikają.

Patrol, który tego ranka przyniósł wodę z Wisły, znalazł trochę sucharów zrzutowych, zapowiada się więc niezły obiad: zupa chlebowa. Główną troską gotującej dziewczyny jest uchronienie kotła od opadających kawałków tynku, od odprysków betonu i cegieł. Podmucha wybuchów co pewien czas wyrzuca ogień i dym z paleniska. Uwaga ludzi skupionych w izbie dowództwa podzielona jest między zapach zupy i toczącą się bitwę.

A bitwa trwa. Trwa nieprzerwanie do późnego wieczora.

Korytarz piwniczny, do niedawna bezpieczne schronienie dla rannych i wypoczywających żołnierzy, prześwietlony teraz licznymi dziurami i nie stanowi już żadnej osłony. Co gorzej, stracono pozycję na Solcu 53 - berlingowcy nie wytrzymali natarcia czołgów i cofnęli się do głównego budynku obrony. Po południu było już tak, iż w Wilanowską 1 biły równocześnie czołgi z rejonu „Społem” i czołgi z Solca. Kilka czołgów (pięć?) bijących w jeden niewielki dom.

Wytrzymali jednak. Przeprowadzali nawet przeciwnatarcie na straconą pozycję na Solcu, którą musieli odzyskać, gdyż inaczej przeprawa na drugą stronę Wisły byłaby niemożliwa.

Pod wodzą Witolda odzyskali tę pozycję; po krótkiej, zawziętej walce Niemcy wycofali się.

Artyleria zza Wisły przepłoszyła czołgi.

Walka o pozycję na Solcu powtarzała się do wieczora kilkakrotnie, Niemcy pragnęli odciąć powstańców od rzeki, ci zaś wiedzieli, że muszą tu się utrzymać za wszelką cenę. Głodni, zdeprymowani berlingowcy, oszołomieni walką na betonie i kamieniach nadbrzeża, przestawali wytrzymywać natarcia, ale ludzie „Zośki”, odwoływani z innych stanowisk, wspierali ich. Niemcy spalili wreszcie budynek przy Solcu, o który tyle razy toczyła się walka, i berlingowcy okopali się na wybrzeżu. Nareszcie uczyli się pewniejsi.

Był już głęboki wieczór. Nieprzyjaciel przerwał walkę.

Teraz dopiero można było spożyć „obiad”, po kilka łyżek płynu z rzadką miazgą rozgotowanych sucharów. „Ileż radości może dać łyżka, dosłownie łyżka gorącej zupy - myśli Jerzy, obchodząc stanowiska. Już słyhać ożywione głosy, gdzieniegdzie błysnie dowcip, ktoś się roześmieje. Jakiś zwariowany typ zaczyna śpiewać. Oczywiście nie tylko kilka łyżek gorącej zupy, także zbliżająca się godzina przeprawy wpływa tak odradzająco na psychikę.

Oto leży ich i siedzi kilku, stłoczonych ponad miarę w załomie korytarza piwnicznego. Mają oddechy równe, spokojne. Jest tak ciemno, że twarzy nie widać, nie bardzo się nawet znają: ktoś od Kryski, ktoś z „Parasola”, paru z „Zośki”, dwie łączniczki nie wiadomo z jakiego oddziału.

Po długiej ciszy jakiś zachrypnięty głos - zdaje się ten od Kryski - wymówił dwa słowa:

- Przerznięliśmy powstanie.

Milczenie.

- Przerznięliśmy jak jasna cholera! - odezwał się wreszcie inny.

Z dalszego kąta wtrącił się do dialogu trzeci głos, głos prawdopodobnie któregoś z ciężiej rannych, gdyż co parę słów łapał nerwowo oddech.

- Przerznięcie to nie wszystko. Z bitwami i wojnami bywa... że czasem są przerznięte... ale jednak dają... siłę...

- Jak to?

- A chociażby... Termopile... Albo Kościuszko...

Znów milczenie. I wreszcie któraś z dwóch dziewcząt:

- Dziwne to. Niby przegraliśmy, a ja też nie czuję, żeśmy przegrali.

- A jednak przerznięliśmy - z uporem powtórzył zachrypnięty. - Fakty mówią. I czy był w tym

wszystkim sens?

Ciężko ranny jeszcze raz przemówił swym przerywanym głosem:

- Daliśmy miastu dwa miesiące wolności... Naszymi rękami... I choć nie z tarczą wrócimy, ale na tarczy - to jednak na tarczy.

Nikt się już nie odezwał.

Przeprawa, mająca się rozpocząć o godzinie dwudziestej, została przełożona decyzją dowództwa dywizji na godzinę dwudziestą pierwszą.

Wydłużają się minuty, pobyt w gmachu ogarnianym coraz bardziej przez pożar staje się trudny do zniesienia. Jerzy, zaniepokojony rozmową z kilkoma podoficerami berlingowskimi, którzy opowiedzieli o zniszczeniu polskiego desantu pod Puławami, zapomnianego przez dowództwo, zażądał rozmowy z dywizją. Zapewniono go, że wszystko pójdzie dobrze.

W czasie tych rozmów radiowych, w których pośredniczył major Łotyszonok, doszło widocznie do jakichś ogólniejszych instrukcji, gdyż w pewnej chwili major powiedział

Jerzemu:

- Mam nadzieję, kapitanie, że wy prawidłowo oceniacie nasz desant. To bardzo ważne dla naszej dalszej współpracy. My, kapitanie, lądując u was nie mieliśmy w planie żadnej akcji strategicznej. Naszym jedynym celem było: pomóc braciom Polakom wzywającym pomocy.

Ale nieprzyjaciel okazał się jeszcze bardzo twardy. Nasze dowództwo pragnie, żebyście to dobrze zrozumieli.

- Rozumiem - odpowiedział Jerzy. Nie chciało mu się ciągnąć dręczącego tematu.

Zapada noc. Niebo jest czerwone. Czerwien tę rozpraszają rakiety, zalewające rumowiska białawym światłem. W przebłyskach rakiet ruiny nabierają ostrych konturów i ozywają ruchliwymi cieniami, aby po chwili zamazać swe kształty i zniknąć w jednolitej czerwieni płonącego miasta.

Już czas. Idą w zupełnej ciszy przez gruzy, wymijając zwłoki poległych. Z rzadka zatrzeszczy karabin maszynowy, ryglujący ulicę Solec. Małymi grupkami, w przerwach między jedną a drugą rakieta, przeskakują ulicę i oto są już na stromym stoku wybrzeża, rozświetlonym przez pożar szop położonych na Solcu. Wchodzą na statek przystań „Bajkę” - na pół zatopiony, podziurawiony pociskami, z rozkładającymi się ciałami na pokładzie. Od rzeki wieje chłodem. Po pewnym czasie cały pokład jest już zatłoczony.

Ranni, których na nim złożono, są szczególnie niespokojni; nie mogą uchronić się przed potracającymi ich ludźmi.

Do sanitariuszki Zosi przysiada się jedyna kobieta berlingowców - porucznik.

- No, odpoczniecie tam, odpoczniecie! Sama słyszałam, jak major rozmawiał z dywizją: dostaniecie kwatery, kąpiel, czystą bieliznę i jedzenie. Dużo jedzenia. My, naturalnie też.

Naraz - trysnęły smugi amunicji świetlnej i powietrze napełnił trzask cekaemów. Zahuczała także z drugiego brzegu artyleria. W blasku rakiet widać dalekie łodzie, płynące od Saskiej Kępy.

Teraz biją w rzekę niemieckie młotki i tryskają w górę fontanny wody.

Szybko migają pasma reflektorów, gęsto wybuchają rakiety, nad rzeką mkną tysiące pocisków świetlnych.

Na tle zwaliska mostu Poniatowskiego widać w świetle rakiet wyraźnie, jak saperzy walczą z wartkim nurtem. Koło łodzi - kłębowisko smug świetlnych.

Z trzech łodzi saperskich, które odbiły od praskiego brzegu, dopływa do brzegu czerniakowskiego tylko jedna. Ludzie przestali panować nad instynktami, przepychają się, jakby ogarnęło ich szaleństwo, odpychają brutalnie rannych i kobiety, walczą pięściami, tułowiem, nogami.

Pierwsza łódź została zatopiona przez stłoczonych na niej ludzi. Gdy po pewnym czasie przybiły dwie następne, powtórzyła się scena ohydnej ich zdobywania przez najsilniejszych.

Oficerowie nie byli w stanie opanować sytuacji, nie pomogła nawet broń.

Gdy tylko łodzie wypłynęły na rzekę, tropić je zaczęły rakiety i pociski świetlne.

Dopiero do następnej pary pontonów udało się wnieść kilku rannych.

Mijała godzina dwudziesta trzecia. Na brzegu tłoczy się wystraszona, niekarna masa na pół

obłąkanych ludzi. Niebacznym ogniem granatników stoją wpatrzeni w przeciwny brzeg, skąd nikłymi dawkami nadchodzą łodzie.

Niektórzy, przedenerwowani zwłoką, zrzucają ubranie, wchodzą do wody i płyną. Inni usiłują kleić prowizoryczne tratwy. Rozlega się coraz nowy krzyk rannego.

Na następnych dwóch łodziach przybił oficer, który oświadczył Łotyszonkowi i Jerzemu, iż dowództwo armii zmieniło decyzję: ewakuacja ma być rozłożona na kilka nocy: każdej nocy wypływać będzie po piętnaście łodzi saperskich.

Jerzy, hamując ogarniającą go wściekłość, usiłuje ulokować w nowo przybyłych łodziach bodaj kilku rannych. Wymaga to ogromu energii.

Żołnierze dowiedziawszy się o nowej sytuacji, opuścili ubezpieczenia i wypełniają powietrze wrzawą roznamiętnionych głosów.

Jerzy wycofuje się z wybrzeża i przywołuje do wykopu kilku dowódców „Zośki” oraz majora Łotyszonka.

- Przeprowa wygląda beznadziejnie. Mam już tego dosyć. Postanowiłem przebijać się do Śródmieścia. Panie majorze, kto z waszych dobrych żołnierzy chce przyłączyć się do nas, niech się zgłosi. Daję dziesięć minut na decyzję.

A po chwili:

- Słoń, weź ludzi i ubezpieczaj od Solca. Witold, musisz się dostać na tamten brzeg, bodaj wplaw, i zrób wszystko, co się da, aby jeszcze tej nocy zabrano stąd rannych i resztę żołnierzy I Armii.

Major Łotyszonok przyjął propozycję Jerzego i zgłosił się po paru minutach z dwudziestką ludzi. Z „Zośki” i „Parasola” było około pięćdziesiątki żołnierzy i dziewcząt wraz z lekko rannymi. Jerzy pożegnał Witolda uściskiem dłoni i grupkami rozpoczęto przeskakiwanie z powrotem przez ulicę Solec, oświetloną pożarem i ryglowaną nieprzyjacielską bronią maszynową.

Tej nocy jeszcze dwukrotnie przybiło do czerniakowskiego brzegu po parę łodzi, Borucie oraz kilku innym rannym udało się razem z berlingowcami przebyć szczęśliwie rzekę.

Tymczasem w długiej bramie pod palącym się domem Solec 53 Jerzy zorganizował ostatecznie grupę przebijającą się do Śródmieścia. Ludzie stali już w szyku marszowym: Słoń

- na czele grupy uderzeniowej, Pol - dowodzący ubezpieczeniem bocznym, Jur - strażą tylną.

W centrum - dziewczęta z ojcem Pawłem, potem berlingowcy i resztki „Zośki” oraz

„Parasola”. Jerzy dokładnie i powoli podał trasę projektowanego przebicia przez ogród Frascati.

W ostatniej chwili przed wymarszem, nie wiadomo właściwie dlaczego, przyszedł mu na myśl Piotr. Czy dlatego, że Piotr zjawiał się wszędzie, gdzie była szczególnie napięta sytuacja, i umiał zawsze tchnąć w ludzi wiarę?

Ruszyli. Czołówka ze Słoniem posuwa się jakimś rowem łącznikowym.

Przeciskają się przez wyszukiwane w ruinach przejścia i po pewnym czasie wychodzą na szerszą przestrzeń między Zagórną i Wilanowską. Starają się zachować pełną ciszę. Czasem tylko zadźwięczy metal. Idą wolno luźnym rojem, zatrzymując się, gdy rakietą rozświetla niebo i ziemię. Z półmroku wynurza się przed nimi ciemna masa. Zwalniają kroku i nagle...

- Parole!

Słoń podnosi pistolet. Nagle - strzał. Jerzy rzuca się ku przodowi i widzi, jak Słoń cały we krwi osuwa się na kolana. - Naprzód! - Jerzy biegnie kulejąc w kierunku Czerniakowskiej.

Spod nóg tryskają mu błyski świetlnej amunicji. Dopadł zdyszany jakichś ruin i zatrzymał się zmordowany.

Było przy nim tylko troje ludzi, on sam - czwarty. Reszta, cała prawie siedemdziesięciosobowa

grupa, utknęła w przeklętym rowie. W świetle rakiety Jerzemu zdało się, że widzi teraz, jak jego ludzie biegną grupkami, przygarbieni, z powrotem ku nieszczęsnej, płonącej Wilanowskiej 1.

Był oszołomiony tym, co się stało. Nie mógł opanować drżenia ciała i nagłego osłabienia.

Odczuł piekący ból nogi ranionej jeszcze podczas przebijania się przez Bielańską. Oddychał szybko jak zagoniony pies. I czekał. Ale nikt nie przybył. Wówczas, zgnębiony, krążyć począł wśród ruin, podwórzy, warzywników wypatrując swych ludzi - bez skutku. Z boków, z tyłu słyszał głosy niemieckie. Dotarł zakosem do Wilanowskiej 1, lecz zastał tu tylko drużynę berlingowców z sierżantem.

Ruszył wreszcie z trójką swych towarzyszy i z drużyną berlingowców ku Czerniakowskiej.

Przecisnęli się przez barykadę na tej ulicy. Potem przeszli wolnym krokiem obok grupy żołnierzy niemieckich. Minęli ZUS, Rozbrat...

Minęli jakieś opuszczone bunkry. Panowała tu zupełna pustka i cisza.

Jedynie brzeg Wisły rozbrzmiewał wciąż seriami broni maszynowej i błyskał światłem rakiet.

Przed ambasadą chińską natknęli się na rów strzelecki nieprzyjaciela.

Znów paralizujące: - Parole - i natychmiastowy odruch - granatami w rów.

Skoczyli naprzód przez wybuchy i strzały - Jerzy, trójka z „Zośki” oraz sierżant berlingowców, reszta berlingowców straciła się, padli na ziemię i zaczęli chaotycznie strzelać.

Piątka tych, co przeskoczyli rów, dobiegła do stromej skarpy. Tu o mało nie zginęli, zaplątani w druty kolczaste, pod ogniem jakichś karabinów.

Dostali się jednak po pniu zrąbanego drzewa na drugą stronę zasięku i przez gmach ambasady chińskiej do tak dobrze znanego Jerzemu z okresu studiów domu profesora Pniewskiego.

Cudem przeszli przez ogłupiałą niemiecką placówkę i dopadli, w ogniu strzelaniny oprzytomniałych Niemców, muru YMCA.

Skryli się za jego załomem.

- Cóż tam takie naparzenie, do jasnej Anielki! - zawołał ktoś zaspianym głosem spoza muru.

Jerzy uczuł zawrót głowy i śmiertelne osłabienie. Oparł się o mur i odetchnął głęboko.

Pomyślał, że powinien się ucieszyć, bardzo ucieszyć.

Już na Wilanowskiej 18 zatraciła się odrębność organizacyjna „Zośki” i „Parasola”. Ubytek ludzi był



tak wielki, iż plutony i kompanie stały się pustymi słowami. Ale w walkach na Wilanowskiej ludzie „Parasola” i „Zośki” wciąż tworzyli jeszcze zespół żołnierski, dzielony doraźnie na drużyny i sekcje.

Gdy tej nocy z 22 na 23 września, u początków przebijania się do Śródmieścia oddział

natknął się na nieprzyjacielski rów, który udało się przebyć tylko Jerzemu i jego kilku towarzyszom, rów, w którym znalazł śmierć jeden z najdzielniejszych ludzi „Zośki” - Słoń -

od tej chwili resztki „Zośki” i „Parasola” przestały być oddziałem wojskowym. Była to już tylko grupa rozbitków.

Kiedy ucichła strzelanina przy rowie, ludzie przyczajeni przy ziemi i w ruinach zaczęli skupiać się ostrożnie w gromadki i grupy. Zniknął Jerzy, nie ma Słonia Witold ruszył w pław przez Wisłę, byli więc dezorientowani, bez dowództwa. Ponieważ ojciec Paweł wkładał

najwięcej energii w zebranie rozproszonych, gromadzili się koło niego.

Berlingowcy mieli dosyć próby przebijania się. Większość pociągnęła z powrotem ku Wilanowskiej. Jur i kilku innych zdecydowało wyruszyć przez Wisłę w pław.

Ojciec Paweł poczuwający się do odpowiedzialności za całość tych rozbitków pozbawionych dowództwa usiłuje obmyśleć jakiś sensowny plan działania.

Kilku zaczyna rozważać sprawę poddania się.

- Nie - mówi Zosia - tego nie zrobię. - Podobne stanowisko zresztą zajmuje jej mąż, Andrzej Pol. Para ta wzięła ślub przed dwoma tygodniami razem z Irką i Czarnym Jasiem.

Zmawia się grupa pięciu dziewcząt i trzech chłopców. Do niewoli nie pójdą. Podejmą nową próbę przedostania się do Śródmieścia.

Była to próba bardzo trudna. Trwała dwie doby. Leżeli przez szereg godzin w piwnicy płonącego domu, mdleli z gorąca. Potem udawali poległych. Mylili drogę, rozdzielali się i łączyli. Kilka razy natykali się na placówki niemieckie. Dziewczęta ciskały wówczas granaty razem z chłopcami i wszyscy umykali pod ostrzałem. Znaleźli się w terenie ostrzeliwanym przez artylerię radziecką i wówczas właśnie została zabita Zosia. Rozproszeni, odszukali się po pewnym czasie i błądzili wśród wymarłych ulic wymarłej dzielnicy. Od skrajnego wyczerpania ratowały ich zastrzyki cardiasolu. Ale wreszcie dotarli do polskiej placówki Śródmieścia.

Irka po stracie Jasia znajdowała się w stanie zupełnego odrętwienia uczuciowego.

Zobojętniała na sprawy powstania, zobojętniała na sprawy życia, pragnęła umrzeć. Zatraciła swą dzielność i aktywność, przez ostatnie dni walk na Wilanowskiej spełniała mechanicznie tylko najkonieczniejsze lub wymuszone na niej zadania.

W grupie, która pod dowództwem Jerzego wyruszyła do Śródmieścia, znalazła się odruchowo. Były tu przecież wszystkie ocalałe łączniczki i sanitariuszki. Gdy grupa uległa rozbiciu, Irka nie miała ani

ochoty, ani sił, ani woli do dalszej walki. Dlatego nie przyłączyła się do ósemki, która podjęła ponowną próbę przedostania się do Śródmieścia, ani do tych kilku, którzy z Jurem zdecydowali się ruszyć przez Wisłę. Podobnie jak większość wyczerpanych i załamanych dziewcząt i chłopców pozostała przy ojcu Pawle, zdając się na jego decyzję.

Przeleżeli drzemiąc w gruzach do świtu. Wczesnym rankiem w obliczu nowych faktów dezorganizacji ojciec Paweł powziął ostateczną decyzję: poddanie się. Jedna z dziewcząt i któryś akowiec są wzburzeni pomysłem zakonnika.

- Mamy się poddać? Po takiej walce?

- Twoje życie nie należy do ciebie, należy do Ojczyzny.

Po krótkich pertraktacjach ojca Pawła (szczupły, zarośnięty, na cywilnym ubraniu - panterka) z najbliższą placówką niemiecką całą gromadą ruszyli ku Zagórnej.

Już po kilku minutach podeszli do większej grupy nieprzyjacielskiej. Była to jakaś kompania karna. Obstąpili powstańców i - poruszeni sensacją - pokrzykiwali coś brutalnie, na wesoło.

Oddzielono „bandytów” od ludności i dopiero teraz zaczęła się zabawa. Dziewczętom pomalowano szminką twarze w koła i krzyże, oficera berlingowca pobito do nieprzytomności, powstańców rewidowano, złośliwie urażając rany.

Jakiś młody, rozrośnięty zandarm podszedł do Irki, strącił jej z głowy furazerkę, zerwał

opaską powstańczą i coś mówiąc, uderzał wskazującym palcem po nosie młodej kobiety. Irka stała z szeroko otwartymi oczami, zaczynała znów słyszeć i widzieć dookoła siebie ludzi, zaczynała znów czuć.

Po pewnym czasie uszykowano powstańców trójkami i pod eskortą poprowadzono w głąb miasta. Na jakimś podwórku ustawiono ich pod murem, rozkazano podnieść do góry ręce i zaczęto ustawiać naprzeciwko ciężki karabin maszynowy. Zamarli w bezruchu. Tylko ojciec Paweł - czując swą odpowiedzialność - wybiegł z tej masy do dowodzącego oficera. Dobrze znał język niemiecki. Po chwili wrócił do swoich ledwo trzymających się na nogach. Ruszono dalej przez Agrikolę w stronę alei Szucha.

Tam zatrzymano powstańców na dziedzińcu gestapo. W oknach ukazywać się poczęli gestapowcy; było ich coraz więcej, wykrzykiwali coś do powstańców.

Któryś rzucił w ich gromadę suchara i jeden z chłopców, nie panując nad instynktem głodu, podniósł suchar i zaczął gryźć. Stało się to początkiem nowej zabawy: hitlerowcy ciskali teraz w gromadę powstańców sucharami, nadpsutymi owocami, nie dojedzonymi kawałkami chleba. Chłopcy i dziewczęta schylali się po to i jedli, nie mogli się opanować, nie chcieli się opanować. Ale niektórzy zaczęli pragnąć śmierci.

Z Irką natomiast stało się coś przeciwnego: tu dopiero, na tym gestapowskim dziedzińcu, ozdrowiała jej dusza. Nie tknęła rzucanych sucharów i odczuła ponownie nienawiść w sercu.

Po pobieżnym badaniu rannych oddzielono od zdrowych. Zdrowi zostali w alei Szucha, rannych zaś wsadzono do samochodów ciężarowych, lekko ranną Irkę też. Ciężarówki przewiozły ich do kościoła na Woli i tu znów przystąpiono do ich badania. Tym razem pytającym był oficer SS; interesowały go magazyny z bronią, szczegóły o oddziałach powstańczych Śródmieścia, kontakty z wojskami radzieckimi.

- Nie mogę o tym mówić - powiedziała Irka. - To są tajemnice wojskowe, a ja jestem żołnierzem.

Oficer przyjrzał się jej uważnie.

- Jesteś sanitariuszką czy łączniczką - spytał.

- Łączniczką.

Nie pytał więcej. Nie bito jej.

Noc spędziła razem z ojcem Pawłem oraz z kilkoma dziewczętami i chłopcami. Z rana przyszli do nich SS-mani-Ukraińcy. Niektórzy mówili po polsku. Potem z alei Szucha przybyła pieszo grupa zdrowych powstańców, którzy zostawieni tam zostali wczoraj.

Po południu rannych załadowano do samochodów. Następnie SS-mani oddzielili powstańczych chłopców od dziewcząt. Chłopców poprowadzono ulicą Wolską za miasto, w kierunku Pruszkowa, dziewczętom zaś kazano ustawić się pod murem.

Stało ich pod tym murem sześć, Irka także. Kolumna pieszych powstańców już odeszła. Teraz ruszyły samochody z rannymi i dziewczęta poczęły machać im na pożegnanie rękami.

Usiłowały się uśmiechać. I tak pozostały w oczach odjeżdżających powstańców: ustawione pod murem, z nikłymi uśmiechami na ustach, migające na pożegnanie bielą dłoni.

Samochody zniknęły...

Irka oderwała wzrok od drogi i spojrzała na stojących koło nich mężczyzn w mundurach SS.

Przestała się uśmiechać... Uczuła, jak walić jej poczyna w piersiach serce i drętwieją nogi.

Nie ma takich przeszkód, których by nie pokonała matka, pragnąca odszukać swe zaginione dziecko.

Pani Janina, pogodziwszy się ze śmiercią Maryny na Starym Mieście, przez półtora roku poszukiwała śladów Irki. Podobnie czyniły inne matki tych dziewcząt, które pozostały przy murze kościoła wolskiego, gdy odjeżdżały samochody z ich rannymi kolegami. W kościele i koło kościoła nie było wówczas Polaków.

Poszukiwania nie dały wyników.

Którejś nocy pani Janina ujrzała córkę we śnie. Irka miała oczy rozszerzone przerażeniem i usta jakby

w krzyku, w obłędnym krzyku...

Pani Janina objęła głowę rękami - i z twarzą w poduszce - zaczęła spazmatycznie płakać.

## XVII. EPILOG

Był w „Zośce” powstaniec, który przybrał konspiracyjne imię Czart. Miał za sobą - jak większość chłopców „Rudego” - konspiracyjną podchorążówkę i w ostatnich tygodniach powstania został dowódcą sekcji w plutonie „Sad”.

Wysoki, płowy blondyn o subtelnych rysach twarzy, był chłopcem wrażliwym i silnie przeżywał każdy powstańczy dzień.

Jak wszyscy w „Zośce” Czart się nie oszczędzał. Nie dekował się ani w dywersji, ani w powstaniu i na swój Krzyż Walecznych zasłużył uczciwie. Na cmentarzu żydowskim kropił z elkaemu w tyralierę nieprzyjacielską z tak bliska, że widział białka oczu Niemców; dostał

wówczas postrzał w pierś i przeleżał w szpitalach Broma na Woli i Starówce parę tygodni.

Ale rana goiła się dobrze, nie czekając więc zupełnego jej zaleczenia wrócił do kompanii i należał do tych, którzy przebili się ze Starówki górą do Śródmieścia. Na Czerniakowie trzymał się długo i dopiero pod sam koniec, już na Wilanowskiej 1, dostał odłamkiem tak szpetnie w udo, że nie mógł się ruszać i leżał w korytarzu piwnicznym jak Łazarz.

Podczas przynależności do Szarych Szeregów i ich Grup Szturmowych Czart nasiąkł

panującą wśród tej młodzieży atmosferą i ani się spostrzegł, jak sam stał się nosicielem tej atmosfery. W grę nie wchodziły żadne nadzwyczajności, ot - kilka najprostszych, najbardziej uchwytnych zasad postępowania: być koleżeńskim w każdej potrzebie, mieć stałe nastawienie na Służbę (to znaczy chcieć dawać, a nie brać; dawać ze siebie wszystko), no i nie mówić

„zdechł pies”, dopóki się oddycha.

Te i podobne proste zasady rozumiane same przez się w „Zośce” i „Parasolu”, były tak powszechnie praktykowane, iż Czart uważał je za najbardziej normalne. I do głowy by mu nie przyszło, iż dzięki temu jego dzielni dowódcy nie wisieli w próżni, stanowili bowiem tylko coś w rodzaju etykiety, coś w rodzaju efektowniejszej próbki tego samego gatunku młodzieży.

Śmierć pierwszych swych dowódców i przyjaciół Czart przeżywał niezwykle silnie, ginęli przecież jego najbliżsi i najdrożsi. Ale potem śmierć kosiła już tak szybko, a ciężka służba tak wysysała wszelkie siły fizyczne i psychiczne, iż Czart otępieł i przestał rozpaczać: aby żyć i walczyć, trzeba było myślać zaczepiać o to, co żywe, co się trzyma, co pokpiwa ze śmierci, co daje ufność. Polegli spełnili swoje. On także musi mieć siły, aby spełnić swoje zadanie.

I oto przekłęty odłamek „rąbnął” Czarta fatalnie w udo i Czart znalazł się w zatłoczonym korytarzu piwnicznym Wilanowskiej 1. A obok niego leżał Wiktor, jeden ze strzelców

„Rudego”.

W nocy z 22 na 23 września dwóch nie znanych mu ludzi z „Parasola” wzięło Czarta na ręce i

wyniosło na brzeg Wisły. Niosący nie mieli łatwej roboty, a Czart wygody, gdyż trzeba było pod kulami przeskakiwać Solec, padać i podrywać się. Złożono wreszcie rannego na pokładzie „Bajki”, zepchnąwszy uprzednio do wody leżącego na tym miejscu nieboszczyka.

„Parasolarze” położyli Czarta i poszli po Wiktora, a Czart musiał sam bronić się przed potracającymi go w ciemności nogami. Rozumiał sytuację: było ciemno i okropny tłok, więc gdy go deptali i urażali, starał się krzyczeć niegłośno i kląć niezjadliwie. Trząśł się z zimna, gdyż nie dano mu koca.

Razem z Wiktorem był świadkiem obląkańczego szturm na pierwsze łodzie, które przybyły z tamtego brzegu. I przeżył to jeszcze parokrotnie tej nocy.

A wszystko przy akompaniamencie broni maszynowych i dział oraz w świetle wybuchających rakiet. Ale najgorzej poczuł się Czart, kiedy koledzy odeszli przebijać się do Śródmieścia. Był

bliski rozpacz, lecz pocieszał się, że jest jeszcze obok niego Wiktor i kilku innych swoich.

Przecież wreszcie zabiorą na łodzie także rannych, niech już tylko przeprawiają się te wściekłe typy!

Mijała noc. Na pokładzie zrobiło się luźniej i Czart mógł obserwować Wisłę; gorączka wzmogła się i wszystko, na co patrzył, wydawało mu się jakieś nierealne.

Ostatnie łodzie zabrały także kilku rannych z „Zośki” i „Parasola”, ale nie Czarta i nie Wiktora, którzy byli tak osłabieni i mało przytomni, iż nie mogli się upominać o siebie.

Wstawał nowy dzień, gorączka widać nie opadała, gdyż wszystko wirowało Czartowi przed oczami. Rana na nodze silnie ropiała i tworzyła się koło niej cuchnąca kałuża. Na statku przystani żywych pozostało już niewiele, kto mógł, odpłynął na pontonach, na prowizorycznych tratwach, wpław. Z „Zośki” i „Parasola” było ich sześciu.

Dzień ten zdawał się nie mieć końca. Czasami bębniły po deskach statku zbłąkane serie pocisków, piekło słońce, męczyło pragnienie, dręczyła obawa nadejścia Niemców. A nade wszystko zrodziło się i utkwilo w sercu nie znane dotąd nigdy Czartowi uczucie: uczucie krzywdy.

Nowa noc nadeszła w towarzystwie huraganu pocisków bijących z jednego brzegu na drugi i w gęstych rozbłyskach światła rakietowych. Łodzie tej nocy nie przyplnęły.

Czart wielokrotnie tracił przytomność i wówczas zaczynał majaczyć. A gdy przytomność odzyskiwał, było mu tak ciężko na duszy, jak nigdy.

Rozpoczął się nowy dzień - 24 września. Rzekę i statek otulała mgła. Mżył deszcz. Czart skręcał się z bólu, ropiejąca noga piekła, szarpała, dręczyła; szczeptał zębami z zimna.

Nagle zrozumiał: nie ma co czekać na łodzie, a zdychać beczynnemu nie warto. Trzeba spróbować. Przecież bądź co bądź człowiek żyje.

Podczołgał się na skraj pokładu i zaczął się rozbierać. Rozbieranie sprawiało mu piekielny ból,

ściągnął jednak panterkę, sweter...

Ale Wiktor przekonał go, że próba przepłynięcia rzeki z jego nogą to pewna przegrana.

Trzeba spróbować inaczej, może sklecić jakąś tratwę? I trzeba to zrobić w nocy, nie w dzień.

Czart ubrał się z powrotem.

Cały dzień siąpił deszcz. Artyleria biła przez Wisłę bez przerwy. Gdzieś blisko trzaskały granatniki, kilka pocisków uderzyło w statek, raniąc ponownie jednego z leżących. Czarta męczyło pragnienie, zaczerpnął więc przykrej wody rzecznej, przykrej, gdyż przy burtach statku tkwiły rozdęte ciała.

Nagle - błysk, huk, dym, grad uderzających w deski odłamków i rozpaczliwy jęk zlanego krwią berlingowca... Komuś innemu urwało rękę.

Nie znany Czartowi powstaniec poczęstował go papierosem i to Czarta na pewien czas doprowadziło „do formy”. Papierosa popijał wodą. Miał zresztą tego dnia wyjątkowe szczęście: ktoś inny dał mu łyżkę stołową nie gotowanej kaszy jaglanej, już osolonej, oraz dwie lub trzy kostki cukru. Było to pierwsze od dwóch i pół dnia jedzenie. Wiktor dostał to samo.

Po południu Czart i jego nieliczni towarzysze przeżyli tragedię. Z drugiej strony Wisły ruszyło ku nim kilka łodzi, na łodziach łopotały flagi Czerwonego Krzyża. Patrzyli na to błyszczącymi oczami, chcieli krzyczeć z radości! Lecz - o Boże - artyleria niemiecka otwiera na te łodzie ogień, wytryskują koło nich fontanny wody i łodzie wracają do brzegu, a ludzie z nich uciekają za wał.

Deszcz bębni w podziurawiony pociskami pokład „Bajki”, rozpryskują się odbijane od desek krople, ubranie jest nasiąknięte wilgocią. Ciało wstrząsają na przemian lodowate dreszcze i żar gorączki, na pół przytomne oczy błędzą po podziurawionym pomoście, po trupach na mokrym pokładzie, po szarej, niespokojnej wodzie rzeki.

Dlaczego Niemcy nie wchodzą na statek? Czyżby się bali tych sterczących przed mostem dwóch cekaemów, których przecież żaden z powstańców nie jest w stanie obsłużyć? Ale wciąż biją w statek z granatników, wiedzą więc, że są na nim jeszcze żołnierze polscy.

Któryś z kolejnych wybuchów granatnika spowodował nowe zranienie Czarta - tym razem w rękę. Nie robi sobie opatrunku, gdyż nie ma na to sił ani materiału, i obojętnie przygląda się ściekającej do rękawa krwi. Wiktor też dostał - w kolano. Gdzieś z kąta rozlega się przejmujące skomlenie innego człowieka trafionego odłamkiem. Równocześnie bić zaczyna w wybrzeże artyleria radziecka. Pociski lecą nad „Bajką”, niektóre padają blisko.

Najwyższy czas wyrywać stąd.

- Wiktor, a może dałoby się przejść na drugi brzeg mostem Poniatowskiego?

Wiktor z trudem odwraca się w kierunku mostu i usiłuje rozpoznać jego zniszczenie. Czart także patrzy uważnie. Wydaje mu się, iż dwa pierwsze przęsła prężą się całe, nienaruszone, nad rzeką, dalej - przepaść; trzecie przęsło odcięte od filarów leży gdzieś nisko na wodzie, a czwarte złamane

na pół zagłębia się środkiem w fali, podobnie piąte. Szóstego wcale nie widać, w przestrzeni między filarami płynie rzeka.

- Gdybyśmy byli zdrowi i najedzeni - mówi po namyśle Wiktor - i gdyby udało się dojść stąd do mostu, to może by poszło. Ale tak jak jest...

Czart długo rozmyślał, zanim sprecyzował swą myśl.

- Wiesz, to jednak pewniejsze niż przepływanie całej rzeki. A tratwy gołymi palcami nie zrobimy, wszystkie luźne kawałki drzewa już stąd zabrali inni. W każdym razie z tym mostem jest jakaś szansa.

Późnym wieczorem Czart wywlókł się na brzeg. Za nim utykając podążał Wiktor.

Brzeg Wisły zarzucony był mundurami, hełmami, jakimiś płachtami. Wszędzie - ciała poległych. Setki, wiele setek poległych. Powstańcy, berlingowcy, Niemcy... Obydwaj powstańcy wspierając się nawzajem ruszają powoli w dół rzeki. Idą tylko w skarpetkach, buty dla ostrożności pozostawili. Idą, a raczej wloką się mozolnie, przemoczeni, przeziębli, ledwo trzymający się na nogach. Obydwaj ciężko kuleją. Rozmawiają tylko szeptem, za wałem mogą być gniazda nieprzyjacielskich karabinów maszynowych.

Pod drewnianym mostkiem przystani SS usiedli i odpoczywali. Obok wynurzał się z wody do pół pasa trup żołnierza w polskim mundurze; jego wytrzeszczone martwe oczy, szeroko rozrzucone ręce i sina, wydęta twarz czyniły przejmujące wrażenie. Niedaleko trupa kołysał

się na wodzie worek-torba. Znaleźli w nim suchary.

Ucieszyli się bardzo i natychmiast jeść poczęli rozmiękły razowiec, odwróciwszy się plecami do poległego. Jedząc popijali wodę, czerpaną garściami z rzeki.

Deszcz padał coraz większy. Nie mogli być zresztą bardziej przemoczeni, niż byli, nie zwracali więc na deszcz uwagi. Odpoczywali chwilę przytuleni do siebie. Szczękając z zimna zębami patrzyli na nikły zarys zniszczonego mostu.

Ruszyli naprzód. Czart syczał z bólu, nogę miał jak kłodę, rana rwała piekielnie, a ręka też dokuczała. Odczuwał również męczące klucia w piersi; dawał znać o sobie odłamek, tkwiący w lewym płucu blisko serca, pamiątka po walkach na Woli. Kolano Wiktora spuchło, przy podnoszeniu nogi jęczał z bólu. Raz po raz odpoczywali na mokrym piasku wybrzeża. Aby wstać, Czart chwycił się pokrwawionymi rękami sterczących kamieni i stawał najpierw na czworakach, a potem - natężywszy siły - unosił wolno ku pionowi tułów.

Dołączyła do nich reszta żołnierzy „Zośki” i „Parasola” z „Bajki”. Wlekli się teraz całą gromadką. W pewnej chwili Czart stanął wyprostowany jak tyka i z ręką wyciągniętą ku przodowi powiedział podniecony: - Patrzcie!

Wyteżając wzrok ujrzeli w świetle łun pożarowych, jak po trzecim, zwalonym prześle mostu biegnie chyłkiem ku Pradze kilka postaci... A więc istnieje możliwość przebycia przepaści między drugim a trzecim filarem! Wtem do przebiegających mostem bić zaczyna niemiecki karabin maszynowy. Jego



suchy, gwałtowny trzask tłumi ledwo zabłysła iskrę nadziei. Któryś z towarzyszy Czarta kładzie się na piasku, już ma tego wszystkiego dosyć.

- Naprzód, frajerze, szkoda czasu - szepce Czart spieczonymi wargami.

Znalazł laskę i jest mu teraz nieco wygodniej stąpać zranioną nogą.

Most!

Powoli, boleśnie pną się na czworakach po kamiennym podmurowaniu do góry.

Podsadzony przez Osta gramoli się Czart na żelazny łuk konstrukcji. Byle naprzód, byle nie utknąć. Leżąc na brzuchu sunie mozolnie po stalowej szynie, zaciskając z bólu zęby. Krótki odpoczynek i znów pełzną naprzód.

Nad rzeką rwą się granatniki, na wodzie pełzają czarne chmury dymu. Ale Wisła, nad którą wiszą przywarci do żelaznych sztab, jest zupełnie pusta.

Czart stara się jednak nie patrzeć na rzekę, gdyż od takiego patrzenia kręci mu się w głowie, most zaczyna wirować i ogarnia go strach, że spadnie w przepaść.

Przytrzymując się stalowych belek dopełzli wreszcie do filaru. Ale jak go minąć? Rozglądają się długo, uważnie i wreszcie decydują się wspiąć do otworu czerniejącego w kamiennym murze filaru ponad ich głowami. Po stalowych prętach wdrapują się ku tej dziurze i zajrzawszy w nią - niemiej z wrażenia: dziura stanowi nie tylko przejście przez filar, ale po jej drugiej stronie widać kładkę szerokości dwóch desek, zaopatrzoną w barierkę! Półtora metra ponad nią wznosi się potężne sklepienie drugiego przęsła.

Czart i Wiktor są tak osłabieni, iż nie mogą nadażać za nieco silniejszymi kolegami, posuwającymi się na przedzie. Odstają coraz bardziej. Nie chcą jednak powstrzymywać tamtych. Nie ma sensu. Wreszcie nie widzą już przed sobą nikogo.

Oto trzeci filar. a w nim taki sam przełaz jak w poprzednim Czart wchodzi w jego czarne wnętrze i spogląda na dół: pod nim o dwa piętra niżej leży zwalona nawierzchnia mostu, a stroma ściana filaru jest zupełnie gładka.

Silniejsi koledzy spuścili się prawdopodobnie po rurce stalowej, zwisającej w metrowej odległości na lewo od otworu. Ale oni? Koniec!

Obydwaj - Czart i Wiktor - siadają w niszy przy dziurze. Czart drżącą ręką wyciera pot z czoła, Wiktor zaczyna trząść się, jakby go chwycił paroksyzm febry. Koniec.

Siedzieli tak długo, bardzo długo.

- Nie ma rady, trzeba próbować - mówi Czart. - Kto pierwszy?

Wiktor odpowiedział dopiero po minucie.

- Ja. Jestem lżej ranny od ciebie.

Czart niespokojnie obserwuje teraz każdy ruch Wiktora. Ten wychylił się z dziury, szukając ręką rurki. Znalazł widocznie, gdyż oto odrywa się od dziury, zawisa w powietrzu i znika w dole. Serce Czarta bije szybko... Nie, nie słychać spadającego ciała! Uspokaja się, wychyla głowę i widzi, że Wiktor buja się na cienkiej, rozchybotanej rurce, usiłując zachować powolność opadania, aby nie roztrzaskać się o beton. Wylądował szczęśliwie!

Teraz Czart! Z zapartym oddechem wychyla się z otworu, chwyta zdrową ręką rurkę i zawisa w powietrzu... Ranna noga szarpnęła ku dołowi wściekłym bólem, zwiotczała, osłabione mięśnie napięły się gwałtownie, zapiekła ogniem dłoń zdrowej ręki, dźwigającej ciężar opadającego ciała. Czart usiłuje zahamować szybkość opadania oplatając rurkę zdrową nogą -

ubranie na brzuchu rwie się w strzępy i Czart czuje piekący ból rozdzieranej skóry.

Omdlewając z cierpienia puszcza rurkę, na szczęście puszcza ją tuż nad Wiktorem, który go chwyta, chroniąc od upadku.

Byli tak wyczerpani, obolali i roztrzęsieni, że położyli się na drewnianej kostce nawierzchni i odpoczywali, starając się oddychać spokojnie i równo. Po kilkunastu minutach zaczęli znów słyszeć wybuchy i gwizd pocisków oraz spostrzegać szczegóły zburzonego mostu.

Przychodzili do siebie.

- Cholerna jest w człowieku wola życia.

- Wola życia? Może... Ale patrz, są ludzie, którzy łatwiej robią klapę, a inni - nie. Ja myślę, że grunt to się trzymać do ostatka. Już, bracie, idziesz na dno, a jeszcze się nie dawaj, no nie?

Czart stanął na czworakach i usiłował się podnieść. Nie udawało się.

Gryzł wargi z bólu, kręciło mu się w głowie, dobywał resztek sił. Wreszcie przy pomocy nieco silniejszego Wiktora wyprostował się. Kulejąc ruszył naprzód.

Z tyłu za nimi płonęła Warszawa. Światło pożogi obejmowało ponad połowę rzeki, niestety -

opadnięte przeszło też. Posterunek niemiecki musiał zauważyć dwie sunące wolno sylwetki, gdyż zatrzeszczał cekaem i żarzące się ogniki pocisków migać zaczęły koło dwóch wędrowców. Upadli na powierzchnię mostu i pełzli naprzód tylko podczas przerw między seriami strzałów.

Następne przeszło miało nową trudność: jego środek był złamany i złamana część opadła ku wodzie pod kątem 45 stopni. Ale tu pociski cekaemu nie dochodziły. Trzymając się bariery obydwaj powstańcy zeszli w dół. Potem w rzekę. Brnęli teraz zagłębieni w wodzie po kolana, czasem głębiej. Piekący ból ran pod wpływem zimna rzeki jakby złagodniał.

Rakieta! W bladym jej świetle mijają dwa leżące obok siebie ciała ludzkie i spotykają się tu z jednym z tych kolegów, którzy ich wyminęli. Zanurzeni po pas w wodzie, obejmując rękami filar,

przechodzą we trzech na jego drugą stronę - tu piaszczyste dno Wisły wypiętrzyło się w niewielką wysepkę.

Kładą się znów, aby wypocząć. Piją wodę.

Rana znów piecze, teraz nieznośniej niż kiedykolwiek. Czart ogląda skąpiutki bandaże i widzi, jak ropa wprost kapie z rany. Brud ostatnich dni oraz rozjątrzenie tarciami o łańcuchy daje się we znaki, ból przy lada ruchu staje się nie do wytrzymania.

- Czy sowieci mają dobrych chirurgów, nie wiesz?

- Zależy ci tak na nodze? Grunt, żebyśmy dobrnęli.

- Tobie może nie zależy, ale ja chciałem robić politechnikę. Wiesz: precyzyjne pomiary w terenie i takie różności. Do tego konieczne są dwie nogi.

Pomagając sobie nawzajem, podnieśli się. Teraz piąć się trzeba było po fantastycznie pozwijanych żelaznych belkach, ledwo widocznych w ciemnościach, gdyż tutaj blask rozognionego nieba nie sięgał. Wciąganie się na krawędź jezdni sterczącej wysoko nad nimi wymagało tyle siły, że w pierwszej chwili bliscy byli rozpaczy. Ale we trójkę przewyciężyli wreszcie i tę przeszkodę.

Potem należało znów opuścić się złamanym przęsłem ku dołowi. Zsuwali się ostrożnie, przytrzymując obrzeża śliskiej kostki zakrzywionymi w szpony palcami. Na dole w wodzie natknęli się na długi szereg wyrzuconych przez wodę trupów. Wparci piersiami i rękami w barierkę sunęli ponad przepływającą niżej wodą. A następnie wdrapywali się na wznoszący się drugi człon złamanego przęsła. To wspinanie trwało może pół godziny, a może godzinę.

Zdobywali powoli każdy dziesiątek centymetrów. Czart stracił poczucie miejsca i czasu, ale z jakimś niepojętym dla niego samemu uporem piął się dalej, pokonując słabość, ból i gorączkę.

Teraz w dół. Schodzą po zawikłanych splotach szyn. Czart i ten trzeci są już na dole, podczas gdy Wiktor wisi jeszcze gdzieś wysoko w kłębowisku żelaznych prętów i nie może znaleźć drogi. Czart z lękiem spostrzega, że Wiktor coraz bardziej nerwowo szuka nogą belki i wygląda, jakby tracił siły.

- Czart! Czart! Gdzie stawiałeś prawą nogę?

- Człowieku, czyś zgłupiał? Nie potrafisz sobie dać rady?

Wiktor przestaje się denerwować i znajduje oparcie dla prawej stopy.

Wciąganie się na powierzchnię piątego przęsła było okropne. Wiktor chwycił się rękami brzegu, uniósł na wysokość piersi i dalej nie mógł. Gdy chciał z powrotem stanąć na belkę, nogi zagubiły oparcie. Jeszcze chwila - i runie na żelazną pajęczynę. Czart, trzymając się zdrową ręką skreconej szyny, chwytając kolegę i oparłszy się na rannej nodze, zaczyna go podpychać ku górze, czując ogień w stopie, kolanie, biodrze i szarpiący kleszczami ból uda.

Wiktor wreszcie wgramolił się. A Czart znalazł dogodniejszy sposób wdrapania się. Gdy podszedł

do Wiktora, ten stał oparty o poręcz i głęboko oddychał.

- Wyciągnąłeś mnie z biedy...

- Ano, udało nam się obydwu.

Pobrnęli dalej, mozolnie szukając przejść. Trzeci kolega włókł się tuż za nimi.

Szóste przeszło. Blask płonącej Warszawy dochodzi tu słabo, rakiety rwą się rzadko, jest zupełnie ciemno. Trzeba posuwać się bardzo ostrożnie.

Na piasku pod filarami ujrzeli leżących ludzi. Przysiedli koło nich, byli to ciężko ranni berlingowcy, zniesieni tu przez prąd na rozbitej łodzi podczas przeprawy przed dwoma dniami.

- Koledzy, jak traficie na brzeg, koniecznie przyślijcie po nas.

Koniecznie, bo z nami marnie.

- Dobra jest - mówi Czart. - Zrobimy.

I znów naprzód. Łzawiącymi w gorączce oczami tropią „drogę” wśród żelaznych konstrukcji, niezdarnymi rękami chwytają się żelaza i brną dalej.

W głowie się kręci, szumi, dzwoni. Czasem na widok nowej, trudnej przeszkody opadają zupełnie z sił. Ale po chwili posuwają się znów naprzód.

Czart czuje, iż zaczyna wykrzywiać twarz z bólu, nie może jednak tego odruchu opanować.

Doszli wreszcie do miejsca, którego się szczególnie obawiali: filary, między którymi brak przęsła i słychać tylko wartki nurt rzeki. Wsparci o wyrwę nawierzchni spoglądali w dół: pusta, pozbawiona szyn przepaść oddzielała ich od następnego filara.

- Trzeba będzie płynąć.

- Pływak ze mnie nietęgi - szepce Wiktor.

- Nic się nie bój, pomogę - odpowiada Czart, starając się mówić głosem możliwie pewnym siebie.

Zsunęli się ostrożnie w dół i powoli podeszli do wody. To, co ujrzeli, sprawiło na nich tak wielkie wrażenie, iż mimo woli chwycili się za ręce: powierzchnia wody była zarzucona szczątkami łodzi, pospychanych gęsto przez nurt i tworzącymi jakby sztuczny pomost.

Ogarnęło ich podniecenie. Możliwie szybko wgramolili się na łodzie porozbijane pociskami, napełnione workami i amunicją. Od brzegu dzieliło ich już tylko kilkanaście metrów.

Wyminęli zwłoki ludzkie powciskane między szczątki czołen i po chwili byli już na lądzie.

Nie mogli opanować wzruszenia. Wzięli się w ramiona i ucałowali kilkakrotnie. Ten trzeci, który był z nimi, klepał się z uciechy obydwoma rękami w piersi.

A potem usiedli niezgrabnie na kamiennym wybrzeżu, drżały im nogi, opuściła ich resztką sił.

Wyciągnęli się na wznak z oczami w stronę Warszawy i odpoczywali. Czart wydobyl z kieszeni suchara, dał kawałek Wiktorowi i temu trzeciemu. Na czerniakowskim brzegu grał

cekaem i wystrzeliła roziskrzona rakietą. Nad Mokotowem i Śródmieściem strzelały poprzez kłęby dymu migotliwe języki ognia.

Czart na pół przytomny ze zmęczenia wpatrywał się w warszawski brzeg rzeki. W chmurach dymu i płomieniach ognia pojawiać mu się zaczęły sylwetki i twarze tych, którzy zostali na tamtym brzegu. Zostali na Woli, Starym Mieście, Czerniakowie. Kołczan, Kuba, Andrzej Długi, Piotr, Rafał, major Jan, Andrzej Morro, Nowina, Florian - Jagiełło...

Od strony wału rozległy się kroki, wynurzył się cień i błysnął w promieniach dalekiego odbłasku bagnet.

- Kto tam?

- Powstańcy.

Wstawali z trudem, pomagając sobie nawzajem.

Czart usiłując pokonać potworny ból nogi usiłował zanucić jakąś energiczną melodię.

### **Schemat organizacyjny batalionu „Zośka”**

Dowódca Batalionu: por. Jerzy

I Kompania „Maciek”: kolejni dowódcy: Maciek - Włodek - Blondyn - Kmita; I pluton: Tyka; II pluton: Skalski; III pluton : Zagłoba; IV pluton : Kindzał; II Kompania „Rudy”: dowódca Andrzej Morro;

I pluton „Sad”: Jerzyk; II pluton „Alek”: Kołczan; pluton „Felek”: Kuba; III Kompania (stworzona w marcu 1944): kolejni dowódcy: Czarny Jaś, Giewont.; I pluton: Rawicz, Howerla; II pluton: Michał; III pluton: Iwo Rygiel; Oddział sanitarny: dowódca - dr Brom

### **Schemat organizacyjny batalionu „Parasol”**

Kompania wydzielona z okresu dywersji (kryptonim Pegaz - Agat - Parasol); dowódca kpt.

Pług; z-ca d-cy Jeremi;

I pluton: Jeremi - Lot - Rafał; II pluton: Mirski; III pluton: Luty - Maryla; komórka wywiadu: Rayski.

Batalion stworzony w czerwcu 1944 r. Dowódca Batalionu: kpt. Pług; z-ca d-cy Jeremi **Spis**  
**pseudonimów, imion i nazwisk wymienionych w książce opracował: J.B.**

# Deczkowski

Akszak (Przemek) - Przemysław Kardaszewicz

Aldi - nazwisko nie ustalone

Alek - Maciej Aleksy Dawidowski

Ali (Bat. „Parasol”) - Stanisław Huskowski

Ali (Bat. „Zośka”) - Jerzy Waleszkowski

Andrzej Bury - Andrzej Błędowski

Andrzej Długi - Andrzej Długoszewski

Andrzej Garda - Andrzej Pawlicki

Andrzej Morro - Andrzej Romocki

Andrzej Pol - Wiktor Szeliński

Andrzej Wojnicz - Andrzej Wojnicz

Anna (Bat. „Parasol”) - Krystyna Wańkiewicz

Anna (Bat. „Zośka”) - Anna Jastrzębska

Anoda - Jan Rodowicz

Antek - Antoni Sygietyński

Anka - Halina Strakacz-Porowska

Argos - Jan Kulczycki

Artur - Zdzisław Stanisław Zbrzeźniak

As - Benedykt Sylwestrowicz

Barbara - nazwisko nie ustalone

Barry - Włodzimierz Kozakiewicz

Basia - Barbara Drapczyńska-Baczyńska

Basia (Bogna) - Barbara Gacówna-Chylińska

Bąk - Maciej Wojtulewicz

Bela - nazwisko nie ustalone

Berling - Zygmunt Berling generał

Bil (Bill) - Zbigniew Biliński

Bliźniak - nazwisko nie ustalone

Blondyn - Andrzej Łukoski

Bogdan - Jerzy Kaczyński

Bogdan (Laudański) - Juliusz Bogdan Deczkowski

Bolec - Tadeusz Chojko

Bogumił - Bolesław Krogulecki

Bogusław - Iwo Rygiel

Bonawentura - Jan Romocki

Borski - Zygmunt Szczepaniak

Boruta - Witold Sikorski

Bożena - Halina Zdanowicz

Brat - Ewaryst Jakubowski

Brom - Zygmunt Kujawski

Bronek Lot - Bronisław Pietraszkiewicz

Bruno - Bronisław Hellwig

Brzoza - Zbigniew Rylski

Bystry - Henryk Poznański

Cichy (komp."Giewont") - Benedykt Kapusta

Cichy (Bat."Parasol") - Marian Senger

Cis - Wojciech Morbitzer



Cyklon - Stanisław Dąbrowski

Cyklop - Jerzy Margolli

Czarny (Stefan Czarny) - Stanisław Sadkowski

Czarny Jaś - Jan Wuttke

Czart - Stanisław Lechmirowicz

Czyżykowski - Mieczysław Czyżykowski

Danuta - nazwisko nie ustalone

Dewajtis - Elżbieta Dziembowska

Dietrich (Gruby) - Eugeniusz Schielberg

Długi - Andrzej Długoszewski

Dorota - Dorota Łempicka

Drogosław - Jan Więckowski

Drucik - nazwisko nie ustalone

Dryl - Antoni Biernawski

Duża Zosia - Zofia Krassowska

Dziobek - Włodzimierz Chrobak

Edek - Edward Wiśniewski

Ewa (I komp. Bat. „Zośka”) - Ewa Stefanowska

Ewa (III komp. Bat. „Zośka”) - nazwisko nie ustalone

Farys - Edward Schweitzer

Felek - Feliks Pendelski

Fied - Felicjan Dziak

Fil - postać fikcyjna

Florian (naczelnik Szarych Szeregów) - Florian Marciniak Florian (Bat. „Zośka”) - Jerzy Jagiełło

Franek - nazwisko nie ustalone

Garbaty - Zbigniew Gąsior

Gazella - Józef Ptaszyński

Geniek - Eugeniusz Bębenek

Giewont - Miłosław Cieplak

Gong - Janusz Kobyliński

Gozdawa - Lucjan Giżyński

Góral - Włodzimierz Malento

Grab - Jerzy Flanc

Grażyna - Grażyna Zasacka

Grom - Jerzy Bartoszewski

Gruby - nazwisko nie ustalone

Gryf - Janusz Brochwicz-Lewiński

Gustaw - Stanisław Lewiński

Gutt - Romuald Gutt

Halinka (Halusia) - Halina Kwiatkowska

Hania - Anna Zawadzka

Hanka - nazwisko nie ustalone

Hanka (Kołczanka) - Anna Wajcowicz

Hardy - Gerard Woźnica

Hipek - Stefan Królikowski

Hiszpan - Henryk Woźniak

Howerla - Stanisław Kozicki

Hrabia - Włodzimierz Roefler

Hryński - Michał Busse

Ira (Irena) - Irena Kołodziejska

Irka - Irena Kowalska-Wuttke

Iza (Hanka Skrzyńska) - Anna Borkiewicz-Celińska

Jacek („Pasięka”) - Jacek Zurn

Jacek (komp. „Giewont”) Jacek Gwiżdż

Jadwiga - nazwisko nie ustalone

Jaga - Zofia Jaczewska?

Jan - Jan Kajus Andrzejewski

Janek - nazwisko nie ustalone

Janek - Janek Gutt

Janusz (Bat. „Zośka”) Jan Pietrzak

Jasia (Nina) - Janina Trojanowska-Zborowska

Jaś (Mały Jaś) - Jan Lenart

Jenny - Irena Malento

Jeremi - Jerzy Zborowski

Jerzy Lot (Bat. „Parasol”) - Jerzy Gebert

Jerzy (d-ca Bat. „Zośka”) - Ryszard Białous

Jerzyk Sadowy - Jerzy Weil

Jędrzek (Andrzej, Książę) - Andrzej Samsonowicz

Joanna (Matka Grakchów) - Hanna Bińkowska

Józef (ksiądz palotyn) - nazwisko nie ustalone

Józek (Ziutek, Bat. „Zośka”) - Józef Pleszczyński

Juno - Zbigniew Gęsicki

Jur (Jurras) - Jerzy Grundman

Jurand - nazwisko nie ustalone

Jureczek (Jerzyk Sadowy) - Jerzy Weil

Jurek - Jerzy Dargiel

Kaczka - Tadeusz Romiszewski

Kadawer - Jerzy Chełstowski

Kadłubek (Wiktor) - Witold Bartnicki

Kajtek - Stefan Santarek

Kajus - Kazimierz Kuźmiński

Kaktus - Tadeusz Szabelski

Kama - Maria Stypułkowska-Chojecka

Karol - Henryk Petryka

Kazik (plut. „Alek”) - Kazimierz Chruściński

Kazik - Kazimierz Borowicz

Kędziński - Henryk Kowalski

Kędzior - Henryk Migdalski

Kier - Jan Sylwestrowicz

Kieros - Jerzy Rządkowski

Kindzał - Leszek Kidziński

Klimek - nazwisko nie ustalone

Kmita - Henryk Kozłowski

Kolka - Czesław Nantel

Kołczan - Eugeniusz Kecher (Koecher)

Konar - Władysław Jackowski

Konrad Stak - Stanisław Trepka

Konrad - Zbigniew Adamowicz

Kopec - Stanisław Jastrzębski

Korczak - Wojciech Świątkowski

Krótki - Mieczysław Perendyk

Krak - Wojciech Lewandowski

Krepy - Roman Krzemiński

Kruk - Władysław Refling

Kruszynka - Zdzisław Poradzki

Krysia - Krystyna Zborowska

Kryska - Zygmunt Netzer

Krysia Zakurzona - nazwisko nie ustalone

Krystyna - nazwisko nie ustalone

Krzysztof (Zieliński) - Krzysztof Kamil Baczyński

Krzyś - Krzysztof Zborowski

Krzysiek - Krzysztof Kamiński

Książę - Andrzej Samsonowicz

Kuba - Konrad Okolski

Kuropatwa (walczył na Woli) - Stanisław Kuropatwiński Kuropatwa, Zbyszek (poczta polowa) - Przemysław Górecki Laudański (Bogdan) - Juliusz Bogdan Deczkowski

Leszczyc - Tadeusz Sumiński

Lidka - Lidia Daniszewska

Lis - Bolesław Dworakowski

Lolek - Leonard Pecyna

Longin - Tadeusz Potkański

Lord - Wojciech Garbiński

Lot (Broniek) - Bronisław Pietraszkiewicz

Lot (Jerzy) - Jerzy Gebert

Lutowa (Janina) - Halina Karwicka-Rakoczy

Luty - Wacław Dunin - Karwicki

Maciej - nazwisko nie ustalone

Maciek (poległ przed powstaniem) - Maciej Bittner

Maciek (powstanie) nazwisko nie ustalone

Magdalena, lekarz - nazwisko nie ustalone

Maks - Zygmunt Dworzak

Mały Jędrek - Andrzej Makólski

Mały Tadzio - Tadeusz Wuttke

Matka Grakchów (Joanna) Hanna Bińkowska

Matros - Bogdan Kokosiński

Marta - Marta Klauze-Grundman

Maryla - Stefan Pakuła

Maryna (plut. „Alek”) - Maria Świerczewska

Maryna (komp. „Giewont”) - Maryna Kowalska

Maryśka - Jan Jaworowski

Michał - Michał Glinka

Mietek (Bat. „Zośka”) - Jan Reutt

Mietek (Bat. „Parasol”) - Antoni Sakowski

Mirski - Jerzy Zapadko

Miś (Bat. „Parasol”) Michał Issajewisz

Miś (Bat. „Zośka”) Henryk Deminet

Miś, Zdziś [Bat. „Zośka”) - Zdzisław Miśkiewicz

Monika - Maria Marynowska?

Monter - Antoni Chruściel, generał

Morro (Amorek) - Andrzej Romocki

Mora - Bogdan Czarnecki

Motyl („Czata” 49) - Zbigniew Ryłski

Mruk - Eugeniusz Woźniak

Murzyna - Kazimierz Kierzkowski

Nałęcz - Ireneusz Szatkowski

Narwik - Leszek de-Mackay

Nemo - Henryk Adamczyk

Ney - Wojciech Krogulecki

Niemira (Bat. ”Parasol”) - Tadeusz Kostrzewski

Nil (Dyrektor) - August Emil Fieldorf, płk

Nitka - Wanda Wojnicz

Nowak (naczelnik Szarych Szeregów) - Florian Marciniak Nowina - Zygmunt Brzosko

Ojciec Paweł - Paweł Warszawski

Okoń - Alfons Kotowski, mjr

Okura (Dan) - Andrzej Sobolewski

Ola - Janina Barbara Helwigowa

Olbrzymek - Henryk Humięcki

Olek - Tadeusz Kamiński

Olgierd - Wiesław Tyczyński

Oliwa (Kalinowski, Rudzki) - Jan Wojciech Kiwerski, płk Orkan - Kazimierz Kardaś

Orlik - Wojciech Czerwiński

Orsza (Stefan) - Stanisław Broniewski

Oset - Janusz Rybak

Otwocki - Mieczysław Janicki

Papa Olędzki - Władysław Olędzki

Pan Bolesław - Bolesław Srocki

Pan Janek - Jan Rossman

Pani Janina - Janina Kowalska

Pani Ola - nazwisko nie ustalone

Pani Stasia - Stanisława Kwaskowska

Pani Stasiecka - Irena Stasiecka

Paulinka - Anna Świerczewska

Paweł - nazwisko nie ustalone

Piasecki - J.M. Piasecki

Pikuś - Stefan Dyż

Piotr Pomian - Eugeniusz Stasiecki

Płomień - nazwisko nie ustalone

Pług (Dyrektor) Adam Borys

Pobóg - Wacław Wądołowski

Pol - Wiktor Szeliński

Poraj - Stefan Kowalewski

Prawdźic (Bolek) - Stefan Mirowski

Przemek (Akszak) - Przemysław Kardaszewicz



Przemysława, lekarz - nazwisko nie ustalone

Przygoda - Tadeusz Wronowski

Pudel - Tadeusz Tyczyński

Pytek - Jan Makowelski

Radosław (Sęp) - Jan Mazurkiewicz, płk

Rafał - Stanisław Leopold

Rawicz - Żelisław Olech

Rayski - Aleksander Kunicki

Rek - Jerzy Małow

Renia (Hanka) - Hanna Szarzyńska-Rewska

Robert - Wiesław Raciborski

Robert (Żak) - Robert Krauze

Roga - nazwisko nie ustalone

Roman - Ryszard Pobudkiewicz

Rubini (Piotr) - Juliusz Rubini

Rudy - Jan Bytnar

Rybak - nazwisko nie ustalone

Rysiek - Ryszard Hoffman

Ryszard - nazwisko nie ustalone

Sam (Bat. „Parasol”) - Kazimierz Glazer

Sawicz - Julian Barkas

Sem (Miki, Wiesiek) - Wiesław Krajewski

Sęp - Wojciech Markowski

Sigma - Zygmunt Śluzek

Skalski - Tadeusz Schiffers

Skąła - Zbigniew Kamiński

Scott - Ryszard Zarzycki

Sławek - nazwisko nie ustalone

Sławomir - Kazimierz Urbański

Słoń - Jerzy Gawin

Smukły - Zygmunt Wejrzanowski

Spad - Aleksander Wąsowicz

Sokół - Kazimierz Sott

Sosna (major) - Gustaw Billewicz

Sosna (plut. „Alek”) - Tadeusz Maślankowski

Ssak - Eugeniusz Poszepczyński

Stach (Madejski) - Stanisław Deczkowski

Staszek - nazwisko nie ustalone

Stefa - Stefania Grzeszczak

Stefan Gruda - Stefan Dąbrowski

Stefan Orsza - Stanisław Broniewski

Stefan Wesołowski - Stefan Wesołowski

Strzała - Jerzy Zalewski

Sygnet - Benedykt Maciejewski

Synon - Wojciech Szymanowski

Szary - Tadeusz Kurkowski

Sznica (Śnica) - Bolesław Górecki

Szprotka - Władysław Holender

Sztorch - Bogusław Niepokój

Świst - Stanisław Sieradzki

Tadeusz (Bat. „Zośka”) - nazwisko nie ustalone

Tadeusz - Jan Kubacki

Tadzio (Mały Tadzio) - Tadeusz Wuttke

Tadzio Żoliborski - Tadeusz Huskowski

Tarzan - Zdzisław Kuczyński

Tomicz - Tadeusz Kuśmierczyk

Trzaska - Eugeniusz Konopacki

Tur - Stanisław Rybka

Tulipan - Stanisław Kacprzak

Tytusek (Wąż) - Tytus Karlikowski

Ursus - Władysław Brzezoń

Virtus - Bolesław Matulewicz

Wachnowski - Karol Ziemski, płk

Wacław (Wacek) plut. panc. - Wacław Micuta

Wacław (Wacek) Bat. „Parasol” - Wacław Czyszek

Wanda- Wanda Leopoldowa

Warda - Wojciech Wojtasiewicz

Warski - Tadeusz Ulankiewicz

Wąsik - Jerzy Zakrzewski

Wesoły - Zygmunt Kaczyński

Wiesiek (Granat) - Wiesław Kuszner

Wika - Maria Całka

Wiktor - Bogdan Celiński

Wiśnia - Jerzy Wiśniewski

Witold (Czarny Witold) - Witold Morawski

Władek - nazwisko nie ustalone

Włodek (Bat. „Zośka”) - Andrzej Malinowski

Włodek (Bat. „Parasol”) - Włodzimierz Kalinowski

Wojdak - Ryszard Zalewski

Wojtek (Michał) - Wojciech Lenart

Wojtek Synon - Wojciech Szymanowski

Zabawa - Jan Wróblewski

Zagłoba - Andrzej Sowiński

Zan - Lech Januszkiewicz

Zawadzki - Józef Zawadzki

Zborowska - Helena Zborowska

Zbylut - Witold Piekarski

Zbyszek (Kuropatwa) poczta polowa - Przemysław Górecki Zbyszek (Bat. „Zośka”) - nazwisko nie ustalone

Zbyszek (Poczta) Bat. „Parasol” - Zbigniew Rogulski

Zenek (komp. ”Giewont”) - nazwisko nie ustalone

Zeta - Halina Grabowska

Zeus (mały Zeus) - Jerzy Kołodziejcki

Ziuta (Ziutka) - Stefania Kowalska

Ziutek - Józef Szczepański

Ziutek (Józek) - Józef Pleszczyński

Zosia S. - Zofia Stefanowska

Zosia (żona Pola ) - Zofia Krause

Zosia Żelazna (Wanda) - Zofia Kasperska

Zośka (Kotwicki, Lech, Pomarańczowy) - Tadeusz Zawadzki Zygmunt - Zygmunt Zbichorski

Żak (plut. „Sad”) - Andrzej Zagrodzki

Żak (Bat. „Parasol”) - Ludwik Żurek

Żar - Bogusław Ustaborowicz

Żarski - Marcei Wiśniewski